

Bruno Apitz

Nadzy wśród wilków

Czytelnik - Warszawa 1976

Bruno Apitz urodził się w r. 1900 w Lipsku, w rodzinie robotniczej. W czternastym roku życia został członkiem Socjalistycznego Związku Młodzieży Robotniczej, w siedemnastym - 'aresztowano go po raz pierwszy za udział w manifestacji antywojennej, w dziewiętnastym - ponownie za udział w strajku. Mając lat dwadzieścia siedem wstępuje do Komunistycznej Partii Niemiec i rozpoczyna pracę literacką - przedtem dorywczo uprawiał różne zawody: był robotnikiem, sprzedawcą w antykwariacie, aktorem. Po dojściu Hitlera do władzy jedenaście lat spędza w więzieniach i obozach - z czego osiem w Buchenwaldzie. Obecnie mieszka w NRD i zajmuje się wyłącznie pracą literacką.

Składające się na przedwojenny dorobek pisarski B. Apitza powieści i dwie sztuki teatralne ze względu na swą wymowę polityczną nie doczekały się druku i wystawienia. Po wojnie początkowo pisał przeważnie na użytek teatru i radia. W roku 1955 rozpoczął pracę nad stanowiącą szczytowe osiągnięcie w jego "twórczości powieścią "Nadzy wśród wilków" (ukazała się w 1958, w r. 1960 w wersji filmowej). Powieść ta została przetłumaczona na wiele języków.

„Nadzy wśród wilków” to jedno z najwybitniejszych osiągnięć w ogromnym i wciąż jeszcze mimo upływu lat rozrastającym się dziale literatury, skrótowo zwanej "obozową". Wyjątkowość tego utworu polega na tym, że ukazuje on obóz od strony mniej znanej, od strony działającej na terenie obozu międzynarodowej tajnej organizacji ruchu oporu.

Trzon akcji stanowi przemycenie do Buchenwaldu w transporcie więźniów z Oświęcimia dziecka, z warszawskiego getta. Czułość dla bezbronnej istotki, zdolność do poświęceń silniejsze są niż strach przed torturami i śmiercią. W przejmującej historii małego Stefana autor daje wyraz swemu przekonaniu o niezniszczalności najlepszych cech natury ludzkiej nawet w najbardziej nieludzkich - warunkach.

Bruno Apitz

„Nadzy wśród wilków”

Drzewa na szczycie Ettersbergu ociekały wilgocią i wrastały nieruchomo w milczenie okalające górę i izolujące ją od okolicy. Opadłe, wyniszczone przez zimę listowie butwiało na ziemi, pobłyskując wilgocią.

Wiosna docierała tutaj, jak gdyby ociągając się. Wydawało się, że ostrzegają ją tabliczki umieszczone między drzewami: „Teren podlegający komendanturze obozu koncentracyjnego Buchenwald, uwaga, groźba śmierci! W wypadku przekroczenia strefy strzela się bez uprzedzenia!” Pod tym napisem - jako symbole - czaszka i skrzyżowane piszczele.

Wieczny deszcz, nasiąkły mgłą, lepił się również do płaszczy pięćdziesięciu SS-manów, którzy tego marcowego popołudnia 1945 roku stali na chronionej daszkiem, betonowej platformie. Platforma ta, zwana stacją Buchenwald, stanowiła zakończenie szyn kolejowych wiodących od Weimaru na szczyt góry. W pobliżu znajdował się obóz.

Na obszernym, opadającym ku północy placu apelowym ustawili się więźniowie na apel wieczorny. Blok przy bloku, Niemcy, Rosjanie, Polacy, Francuzi, Żydzi, Holendrzy, Austriacy, Czesi, badacze Pisma świętego, kryminaliści... nieprzejrzały tłum ustawiony w dokładnie wyrównany kwadrat.

Przez szeregi więźniów przebiegał tajemniczy szept. Ktoś tam przeniósł do lagru wiadomość, że Amerykanie przekroczyli Ren koło Remagen...

- Słyszałeś już o tym? - zapytał Runki stojącego obok niego w pierwszym szeregu bloku 38 Herberta Bochowa. Bochow skinął głową. - Podobno utworzyli przyczółek.

Stojący w drugim rzędzie za nimi Schupp wtrącił się:

- Remagen? To jeszcze daleko.

Nie otrzymał odpowiedzi. Z namysłem popatrzył na kark Bochowa. Na poczciwej, wiecznie zdumionej twarzy elektryka obozowego Schiippa - usta miał złożone w ciup, a oczy patrzyły zza okrągłych okularów w czarnej oprawie - malowało się podniecenie. Również inni więźniowie tego bloku szeptali między sobą, dopóki przyciszonych rozmów nie przerwał Runki sykiem: - Uwaga! - Blocfuhrerzy, SS mani niższych stopni, zbliżali się z góry i szli na poszczególne podlegające im bloki. Szept zamarł, a podniecenie skryło się za skamieniałymi twarzami.

Remagen!

To było naprawdę jeszcze daleko od Turyngii.

A jednak front na zachodzie ruszył w związku z decydującą zimową ofensywą Armii Czerwonej, która poprzez Polskę wtargnęła do Niemiec.

Nic w twarzach więźniów nie wyrażało, jak bardzo ich ta wiadomość poruszyła.

Milcząco stali na Yordermann i Seitenrichtung, wzrokiem śledząc blockführerów, którzy przechodząc wzdłuż bloków liczyli więźniów. Spokojnie, jak co dzień.

Na górze przy bramie lageraltester Kramer oddał listę ze stanem ogólnym rapportführerowi i zgodnie z przepisem stanął osobno - przed ogromnym kwadratem. Również jego twarz była nieprzenikniona, chociaż myślał o tym samym, co dziesiątki tysięcy towarzyszy stojących za nim.

Dawno już poszczególni blockführerzy wręczyli swoje meldunki rapportführerowi Reinebothowi i ustawili się w luźnym szeregu przy bramie. Mimo to minęła jeszcze godzina, zanim liczby ostatecznie się zgodziły. Wreszcie Reineboth przystąpił do mikrofonu: "Gotowe - baczność!"

Równanie w przód i w bok. (Wszystkie objaśnienia w książce pochodzą od tłumacza.)

Ogromny kwadrat znieruchomiał.

„Czapki - zdjąć!”

Jednym ruchem zerwali więźniowie brudne czapki z głów. Przy kutej w żelazie bramie stał Kluttig, drugi lagerführer, i przyjmował meldunek od Reinebotha.

Opieszale podniósł prawe ramię.

Od lat tak było.

Nowina jednakże nie dawała Schuppowi spokoju. Nie potrafił milczeć; zasyczał kątem ust wprost w kark Bochowa: - Ci na górze będą niedługo mieli pełne portki... Bochow ukrył uśmiech w zmarszczkach nieruchomej twarzy. Reineboth znów przystąpił do mikrofonu. "Czapki - włóż!"

Jeden ruch. Brudne łachy spadały z rozmachem na głowy, byle jak, krzywo, do przodu, do tyłu, na bok - i więźniowie upodobnili się do komediantów. Ponieważ wojskowy dryl dawał tu komiczny efekt, Reineboth przywykł rzucać w mikrofon rozkaz: „Poprawić!”

Dziesiątki tysięcy rąk poprawiało czapki. "Dość!"

Znów jedno uderzenie dłoni o szew spodni. Teraz czapki musiały znajdować się już dokładnie na właściwym miejscu. Kwadrat stał nieruchomo.

SS celowo wobec więźniów ignorowała jak gdyby fakt trwania wojny. Tutaj dzień po dniu mijał, a czas jak gdyby stanął w miejscu. Ale podskórnym, pod pokrywą monotonii rwał strumień. Dopiero przed paroma dniami Kołobrzeg i Grudziądz "w bohaterskim boju uległy przemocy wroga..."

Armia Czerwona!

„Sforsowanie Renu pod Remagen..." Alianci!

Obcegi zaciskają się coraz bardziej!

Reineboth miał jeszcze coś do zakomunikowania: „Więźniowie z Bekleidungskammer do Bekleidungskammer! Fryzjerzy blokowi do łaźni!”

Rozkaz ten nie był nowiną dla więźniów. Znow, jak tylekroć w ostatnich miesiącach, przybył do obozu nowy transport. Na wschodzie ewakuowano obozy koncentracyjne Oświęcim, Majdanek... Przepelniony Buchenwald musiał ich jednak przyjąć. Jak rtęć w termometrze narastała liczba przybywających niemal co dzień. Gdzie tych ludzi podziać? Aby gdzieś pomieścić cugangi, trzeba było ustawić prowizoryczne baraki na odległym zboczu obozu. Tysiące upychano w byłych stajniach. Podwójny pas drutu kolczastego wokół tych stajni i to, co te druty otaczały, nazywało się odtąd Małym Lagrem.

Obóz w obozie, odosobniony i rządzący się własnymi prawami. Gnieździli się tu ludzie wszystkich europejskich narodowości, ludzie, o których nikt nie wiedział, gdzie niegdyś był ich dom, ludzie, których myśli nikt nie potrafił odgadnąć, ludzie, którzy mówili językami rozumianymi przez mało kogo. Ludzie bez nazwisk i twarzy.

Spośród tych, którzy wyruszyli z innych obozów, połowa zmarła lub została rozstrzelana w marszu przez SS-mańską eskortę. Zwłoki ich pozostawały na drogach. Listy transportowe nie odpowiadały już konkretnym cyfrom, pomieszały się numery więźniarskie, zapanował bałagan. Kto należał do żywych, a kto do umarłych? Kto wiedział cokolwiek o nazwiskach i pochodzeniu tych ludzi?

„Rozejść się!”

Reineboth wyłączył mikrofon. Olbrzymi kwadrat ożył. Blokowi dawali komendy. Blok za blokiem odchodził. Wielki tłum ludzki rozplątał się w dół placu apelowego w kierunku baraków. Na górze blockführerzy znikali za bramą.

W tym samym czasie wtaczał się na stację pociąg towarowy z nowym transportem. Zanim zdążył się zatrzymać, kilku SS-manów zaczęło biec wzdłuż wagonów, ściągając karabiny z ramion. Odsunęli rygle i rozsuwali drzwi wagonów. {Obozowy magazyn odzieżowy.

Nowo przybyli więźniowie - niem. Zugang }.

- Wyłazić, brudne świnię! Wyłaźże, wyłaź!

Więźniowie stali ściśnięci, ramię przy ramieniu, w cuchnącej ciasnocie wagonów. Nagły przypływ tlenu odurzył ich. Wśród wrzasku SS-manów przepychali się teraz przez wyjścia, padając jeden na drugiego i przewracając się. Pozostali SS-mani zegnali ich w nieforemną kupę. Wagony, jak pękające wrzody, wyrzucały swą zawartość.

Jako jeden z ostatnich wyskoczył z wagonu polski Żyd, Zachariasz Jankowski. SS-man trzepnął go kolbą karabinu po ręce, gdy próbował ciągnąć za sobą walizkę.

- Żydowska świnię, przeklęta!

Jankowskiemu udało się złapać walizkę, którą. SS-man cisnął w niego wściekle.

- Chowasz tam chyba ukradzione diamenty, ty świnię?

Jankowski, taskając za sobą walizkę, schronił się w środek ludzkiego tłumu.

SS-mani wdrapali się do wagonów i zaczęli wymiatać resztę przy pomocy kolb. Chorych i wycieńczonych zrzucali jak worki. Pozostali tylko martwi, których podczas długiej jazdy układano w opróżnionym z trudem kącie. Jeden z trupów w pozycji na wpół siedzącej śmiał się.

W każdym prawie bloku wisiały na ścianach lub przy stole blokowego, zazwyczaj doświadczonoego długoletniego więźnia, mapy. Wycinano je z gazet wówczas, kiedy to faszystowskie hordy maszerowały przez Mińsk, Smoleńsk, Wiaźmę w kierunku Moskwy, a później przez Odessę i Rostów na Stalingrad.

Blockfiihrerzy - wredni, lubujący się w biciu SS-mani - tolerowali wywieszanie map, a niekiedy nawet, gdy byli w dobrym humorze i słycać było zwycięskie fanfary, przytkali zarozumiale palcem w rosyjskie miasta, mówiąc:

- No, a gdzież ta wasza Armia Czerwona?

To było dawno temu.

Teraz pobieżnie rzucali okiem na mapy. Nie zauważali też linii przeciągniętych na nich przez więźniów. Grube i cienkie, niebieskie, czerwone i czarne kreski.

Nazwy dawnych pól bitewnych dotykane tysiące razy przez tysiące palców zamieniły się na cienkim papierze gazetowym w czarne, brudne kleksy. Homel, Kijów, Charków...

Kto się tym jeszcze interesował?

Teraz szło o Kostrzyn, Szczecin, Grudziądz, o Dusseldorf i Kolonię. Ale i te nazwy zamieniły się już w niewyraźne plamy. Jakże często notowano tu, skreślano, wycierano i znów pisano na nowo, aż nic już więcej nie można było odczytać.

Tysiące razy tysiące palców wodziło wzdłuż frontów, zamazywało je i - ścierało. Niepowstrzymanie zbliżał się koniec!

Również teraz, gdy ciche w ciągu dnia bloki napełniły się gwarem napływających więźniów, całe ich grona wisiały przy mapach.

Na bloku 38 Schiipp przepychał się przez grupę, która studiowała mapę na stole Runkiego.

- Remagen! O, to tu, między Koblencją a Bonn. Ktoś zapytał:

- Ile to jeszcze kilometrów do Weimaru?

Schiipp uniósł zdumioną twarz, błysnął oczyma i pogrążył się w myślach: "Gdyby oni kiedyś doszli..."

Palce wodziły wzdłuż przyszłej drogi: Eisenach, Langensalza, Gotha, Erfurt...

Myśl Schiippa jak gdyby utknęła. "Jak dojdą do Erfurtu, to będą też w Buchenwaldzie. Kiedy? W ciągu dni? Tygodni? Miesiący?"

- Przede wszystkim odczekać. Widzę czarno. Co ty myślisz, że ci tam z góry zostawią nas Amerykanom? Przedtem nas wszystkich wykończą.

- Nie sraj w portki! - ofuknął Schiipp sceptyka. Przez grupę nerwowo przepychał się sztabowy:

- Może byście zechcieli łaskawie przynieść wasze miski do żarcia?

Drewniaki stukały, miski brzęczały.

SS-mani ustawili tłum w ordynku marszowym. Dzika horda wprawiała w ruch chwiejny i potykający się tłum, eskortując go do obozu.

Jankowskiemu udało się wcisnąć w środek maszerujących, dzięki czemu uniknął ciosów SS-manów. Nikt w marszu nie troszczył się o swego sąsiada. Każdy przejęty był własną troską, strachem przed niewiadomym, które go oczekiwało. Chorych i wynędzniałych ciągnięto za sobą z przyzwyczajenia, siłą zwierzęcego instynktu samozachowawczego. Tak sunął pochód po drodze cugangów, a potem poprzez bramę do lagru.

Zdrętwiała od uderzenia dłoń Jankowskiego zwisała jak coś obcego i wrogiego, bolała potwornie. Jednakże uwaga, jaką musiał poświęcić walizce, powodowała, że niemal nie czuł tego bólu. Chodziło o to, aby za wszelką cenę bezpiecznie przenieść walizkę przez bramę nowego lagru.

Jankowski uważnie rozejrzał się na wszystkie strony.

Stojąc w tłumie pozwolił się przepchnąć przez wąską bramę. Nauczony doświadczeniem, potrafił się tak zręcznie ukryć, że udało mu się prześliznąć bez zwrócenia na siebie uwagi SS-manów.

Był to w ogóle cud, że udało mu się tutaj dobrnąć z walizką. Drżał na samą myśl o tym i odganiał myśli, by nie uroczyć cudu. Wierzył tylko gorąco i żarliwie w jedno; litościwy Bóg nie dopuści chyba do tego, by walizka dostała się w ręce SS.

Na placu apelowym tłum uszeregował się ponownie. Ostatnie resztki sił zużył Jankowski, aby stosunkowo pewnym krokiem przemaszerować w pochodzie przez obóz. Byle się tylko nie potknąć i nie słać, bo to podpada. W skroniach mu syczało i huczało, ale jakoś przetrzymał. I spostrzegł z ulgą, że tym razem pochód prowadzili więźniowie.

Gdy dotarli na miejsce, na placu między wysokimi kamiennymi budynkami siedzieli już w długim szeregu fryzjerzy na przyniesionych z bloku taboretach. Panował tu wielki bałagan. Nowo przybyli musieli się rozebrać, by pójść do łaźni. Nie szło to zbyt sprawnie, ponieważ jakiś schurfihrer wrzeszczał i szalał wśród cugangów, płosząc ich jak kury.

Gdy wreszcie nastąpił spokój i schurfihrer zniknął w łaźni, Jankowski opadł wyczerpany na kamienistą ziemię. Kłujący ból w dłoni zamienił się w tępe pulsowanie. Jankowski siedział przez dłuższą chwilę z opuszczoną głową i podskoczył dopiero, gdy ktoś nim mocno potrząsnął. Stał przed nim jeden z więźniów, którzy eskortowali pochód. Był z lagerschutzu. Powiedział po polsku:

- Ty, nie śpij!

Jankowski podniósł się niepewnie.

Większość stała już nago. Nędzne postacie, które wyłoniły się ze zdartych łachów, stały przed fryzjerami, drżąc z zimna na siąpiącym deszczu. Maszynkami strzyżono im włosy.

Jankowski próbował zdrową ręką ściągnąć z siebie lichą odzież. Polak z lagerschutzu pomógł mu przy tym.

Dwóch więźniów kręciło się wśród cugangów i przeszukiwało odłożone na bok rzeczy, podnosząc od czasu do czasu worek albo zasznurowaną paczkę. Jankowski przestraszył się.

- Czego oni szukają?

Więzień z lagerschutzu spojrzał na tę dwójkę i roześmiał się dobrodusznie.

- To Hófel i Pippig z Effektenkammer. Skinął uspokajająco, wskazując na walizkę.

- Tu nikt nic ci nie buchnie. Idź już, bracie, i daj się ostrzyc.

Balansując boso po ostrym żwirze, Jankowski skierował się w stronę fryzjerów.

Przed wejściem do łaźni scharfihrer spowodował na nowo tłok i wrzask, pchając cugangów do wielkiej drewnianej kadzi.

Porządkowa służba więźniarska, utworzona przez SS. Magazyn cywilnej odzieży więźniów.

Pięciu, sześciu naraz. Musieli się tam zanurzyć w śmierdzącej na skutek wielokrotnego używania kąpieli ługowej.

- Głowy zanurzyć, śmierdzenie!

Grubą pałką walił po ostrzyżonych na zero głowach, które zniknęły natychmiast w pomyjach.

- Znów się zalał - szepnął mały, nieco krzywonogi Pippig, niegdyś drezdeński zecer.

Hófel nie zareagował na tę uwagę. Dotknął butem walizy Jankowskiego:

- Chciałbym wiedzieć, co oni tu przytaskali...

Ale gdy tylko Pippig pochylił się nad walizką, podbiegł Jankowski. Z twarzy jego wycierał strach. Mówił coś gwałtownie, ale oni nie rozumieli Polaka.

- Kto ty jesteś? - zapytał Hófel. - Name, Name? To chyba Polak zrozumiał.

- Jankowski Zachariasz. Warszawa.

- Czy to twoja walizka?

- Tak, tak.

- Co tam masz w środku?

Jankowski mówił, gestykulował i kurczowo trzymał walizkę.

Scharfihrer wyskoczył z łaźni, poganiając ludzi przekleństwami. Aby nie podpaść, Hófel popchnął Polaka z powrotem w szereg nagusów. Jankowski wleciał prosto w ręce scharfuhrera. Ten chwycił go za ramię i zataskał do łaźni. Tak więc znalazł się Jankowski w kadzi, a następnie został wepchnięty przez bojaźliwie tłoczących się więźniów do kąpieli.

Wilgotne ciepło działało dobroczynnie na jego przemarznięte ciało, a pod tuszem odczuł Jankowski błogą bezwolność. Naprężenie i strach rozplynęły się, a skóra łapczywie wchłaniała ciepło.

Pippig zaciekawiony przykucnął i otworzył walizkę.

Natychmiast jednak zatrzasnął wieko i spojrzał przerażony na Hofla.

- O co chodzi?

Pippig otworzył znów walizkę, ale tylko na tyle, by pochylony Hófel mógł zajrzeć do środka.

- Człowieku, zamykaj! - syknął Hófel. Wyprostował się gwałtownie i rozejrzał bojaźliwie za scharfthrerem. SS-man był w łaźni.

- Jeśli oni na to wpadną... - szeptał Pippig. Hófel niecierpliwie zamachał rękami.

- Zabierać! Schować! Raz, dwa!

Pippig, jak złodziej, rzucił okiem na łaźnię, a gdy upewnił się, że nie jest obserwowany, pobiegł szybko z walizką w stronę pobliskiego budynku i zniknął w jego wnętrzu.

Leonid Bogorski kręcił się po łaźni między prysznicami i oglądał cugangów. Miał na sobie tylko cienkie drelichowe spodnie i drewniane sandały na nogach. Atletyczny korpus lśnił od wody. Gdy nadchodziły cugangi, ten Rosjanin, kapo albo vorarbeiter Badekommando, najchętniej trzymał się z tyłu; tutaj nie docierał scharfihrer, który zwykle zabawiał się przy kadzi.

Tu, wśród ciepłego szumu wody, przerażeni, zastraszeni ludzie po raz pierwszy od chwili przybycia do obozu odzyskiwali spokój. Jak gdyby woda splukiwała z nich całe zmęczenie, wszystek strach i przeżyte okropności. Bogorski znał dobrze tego rodzaju przeżycia. Był jeszcze młody, miał wszystkiego trzydzieści pięć lat. Oficer lotnik. O tym faszyci nie wiedzieli. Dla nich był jeńcem rosyjskim, podobnym do wielu innych dostarczonych do Buchenwaldu z obozu jeńców. Bogorski robił wszystko, by zachować anonimowość. Należał do Międzynarodowego Komitetu Obozowego, tak zwanego MKO, bardzo zakonspirowanego, o którego istnieniu poza niewielu wtajemniczonymi nie wiedział żaden więzień, nie mówiąc już oczywiście o SS-manach.

Bogorski kręcił się cicho między prysznicami. Jego uśmiech wystarczył, by wywołać u przybyszów nikłe uczucie bezpieczeństwa. Zatrzymał się przy Jankowskim, obserwując tego niepozornego mężczyznę, który z zamkniętymi oczyma poddawał się ciepłemu strumieniowi.

„Gdzie on teraz może właściwie być?” - pomyślał Bogorski, uśmiechnął się łagodnie i zapytał potem doskonałą polszczyzną:

Przodownik komanda łaźni.

- Jak długo byliście w drodze?

Jankowski, wyrwany nagle z sennych widziadeł, otworzył przestraszone oczy.

- Trzy tygodnie - odpowiedział odwzajemniając uśmiech. Aczkolwiek wiedział z doświadczenia, że milczenie jest najlepszą ochroną, tym bardziej w nowym, nie znanym jeszcze otoczeniu, Jankowski poczuł nagłą potrzebę otworzenia serca.

Gorączkowo, niespokojnie wodząc oczami, opowiadał o marszu do Buchenwaldu. Mówił o okropnościach ewakuacji. Tygodniami całymi ślaniali się po szosach, głodni, słabi, bez przerwy i odpoczynku. Nocami spędzano ich na pola do kupy, znużeni padali w śnieg na zmarznięte na kamień skiby ziemi, przyciskając się jeden do drugiego, by ochronić się przed nocnymi przymrozkami. Iluż nazajutrz rano nie wstawało do dalszego marszu! Oddziały eskortujących SS-manów przechodziły wówczas wzdłuż pola i dobijały dogorywających. Chłopi znajdowali trupy i grzebali je na polach. A iluż padło w czasie drogi! Jakże często terkotały karabiny. Zawsze, gdy zaczynała się strzelanina, gnano pochód biegiem.

- Biegiem, świnie! Biegiem! Biegiem! Gdy Jankowski zamilkł, bo nie miał już nic więcej do powiedzenia, Bogorski zapytał:

- Ilu was wyszło z Oświęcimia?

- Chyba ze 3000... - padła cicha odpowiedź Jankowskiego.

Na jego twarzy pojawił się uległy uśmiech. Chciał jeszcze coś powiedzieć. Czuł potrzebę powierzenia komuś w tym obcym lagrze tajemnicy swojej walizki. Ale w tej chwili właśnie scharführer kazał zamknąć tusz i popędził nową grupę do kąpieli.

Jankowski powlókł się w mokry chłód.

Walizka zniknęła.

Hófel, który czekał na Polaka, zamknął mu natychmiast dłonią usta i szepnął:

- Mordę na kłódkę! Wszystko w porządku! Jankowski zrozumiał, że ma się zachowywać spokojnie, i patrzył na Niemca. Ten nalegał:

- Bierz swoje łachy i zwiewaj!

Hófel zarzucił Jankowskiemu ubranie na ramię i pchnął go niecierpliwie w szeregi tych, którzy po kąpieli szli do Bekleidungs-kammer, by zamienić brudną odzież na czystą.

Jankowski gorączkowo mówił coś do Niemca. Choć Hófel nie rozumiał Polaka, z nawału słów wyczuł strach. Poklepał go uspokajająco po ramieniu:

- Ja, ja, ja! Już dobrze! Idź już, idź!

Wepchnięty w szereg Jankowski musiał pójść do Bekleidungskammer.

- Nix boses? Gar nix boses? Hófel skinął, by już szedł.

- Nix boses, gar nix boses...

Pippig wbiegł po schodach do Effektenkammer, jak chłopak uszczęśliwiony otrzymanym podarunkiem.

O tej późnej popołudniowej godzinie nie było już więźniów w długim magazynie odzieżowym, w którym wisiały tysiące worków z cywilnymi ubraniami więźniów. Tylko August Rosę stał przy długim w poprzek ustawionym stole i grzebał w jakichś papierach.

Spojrzał zdumiony na skradającego się Pippiga.

- Coś tam przytaskał?

Pippig zbył pytanie niecierpliwym gestem.

- Gdzie Zweiling?

Rosę wskazał palcem na pokój hauptscharführera.

- Uważaj! - powiedział Pippig gwałtownie i zniknął w ciemnym kącie mrocznego magazynu. Rosę patrzył za nim, obserwując jednocześnie siedzącego w swoim pokoju hauptscharführera, którego widział przez dużą szybę w drzwiach.

Zweiling siedział przy biurku nad otwartą gazetą, z głową Gwarowo: Nic złego? Zupelnie nic? opartą na rękach. Wyglądało, jak gdyby spał. Ale ten chudy, wysoki mężczyzna nie spał - myślał. Ostatnie meldunki z frontu niepokoiły go.

Pippig wynurzył się z kąta, gestem nakazał Rosemu spokój, otworzył hałaśliwie drzwi do kancelarii, mieszczącej się obok pokoju Zweilinga, i zawołał nienaturalnie głośno:

- Marian, złaż na dół, będziesz tłumaczył.

Zweiling zerwał się. Zobaczył, jak przywołany Polak odchodzi z Pippigiem.

Pippig dał Kropińskiemu cynk i obaj powlekli się w głąb. Zniknęli w najdalszym kącie magazynu za górą worków z odzieżą. Tu stała walizka.

Pippig, podniecony i żywy jak rtęć, rozejrzał się wokół stosu odzieży, zatarł ręce i wyszczerzył zęby do Kropińskiego, co miało oznaczać: "Teraz uważaj, co przytaskałem..." Potem otworzył zamki i podniósł wieko walizy. Z dumą wsadził łapy do kieszeni i raczył się udaną niespodzianką.

W walizce leżało, przycisnąwszy rączki do twarzy, otulone w łachmany - dziecko. Chłopiec, mający najwyżej trzy lata.

Kropiński przykucnął i popatrzył na dziecko. Leżało bez ruchu. Pippig pogłaskał delikatnie małe ciało.

- Kizia... przyleciała do nas.

Chciał chwycić chłopca za ramię, ale dziecko jak gdyby stawiało opór. Wreszcie Kropiński zdołał coś wykrztusić:

- Biedactwo - powiedział po polsku - skąd się tu wzięłeś? - Na dźwięk polskiej mowy dziecko podniosło główkę, jak owad wysuwający macki. Małeńki, pierwszy znak życia niesłychanie poruszył dwóch mężczyzn wpatrujących się z zachwytem w oczy dziecka. Szczupła twarzyczka nosiła na sobie piętno powagi dorosłego człowieka, a oczy miały zupełnie nie dziecięcy blask. Dziecko przyglądało się mężczyznom w niemym oczekiwaniu. Ledwo wazyli się oddychać.

Rosę nie potrafił dłużej powstrzymać ciekawości. Po cichu przemknął się do kąta i stanął tuż przed tamtymi.

- Co to ma znaczyć?

Przerażony Pippig odwrócił się gwałtownie i syknął na zdumionego Rosego:

- Czyś ty zwariował? Po coś tu przyszedł? Wal z powrotem! Chcesz, żeby Zweiling spadł nam na kark? Rosę machnął ręką lekceważąco:

- Kontempluje...

Pochylił się ciekawie nad dzieckiem i powiedział:

- Ładną zabawkę sobie sprawiłeś.

Przed długą ladą stało kilku cugangów chcących oddać jakieś drobiazgi, obrączkę czy pęk kluczy.

Więźniowie z komanda chowali rzeczy do toreb, a Hófel jako kapo dozorował.

Obok niego stał Zweiling i przyglądał się. Jego wiecznie na wpół otwarte usta nadawały i tak pozbawionej wyrazu twarzy szczególnie bezmyślny wygląd.

Te buble nie interesowały go, odszedł od stołu. Wzrok Hófla powędrował za SS-manem, który ze swą niedbałą postawą i chudą figurą wyglądał jak zakrzywiony gwóźdź. Zweiling skierował się z powrotem do swego pokoju.

Cugangów wkrótce załatwiono i Hófel mógł wreszcie pomyśleć o dziecku. Rosę, który wyszedł z kąta, powstrzymał go jednak.

- Jeśli szukasz Pippiga... - płonąc z ciekawości wskazał za siebie. Hófel odpowiedział krótko:

- Jestem zorientowany. Na ten temat żadnej gadaniny. Zrozumiałeś? - Rosę obruszył się.

- Czy ja jestem kapuś?

Obrażony popatrzył za Hóflem. Zwróciło to uwagę innych więźniów, którzy zaczęli wypytywać, ale Rosę nie odpowiadał. Z tajemniczym uśmieszkiem poszedł do kancelarii.

Dzieciak siedział wyprostowany w walizce, a Kropiński, klęcząc przed nim, usiłował nakłonić go do mówienia.

- Jak się nazywasz? Powiesz mi? Gdzie jest tata? Gdzie jest mama? Podszedł Hófel. Pippig szepnął bezradnie:

- Co zrobimy z tym fantem? Jak go znajdą, zabiją.

Hófel ukląkł i spojrzał badawczo w twarz dziecka.

- Ono nie mówić - wyjaśnił łamaną niemczyzną zrozpaczony Kropiński.

Dziecko zdawało się zaniepokojone przybyciem obcego mężczyzny, szarpało złachmanioną bluzę, ale jego twarzyczka pozostała dziwnie nieruchoma, widocznie nie umiało płakać.

Hófel przytrzymał nerwową rączkę.

- Kto ty jesteś, mały?

Dzieciak poruszył wargami i przełknął ślinę.

- Głodny jest - domyślił się nagle Pippig. - Przyniosę mu coś.

Hófel podniósł się i odetchnął głęboko. Cała trójka popatrzyła na niego bezradnie. Hófel zsunął niespokojnie czapkę na tył głowy.

- Tak, tak, oczywiście...

Pippig przyjął to jako potwierdzenie swych zamiarów i chciał odejść. Ale bezsensowne słowa Hófla oznaczały tylko próbę wyrażenia czegoś i uporządkowania

chaotycznych myśli. Co miało się stać z dzieckiem? Gdzie je podziąć? Tymczasem musi chyba tu pozostać. Hofel powstrzymał Pippiga i zastanawiał się, co począć dalej.

- Przygotuj mu jakieś posłanie - nakazał Kropińskiemu.

- Weź parę starych płaszczy, ułóż je tam w kącie i... - nagle przerwał. Pippig popatrzył na niego pytająco. Na twarzy Hófla zarysowało się nagle przerażenie.

- A jeżeli dzieciak zacznie krzyczeć...? Potarł dłonią czoło.

- Małe dzieci krzyczą, kiedy się boją... Psiakrew... - Popatrzył na dziecko. - A może... może... to nie umie wcale krzyczeć...? - Chwytał dziecko za ramionka i potrząsał nim delikatnie. - Nie wolno ci krzyczeć, słyszysz? Bo przyjdzie SS. - Nagle twarz dziecka straszliwie się zmieniła. Chłopak wyrwał się i rzucił z powrotem do walizki. Skulił się chowając twarz w rączkach.

- Wie, o co chodzi - jęknął Pippig.

Chcąc przekonać się, że tak jest istotnie, zamknął wieko. Nadsluchiwali. W walizce była cisza.

- No, jasne - powtórzył Pippig - wie, o co chodzi.

Otworzył znów walizkę, ale dzieciak trwał nieporuszony.

Kropiński podniósł go, dziecko zwisło mu na rękach jak skurczony owad. Wszyscy, niezwykle wstrząśnięci, wpatrywali się w tę dziwną istotkę.

Hofel odebrał dziecko Kropińskiemu i począł je oglądać ze wszystkich stron. Z podkulonymi nóżkami i schyloną główką, z rączkami przyciśniętymi do buzi, dzieciak wyglądał jak dopiero co wyrwany z łona matki albo jak chrząszcz udający nieżywego. Poruszony do głębi Hofel oddał malca Kropińskiemu. Ten przycisnął go do siebie, szepcząc do ucha uspokajające polskie słowa.

- Na pewno będzie się zachowywał spokojnie - powiedział Hofel głucho. Zacisnął wargi. Znów trzech mężczyzn popatrzyli na siebie. Jeden oczekiwał od drugiego rozstrzygnięcia tego niezwykłego wypadku. Hofel pociągnął Pippiga za sobą, obawiając się, by ich nieobecność nie zwróciła uwagi Zweilinga.

- Chodź, musimy pokazać się w magazynie. - A do Kropińskiego: - Zostań, póki my nie odejdziemy.

Kropiński odłożył nieruchome zawiniątko do walizki, a ręce drżały mu, gdy przygotowywał legowisko z kilku płaszczy. Następnie delikatnie ułożył dzieciaka, przykrył go troskliwie i ostrożnie odciągnął rączki sprzed twarzązki. Zauważył przy tym lekki opór dziecka, którego oczy pozostały kurczowo zaciśnięte.

Gdy Pippig nieco później przekradł się do kąta z kawałkiem chleba i kawą, Kropińskiemu udało się przez ten czas na tyle uspokoić dziecko, że otworzyło znów oczy. Kropiński posadził je i podał aluminiową filiżankę. Pippig zaś zachęcająco wyciągnął kromkę chleba.

- Boi się - zauważył Pippig i wetknął mu chleb w dłoń.

- Jedz - skinął przyjaźnie.

- Powinieneś teraz jeść i spać i nic się nie bój - szeptał Kropiński. - Nasz dobry wujaszek Pippig będzie uważał i ja też, zabiorę cię potem do Polski - wskazał z uśmiechem na siebie. -

Tam mam taki mały domek. - Dzieciak spoglądał uważnie na Kropińskiego, na twarzy jego malowała się skupiona uwaga. Otworzył nieco usta. I zaraz szybko jak zwierzątko wypełznął znów pod płaszcz. Dwaj więźniowie przeczekali jeszcze chwilę. Kropiński ostrożnie uchylił płaszcz. Dzieciak leżąc na boku żuł chleb. Kropiński delikatnie przykrył go znów i we dwóch opuścili kąt, zastawiając wejście stosem worków. Nadsluchiwali. Zupełna cisza.

W przedniej części magazynu więźniowie zatrudnieni w komandzie zaczęli się już gromadzić do wieczornej kontroli. Effekten-kammer należała do "odkomenderowanych" komand, które wskutek przedłużonego czasu pracy nie brały udziału w ogólnym apelu. Odliczał ich kommandoführer, SS-man niższego stopnia, na miejscu pracy i meldował stan raportführerowi, który sprawdzał stan ogólny obozu. W tej chwili Zweiling wyszedł właśnie ze swego pokoju, toteż obaj wskoczyli szybko na swoje miejsce w szeregu. By zatuszować spóźnienie obu więźniów, Hofel warknął z udanym gniewem:

- A może trzeba wam wysłać specjalne zaproszenie? Staął na baczność przed Zweilingiem z czapką w dłoni i zameldował:

- Komando Effektenkammer, 20 więźniów, do apelu gotowi. - A następnie stanął wraz z innymi w szeregu.

Zweiling przeliczył szeregi.

Hofel stał naprężony i czujny. Z napięciem nadsluchiwał, co dzieje się w głębi. Czy mimo wszystko dziecko nie przestraszy się i nie będzie krzychało?

Po przeliczeniu Zweiling uczynił niedbały gest, który oznaczał: rozejść się. Szeregi rozluźniły się, więźniowie wrócili do swych zajęć. Tylko Hofel stał wciąż na miejscu, jak gdyby nie zauważył gestu Zweilinga.

- O co chodzi? - zapytał go SS-man swym bezbarwnym głosem.

Hofel jak gdyby się zbudził i przestraszył.

- Nic, hauptscharfuhrer.

Zweiling podszedł do stołu i podpisał meldunek o stanie liczbowym komanda.

- O czym pan teraz myślał? Miało to brzmieć uprzejmie.

- O niczym właściwie, hauptscharfijhrer. Zweiling wysunął na dolną wargę czubek języka, co czynił zawsze, kiedy się uśmiechał.

- Był pan już chyba myślami w domu, co? Hófel wzruszył ramionami:

- Jak to? - zapytał udając, że nie rozumie. Zweiling nie odpowiedział. Poszedł do swego pokoju z wielomówiącym uśmiechem na ustach. Wkrótce potem wyszedł, aby przekazać meldunek o stanie komanda. Miał na sobie brunatny skórzany płaszcz, co świadczyło, że dziś już nie wróci. Klucze od magazynu miał Hófel oddać po zakończeniu pracy wartownikowi przy bramie.

W kancelarii więźniowie stłoczyli się wokół Hofla, chcąc dowiedzieć się czegoś bliższego, bo Rosę już się wygadał. Hófel powiedział mu z tego powodu kilka ostrych słów. Ten bronił się.

Więźniowie dopytywali się o dziecko. Hófel uspokoił ich i powiedział, że dzieciak pozostanie u nich przez noc, a jutro rano zabierze się go stąd.

Więźniowie chcieli zobaczyć chłopca. Po cichu poszli do kąta, a Kropiński ostrożnie uniósł płaszcz. Wspinając się na palce, jeden przez drugiego, oglądali maleństwo. Leżało zwinięte w kłębek jak pędrak i spało. Przez twarze więźniów prześliznął się jak gdyby jasny promień. Tak dawno już nie widzieli dziecka. Wprawiło ich w zdumienie. Zupełnie prawdziwy mały człowieczek...

Hófel pozwolił im się napatrzeć. Kropiński był dumny ze swego nabytku. Gdy więźniowie na palcach opuścili kąt, delikatnie owinął płaszczem oddychający kłębuszek. Tego wieczora nie pracowali, siedzieli beczynnie w kancelarii lub na magazynowej ladzie i gadali. Cieszyli się, ale nikt z nich nie wiedział dlaczego właściwie. Najszczęśliwszy był Kropiński.

- To polskie dziecko - uśmiechał się raz po raz, wkładając w uśmiech całą swoją dumę.

Pippig zauważył, że Hófel go unika. Po zakończeniu pracy przysiadł się do niego, obserwując, jak tamten bez apetytu grzebie łyżką w zimnej już zupie. Hófel czuł wewnętrzny opór wobec nie wypowiedzianego pytania Pippiga. Wrzucił łyżkę do miski i wstał od stołu.

- Czy dziecko trzeba stąd zabrać?

Hófel gestem wskazał na niewłaściwość pytania, przecisnął się przez więźniów stłoczonych wokół stołu i wyszedł do umywalni, by opłukać miskę. Pippig poszedł za nim. Tutaj byli sami.

- Gdzie chcesz je podziąć?

Ta wieczna pytanina. Hófel ściągnął niechętnie brwi.

- Daj mi spokój!

Pippig milczał. Nie był przyzwyczajony do takiego tonu u Hófla. Hófel odczuł to i dlatego trochę w złości, trochę we własnej obronie napadł szorstko na Pippiga:

- Mam swoje powody. Jutro należy je stąd usunąć. Nie pytaj więcej.

I wyszedł z umywalni. Pippig pozostał. Co tego Hófla opętało?

Hófel szybko opuścił blok. Na dworze wciąż jeszcze padał przenikający ciało zimny kapuśniak. Hófel wzdrygnął się i zgarbił. Żałował, że tak szorstko potraktował Pippiga. Ale nie mógł przecież nawet temu przyzwoitemu chłopcu przyznać się, dlaczego odmawia odpowiedzi, nie mógł mu powierzyć swojej najgłębszej tajemnicy. Ani Pippig, ani nikt inny nie wiedział, że on, były feldfibel garnizonu Reichswehry w Berlinie i członek tamtejszej komórki partyjnej, był tutaj, w obozie, instruktorem wojskowym grup ruchu oporu. Nikt o tym nie wiedział.

Międzynarodowy Komitet Obozowy przekształcił się z biegiem czasu w rdzeń oporu. Początkowo zorganizowali się komuniści, tworząc przedstawicielstwo poszczególnych grup narodowościowych w Międzynarodowym Komitecie Obozowym. Chcieli w ten sposób wyrobić między tysiącami zegnanych tutaj ludzi załążek wspólnoty, doprowadzić do porozumienia poszczególnych narodowości i przy pomocy najlepszych z nich wzbudzić poczucie solidarności, którego początkowo bynajmniej nie było. Jedynie wśród niemieckich więźniów było kilka bloków, które zamieszkiwali również tak zwani BV-erzy. Wielu z nich stoczyło się dla osobistych korzyści do roli chętnych pomocników SS; trzymali z blockfjhrerami i kommandofuhrerami, stali się ich donosicielami i kapusiami. Również wśród więźniów politycznych na wszystkich blokach i wśród wszystkich narodowości znajdowały się niepewne elementy, dla których troska o własne życie była ważniejsza aniżeli dobro i bezpieczeństwo ogółu.

Bo nie każdy, kto nosił czerwony winkiel, był w istocie więźniem politycznym, to jest świadomym przeciwnikiem faszyzmu. Przecież nawet "malkontenci", podobnie jak i inne osoby, które z tych czy innych powodów nie spodobały się gestapo, otrzymywali w obozie czerwony winkiel więźniów politycznych. Tak więc w blokach politycznych można było znaleźć więźniów od "chwiejnych" charakterów po notorycznych przestępców, z których

niejeden powinien na dobrą sprawę nosić zielony winkiel zawodowych kryminalistów. Z początku nie istniało porozumienie między blokami Niemców a blokami cudzoziemców: Polaków, Rosjan, Francuzów, Holendrów, Czechów, Duńczyków, Norwegów, Austriaków - bądź to ze względu na różnice językowe, bądź też z powodu innych uprzedzeń. Towarzysze z MKO musieli przełamać wiele trudności, zanim udało się przewyciężyć nieufność więźniów obcokrajowców, którym niełatwo przychodziło dojrzeć w niemieckich współwięźniach towarzyszy. Konieczna była śmiała i zakonspirowana, a przeto niebezpieczna robota towarzyszy z MKO, by tysiącom wpoić poczucie wspólnoty i zdobyć ich zaufanie. We wszystkich blokach pozyskali sobie mężów zaufania i powoli MKO znajdował oparcie wśród więźniów, choć żaden z nich nie zdawał sobie sprawy z istnienia podziemnej organizacji. Nikt z towarzyszy z MKO nie zajmował w obozie eksponowanego stanowiska ani nie był zbyt znany wśród więźniów. Żyli skromnie, nie zwracając na siebie uwagi. Bogorski w łaźni, Kodiczek i Pribula jako fachowcy w baraku optyków, van Dalen jako zwyczajny flegler na rewirze, {BV-er - niem. Berufsverbrecher - zawodowy przestępca kryminalny}.

Riornand jako bardzo ceniony przez smakoszów francuski kucharz w kasynie SS, a Bochow jako podrzędny blokszrajber na bloku 38. Tutaj potrafił ten były komunistyczny poseł do Landstagu z Bremerhaven stworzyć sobie wygodną przystań dla pełnienia swego niebezpiecznego zadania. Jego umiejętność posługiwania się rondówką i ładnego kreślenia drukowanych liter uczyniła zeń wartościowy nabytek dla śmiesznie głupkowatego blockführera. Bochow musiał wypisywać dla niego całe tuziny przemądrych sentencji, jak na przykład: "Mój honor zwie się wierność" lub "Ein Volk, ein Reich, ein Führer". Unterscharführer sprzedawał tę twórczość znajomym, robiąc na tym niezły interesik. Nie przychodziło mu oczywiście na myśl, by jego zręczny szrajber mógł być czymś innym aniżeli "nieszkodliwym" więźniem.

Właśnie Bochow na jednym ze spotkań MKO zaproponował Andrć Hófla jako kandydata na instruktora wojskowego grup oporu.

„Znam go, to dobry kumpel, porozmawiam z nim”.

Przed rokiem, w taki sam deszczowy wieczór jak dziś, po wieczornym apelu Bochow spacerował z Hoflem po bezludnej części obozu. To, co miał mu do powiedzenia, nie mogło być przez nikogo słyszane. Pięćdziesięcioletni więzień człapał obok smukłego, o dziesięć lat młodszego Hófla, wepchnąwszy głęboko ręce w kieszenie. Dźwięczny, choć przyciszony głos Bochowa brzmiał w uszach Hófla. Bochow ważył zdanie po zdaniu, by powiedzieć tylko tyle, ile Hofel powinien wiedzieć. "Musimy się przygotować, Andre... na koniec... międzynarodowe grupy bojowe... rozumiesz?... broń..."

Hófel spojrział na niego zdumiony, ale Bochow przeciął możliwość pytań krótkim ruchem ręki: "O tym potem, nie teraz".

A gdy rozstawali się, powiedział jeszcze: "Nie wolno ci nigdy podpaść, nawet z najmniejszą sprawą, rozumiesz?"

Działo się to przed rokiem i do tego czasu wszystko było w porządku. Hofel dowiedział się o tym, o czym Bochow nie chciał wówczas z nim mówić - skąd brali broń. Broń białą wyrabiali potajemnie więźniowie w różnych warsztatach obozowych. Jeńcy rosyjscy zmuszani do pracy w weimarskich fabrykach broni produkowali granaty i przemycali je do obozu, a fachowcy zatrudnieni w szpitalu i na oddziale patologicznym obozu potrafili ze "zorganizowanych" chemikaliów zrobić materiał wybuchowy do granatów. O tym wszystkim Hófel już wiedział. Ucząc wieczorami kolegów z poszczególnych grup obchodzenia się z bronią, lubił zwłaszcza objaśniać działanie pistoletu typu Walter 7,65 mm. Pistolet ten skradziono zastępcy lagerfuhrera Kluttigowi przy okazji pijatyki w SS-Fiihrerheimie. Jeden z więźniów obsługujący SS-manów ukradł go pijakom według wszelkich prawideł sztuki. Sprawcy nigdy nie wykryto, bo nawet zaciekły wróg komunistów, Kluttig, nie dopuszczał myśli, by więzień mógł się na coś podobnego zdobyć. Podejrzewał jednego z kompanów popijawy. Jak lodowato spokojny i opanowany musiał być więzień, który po owej uczcie wracał ze swoim komandem więźniów-kelnerów do obozu i mijał na bramie SS-manów, mając przy sobie pistolet? Hófel czuł taki sam lodowaty spokój, gdy trzymał drogocenną broń w dłoni, gdy wyjmował ją ze skrytki i ukrywał na własnym ciele. Kiedy szedł na szkolenie przez obóz, kiedy mijał pozdrawiających go nieświadomych przyjaciół, mijał również niejednego SS-mana i wtedy czuł zimno metalu na ciele.

Ale dotychczas wszystko było w porządku.

Aż tu nagle małe dziecko w obozie. Przybyło tak samo potajemnie i w takich niebezpiecznych warunkach, jak ów Walter 7,65 mm. I o tym nie można było z nikim mówić. Jedynym był Bochow. Do bloku 38 Hófel miał tylko kilka kroków, mimo to droga wydawała mu się daleka. Jak gdyby ciężki głąz legł mu na piersi. Czy powinien był inaczej postąpić? Wdarła się drobna iskierka życia, szczątek z obozu śmierci. Czyż nie powinien tego maleństwa ustrzec, by nie zostało zdeptane?

Hófel zatrzymał się, wpatrzony w połyskujące od deszczu kamienie pod stopami. "Nic pewniejszego w świecie, że właśnie tak powinien postąpić. Wszędzie. Ale nie tu".

O tym teraz myślał.

Jak cień prześladowało Hófla przecucie niebezpieczeństwa wywołanego żarzeniem się tej groźnej iskierki w ukrytym zakątku lagru, ale odpychał je od siebie. Może Bochow mógłby pomóc?

Blok 38 był jednym z owych murowanych jednopiętrowych budynków, które po latach wzniesiono obok dawnych drewnianych baraków. Tak jak pozostałe bloki murowane, składał się z czterech pomieszczeń dziennych i sypialń. W tym, że kapo z Effektenkam-mer zjawił się na jednym z bloków, nie było nic nadzwyczajnego, toteż więźniowie nie zwrócili uwagi na wejście Hofla. Bochow siedział przy stole blokowego wypisując meldunek o stanie bloku na jutrzejszy poranny apel. Hófel przecisnął się przez zatłoczoną salę i podszedł do stołu Bochowa.

- Wyjdiesz ze mną na chwilę?

Bochow wstał bez słowa, narzucił płaszcz i obaj opuścili blok. Na dworze nie od razu rozpoczęli rozmowę. Dopiero kiedy dotarli do szerokiej drogi prowadzącej do rewiru, kręciło się na niej jeszcze sporo więźniów, Hófel zagaił:

- Muszę z tobą pogadać.

- Czy to takie ważne?

- Tak.

Rozmawiali cicho, nie zwracając na siebie uwagi.

- Jeden Polak, Zachariasz Jankowski, przywiózł dziecko...

- I to jest takie ważne?

- Dziecko jest u mnie w magazynie.

- Co? W jaki sposób?

- Ukryłem je u siebie.

Hófel w ciemnościach nie widział wyrazu twarzy Bochowa. Jakiś skulony od deszczu więzień, spieszący z rewiru, mijając potrącił ich.

- Człowieku, czyś ty zwariował? Hófel uniósł rękę.

- Pozwól, że ci wytłumaczę, Herbert...

- Nic nie chcę o tym wiedzieć.

- Ależ musisz wiedzieć - upierał się Hófel. Znał Bochowa, był zawsze twardy i nieugięty. Szli dalej, Hóflowi nagle zrobiło się gorąco. Zupełnie bez związku powiedział:

Mam w domu chłopaka, ma teraz dziesięć lat. Jeszcze go nie widziałem.

- Człóstkowość. Masz najsurowiej nakazane trzymać się z daleka od wszystkich spraw. Zapomniałeś o tym? Hófel bronił się:

- Jeżeli dzieciak wpadnie w sidła tych z góry, koniec. Przecież nie mogę go przytaskać do bramy:”Proszę bardzo, oto co znaleźliśmy w walizce”.

Doszli tak niemal do samego rewiru i wracali teraz tą samą drogą. Hófel wyczuł w postawie Dochowa surowość i napadł na niego z głębokim wyrzutem: - Herbert, człowieku, czy ty zupełnie nie masz serca?

- Nic, tylko czułościowość! - Bochow powiedział to nieostrożnie, głośno. Skarcił się sam za to w duchu i kontynuował już ciszej: - Nie mam serca? Tu nie chodzi o jedno dziecko, ale o 50 000 ludzi.

Hófel szedł milcząc obok niego, poruszony do głębi. Zarzut Bochowa pokrzyżował mu wszystko.

- Więc dobrze - powiedział - zaniosę jutro rano dzieciaka na bramę. - Bochow potrząsnął głową: - Chcesz popełnić jedno głupstwo po drugim?

Hófel zdenerwował się: - Albo ukryję dziecko, albo je oddam.

- Ale z ciebie strateg...

- Więc co mam zrobić? - Hófel wyciągnął ręce z kieszeni i rozłożył je bezradnie. Bochow nie chciał ulec zdenerwowaniu Hófla. By mu pomóc opanować się, powiedział rzeczowo i jakby trochę obojętnie:

- Słyszałem w szrajbsztubie, że idzie transport. Postaram się, żeby tego Polaka zabrali. Dasz mu dziecko, weźmie je ze sobą.

Ta surowa decyzja przestraszyła Hófla. Bochow zatrzymał się, podszedł do Hófla i zajrzał mu z bliska w oczy:

- Co poza tym?

Hófel oddychał ciężko. Bochow czuł, co się dzieje z tamtym. Przy konieczności wyboru decydowała waga obowiązku tutaj, w lagrze. Czyż Bochow, którego MKO uczynił odpowiedzialnym za grupy oporu, mógł dopuścić, aby z powodu dziecka instruktor wojskowy tych grup, a nawet same grupy znalazły się w niebezpieczeństwie? Albo nawet cały, z takim trudem zbudowany aparat? A w dodatku lagerschutz, na zewnątrz zupełnie legalna instytucja, w rzeczywistości jednak znakomity oddział wojskowy? Nigdy nie można wiedzieć, co może wyniknąć z najbardziej niewinnej sprawy. Dzieciak poruszy lawinę zniszczenia, która potoczy się i runie na wszystkich i wszystko. Te myśli nurtowały Bochowa, gdy tak stał przyglądając się Hóflowi. Odchodząc odwrócił się i jeszcze rzucił niemal ze smutkiem:

- Serce to czasem bardzo niebezpieczna rzecz. Ten Polak da sobie już jakoś radę z dzieckiem. Skoro przytaskał je aż tu, doprowadzi je i gdzie indziej.

Hófel wciąż milczał. Skręcili z drogi wiodącej do rewiru i stali teraz między barakami. Drżeli obaj z zimna na mżawce. W ciemnościach ledwie rysowały się ich postaci. Hófel wsunął ręce głęboko w kieszenie i marznąc skurczył ramiona. Nic nie wskazywało, że zamierza odejść. Bochow chwycił go za ramię i potrząsnął:

- Nie rób historii, Andre - powiedział ciepło. - Włóż do swojej budy, dam ci jeszcze znać. Rozeszli się.

Bochow popatrzył za Hóflem który odchodził znużonym krokiem. Bochow ogarniała żalność, sam nie wiedział, kogo dotyczyła - Hófla, dziecka czy też tego obcego Polaka, który nic nie wiedział, że w tej chwili ważył się jego los. Rozstrzygnęli więźniowie, równi jemu, którzy z uwagi na sytuację mieli nad nim władzę. Bochow odpędził te myśli. Tu trzeba działać prędko i bez wahań.

Krótko się zastanowił. Prędko, z powrotem na blok! Blokowi iRunki miał właśnie zanieść wypełniony meldunek o stanie bloku do lageraltestera na szrajbsztubę, gdy Bochow zatrzymał go u drzwi.

- Daj, Otto, sam zaniosę.

- Czy coś się stało? - zapytał Runki, który zwrócił uwagę na specjalną intonację w głosie Bochowa.

- Nic ważnego - odpowiedział tamten. Runki wiedział, że Bochow należy do kręgu starych więźniów, dla których słowa mają swoje znaczenie. O przynależności Bochowa do MKO i istnieniu organizacji w ogóle nie miał pojęcia. Wśród więźniów politycznych absolutnie przestrzegana zasada konspiracji była podstawą wzajemnego bezwzględnego zaufania. Nie istniała ciekawość, było tylko wymowne milczenie, milczenie, które wiedziało o wszystkim, co miało się stać w lagrze. Istniała surowa wewnętrzna dyscyplina i świadomość bezwzględnej wspólnoty, która nie pozostawiała miejsca dla nieprzemyślanych pytań na temat spraw, o których nie musiało się wiedzieć. Istniało zrozumiałe samo przez się podporządkowanie: służyć temu, co najważniejsze, przez milczenie. W ten sposób chronili się nawzajem i strzegli tajemnicy przed wykryciem. Krąg tych więźniów był wielki i rozprzestrzeniony po całym obozie. Wszędzie byli towarzysze, którzy ukrywali w sercu milczącą wiedzę. Partia, z którą się związali, była w obozie wraz z nimi, niewidoczna, nieuchwytna, wszechobecna. Oczywiście ujawniała się jednemu lub drugiemu towarzyszowi, ale zawsze tylko temu, który powinien ją być widzieć. Poza tym wszyscy byli podobni do siebie, w brudnych łachmanach z czerwonym winklem, numerem na piersi i ogolonym na zero łbem... Tak więc i Runki nie pytał zbyt wiele, gdy Bochow odebrał mu meldunek o stanie bloku.

W pokoju obok szrajbsztuby, który zajmowali obydwaj lageral-testerzy, Kramer i Proll, ustał już wieczorny ruch. Próll, drugi lageraltester, miał jeszcze coś do roboty w szrajbsztubie. Poza Kramerem, pierwszym lageraltesterem, który obliczał na podstawie poszczególnych meldunków blokowych ogólny stan lagru na jutrzejszy apel poranny, zabałaganilo się tu jeszcze po oddaniu meldunków kilku blokowych i blokszrajberów. Bochow wszedł do środka. Lageraltester poznał po jego zachowaniu - Bochow nie oddawał mu jeszcze meldunku - że szrajber blokowy z 38 ma coś na sercu. Również Kramer należał do kręgu wiedzących i milczących. Mianowanie go lageraltesterem zostało przeforsowane przez towarzyszy z MKO! Na to ważne stanowisko zajmowane poprzednio przez protegowanego Kluttiga - zbrodniarza, który wykorzystywał je dla własnych korzyści i dlatego został usunięty - musiał przyjść niezawodny towarzysz. Członkowie MKO zaproponowali blokowego Waltera Kramera. Wykorzystując zęcnie animozje między Kluttigiem a komendantem lagru Schwahlem udało się towarzyszom z MKO "zrobić" Kramera lageraltesterem. Zadanie powierzono zaufanemu więźniowi, fryzjerowi komendanta, który co rano obsługiwał Schwahla. O ile Kluttig forsował na funkcje więźniarskie elementy kryminalne, Schwahl wołał na tych [stanowiskach więźniów politycznych, wierząc w ich inteligencję lojalność. W całym lagrze znane były wieczne niesnaski między Kluttigiem a Schwahlem z powodu odmiennych poglądów - to-eż Schwahl bez oporów zgodził się na kandydaturę więźnia politycznego, którego mu zaproponował fryzjer. Choćby po to, żeby zrobić na złość Kluttigowi. W ten sposób Kramer został oficjalnie mianowany lageraltesterem przez komendanta. Kramer, który sam nie należał do MKO, stał się w wyniku swojej funkcji soczewką skupiającą wydarzenia obozowe. Wszystko, co działo się w lagrze, koncentrowało się wokół jego osoby. Rozkazy otrzymywał od Schwahla, lagerfuhrerów i rapportfuhrerów. Rozkazy musiały być wykonane. Zawsze jednak w taki sposób, by życie i bezpieczeństwo więźniów było jak najmniej zagrożone. Wymagało to często mądrości i zęcnych manewrów. Kramer, masywny, barczysty kotlarz z Hamburga, był uosobieniem spokoju. Nic go łatwo nie wzruszało. Trwał na swoim ciężkim posterunku, milcząco współpracując z towarzyszami z partii. Nielegalna lagrowa partia stała teraz naprzeciw niego w postaci Herberta Bochowa. Mimo że nigdy nie zostało to powiedziane, Kramer wiedział, że wszystko, co pochodzi od Bochowa, pochodzi od partii. Bochow zresztą mocno przesadzał, minimalnie tylko informując lageraltestera o działalności partii. - Nie pytaj o to, Walter, to lepiej dla ciebie - padał często argument, gdy Kramer chciał zrozumieć sens polecenia otrzymanego od Bochowa. Kramer zazwyczaj milczał, aczkolwiek nieraz wydawało mu się rzeczą dziwną robienie tajemnic z poleceń. Próbował wtedy klepać Bochowa po ramieniu i

mówić: - Nie bądź taki tajemniczy, Herbert, wiem, o co chodzi... - Czasem po cichu śmiał się z tego, że wiedział, o czym nie powinien wiedzieć, ale też często złościł się. W wielu wypadkach Bochow zrobiłby lepiej - zdaniem Kramera - gdyby otwarcie z nim porozmawiał. Podobnie i teraz, gdy przyjaźnie burcząc pod nosem wyprosił zbędnych gości. Popatrzył pytająco na Bochowa:

- Głupia historia - zaczął tamten.

- Co jest?

- Zestawiasz nowy transport?

- I co z tego? - odpowiedział Kramer pytaniem. - Próll przygotowuje tam listę.

- W ostatnim transporcie przybył jeden Polak, nazywa się Zachariasz Jankowski. Jest na pewno w Małym Lagrze. Czy mógłbyś go umieścić w transporcie?

- A co z nim jest?

- Nic - odpowiedział Bochow ponuro - musisz się porozumieć z Hóflem. Da ci coś dla tego Polaka.

- Co?

- Dziecko.

- Dziecko??? - Kramer cisnął ołówek, którym wypełniał rubryki. Bochow zauważył zdumienie Kramera.

- Proszę, nie pytaj mnie o nic. Tak musi być.

- Ale dziecko? Herbert, człowieku! Transport idzie w nieznanne! Wiesz, co to znaczy?: Bochow zdenerwował się.

- Nie mogę ci nic więcej powiedzieć. Kramer wstał. - Co to za dziecko? Bochow pominął pytanie:

- Nic, chodzi o coś innego.

- Wyobrażam sobie - Kramer zasapał się. - Posłuchaj mnie, Herbert! Na ogół wiele nie pytam, ponieważ polegam na tym, że...

- A więc nie pytaj!

Kramer spoglądał ponuro przed siebie.

- Czasami utrudniasz to wszystko cholernie, Herbert. Na zgodę Bochow położył mu dłoń na ramieniu.

- Nikt inny poza tobą nie może tej rzeczy zrobić. Hófel już lwie o tym. Powiedz, że przychodzisz z mojego polecenia. Kramer coś burczał. Był niezadowolony.

Zanim wrócił do siebie, Hofel niespokojnie biegał wzdłuż bloków obozowych. Kilku spóźnionych haftlingów zdążyło szybko w kierunku swoich bloków. Co chwila rozlegały się

gwizdki. Lageraltester - jak co wieczór - robił obchód. Jego gwizdki oznaczały, że już nie wolno żadnemu więźniowi opuszczać bloku. |Z coraz większej odległości i coraz ciszej rozbrzmiewały gwizdki. Matowo błyszcząły mokre od deszczu dachy baraków. Pod nogami Hófla trzeszczał żwir. Czasem potykał się, ale nie zwracał na to uwagi, wściekły na Bochowa. Cóż dla niego znaczy małe dziecko? Drżąc z zimna wszedł na swój blok. W pierwszym pomieszczeniu było pusto, wszyscy leżeli już na kojkach. Kilku sztabowych brzękało kubłami do zupy. A przy stole siedział blokowy. W izbie unosił się jeszcze zimny zapach wieczornego kapuśniaku pomieszany z zapachem odzieży poukładanej w porządku na ławach. Nikt nie zwrócił uwagi na Hófla, który rozebrał się i ułożył ubranie na wolnym miejscu na ławie.

„Ale czy Bochow właściwie nie miał racji? Co mnie obchodzi ten obcy dzieciak - myślał Hófel - sam tylko na siebie ściągam kłopot”.

Ale myśl ta była tak podła, że Hófel zawstydził się przed sobą samym. Gdy starał się odegnąć te złe myśli, wynurzyło się wspomnienie o żonie, Dorze. Skąd się to wzięło? Czy to ten dzieciak w kącie wyrwał z najgłębszej skrytki w sercu bolesne wspomnienie? Ogarnęło go nagle i całkowicie; dziwił się, że gdzieś w świecie, który stał mu się obcy, istnieje kobieta, która jest jego żoną. Zaczęło się w nim burzyć. Miał syna, którego jeszcze nie widział, miał mieszkanie, prawdziwe mieszkanie składające się z pokoiów, w których były okna i meble. To wszystko nie układało się jednak w jakimś porządku, a tylko otaczało go w ciemnym pokoju niby ruiny jakiegoś groźnego świata. Hófel wtulił twarz w ręce, nie wiedział nawet o tym. Wpatrywał się jak gdyby w jakąś czarną przepaść. Co cztery tygodnie wysyłał list w ciemność:”Kochana Doro! Powodzi mi się dobrze, jestem zdrow, jak się miewa chłopak?” I co cztery tygodnie otrzymywał list z ciemności, i za każdym razem żona pisała przy końcu:”...całuję Cię serdecznie...”

„Z jakiego świata to pochodziło? Mój Boże, z jakiego świata? - myślał Hófel. - Na pewno z takiego świata, na którym są również małe dzieci. Tylko tam nie łapie się ich za nóżki i nie rozhuśtuje w powietrzu, aby rozbić im główki o mur, jak kociakom”. Hófel zapatrzył się w ciemność. Pod wpływem potęgi wspomnień zwiędły myśli, rozpadły się w nicość; czuł tylko jeszcze ciepły uścisk własnych dłoni na twarzy. Nagle wydało mu się - a było to bardzo dziwne - że obejmują go w ciemności dwie dłonie, a głos jakiś, nie należący do żadnej istoty, szepce:”Andre, taki biedny, mały dzieciak...” Hófel wzdrygnął się.”Czy ja zwariowałem?”

Opuścił ręce. Chłód powietrza otarł się o jego policzki.(Ręce jego posłusznie wykonywały zwykłe czynności: składały spodnie, potem marynarkę, z numerem na wierzchu, według regulaminu.

Tak, Bochow miał rację! Dziecko trzeba będzie stąd zabrać. Stałoby się niebezpieczne dla wszystkich. Ten Polak postara się już jakoś dać sobie z nim radę. Hófel poszedł do sypialni. Zwykły smród przywrócił mu w pełni poczucie rzeczywistości, „...całuję Cię serdecznie...” Hófel wlaź na siennik i przykrył się szorstkim kocem.

W sypialni o trzypiętrowych kojkach przez długi czas nie mogła zapanować cisza. Wiadomość o przekroczeniu przez Amerykanów Renu pod Remagen podnieciła umysły. Hófel wsłuchiwał się w szepty. Jego sąsiad na kojce spał; lekkie chrapanie stanowiło kontrast z ogólnym podnieceniem. Jeżeli Amerykanie przekroczyli Ren, to będą już wkrótce w Turynii, a wtedy to już długo nie potrwa! TO! Co nie potrwa? Co już nie może długo trwać? To słowo coś oznaczało. Oznaczało lata zamknięcia, nadziei i rozpacz, stęzałe w niebezpiecznym ładunku; małe to słowo ciążyło jak granat w dłoni. Gdy nadejdzie czas... Wszystko wokół Hófla szeptało i szumiało. Spokojnie sapał sąsiad, a Hófel przyłapał się na myśli, że to może rzeczywiście nie potrwa już długo i że można by wtedy tego dzieciaka tam w kącie... Szept, w który wsłuchiwał się tylko mechanicznie, ukołysał go, było to przyjemne, tak przyjemne jak owe dalekie obce dłonie... Nagle Hófel rozwarł szeroko oczy i odwrócił się gwałtownie. „Nie, precz z tym! Precz! Dziecko trzeba stąd zabrać, jutro, pojutrze!”

Standartenführer Alois Schwahl, komendant lagru, przebywał tego wieczora z obydwoma lagerführerami, Weisangiem i Kluttigiem, w swojej kancelarii. Schwahl, przysadzisty, skłonny do otyłości sześćdziesięcioletni mężczyzna o sflaczałych policzkach i okrągłej twarzy, miał zwyczaj spacerowania w czasie rozmowy wokół jakiegoś mebla. Dlatego jego masywne biurko ustawione było pośrodku pompatycznie umeblowanego pokoju. Komendant wydawał się być człowiekiem przywykłym do wygłaszania przemówień okolicznościowych, słowom jego towarzyszyły zawsze wymowne gesty, podkreślane dobitnymi pauzami. Przekroczenie Renu wprowadziło go - jednak bardziej jeszcze Kluttiga - w stan nerwowego podrażnienia. Sturmbannführer Weisangk siedział na kanapie za rzeźbionym stołem konferencyjnym z wyciągniętymi nogami i nieodstępną butelką francuskiego koniaku i przysłuchiwał się sporowi rozgorzałemu między Schwahlem a Kluttigiem. Weisangk wypił już za dużo. Mętnymi oczyma dogła śledził każdy ruch swego pana.

Przewidując nadchodzące wydarzenia w związku z przekroczeniem Renu, Schwahl powziął plan stworzenia spośród więźniów oddziału sanitarnego, który w czasie stałych alarmów lotniczych i w razie grożącego ataku na obóz mógłby być użyty do pomocy SS. Utworzenie tego oddziału było powodem kłótni, która zaostrzała się coraz bardziej. Chudy i kościsty Kluttig, człowiek nieciekawy, w wieku około trzydziestu pięciu lat, o zbyt długim

bulwiastym nosie, stał przed biurkiem, a jego zaczerwienione oczy krótkowidza kłuły jadowicie zza okularów. Między nim a komendantem istniało kilka różnic nie do przewyciężenia. W tej specyficznej sytuacji wzajemna wrogość ujawniała się w pełni. Kluttig nie ukrywał braku respektu dla Schwahla. Rozkazy jego przyjmował zawsze z wyniosłym milczeniem, a jeżeli je koniec końców wykonywał, to tylko dlatego, że Schwahl, jako komendant i standarten-führer był od niego starszy rangą. Schwahl zaś, wykorzystując swe stanowisko, dawał sobie jakoś radę z Kluttigiem; nie przyznawał się jednakże do dręczącego go w obecności Kluttiga kompleksu niższości. Nie znosił pyszałkowatości Kluttiga, a jednocześnie zazdrościł mu jej.

Schwahl był tchórzliwy, niezdecydowany, niepewny siebie, ale mimo to był przekonany, że na pewno przewyższa zdolnościami dyplomatycznymi Kluttiga, byłego posiadacza małego zakładu usługowego plisowania i mereżki. Z tej racji Klutting nie mógł oczywiście już w założeniu mieć takich walorów, jakie zdobył Schwahl w czasie trzydziestoletniej służby jako urzędnik więzienny. Osiągnął tam stopień inspektora. Dawniej w czasie pijatyk Ci dwaj często wykpiwali swoją przeszłość, nazywając się nawzajem "tępy maresztański woł" lub "plisowanym Jasiem". Nie przewidywali, że ta znajomość przeszłości wyrodzi się kiedyś w niebezpieczną nienawiść. A stało się to tego wieczora.

Początkowo kłócili się o skład oddziału sanitarnego. Na przekór Schwahlowi Kluttig żądał, by użyć tylko długoletnich więźniów kryminalnych. Schwahl, jako komendant, mógł sobie pozwolić na protekcyjne pouczenie byłego właściciela sklepu:

- Brak panu znajomości ludzi i szerszego spojrzenia, mój gi. Trzeba wykorzystać dyscyplinę komunistów. Trzymają się oni w kupie, mocno, jak rzep psiego ogona.

W Kluttigu gotowało się wszystko. Jego odpowiedzi stawały się coraz ostrzejsze, a w głosie przebijały owe brzydkie i ostre tony, których Schwahl obawiał się potajemnie, ponieważ przypominały mu zbytnio głos jego poprzedniego szefa, dyrektora więzienia.

Muszę panu zwrócić uwagę, że użycie komunistów w tej sytuacji jest niebezpieczne, niech pan weźmie do tego innych więźniów. - Schwahl nadąsał się. - Ba, ba, ba! - powiedział stając przed Kluttigiem, wyprostował plecy i wypiął brzuch: - Innych więźniów? Zawodowych kryminalistów? Bandziorów?

- W obozie istnieje potajemna organizacja komunistów!

- Cóż oni mogą zdziałać - Schwahl okrążał znów biurko.

- W lagrze działa tajny nadajnik! - powiedział Kluttig i podszedł do biurka, uniemożliwiając w ten sposób Schwahlowi spacer po pokoju.

Komendant znakomicie zagrał rolę protekcyjnego zwierzchnika, biorąc Kluttiga za guzik.

- Czy pan wie, że kazałem wytropić ten domniemany nadajnik? Rezultat? Zero! Niech pan nie traci spokoju, Herr Haupt-sturmfiihrer.

- To ja podziwiam pański spokój, Herr Kommandant.

Mierzyli się zimnym wzrokiem. Schwahl miał uczucie, że jego klatka piersiowa sztywnieje, w tej samej jednak chwili stracił panowanie nad sobą i wrzasnął nagle:

- Nie tracę nerwów tak jak pan! Jeśli rozkażę, cały lager zostanie w ciągu pół godziny rozstrzelany! Cały lager, tak jest, wraz z pańską organizacją komunistyczną!

Z kolei Kluttig stracił panowanie nad sobą. Z kościstej twarzy uciekła mu wszystka krew i wrzasnął na Schwahla tak, że Weisangk przerażony wskoczył między skłóconych, usiłując odepchnąć Kluttiga:

- Uspokój się, Kluttig, uspokój się...

Kluttig pogardliwie odepchnął sturmbannfiihrera:

- Won, idioto! - i wrzeszczał dalej na Schwahla:

- Może te draby mają już nawet broń, a pan niczym temu nie przeciwdziała, może weszli już w porozumienie z Amerykanami! Odmawiam wykonania rozkazu!

Weisangk ponownie próbował pośredniczyć:

- Przecież ty nie dostaniesz żadnego rozkazu, rozkaz dostanie Reineboth...

Osiągnął jednak tylko tyle, że rozgorączkowany Kluttig wrzasnął na niego: - Zamknij mordę!

- Hauptsturmfuhrer! - krzyknął Schwahl z drgającymi policzkami.

- Nie pozwolę sobie rozkazywać!...

- Jeszcze jestem komendantem!!!

- Gówno...

Kluttig nagle się uspokoił, odwrócił i opadł na kanapę, na której siedział Weisangk.

Tak nagle jak Kluttig, otrzeźwiał i Schwahl. Podeszedł do stołu konferencyjnego, oparł płasko dłonie na biodrach i zapytał:

- Co pan chciał właściwie powiedzieć?

Kluttig nie poruszał się. Siedział ze zwieszoną głową i bezwładnymi rękami na rozstawionych kolanach. Po tym incydencie Schwahl zdawał się nie oczekiwać odpowiedzi. Podeszedł do kredensu w kącie, wyciągnął kilka kieliszków, postawił je na stole konferencyjnym i nalał.

- Napijmy się pod ten strach!

Chciwie opróżnił kieliszek. Weisangk klepnął Kluttiga, podając mu koniak:

- Chlej, to uspokaja!

Kluttig niechętnie wziął z rąk sturmbannfuhrera kieliszek i wychylił go jak lekarstwo, patrząc ponuro przed siebie. Nie odczuwali do siebie specjalnej odrazy, a otrzeźwienie zdawało się ustępować duchowej prostracji. Schwahl sięgnął po papierosa i rozparł się wygodnie w fotelu. Zaciągnął się głęboko. Kluttig gapił się wciąż jeszcze przed siebie, a z bezmyślnej twarzy Weisangka nie można było nic wyczytać. Schwahl patrzył to na jednego, to na drugiego, aż wreszcie powiedział w przypiływie wisielczego humoru:

- Tak, moi panowie, koniec pieśni!

Kluttig trzepnął ręką w stół i zaskrzeczał histerycznie: - Nein"! - Dolna szczęka wysunęła mu się naprzód. - Nein! - Schwahl widział wewnętrzną panikę Kluttiga. Odrzucił papierosa i wstał. Z zadowoleniem poczuł, że trzyma się znów w garści. Za biurkiem wisiała duża mapa. Schwahl podszedł do niej i patrzył z miną znawcy. Potem przytknął w szpilki o kolorowych łebkach. - Tak wygląda front, tak, tak i tak. - Odwrócił się i oparł na sztywnych rękach o biurko: - Czy nie tak, proszę? Weisangk i Kluttig milczeli. Schwahl ujął się pod boki.

- A jak będzie za cztery tygodnie? Za osiem tygodni? A może już za trzy tygodnie? - Odpowiedzi udzielił sam, waląc pięścią w mapę. Berlin, Drezno, Weimar! Drewniana podpórka zachwiała się. Schwahl zadowolili się tym. Widział efekt swoich słów w drganiu kości policzkowych Kluttiga, w bezradnym psim spojrzeniu Weisangka. Jak wódz wrócił do stołu konferencyjnego i powiedział tonem wyższości:

- I cóż, panowie, czy będziemy jeszcze udawali przed sobą? Usiadł.

- Na wschodzie bolszewicy, na zachodzie Amerykanie, a my w środeczku. No, proszę? Niech pan pomyśli, hauptsturmführer. Wrona po nas nie zakracze, nikt nas stąd nie wyciągnie. Najwyżej diabli nas mogą wziąć.

W nagłym wzburzeniu Weisangk cisnął swój pistolet na stół.

- Mnie nie dostaną - zawarczał - jeszcze jest to! Schwahl nie zwrócił uwagi na bohaterski gest bawarskiego kowala, który potulnie schował pistolet. Skrzyżował ręce na piersi.

- Pozostaje nam tylko działać na własną rękę. Wtedy podskoczył Kluttig.

- Przejrzałem pana! - krzyczał, od nowa popadając w histerię. - Chce się pan przypochlebić Amerykanom! Jest pan tchórzem.

Schwahl zbył go niechętnie.

- Zostaw pan te wielkie słowa. Odwaga czy tchórzostwo, na co nam się to jeszcze przyda! Musimy zapewnić sobie bezpieczeństwo, i to wszystko. Do tego trzeba rozumu, Herr Hauptsturmführer. Rozumu, dyplomacji, elastyczności!

Schwahl wskazał na swój pistolet:

- To już jest nie dość elastyczne...

Również Kluttig wyrwał broń z kieszeni, prychnął:

Ale decydujące, panie komendancie, decydujące! Zdawało się, że spór zacznie się od nowa. Weisangk rozdzielił ich:

- Uspokójcie się, tylko sami się nie postrzelajcie!

- Do kogo chciałby pan strzelać? - zapytał Schwahl niemal rozbawiony.

- Do wszystkich, wszystkich, wszystkich! - pienił się Kluttig, obiegając pokój dzikim krokiem. Zrozpaczony rzucił się znów na kanapę, gładząc palcami rzadkie jasnoblonde włosy. Schwahl zauważył sarkastycznie: - Z bohaterstwem to już chyba koniec!

Mimo wszystko Kluttig przekazał nazajutrz rano rozkaz komendanta Reinebothowi. Był akurat w kancelarii tego co najwyżej dwudziestopięcioletniego hauptscharführera, znajdującej się w bocznym skrzydle budynku u wejścia do lagru. Reineboth różnił się bardzo od Kluttiga, zwłaszcza dbałością o wygląd zewnętrzny. Próżny młodzieniec kochał się w swej eleganckiej postaci. Różowawy odcień skóry i wyglądająca jak napudrowana dolna część twarzy, na której nie było nawet zarostu, nadawały Reinebothowi wygląd bohatera z operetki, aczkolwiek był tylko zwykłym synem zwykłego piwowara.

Niedbale rozparty na krześle, z kolanami opartymi o brzeg stołu, przyjął rozkaz.

- Oddział sanitarny? Znakomity pomysł! - Zaciśnął cynicznie wargi. - Widać ktoś tam boi się czarnego luda, co?

Kluttig nic na to nie odpowiedział i podszedł do radia. Stał przed aparatem na szeroko rozstawionych nogach, ręce oparł na biodrach i słuchał spikera podającego wiadomości: „...po ciężkim przygotowaniu artyleryjskim rozpoczęła się wczoraj bitwa o dolny Ren. Załoga miasta Moguncji została wycofana na prawy brzeg Renu...”

Reineboth przyglądał mu się przez chwilę. Zdawał sobie sprawę z tego, co dzieje się z Kluttigiem; własny strach przed zbliżającym się niebezpieczeństwem starał się zamaskować źle udawaną pogardę:

- Czas już, żebyś się zaczął uczyć angielskiego - powiedział, a jego zazwyczaj tak arogancki uśmiešek przekształcił się w twardą zmarszczkę wokół ust. Kluttig nie zwrócił uwagi na ironię. Burknął tylko ze złością:

- Oni albo my!

- My - odpowiedział Reineboth z elegancją. Rzucił linijkę na stół i wstał. Patrzyli na siebie w milczeniu, ukrywając swoje myśli. Kluttig zaniepokoił się. - Jeżeli będziemy musieli odejść... - pogroził pięścią i wykrztusił przez zęby - nawet myszy nie zostawię tu żywej!

Reineboth znał to na pamięć. Wiedział, co wart jest Kluttig; lubił po prostu robić dużo szumu wokół siebie. Śmiejąc się diabolicznie, Reineboth zauważył: - Jeżeli się z tym nie spóźnisz, Herr Hauptsturmführer. Nasz dyplomata wypuszcza już myszy z pułapki...

- Ta dupa! - Kluttig przeciął pięścią powietrze. - Skąd wiemy, czy te świny nie mają już jakiegoś kontaktu z Amerykanami? Wyślą parę bombowców i uzbroją w ciągu nocy cały obóz. - I dodał nerwowo: - Bądź co bądź to 50 000 ludzi.

Reineboth skrzywił się pogardliwie: - To są kretyny, parę salw z wieżyczek i...

- A jeśli Amerykanie zrzucą spadochroniarzy? Co wtedy?

Reineboth wzruszył ramionami. - Wtedy ten bajzel skończy się. Phi... - dodał z pogardliwym spokojem - przebiję się w porę do Hiszpanii.

- Jesteś szczwany lis! - fuknął pogardliwie Kluttig. - Koniec końców idzie tu nie tylko o twoją skórę.

- Słusznie - odparował Reineboth chłodno - również o twoją.

Wyszczerzył zęby prosto w twarz Kluttigowi:

- Nic już nie będzie znaczyć ani sturmbannführer, ani nawet komendant.

Reineboth wykonał kilka ruchów dłonią w powietrzu, jak gdyby szybko wspinał się po drabinie. - Koniec pieśni, Adelo! Pociesz się, jestem twoim towarzyszem niedoli.

Wściekły, że Reineboth z taką bezczelnością odsłania swoje samolubne plany, Kluttig opadł na krzesło, gapiąc się przed siebie. Rzeczywiście się skończyło! Chodzi tylko o to, by zabezpieczyć się przed tymi tam wewnątrz. Straszliwie przeklinał nieobecnego komendanta:

- Ta dupa przekłeta! - Wie dokładnie, że te świny w obozie są zorganizowane. Zamiast wyciągnąć ich z tuzin i rozwalić...

- Zachodzi pytanie, czy wychwytałby właściwych - zauważył Reineboth - bo w przeciwnym razie spali wszystko na panewce. Na pierwszy ogień tych właściwych, kierownictwo, głowę.

- Kramer! - powiedział prędko Kluttig.

- To jeden, a pozostali?

Reineboth zapalił papierosa i usiadł na brzegu stołu. Niedbale kiwał nogą założoną na nogę. Kluttig syczał wściekle:

- Zamknę tego psa i wycisnę jak cytrynę. Reineboth uśmiechnął się arogancko:

- Naiwnie, Herr Lagerfuhrer, bardzo naiwnie. Po pierwsze: Kramer nie będzie śpiewał, nie wydusisz z niego nawet słowa. Po drugie: jeśli zamkniesz Kramera, ostrzeżesz innych.

Podszedł do mikrofonu, mówiąc:

- Przyjrzyj się temu gościowi, a przekonasz się, że nie wydusisz z niego nawet pierdnięcia.

Włączył mikrofon: "Lageraltester Kramer natychmiast do rapportfuhrera!"

Gdy rozkaz ten powtarzały wszystkie głośniki obozu, Kramer był u Hófla w Effektenkammer. Zweiling jeszcze nie przyszedł. Kramer schronił się z Hóflem w niszy okiennej. Rozmawiali po cichu.

- Jutro odchodzi transport. Wiesz, o co chodzi, Andre.

Hófel skinął niemo. Po raz drugi rozległo się wezwanie: "Lageraltester Kramer natychmiast do rapportfuhrera, ale gazem!"

Kramer skrzywił się i popatrzył niechętnie na głośnik. Hofel zacisnął wargi.

Kluttig siedział z uczuciem wewnętrznej pustki na krześle, Reineboth szarpał go ze złością za ramię. - Zbierz się, człowieku, do kupy. A może wolisz, żeby ten facet od razu skapował, jak się czujemy po naszym najnowszym zwycięstwie?

Kluttig posłusznie podniósł się i obciągnął mundur pod paskiem.

Po kilku minutach Kramer znalazł się w pokoju. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Kluttig opierał się o ścianę, obserwując go podejrzliwie już od wejścia, a na krześle, za biurkiem, bardziej leżał niż siedział cyniczny młodzian.

- Mam coś nowego dla was, słuchać! - Kramer znał ten niedbały, zarozumiały ton. Reineboth wstał bez pośpiechu, wsunął ręce do kieszeni spodni i zaczął spacerować po pokoju. Postanowił przekazać rozkaz komendanta jakoś mimochodem. Ale właśnie ta akcentowana obojętność i czyhające spojrzenie Kluttiga pozwoliły Kramerowi z miejsca zorientować się, że chodzi o coś nadzwyczajnego.

- Szesnastu więźniów - chrypiał arogancko młodzian, tupiąc buciorami - szesnastu długoletnich więźniów politycznych trzeba przygotować do oddziału sanitarnego. - Mówiąc jakby w powietrze i jeszcze bardziej niedbale, młody człowiek spacerując wyjaśniał, że oddział sanitarny podczas alarmu lotniczego na zewnątrz postenketty... W Kramerze zastygła krew, ale panował nad sobą. Nic w jego twarzy nie zdradzało myśli przebiegających mu przez głowę: szesnastu dobrych towarzyszy poza postenketką... Kluttig oderwał się gwałtownie od ściany, stanął tuż przed Kramerem i wrzasnął na niego:

- Więźniowie wychodzą bez postenów, zrozumiano? - Tylko z trudem udawało mu się ukryć podniecenie, gdy syczał przez zaciśnięte zęby: - Ale nie miejcie złudzeń, będziemy uważali.

Sam nie wiedział, jak to uważanie ma wyglądać. Patrzyli milcząco na siebie. Kramer spokojnym okiem wychwytywał zimną nienawiść tryskającą z Kluttiga. Nagle ogarnęła go zwycięska pewność. Ujrzał w bezbarwnych, otoczonych czerwonymi obwódkami oczach tamtego wyzierający z nienawiści strach, nagi strach. Kluttig popadał w coraz większą wściekłość, ale Kramer też nie był tak spokojny, jak się wydawało. Jedna myśl gonila drugą, kombinował. Reineboth w obawie, aby Kluttig nie stracił panowania nad sobą, usiłował temu zapobiec.

- Jutro rano przyprowadzi pan tych szesnastu ptaszków do mnie.

Kramer usłyszawszy te słowa Reinebotha za plecami, odwrócił się i powiedział: - Jawohl.

- Ozdobimy ich kasetkami z opatrunkami, maskami gazowymi i stalowymi hełmami.

- Jawohl.

Młodzieniec podszedł niedbałym krokiem do Kramera i chwycił go za bluzę na piersi.

- Gdyby jeden z tych ptaszków miał odlecieć... - uśmiechnął się przebiegle, dodając z groźną uprzejmością: - ...odbijemy to sobie.

Zanim Kramer zdążył odpowiedzieć, stanął przed nim Kluttig i zachrypiął z pogroźką w głosie: - Na całym lagrze!

- Jawohl.

To wciąż powtarzane przez Kramera posłuszne słówko nie dawało Kluttigowi żadnej możliwości wyładowania się. Dodał więc gderliwie:

- Czy pan skapował, chciałbym wiedzieć?

- Jawohl.

Kluttig chciał wybuchnąć, ale spokój Kramera zdusił w nim wszystko. Wydobył z siebie tylko warknięcie:

- Odmaszerować!

Ale kiedy Kramer podszedł do drzwi, Kluttig stracił panowanie nad sobą i wrzasnął za nim:

- Stać!

Gdy Kramer zdumiony odwrócił się, stanął tuż przed nim i zapytał podchwytliwie:

- Pan był przecież kiedyś funkcjonariuszem? Kramer zastanowił się szybko, o co może Kluttigowi chodzić. I odpowiedział:

- Jawohl.

- Komunistycznym?

- Jawohl.

Szczerota Kramera wyprowadziła Kluttiga z równowagi.

- I mówi mi pan o tym tutaj tak...

Na ustach Kramera pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.

- Dlatego właśnie jestem tutaj.

- Nie! - zaprzeczył ostro Kluttig, trzymał się znów w garści. - Jest pan tutaj, by nie móc tam organizować band spiskowców albo tajnych organizacji, tak jak to robicie tu w obozie!

Kluttig wbił spojrzenie w oczy Kramera. Za Kluttigiem stał młodzieniaszek, wsunął palec w dziurkę od guzika munduru i kołysał się w kolanach.

„Tajna organizacja? - Kramer wytrzymał świdrujące spojrzenie tamtego. - Czyżby coś wiedzieli?” i natychmiast stało się dla niego jasne, że Kluttig szukał po omacku.”A więc to tak jest - myślał Kramer - widzicie we mnie organizatora! To jesteście na fałszywym tropie.” Miał uczucie, że chroni swymi szerokimi plecami Bochowa, i odparł obojętnie:

- Tę organizację, Herr Hauptsturmführer, przecież sami panowie powołali do życia.

Oslupiały Kluttig wydobył z siebie tylko przeciągłe: - Cooo? - a Reineboth podszedł o krok bliżej: - Coś takiego!

Kramer zorientował się natychmiast, jakie korzyści daje mu śmiały atak i umocnił go.

- Wcale nie jest tajna. W obozie jest samorząd więźniów i dokładnie wykonujemy wszystkie rozkazy kierownictwa obozu.

Kluttig spojrział bezradnie na Reinebotha, ale ten uśmiechał się ironicznie; zdawało się, że bawi go to wszystko. Podnieciło to Kluttiga i natarł na Kramera:

- Tak jest! I dlatego właśnie obsadziliście wszystkie stanowiska swoimi ludźmi.

- Rozkaz kierownictwa obozu brzmiał:”Powierzyć zarząd porządnym i sumiennym więźniom”.

- Komunistom, co?

Kramer odparował nieustraszenie:

- ”Każdy z kandydatów został zameldowany w kierownictwie obozu, przedstawiony i zatwierdzony.

Kluttig nie potrafił mu sprostać. Wściekle tupiąc buciorami biegał po pokoju i charczał:

- Łotry, banda, wszyscy jesteście zbrodniarze!

Kramer stał bez ruchu, nie reagując zupełnie na wybuchy wściekłości Kluttiga. Tamten przystąpił znów do niego i wygrażał rękami:

- Wiem dobrze, jak to jest. Nie sądzicie, że jesteśmy głupcami. Reineboth stanął między Kramerem i pieniącym się Kluttigiem.

- Odmaszerować! - powiedział przez nos. Sapiąc rzucił się Kluttig na drzwi, które zamknęły się za Kramerem.

- Ten pies, ten przeklęty...!

Reineboth oparty o stół zauważył z drwiącym uśmiechem:

- Powiedziałem ci przecież, że z tego nie wydusisz nawet pierdnięcia.

Kluttig ciężkimi krokami chodził po pokoju.

- Wcale nie chcę wiedzieć, co za drabów wynajdzie on sobie do tego... tego oddziału sanitarnego - wymachiwał pięścią w powietrzu. - Najchętniej dałbym mu w mordę! Rozwaliłbym tego psa!

Reineboth oderwał się od stołu.

- Robisz wszystko na odwrót, Herr Lagerführer! Po co wrzeszczeć na niego, wie już teraz, co w trawie piszczy. Ale Kluttig wciąż jeszcze szalał.

- Niech! Niech poczuje ten pies! Niech wie, że jesteśmy na jego tropie!

- Błąd.

Kluttig nagle zatrzymał się i wbił oczy w młodzieńca. Jego wściekłość skierowała się nagle przeciwko Reinebothowi.

- Może chcesz mnie uczyć, jak mam się obchodzić z tą hałastrą?

Syczący głos nie zrobił na tamtym żadnego wrażenia. Zapalił nowego papierosa i wypuszczał z namysłem dym ku sufitowi.

Bolszewicy na pewno mają podziemną organizację, zgoda. Kramer jest na pewno jedną z ich najważniejszych figur, też zgoda. - I zwrócił się do Kluttiga: - A teraz słuchać, Herr Hauptsturmführer. Rozkaz naszego dyplomaty obu nam nie odpowiada, prawda? Jeżeli wypuści myszy, będziemy musieli zamknąć również pułapkę. Potrzebna nam jest głowa! Jednym uderzeniem musimy ją ściąć!

Wskazał gwałtownie na obóz.

- Ostatecznie nie wszyscy oni są bolszewikami. Dlatego trzeba im kogoś nasłać. Takiego niewinnego, o przyjaznej twarzy. Ale musi mieć dobry nos, musi umieć węszyć. Skapowałeś?

Wyszczerzył zęby w stronę Kluttiga z poufnym uśmiechem spiskowca. Ta myśl - wyglądało na to - przypadła tamtemu do gustu.

- A skąd weźmiesz prędko takiego gościa, który... Reineboth odpowiedział szybko, z pewnością siebie:

- Pozostaw to mnie, już ja to załatwię.

Kluttig uległ Reinebothowi, uznając w nim mądrzejszego, roześmiał się:

- Ale z ciebie naprawdę szczywany lis! Tym razem Reineboth przyjął to oświadczenie z uśmiechem jako komplement.

- Ostatecznie i my jesteśmy dyplomatami...

W stajni w Małym Lagrze, w której znalazł się Jankowski, panował dziki hałas. Ścisnięci w jeden wielki kłęb mieszkańcy stajni pchali się wokół sztubowego, który rozdawał zupę z potężnego kotła. Krzyczeli, darli się we wszystkich językach, gestykulując. "Starzy" odpychali zgłodniałych cugangów od kotła. Jeden odpychał drugiego, a blokowy wrzeszczał na wszystkich. Wciąż na nowo próbował zaprowadzić porządek w zgłodniałym tłumie.

- Cofnijcie się wreszcie, bydlaki, wy dupy! Ustawić się w szeregu!

Nikt go nie rozumiał, nikt nie zwracał na niego uwagi. Odsunięci do tyłu jeszcze bardziej dziko rzucali się na kocioł. Inni zaś spośród cugangów otaczali takiego, który z miski pożerał łyżką właśnie otrzymaną porcję. Lub nie mając łyżki zwyczajnie wychłęptywał zupę; wyciekała mu z ust i plamiła bluzę. Zanim jeszcze posiadacz miski zdołał przełknąć ostatni łyk, liczne ręce sięgały po miskę i wrywały ją sobie. Miska upadła na ziemię, zabrzęczała. Wszyscy rzucili się na nią. Szczęśliwiec, któremu udało się ją schwytać, przycisnął ją mocno do siebie, przepychając się przez tłum w stronę kotła ciągnąc za sobą tren postaci czyhających na jego ostatni łyk, by porwać miskę.

Jedynym niezainteresowanym był sam sztubowy. Obojętnie nabierał chochlą zupę, nie podnosząc nawet głowy. Gdy napierano już zbyt gwałtownie, robił miejsce łokciami i siedzeniem.

Wszedł Pippig. Zrozpaczony blokowy, krępy mężczyzna o okrągłej jak kula głowie, wyrzucił do góry ramiona z rozpaczliwą rezygnacją, szczęśliwy, że widzi przynajmniej jednego rozsądnego człowieka. Jęknął:

- Co dzień to samo, co dzień to samo! Gdybyśmy mieli przynajmniej dość misek! Nie można tych ludzi doprowadzić do rozsądku.

Pippig odpowiedział:

- Wypchnij ich i dopuszczaj tylko tylu do kotła, ile masz misek.

- To będą ryczeli na dworze jak lwy.

Pippig nie znalazł już żadnej pociechy, wyciągnął szyję rozglądając się w bałaganie.

- Czy wśród cugangów masz jakiegoś Jankowskiego?

- Zdaje się, że jest taki.

Blokowy usiłował przekrzyczeć hałas.

- Jankowski!

Ale to było tylko daremne wołanie na puszczy.

Pippig sam zaczął się rozglądać za Polakiem. Jankowski stał w kącie, z dłońmi zaciśniętymi na szczękach i przyglądał się widowisku. Gdy zauważył Pippiga, na twarzy jego pojawił się wyraz rozpoznania. Podbiegł do Niemca.

- Ty! Ty! Gdzie być dziecko?

Pippig przytknął ostrzegawczo palec do ust i skinął na Jankowskiego, żeby poszedł za nim.

Kramer musiał porozumieć się z Próllem, który przygotowywał listę na transport.

Trzeba było wysłać tysiąc więźniów z Małego Lagru. Buchenwald potrzebował powietrza. Próll podzielił ogólną liczbę przeznaczonych na transport na poszczególne bloki Małego Lagru. Bloki nieco odetchną. Uzyskają przez to nieco miejsca w przepelnionych stajniach.

Zestawienie poszczególnych grup pozostawiono blokowym, którzy przy pomocy sztubowych i blokszrajberów wybierali ludzi. Każdym transportem - zawsze już tak było - wysyłano najsłabszych.

Bezlitosne prawo obrony z konieczności dyktowało smutny wybór.

Między obydwoma lageraltesterami panowało nieміłe milczenie. Próll stał obok Kramera siedzącego przy stole i studiującego z pochyloną głową listę transportową, którą mu Próll doręczył. Kramer spojrział z dołu na Prólla, marszcząc czoło. Żaden z nich nic nie powiedział, ale nurtowały ich chyba te same myśli. W kącikach ust Prólla krył się zakłopotany uśmiezek, który teraz nieśmiało się ujawnił.

- I znowu musimy tysiąc posłać w nieznane... Kramer wysunął dolną wargę, szeroko rozpostarł łokcie na stole i popatrzył na swoje splecione dłonie.

- Czasem myślę - powiedział - czasem myślę, że staliśmy się cholernie twardą ferajną...

Chociaż Próll zrozumiał, zapytał mimo to:

- My? Kogo masz na myśli?

- Nas! - odpowiedział Kramer bezlitośnie, podnosząc się. IPodszedł do okna, wsadził ręce w kieszenie i wyjrzał na rozległy plac apelowy. Tam na górze, przy bramie, widniał płaski, szeroki budynek z wieżyczką. Na jego dachu zmontowano dwanaście potężnych reflektorów. Gdy wieczorem lub rankiem obóz stawał do apelu, reflektory wdzierały się w

ciemność panującą na całym placu, tnąc niemiłosiernie swymi jaskrawymi nożami zmęczone twarze. Wieżyczka otoczona była krążgankiem, po którym teraz w chłodzie marcowego poranka, przechadzali się strażnicy, rozgrzewając spacerem nogi. Węsząc, wystawiał na obóz swój pysk ponad poręcz krążganku ciężki karabin maszynowy.

Więźniowie pojedynczo, parami albo stadami chodzili po placu apelowym tam i z powrotem, wychodzili przez bramę albo wracali do obozu. Na baczność, z czapką w ręku meldowali się przy okienku. Załatwiał ich blockführer, który miał służbę przy bramie. Był wściekły, wrzeszczał, kopał więźniów w krzyże, walił pięścią po karkach!

Kramer przyglądał się temu obojętnie. Myślał o poleceniu, które wzbudziło w nim niezadowolenie. O co chodziło właściwie z tym dzieckiem? Niebezpieczeństwo? Z powodu dziecka? Wykluczone! Na pewno istniał jakiś związek między tym dzieckiem a Hólflem. Gdyby wiedzieć jaki, można by tego dzieciaka... Ta przekłeta tajemniczość Bochowa... Pozostawił go ślepym i niewiedzącym.

- Nie pytaj, rób, co ci mówię.

Kramer ściągnął brwi, oparł rękę o ramę okienną i rąbnął pięścią o drzewo.

- Co się z tobą dzieje? - usłyszał głos Prólla za sobą. Wzdrygnął się i odwrócił.

- Nic - odpowiedział krótko. Prull chciał go pocieszyć.

- To już będzie ostatni transport. Może nawet Amerykanie ich przychwycą... - Kramer skinął oddając listę Próllowi.

- Co jeszcze chciałem powiedzieć, nie dziw się, że wczorajsze cugangi, Polacy, rozumiesz, też wejdą w skład tego transportu.

Więźniowie komanda Effektenkammer kucali w szrajbsztubie wokół Jankowskiego. Pippig wsunął mu kromkę chleba do kieszeni. Jankowski ukradkiem ułamywał kawałek po kawałku i wsuwał kęsy do ust. Wstydział się swego głodu.

- Żuj śmiało, chłopie - ośmielał go Pippig - dziś dają u nas kluski w sosie chrzanowym. - Podsunął mu jeszcze filiżankę kawy pod nos. Kropiński musiał przetłumaczyć swoją rozmowę z Jankowskim.

- Powiedział, że on nie być ojciec tego dziecka. Ojciec być nieżywy i matka też w Oświęcimiu zagazowana. On powiedzieć, że dziecko mieć trzy miesiące, kiedy przyjechało z ojcem i matką. Z getto w Warszawie do lagru Oświęcim. On powiedzieć, SS zabić wszystkie dzieci, a to dziecko być zawsze schowane.

Jankowski przerwał tłumaczenie, gorliwie coś mówiąc do Kropińskiego. Ten tłumaczył dalej:

- On powiedziec, małe dziecko nie wiedziec, co to jest ludzie. Ono tylko Wiedziec, co to jest SS i co jest haftling. On powiedziec, że małe dziecko wiedziec bardzo dobrze, jak przyjsc SS, schowac sie i byc calkiem cicho.

Kropiński zamilkł. I inni zamilkli pochyliwszy głowy. Hófel bez słowa položyl dlon na dloni Polaka, a ten usmiechal sie delikatnie - zrozumiano go wlasciwie.

- Marian - wezwal Hófel Kropińskiego - zapytaj go, jak ten chlopak sie nazywa.

Jankowski odpowiedzial mu i Kropiński przetlumaczył:

- Małe dziecko nazywac sie Stefan Cyliak i jego ojciec byc dawniej adwokat w Warszawie.

Wzrok Hofla spoczywal ze wspolczuciem na malym slabowitym męczyźnie, zapewne juz dobrze po pięcdziesiatce.

Pełen zaufania rozgladal sie Jankowski po kręgu więzniów, którzy byli mu tak przyjazni. Z jego skromnego usmiechu wyzerala wiara, że po wszystkich niebezpieczeństwach dziecko nareszcie znalazlo pewne schronienie. Hófel poczul ucisk w sercu. Polak nie mógł przewidziec, po co go tu sciagnal. Na pewno cieszył sie, że znalazł tu dobrych kolegow. Hófel zaś myslal o tym, że ci "dobre" koledzy powiedza Polakowi: "Zabierz swoje dziecko, nam jest tu niepotrzebne". I wtedy mały, spokojny mężczyzna weźmie bez oporu znów cały ciężar na siebie i będzie go włókl dalej, zatroskany, by uchronic tę drobną isierkę życia przed buciorami SS, aby jej nie rozdeptały. Jankowski może odczul, że ten Niemiec obserwuje go w jakiś specjalny sposób, usmiechnal sie bowiem do niego. Hófel jednak pograzal sie coraz głębiej w myślach!: I taki bezradny człowiek taska ze sobą tę odrobinę życia, którą; wychytrzył z paluchów oświęcimskiej śmierci po to, by wystawic ją na nowe niebezpieczeństwo. Jakież bezsens! Gdzieś tam śmierć i; wydrze mu z pewnością walizkę z dloni: "Popatrz, popatrz, przyniosles mi coś ładnego..." Przeciw temu burzylo sie w Hóflu wszystko. Jezeli temu bezsensowi można položyc kres, to musi sie to stac teraz i tutaj. Tylko tutaj, a nigdzie indziej na świecie, istnialo prawdopodobieństwo uratowania dziecka. Hófel rozejrzal sie. Nikt z więzniów nie wiedzial, co powiedziec wzrok Hófla zatrzymal sie na Pippigu. Popatrzyli sobie milczaco w oczy. Ciężko legła na sercu Hófla konieczność wybrania między dwiema powinnościami. Boleśnie odczul, jak bardzo jest samotny w tej chwili. Milczące spojrzenie Pippiga przyciagnalo go i Hófel czul pokuse, aby skinac Pippigowi na znak zgody. Ale zdobył sie tylko na głębokie, ciężkie westchnienie i wstal.

- Zostanie tutaj - powiedzial do więzniów - uważajcie, na wypadek gdyby Zweiling miał nadejsc niespodziewanie.

Z Jankowskim, Kropińskim i Pippigiem udał się do kąta. Gdy dziecko ujrzało Jankowskiego, wyszło mu naprzeciw i pozwoliło się wziąć na rękę, jak oswojony szczeniak.

Jankowski w milczeniu przycisnął dziecko do piersi, płacząc bez dźwięku i łez. Dręcząca cisza między mężczyznami. Pippig nie umiał jej dłużej znieść.

- Nie urządźcie tylko uroczystości żałobnej - powiedział szorstko, chociaż przychodziło mu to z niejakim trudem. Jankowski zapytał o coś Hófla, nie zastanawiając się wcale, że ten go przecież nie rozumie. Włączył się Kropiński:

- On pytać, czy małe dziecko może zostać tu.

Teraz Hófel powinien powiedzieć Polakowi, że jutro czeka go transport, a dzieciak... ale nie potrafił wydać z siebie głosu i poczuł ulgę, gdy Pippig wyprzedził go w odpowiedzi. Poklepał uspokajająco Jankowskiego po plecach. Oczywiście dziecko zostanie tutaj - popatrzył przy tym wyzywająco na Hófla. A ten milczał, nie mając siły się sprzeciwić. Naraz opanował go strach. Milczenie oznaczało pierwszy krok do pominięcia polecenia Bochowa. Uspokajał się co prawda w duchu i wmawiał w siebie, że jeszcze jutro będzie czas oddać dziecko Polakowi, czuł jednak, że coraz bardziej słabnie w nim wola wykonania podjętego zobowiązania.

Kiedy jednak Pippig, który wytłumaczył sobie milczenie Hófla zgodnie z własnym życzeniem, zaśmiał się do Jankowskiego: - Nic się nie martw, chłopie, znamy się na pielęgnacji dzieci - Hófel ofuknął go szorstko: - Nie gadaj głupstw!

Ale protest był oczywiście zbyt słaby, by przekonać Pippiga. Roześmiał się tylko.

Jankowski postawił dziecko na podłodze i uściśnął rękę Hófla wdzięczny, szczęśliwy, zasypując go podziękowaniami. A Hófel nie umiał się temu sprzeciwić.

Gdy Próll poszedł do Małego Lagru, Kramer polecił jednemu z więźniów zawołać Bochowa.

- Czy dogadałeś się z Hóflem? - brzmiało pierwsze pytanie Bochowa.

- Zdążę jeszcze - odpowiedział szorstko - posłuchaj lepiej, co się dzieje.

W skąpych słowach zrelacjonował Bochowowi, co wydarzyło się u Kluttiga i Reinebotha, i zakomunikował mu o rozkazie komendanta.

- Coś wietrzą, to jest jasne, ale nie wiedzą nic określonego. Jak długo widzą we mnie kierowniczą osobę, wy jesteście bezpieczni - zakończył Kramer sprawozdanie. Bochow wysłuchał go uważnie.

A więc szukają nas - dał wyraz myślom - no, pięknie! Dopóki nie strzelimy byka, nie znajdą nas. Ale to, że ty masz być kozłem ofiarnym, wcale mi się nie podoba.

- Nic się nie bój, moimi szerokimi plecami jeszcze was wszystkich zasłonię. - Bochow spojrzał badawczo na Kramera, wyczuł w jego słowach lekką ironię. Dlatego powiedział nieco zirytowany:

- Tak, tak, Walter, wiem. Mam zaufanie do ciebie, to jest my mamy zaufanie do ciebie. Czy ci to wystarcza?

Kramer odwrócił się szorstko od niego i usiadł przy stole.

- Nie!

Bochow nastawił uszu: - Co to znaczy? Kramer poszedł już na całego.

- Dlaczego mam dać dziecko na transport? U nas jest ono najbezpieczniejsze. Czy ty tego nie rozumiesz? Co się z nim stanie?

Bochow uderzył pięścią. - Nie utrudniaj mi, Walter. Dziecku nic się nie stanie.

- Tym gorzej! - Kramer wstał i zaczął chodzić po pokoju. Widać było, jak stara się opanować podniecenie, zatrzymał się i popatrzył ponuro przed siebie.

- Przy całym moim zdyscyplinowaniu, tego mam dość - powiedział głucho. - Czy nie można tego zrobić inaczej?

Bochow nie odpowiedział i rozłożył ręce na znak, że nie znajduje wyjścia. Kramer przystąpił do niego:

- Chodzi o Hofla, prawda? Bochow pominął odpowiedź.

- Dręczysz się tylko niepotrzebnie takimi pytaniami.

- Macie do mnie zaufanie? - ironizował Kramer. - Sram na to!

- Walter!

- Co tam! Nonsens! Bzdura! Ta twoja przeklęta tajemniczość! Bzik konspiracyjny!

- Walter! Do pioruna! Dla twojego własnego dobra nie powinieneś wiedzieć więcej o tych sprawach, aniżeli to jest konieczne, czy nie rozumiesz tego? Chodzi o twoje bezpieczeństwo.

- Chodzi o ochronę dziecka! Kramer spróbował prośbą:

- Nie można inaczej z tym dzieckiem? Ukryję je! No? Co? i Bądź spokojny, u mnie będzie bezpieczne.

Przez chwilę zdawało się, że Bochow ulegnie, ale potem tym gwałtowniej sprzeciwił się:

- Wykluczone, absolutnie wykluczone! Dziecko musi zniknąć z lagru natychmiast! Przyznaję, to może twarde, czego żądam, od ciebie. Oczywiście, że chodzi o Hofla. Dlaczego nie mam ci powiedzieć, skoro i tak o tym wiesz. Powiem coś jeszcze więcej, ażebyś wiedział, że nie mam bzika konspiracyjnego. Hófel tkwi w bardzo czułym miejscu. Słuchaj, Walter! W

bardzo czułym! Sjeżeli w tym miejscu łańcuch się przerwie, wszystkie ogniwa mogą się rozpaść!

Bochow milczał przez chwilę. Kramer zamilkł po jego słowach, patrząc ponuro przed siebie. By uprzytomnić Kramerowi niemożliwość spełnienia jego życzenia, Bochow podjął myśli rozmówcy:

- Zabierzesz dziecko od Hofla i ukryjesz je gdziekolwiek. Dobrze. A czy potrafisz to także zataić, że dziecko pochodzi właśnie od niego? Jakiś przypadek, znajdą dziecko...

Kramer podniósł ręce, ale Bochow nie pozwolił sobie przerwać.

- Wystarczy przypadek, Walter, mamy przecież doświadczenie. Wystarczy drobiazg, aby najpewniejszą sprawę... widzisz, dziecko... to właśnie taki drobiazg. Nie możesz go przecież pogrzebać jak martwego kota. Ktoś będzie się musiał troszczyć o nie ktoś wpadnie do bunkra... i zdradzi cię. Teraz Kramer nie dał się już powstrzymać, zaśmiał się szeroko.

- Prędzej mnie zabiją niż ja...

- Wierzę ci, Walter - odpowiedział ciepło Bochow - wierzę ci bez zastrzeżeń. Ale co wtedy, kiedy cię zabiją?

- No, co wtedy... - tryumfował Kramer.

- Wtedy jest jeszcze dziecko. I znów tryumfował Kramer:

- No więc!

Bochow uśmiechnął się boleśnie:

- Siedem tysięcy radzieckich oficerów dostało u nas strzał w potylicę i żaden z nich nie przeczuwał, że SS-man w białym kitlu lekarskim, który mierzył wzrost, jest jego mordercą...

- Co to ma wspólnego z dzieckiem? - zaprotestował Kramer.

Bochow ciągnął dobitnie:

- Od ciebie niczego się nie dowiedzą, ty będziesz milczał. Ale znasz przecież ich metody. Kto wie, czy nie zaciągną dziecka do Weimaru. Tam posadzą je jakiejś hitlerowskiej ciotki na kolana."Biedactwo, z Buchenwaldu jesteś, z lagru? Jak się nazywa ten dobry wujaszek, który ukrywał cię przed SS?"

Kramer przysłuchiwał się uważnie.

- A dobra ciotka tak długo będzie wypytywała dzieciaka po niemiecku, po rosyjsku, po polsku, zależnie od tego, po jakiemu dziecko rozumie, póki ono... A potem, Walter, nie będzie już nikogo, kto będzie mógł zasłonić Hofla swymi szerokimi plecami... - Bochow powiedział dosyć. Wetknął ręce do kieszeni i zapanowało milczenie. Wreszcie Kramer podjął ciężką decyzję:

- Pójdę... pójdę zatem do Hofla...

Przełamał się. Bochow obdarzył przyjaciela ciepłym uśmiechem.

- Wcale nie jest powiedziane, że dziecko w czasie transportu... Chodzi mi o to, że jeżeli ten Polak potrafił je aż tutaj przywieźć, może i dalej da sobie radę. Choć zawsze tak bardzo boimy się przypadków, zdajemy się tym razem właśnie na przypadek. Nic więcej nie możemy zrobić.

Kramer skinął głową. Dla Bochowa oznaczało to zakończenie sprawy.

- Jeżeli chodzi o oddział sanitarny - powiedział przechodząc do drugiej sprawy - musimy tutaj szybko zadziałać.

Jego pierwszą myślą było wykorzystać oddział sanitarny jako grupę wywiadowczą. Okazja była zbyt ponętna. Potem jednak przyszły wątpliwości. Bochow potarł szczeniasty łeb.

- Żeby tak wiedzieć, o co im chodzi.

- Ta sprawa będzie już załatwiona - zauważył Kramer - rozkaz pochodzi od komendanta.

Bochow z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Między rozkazem Schwahla a wykonaniem Kluttiga jest jeszcze różnica.

- Dlatego mówię - wpadł mu Kramer w słowo - pozostaw mnie sprawę oddziału sanitarnego. Pozostaw mi ją całkowicie, Bochow popatrzył na niego zdumiony.

- Co chcesz z tym zrobić?

Kramer uśmiechnął się chytrze. To samo, co ty.

- Co ja? udawał Bochow. - Człowieku, nie zaczynaj na nowo gry w ciuciubabkę - zirytował się Kramer - mam tego dość. Coś tam przecież kombinujesz w sprawie oddziału sanitarnego, co? - Kramer puknął się w czoło. - A może tu dzieje się to samo. - Bochow poczuł, że jest w potrzasku, potarł oburącz policzki. Kramer przycisnął go do muru:

- Widzisz? To, co nam obu chodzi po głowie, będzie chodziło też po głowie towarzyszom, których jeszcze dzisiaj wyszukamy; myślisz, że będą dopiero czekali na moje przymrużenie oka? I tak, i tak wytrzeszczają ślepia, kiedy spacerują po terenie - nie oglądając się na podziemne kierownictwo... - Potem dodał prędko, aby uspokoić Bochowa: - O którym nie będą mieli pojęcia, możesz być pewien. I tak, i tak dowiem się, co oni tam na dworze wywąchają. Po co budować jakiś skomplikowany aparat meldunkowy, kiedy u mnie wszystko dzieje się bezpośrednio.

Bochow nie od razu się zgodził, a Kramer zostawił mu czas do namysłu. Propozycja była rozsądna. Ale Bochow nie mógł się na to zgodzić bez konsultacji z MKO, w ten sposób

bowiem dotychczasowa bierna rola lageraltestera przekształcała się w czynną. Kramer dostrzegł namysł Bochowa.

- Zastanówcie się, ale prędko!

Bochow myślał już o tym, jak zorganizować natychmiastowe spotkanie MKO. Bogorskiego oraz Holendra, Petra van Dalen, można było łatwo złapać. Ale jak dotrzeć do Pribuli i Kodiczka? Znajdowali się wprawdzie w lagrze, ale pracowali na placu apelowym w jednym z baraków optycznych. Dostęp do tych baraków był surowo wzbroniony. Również z Francuzem Riomandem nie tak łatwo się porozumieć. Ten dla odmiany tkwił w komandzie kucharzy w kasynie oficerskim poza lagrem. Tych wszystkich trudno osiągalnych można było zawiadomić tylko przy pomocy kontroli przewodów. Bochow niechętnie zdecydował się na ten specjalny sposób powiadomienia, zarezerwowany tylko dla najpilniejszych wypadków. Tym razem jednak konieczność szybkiego działania, waga sprawy tego wymagała. Bochow popatrzył pytająco na Kramera:

- Czy możesz zarządzić kontrolę przewodów?

- Mogę - skinął Kramer, zdając sobie natychmiast sprawę, o co chodzi.

- Zapamiętaj więc liczby: trzy, cztery, pięć, a na końcu ósemka.

Kramer kiwnął głową.

- MKO - powiedział przebiegle.

W warsztacie obozowym elektryków jeden z więźniów stał przy śrubsztaku, piłując starannie kawał metalu. Wszedł Kramer.

- Schupp jest? - zapytał. Więzień wskazał pilnikiem za siebie na drewniane przepierzenie w głębi warsztatu, a zauważywszy niezadowolenie na twarzy Kramera, dodał:

- Nikogo tam nie ma.

Schupp siedział przy stole i majstrował coś przy werku budzika. Spojrzał na wchodzącego Kramera.

- Potrzebna jest kontrola przewodów, Heinrich - powiedział Kramer.

Schupp zrozumiał.

- Zrobione, i to już!

Kramer podszedł o krok bliżej:

- Następujące liczby: trzy, cztery, pięć, a na końcu ósemka.

Schupp wstał. Nie pytał o znaczenie cyfr. Oznaczały dla niego ważny komunikat dla kogoś. Zgarnął cały kram na stole i sięgnął po skrzynkę z narzędziami.

- Zaraz idę, Walter.

- Ale to musi klapować, słyszysz? Schiipp rzucił zgorszony:

- U mnie przecież zawsze klapuje.

Od Schiippa Kramer poszedł do Hófla. Zweiling był obecny. Kiedy zauważył lageraltestera z Hóflem przy długiej ladzie, wyszedł natychmiast ze swego pokoju.

- O co chodzi?

- Hófel ma przygotować rzeczy - odpowiedział Kramer przytomnie - jutro idzie transport.

- Dokądże? - Zweiling wysunął ciekawie język na dolną wargę.

- Tego nie wiem. Zweiling zaszczekał zębami.

- Nie opowiadajcie. Wiecie więcej od nas.

- Jak to? - Kramer udał głupiego.

- Żebym nie wpadł na wasze sposoby - powiedział Zweiling i podreptał do swego pokoju. Kramer popatrzył za nim i zamruczał:

- Ten chyba słyszy, jak kanarki doją... Potem wyszeptał przez zaciśnięte zęby:

- Przychodzę od Bochowa. Muszę z tobą pogadać. Wyjdź na dwór.

Pippig, który akurat wyszedł z paką ubrań na rękę, usłyszał ostatnie słowa Kramera i popatrzył podejrzliwie za nimi, gdy opuszczali izbę. Stali na podeście schodów, które tuż przy murze z prawa i z lewa prowadziły na pierwsze piętro. Kramer oparł się o żelazną poręcz.

- Krótko i jasno, Andre, wiem o wszystkim. Jutro idzie transport. Jankowski zabierze z sobą dziecko, jasne?

Hófel zachował się jak skazaniec, opuścił głowę.

- Nie można inaczej z dzieckiem? - zapytał cicho.

To samo pytanie zadał Kramer Bochowowi. Chyba już na całym świecie nie było innych słów dla tej sytuacji bez wyjścia. I tymi samymi słowami odpowiedział teraz Kramer:

- Wykluczone! Absolutnie wykluczone! Dopiero po dłuższej chwili Hófel zapytał:

- Dokąd idzie transport?

Udręczony Kramer stukał pięścią w poręcz. Nie odpowiadał. Hófel spojrzał na niego.

- Walter...

Kramer zaczął się niecierpliwić.

- Nie możemy tutaj tak długo stać. Sam wiesz lepiej ode mnie, co jest z tobą. Nie rób historii. Będę miał dosyć roboty z transportem i nie mogę się troszczyć o to, czy z dzieckiem będzie wszystko w porządku. A więc...

Zostawił Hófla i zbiegł ze schodów. Hófel odwrócił się i wrócił do izby.

- Czego on chciał od ciebie? - dopytywał się Pippig. Hófel nie odpowiedział. Miał ponurą twarz. Przeszedł obok Pippiga wszedł do kancelarii.

Zimny i mokry wiatr dął między barakami. Kramer zagrzebał dłonie głęboko w kieszeniach płaszcza. Przeszedł na drugą stronę drogi, z której patrząc w lewo można było ujrzeć krematorium, niesamowity budynek o tępo sterczącym kominie. Otaczał go parkan z brązowych, nasyconych karbolem desek, ukrywając całość przed wzrokiem ciekawych. Co działo się za tymi deskami? Żaden więzień tego nie wiedział, ponieważ wstęp był surowo wzbroniony. Kramer mimo to wiedział.

Jako lageraltester był już kilka razy za parkanem, gdy w nowych transportach przywożono setki zmarłych. Całe ich sterty piętrzyły się wtedy na podwórzu. Zatrudnieni jako leichentragerzy w krematorium Polacy wyciągali jedne zwłoki po drugich, obdzierając je z ubrań. Był to wartościowy surowiec, którego nie wolno było palić. Rozbieranie trupów nie było takie łatwe. Członki skurczone w walce przedśmiertelnej i skostniałe zwłoki nie oddawały dobrowolnie odzieży. Ale leichentragerzy mieli rutynę. Chwyтали za zwłoki dwójkami. Najpierw rozpinano płaszcz i marynarkę, a potem sadzano zmarłego. Jeden z więźniów przytrzymywał trupa, a drugi ściągał mu płaszcz i marynarkę. Widok przeraźliwie groteskowy! Ze zwisającą głową i wyprostowanymi ramionami zmarły wyglądał jak pijany, którego rozbiera się, by go położyć do łóżka. Skurczone palce przytrzymywały rękawy jak haki. Jednym szarpnięciem trzeba było wyrwać tę część ubrania z opornych martwych dłoni. Bywały zwłoki ubrane w elegancką jedwabną damską bieliznę. Od barwy bladłososiowej do morskiej zieleni. Dekolt odsłaniał wystającą klatkę piersiową z kłującymi obojczykami. Bezradnie leżał trup na błotnistej ziemi, wołając o litość skurczonymi ramionami i gładko ogoloną, pochyloną na bok głową. Niektóre z nich szeroko otwartymi ustami - jak czarne dziury - zdawały śmiać się z maskarady, którą ujawniło rozbieranie. Nic nie pomogło, biedak i tak zamarł.

Cęgami przecinali leichentragerzy sznurowadła składające się najczęściej z zasupłanego sznurka lub drutu, a następnie zrywali buty z nóg. Niektórym trupom musieli jeszcze ściągać parę cieniutkich damskich pończoch. Między leżącymi wokół obnażonymi trupami krążył inny więzień z obcęgami do wrywania zębów. Sprawdzał, czy w ustach nie ma złota. Protezy wrywał. Gdy okazywały się bezwartościowe, wpychał je z powrotem do czarnej jamy obcęgami. Dopiero teraz wolno było dwom następnym leichentragerom chwycić obrabowanego trupa za ramiona lub nogi, zależnie od tego, w jakiej był pozycji, i powlec do stosu obnażonych. Z wprawą kołysali zwłoki, które z klaśnięciem padały na kupę nagiego mięsa...

Kramer stanął...

Znów nad całym lagrem unosił się swąd palonego ciała. Przenikliwy zapach wżerał się w pory skóry. Wysoki komin pluł ku niebu jasnoczerwonym płomieniem. Brunatnoczarny dym unosił się strzępami nad obozem.

Kramer myślał o owej nocy sierpniowej 1944 roku. Było to na kilka dni przed amerykańskim nalotem na obóz. Wówczas też widział przez okna swego baraku czerwony blask nad kominem i myślał: „Kogo palą teraz, wśród nocy?” Nazajutrz rozszedł się po lagrze tajemniczy szept. Rozstrzelano i spalono w krematorium Thalmanna. Plotka czy prawda? Nikt nie potrafił tego dokładnie powiedzieć. Nie! Był jeden taki!

W dniu 18 sierpnia 1944 roku załoga krematorium otrzymała za pośrednictwem rapportführera rozkaz utrzymywania przez całą noc ognia w piecu. Komando na tę noc zamknięto w sypialniach na terenie krematorium. SS nie chciała świadków. Jednakże pewien polski leichentrager ukrył się przed zamknięciem za kupą węgla na podwórzu krematorium. Obserwował, jak otworzono drewniane drzwiczki w płocie. Zgraja scharführerów weszła na podwórze. Przyprawdzili jednego cywila. Był wysoki, barczysty, szedł bez płaszcza i miał na sobie ciemne ubranie. Był łysy, z gołą głową.

Obcego zaprowadzono do pomieszczenia kremacyjnego i tu padły strzały. Zgraja SS-manów zniknęła wraz z zastrzelonym w krematorium. Po kilku godzinach - tak długo trwało, zanim spaliły się zwłoki - zgraja opuściła krematorium. Odchodząc jeden z scharführerów powiedział do drugiego:

- Wiesz, kogo wsadziliśmy do pieca? To był przywódca komunistów, Thalmann.

W kilka dni później Schupp przybiegł zdenerwowany do Kramera. Schiipp przeczytał w książce meldunkowej rapportführera raport o zastrzeleniu Ernsta Thalmanna.

Kramer wpatrywał się w komin. Wysoki płomień, który i wówczas strzelał ku czarnemu niebu, przykuwając jego wzrok, ponieważ nie mógł zasnąć - i teraz zapłonął w jego sercu. Wiedział, dlaczego sztandar jest czerwony.

Gdy wchodził na schody szrajbsztuby, usłyszał głos Schiippa, rozlegający się przez głośniki w całym lagrze: „Uwaga! Próba przewodów...”

Kramer zaśmiał się cicho.

Zaraz po rozmowie z Kramerem Schiipp poszedł z przewieszoną przez ramię skrzynką z narzędziami do kancelarii rapportführera przy bramie.

Miał zaświadczenie umożliwiające mu swobodne poruszanie się. Wszędzie trzeba było coś reperować, a Schupp potrafił tak znakomicie manewrować, że stał się niezastąpiony. Wiedział, jaki efekt daje jego pocziwy sposób bycia, jego niby naiwna rozmowność, i

wykorzystywał te zalety. Gdy Reineboth, przed którym stał teraz wyprostowany, ofuknął go, czego tu szuka, odpowiedział niewinnie:

- Herr Rapportfiihrer, muszę znów zrobić próbę przewodów, w obozie kilka głośników nie działa. Reineboth, zajęty przy biurku, mruknął:

- Chyba pan znowu coś przy nich majstrował, co? Z wyrazem dziecięcego zdumienia na twarzy Schiipp odpowiedział:

- Nic przy nich nie majstrowałem. Ale teraz drut jest taki kruchy i podłączenia wciąż pękają. Co zrobić? Taki już jest towar wojenny.

- Nie pleć pan tutaj głupstw, gadaj do mikrofonu swoje brednie i wynoś się jak najprędzej.

Oznaczało to zezwolenie na naprawę urządzeń głośnikowych. Schupp podszedł do nich i włączył prąd. Prąd szumiał. Schupp dmuchnął na próbę do mikrofonu i chrząknął: „Uwaga, próba przewodów. Liczę... trzy, trzy, cztery, cztery, pięć, pięć... osiem. Powtarzam: trzy, trzy, cztery, cztery, pięć, pięć... osiem”.

Usłyszano go we wszystkich blokach i warsztatach. W baraku optyków Kodiczek i Pribula na moment podnieśli głowy. Również Henri Riomand, francuski kucharz w kasynie, z uwagą słuchał wywoływań. Trzy, cztery, pięć - te liczby stanowiły klucz i były pseudonimami poszczególnych towarzyszy z MKO. Zapowiedź informowała ich, że mają dziś wieczorem o godzinie ósmej spotkać się w znanym sobie miejscu. Riomand mieszał łyżką w garnku na kuchni. Pribula i Kodczek popatrzyli na siebie znacząco. Musiało się zdarzyć coś nadzwyczajnego.

„Próba przewodów skończona! Próba przewodów skończona!” - Schiipp wyłączył mikrofon. Reineboth, który przysłuchiwał się zapowiedzi jednym uchem, zauważył złośliwie:

- Do trzech, dzięki Bogu, umie pan jeszcze liczyć.

- Tak jest, Herr Rapportfiihrer, tyle jeszcze potrafię.

Jego okrągłe oczka wpatrywały się radośnie w eleganckiego młodziana, który znudzony dał mu znak, by się oddalił. Zadowolony wracał Schupp do warsztatu.

Członkowie MKO przybyli na umówione spotkanie, nie zwracając niczyjej uwagi. Tuż przed umówioną godziną Bochow udał się na miejsce spotkania. Było zimno i ciemno. Tylko niewielu więźniów można było zauważyć między blokami. U wejścia do poszczególnych bloków, zaciemnionych w wyniku pogotowia przeciwlotniczego, stało kilku więźniów i paliło papierosy, ukrywając zarzący się ogieniek w dłoni. Ruchliwa była tylko długa droga wiodąca od placu apelowego do rewiru. Tędy szli więźniowie na opatrunki i wracali spiesząc na bloki. Idąc przez ciemne tereny rewiru, Bochow wszedł do jednego z

baraków, który służył za skład sienników i przyborów szpitalnych. W baraku, przy blasku słabej żarówki, dwaj flegery zajęci byli, zdawało się, napychaniem sienników. Gdy Bochow wszedł, przerwali robotę i odsunęli na bok wielką kupę słomy. Niewidoczny dla oka, ukryty był w podłodze ruchomy kwadrat desek. Bochow podniósł go i przecisnął się na dół przez wąski otwór. Ci dwaj na górze uporządkowali tymczasem słomę nad zejściem. Pomieszczenie pod barakiem było piwnicą o głębokości mniej więcej metr dwadzieścia. Wzdłuż piwnicy sterczały krótkie słupy z cegły, na których ustawiono barak, a w poprzek rzędy belek podtrzymujących podłogę. Wyglądało tu jak w górniczej sztolni. Ziemia w piwnicy zasypana była kawałkami wapna, o które potykał się Bochow przechodząc w głąb.

Towarzysze z MKO skupieni wokół świeczki przerwali rozmowę i spojrzeli na wchodzącego. Przykucnął obok nich, przysłuchując się atakom na Józefa Pribulę. Nowina o ewakuacji Moguncji wskazywała na to, że Amerykanie rozbudowują przyczółek pod Remagen i idą naprzód. Dobra wiadomość. Pribula cieszył się, tłukąc pięścią w dłoń:

- Niedługo my zaczniemy rąbać!

Ale optymizm Pribuli napotkał opór innych. Kodiczek mruczał coś z przekąsem, a van Dalen poklepał Pribulę po plecach:

- Jesteś bardzo dzielny - powiedział swą rozwlekłą niemczyzną - ale też bardzo niecierpliwy.

Pribula, najmłodszy wśród nich, był rzeczywiście najbardziej niecierpliwy. Wszystko działo się dla niego zawsze zbyt wolno.

- Bardzo niecierpliwy - powtórzył van Dalen, podnosząc palec ostrzegawczo jak nauczyciel. Bogorski położył rękę na kolanie młodego Polaka i opowiedział, o czym dowiedział się od oświęcimiaków.

- Rąbać? Niedługo? - Bogorski z powątpiewaniem potrząsnął głową, pochylając się mocno do przodu. Świeca widmowo oświetlała jego rysy, złościąc ostre cienie w zmarszczkach czoła. - Z 3000 do Buchenwaldu dotarło tylko 800 - powiedział z naciskiem. Jego przeogromny cień straszył na suficie, gdy zakończył swe sprawozdanie twardym ruchem ręki:

- Ewakuacja to zawsze śmierć!

Zrozumieli, dlaczego Bogorski o tym mówi. Riomand odrzucił kawałek wapna, którym się bawił. Tylko Pribula nie chciał zrozumieć Bogorskiego.

- Ja mówić, my nie czekać, aż faszyci nas z obozu won. Ja mówić, my przeciąć druty i biegać do Amerykanów.

Bochow dyszał, pozostali podnieśli tumult. Bogorski pokręcił głową:

- Niedobrze, zupełnie niedobrze! Amerykanie jeszcze daleko. Bardzo daleko. Musimy czekać albo... jak to się mówi? - Szukając odpowiedniego wyrazu patrzył to na jednego, to na drugiego.

- Zwlekać - pomógł mu Bochow.

- Charaszo, zwlekać. - Bogorski podziękował uśmiechem i rozwijał dalej swą myśl. - Musimy codziennie informować się o sytuacji na froncie i obserwować lagrowych faszystów. Nie pójdą na walkę z Amerykanami, będą uciekać. Wtedy wybije nasza godzina.

Pribula oparł się na rękach i podjął sprzeczkę:

- Uciekać? A co będzie, jak oni strzelać? Bogorski uśmiechnął się:

- No, dobrze. Wtedy my też będziemy strzelać. Pribula wyprostował się gniewnie:

- Z taką małą ilością broni, jaką mamy. Zanim Bogorski zdążył odpowiedzieć, Riomand wpadł mu w słowo. Uprzejmym ruchem ręki przechytrzył upartego Polaka.

- Ty sam mówić, my mamy tylko parę broni. Jak ty chcesz wyłom robić z tymi parę broni? To przecież być... - pstryknął palcami, zabrakło mu niemieckiego słowa - to przecież być nonsens.

Teraz wszyscy naraz zaczęli przekonywać Pribulę, szeptki krzyżowały się wokół. Usiłowali mu unaocznić, że przedwczesna akcja może spowodować wykończenie całego lagru. Ale wszystkie te stanowcze argumenty spływały po nieprzekonanym; między brwiami miał gniewną zmarszczkę. Van Dalen poklepał go pojednawczo po ramieniu, musi przecież uwzględnić, że nie można lekkomyślnie ryzykować życiem 50 000 ludzi.

- Tylko nie roznamiętniajcie się - przerwał spór - właśnie teraz musimy być trzeźwi. Wyprostował się.

- Jest jeszcze jedna sprawa, słuchajcie, nie jestem pewien, jak mam postąpić.

Towarzysze słuchali uważnie jego relacji o oddziale sanitarnym, zwłaszcza gdy wypowiadał swoje wątpliwości. Bogorski kręcił głową. - No, dobrze - powiedział. - Oni nas szukają, Oni nas szukają już od dawna i jeszcze nas nie znaleźli. Jeżeli będą mieli nas znaleźć, to znajdą tak samo z pułapką, jak i bez pułapki. Rozumiecie? Powiadam: nie wolno nam bać się. Powiadam: musimy być zawsze bardzo ostrożni. I to musi być szesnastu mądrych towarzyszy, bardzo mądrych. Rozumiecie?

W swej nieporadnej niemczyźnie wyjaśniał towarzyszom, że to absolutnie obojętne, czy oddział sanitarny potraktuje się jako niewinną historię, czy też jako pułapkę. Decydującą sprawą jest uzyskanie możliwości obserwacji na terenie obozowym. Oddział dotrze wszędzie, do koszar, do garaży wojskowych, na tyły dywizji...

Bochow przerwał mu:

- A może chcą oni naszych właśnie tam zwabić, a gdy zamkną jednego z nich lub nawet całą szesnastkę...? A w bunkrze tak długo będą ich obrabiać, dopóki nie zdradzą, komu przekazują swoje obserwacje?

- Wystarczy, aby tylko jeden zmiękł, a wpadną na trop; całego aparatu.

Bogorski był nieporuszony.

- Niet, niet! Nix aparat, żaden aparat.

Zaproponował nawiązanie kontaktu między nim samym a jednym z kumpli z oddziału sanitarnego. Bochow też się uparł:

- A jak ciebie sypną? Bogorski uśmiechnął się:

- Wtedy nie umrze aparat, tylko ja umrę.

Wszyscy zachnęli się. Bogorski wpadł w złość. Udawał, że niebezpieczeństwo zawsze istnieje; a czyż nie jest niebezpieczeństwem utworzenie wielkiego aparatu międzynarodowych grup oporu i posiadanie broni?

- Przysięgliśmy milczeć i umrzeć, a ja chcę być tylko wierny przysiędze.

- Nie taki był sens przysięgi - sprzeciwił się Bochow.

- Czy mamy kogo innego prócz nas? - zapytał Bogorski.

- Tak - odpowiedział Bochow i przedstawił towarzyszom feropozycję Kramera, która - im dłużej o niej myślał - coraz bardziej przypadła mu do gustu. Również pozostali zrozumieli korzyści. Przede wszystkim nie trzeba było nawiązywać żadnych nowych kontaktów, ponieważ Bochow i tak miał stały kontakt z lageraltesterem. Nawet Bogorski zrezygnował ze swojego planu. Podniósł ręce do góry i powiedział pojednawczo:

- No, teraz daję się przekonać...

Spotkanie trwało mniej niż pół godziny. Uczestnicy opuszczali pojedynczo, ukradkiem miejsce narady. Rozeszli się na bloki...

Bochow przyszedł do Kramera w chwili, gdy ten miał właśnie zamiar pójść na rewir, aby zestawić oddział sanitarny, który miał składać się z sanitariuszy. Nie potrzebował wielu słów. Bochow zakomunikował Kramerowi, że towarzysze przyjęli jego propozycję. Ma przejąć oddział sanitarny. Naradzili się jeszcze, których flegerów ma Kramer wybrać. Musieli to być zaufani i wypróbowani towarzysze. Kramer poszedł na rewir. Na długim korytarzu ambulatorium tłoczył się wynędzniały tłum chorych więźniów.

Kramer precyzyjnie się między czekającymi. W ambulatorium panował ogromny ruch. Chorych wpuszczano partiami po dziesięciu. Powietrze było tu nie do wytrzymania - nasycone kwaśnym zapachem ichtiolu pomieszanym z buchającym wskutek gorączki odorem z ran. Flegerzy odziani w podniszczone białe lniane fartuchy załatwiali więźniów. Pracowali

w milczeniu i z rutyną. Zrywali zbrudzone i podarte papierowe bandażę z kończyn, czyścili otwarte i obrzękłe rany, otoczone czarnym pierścieniem stwardniałego ichtiołu, po czym drewnianą paletką zasmarowywali ranę nową porcją maści. Szybko i sprawnie owijali ranę nowym bandażem, jak doniczkę papierową otoczką. Nie padło przy tym niemal ani jedno słowo.

Trzeba było wykorzystać krótki czas między wieczornym apelem a gwizdkami na noc. Łagodnym pchnięciem w krzyż odsunął fleger pacjenta.

- Gotów! Następny!

Następny opuścił już spodnie, pokazując z niemą prośbą flegerowi czarnosiną egzemę na wychudłym udzie. Skierowano go do szeregu tych, którzy czekali już przy stole operacyjnym. Pokuśtykał więc w tamtym kierunku, przytrzymując opadające spodnie.

Chirurgiem był Erich Kóhn, pierwszy fleger, komunista i były aktor. Nie miał nawet czasu spojrzeć na chorego leżącego na stole operacyjnym - mocnym drewnianym stole z poduszką z czarnej ceraty pod głowę. Kóhn widział tylko wrzody i guzy, w czasie gdy jego asystenci nakładali choremu maskę z eterem, taksował je, zastanawiając się nad cięciem podłużnym lub poprzecznym, i już skalpel przecinał chore mięso. Kciukami wyciskał ropę i czyścił ranę. Asystent czekał już z ichtiolem i bandażem; natychmiast kończono opatrunek.

Inny asystent następnie sadzał pacjenta i doprowadzał go do przytomności przy pomocy paru policzków z lewa i prawa. („Nie bierz mi tego, chłopie, za złe, nie mamy czasu czekać, aż sam oprzytomniejesz”.)

Tak gwałtownie rozbudzony pacjent, jeszcze całkowicie otumaniony, zląził ze stołu i nieprzytomnie zataczał się na ławę pod ścianą. Tu mógł już posiedzieć wraz z innymi, którym przypadło w podobny sposób przeczekiwać oszołomienie. Nikt się o nich nie troszczył. Od czasu do czasu tylko któryś z flegerów eksmitował ich z ławy.

- No, chłopie, trzymasz się już? No, to jazda, idź, zwolnij miejsce!

Z wewnętrznym sprzeciwem Kramer przyglądał się temu procederowi. Chętnie i ulegle kładli się chorzy na stół. Pożądliwie wdychali narkotyki. Chodziło o to, kto będzie pierwszy: sen czy nóż... osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia je... niektórzy jęczeli, nóż był szybszy.

Na widok Kramera Kóhn skinął mu tylko i nie troszczył się więcej o niego, chociaż zdawał sobie sprawę, że lageraltester chce z nim pomówić. Jeszcze trzy operacje i na dzisiaj koniec. Podeszedł do Kramera i razem udali się do pokoju flegerów, po czym wziął się do mycia rąk. Kramer, jeszcze pod wrażeniem, zauważył:

- Jak ty to robisz...

Wycierając dłonie Kohn usiadł na ławce obok Kramera i uśmiechnął się chytrze:

- Taak... jak to się robi...

Jako chory na żołądek przed laty dostał się na rewir, flegerzy postawili go na nogi i - tu już pozostał. W następstwie stał się na wpół medykiem i wreszcie zmuszony przez konieczność nauczył się operować. Teraz ciął już jak lekarz.

- Taak... jak to się robi... - Trochę próżności tkwiło w tych słowach.

Tak jak był skąpy w słowa i skoncentrowany na sali operacyjnej, tak samo potrafił być beztroski i swobodny, gdy praca była skończona. Szczupły czterdziestoletni mężczyzna obdarzał swoich przyjaciół na rewirze niejedną dobrą godziną, nawiązując do swych wspomnień teatralnych, a w izbie chorych rozdmuchwał niejedną zaledwie tłącą się iskrę swą zaraźliwą radością życia.

- No, chłopie - zachęcał chorego, podchodząc do jego łóżka - mówiłem ci przecież, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, i ty też wyjdiesz...

Teraz jednak siedział poważny i zamyślony obok Kramera.

- Tak, tak - kiwał głową, gdy Kramer wyjaśnił mu cel odwiedzin - zaczyna się to od blitzkriegu, a kończy na więźniarskim oddziale sanitarnym. Najpierw fanfary zwycięstwa, a potem wycie syren alarmowych...

Wstał i zawiesił ręcznik na gwoździu.

- Narodzie niemiecki, jakież z ciebie głupie bydlę, tak na ogół biorąc. Najpierw zaciemniasz sobie mózgi, a potem okna.

Zaśmiał się gorzko. Nagle odwrócił się do Kramera, a spojrzenie jego nabrało ostrości:

- Bez wartowników za postenkettą? Człowieku, to przecież...

- Dlatego też chcę z tobą pogadać - odpowiedział Kramer.

Kóhn usiadł zaintrygowany obok niego i rozmawiali długo, póki Kramer nie musiał wyjść z rewiru, by odgwiszać noc. Szesnastkę flegerów do oddziału - wybrali.

- Nie mów im jeszcze o tym - radził Kramer - sam z nimi pogadam.

Nazajutrz rano Pippig przyniósł listę transportową. Oddał ją Hóflowi z zatroskaną twarzą. Ten wziął ją w milczeniu. Od chwili przybycia dziecka coś się między nimi popsulo. Zapanowała jakaś obcość.

Hofel, zazwyczaj przyjazny, stał się skąpy w słowach, zwłaszcza gdy chodziło o dziecko. Pozostawał niewzruszony wobec wszelkich prób Pippiga przekonującego, że dziecko można zostawić w lagrze. Nie było między nimi w zwyczaju doszukiwać się powodów

różnicy zdań. Jeden ufał lepszej orientacji drugiego. W sprawie dziecka Pippig nie potrafił jednak zrozumieć przyjaciela. Jemu wydawało się to wszystko zupełnie proste.

Fronty zbliżały się coraz bardziej do obozu. Tak czy owak - długo nie mogło to już potrwać. Albo będą wkrótce wszyscy wolni, albo martwi. Trzeciej możliwości nie było.

Cóż było prostszego, jak zatrzymać tutaj dzieciaka do chwili, kiedy szala przeważy albo w jedną, albo w drugą stronę? Mogło najwyżej pójść razem z nimi na wolność lub zginąć.

Z tego prostego powodu Pippig nie chciał zrozumieć, dlaczego Hofel tak zdecydowanie żąda odesłania dziecka. Czyżby się bał?

Hofel rzucił listę na ladę.

- Przygotuj ubrania. Gdy w czasie obiadu będziemy je wydawać, sprowadzisz Polaka i oddasz mu walizkę - powiedział powściągliwie. Pippig wsunął ręce do kieszeni spodni i zmrużył oczy.

- Pustą walizkę oczywiście? - pytanie stanowiło atak. Hofel spojrzał mu ostro w twarz.

- Nie! - Powiedział krótko, chcąc odejść. Pippig chwycił go za ramię.

- Dziecko zostanie tutaj!

Hofel odwrócił się: - O tym nie ty decydujesz.

- I ty też nie! - odpalił Pippig.

Popatrzyli na siebie twardym wzrokiem, obydwom krew uderzyła do głowy.

- Boisz się? - zapytał Pippig zjadliwie. Hofel odwrócił się z pogardą.

- Nie gadaj głupstw!

Pippig ponownie chwycił go za ramię i prosił:

- Zostaw dziecko tu, Andre. Nie musisz się o nic troszczyć, biorę na siebie całą odpowiedzialność. Hofel zaśmiał się sucho:

- Odpowiedzialność? A jak się sypnie, kogo wezmą za dupę: Ciebie czy mnie? Mnie, kapo. Nic z tego, dziecko odeślemy z tamtym Polakiem. - Zostawił Pippiga i poszedł do kancelarii.

Pippig spojrzał ze smutkiem za nim. Teraz było dla niego jasne: Hofel boi się. Ogarnęła go fala złości i pogardy. Dobrze. Jeżeli on się boi i nie chce ryzykować, to już ja się zatroszczę, by dziecko trafiło w bezpieczne miejsce. Musi stąd zniknąć, i to natychmiast. Jeżeli ukryje je gdzie indziej, Hofel nie może już mieć do niego pretensji. Pippig westchnął zatroskany.

Gdzie je podziąć? Nie wiedział jeszcze, ale to nie miało wpływu na jego decyzję.

Trzeba to omówić z Kropińskim, coś już się znajdzie.

Hóflowi niełatwo było tak spławić dzielnego Pippiga, zdawał sobie też sprawę, co ten o nim myśli.

Jedno słowo i Pippig zrozumiałby wszystko. Ale to słowo nie mogło zostać wypowiedziane...

Potem przyszedł Kramer. Odszedł z Hóflem w kąt.

- Transport odchodzi po obiedzie. Hófel skinął głową.

- Mam już listę.

- Co jest? - dopytywał się Kramer. Hófel odwrócił od niego wzrok ku oknu.

- Co ma być? - odpowiedział wzruszając ramionami.

- Dziecko oczywiście też idzie.

Kramer, wyczuwając ból w głosie Hófla, chciał mu powiedzieć jakieś dobre słowo.

- Czy ja nie rozumiem? - niemal wrogo najechał nań Hófel. Kramer z kolei nie chciał dopuścić do sprzeczki; sam zmuszał się do bezwzględności, która sprawiała mu ból. Dlatego skinął tylko głową, wyciągnął rękę do Hófla i powiedział, jakby przepraszając:

Ja o tę sprawę więcej się nie troszczę, żebyś wiedział. To już twoja rzecz.

Poszedł.

Hófel spojrzał ponuro za nim. Wszystko było teraz jego rzeczą. Znękany poszedł do kąta w głębi magazynu. Dziecko siedziało na swoim legowisku i bawiło się "kolorowymi obrazkami", to jest starą kartą do gry, którą mu przyniósł Kropiński.

Kropiński, który kręcił się koło dziecka, spojrzał z wdzięcznością na Hófla. Hófel zsunął czapkę na tył głowy i potarł czoło.

Dziecko przyzwyczało się już do niego i powitało uśmiechem. Ale Hófel pozostał dziwnie poważny. Jego wzrok prześliznął się po dziecku. Powiedział do Kropińskiego głosem, który jemu samemu wydał się obcy:

- Musisz oddać dziecko temu Polakowi. Kropiński chyba nie zrozumiał go dobrze, dlatego Hófel dodał szorstko:

- On dziś idzie na transport. Kropiński podniósł się powoli.

- Na transport?

Hófel napierał ze złością, chciał z tą sprawą jak najprędzej skończyć.

- Co w tym dziwnego?

Kropiński mechanicznie potrząsnął głową. W transporcie nie było nic dziwnego. Ale dlaczego Hófel jest tak zły na niego?

- Dokąd transport? - zapytał Kropiński. Twarz Hófla przybrała jeszcze bardziej ponury wyraz; odpowiedział grubiańsko:

- Nie wiem. Rób, co ci mówię!

Oczy Kropińskiego rozszerzyły się nagłym strachem. Na wargach zaczął się formować sprzeciw, ale nie powiedział ani słowa, wpatrując się z pustym, fatalistycznym uśmiechem w ponurą twarz Hófla. Ten bał się stracić panowanie nad sobą i krzyknął na Kropińskiego:

- Bierz dziecko, zanim Zweiling przyjdzie i... i...

Kropiński pochylił się, wyjął "kolorowe obrazki" ostrożnie z rączek malca, złożył je troskliwie i wziął dziecko na rękę.

Gdy już wychodził, Hófel pogłaskał miękkie włoski dziecka.

Twarz Kropińskiego rozświetliła się nadzieją, skinął zachęcająco Hóflowi, a w jego głosie zabrzmiała wielka prośba:

- Przypatrz się dobrze temu dziecku - powiedział miękko - ma takie ładne oczy i mały nosek, małe uszki, i małe rączki... Wszystko jeszcze takie małe...

Hóflowi zrobiło się gorąco, coś zaczęło dławić pierś. Łagodnie opuścił rękę, jak gdyby okrywał czymś twarz dziecka. - Tak, tak, małe żydowskie dziecko z Polski...

Kropiński ożywił się i potrząsnął głową.

- Co znaczy dziecko z Polski? Dzieci są na całym świecie, wszędzie. Trzeba kochać dzieci i chronić... Zrozpaczony Hófel począł kłąć.

- Cholera jasna! Nie mogę przecież inaczej. Kramer polecił mi... on zażądał, żebym to dziecko...

Kropiński przerwał mu z błyskiem w oczach:

- Ty nie słuchać Kramera. Kramer jest twardy człowiek. Ty patrzeć na Armię Czerwoną. Jest coraz bliżej, coraz bliżej, i Amerykanie też. No, co będzie? Jeszcze parę tygodni i wszyscy faszyci precz, a my wolni... małe dziecko też.

Hófel zacisnął wargi, aż zbieleły. Patrzył tępo przed siebie, jakby wszystkie myśli zeń uciekły. Wreszcie ocknął się i uczynił ruch, jakby coś ścierał, może dręczące myśli?

- Namysliłem się - powiedział zupełnie innym tonem - nie możesz teraz zanieść dziecka temu Polakowi. Co on z nim pocznie? Przy transporcie jest ogromny bałagan. Poczekaj do popołudnia.

Kropiński odetchnął z ulgą.

Tymczasem Kramer poszedł na rewir, gdzie w jednym z pomieszczeń czekało już na niego szesnastu wybranych do oddziału sanitarnego flegarów. Nie wiedzieli jeszcze, po co ich tu zebrano, miał im o tym dopiero zakomunikować nadchodzący szybkim krokiem Kramer. Zaczął bez ogródek:

- Koledzy, od dzisiaj jesteście oddziałem sanitarnym. Flegery otoczyli go zaciekawieni. Znał ich wszystkich; byli to młodzi ludzie, odważni i odpowiedzialni, długoletni więźniowie.

- Co to jest oddział sanitarny?

W niewielu słowach wyjaśnił Kramer sens zarządzenia. W razie ataku na obóz będą użyci jako sanitarny personel pomocniczy dla SS.

- Mamy ich chyba zamelinować? - zauważył sarkastycznie jeden z flegerów. Inni roześmieli się i przysłuchiwali z zainteresowaniem informacjom Kramera o wyposażeniu w stalowe hełmy, maski gazowe i apteczki polowe i o tym, że znajdują się bez straży za postenkettą...

- Człowieku, człowieku! - krzyczeli flegery jeden przez drugiego. - Tego jeszcze nie było. - Kramer zacisnął wargi skinął porozumiewawczo.

- Zbliża, się koniec - powiedział.

- A ci na górze zaczynają się denerwować? Co? - zapytał inny. Kramer znów skinął.

- Nie muszę wam wiele mówić, sami rozumiecie, o co chodzi - popatrzył na każdego z osobna i ciągnął:

- To my wybraliśmy was, a nie ci tam, z góry. Dla nich nie jesteście niczym innym, tylko oddziałem sanitarnym, zrozumiano?

Przerwał. Szesnastka zrozumiała natychmiast, że chodzi tu o coś specjalnego, a gdy Kramer mówił dalej - ciszej i dobitniej niż poprzednio - pojęli.

- Otwierajcie szeroko oczy, rozglądajcie się, dostęp będziecie mieli wszędzie. O tym, co zobaczycie, opowiecie Erichowi Kóhnowi, on przejmie kierownictwo. O wszystkim innym mówiliśmy już.

Kóhn skinął na znak zgody.

- Słuchajcie! - Kramer obracał się w kręgu więźniów -;najostrzejsza dyscyplina, absolutne milczenie. Żeby ci na górze nie mogli się do was przyczepić. Zrozumieliście mnie?

Przyglądał się im w milczeniu. Znali Kramera i nie pytali o nic więcej; zadanie było jasne.

Kramer poszedł z nimi na bramę.

Reineboth przyjął ich z drwiącym uśmiechem. Wyszedł z kancelarii, stanął przed szesnastką, naciągając z lubością żółte rękawiczki ze świńskiej skóry. Eleganckim krokiem przeszedł wzdłuż szeregu. Więźniowie stali na baczność, żaden mięsień nie drgnął.

Uśmiech Reinebotha nabrał złośliwości.

- Wybraliście chyba najlepszych? - zwrócił się do Kramera. - Najlepszych, rapportfiihrer, tak jest! - odpowiedział Kramer nieustraszenie. Pytanie i odpowiedź były wystarczająco dwuznaczne.

- Mam nadzieję, że zakomunikował pan swoim towarzyszom na wszelki wypadek, co stanie się w obozie, jeżeli choćby jeden z nich zwieje?

- Tak jest, rapportfiihrer, udzieliłem więźniom należytych informacji.

- Znakomicie - odpowiedział Reineboth z układną dwuznacznością.

- Kto jest dowódcą od tych spraw? Kohn wystąpił naprzód: - Ja!

- Aha! - Reineboth wsadził wskazujący palec w dziurkę od guzika eleganckiego płaszcza i zabębnił palcami.

- Kóhn. Oczywiście. Zawsze jest, gdy się coś dzieje. Kramer wziął Kóhna w obronę i wyjaśnił:

- On jest pierwszym flegerem na rewirze.

- Aha - powiedział Reineboth - taki to ma związek. Ruchem głowy dał znak Kramerowi, że go już nie potrzebuje, i pozwolił oddziałowi odmaszerować.

Tych dwóch w kacie nie przypuszczało, że już sporą chwilę ktoś ich potajemnie podsłuchuje: Zweiling.

Nieoczekiwanie przyszedł do magazynu. Pippig stojący w przejściu między workami z ubraniami i obserwujący uważnie kąt nie spostrzegł go. Zweiling natomiast wchodząc poznał natychmiast po zachowaniu Pippiga, że w głębi coś się dzieje. Cicho podszedł do zaskoczonego Pippiga i zapytał go:

- Czego się gapisz?

Pippig obrócił się nagle i przerażony spojrzał na otwarte usta Zweilinga. Scharfijhrer uśmiechnął się bezbarwnie i powiedział; chytrze:

- A teraz bądź zupełnie cicho.

- Herr Hauptscharfiihrer...

- Będziesz cicho! - Zweiling syknął groźnie na Pippiga na palcach prześliznął się w kąt. Zatrzymał się nad słuchując, iófel i Kropiński nie zauważyli go, wychodząc z kąta i zastawiając wejście do skrytki kupą worków. Dopiero gdy chcieli wejść, spostrzegli nagle naprzeciw siebie scharfiihrera. W Hóflu [krew zastygła, serce zmieniło się w sopel lodu. Ale opanował się natychmiast. Spokojnie wskazał Kropińskiemu na worki i powiedział do niego na pozór obojętnie:

- ' A te łachy ustawisz tutaj. Zweiling również udawał obojętność.

- Przekładacie rzeczy?

- Tak jest, Herr Hauptscharführer, żeby mole się nie dostały. Kropiński przytomnie przesunął jeszcze jeden worek przed wejście.

Zweiling przystąpił szybko do Kropińskiego, pchnął go kolanem w krzyż i odsunął worek na bok.

Pippig stał zdrętwiały i przyglądał się Zweilingowi znikającemu w kącie. Milcząco, oczami porozumieli się Hófel i Kropiński, zdając sobie sprawę z grozy sytuacji.

Gdy Zweiling zjawił się, dzieciak uciekając przed SS-manem ukrył się w kąciu. Teraz podszedł i Hófel.

Usta Zweilinga skrzywiły się w głupawym uśmiechu, tak że zmarszczki utworzyły jakby koronę wokół podbródka.

- Tak, jasne - powiedział chytrze - tu są mole...

Ta niebezpieczna przyjacielskość przestrzegła Hófla, zdecydowanego na natychmiastową ingerencję w razie potrzeby. Jeżeli można tu było coś jeszcze uratować, to tylko odwagą i bezwzględną otwartością.

- Hauptscharführer - zaczął Hófel.

- Co takiego?

- Chciałbym panu wyjaśnić...

- No, tak, oczywiście musi pan to uczynić. - Zweiling wskazał czubkiem buta na dziecko.

- Niech pan tego mola weźmie od razu ze sobą.

Kropiński ruszył za nimi i wszedł również do pokoju scharführera. Hófel postawił na ziemi dziecko, które natychmiast bojaźliwie wpadło w kąt. Zweiling zrobił w kierunku Kropińskiego odpychający ruch ręką. Kropiński musiał opuścić pokój.

Gdy tylko Zweiling, pozostawszy sam na sam z Hóflem, usiadł za biurkiem, od strony bramy zawyła syrena. Ryczała jak dzikie zwierzę. Zweiling spojrzał w okno. Hófel wykorzystał nadarzającą się okazję, by odwrócić uwagę.

- Alarm lotniczy, Herr Hauptscharführer. Czy nie pójdzie pan do schronu?

Zweiling wyszczerzył zęby. Wyglądało, jakby się chciał uśmiechnąć.

- Nie, tym razem zostanę z wami na górze.

Zapalił papierosa, zaciągnął się i patrzył przed siebie. Szczęknął zębami. Wyglądało, że się nad czymś zastanawia.

Hófel, przygotowany na wszystko, śledził dziwne zachowanie Zweilinga. Wreszcie Zweiling zwrócił wzrok na Hófla, a w jego spojrzeniu było coś taksującego:

- Wczoraj byli nad Erfurtem - powiedział nagle Zweiling. Hófel milczał."Czego on chce ode mnie?" - myślał. Zweiling wysunął język na zwisającą dolną wargę, mierząc wzrokiem więźnia, który stał przed nim na pozór obojętnie. SS-man powiedział po chwili:

- Właściwie to ja was zawsze dobrze traktowałem... Zmrużył przy tym powieki w oczekiwaniu odpowiedzi. Ale Hófel uparcie milczał, nieświadom intencji Zweilinga.

Zweiling wstał, poszedł w kąt, gdzie wpełził dzieciak, przykucnął i pustym wzrokiem przyglądał się przez chwilę malcowi, a potem dotknął go ostrożnie czubkiem buta. Napięcie Hófla wzrastało.

W magazynie przy długiej ladzie stali Kropiński i Pippig. Zajęci byli rzeczami odchodzącego transportu, ale obserwowali jednocześnie, co dzieje się obok. Oczekiwali dramatycznej sceny i dziwili się, jak cicho jest w pokoju Zweilinga. Teraz zobaczyli, jak ten podchodzi do Hófla i mówi coś do niego na pozór przyjaźnie. Co się tam działo?

W istocie Zweiling podszedł do Hófla z szerokim uśmiechem.

- Jeżeli zechcę - powiedział - jeżeli zechcę, będziesz jeszcze dziś wieczorem w bunkrze... - łypnął uprzejmie okiem, czekając na reakcję Hófla.

Dwójka przy ladzie zobaczyła, jak Zweiling, szczerząc zęby, przesunął wskazującym palcem po gardle.

- Ty, zaczyna być krucho - syknął przerażony Pippig do Kropińskiego. Twarz Hófla była nieporuszona. Stał nieruchomo przed Zweilingiem, ale w głowie jedna myśl goniła drugą:"On czegoś chce ode mnie".

Naraz Zweiling nastawił uszu. Złowrogi pomruk eskadr lotniczych był teraz dokładnie nad nimi. Przez dłuższą chwilę słuchał złowrogiego warkotu, a potem spojrział znowu na Hófla. Popatrzyli sobie w oczy bez słowa, każdy zajęty własnymi myślami. Twarz Zweilinga była zbyt pozbawiona wyrazu, by móc odzwierciedlać myśli; tylko błyszczące oczy wskazywały, że coś tam dzieje się w tępej mózgownicy.

- Ale ja nie chcę... - powiedział po dłuższej chwili milczenia.

- Gdybym wiedział tylko, czego on od niego chce - szepnął zdenerwowany Pippig, a Kropiński odszeptał:

- Pośle go do bunkra?

Hóflowi zastygła krew uderzyła nagle do głowy. Naraz zrozumiał sens zachowania się Zweilinga. Niespodzianka była tak wielka, że nie był w stanie nic odpowiedzieć. Zweiling zauważył, że Hófel go zrozumiał. Przestraszony własną odwagą, odwrócił się od Hófla, usiadł ponownie za biurkiem i zaczął grzebać w nim bezmyślnie. Badawcze spojrzenie Hófla wzmagało jego niepewność, ale teraz nie miał już drogi odwrotu.

Decydujące słowo padło.

Jeszcze o ton bardziej porozumiewawczo dodał:

- Jak długo jest tu ukryte, jest bezpieczne...

Teraz zostało to wypowiedziane jeszcze bardziej jednoznacznie.

W umyśle Hófla jedna myśl goniła drugą. Wszystko, co ciążyło na nim dotychczas, zniknęło za jednym zamachem. Ujrzał obecnie możliwość bezpiecznego ukrycia dziecka. Uczynił nagły krok w kierunku Zweilinga. Ale ten się przestraszył. Surowo pogroził więźniowi palcem i powiedział:

- Ale jak się dasz złapać, to ty będziesz leżał, a nie ja. Zrozumiałeś?

Odrzucając wszelką ostrożność, Hófel odpowiedział:

- Zrozumiałem pana bardzo dobrze.

W obawie, że posunął się już zbyt daleko, Zweiling wziął się w garść, mówił znów zwykłym tonem, rozkazującym. Gwałtownym ruchem głowy wskazał na dziecko:

- Precz z tym!

Hófel wziął dziecko na ręce i chciał opuścić pokój. Był już przy drzwiach, kiedy Zweiling go wstrzymał:

- Hófel!

Popatrzyli na siebie, taksując się nawzajem. Zweiling zmrużył oczy:

- Chcesz przecież stąd wyjść żywy, co?

Krótką chwilą obustronnego przyczajenia. Hófel odpowiedział:

- Tak, jak i pan, hauptscharführer.

Szybko opuścił pokój.

Pippig zauważywszy podniecenie Hófla, gdy ten mijał ladę, przezornie wstrzymał się z pytaniami. Hófel zmusił się do spokoju.

- Zanieś je z powrotem do kryjówki - powiedział do Kropińskiego, podając mu dziecko. Kropiński chciał o coś zapytać, ale Pippig syknął:

- Zabieraj, prędko!

Kropiński przycisnął dziecko do siebie i pospieszył do schowka.

Nie tylko uniknęli grożącej katastrofy, lecz zamieniła się ona w sytuację, której w tej chwili nie sposób jeszcze było ogarnąć. Hófel nie był zdolny nic wyjaśnić. A Pippig wcale tego nie potrzebował. Po spojrzeniu, które skierował na Hófla, można było się domyślić, że wiedział, co wydarzyło się w pokoju Zweilinga. Nie zamienili ani słowa. Hófel odwrócił się i poszedł do szrajb-sztuby, jakby go ktoś popychał. Pippig dał mu spokój i pozostał na miejscu.

Zweiling obserwował ich ze swego okna złymi i nienawistnymi oczyma. Stall się teraz jego współnikami. Dławiła go wprost chęć, by rzucić się na nich i wrzasnąć, ukrywając w ten sposób za zwykłym upojeniem władzą własny strach. Ale wzdrygnął się nagle, zupełnie wyraźnie usłyszał z oddali łoskot wybuchów spadających bomb, jeden po drugim. Z bojaźliwie otwartymi ustami wpatrywał się w przestrzeń, nasłuchując. Nerwowo potarł policzek, jakby był nie ogolony.

Alarm lotniczy zaskoczył szesnastkę więźniów ustawionych w niezwykłym przebraniu w szeregu przed kancelarią komendanta, któremu mieli być przedstawieni.

W obozie więźniowie pędzili na bloki. Na drogach wiodących do lagru ożywiło się. Poszczególne komanda ustawiły się i wracały biegiem do obozu. SS-mani szybko wycofywali się do swych schronów.

Wskutek alarmu zebrali się w kancelarii komendanta wyżsi oficerowie. Kiedy Reineboth wszedł, by zameldować gotowość oddziału sanitarnego, Schwahl zwrócił się do niego nerwowo:

- Co takiego? Ach, tak!

Zrobił ruch ręką, który miał oznaczać, że nie czas teraz na wygłaszanie przemówień. Niech ta szesnastka natychmiast rozpocznie służbę.

Powietrze wypełnione było pomrukiem eskadr lotniczych. Gdzieś w pobliżu słychać było wybuchy...

Reineboth wyszedł z kancelarii i przekazał rozkaz komendanta oddziałowi sanitarnemu na swój lekceważący sposób:

- Do roboty!

Kohn zakomenderował:

- Oddział sanitarny, baczność! Oddział znieruchomiał.

- W lewo zwrot! Biegiem... marsz!

Reineboth sceptycznie popatrzył na biegnących, westchnął i szybko udał się do schronu.

Gdy szesnastka przechodziła przez teren obozowy, jak okiem sięgnąć nie było widać żywej duszy. Mrugali do siebie porozumiewawczo spod dziwacznych ochronnych nakryć głowy.

Nad nimi warczały eskadry, przelatujące nad obozem gęsiego. Eskadra za eskadrą. Wybuchy grzmiały i przewalały się.

Gotha czy Erfurt?

Dotarłszy do zewnętrznej postenketty, Kohn zameldował swój oddział postenfuhrerowi. Wyglądało na to, że przekazywanie zadań jego "ludziom" sprawia mu specjalną przyjemność.

- Czterech ludzi do koszar SS! Czterech ludzi do posiłków dywizji! Czterech - do garaży wojskowych! A reszta ze mną do budynków zarządu. W ciągu dziesięciu minut po odwołaniu alarmu oddział w pełnym składzie zbiera się tu, na miejscu. Zrozumiano?

- Jawohl! - zabrzmiało mocno, chóralnie.

- Rozejść się, marsz, marsz!

Rozprysnęli się, zdążając w podanych kierunkach, a postenfihrer pozostał milczący nie mając tym razem nic do rozkazywania.

Hófel usiadł za swoim biurkiem wpatrując się w leżącą przed nim listę transportową. Na szczęście więźniowie w kancelarii nie zauważyli poprzednich wydarzeń, tak że uniknął ciekawych pytań. Hófla poruszyła nie tyle podstępna propozycja Zweilinga, ile nieoczekiwana możliwość uratowania dziecka. Kusząco łatwa i prosta. Jednak coś szarpało się w nim i nurtowało w piersi. Dopiero przecież przed chwilą przyrzekł Kramerowi usunąć dziecko z lagru. I ten zawierzył jego słowu. Jeśli je złamie? Jeżeli potajemnie zatrzyma dziecko w lagrze? Zweilinga nie potrzebował się już obawiać. Hófel wpatrywał się w kolumnę liczb na liście. Każdy numer oznaczał człowieka, a jednego z nich brakowało - dziecka. Nie miało numeru. Nie było go. Trzeba je było wsadzić tylko do walizki i... Jeden spośród tysiąca przekraczających po południu bramę dźwigałby coś ze sobą... Hófel zamknął oczy. Czyż dokładne wypełnienie obowiązku nie było najlepszym alibi przed własnym sumieniem?

Ale tu wróciło znów dręczące poczucie winy. Znów miał Hófel uczucie, że z odległej dali wpatruje się w niego dwoje oczu, nieruchomo i uparcie. Czy były to oczy dziecka? Czy były to oczy jego żony? Przez wszystkie lata pozbawienia wolności Hófel nie czuł się tak samotnie, jak teraz.

Uciekł przed kuszącą propozycją. Uciekł przed niemą prośbą oczu Pippiga. Tylko przed samym sobą nie mógł uciec, aczkolwiek czuł, że jest zbyt słaby, by samemu rozstrzygnąć.

Wyszedł do Pippiga. Pippig stał jeszcze przy ladzie, jakby czekał na niego. W powietrzu trwał nieprzerwany warkot. To musiał być tym razem potężny nalot. Zweiling stał przy oknie obserwując niebo. Jedno spojrzenie przekonało Hofla, że nie może być widziany przez Zweilinga. Powiedział krótko do Pippiga:

- Chodź ze mną!

Poszli w ką. Kropiński, który był przy dziecku, podszedł do nich. Był uosobieniem napiętego oczekiwania. Hofel zrobił wieloznaczący ruch głową w kierunku pokoju SS-mana:

- Zaproponował mi, żeby dziecko tu zostało.

- Aha - zauważył Pippig sucho - jako okup, gdyby poszło inaczej. Wcale niegłupio. A ty, co ty?...

Hofel wzruszył niezdecydowanie ramionami. Pippig zaczął się złościć.

- Czego ty się boisz? Masz go teraz w łapie, nie może sypnąć!

Hofel, niezdecydowany, wysuwał słabe zastrzeżenia.

- Jeżeli zatrzymamy dziecko, będzie uważał, że zgodziliśmy się na jego propozycję...

Pippig odpowiedział: - A niech... wszystko jedno! - i krótko zdecydował: - Dziecko zostanie tutaj!

Reszką woli chciał się Hofel sprzeciwić, ale w tej chwili Kropiński poklepał go po plecach:

- Dobry z ciebie kolega!

Hofel bez słowa wsadził ręce do kieszeni, zwyciężony, i uśmiechał się gorzko, myśląc o swym niezdecydowaniu.

Wciąż jeszcze trwał alarm lotniczy. Więźniowie w blokach skupili się wokół wielkich pieców, dających jednak ciepło tylko na niewielką odległość, ponieważ oszczędzano opału. Dodatkowe ciepło wydzielały ciała ludzi stłoczonych na małej przestrzeni. Niektórzy spali oparci ramionami o stół, a hałas panujący wokół wcale im nie przeszkadzał. Obóz był jak wymarły, a wielki plac apelowy puściutki. Również przy bramie nic się nie ruszało. Tylko na wieżyczkach wokół lagru postenowy przestępowały z nogi na nogę i spoglądały w niebo.

Teren koszar załogi SS patrolowało czterech więźniów z oddziału sanitarnego. Szli równym krokiem między blokami koszarowymi, ale oczy mieli szeroko otwarte. Ile gmachów było obsadzonych?

Inna grupa szła wzdłuż terenu leśnego na północ od obozu. O ile las na to pozwalał, można było stąd widzieć spory szmat Turyngii. Zezem obserwowani przez postenów, czterech więźniowie maszerowali wzdłuż płotu.

Również oni mieli swoje zadanie. Gdzie było najlepsze miejsce - biorąc pod uwagę położenie obozu, wieżyczki wartownicze i las - do wypadu z lagru? Radzieckie hełmy ukrywały przed postenami wypatrujące oczy. Chwilami czwórka zatrzymywała się, by przerwać jednostajność wielogodzinnego patrolowania rozejrzeniem się po okolicy. Ale ten niewinny rzut oka oznaczał ocenę i pomiary. Nie słyszani przez postena z góry, wymieniali szeptem spostrzeżenia.

Dopiero po południu odwołano alarm. Przeciagle i jęcząco zawyła syrena. Obóz ożył. Z wszystkich bloków wysypali się więźniowie.

Przy kuchni brzęczały kotły ze spóźnionym obiadem - nędzna, wystygła zupa. Również przy bramie poruszyło się i wkrótce Reineboth zażądał przez mikrofon ustawienia transportu przy bramie. Rozkaz podziałał na Mały Lager jak kij wetknięty w mrowisko. Więźniowie tłoczyli się koło końskich baraków. Była odwilż, kręcący się więźniowie człapali w błocie i kałużach. Blokowi i sztubowi starali się wprowadzić porządek, wybrnąć z tego bałaganu, krzyczeli, pchali, poganiali, aż wreszcie wśród wielkiego hałasu i zamieszania udało się utworzyć kolumny marszowe.

W Effektenkammer wydawanie skąpego dobytku załatwione, bardzo szybko. Hofel, Pippig i Kropiński stali obok siebie jak spiskowcy. Hofel każdym nerwem odczuwał kryzys. Nerwowo odrzucił propozycję Pippiga, aby sprowadzić Jankowskiego, by ten mógł się pożegnać z dzieckiem. Nie chciał go widzieć, nie chciał nic wiedzieć ani słyszeć o niczym.

- Człowieku, Andre, nie pozwolimy przecież temu biedakowi tak pojechać...

Daj mi święty spokój! - gorączkował się Hofel. Zostawił ich i poszedł do kancelarii. Pippig był zrozpaczony.

- Idź, Marian - powiedział wreszcie - leć do Małego Lagru i powiedz to Jankowskiemu.

Jankowski był pełen niepokoju. Transport zaraz odejdzie, a nikt nie przynosi mu dziecka. Co chwila wybiegał z szeregu, błagając po polsku okrągłutkiego blokowego, by pozwolił mu pójść do Effektenkammer. Ale blokowy - rad, że udało mu się wreszcie ustawić wszystkich w kolumnę - nie słuchał błagań Jankowskiego i wpychał go niecierpliwie do kolumny. Jankowski trzepotał się jak schwytyany ptak.

W takim stanie znalazł go Kropiński. W dzikim zdenerwowaniu Jankowski wybiegł mu naprzeciw, chwytając go z całych sił. Po zrozpaczonej twarzy spływały łzy. Nie chciał zrozumieć, że musi opuścić obóz bez dziecka. Kropińskiemu nie starczyło słów pocieszenia dla nieszczęśliwego człowieka.

- Nie płacz, bracie - mówił mu raz po raz - my o wiele lepiej potrafimy ochronić Stefka niż ty. Wierz mi!

Jankowski gwałtownie potrząsał głową. Wyglądał jak obraz rozpacz. Szarą pasiastą czapkę naciągnął na uszy, by chronić ją przed zimnem; opadła mu głęboko na czoło. Zwisające ubranie było na niego o wiele za duże, a bosa nogi sterczały z nieforemnych drewniaków. Ścierał długim, wystrzępionym rękawem łzy spływające z oczu. Żałosa istota ludzka, której pozostało tylko tyle mocy ducha, by prosić skromnie:

- Dajcie mi go, dajcie mi go!

Usiłował uklęknąć przed Kropińskim, ale ten przytrzymał go za łokieć i potrząsnął nim, jakby chcąc go doprowadzić do przytomności.

- Nie płacz, bracie, nie płacz - prosił zrozpaczonego - dlaczego tak płaczesz? Ty przecież wcale nie jesteś jego ojcem. Jankowski porwał się:

- Ja jestem więcej niż ojciec!

Kropiński przycisnął wzburzonego nieszczęśliwca do piersi i pocałował go:

- Idź, bracie, niech cię Matka Boska chroni!

Jankowski nie chciał go puścić, przytrzymywał go, ale Kropiński nie mógł dłużej znieść męki. Raz jeszcze objął Jankowskiego, potem oderwał się od niego i uciekł.

- Bracie, bracie! - wołał Jankowski za nim, ale uciekający nie chciał słyszeć. Bezsilnie opuścił Jankowski ramiona, szlochał już tylko po cichu. Blokowy, zobaczywszy Polaka znowu poza szeregiem, wrzasnął na niego wściekle:

Psiakrew, cholera, znów się gdzieś pałętasz, włąźże wreszcie na swoje miejsce!

Posłusznie ustawił się Jankowski w szeregu i pokuśtykał, przytłoczony rozpaczą, w długim pochodzie na znajdujący się na samej górze spadzistego terenu plac apelowy. Tu na nowo zaczął się krzyk i wrzask.

Reineboth przeliczył transport i ustawił go ponownie; potem otworzyła się brama i szary tysiąconogi stwór wypełził ospale i mozolnie z lagru.

W gorączce wyprawiania transportu Kramer zapomniał o dziecku. Teraz, gdy mijał go pochód nędzy i zauważył w pochodzie więźnia z workiem na plecach, przypomniał sobie. "A może to ten?" - pomyślał.

Ale nie był to polski Żyd, Zachariasz Jankowski. Ten ślaniał się ku swej kolejnej stacji życiowej bez bagażu.

Tak więc stało się! Nieodwołalność tego, na co się zdecydował, rysowała się z całą jaskrawością przed oczyma Hófla. Siedział znużony w kancelarii, przygotowując dla Zweilinga spis odzieży wydanej transportowi.

Pippig jednakże odetchnął lżej. W porządku, dziecko jest zabezpieczone! Sprawa jasna! Była w nim jakaś złodziejska radość z udanej sztuczki. Wobec kogo? Wobec SS? Wobec biednego polskiego Żyda Jankowskiego? Wobec życia? Losu? - To wszystko jest zbyt skomplikowane. Nie myślał o tym, był rad, że udało się urządzić maleństwo.

A Kropiński? Ukrył się w kącie, posadził sobie dziecko na kolanach i śpiewał mu cicho, cichutko, ojczyście pieśni. Hófel przyniósł spis rzeczy.

- A ten mól tam - powiedział Zweiling - miał chyba też pójść na transport. Prawda? - Opuścił dolną wargę i wysunął język. Hófel wahał się przez chwilę z odpowiedzią, potem odparł po krótkim namyśle:

- Tak jest, hauptscharführer!

- Teraz musisz trzymać gębę, i pozostali też!

- Tak jest, hauptscharführer! Zweiling skrzywił się niechętnie:

- Jawohl, jawohl - przedrzeźniał go - nie musimy udawać przed sobą. Za parę dni będą tutaj Amerykanie, wtedy możecie waszego mola wziąć na ręce i powiedzieć im:

- To mamy do zawdzięczenia naszemu hauptscharführerowi... Hófel wydusił z siebie odpowiedź:

- Jawohl, Hauptscharführer!

Zweiling zapomniał o swej przyjacielskości:

- Człowieku, z tym waszym wiecznym "Jawohl"! Koniec końców to niesłychane, że ja... Jeżeli to wyjdzie na jaw, wszyscy polecicie do bunkra. Mnie się przy tym nic stać nie może, to jest chyba dla was jasne?

- Jawohl!

Zweiling rozparł się na krześle.

- To powiedz swoim ludziom, żeby trzymali gęby na kłódkę.

- Jawohl, Hauptscharführer!

Pippig przyniósł dziecku filiżankę ciepłej cieczy zwanej kawą, do której wcisnął kilka łyżek soku z marchwi. Dzieciak łyknął i odsunął filiżankę.

Pippig westchnął z troską:

- Mnie by to też nie smakowało.

- Co trzeba dać takiemu małemu dziecku? - Kropiński wzruszył ramionami bezradnie.

- Ono mieć takie cienkie rączki i takie cienkie nóżki...

Pippig pomacał badawczo małe ciało:

- Wiele tam nie ma...

- Małe dziecko musi mieć chleb biały, i cukier, i mleko. Pippig roześmiał się:

- Mleko? Człowieku! Nie jestem przecież karmiącą matką. Kropiński pokręcił głową.

Pippig oburącz potarł ostrzyżone ciemię i nagle podskoczył:

- To jasne, chłopak musi mieć mleko.

- Skąd je weźmiesz?

Ale zdawało się, że Pippig wpadł już na pomysł. Gdy raz zdecydował się na coś, nie znosił sprzeciwu. - Moja w tym głowa czy twoja?

Powiedział to ze złością, ale za chwilę ukląkł obok dziecka, głaszcząc je po rączkach.

- Uważaj teraz, pętaku! Jutro wujek Pippig pójdzie na wielką polanę, tam jest wiele krów i robią muu.

Dziecko się uśmiechnęło. Uradowany Pippig ujął jego twarzyczkę w ręce. - Jeszcze, pętaku, nauczysz się u nas śmiać! - Zaś zdumionemu Kropińskiemu wcisnął palec w ramię: - A ty przyłożysz go sobie jutro do piersi. Zrozumiano?

Hófel nie tracił w kancelarii wielu słów na temat zmienionej sytuacji. Dziecko pozostanie na miejscu, sprawa jest załatwiona. Wskazał głową na pokój Zweilinga. Więźniowie komanda zrozumieli go natychmiast.

- Nie gadajcie w lagrze, że u nas... - uzupełnił zdanie znaczącym ruchem ręki. W ten sposób zostało wszystko powiedziane.

Po skończonej pracy Hófel siedział sam przy stole. Pippiga nie było. Wielu więźniów weszło już na kojki. Za stołem siedziała jeszcze grupa, szepcząc z ożywieniem.

W głowie Hofla kołatały się jeszcze myśli. Czuł ucisk w piersi. Oparł głowę na rękach i zamknął oczy. Od dawna uświadomił sobie, że będzie musiał zdać Bochowowi sprawę. Czyżby stchórzył? Miałby ukryć dziecko i nikomu nic o tym nie powiedzieć? Ani Bochowowi, ani Kramerowi? Bił się z myślami. Z tyłu doszedł go szept: - Amerykanie utworzyli nowy przyczółek pod Oppenheim. Czołgi przebiły się na wschód. Czołówka osiągnęła Men koło Hanau i dotarła do Aschaffenburga. Walki na wschód od Bonn. Załoga Koblencji została wycofana na wschodni brzeg. W Bingen walki uliczne.

Hófel nadstawił ucha. Już tak daleko doszli. Tak prędko to idzie.

„Zwyczajnie ukryć dziecko” - przeleciało mu przez myśl. Otworzył oczy.

Właściwie, czy działał na zimno? Uległ porywowi serca i dał się pokonać? Czyżby serce było mocniejsze od rozumu? „Czuć - myśleć! Myśleć - czuć...”

W swoich rozważaniach był jak okręt bez steru, skrył się za tysiącem usprawiedliwień. Co uczyniłby przechodząc obok rwącego strumienia, w którym tonęłoby dziecko? Nie myśląc o sobie wskoczyłby w nurt. To było zrozumiałe samo przez się.

Oddychał głęboko. Bochowowi? Kramerowi? Komu powiedzieć, co zrobił?

W trzecim bloku mieszkali ”odkomenderowani”, tj. więźniowie zatrudnieni w kasynie oficerskim albo w kuchni, bądź też jako krawcy, szewcy, gońcy lub kaiifaktorzy SS.

- ...się masz, Karl - Pippig usiadł obok pracującego w kuchni SS Wunderlicha, łypiąc do niego chytrze okiem. Wunderlich zorientował się od razu, że ma coś na sercu.

- Czego chcesz?

- Mleka.

- Mleka? Na co ci mleko?

- Do picia, bawole.

- Dla ciebie?

Pippig obraził się. - Ja piję piwo, jeśli mam... - przyciągnął Wunderlicha i szepnął mu do ucha:

- Mamy dziecko.

- Co macie?

- Pst - Pippig rozejrzał się ostrożnie, po czym wyszeptał Wunderlichowi tajemnicę.

Położył mu rękę na ramieniu.

- Widzisz więc, Karl, potrzebujemy trochę mleka dla maleństwa. Takie to ma nóżki i takie łapki. Jeszcze wykończy nam się ten robaczek. Więc jak, Karl... pół litra?

Wunderlich zastanawiał się.

- Ale przeniesiesz mleko przez bramę? Była to już prawie zgoda. Pippig promieniał.

- To pozostaw już mnie!

- A jak cię capną? Pippig rozzłościł się:

- Twoja w tym głowa czy moja?

Wunderlich roześmiał się. Omówili całą sprawę. Nie była bynajmniej taka prosta, bo jak Pippig mógł zabrać mleko? Mógł co prawda zorganizować sobie robotę na zewnątrz, zanosząc jakieś klamoty do SS-Schneiderei To było możliwe. Trzeba było zatem mleko dostarczyć do krawców.

Wunderlich rozejrzał się po bloku i skinął na gońca.

- Czego chcesz? - zapytał ten podchodząc do stołu.

- Słuchaj, jutro rano przyjdiesz do mnie, weźmiesz butelkę mleka i zaniesiesz do krawców. Rudi odbierze ją tam od ciebie.

Goniec podał rękę Pippigowi:

- Serwus, Rudi!

- Serwus, Alfred!

To zadanie było dla gońca drobiazgiem, kręcił się po całym terenie SS.

- Zrobione - powiedział, nie pytając o nic, ponieważ niezwykle polecenia wykonywano zawsze jako zrozumiałe same przez się.

- Musimy tylko jeszcze Ottonowi o tym powiedzieć - zauważył Wunderlich. Podążyli z Pippigiem na drugie skrzydło bloku.

Otto Lange, kapo SS-Schneiderei, starszy, niegdyś samodzielny mistrz krawiecki, dostał się do obozu za szeptaną propagandę. Stał teraz przy głośniku słuchając wiadomości.

Wunderlich odciągnął go na bok.

- Przysłę ci jutro butelkę mleka. Pippig odbierze ją od ciebie.

Krawiec skinął głową i palcami przejechał po górnej wardze. Przyzwyczajenie jeszcze z cywila, kiedy nosił wąsy.

- Uważaj - instruował Pippig krawca - przytaskam do ciebie parę starych płaszczy.

Zażądałeś ich od nas, kapujesz? Lange przytaknął:

- Tak, tak, przynieś je tylko!

Skomplikowana droga, by zorganizować pół litra mleka. I nawet przy całej gotowości organizatorów - droga niebezpieczna. Jeżeli złapią Pippiga przy bramie, wszystko przepadnie. Niewątpliwie poleci do bunkra i będzie miał szczęście, jeśli dostanie tylko dwadzieścia pięć. Jeżeli będzie miał natomiast pecha, pójdzie na wolność... przez komin. Ale Pippig nie bał się. Miał już za sobą różne groźne historie i zawsze w takich wypadkach był optymistą: Dobry Bóg nie opuszcza wolnomyślicieli. Gdy zęgnął się przed bramą z Wunderlichem, ten upomniał go:

- Człowieku, nie daj się tylko złapać! Na gest Pippiga wyrażający oburzenie Wunderlich roześmiał się:

- Już wiem... twoja głowa...

Zadowolony Pippig pośpieszył do siebie. Wróciwszy na blok, Wunderlich natrafił na sanitariusza z rewiru SS.

- Ty, Franz, czy możesz mi jutro rano przysłać trochę gronowego cukru?

Sanitariusz z namysłem kręcił głową.

- Cukier gronowy? Sami mamy tego mało.

- Potrzebny mi dla jednego kumpla. Sanitariusz westchnął:

- Jedną paczkę, nie więcej! Poślę ci przez gońca. Wunderlich poklepał Franza po ramieniu.

Gdy Hófel wszedł, Kramer siedział jeszcze nad stanem lagru do jutrzejszego porannego apelu. Hófel usiadł na stołku i zapalił papierosa, Kramer rzucił na niego krótkie spojrzenie.

- Klapowało? Hofel palił milcząc.

- Tam był jeden taki z workiem na plecach, to na pewno...-zapytał Kramer nie podnosząc głowy znad pisaniny.

Wystarczyło, by Hófel skinął, i Kramer zadowoliliby się tym. Ale on nie zareagował, patrzył uparcie w podłogę. Kramer zdziwił się.

- Co jest?

Hófel roztarł niedopałek obcasem.

- Muszę ci powiedzieć... Kramer wypuścił ołówek z ręki.

- Może nie oddałeś mu dziecka? Hófel spojrzał mu w twarz.

- Nie!

Nagle milczenie.

- Chłopie... - Kramer poderwał się, podbiegł do drzwi i otworzył je. Przyzwyczał się sprawdzać w ten sposób, czy byli sami. Kancelaria była pusta. Kramer zamknął ponownie drzwi i oparł się o nie. Wsadził ręce w kieszenie, zacisnął mocno wargi i patrzył przed siebie. Hófel czekał na wybuch, zdecydowany przeciwstawić mu się wszystkimi siłami.

Ale Kramer pozostał dziwnie spokojny. Dopiero po sporej chwili powiedział:

- Przeciwstawiłeś się poleceniu!

I tak, i nie.

Kramer czekał, aż Hófel dalej coś powie. Ten jednakże milczał.

- I? - zapytał wreszcie Kramer. Hófel zaczerpnął tchu.

- Wydarzyło się coś... - zająknął się i zacinając się opowiedział, co zaszło między nim a Zweilingiem. Miało to być zarazem wyjaśnienie i przeproszenie.

Kramer pozwolił mu opowiedzieć do końca. Tylko szczęki poruszały mu się nieprzerwanie. Milczał, chociaż Hófel już od dawna skończył. Twarz Kramera przybrała twardy wyraz, a źrenice zmniejszyły się. Powiedział wreszcie dziwnie ochryplym głosem:

- A sam wierzysz w to wszystko, coś mi opowiedział? Hófel odzyskał pewność i odpowiedział szorstko:

- Nie okłamuję cię.

Z wysiłkiem jakby odepchnął się Kramer palcami od drzwi, przeszedł się kilka razy po pokoju i powiedział raczej do siebie samego:

- Naturalnie, nie okłamujesz mnie, ale... - zatrzymał się przed Hóflem - może sam siebie okłamujesz?

Gdy Hofel zrobił gniewny gest, Kramer wybuchnął:

- Zadałeś się z łajdakiem. Zweiling to przecież łajdak! Facet chce się u nas zaasekurować!

Wtedy Hófel, zdecydowany podjąć walkę, ożywił się:

- W ten sposób mamy go w łapie! Suchy śmiech Kramera.

- W łapie? Człowieku, Andre. Jak długo ty jesteś w łagrze? Sześć miesięcy, co? - Pogroził mu palcem. - Gość zaasekuruje się również u swoich. Raz tak, raz tak, jak zawieje wiaterek. Niech tylko odepchną Amerykanów choćby pięć kilometrów, a nasz Zweiling

znowu nabierze otuchy, chwyci cię za dupę i to maleństwo też. Człowieku, Andre, coś ty narozrabiał?

Hófel podniósł ręce. Wyglądało, jakby chciał sobie zasłonić uszy.

- Nie utrudniajże mi tak...

- To ty nam utrudniasz... Udręczony Hófel jęknął:

- Nie mogłem przecież tego dziecka...

- Miałeś oddać dziecko opiekunowi, takie było polecenie. Nie wykonałeś go. To jest złamanie dyscypliny!

- Jeżeli wyjdziemy stąd żywi, odpowiem za to przed partią, możesz mi wierzyć - zapewnił Hófel. Kramer spojrział mu twardo w oczy:

- Partia jest tutaj!

Hófel miał na ustach ostrą odpowiedź, ale zamarła mu na wargach. Przygwożdżony spojrzeniem Kramera, opuścił wzrok. Ku własnemu pogębieniu musiał przyznać, że Kramer ma rację. Mimo to wszystko w nim się buntowało, nawet gdy myślał tylko o tym, że miał dziecko pozostawić własnemu losowi. Miał osobliwe uczucie, jak gdyby jakaś potężna dłoń wepchnęła mu klucz w serce i przekręciła go. Czuł winę wobec dziecka i winę wobec partii. Opuścił głowę na pierś.

- Nie mogłem inaczej... nie mogłem... nie... - powiedział cicho. Była to prośba i męka.

Kramer w tej chwili niemal kochał tego udręczonego człowieka, ale przewyciężył się.

- Sprawa zostanie uregulowana nie kiedyś tam, ale teraz i tutaj - powiedział twardo.

Obaj milczeli. Między brwiami Kramera zarysowała się ostra zmarszczka. Zaczął niespokojnie krążyć po pokoju, jakby szukając wyjścia.

Dziecka już nikt nie zabierze - powiedział wreszcie po zastanowieniu, atakując jednocześnie Hófla: - A może wmawiasz sobie, że mogę je jeszcze komuś sprzedać jako bagaż podróżny?

Znów opanowała go złość, krążył wściekły tam i z powrotem.

- Gdybyś oddał dziecko Polakowi, byłoby już poza obozem i wszystko byłoby dobrze.

A teraz co? Co teraz?

Usiadł na stole i splótł dłonie między kolanami. Hófel znękany opadł na stołek. Nic już w nim nie zostało z wyzwającego porywu serca...

Do oczekiwanego starcia nie doszło i wszystko, co w jego czynie było wielkie i wspaniałe, rozwiało się. Pozostał tylko nagi i jasny stan faktyczny: złamanie dyscypliny. Hófel patrzył przed siebie.

Kramer rozłożył ręce i powiedział wreszcie łagodnie:

- Nie będziemy wrogami, Andre, nie, gra nie warta świeczki! Niezgrabnie ześliznął się ze stołu i dodał, dając upust nagłemu impulsowi:

- Musisz porozmawiać z Bochowem. Musisz! - upierał się, gdy Hófel energicznie zaprotestował.

- Niech to zostanie między nami, Walter. Niech Bochow sądzi, że Polak zabrał dziecko. Prośby Hófla zdenerwowały Kramera.

- Teraz, kiedy dziecko musi pozostać w lagrze - musi - słyszysz? - burczał - to już nie jest tylko nasza sprawa. Nie znam twojej funkcji. Nie chcę, żebyś mi coś o tym opowiadał, ale sam musisz wiedzieć, jakie niebezpieczeństwo sprowadziłeś na siebie przez dziecko.

- Co miałem zrobić, jak je znalazłem?

- Bzdura! Nie o to teraz chodzi. Miałeś polecenie wytransportować dziecko z obozu.

- Tak, oczywiście, ale... - zrozpaczony okrzyk Hofla ciął jak brzytew. Kramer sapiał, oczy mu pociemniały. Mężczyźni stali naprzeciw siebie pogrążeni w myślach. Kramer nie mógł już tego dłużej znieść. Szukając drogi wyjścia, dreptał wciąż tam i z powrotem.

Ledwo słuchał nalegającego Hofla.

- To już długo nie potrwa, Walter, na pewno. Lada dzień Amerykanie mogą się tu zjawić. Parę dni jeszcze przetrzymamy. Po co mówić jeszcze z Bochowem, aby i jego zaniepokoić. Dziecka i tak już nie wyprawimy z lagru. Sam to powiedziałeś. Cóż więc pozostaje? Niech to zostanie między nami. Tylko ty i ja, i więcej nikt!

- A Zweiling?

- Ten będzie milczał.

Kramer zaśmiał się z gorzką ironią. Sytuacja wymagała działania; obojętne, czy za wiedzą Bochowa, czy bez niej. Dziecko nie wyjdzie z lagru. Polecenie, które otrzymał od Bochowa, nie zostało dokładnie wykonane. Jego obowiązkiem było skontrolować Hofla, a on wszystko zdał na niego, a teraz?...

- Przekłęte świństwo - burczał, wściekły na siebie, wciąż krążąc, jakby go kto popędzał. Ponieważ nie chciał Hoflowi ustąpić, warknął ze złością:

- A jak nie powiemy o tym Bochowowi, co wtedy? Co wtedy?

To już było pół zgody. Hófel uradowany podniósł ręce, jakby je chciał położyć Kramerowi na ramionach. Ten cofnął się i parsknął:

- Dziecko trzeba zabrać z Effektenkammer, gdzieś z dala od ciebie.

- Ale dokąd? - zapytał Hófel.

- Tak, dokąd? Widzisz, coś narobił? Gdzie schowamy dziecko? Trzeba je zabrać od ciebie i od tego przekłętego Zweilinga, w miejsce, gdzie żaden SS-man nie przychodzi.

Takie miejsce było tylko jedno: barak zakaźny w Małym Lagrze. Każdy SS-man omijał go wielkim łukiem w obawie przed zarażeniem się tyfusem brzusznym albo plamistym.

Kramer zatrzymał się przed Hóflelem, spoglądając twardo na niego:

- Blok 61 - powiedział krótko. Hófel przeraził się.

- Do baraku zakaźnego? Wykluczone!

- Dziecko pójdzie do bloku 61 - Kramer przekonywał sam siebie, że decyzja jest słuszna.

- Polscy flegery mieszkają tam od miesięcy i nic im się nie stało. To są równe chłopcy! Wszelkimi siłami będą chronili dziecko. Możesz na nich polegać. Poza tym to przecież ich dziecko, polskie. A może chcesz, żebym je wsadził do kosza na śmieci, co?

Hófel milczał zagryzając wargi. Kramer grzmiał:

- Nie ma innego wyjścia. Tak będzie i basta. Wystarczy, że i mnie w to wciągnąłeś. Bez gadania. Dziecko pójdzie na blok 61.

Hófel zastanawiał się. W każdym razie lepsze to niż transport.

Podniósł głowę: - A Bochow?

Kramer wściekł się.

- Zdawało mi się, że to nasza sprawa? Czy nie tak powiedziałeś?

Hófel skinął głową bez słowa, nie miał nawet siły, żeby się ucieszyć.

Zweiling mieszkał poza obozem w ładnym, zbudowanym przez więźniów, osiedlu SS. Był od dwóch lat żonaty z dwudziestopięcioletnią Hortense, której niejeden scharführer potajemnie mu zazdrościł. Była to kobieta o pełnych piersiach, tryskająca zdrowiem. Mimo to z różnych powodów małżeństwo nie było najlepsze. Hortense zachwycała się niegdyś eleganckim mundurem Zweilinga, ale krótki okres małżeństwa wystarczył, by nie pozostawić złudzeń, że pod elegancką dekoracją tkwi nieciekawo i bezwolny facet. Nieraz po cichu porównywała swego męża z postawnym hauptsturmführerem Kluttigiem, który nie był co prawda zbyt poważny, ale za to bardziej męski. Wynikiem tych porównań była pogarda i lekceważenie Zweilinga. Małżeństwo stawało się coraz bardziej nudne i nieciekawe, nie mieli sobie nic do powiedzenia. Ale nie to było największym rozczarowaniem kobiety. Hortense nie miała dzieci. Również lekarz nie potrafił pomóc, wewnętrzne zrosty uniemożliwiały zajście w ciążę. Kobieta nie potrafiła się z tym pogodzić i w duchu przypisywała winę mężowi o wątłej klatce piersiowej. Ze swym niewysportowanym ciałem i bladą skórą przy

niej prezentował się wyjątkowo niekorzystnie. Uczucia Hortense stępsiały, często w łóżku odpychała męża niegrzecznie: - Ach, zostaw mnie!

Czasami jednak robiło się jej go żal, wtedy niechętnie dopuszczała go do siebie, wracał potem do swego łóżka jak pogłaskany pies.

W gospodarstwie domowym Hortense była bardzo samodzielna i nie pozwalała się Zweilingowi do niczego wtrącać. Zresztą wszystko robiła sama, nie pytając męża o zdanie.

Tego wieczora Hortense siedziała w jadalni przed kredensem i pakowała starannie owiniętą w gazety porcelanę do skrzyni.; Zweiling przyszedł do domu. Zdjął jeden but i oparł bosą nogę o fotel. Grubą szarą skarpetką przecierał skórę między ciepławo wilgotnymi palcami u nogi, z której unosił się kwaskowaty; odór. Oglądał troskliwie znów obolałą piętę.

Hortense nie zwracała na niego uwagi, zajęta pakowaniem. Zweiling naciągnął znów skarpetkę i zdjął drugi but. Buty wyniósł. Za chwilę wrócił w kapciach, w rozpiętym mundurze i rozsiadł się w fotelu.

Ssąc wargę obserwował przez chwilę Hortense. Przypomnił sobie, jak jeden z scharfuhrerów powiedział do niego z głodnym uśmieszkiem: - Ale nogi ma twoja żona... oho...

Zweiling przyglądał się okrągłym, nieco zbyt pełnym łydkom i kawałkowi nagiego uda, widocznemu spod wysoko podciągniętej spódnicy. - Tak, każdemu by to odpowiadało.

- Co ty robisz?

Hortense odpowiedziała mimochodem.

- Nigdy nic nie wiadomo.

Dla Zweilinga ta odpowiedź była niezrozumiała. Bezskutecznie starał się zrozumieć jej sens. Zapytał więc ponownie:

- Co przez to rozumiesz?

Hortense przerwała robotę, spojrzała na niego i odpowiedziała z rozdrażnieniem:

- Myślisz, że zostawię moją piękną porcelanę na łaskę losu? Teraz Zweiling zrozumiał. Uczynił nic nie znaczący ruch ręką:

- Do tego jeszcze nie doszło!

Hortense zaśmiała się brzydko i rozwścieczona pakowała dalej.

Zweiling rozparł się na fotelu, wygodnie wyciągnął nogi i skrzyżował ręce na brzuchu. Po chwili powiedział:

- A ja już zatroszczyłem się...

Hortense nie od razu odpowiedziała. Nie wydawało się jej to ważne. Potem jednak zwróciła ku niemu głowę i zapytała z zainteresowaniem:

- Tak? A co takiego? Zweiling uśmiechał się.

- No, mówże wreszcie! - natarła na niego ostro.

- Tam jeden u mnie, mój kapo, ukrył żydowskiego bękarta. Zweiling znów uśmiechał się. Hortense odwróciła się do męża.

- No i? I co dalej?

- Capnąłem go.

- Zabrałeś mu dziecko?

- Przecież nie jestem głupi.

- No, więc co zrobiłeś? - nalegała niecierpliwie.

Zweiling skrzywił złośliwie usta i zmrużył oko, pochylając się przy tym poufale do Hortense: - Ty chowasz porcelanę, a ja żydowskiego bękarta. - Zachichotał bezdźwięcznie.

Hortense prędko wstała: - Opowiadaj!

Zweiling rozparł się w fotelu i zauważył:

- Co tu jest do opowiadania? Złapałem go na tym i wszystko odbyło się bardzo zwyczajnie. Gdybym go wsadził do bunkra, miałby już teraz zimną dupę.

Hortense słuchała z rosnącą uwagą. - Tak... ale dlaczego ty go nie...

Zweiling chytrze popukał się w skroń.

- Jeśli ty pobijesz mojego Żyda... no nie? - to ja pobiję twojego Żyda... no nie? Sicher ist sicher! Ze zdziwieniem zauważył, że Hortense przygląda mu się bojaźliwie, i zdumiony zapytał:

- No, o co ci chodzi, czego się tak na mnie gapisz?

- A dziecko? - zapytała bez tchu.

Pewne jest pewne.

Zweiling wzruszył ramionami i zauważył mimochodem:

- Jest jeszcze u mnie w Effektenkammer. Te draby już będą uważały, możesz być spokojna.

Hortense milcząco usiadła na krześle.

- I ty polegasz na tych drabach? Widać chcesz pozostać w obozie, jak przyjdą Amerykanie? Co, powiedz... Zweiling znudzony uśmiechnął się.

- Nie gadajże takich bzdur! Zostać w obozie? Ale skąd wiesz, czy uda mi się tak prędko nawiać, jeżeli dojdzie do tego. W takim wypadku ten bękart żydowski to znakomita historia. Nie rozumiesz tego? Wtedy będą przynajmniej wiedzieli, że jestem dobrym człowiekiem.

Przerażona Hortense załamała ręce:

- Gotthold, człowieku? Coś ty narobił?! Zweiling dziwił się jej podnieceniu. - O co ci chodzi, wszystko będzie klapowało.

- Jak ty to sobie właściwie wyobrażasz? - odparła Hortense ostro. - Jeżeli się odwróci, to te draby nie będą się pytały, czy byłeś dobrym człowiekiem. Kropną cię, zanim przyjdzie pierwszy Amerykanin.

Znów załamała rękę.

- Sześć lat chłop jest w SS...

Zweiling miał zamiar unieść się gniewem. Nie mógł pozwolić, aby Hortense kpiła z jego przynależności do SS, w tej materii nie cierpiał krytyki. Ale kobieta przerwała mu bez szacunku:

- O czym jeszcze myślałeś? Co? Jeżeli się odwróci, co wtedy zrobisz?

Zweiling spojrzał, zirytowany jej gwałtownością. Hortense stanęła przed nim gniewna, wzięwszy się pod boki. Patrzył bezmyślnie. Hortense zaskrzeczała nagle nieopanowanie: - Ja mogę pracować! Mogę pójść gotować! Ale ty? Nigdy się niczego nie uczyłeś. Jeżeli skończy się SS, co zrobisz wtedy?

Zweiling miał w odpowiedzi niechętny gest. Ale Hortense nie! zadowolila się tym.

- Nie pieprz! - Zweiling poczuł się dotknięty lekceważeniem Hortense. - Poczekaj, co będzie. Widzisz przecie, że się zabezpieczyłem.

- Z tym twoim bękartem żydowskim? - zaśmiała się skrzekliwie. - Zabezpieczyłem, coś takiego! Rączka w rączkę z komuną - Ty tego nie rozumiesz.

Zerwał się ze złością i szybkimi krokami zaczął krążyć po pokoju. Hortense biegła za nim, ciągnąc go za rękaw, starała się go odwrócić ku sobie. Jego butna reprimenda nie podziałała na nią.

- A jak wyjdzie na jaw? No? Spojrzał na nią przestraszony.

- Co ma wyjść na jaw?

Ciągnęła go za rękaw i powtórzyła z uporem:

- Jak wyjdzie na jaw?...

Zweiling ze złością odepchnął jej rękę, ale zastąpiła mu drogę, gdy chciał przejść mimo.

- Człowieku, czyś ty zupełnie stracił rozum? Teraz na sam koniec urządzić coś takiego! Czy nie rozumiesz, coś narozrabiał? Jeżeli to wyjdzie na jaw, twoi własni ludzie rąbną cię jeszcze w ostatniej chwili.

Zweiling, straciwszy pewność siebie, wrzasnął:

- Więc co mam robić?!

- Nie krzycz tak - syknęła Hortense - musisz jak najprędzej pozbyć się tego żydowskiego bachora.

Nieklamany strach Hortense udzielił się Zweilingowi. Nagle uświadomił sobie niebezpieczeństwo.

- Chciałbym wiedzieć, jak to zrobić. Hortense krzyczała:

- Tego ja przecież nie wiem! Ty jesteś przecież scharfihrer, a nie ja!

Krzyczała za głośno, przestraszona więc zamilkła. Rozmowa nagle się urwała.

Hortense uklękła przed skrzynią i pakowała dalej. Wściekle rwała stronicę gazet. Przez cały wieczór nie zamienili więcej niemal słowa.

Zweiling szukał wyjścia. Leżał już dawno w łóżku, a wciąż jeszcze o tym myślał. Nagle podniósł się i szarpnął żonę:

- Hortense!

Przestraszona podskoczyła. Zaspana, nie mogła zorientować się, o co chodzi, gdy Zweiling tryumfująco wykrzyknął:

- Mam!

- Co takiego? Zweiling zapalił światło:

- Jazda, wyłaź!

Kurcząc się z zimna, Hortense mruknęła:

- Co mam robić?

Zweiling był już u drzwi i zawarczał rozkazująco:

- Jazda, chodź!

To już był scharftihrer, a tego Hortense się bała. Wylazła przeto z ciepłego łóżka, nałożyła szlafrok na cienką nocną koszulę i poszła z Zweilingiem do sąsiedniego pokoju. Zweiling grzebał w jednej z szuflad kredensu.

- Potrzebny mi jest papier do pisania.

Hortense odsunęła go i zaczęła szukać w szufladzie, w której panował okropny bałagan.

- Tu, masz! - Podała Zweilingowi stare zaproszenie ale Zweiling z wściekłością wrzucił papier z powrotem do szuflady.

- Zwariowałaś? - rozglądał się szukając. - Na jednym z krzeseł leżała jakaś zawinięta w papier paczka. Zweiling zerwał kawałek opakowania.

- O to mi chodziło! - Położył strzęp papieru na stole i wsiadł na Hortense. - Ołówek, jazda! Siadaj, będziesz pisać! W zapale skrobał się w policzek.

- Jak to się pisze?

- Przecież nie wiem w ogóle, o co ci chodzi - gderała Hortense, usiadłszy z ołówkiem przy stole.

Pisz! - krzyknął na nią, ale gdy Hortense przystawiła ołówek do papieru, przytrzymał jej rękę.

- Nie tak, drukowanymi literami. To musi wyglądać tak, jakby to więzień pisał.

Hortense oburzona rzuciła ołówek.

- No, słuchajże...

- Bzdura, pisz!

Poskrobał się w policzek, a potem zaczął dyktować: „Kapo Hófel i Polak Kropiński schowali na Effektenkammer żydowskie dziecko, a hauptscharführer Zweiling nic o tym nie wie”.

Mocnymi literami pisała Hortense na papierze podyktowany tekst. Zweiling zastanawiał się. To jeszcze nie to.

Oderwał drugi strzęp papieru i podsunął żonie.

„Hófel z Effektenkammer i Polak Kropiński chcą wykiwać hauptscharführera Zweilinga. Ukryli żydowskie dziecko w Effektenkammer w prawym kącie.”

Zweiling stanął za Hortense i przyglądał się zza jej pleców.

- Tak, teraz dobrze! I podpisz: „Haftling z Effektenkammer”.

Jeszcze w czasie kreślenia liter Hortense zapytała:

- Co chcesz zrobić z tą kartką? Z zadowoleniem zatarł rękę.

- Podrzucę ją Reinebothowi.

- Ale z ciebie cwaniak - powiedziała pogardliwie. Zweiling przyjął to jako uznanie.

Sterczące piersi Hortense pod cienką koszulą drażniły jego oczy.

Nazajutrz, zaraz po apelu porannym, Pippig zbiegł na dół do szpitala. Tutaj złapał Kóhna w ambulatorium.

- Ty, potrzebny mi termofor.

- Po co? - Kóhn spojrział zdumiony na zadyszanego od szybkiego biegu Pippiga i potrząsnął przecząco głową.

Sami mamy tylko parę sztuk.

- Zaraz ci go zwrócę.

Pippig błagał i trzeba było całego jego talentu krasomówczego, by wywalczyć termofor u podejrzliwego Kóhna. Uzyskawszy go, pobiegł z powrotem do Effektenkammer i kazał Kropińskiemu obwiązać sobie termofor wokół brzucha. Z paczką przygotowanych przez Kropińskiego płaszczy opuścił Effektenkammer, kierując się przez plac apelowy do

bramy. Tam zameldował się. SS-man z okienka obojętnie wypisał przepustkę, a blockfiihrer, który miał służbę, przyjrzał się Pippigowi.

- Co za kłamoty wynosisz z lagru?

Pippig przygotowany na pytanie i nieprzewidziane wypadki wykonał przepisowo w lewo zwrot, wiedząc, że wojskowa dokładność, na którą SS zwracała specjalną uwagę, jest najlepszą przepustką.

- Wybrakowane rzeczy wełniane do SS-Schneiderei na łaty! - zameldował, akcentując słowa "rzeczy wełniane", które musiały zapewne specjalnie miło zabrzmieć w uchu blockfiihrera. Bądź co bądź to piąty rok wojny...

Z satysfakcją pozwolił Pippig blockfiihrerowi pomacać płaszcze. Przepisowo złożone oświadczenie i znakomita jakość płaszczy nie dawały blockfiihrerowi powodu przyczepienia się do więźnia. Krótkim skinieniem głowy zezwolił mu odejść.

- Spływaj, cwaniaku!

Pippig niepotrzebnie wykonał jeszcze z fasonem wzorowy "w tył zwrot". Gdy minął bramę, miał uczucie, że udało mu się właśnie przejść przez ucho igielne.

W SS-Schneiderei przyjął go jakiś rottenfiihrer.

- Co pan tu przynosi?

Zanim Pippig zdążył odpowiedzieć, Lange zawołał do SS-mana: - Materiał na łaty, rottenfiihrer, zażądałem go z Effektenkammer. Wszystko w porządku.

Rottenfiihrer przepuścił Pippiga.

Pippig przetaskał płaszcze wzdłuż rzędów gorliwie szyjących przy maszynach więźniów i cisnął paczkę na stół krojczego Langego. Kapo oceniał dokładnie każdy z płaszczy. Podnosił go do góry, odwracał na wszystkie strony, rozkładał na stole, badał podszewkę i materiał i był bardzo zajęty. Ale w czasie tych gorliwych czynności oczy jego kierowały się wciąż w określoną stronę. Pippig i Lange zrozumieli się doskonale.

- Aha, w skrzyni na szmaty pod stołem.

Pippig prędko przykucnął. Z góry nie było widać, że zniknął, gdyż zasłaniały go podniesione przez Langego płaszcze, od dołu zaś chroniło Pippiga oszalowanie lady. Szybkimi ruchami rozpiął marynarkę i koszulę, odkręcił zamknięcie termoformy, pogrzebał w skrzyni na łachy i odnalazł butelkę. Gdy przelewał jeszcze mleko i zamierzał ukryć pustą butelkę wśród łachmanów, upadła z góry paczka. Cukier gronowy! Pippig podniósł wzrok na Langego. Ten zmrużył oko. Porozumieli się.

Pippig ukrył paczuszkę, doprowadził ubranie do porządku i wyprostował się. Jeszcze kilka niewinnych słów i Pippig skierował się do wyjścia, gdzie rottenfuhrer podpisał przepustkę.

Zimne jak lód mleko chłodziło brzuch Pippiga. Po drodze umieścił paczkę cukru w haftlingowskiej czapce bez daszka, w miejscu, za które się chwyta przy jej zdejmowaniu. W ten sposób, ilekroć musiał przed SS-manem zdejmować czapkę, trzymał paczuszkę w dłoni.

Gdy Pippig podchodził do bramy lagru, zobaczył już z dala kupę więźniów przy okienku i zauważył, że blockfihrer każdego z nich obmacuje.

- Psiakrew! Filcuje!

Pippig nie mógł już ani zawrócić, ani zatrzymać się. Był zbyt blisko bramy. Co robić? Bezczelność zwycięża."Moja w tym głowa!" Nieustraszenie podszedł Pippig do igielnego ucha. Tu przecisnął się przez kupę więźniów, zerwał czapkę z paczuszką, stuknął obcasami i zawołał:

- Haftling 2398 z SS-Schneiderei wraca do obozu!

A gdy zajęty filcowaniem blockfihrer odwrócił się, Pippig podał mu przepustkę, zrobił elegancki "w tył zwrot" i już był poza uchem igielnym. Sekundy najwyższego napięcia! Czy ktoś krzyknie za jego plecami?"Hej! Ten z Effektenkammer! z powrotem do bramy!"

Z każdym krokiem, który oddalał Pippiga od bramy, napięcie malało. Nie czuł już zimna na brzuchu. Nikt nie wołał! Pippiga otoczyła coraz bardziej chroniąca pustka. Przebywszy połowę placu apelowego, Pippig ruszył kłusem. Napięcie minęło zupełnie, a do piersi napływała potężna radość.

Pippig pędził."Ciesz się, mały, będzie mleko!" - myślał.

Kropiński miał łzy radości w oczach. Coraz to głąskał rękę Pippiga, gdy przykucnęli obaj przed dzieckiem i przyglądali się, jak małemu smakuje mleko. Dzieciak trzymał wielki aluminiowy kubek w obu rękach, wyglądał jak mały niedźwiadek i mlaskał, i mlaskał...

- Bracie, dobryś, odważnyś - szeptał Kropiński. Pippig odpowiedział: - Człowieku, gdybyś ty wiedział, jak ja srałem w portki...

Śmiał się, sam nie mógł w to uwierzyć. Nieoczekiwanie stanął za nimi Hofel. Uszczęśliwieni spojrzeli na niego.

- Skąd macie mleko?

Pippig wyszczerzył zęby do Hófla, szturchnął palcem w brzuch dziecka."Na polanie stoi krowa i muu, muuu, taka jej mowa..."

Dzieciak roześmiał się. Pippig aż upadł na siedzenie i klasnął w rękę.

- Śmiał się! Słyszeliście? Śmiał się.

Hofel był nadal poważny. Wyglądał na zmęczonego, ponieważ miał za sobą niespokojną noc. Jeszcze przed porannym apelem dowiedział się od Kramera, że wszystko zostało uzgodnione z Zitkowskim, polskim blokowym z 61.

Hofel stał przed dzieckiem i patrzył, jak rozkoszowało się mlekiem. Teraz musiał wytłumaczyć tym dwom, że dziecko...

- Posłuchajcie! - zaczął.

Pippig, który widział poranną wizytę Kramera, skapował się natychmiast, że przez Hófla mówi lageraltester, a ten musiał już mieć powody do tego, by dziecko usunąć z Effektenkammer. Ale akurat do baraku tyfusowego?

Hófel uspokoił obu. W jasny dzień niemożliwe było przeniesienie dziecka do Małego Lagru. Tego można było się podjąć tylko po ciemku. Po ogólnym apelu Zweiling zazwyczaj wychodził z Effektenkammer. Wtedy będzie okazja. Pippig wetknął ręce w kieszenie i powiedział pełen smutku: - Takie kociątko...

Podszedł jeden z więźniów, by ich ostrzec; Zweiling właśnie nadszedł. Musieli przerwać.

Zweiling natychmiast poszedł do swojego pokoju. Nie miał jeszcze okazji podrzucić kartki. Gdy szedł do obozu, zajrzał ostrożnie do pokoju rapportführera. Reineboth, siedząc przy biurku, spojrzał zdumiony, a Zweiling cofnął się z zakłopotanym "Heil". Czego chciał ten idiota z Effektenkammer?

Przed południem Zweiling parę razy wychodził z lagru, ale wciąż mu się nie udawało, zawsze coś działo się przy bramie.

Resztę popołudnia przesiedział Zweiling, namyślając się, w swoim pokoju. Zazwyczaj po apelu wieczornym Reineboth siadał na motocykl i jechał do swojej ukochanej w Weimarze. Zweilingowi nie pozostało więc nic innego, jak przeczekać apel, do chwili gdy Reineboth opuści obóz. Dopiero wtedy będzie mógł pozbyć się kartki.

„Czy to w ogóle dobrze będzie z tą przekłętą kartką?”

Strach, którego napędziła mu Hortense, wciąż jeszcze go obezwładniał. Jak długo był w SS, nigdy nie musiał myśleć o przyszłości. Przynależność do związku trupich główek i lagru SS wybawiała go dotychczas od wszelkich kłopotów życiowych. Dopiero od wczorajszej sprzeczki z Hortense dojrzał straszliwie blisko przed sobą koniec lagru. Nie można było tego już odsunąć w wygodną dal. O możliwości śmierci nie myślał. Na to był zbyt leniwy. Obserwując przez okno z tępą nudą zatrudnionych w izbie odzieżowej więźniów, dał się porwać myślom. Co się z nim stanie?

„Może mam ciebie utrzymywać... nigdy się niczego nie uczyłeś, niczego...” To go wciąż dręczyło, złościł się na myśl o niewygodach życia w niepewnej przyszłości. Że też tak nędznie ta wojna musiała się skończyć! Dotychczas Zweiling miał na utrzymanie. A naraz miałoby być inaczej. Fuhrer się przeliczył. Fiihrer? Gównno! O nim Zweiling w tej chwili myślał jak o kimś zupełnie obcym i nieosiągalnym, ukrytym gdzieś tam dobrze w bunkrze, absolutnie bezpiecznym!

Zweiling poczuł się opuszczony. Komendant lagru ledwo zwracał na niego uwagę. A pozostali? Kluttig, Reineboth? Ci byli mili dla niego tylko wtedy, kiedy mogli coś od niego wyciągnąć. Złotą papierośnicę po jakimś Żydzie, pierścionek z brylantem, złote pióro... Kolego hauptscharfiihrer... i poklepywanie po plecach.

Kolego? Zweiling sam siebie obdarzył ironicznym uśmiechem, jakim obdarzyliby go ci ”panowie koledzy”, gdyby któregoś dnia potrzebował ich pomocy. Strach w ogóle zamienił się nagle w strach przed Kluttigiem i Reinebothem. Ci dwaj wykończyliby go niewątpliwie, gdyby wyszła na jaw ta historia z żydowskim bachorem.

Hófel podszedł do lady, rozmawiając z więźniami. Wrogo patrzył Zweiling przez okno. Jego strach przekształcił się w nienawiść do tego parszywca za drzwiami, który wpakował go w to świństwo z żydowskim bękartem.”Jemu mam to do zawdzięczenia - myślał Zweiling - przepuszczę cię przez ruszty, ty ścierwo!”

„Zamknij paszczę, bo ci naszczę...”

Hortense przyswoiła sobie ten zwrot, nie mogąc ścierpicć wiecznie otwartych ust Zweilinga.

Zweiling poderwał się, jak gdyby właśnie przed chwilą to powiedziała. Złapany na gorącym uczynku, zamknął usta, wstał, podszedł do drzwi, otworzył je:

- Hófel!

Zawołany podniósł głowę i wszedł za Zweilingiem do pokoju. Gdy tylko stanęli naprzeciw siebie, pojawiło się między nimi to, co świadomie miało być ignorowane - sprawa dziecka! Przyczajone jak świadomość niebezpieczeństwa. Hófel czekał z pewnym napięciem, co Zweiling mu powie. Spokojnie patrzył w oczy scharfiihrerowi. Tamten wyciągnął swe długie nogi pod biurkiem.

- Dzisiaj już żaden transport nie przyjdzie. Po apelu wszyscy na blok.

„Co to znaczyło?”

- Co, może wam nie dogadza, że będziecie mieli wcześniej fajrant? - miało to brzmieć uprzejmie.

- Mamy jeszcze bardzo dużo roboty.

Zweiling odmownie pokręcił głową. - Jutro. Na dziś koniec... I tak, i tak już wkrótce koniec - dodał.

- Jak pan to rozumie, hauptscharführer? - udał naiwnego Hófel.

- Nie zgrywaj się - odpowiedział Zweiling z udaną poufałością. - Obaj wiemy, o co chodzi... Mierzyli się wzrokiem.

- Niech pan każe ustawić się do odliczenia. Klucz sam dziś zabiorę.

Opuszczając pokój Hófel czuł przyuczajony wzrok Zweilinga na plecach.

Mrugnął okiem w stronę Pippiga, stojącego przy ladzie i obserwującego nieufnie przebieg wydarzeń. Coś się dzieje. Nie zamienili ze sobą ani słowa, tylko oczy ich mówiły: uwaga!

Hófel szedł przez magazyn.

- Antreten do apelu!

- Antreten do apelu!

Więźniowie komanda, zdumieni apelem o tej porze, ustawili się w magazynie przed długą ladą. Tymczasem Hófel kontrolował, czy okna zamknięte. Zastanawiał się przy tym. Jeżeli Zweiling tym razem sam odda klucz przy bramie, wtedy oni znajdą się na zewnątrz i tylko z zewnątrz mogą dostać się do budynku.

Poprzedni plan musi być zmieniony.

Nie mógł pozbyć się uczucia grożącego niebezpieczeństwa.

Dlaczego Zweiling zostawał dłużej niż zazwyczaj w magazynie? O co mu chodziło? Kropiński również zdziwiony wcześniejszym apelem wylazł z kąta.

- Co jest?

Hófel uspokoił Polaka i posłał go do szeregu. Gdy został sam, otworzył jedno z dwóch okien we frontowej ścianie budynku i wychylił się, aby zorientować się w terenie. O niecałe trzy metry od okna znajdował się dach galerii prowadzącej z Bekleidungs-kammer na pierwszym piętrze do łaźni. Hófel stwierdził to z zadowoleniem. Zamknął okno, ale zasunął rygiel tylko tyle, by ustąpił, gdy ktoś z zewnątrz naciśnie ramę. Potem poszedł do przodu.

Było już ciemno i apel w obozie dawno się skończył, ale Zweiling był wciąż jeszcze w Effektenkammer. W skrywającej ich ciemności, w kącie między kuchnią a łaźnią, stali Hófel, Pippig i Kropiński, w milczeniu obserwując okna drugiego piętra wielkiego budynku.

Wpatrywali się w okna marznąc na ostrym, siekącym deszczu, z rękoma głęboko wsuniętymi w kieszenie cienkich spodni. Nieruchomo ciążyła nad obozem cisza. Nie było widać ani jednego więźnia. Od czasu do czasu tylko po chrzęszczącym żwirze przebiegał śpieszący ze szrajbsztuby blokowy i znikał w którymś z bloków. Spłoszona cisza zastygała na

nowo. Żarzyły się czerwone lampki ogrodzenia. Żółtawo pobłyskiwał mokry od deszczu asfalt rozległego placu apelowego. Wokół obozu roztaczał się czarny las.

Kropiński coś szepnął, nie można było tego zrozumieć, Żaden z pozostałych nie odpowiedział.

Czy dziecko już zasnęło?

Zweiling zestawiał lampę pod biurko i zasłonił ją kawałkiem sukna, by światło nie docierało do niezaciemnionych okien. Teraz chyba może być już pewny, że Reineboth opuścił obóz i zwolniono również wartę na bramie. Wsadził kartkę do górnej zewnętrznej kieszeni, by można ją było łatwo wyciągnąć, zgasił lampę i postawił ją z powrotem na stole. Idąc wzdłuż okien magazynu odzieżowego, dotarł w ciemności do kąta w głębi i odsunął stos worków. Poświecił kieszonkową latarką. Dziecko szeroko otwartymi oczyma spojrzało w oślepiające światło i ukryło się pod kocem.

Na dworze Kropiński szarpnął Hófla za ramię:

- Tam!

Cała trójka wpatrywała się w ostatnie okno, za którym zamigotał blask. Nagle Pippig zerwał się i rzucił się w stronę Effektenkammer. Hófel zdołał go jeszcze chwycić, zanim tamten zdążył wskoczyć przez nie zamknięte drzwi do budynku, pociągnął go z powrotem i syknął: - Zwariowałeś?!

Pippig wycharczał: - Zabiję tego psa!

Również Kropiński podszedł bliżej. Na górze trzasnęły drzwi. Tylko sekundy pozostawały na decyzję. Trójka szeptała coś gorąco i gwałtownie.

Hofel zniknął w budynku, a pozostali, jak myszy, wcisnęli się do ciemnej niszy pod zewnętrznymi schodami. Hófel błyskawicznie zamknął za sobą drzwi. Nad nimi stuknęły podkute buty na kamiennych stopniach. Straszyl żółty blask przyciemnionej latarki wojskowej. Klatka schodowa była ciemna. Mniej niż sekundę miał Hofel na zastanowienie, gdzie się ukryć. Zresztą nie miał wyboru. Pozostawał tylko kąt dwumetrowej ściany obok drzwi wejściowych. Stać czy przykucnąć? Instynktownie Hofel przykucnął przy nagiej ścianie, ukrył twarz w kolanach i ramionami otoczył głowę. Nawet oczy mocno zacisnął, jak gdyby przez to mógł się uczynić jeszcze bardziej niewidocznym.

Zweiling osiągnął ostatni podest i szedł w stronę drzwi. Teraz rozstrzygnie się, czy najbliższa chwila minie szczęśliwie, czy też... Wystarczyło, by latarka niechcący rzuciła światło w bok, i Hofel będzie odkryty. Ale Zweiling skierował promień światła na klamkę od drzwi.

Hófel nabrał tchu w płuca i wsłuchiwał się w umykające sekundy. Nic się nie wydarzyło!

Z głęboką ulgą słyszał Hófel, jak drzwi się otworzyły i znów zamknęły. Z zewnątrz zachrobotał klucz w zamku i szcęknął dwukrotnie. Kroki oddalały się.

Hófel podniósł głowę. Uświadomił sobie, że piekielnie szybko myślał w tych sekundach. Ale nie było czasu na wspomnianie. Podniósł się.

W niszy pod schodami tamci dwaj wstrzymali oddech, przyciskając się jeszcze bardziej płasko do muru. Bardzo blisko obok nich przeszedł Zweiling. Jego skórzany płaszcz błyszczał, a nastawiony kołnierz dotykał otoku czapki. Na swych długich nogach, których kolana nigdy się nie zginały, szedł Zweiling drogą pod górę, a jego chuda, pochylona do przodu sylwetka widmowo roztapiała się w deszczu i ciemnościach.

Teraz wszystko potoczyło się tak, jak to sobie ułożyli i przygotowali w czasie między ich apelem a apelem ogólnym.

Pippig i Kropiński prześliznęli się wzdłuż fasady budynku. Na wysokości ziemi umieszczone były otwory świetlne wielu okien piwnicznych. W jednym z nich ukryli się bez szmeru. Parę lekkich pchnięć okna i jego skrzydła otwarły się. Obaj wskoczyli do środka.

W tym samym czasie Hófel był na pierwszym piętrze. On sam musiał błyskawicznie przedostać się z dachu korytarza do Effektenkammer. Ale dziecka nie można było wynieść tą samą drogą. Akcja zajęłaby zbyt wiele czasu, a poza tym niebezpieczeństwo wykrycia było zbyt wielkie.

Hófel otworzył drzwi na klatkę schodową, wsłuchując się w ciemność. Napięcie chwili wyostrzyło jego zmysły. To dobrze. Z absolutną dokładnością skonstruował plan działania. Najpierw czekać i nadśłuchiwać. Chwilę, jeszcze jedną, jeszcze - aż do upewnienia się, że wokół nie ma nikogo, ale to absolutnie nikogo. Ani więźnia, ani SS-mana, który może akurat w tym momencie przechodzić tędy wracając z obozu. Z dala było ogrodzenie, w ciemności niewidoczne, zdradzały je tylko czerwone kropeczki. Naprzeciw szczytowej ściany wznosiła się wieża wartownicza. O to Hófel się nie troszczył. Między nią a budynkiem Effektenkammer była łaźnia zasłaniająca widoczność. Najbliższa wieża znajdowała się o dwadzieścia pięć metrów dalej. Ta już była bardziej niebezpieczna. Ale i o tym niebezpieczeństwie Hófel pomyślał. W deszczem nasyconej ciemności posten musiałby przez dłuższą chwilę wpatrywać się w jeden punkt, aby coś zobaczyć. Nie było żadnego powodu do przypuszczeń, że posten akurat w chwili, kiedy Hófel z dachu będzie się wspinał na okno, wpatrzy się właśnie w ten punkt. Oczywiście można też mieć pecha. Wtedy zapali się reflektor i... skończone.

Życie ryzykowało się jednak i dla mniej ważnych rzeczy, a trochę fantazji też trzeba mieć. A więc naprzód, Andre! Bezszelestnie wlaź Hofel na dach korytarza i rozpląszczył się nadsluchując. Nic!

Ostrożnie poczołgał się do ściany szczytowej Effektenkammer i skurczył. Za pierwszym razem musi uchwycić gzyms nad sobą.

Hófel przykucnął, jak sprinter na starcie, koncentrując świadomość i wolę na tym jednym punkcie. Potem - skok, z całej mocy! Dłonie chwyciły, przytrzymały, wisiał! Ale wdrapywanie szło o wiele wolniej i trudniej, niż to sobie wyobrażał. Przez ułamek sekundy wydało mu się, że jest zanurzony w jasnym świetle, widoczny zewsząd. Nagły strach schwycił go za gardło, zrobiło mu się gorąco. Ale natychmiast zmienił się w kurczową siłę mięśni. Podciągnął się. Czołem nacisnął ramę okienną, mając uczucie, jakby odrywał się i spadał ze ściany, do której był przyklejony. Zupełnie nieoczekiwanie dla siebie oderwał jedną rękę od muru i rozepchnął skrzydła okna, jakby było to bardzo proste - potem chwycił dłonią za ramę okienną. Jeszcze jeden rzut ciała i Hofel był w środku. Szybko zamknął okno, skulił się i zamknął oczy, poddając się fali odprężenia.

Chwila zmęczenia i Hófel znowu jest w pełnej formie. Odsunął stos rzeczy. Jego ręce namacały ciało dziecka. - To ja jestem, malutki, cicho, zupełnie cicho! Początkowo Kropiński chciał się dać zamknąć w Effektenkammer, by w ten sposób zabrać dziecko, ale Hófel nie zgodził się, wychodząc z założenia, że na wypadek wykrycia przez Zweilinga on da sobie z nim lepiej radę niż Polak.

Z dzieckiem na ręku podążył Hófel przez długi magazyn do biura. Wszystko poszło bardzo sprawnie, tamci czekali na niego w piwnicy. Dzieciak przywykły w świetle lagrowym do nadzwyczajnych wydarzeń, przygotowany poza tym przez Kropińskiego, zachowywał się znakomicie. Hófel posadził go na podłodze, przyniósł potem jedną z wielu składanych drabinek, które służyły do wieszania rzeczy. Na drabinie wisiał - jakby zapomniany - worek. W worku była długa lina. Hófel wyciągnął ją, wpakował dziecko do worka, zawiązał i umocował linę. Potem postawił drabinę na stole i wlaź na nią. Obok pieca znajdował się otwór wychodzący na dach. Zupełnie bezszelestnie otworzył lukę. Znów wietrzył w ciemnościach przez chwilę, zanim wdrapał się z liną w rękę na ukośny dach. Chowając się za otwartą luką wyciągnął za sobą worek. Rozpląszczył się na dachu, poczołgał do komina, wciąż nadsluchując. Potem zdecydowanym ruchem wsunął worek do komina.

W piwnicy czekali ci dwaj przy otwartym przewodzie kominowym. Pippig niecierpliwie wsadził głowę w wąski otwór. Nie widział nic, w przewodzie panowała

absolutna ciemność. Coś poproszyło mu na twarz. Wyrwał głowę i klnąc przecierał oczy. Lina opuszczała się, ocierając się o ostry kant komina. Jeżeli się przetrze i zerwie?

Hófel na chwilę zatrzymał się przestraszony i zastanowił. Lekceważąc niebezpieczeństwo odkrycia wyprostował się przy kominie, podłożył rękę pod linę i popuścił ją.

Zsunęła się z rękawa na gołą skórę przedramienia, parząc jak płomień. By nie jęknąć, Hófel przycisnął czoło do komina. Wreszcie piwnica dała umówiony znak - targnięcie liną. Hófel puścił linę i osunął się znużony na dach. Bolącą rękę wsunął pod pachę, głowa mu opadła. Trwał tak przez dłuższą chwilę, zanim opanował ból.

Dwójka w piwnicy starała się precyzyjnie przecisnąć worek przez otwór. Dzieciak kwilił.

Człowieku, Marian, ostrożnie!

Kropiński zatrzymał się szepcząc coś do dziecka. Zamilkło i poruszyło się. Wyciągając ostrożnie luźno zwisającą część worka. Kropiński pomagał dziecku wydobyć się z ciasnego otworu.

- Jest?

- Jest!

Drżącymi palcami Kropiński odczepił linę i otworzył worek. - Dzięki Bogu - stęknął Pippig - zupełnie jak poród kleszczowy.

Mała istotka drżała całym ciałem. Jej duszyczka była wstrząśnięta. Kropiński głaskał i pocieszał łkającego i tulącego się do niego malca. Wreszcie dziecko uspokoiło się na tyle, że mogli rozpocząć niebezpieczną wędrówkę przez obóz. Zapakowali dziecko ponownie do worka i doprowadzili otwór przewodu do porządku. Hófel wyciągnął już linę. Ustalili, że Kropiński ma iść przodem jako zabezpieczenie. Jeżeli w odległości dwudziestu metrów nie będzie nic podejrzanego, miał wrócić i zabrać Pippiga. Wygrzebali się na dwór. Szczęściem deszcz jeszcze zgęstniał. Wbijali wzrok w ciemność.

- Jazda, Marian!

Kropiński poszedł, a Pippig pozostał w ciemnym kącie przy Effektenkammer. Kropiński szedł wzdłuż pierwszego rzędu bloków. Drzwi kilku bloków były otwarte. Więźniowie stali, ćmiąc skręty. Kropiński zatrzymał się nad słuchując. Miał doskonały słuch. Bez pudła odróżniłby krok scharführera od kroku więźnia. Pierwszy w ciężkich, mocnych buciorach byłby pewny, skrzypiałby na żwirze, drugi - w niewygodnych drewniakach, a na dodatek na tym paskudnym deszczu - klekotliwy i spieszny. Kropiński nad słuchiwał. W pobliżu nie było nikogo. Szybko wrócił i zabrał Pippiga. Doszli - razem do miejsca, w którym stał przed chwilą Kropiński. Tu Pippig znów się zatrzymał pod ochroną ciemnego baraku, a

Kropiński poszedł dalsze dwadzieścia metrów naprzód. Tak holował Pippiga wzdłuż baraków, przecinając poprzeczne uliczki, aż doszli w pobliże Małego Lagru. Ostatnia część drogi była najbardziej niebezpieczna. Wyszedszy zza chroniących rzędów, musieli przebyć porządną kawał drogi wiodącej do rewiru, zanim mogli skręcić w bok. Tędy szli - choć ze względu na deszcz było ich mniej niż zazwyczaj - więźniowie do ambulatorium. Skryci pod barakiem obserwowali drogę. Już tylko niewielu więźniów było widać, dowód, że wkrótce nastąpi gwizdek na noc. Niektórzy z więźniów dla ochrony przed deszczem narzucili na głowę pasiaki albo kawał worka.

- Idziemy, Marian? - zapytał Pippig.

- Byle tylko łut szczęścia - zauważył Polak.

- Doczepimy się do tych trzech, jazda!

Pippig wyskoczył na drogę, a Kropiński za nim. Szli tuż za trzema więźniami, idącymi do rewiru. Dwóch z nich otuliło się, przed deszczem. Zaledwie zrobili parę kroków, gdy Kropiński złapał Pippiga za ramię. - SS!

Rzeczywiście z pewnej odległości szli im naprzeciw dwaj scharfuhrerzy. Pippig przeraził się nie mniej niż Kropiński, ale nabyta w obozie przytomność umysłu pozwoliła mu zareagować w tej samej chwili. Zanim jeszcze scharfuhrerzy zdążyli się zbliżyć, podniósł worek na plecy, okrywając głowę jego luźną częścią. Czuł, jak ciało dziecka przywiera do jego ciała, a rączki próbują go uchwycić poprzez worek. Otulony, jak tamci, prześliznął się obok scharfuhrerów, wykorzystując pozostałych więźniów jako osłonę. Scharfuhrerzy nic nie zauważyli, markotnie pomaszzerowali dalej mokrą drogą.

Wreszcie mogli skręcić do Małego Lagru, za którego kolczastym drutem byli bezpieczni. Tutaj żaden SS-man nie przychodził. Barak 61 był jednym z bezokiennych końskich baraków. Gdy weszli do ponurego wnętrza, zaledwie rozjaśnionego kilkoma nędznymi żarówkami, uderzył ich straszny odór. Cała podłoga baraku obłożona była siennikami. Zitkowski i jego pomocnicy musieli gospodarować na tej ciasnej przestrzeni, wykorzystując każdy kącik, by móc ułożyć wszystkich chorych. Umierający leżeli na siennikach. Wygodniej było wynosić zmarłych wprost z podłogi, aniżeli wyciągać ich z ustawionych pod ścianami trzypiętrowych kojek. Tam umieszczano "łżejsze" wypadki. Zapewne im bardziej przydałyby się sienniki niż umierającym, którzy i tak się już wykańczali. Ale umierający leżeli wszyscy bez wyjątku na siennikach. Zdecydował o tym nie rozsądek, ale nierozsądne ludzkie uczucie. Dlatego też "łżejsze wypadki leżały na gołych deskach, chronione przed zimnem podartym kocem lub starym pasiakiem.

Nieruchomo, w odrętwieniu, leżeli chorzy, zarówno "lżejsi", jak i ci umierający, którym śmierć przedwcześnie przeorała twarze, a jedynymi oznakami życia było już tylko niemowlęce kwilenie albo świszczący oddech.

Pippig i Kropiński przeciskali się wąskim przejściem między siennikami. Jakiś polski pielęgniarz wyrzwał zza zasłony. Zniknęli za nią razem z nim. Zitkowski był przygotowany na ich przybycie. Pomógł Pippigowi uwolnić małego z worka, ojcowskimi dłońmi podniósł go i posadził ostrożnie na łóżku. Wielu mężczyzn otoczyło malca i uśmiechało się do niego ciekawie. Dzieciak, wstrząśnięty jeszcze tym, co przeżył, przyglądał się bojaźliwie obcym postaciom. Skrzywił się płaczliwie i wyciągnął rączki do Kropińskiego.

Ale Pippig spieszył się. Musieli się pożegnać.

W drodze powrotnej do baraku Kropiński westchnął. - Nie mogę zapomnieć tych dwóch scharfuhrerów. Co by było, gdyby cię zapytali: co masz tam w worku? Oh, oh...

Nie ochłonął jeszcze z przeżytego strachu. Pippig poklepał go po plecach.

- Nic się nie bój, Marian, Pan Bóg nie opuszcza wolnomyślicieli.

Schiipp wykonywał polecenie Kramera. Myśl narodziła się wówczas, gdy wezwano Schfjppa do naprawy radiodbiornika szefa garaży, SS-unterscharfuhrera Drauera.

- Przy tej okazji możesz trochę posłuchać - powiedział Kramer mając na myśli zagraniczne stacje. Ostatnio, od czasu Remagen, komunikaty z frontu stały się bardzo nieprzejrzyste.

Gdy Schiipp ze zwykłym meldunkiem: "Elektryk obozowy prosi o pozwolenie wejścia" wszedł do pokoju, Brauer nie był sam. Obecny był również rottenfuhrer Meisgeier, który z Brauerera nadzorował garaże.

- Chodźże, ty radioto! - wrzasnął Brauer, zapewne w znakomitym humorze - w ciągu pięciu minut masz doprowadzić to pudło do porządku, bo skręcę ci wszystkie paluchy, każdy z osobna.

Z miejsca rzuciło się w oczy Schiippowi, że obaj są podpici. Chudy rottenfuhrer o twarzy upstrzonej wrzodziankami czapkę na głowie miał przekrzywioną. Siedział przed zepsutym aparatem, daremnie usiłując zeń wydobyć jakieś dźwięki. Wysokim zmienionym głosem zakwiczał i on na Schiippa:

- Tu, w rurze, jest jakiś pierdziel i ty masz go wytentegować, a jeżeli ty, dupo, nie dasz sobie z tym rady, skręcę tobie kark na dodatek.

Te grubiańskie odezwania się nie zrobiły na Schiippie wrażenia. Postawił na podłodze skrzynkę z narzędziami i odpowiedział bez strachu: - Tego lepiej, panowie, nie róbcie, bo kto wam wtedy naprawi gadaczkę? Zawsze musicie tam coś kręcić.

- Kręcić - parsknął rozweselony Meisgeier i pogardliwie pokręcił gałką. Takie potraktowanie radia wywołało u Schiippa protest fachowca.

- Takich rzeczy się nie robi - pouczył Meisgeiera. Mógł sobie na to pozwolić, ponieważ SS-mani zależni byli od jego umiejętności fachowych. Obaj roześmieli się, a Brauer, siedzący dotychczas przy stole, podszedł również na niepewnych nogach do aparatu. Wyszczrzył zęby na Schiippa.

Nagle twarz mu się skrzywiła. Ze zdumieniem przywołał Meisgeiera, wskazując na Schuppa.

- Popatrz no na tę głupią gębę - powiedział i obaj zaczęli się przyglądać elektrykowi, który nic nie rozumiał i patrzył na nich ze zdziwieniem. Nagle Brauer zaskrzeczał:

- Ten radiota wygląda przecież zupełnie jak nasz "Raichshfirer Meisgeier potwierdził niesłychane odkrycie. Schiippa przeniknął nagły strach. Te draby były niebezpieczne. W chwilę później pięść Brauera mogła wylądować na jego twarzy, ponieważ miał czelność być podobny do Himmlera.

Chwila strachu minęła tak nagle, jak się zjawiała. Brauer i Meisgeier wybuchnęli jednocześnie potężnym śmiechem. Brauer z uznaniem poklepał Schuppa po ramieniu i ryczał ze śmiechu, w czym sekundował mu dyszkant Meisgeiera.

Niebezpieczeństwo minęło. Schiipp chytrze zrobił dobrą minę do złej gry, która dla tych dwóch nie kończyła się bynajmniej na tym rewelacyjnym odkryciu.

Brauer zerwał Meisgeierowi czapkę SS z głowy i wcisnął ją na głowę Schuppa, wrywając mu jednocześnie z ręki więziarską czapkę, którą z kolei wsadził na spiczasty łeb Meisgeiera.

Teraz dopiero nastąpiło ukoronowanie dowcipu. Przed nim stała udana karykatura dostojnika i Meisgeier, parskając śmiechem, groteskowo wyprężył się przed nią.

Za kwadrans Anglicy podają komunikat z frontu. Schiipp musi go złapać. Dzielnie przezwyciężył ból ludzkiego poniżenia, wyczekując ostrożnie, aż dwaj zabijacy wyśmieją się i nacieszą dowcipem. Potem zdjął SS-mańską czapkę z głowy i położył ją na stole. Gest, jaki przy tej okazji wykonał, był tak niedwuznaczny, że nie uszedł uwagi Brauera. Z uznaniem zmarszczył czoło i powiedział do Meisgeiera:

- Popatrz, popatrz, tego można nawet obrazić!

Schiipp miał odpowiedź na końcu języka, ale powstrzymał się. Replikując mógłby im zepsuć żart. Z doświadczenia wiedział, jak nieobliczalne są te draby. Podobnie jak dzikie zwierzęta w klatce, potrafią znienacka wbić pazury. Toteż zręcznie wykorzystał sytuację, podszedł do radia i zaczął przy nim majstrować.

Tu, przy fachowej robocie, był nietykalny. Z satysfakcją stwierdził, że śmiech tych dwóch ucichł. Meisgeier rzucił mu bezwartościowy już rekwizyt - czapkę więźniarską, nałożył własną i opuścił pokój. Schiipp odetchnął - jednego już się pozbył.

Uszkodzenie aparatu już znalazł, chodziło o kontakt wahadłowy. Drobiazg, mógł to raz-dwa doprowadzić do porządku, ale nie uczynił tego. Chodziło mu o to, by pozbyć się też Brauera, który wetknął nos w skrzynię, wypytyując, co się właściwie stało. Nieraz już używał Schiipp skutecznej metody celem pozbycia się natarczywego SS-mana. Im większymi ignorantami byli SS-mani w sprawach technicznych, tym bardziej udawali, że jest odwrotnie, byle nie okazywać niewiedzy przed haftlingiem. Schiipp wykorzystał ten fakt i na pytanie Brauera udzielił mu wyczerpującej lekcji na temat historii radia. Zaczął od Faradaya, a potem poprzez Heinricha Hertza przeszedł do Marconiego, szpikował referat terminami technicznymi, otaczał uszy unterscharfuhrera falami elektrycznymi i zapchał mu mózg kondensatorami, szpulami, przewodami, otumaniał go kręgami wibracji i polami magnetycznymi, indukcją, niskim i wysokim napięciem - aż koło młyńskie zaczęło się obracać.

Brauer zaburczał niecierpliwie:

- Ale co się w tym pudle zepsuło? Schupp zrobił najniewinniejszą z twarzy.

- To musimy dopiero stwierdzić! Brauer miał dość. Wcisnął sobie mocniej czapkę na głowę i wrzasnął:

- Jeżeli za kwadrans nie będziesz gotów, zrobię z ciebie marmoladę, słyszałeś, ty radioto?

Wściekle trzasnęła drzwiami.

W Schiippie ocknął się cwaniak. Szybko naprawił kontakt i nastawił aparat na odbiór. Zupełnie cicho i z oddali usłyszał cztery mocne uderzenia pałeczki w kocioł. Anglia! A potem, równie cicho i z oddali, język niemiecki z angielskim akcentem;

„Na terenie od dolnego biegu rzeki Sieg aż po pętlę Renu na północ od Koblencji toczy się bitwa.

Z przyczółka Oppenheim amerykańskie czołgi wylały się na wschód. Czołówki ich osiągnęły Men koło Hanau i Aschaffenburga. Między północnym skrajem puszczy Odenwald a Renem trwają zacięte walki ruchome...

Schupp o mało co nie wlaź w głośnik. Każde słowo wbijał sobie w mózg, by niczego nie zapomnieć.

Wisiał jeszcze przy głośniku, gdy Brauer wrócił, ale natychmiast przesunął skalę i nastawił aparat na pełną siłę głosu. Radio wrzasnęło. Brauer podbiegł zachwycony:

- Człowieku! Radioto! Jak ty to zrobiłeś? Sam już przy tym majstrowałem, ale mi się nie udało. Ty jesteś...

Więcej pochwał nie można było udzielić więźniowi. Brauer zrewidował więc swe uznanie grubiańskim:

- Ach, pocałuj mnie w dupę! Grunt, że pudło znów gra. Schupp spakował narzędzia.

Wkrótce potem stał z Kramerem w jego pokoju przed mapą. Od Remagen w ciągu kilku dni przebili się już do Oppenheim. Stąd droga szła na Frankfurt, a na północ od Koblencji rysował się już kierunek na Kassel. Nie ulegało wątpliwości, szli na Turyngię.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie, myśląc o tym samym. Kramer przy pomocy linijki zmierzył odległość Remagen-Frankfurt. Potem przeniósł ją na Weimar. Jeszcze tylko niespełna dwie trzecie przebytej drogi i...

Kramer nabrał głęboko powietrza, odłożył linijkę na stół i powiedział nabrzmiałym głosem:

- Za dwa tygodnie będziemy wolni albo martwi... Schupp roześmiał się:

- Martwi? Człowieku, Walter, ci tam z góry już nam nic nie zrobią. Już teraz mają pełne portki. Kramer ostrzegał:

- Odczekać!

Nagle chwycił Schiippa za ramię i wskazał przez okno na bramę. Zobaczyli zdążających szybkim krokiem przez plac apelowy Kluttiga i Reinebotha. Więźniowie zdejmowali przed nimi czapki i oglądali się ukradkiem. Z napięciem obserwowali Kramer i Schiipp trasę SS-manów do chwili, póki nie zniknęli z ich pola widzenia.

- Tam się coś stało, Heinrich, idź za nimi i zobacz, dokąd idą.

Schupp pobiegł.

Nerwowo niepokój opanował Kramera. Ogarnęło go nagle uczucie, że ta dwójka przyszła do obozu z jego powodu, że lada chwila rozewrą się drzwi i głos Kluttiga świśnie jak bat:

- Natychmiast za mną!

Kramer ścisnął skronie pięściami. Niepokój spotęgowała obawa, że wszystko zostało odkryte. Wszystko!

A gdy drzwi rozwarły się rzeczywiście, odwrócił się przerażony. Ale to tylko Schupp wtargnął gwałtownie.

- Poszli do Effektenkammer.

Przez chwilę Kramer odczuł ulgę, ale zaraz potem przyszła nowa, jeszcze większa fala strachu. Patrzył nieprzytomnie na Schiippa.

Reineboth znalazł rano kartkę pod drzwiami, podniósł ją i obracał bezmyślnie w rękę.

„Hofel z Effektenkammer i Polak Kropiński chcą wykiwać hauptscharfihrera Zweilinga. Ukryli żydowskie dziecko w Effektenkammer w prawym kącie w głębi”.

Reineboth parokrotnie przeczytał tekst.

„Haftling z Effektenkammer” - tak było podpisane.

Nagle przypomniał sobie wczorajszą poranną scenę z Zweilingiem. Zweiling otworzył wówczas drzwi, zatrzymał się zdetonowany, wymamlał nieśmiało powitanie i poszedł.

Reineboth gwizdnął przez zęby i wsadził kartkę do kieszeni. Pokazał ją później Kluttigowi. Również on przeczytał ją kilka razy, nie wiedząc, co z tym fantem począć. Zamknął zaczerwienione powieki. W grubych szklach załamywał się promień światła.

Reineboth przeciągnął się:

- Co powiesz o tym podpisie? Kluttig zauważył bez zastanowienia.

- Po prostu któryś sypnął.

- Haftling?

- A kto inny?

Reineboth uśmiechnął się z wyższością.

- Zweiling - odpowiedział, podnosząc się flegmatycznie. Odebrał Kluttigowi kartkę, a bezpośrednio potem uderzył w ostry ton:

- Zweiling to pisał i nikt inny!

Reinebotha rozżościła głupawo zdumiona twarz Kluttiga. Pelen żółci natarł na lagerfuhrera:

- Człowieku, czy ty tego nie rozumiesz? Przecież to jasna sprawa! Ten głupek kombinował z komuną, a teraz ma smród w portkach.

Kluttig starał się nadażyć za bystrą myślą młodzieńca, który założył lewą rękę na plecy, a wskazujący palec prawej wetknął do dziurki od guzika munduru. Tak paradował przed Kluttigiem tam i z powrotem, a słowa jego przepojone były cynizmem:

- Czy Herr Hauptsturmführer był łaskaw porównać komunikat naszego wysoce cenionego Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu z komunikatem angielskim? - Zatrzymał się przed Kluttigiem i powiedział ostro:

- Wtedy mianowicie, mój drogi, mógłbyś stwierdzić, że Amerykanie posunęli się od Oppenheim naprzód. Są już przy Aschaffenburgu. Jak się panu podoba teatrum wojenne?

Z uprzedzającą ironią Reineboth wskazał mapę na ścianie.

- Kierunek uderzenia - Turyngia! Więc jak, proszę? Nie udawajmy przed sobą - powiada nasz dyplomata. Kombinujemy - powiadam ja.

Krażył zadowolony tam iż powrotem i zażądał od milczącego Kluttiga:

- Więc proszę, Herr Lagerfiihrer, kombinuj! Kluttig zdawał się pojmosferać związeka.

Myślisz, że Zweiling miał coś z komuną na wypadek, jeśli będzie krewa?...

- Inteligentnie - podkpiwał Reineboth - każdy na swój sposób. To może pójść prędko, nawet bardzo prędko. Tydzień trwało od Remagen do Frankfurtu, możesz więc sobie obliczyć, kiedy będą tutaj. A teraz posłuchaj, co ja kombinuję. Przy pomocy tego żydowskiego bękartu zrobili Zweilinga na szaro. Herr Hauptscharftthrer, niech pan przyknie oko, jeżeli się odwróci, my zrobimy to samo. Prawda?

Nie czekając na odpowiedź Kluttiga, Reineboth drążył palcem dziurę w powietrzu:

- Tę całą historię poruszył Hofel i on jest jednym z tych z organizacji. Ergo: kto tkwi za tą całą aferą? Nielegalna organizacja! Skapowałeś? Musimy capnąć Hofla i tego Polaka, jak się ten typ nazywa?

Teraz Kluttig pojał. Oburzony oparł ręce na biodrach.

- A co zrobimy z Zweilingiem?

- Nic - odpowiedział Reineboth - mamy Hófla i tego, jak mu tam, mamy więc w ręku koniec nitki. A tamta dupa będzie jeszcze zadowolona, jeśli będzie nam mógł pomóc rozwikłać sprawę.

Z niekłamany podziwem Kluttig wpatrywał się w niego.

- Człowieku, ale z ciebie szczwany lis... Nieograniczony podziw dla jego przebiegłości ozłocił pychę młodzieńca. Zabębnił palcem w guzik.

- To wszystko zrobimy sami, bez naszego dyplomaty. Albo jeszcze lepiej: przeciw niemu! Musimy być mądrzy, Herr Hauptsturmfuhrer, bardzo mądrzy! To może się też nie udać. Powiedziałem ci już kiedyś i teraz powtarzam: jeżeli uderzymy, musimy trafić w dziesiątkę, zrozumiano? Możemy sobie pozwolić na uderzenie tylko wtedy, jeśli trafi absolutnie dokładnie.

Stanął tuż przed Kluttigiem, mówiąc z naciskiem:

- Nie wolno ci robić głupstw. Ani słowa o organizacji, nie ma takiej. Zrozumiano? Chodzi tylko o tego żydowskiego bękartu, kapujesz?

Kluttig kiwnął głową, zdając się na mądrość Reinebotha. Ten, nie tracąc chwili, zdecydowanie nasuwał czapkę na czoło: - A zatem, jazda!

Szarpnęli drzwi Effektenkammer i weszli szybko do środka. Zatrudnieni w magazynie więźniowie odwrócili się zaskoczeni, a jeden zawołał:

- Baczość!

Wszyscy stanęli wyprostowani tam, gdzie się akurat znajdowali. Hófel zaalarmowany okrzykiem "bacność" przeraził się, ujrzawszy lagerfiihrera i Reinebotha. Szybko wszedł do odzieżówki i zameldował jak zwykle:

- Komando Effektenkammer przy pracy! Reineboth z palcem w dziurce od guzika warknął:

- Wszyscy ustawić się!

Hófel bardzo głośno przekazał rozkaz do wszystkich pomieszczeń. Myśli wirowały mu w głowie. Więźniowie zbiegali się ze wszystkich stron i ustawiali jak zazwyczaj w dwuszeregu, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które zwiastowało nagłe pojawienie się SS-manów. Kluttig zapytał o Zweilinga.

Hófel zameldował:

- Hauptscharfiihrera Zweilinga jeszcze dziś nie było.

Niesamowita cisza zaległa izbę. Więźniowie stali nieruchomo, wpatrując się w Kluttiga i Reinebotha, którzy również milczeli. Krótkie, ale pełne napięcia chwile przeleciały nad głowami więźniów jak dzikie ptaki. Teraz cisza była lodowata.

Kluttig dał znak Reinebothowi. Ten udał się prędko do odzieżówki, na prawo w głąb. Kluttig usiadł tymczasem przy ladzie, machając nogą. Na końcu szeregu stali obok siebie Pippig i Kropiński. Pippig nieznacznie trącił Kropińskiego. W pierwszym szeregu stał Rose. Jego twarz, na której jawnie malował się strach, wyraźnie odbijała od nic nie mówiących twarzy pozostałych. Hófel stał na zwykłym miejscu w końcu pierwszego szeregu. Myśli gnały.

Czuł tętno serca aż w krtani. Gorące uderzenia aż bolały. Dziwnie nie łączył zjawienia się SS-manów ze zniknięciem dziecka, ale raczej z Walterem 7,65 mm. Nikt poza nim nie wiedział, gdzie jest ukryty.

Nagle przypomniał sobie dawną, dziecinną zabawę i ucieszył się: Zimno, zimno, zimno... W myśli dotykał schowka broni, obliczał możliwości znalezienia go i przypominał sobie, jak jako chłopiec radośnie wykrzykiwał, gdy mimo wytężonych poszukiwań nie udawało się znaleźć skrytki.

- Zimno, zimno, zimno! - uspokoił się zupełnie, złe uderzenia krwi ustały, podniecenie minęło. Teraz mógł nawet kącikami oczu obserwować Kluttiga, przebiegającego palcami po kolanie. Oczy Kluttiga usiłowały podstępnie przeniknąć nieruchome szeregi więźniów, wpatrując się w każdego z oddzielna. Ale spojrzenia więźniów wyrażały pustkę. W izbie wisiało obezwładniające napięcie, grożące w każdej chwili wybuchem. Trwało dłuższą

chwile, zanim Reineboth wynurzył się ponownie. Miał na twarzy drwiący uśmiech, uniósł brwi.

- Nic - powiedział lakonicznie. Kluttig zeskoczył z lady. Napięcie osiągnęło swój zenit. Kluttig poderwał się wściekle, jak gdyby powiał gwałtowny wicher.

- Hófel, wystąpić!

Hófel wystąpił z szeregu i stanął w odległości dwóch kroków od Kluttiga. Kluttig patrzył badawczo ponad głowami więźniów.

- Który to... polska świnia Kropiński? Wystąpić!

Kropiński powoli opuścił swoje miejsce, przeszedł wzdłuż szeregu i stanął obok Hófla. Reineboth kołysał się w kolanach. Rosę stał zdrętwiały, usiłując wszelkimi siłami nie poddać się, bo czuł, że uginają się pod nim kolana. Twarze pozostałych więźniów były twarde, ponure, nieruchome. Oczy Pippiga prześliznęły się? od Reinebotha do Kluttiga.

Kluttigowi wściekłość utkwiła w gardle. Trzymał sztywno głowę na długiej szyi. Chciał się opanować i syknął złowrogo przez zęby:

- Gdzie jest dziecko?

Kropiński zdenerwowany przełknął ślinę. Nikt nie odpowiedział. Kluttig stracił panowanie nad sobą, wrzasnął piskliwie:

- Chcę wiedzieć, gdzie jest ten bękart żydowski!!! Skoczył na Hofla:

- Odpowiadać! Opryskał go śliną.

- Tu nie ma żadnego dziecka.

Kluttig wzrokiem poszukał pomocy Reinebotha. Wściekłość dławila mu słowa w krtani. Reineboth niedbale podszedł do Kropińskiego, przyciągnął go za klapy marynarki i powiedział niemal przyjaźnie:

- Mów, Polaku, gdzie dziecko? Kropiński gwałtownie potrząsnął głową.

- Ja nie wiedzieć.

Wtedy Reineboth zamachnął się. Dobrze wytrenowany, bokerski cios spadł na podbródek Kropińskiego. Cios był tak mocny, że Kropiński upadł w szereg więźniów. Złapali go. Z kącika ust sączyła się cienka czerwona strużka. Reineboth ponownie przyciągnął Kropińskiego. Drugi cios w to samo miejsce. Kropiński upadł jak worek.

Reineboth strzepnął ręce i wetknął palec w dziurkę od guzika.

Ciosy stanowiły sygnał dla Kluttiga: zaczął dziko i nieopanowanie tłuc Hofla w twarz pięściami. Potem zaskrzeczał:

- Gdzie macie tego bachora żydowskiego? Jazda, gadać!

Hófel ramionami chronił głowę. Wtedy Kluttig kopnął go z wściekłością w brzuch, tak że Hófel skulił się z okrzykiem bólu.

Pippig oddychał gwałtownie. Kurczowo zacisnął dłonie. Bezmyślnie powtarzał sobie: - Przetrzymać, przetrzymać. Już są pod Oppenheim! To już długo nie potrwa. Przetrzymać, przetrzymać!

Dolna warga Kluttiga drżała. Obciągnął mundur. Hófel podniósł się z trudem. Kopnięcie pozbawiło go oddechu. Dysząc stał ze zwieszoną głową. Kropiński leżał nieruchomo.

Reineboth spojrzął niedbale na zegarek.

- Daję wam minutę czasu. Kto mi powie, gdzie ukryty jest bękart, dostanie nagrodę.

Więźniowie stali nieruchomo. Pippig wsłuchiwał się w milczenie. Czy ktoś coś powie? Poszukał wzrokiem Rosego. Widział tylko jego plecy, ale zauważył, że palce mu drżą.

Po nieskończeniu długiej półminucie Reineboth spojrzął na zegarek. Na zewnątrz wyglądał zupełnie spokojny, a przecież intensywnie zastanawiał się nad dalszą taktyką. "Napędzić facetom stracha - myślał - to ich zmiękczy".

- Jeszcze trzydzieści sekund - powiedział uprzejmie - potem zabierzemy tych dwóch do... do młyna...

Dla spotęgowania wrażenia zrobił pauzę, niebezpiecznie krzywiąc wargi.

- Na wasze konto pójdzie to, co się z nimi później stanie. Zręcznie omijał wzrok więźniów, patrząc jak starter na zegarek.

Oczy Kluttiga błędziły od jednego do drugiego. Szeregi stały wrośnięte. W Pippigu drżało wszystko. "Czy mam to wziąć na siebie? Wystąpić, powiedzieć: Ja mam dziecko, tylko ja Minuta minęła. Reineboth opuścił rękę z zegarkiem. Pippig poczuł jak gdyby pchnięcie w plecy: "Teraz? Wystąpić!" Ale stał nieruchomo.

Reineboth czubkiem buta uderzył Kropińskiego w bok: - Wstać!

- Teraz, teraz, teraz - targało coś Pippigiem i wydawało mu się, że rzeczywiście wystąpił, bezcielesnie, jakby śnił. Kropiński podniósł się chwiejnie i otrzymał kopnięcie Reinebotha w krzyż, tak że potoczył się w stronę drzwi. To nie strach ani tchórzostwo powstrzymywały Pippiga. Drętym wzrokiem odprowadził Hofla idącego również do drzwi...

Gdy zostali sami, więźniowie jeszcze sporą chwilę trwali sztywno i nieruchomo, obezwładnieni wstrząsem. Nagle Rosę potrząsnął pięściami i zawołał wykończony nerwowo:

Ja z tym nie chcę mieć nic wspólnego i Wtedy życie wstąpiło w szeregi, a i Pippig obudził się z drętwoty. Poprzez gwar rozluźniających się szeregów podskoczył do Rosego, chwycił go twardo i zagroził pięścią:

- Trzymaj mordę!

Zweiling istotnie odczekał, aż wszystko minie, a potem pojawił się w Effektenkammer. Zezem popatrzył na więźniów. W kancelarii siedzieli beczynnie przy biurkach, a pozostali zgrupowani przy ladzie odzieżówki zapewne też jeszcze nic nie robili. Dopiero przy jego wejściu zaczęli markować robotę.

Zweiling udając, że nie zauważył przygnębienia więźniów, poszedł do swego pokoju. Naraz opanowało go nieprzyjemne uczucie. Czyżby oni wiedzieli, że kartka pochodzi od niego? Zatrzymał się niezdecydowanie, krzywiąc twarz w niezręcznym uśmiechu:

- Cóż to macie takie głupie gęby? Gdzież jest Hófel? Pippig, który również stał przy ladzie, nie spojrzawszy na Zweilinga, rozwiązywał sznurek worka z odzieżą.

- W bunkrze - odpowiedział ponuro. Zweiling wyczuł szczególny ton w odpowiedzi.

- Coś zmajstrował? - Zweiling wysunął język na dolną wargę. Pippig nie odpowiedział, a twarde milczenie pozostałych zablokowało drogę do dalszych pytań. Bez słowa skierował się do swego pokoju, odprowadzany nieufnym wzrokiem więźniów. Pippig posłał za nim przez zęby przekleństwo. Zweiling rzucił byle jak brązową skórę na krzesło i zastanowił się. Niemiłe uczucie nie opuszczało go. Instykt mówił mu, że więźniowie go podejrzewają. Ponuro patrzył przed siebie. Najlepiej było zachować się przyjaźnie, a w tamtej sprawie udawać głupiego.

Zawołał Pippiga.

- Opowiedz, co właściwie tutaj zaszło.

Pippig nie od razu odpowiedział.

W chwili gdy rozstrzygał się los jego najbliższego przyjaciela, Pippig poczuł nagle ogromną potrzebę nieukrywania najgłębszych uczuć - w złudnej nadziei, że dotrze do serca tego, który siedział teraz przed nim opanowany i czujny. Nic wyższego i szlachetniejszego nie potrafiłby Pippig ofiarować SS-manowi, jak swoje i wiecznie deptane człowieczeństwo, więzione kratami niebieskoszarych haftlingowskich pasiaków. Chęć wypowiedzenia się jak człowiek była tak silna, że serce mu topniało. I przez chwilę Pippig bliski był zawierzenia obezwładniającemu wewnętrznemu głosowi. Kłębiące się myśli zdały się już przekształcać w słowa. Ale gdy dostrzegł płaską pożądlivość malującą się na twarzy Zweilinga, coś go tknęło.

Tak jak jego więziarskie pasiaki były kratą, która zmuszała człowieka do czajenia się, tak i mundur esesmański był nieprzeniknionym pancerzem, a za nim czaiła się istota chytra, tchórzliwa i niebezpieczna, jak dziki kot w dżungli.

Siedział przed nim kapuś, drań na tyle zimny, aby ofiarowane mu w chwili słabości człowieczeństwo wyzyskać i zniszczyć, jeśli tylko mogło mu to przynieść korzyść.

Teraz Pippigowi było wstyd, że mógł choćby na chwilę ulec podszeptowi serca.

- No, gadaj.

Pippig czuł, że ogarnia go lodowaty spokój.

- Co się miało stać? Hófel i Kropiński polecili do bunkra [z powodu dziecka.

Zweiling błysnął okiem.

- Ktoś musiał sypnąć. Pippig odpowiedział prędko:

- Tak jest, hauptscharführer, ktoś sypnął.

Zweiling udał, że nie rozumie sensu odpowiedzi, i rzekł:

- Widać macie wśród siebie jakiegoś bydlaka.

- Tak jest, hauptscharführer, mamy wśród siebie jakiegoś bydlaka.

Jak twardo można to powiedzieć!

- A czy oni... to... to zabrali ze sobą?

- Nie, hauptscharführer!

- A gdzie ono jest?

- Tego nie wiem.

Zweiling był wyraźnie zaskoczony.

- Jak to? Przecież wczoraj wieczorem było jeszcze tu.

- Nie wiem. Zweiling podskoczył:

- Sam je widziałem!

Teraz się zdradził. To, co dotychczas było tylko podejrzeniem, stało się dla Pippiga pewnością. Zweiling był tym kapusiem. On!

Zweiling gapił się w nieprzeniknioną twarz Pippiga. Nagle wrzasnął na niego:

- Wszyscy - zbiórka, całe komando! Tego bydlaka znajdziemy!

W tej samej chwili jednak spasował. Podskoczył do Pippiga chwytającego już za klamkę i powiedział w przyływie poufałości:

- Nie, Pippig, tego nie będziemy robić. Najlepiej chwilowo nie mówmy nic o tej sprawie. Dlatego, że jestem porządny, skrupi się to jeszcze na mnie. Nie trzeba bić w wielki dzwon. Sami spróbujcie się wywiedzieć, co to za bydlak, a potem mnie zameldujcie. Postaram się go załatwić.

Łaknąc zgody Pippiga, Zweiling wysunął koniuszek języka na dolną wargę. Pippig milczał. Wykonał przepisowy ”w tył zwrot” i opuścił pokój. Zweiling z otwartymi ustami patrzył za nim.

Ze swego pomieszczenia Kramer widział obu aresztowanych prowadzonych przez Kluttiga i Reinebotha. Kropiński chwiał się, a Hófel szedł ze spuszczoną głową.

Zza okien szrajbsztuby więźniowie śledzili grupę szeroko rozwartymi oczyma.

Próll przybiegł do Kramera. Tamta czwórka dotarła do bramy. Trzeba było dobrze wpatrywać się, by móc jeszcze coś rozpoznać na taką odległość. Mimo to para więźniów w oknie zdołała spostrzec, że aresztowanych zaprowadzono do prawego skrzydła budynku przy bramie.

Pochłonał ich bunkier.

Pröll popatrzył na Kramera, niezdolny wykrztusić słowa. Tylko w oczach jego malowało się rozpaczliwe pytanie: dlaczego? Twarz Kramera spochmurniała.

Wiść o tym wydarzeniu obiegła szybko lager. Zabranie Hofla pachniało grubą sprawą. Co się stało? Więźniowie ponieśli denerwującą wiadomość na bloki. Do baraku optyków przyniósł ją goniec.

- Przed chwilą zabrali Hofla i jednego Polaka do bunkra. Kluttig i Reineboth przyszli po nich. Coś śmierdzi...

Pribula i Kodiczek popatrzyli na siebie zatroskani. Instruktor wojskowy w bunkrze? Co to miało znaczyć? Wiadomość dotarła również na rewir. Van Dalen nie dał nic poznać po sobie. Prał w umywalni brudne bandaże. Tylko jego krzaczaste brwi ściągnęły się. To mogło być niebezpieczne. Miał ochotę wszystko zostawić i pobiec do Bochowa. Ale przeczornie zrezygnował, pamiętając o najwyższym nakazie wszystkich pracujących w podziemiu: nie zwracać na siebie uwagi. Jeżeli sprawa będzie rzeczywiście niebezpieczna, otrzyma w porę odpowiednie wskazówki.

Schiippa kręcącego się w pobliżu Effektenkammer wypytywali więźniowie z sąsiedniej łaźni. Informacje swe przekazali z kolei Bogorskiemu, który skrył zmartwienie pod maską obojętności.

- Cóż mogło się stać? Hófel podpadł.

Bochow dowiedział się o tym za pośrednictwem sztubowych, którzy przynieśli wiadomość z kuchni. Niepokój nie pozwolił mu zostać długo na bloku. Pod jakimś pretekstem udał się do szrajbsztuby. Na szczęście Kramer był sam. Kramer w głębi serca bał się spotkania z Bochowem. Wiedział aż nazbyt dobrze, dlaczego kazał udręczonemu Hóflowi samemu wykonać polecenie Bochowa. Stało się tak, ponieważ po przekazaniu polecenia

chciał jak najdalej odsunąć od siebie tę sprawę. Byle nie mieć z tym więcej do czynienia! Nic nie wiedzieć, nic nie widzieć!

To samo uczucie kazało mu sprzeciwić się zarzutom Bochowa, że nie kontrolował do końca sprawy odesłania dziecka z transportem. - Wykonywałem swój obowiązek! - bronił się zbyt głośno. Bochow nic na to nie odpowiedział. Właściwy mu zdyscyplinowany sposób bycia, pozwalający mu wyjść naprzeciw rzeczywistości w każdej sytuacji, wskazywał bezużyteczność sprzeczenia się o popełnione już błędy. Aresztowanie Hófla stworzyło niebezpieczną sytuację. Instynkt podszeptował Bochowowi, że między tym aresztowaniem a usiłowaniami Kluttiga i Reinebotha, by dotrzeć do aparatu podziemnej organizacji - istnieje ścisły związek. Na pewno wietrzyli w Hóflu członka organizacji. Z powodu dziecka nie podnieśliby takiego rabanu. Bochow zacisnął wargi, szukał wyjścia, ale go nie znajdował.

- I co teraz?

Kramer bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie wydostaniemy już dziecka z lagru. Rad jestem, że kazałem je jeszcze w porę usunąć. To sprawka Zweilinga.

Bochow słuchał tylko półuchem. Zastanawiał się. Jedyne czy Kramer, jako lageraltester, mógłby wywąchać, co dzieje się z Hóflem i Kropińskim w bunkrze.

- Słuchaj, Walter - powiedział wreszcie - musisz pomóc. Nie ma już sensu pozostawiać cię dalej w niewiedzy. I bez tego zresztą wiesz więcej, niż ja ci mogę powiedzieć.

- Tego, czego nie powinienem wiedzieć, nie wiem, nawet jeśli wiem o tym - odpowiedział Kramer.

- Czy nikt nam teraz nie przeszkodzi?

- Mów - burknął Kramer. Bochow przytłumił głos.

- Wiesz, że mamy broń. Obojętne, gdzie jest ukryta. Hofel był instruktorem bojowym grup oporu. Jeden z najważniejszych towarzyszy. Kapujesz?

Kramer ściągnął brwi i skinął głową.

- Nikt nie wie, co oni będą z nim wyprawiali w bunkrze - ciągnął Bochow - pewne jest, że będą go męczyli. Jeżeli Hófel załamie się, cały nasz aparat pęknie. Zna schowki broni, zna towarzyszy z grup oporu, zna nas, MKO...

Bochow przerwał. Również Kramer milczał. Powoli wpychał ręce w kieszenie. Od wytrzymałości jednostki zależało życie wielu ludzi, jeśli nie egzystencja całego obozu!

Groza ogarnęła Kramera.

- Powinienem być w porę z tobą porozmawiać - powiedział po chwili Bochow - wtedy zabrałbyś Hoflowi dziecko, zanim i Zweiling wpadłby na to...

Kramer znowu skinął głową.

- Słuchaj, Walter, musisz wywąchać, czy Hofel trzyma się. My nie mamy dojścia do bunkra. Jak ty to zrobisz, to twoja sprawa, nie mogę ci nic poradzić. Może wtajemniczysz w to Schuppa?

Kramer już sam pomyślał o tej możliwości.

- Komunikuj mi natychmiast o wszystkim, czego się dowiesz. Wiesz teraz, o co chodzi. Bądź ostrożny, Walter! Kogokolwiek byś wciągnął, mów mu tylko to, co konieczne, a o reszcie - sza!

- Nie musisz mi tego wcale wbijać do głowy - burknął Kramer.

Bochow poklepał go po ramieniu:

- Wiem, wiem...

Nie było zwyczajem Bochowa tracić głowę w obliczu niebezpieczeństwa. Jego odwaga nie była z gatunku zawadiackich, lecz przemyślana, rozsądna, wyrachowana. Gdy Bochow uznawał coś za słuszne, przeprowadzał to z cichym uporem, czasem nawet bez wiedzy towarzyszy. Tak na przykład było wtedy, gdy ukryli sześć karabinów, które wykorzystując ogólny bałagan po nalocie bombowców amerykańskich, udało się w sierpniu 1944 roku przeszmygłować do lagru.

Bochow otrzymał polecenie ukrycia drogocennej broni jak najprędzej w absolutnie pewnym miejscu, i to tak, by można było po nią w każdej chwili sięgnąć. Trzeba było oczywiście zabezpieczyć ją również przed zniszczeniem. Nazajutrz zameldował towarzyszom z MKO o wykonaniu polecenia. Na pytanie, gdzie ukrył broń, odpowiedział: "w rewirze" i nic nie zdołało go zmusić do podania dokładniejszego miejsca.

Gdybym wam ten schowek zaproponował, bylibyście na pewno przeciwni.

Towarzysze przelękli się, ale Bochow milczał.

- Szukajcie - odpowiadał z kpiną na wszelkie zarzuty i wątpliwości - temu, kto znajdzie karabiny, przez tydzień będę oddawał chleb.

Van Dalen, zatrudniony w rewirze, łąził wszędzie. Gdy tylko Kodiczek i Pribula mieli okazję w ciągu dnia pójść do rewiru, przeszukiwali oczami wszelkie możliwe miejsca, gdzie mógłby się znajdować schowek. Była to ciuciubabka - dla nich irytująca, dla Bochowa zabawna. Tylko Bogorski nie brał udziału w poszukiwaniach.

- Herbert na pewno to dobrze zrobił.

Pewnego niedzielnego popołudnia owego sierpnia 1944 roku Bochow wraz z Kodiczkiem i Pribulą spacerowali drogą wiodącą w stronę rewiru. Dołączył się do nich van Dalen i usiedli w czwórkę na ławce naprzeciw głównego baraku. Spotkali się, ponieważ Bochow chciał im zdradzić tajemnicę schowka.

- Ty teraz powiedz - niecierpliwił się Pribula - gdzie są. Miał na myśli karabiny. Bochow uśmiechnął się kącikiem ust.

- Siedzisz naprzeciw nich.

Pribula i pozostali popatrzyli na pusty plac, ukradkiem przyjrzeni się frontonowi głównego baraku. Bochow pomógł im, wskazując niepostrzeżenie oczyma na zielone skrzynki pod oknami, w których kwitły czerwone geranie.

Van Dalen zorientował się pierwszy.

- Tam, w środku? - szepnął zdumiony. Bochow skinął. Zaniemówili, wpatrując się w skrzynki. Bochow cieszył się ich zdumieniem.

- Zgodzilibyście się - zapytał - gdybym wam zaproponował ten schowek?

Nikt nie odpowiedział, ale w milczeniu tkwiło zaprzeczenie.

- To ryzykowne - powiedział wreszcie van Dalen.

- Ale słuszne - dodał prędko Bochow.

- Kto szuka czegoś, co jest ukryte, włazi we wszystkie kąty, ale przechodzi mimo tego, co jest tuż koło nosa. A poza tym...

Bochow przerwał. Jakiś SS-man skręcał z drogi w stronę baraku. Obojętnie przeszedł obok skrzynek. Przed ostatnią jednak, tuż przed barakiem, zatrzymał się. Coś wzbudziło jego zainteresowanie. Przerażony Pribula chwycił Bochowa za rękę. Patrzyli, jak SS-man wyprostował jedną z geranii, zwisającą krzywo, i umocował ją w ziemi. Z ogromnym napięciem śledzili ruchy SS-mana. Bochow uśmiechał się spokojnie. I z uśmiechem podjął przerwane zdanie, gdy SS-man zniknął w baraku:

- ...a poza tym te sentymentalne bestie zabijają wprawdzie ludzi, ale nie kwiaty...

Milczeli. Wydarzenie, którego byli świadkami, przekonało ich. Bochow powiedział spokojnie:

- Zadanie wykonane. Leżą tu bezpiecznie, można po nie sięgnąć w każdej chwili i są zabezpieczone przed zniszczeniem. Köhn owinął je mianowicie troskliwie naoliwionymi szmatami. Gdy rozstawali się, Bochow zmrużył oko:

- Mogę zatrzymać chleb dla siebie?

Potrząsając głową van Dalen wracał do rewiru. Pribula z uznaniem trzepnął Bochowa w krzyż. Bochow śmiał się.

Od owych wydarzeń minęła zima, geranie uschły. Skrzynki na kwiaty wciąż jeszcze stały pod oknami baraku. Nikt na nie nie zwracał uwagi. Ziemia wyschła.

Jednakowoż Bochow nie był już taki pewny siebie, jak wówczas. Niepokój pchnął go do Bogorskiego. Każda godzina była droga; każda, bo w każdej godzinie mogło się wydarzyć jakieś nieszczęście nie dające się przewidzieć. Brak czasu zmusił Bochowa do złamania nakazu ostrożności. Może znajdzie się jakaś bezpieczna okazja do naradzenia się z Bogorskim, co należy robić. Również teraz pomógł mu korzystny przypadek.

Scharführer z łaźni snuł się po swym pokoju, kąpielisko było puste, a więźniowie z komanda wlekli do dezynfekcji pozostawione przed łaźnią łachy jakiegoś nowo przybyłego transportu. Wśród nich był Bogorski. Powziąwszy nagłą decyzję, Bochow zagarnął kupę łachów i poniósł je do dezynfekcji. Bogorski natychmiast pojął sens postępowania Bochowa i pośpieszył nieznacznie za nim. Więźniów nie potrzebowali się obawiać, a w dezynfekcji nikt im nie przeszkodzi. Zatrzymali się przed kupą kłopotów, skąd mogli obserwować drzwi wejściowe. Bogorski wiedział już o aresztowaniach.

- Jeżeli uda im się złamać Hófla... jeżeli nie wytrzyma...

Spojrzeni na siebie. Bogorski wzruszył ramianami, innej odpowiedzi nie miał. Nie mieli odwagi rozmawiać o potwornym niebezpieczeństwie, które piętrzyło się przed nimi jak góra. Czuli własną bezsilność. Co pozostanie im jeszcze do zrobienia, jeśli Hofel poda choć jedno, jedyne nazwisko...

Nastąpi wtedy reakcja łańcuchowa! I pociągnie wszystkich w otchłań. Aparat, choć zamaskowany, składał się jednak tylko z ludzi, co prawda z ludzi zdecydowanych i umięjących stawiać czoło niebezpieczeństwu. Ale tam, w samotnych celach bunkra, rządziły inne prawa. Tam człowiek był pozostawiony samemu sobie. I któż mógł z góry wiedzieć o sobie, czy pozostanie twardy jak stal w obliczu cielesnych i duchowych udręczeń, czy też zamieni się w żalną kreaturę, w rozbitą strzęp ludzki. Czy w oczekiwaniu katuszy i nieuniknionej, męczeńskiej śmierci naga żądza życia nie będzie silniejsza aniżeli cała wola i odwaga? Każdy z oddzielną złożył przysięgę, że raczej umrze, niż zdradzi. Ale między przysięgą a przetrwaniem było wiele przystanków nieznanego ludzkiej natury.

Może już teraz, w tej chwili, Hófel leży w celi, wspominając w znękanym sercu żonę i dziecko. Może osłabł i wymienił tylko jedno, jedyne nazwisko. Jedno nazwisko, o którym sądził, że jest mniej ważne. I straszliwa reakcja łańcuchowa bierze swój początek.

Który z tysiąca członków grup ruchu oporu wiedział na pewno, że będzie dość silny, by wytrwać do końca?!

- To może być lawina... - szepnął Bochow. Bogorski obudził się z zamyślenia. Uśmiechnął się blado, przewycięzając wir niespokojnych myśli i chwilę słabości.

- Co będzie - powiedział - tego jeszcze nie wiemy. Twarz Bochowa zamroczyła się.

- Musimy zaufać Hóflowi - powiedział Bogorski.

- Ufać! Ufać! Wiesz na pewno, że wytrzyma? Bogorski podniósł brwi.

- A wiesz na pewno, że ja przetrzymam? Albo ty? Albo inni? Niechętnym gestem Bochow odsunął te twarde pytania.

- Oczywiście nikt tego nie wie o sobie. Właśnie dlatego Hófel nie powinien był wdać się w tę historię z dzieckiem. Od samego początku! No, i co teraz? Najpierw ukrywa dziecko u siebie, potem poważnie łamie dyscyplinę, a teraz siedzi w bunkrze i...

- Ty też popełniłeś błąd, jeśli chodzi o dziecko.

- Ja? - porwał się Bochow. - Co ja mam z tym wspólnego?

- Powiedziałeś: to nie jest moja sprawa, to jest sprawa Hófla.

- No i? - bronił się Bochow - czy nie dałem Hóflowi polecenia, ażeby dziecko wywieźć z lagru?

- Kto to powiedział? Czy twoje serce też to powiedziało? Bochow zrozpaczony podniósł ręce.

- Na litość boską, Leonid, o co ci chodzi? Czy nie wystarczy, że już Hófel uległ porywowi serca i zszedł na manowce? Teraz żądasz, abym ja jeszcze...

- Niedobrze, bardzo niedobrze! - Bogorski ze złością zmarszczył czoło. - Ty popełniłeś błąd głową, a Hófel sercem. Niezależnie od siebie, głowa Herberta i serce Andrego. A to niedobrze.

Bochow nie odpowiedział. Nie pojmował, jak uczucie może brać górę nad rozsądkiem. Ze złością rzucił przyniesione łąchy, niechętnie słuchając wymówek Bogorskiego.

Po prostu rozkazał, polecił i pozostawił Hofla sam na sam z cierpieniem. Zamiast pomóc, odesłał go. - Masz oddać dziecko Polakowi i basta!

Bochow wściekle uderzał pięścią w kupę łąchmanów.

- A co miałem robić? Bogorski skulił ramiona:

- Nie wiem... - powiedział.

- A więc - zatryumfował Bochow. Bogorski był spokojny. Zaprzeczeniem błędu jest słuszność, zaprzeczeniem światła jest mrok. Bochow postąpił niesłusznie, ale z równym powodzeniem mógł postąpić właściwie. Charaszo!

- Dziecko powinno było opuścić obóz! To było słuszne i tego żądałem od Hofla - upierał się Bochow.

- No, dobrze - zgodził się Bogorski - ale dlaczego Hofel tego nie zrobił? - Bochow zareplikował wściekle: - Bo on... - ale nagle pod wpływem wzroku Bogorskiego przerwał. Patrzył na Bogorskiego i czytał z twarzy przyjaciela:

- Głowa oddzielnie, serce - oddzielnie...

Może powinien był sam się zatroszczyć, aby dziecko rzeczywiście opuściło obóz... Może powinien był do ostatniej chwili ściśle kontrolować Hofla? Może dlatego pozostawił Hofla samemu sobie, że również w nim, Bochowcie, kierującym się tylko chłodnym rozumem, zakiełkowało to samo ludzkie uczucie, co w Kramerze, który po sumiennym wykonaniu zadania oczy na wszystko zamknął? Opuszczony przez wszystkich Hofel musiał wziąć cały ciężar na swoje barki. Kto ponosi winę? Kto popełnił błąd? Nikt! Wszyscy! Bochow popatrzył przyjacielowi w oczy...

Ludzkie oczy! W ich blasku ukryta była jak w tafli niezgłębionego morza cała tajemnica wiedzy i niewiedzy, wszystkie błędy i omyłki serca, wszelkie zrozumienie i pojmowanie oraz wszystka miłość.

Głębokie uczucie narastało w piersi Bochowa. Pomyślał: „Jesteś człowiekiem, udowodnij to...”

Czy myślał tak o Hoflu? O sobie? A może myśl była tak niezmierzona, że obejmowała wszystko, co nosiło nazwę człowieka?

„Jesteś człowiekiem, udowodnij to!”

Bochow wyczuwał, że poza barierą rozumu istnieje przepaść bez dna. Ginęły w niej bez echa wszystkie słowa i myśli. Nie przychodziła stamtąd żadna odpowiedź. Może Hofel spojrział w tę przepaść i uczynił coś, co rozumiało się samo przez się - bez pytania i odpowiedzi. Istota, która chce być godna miana człowieka, musi zawsze decydować się na to, co jest jej pierwszym, podstawowym obowiązkiem.

W piersi Bochowa kłębiło się. Nie chciał się poddać. - A więc co zrobimy? - zapytał pokrywając wstyd rzeczowym pytaniem.

Bogorski znów wzruszył ramionami. Cóż mogli przedsięwziąć? Należy natychmiast przerwać wszelkie zajęcia wojskowe. Żadnej nauki z bronią, żadnych spotkań grup. Szeroko rozpiętą sieć aparatu należy ukryć głęboko, na samo dno. To wszystko, co można. Trzeba czekać, odczekać.

Doprowadzeniu do bunkra nie towarzyszyło żadne stosowane zwyczaj znęcanie. Hauptscharfuhrer Mandrak jadł akurat śniadanie - w jego pokoju rozchodził się przyjemny

zapach smażonych kartofli. Jeszcze żując podniósł się i wyszedł na korytarz, na skinienie Kluttiga zamknął Hofla i Kropińskiego w jednej z cel. Następne skinienie lagerfuhrera oznaczało, że ma iść za nim do pokoju Reinebotha. Mandrak nie spieszył się. Pozwolił tamtym dwóm pójść naprzód, sam wrócił do swego pokoju i włożył mundur. Potem udał się spokojnie do rapportfuhrera, zapinając bluzę. Stał, choć Kluttig i Reineboth usiedli. Kluttig nerwowo palił papierosa, a Reineboth rozparł się niedbale na krześle, z palcem w dziurce od guzika. Mandrak przeżuwał jeszcze resztki śniadania.

Niech pan słucha, kolego - zaczął Kluttig - ci dwaj to specjalna sprawa, opracujemy ją wspólnie.

- Przesłuchanie aż do złożenia zeznań - wtrącił Reineboth, krzywiąc ironicznie kąciki ust. Kluttig ostrzegawczo podniósł rękę: - Na litość boską, niech mi pan tylko żadnego z nich nie ukatrupi, potrzebujemy ich.

Wyjaśnił Mandrakowi okoliczności sprawy i wskazał, że aresztowanie Hófla stanowi punkt wyjścia do wykrycia nielegalnej organizacji w obozie. Mandrak słuchał bez słowa, raz tylko jakby się oblizwał.

Jego ziemista, ospowata twarz nie wykazywała żadnego zainteresowania. Również tępe spojrzenie ciemnych, pozbawionych blasku oczu nic nie zdradzało. Stojąc tak przed lagerfuhrerem, sprawiał wrażenie człowieka wręcz uległego. Kluttig wstał.

- Teraz więc - powiedział z naciskiem - wie pan, o co chodzi. Mandrak powoli wsadził rękę do kieszeni i zapytał cicho:

- Co mam z nim zrobić? Reineboth zabębnił palcami.

- Głaskać, Mandryl, głaskać - powiedział cynicznie.

Mandrak rzucił spod oka spojrzenie na Reinebotha, a wokół ust pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Bardzo lubił, jak go nazywano "Mandryl". Ta straszliwa nazwa miała w sobie coś niesamowitego, coś z dżungli, co wzbudzało przerażenie; dawało mu to satysfakcję. Mówił niewiele i pytał jeszcze mniej. A gdy Kluttig bojaźliwie wtrącił: - Nie, Mandryl, niech pan tym dwóm da na razie spokój, porozmawiamy jeszcze o tym - Mandryl powoli zwrócił głowę w stronę lagerfuhrera i skinął bez słowa. Gdy wychodził z pokoju, robił wrażenie niezadowolonego, że musi wyjąć rękę z kieszeni, by nacisnąć klamkę. Zamknął drzwi kopnięciem. Powłókł się do skrzydła, w którym był bunkier. Długi, ale tylko niespełna dwa metry szeroki korytarz pogrążony był w wiecznym półmroku. Kilka nie osłoniętych żarówek u sufitu potęgowało swym ponurym blaskiem wrażenie mroku. Korytarz był zabezpieczony mocnymi zakratowanymi drzwiami; w drugim jego końcu wybite było małe okratowane okienko. Za masywnymi, okutymi żelazem drewnianymi drzwiami cel nic się nie poruszało.

Cele umieszczone po obu stronach korytarza były nieme i martwe. Jediną żyjącą istotą był przemykający korytarzem kalifaktor bunkra, Fórste.

Mandryl podszedł do celi nr 5 i odsunął zasłonę judasza. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w otwór. Cella była absolutnie pusta, bez jednego mebla, stołu, krzesła, siennika czy koca. Była to czworokątna skrzynia. Dwa metry długa, trzy metry wysoka i bez mała półtora szeroka. Jediną pozycją inwentarzową była przymocowana do sufitu odrutowana żarówka. Na frontowej ścianie widniało małe, gęsto okratowane okienko. Mandryl otworzył celę. Hófel i Kropiński stanęli, jak zazwyczaj, na baczność. Bez słowa Mandryl chwycił Kropińskiego za bluzę na piersi i pociągnął ku sobie twarzą do drzwi. To samo zrobił z Hóflem, ustawiając go nieco z boku przed Kropińskim. Sprawdził postawę aresztantów, po czym kopnął ich w kolana.

- Stać prosto - powiedział ponuro - kto się ruszy, dostanie lanie, aż mu się zrobi wesoło. Opuścił celę i skinął na Fórstego:

- Żadnego zarcia!

Fórste przyjął rozkaz w pozycji na baczność. Hófel i Kropiński stali bez ruchu, nadsluchując jak przestraszone zwierzęta. Jak zakłęci wpatrywali się w drzwi celi, czekając na straszliwe, które lada chwila mogło się wydarzyć. Myśli ich otępiały, tylko słuch się wyostrzył. Słuchali szmerów obozowych, które przenikały tu od bramy. Tam, na zewnątrz, wszystko szło zwykłym trybem. Jakże to dziwne...

Blockffihrer mający służbę jazgotał przy bramie, drewniaki stukotały szybko i bojaźliwie. W głośniku trzeszczał włączony mikrofon, prąd brzęczał, jakiś głos wzywał kapo Arbeitsstatistik. Po chwili inny głos poprosił jakiegoś obersturmführera do komendanta. Potem znów całe stado drewniaków zatupotało w bramie, jak tabun koni. Blockfijhrer wrzeszczał, warczał, krzyczał. Hófel ocknął się. Lodowate otępienie mijało, pojawiły się myśli.

Wsluchiwał się w zapobiegliwy gwar obozowego dnia, na który zazwyczaj nie zwracał uwagi, a który teraz brzmiał w uszach jak natarczywe dzwonki tramwaju. Przenikały go zwariowane myśli. Przecież jesteś w obozie koncentracyjnym! Właśnie co to takiego? Nagle odkrył, że o rzeczywistym świecie, o życiu tam - na zewnątrz - zapomniał. Nie umiał już przenieść się myślami ani uczuciem poza druty kolczaste. Rzeczywiste i zrozumiałe były jedynie tępe ryki blockffihrera, wieczny wrzask, tupot. Gdy tak z napięciem słuchał, i ta rzeczywistość zaczęła się Hóflowi wydawać widmowa i nierealna. I naraz pomyślał zupełnie jasno: "To przecież wszystko nieprawda, to tylko sen!"

Poczuł niezmiernie delikatne muśnięcie, jakby z ogromnej dali napływające w widmową rzeczywistość:”...całuję cię serdecznie...”

Ale i to było tak samo nierzeczywiste i widmowe, szukające zagubionej drogi. Hoflem wstrząsnęły dreszcze. Patrzył na klapę w drzwiach, przez którą wsuwano jedzenie. Zapomniał, że Kropiński stoi tuż za nim...

I nagle Hófel ujrzął rzeczywistość. Z daleka wprawdzie, ale zbliżała się, niepowstrzymana, na czołgach i działach. To jest rzeczywistość, tylko to! Nic innego!

Teraz uświadomił sobie również obecność Kropińskiego. - Marian - wyszeptał. Rozmowa była wzbroniona.

- Tak? - usłyszał cichą odpowiedź.

- Amerykanie są coraz bliżej... to już długo nie potrwa... - Kropiński odpowiedział dopiero po chwili:

- Mówiłem to zawsze...

Więcej nie szeptali. Stali nieruchomo. Ale nagle poczuli głęboko w sobie oparcie; na nowo rozbudzona świadomość życia tętniła w żyłach...

Kluttiga ogarnęła prawdziwa trema. Siedział wraz z Reinebothem w kasynie. Przy butelce wina usiedli w kąci i nachyleni ku sobie rozmawiali o czymś półgłosem. Okulary Kluttiga błyskały namiętnością myśliwego. Zdobycz trzeba było wyzyskać. Reineboth zmrużył oczy, radził:

- Najpierw spierzemy im dupę. Potem niech się gotują we własnym sosie, a w nocy zrobimy przesłuchanie aż do zeznań.

Kluttig chlał jeden kielich za drugim. Niespokojnie poprawiał się na krześle. - A jak nic nie wydostaniemy?

Reineboth pocieszył: - To będziemy ich tłukli tak długo, aż zapomną, czy są samcami, czy samicami. Nic się nie bój, faceci będą śpiewać jak słowiki.

Reineboth ze smakiem przełknął wino i napomniał Kluttiga, wlewającego w siebie nowy kielich:

- Nie chlej tyle!

Kluttig nerwowo oblizwał wargi i zauważył zatroskany:

- A jeżeli uderzenie chybi? Tu trzeba trafić w punkt! Reineboth zachował spokój, oparł się na krześle i odpowiedział chłodno:

- Wiem o tym, Robert, wiem. To jeszcze rozjątrzyło Kluttiga:

- Człowieku, Hermann, jak ty możesz być tak spokojny?

Rad z siebie, Reineboth uniósł wargę, odsunął się od oparcia krzesła i przechylił nad stołem ku Kluttigowi, który chłonał każde jego słowo:

- Teraz musimy pokazać, co potrafimy. Kapujesz coś z psychologii?... Niech pan słucha, Herr Lagerführer! Hófel i ten drugi, jak mu tam, muszą być w lagrze uważani za zmarłych. Ich jedynym towarzystwem będziemy my. Ty i ja, i Mandryl. Musi się im wydawać, że nawet Pan Bóg o nich zapomniał.

Postukał Kluttiga palcem w łokieć; Kluttig wpatrywał się w jego chytrą twarz. Reineboth odczekał, aż tamten zrozumie, o co mu chodzi, a potem kontynuował:

- Im bardziej się będą czuli opuszczeni, tym łatwiej będziemy mogli ich wycisnąć. Upoważnimy Mandryla, żeby się z nimi zabawiał, jak mu się żywnie spodoba. Tylko ukatrupić ich nie będzie miał prawa.

Kluttig skinął z aprobatą.

Hófla spierzemy, aż wyrecytuje jedno nazwisko po drugim. To będzie pasowało, all right.

- Uczyć się po angielsku... jasne, co, Herr Lagerführer? Wstał.

- Narodzie, do broni! - dodał.

- Dokąd? - spytał Kluttig. Sprać im dupy - odpowiedział przyjaźnie Reineboth.

- Już teraz? - Kluttig podniósł na niego zmętniałe od wina oczy.

Tamten w odpowiedzi zarecytował: - Trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Mandryl otworzył celę. Bez słowa chwycił Hófla i wyrzucił go na korytarz, a Kropińskiego za nim. Zamknął celę. Ta krótka chwila wystarczyła Hóflowi i Kropińskiemu do wymiany spojrzeń, pełnych niespokojnego wyczekiwania, ale mimo to zdecydowanych. Wyganiając ich z bunkra, Mandryl kopał ich, nie zwracając uwagi na Fórstego, który stał pod ścianą.

W drugim skrzydle budynku przy bramie, w dużym pokoju blockführerów, umieszczono już kozioł. Cała sfora blockführerów nie mających służby oczekiwała ciekawie widowiska. Obok kozła siedział na specjalnie dostosowanym krześle Kluttig, machając nogą założoną na nogę. Gdy Mandryl wepchnął więźniów do pokoju, Reineboth podszedł do Kropińskiego i schwycił go za guzik.

- Gdzie ten żydowski bękart? - zapytał. A gdy Kropiński nie odpowiadał, rzucił natarczywie: - Namyśl się, Polaku!

W oczach Kropińskiego zamigotały błędne ogniki, próbował wybiegu: - Ich nicht verstehen deutsch...

Było to bezradne i niezdarne.

- Aha, ty nie rozumieć - przedrzeźniał Reineboth - niemiecki. Ja ci dać lekcję języka niemieckiego.

Reineboth świadomie wziął Kropińskiego na pierwszy ogień. Hofel miał się przyglądać.

Trzech blockfihrerów chwyciło Kropińskiego i pociągnęło w stronę kozła. Musiał wstawić nogi do czegoś w rodzaju szuflady, która po zasunięciu unieruchomiła je.

Blockffihrerzy zdarli z niego spodnie i cisnęli go na ukośne urządzenie tak pomyślane, aby wypinało pośladki leżącego. Wyuczonym chwytem szarpnęli ręce więźnia do przodu, przytrzymując je w przegubach i ramionach. Trzeci przycisnął głowę Kropińskiego do żerdzi. Teraz całe ciało było jak przyśrubowane. Tymczasem Reineboth i Mandryl przygotowywali się, Reineboth starannie naciągnął rękawiczki ze świńskiej skóry i gwał w rękach grubą na palec trzcinę. Potem zaczęła się egzekucja.

Hófel stał wyprostowany, krzyk zdławił w krtani, serce miało się dziko. Reineboth rozkraczył nogi. Przyłożył kij do nagiego siedzenia, aby go dopasować. Następnie zamachnął się z gracją, kij aż świszczwał w powietrzu. Pach! Ciało Kropińskiego drgnęło w rękach blockfihrerów.

Z kolei uderzył Mandryl. Cios wykonany z tą samą siłą, aczkolwiek bez sportowej elegancji poprzednika, trafił w okolice bioder.

Zduszony jęk Kropińskiego. Jego lędźwie drgały. Blockfihrerzy mocniej naparli na drgające ramiona. Znow Reineboth przyłożył kij; czerwony jak ogień ślad pierwszego ciosu był punktem orientacyjnym. Zamachu jąc się, wysunął pożądlawie dolną szczękę. Uderzając celował przez zmrużone oczy w krwawą pręgę. Kropiński zaskowyczał. Mandryl uderzył z obojętną rutyną w nerki. Cios za ciosem! Reineboth wymierzał ze sportową dokładnością niemal w jedno i to samo miejsce. Czerwona pręga poszerzyła się, opuchła i pękła.

Trysnęła krew. Spływała po udach. Zduszony jęk Kropińskiego. Reineboth zdawał się tylko czekać na to.

Jego lubieżny uśmiech stwardniał, oczy zmieniły się w szpary, a następne ciosy trafiały już z absolutną dokładnością w obnażone mięso. Kropiński omdlał. Reineboth i Mandryl przerwali egzekucję. Blockfuhrerzy puścili bezwładne ciało. Jeden z nich wylał na omdlałego przygotowany kubeł wody. Reineboth rzucił taksujące spojrzenie na Hófla. Hofel stał cały czas sztywno i drętwo jak kij. Ze skamieniałą z przerażenia twarzą. Poczł teraz oczy Reinebotha. Ich spojrzenia spotkały się. Reineboth odczuł, jak egzekucja podziałała na Hofla, i był zadowolony. Cienki jak nitka uśmieszek pojawił mu się wokół ust, przeniósł oczy porozumiewawczo z Hófla na Kluttiga. Mandryl tymczasem zapalił papierosa.

Kropiński poruszył się, usiłował wstać. Wtedy blockfiihrerzy przygięli go z powrotem do kozła. Mandryl odrzucił papierosa i nastąpił ciąg dalszy egzekucji. Otrzeźwiony kubłem wody Kropiński zaczął krzyczeć: blockfiihrerzy z trudem utrzymywali szamocące się ciało. Ciosy spadały jak grad z wściekłą siłą, dopóki SS-manom nie wydało się, że już starczy. Blockfiihrerzy poderwali zmaltretowanego Kropińskiego z kozła i cisnęli na ziemię. Kropiński upadł jak worek.

- Wstać! - ryknął Kluttig.

Kropiński usiłował wykonać rozkaz. Na drżących rękach i nogach podnosił się i wreszcie stanął chwiejąc się.

- Podciągnij portki, ty świnió! - wrzasnął znów Kluttig - mamy oglądać twoje klejnoty?

Kropiński reagował jak automat.

Reineboth pchnął Hofla krwawym końcem trzciny w pierś, wskazując na kozioł. W geście było coś zapraszającego: - Proszę, niech pan zajmie miejsce...

Na sztywnych nogach Hófel podszedł do kozła. Blockfiihrerzy ułożyli go.

Już kilka godzin minęło od chwili aresztowania i nic się jeszcze nie wydarzyło. To przygnębiało. Między lagrem a bunkrem nie było żadnego kontaktu. Wieść o tym, co działo się na górze, nie docierała do obozu. Tylko gdy rankiem wołano leichentragerów na bramę, wiadomo było, że Mandryl kogoś wykończył.

Hofla i Kropińskiego na pewno tak prędko nie wykończą. Ale to właśnie najbardziej niepokoiło Bochowa. Był teraz sam na swoim skrzydle bloku. Runki był w szrajbsztubie, a sztubowi nieśli kotły do kuchni. Bochow wypisywał bezsensowne, wierszydła dla blockfiihrera, a dręczący niepokój wypełniał mu serce. Odrzucił pióro i oparł głowę na dłoniach. Trzeba zawiadomić grupy. Ale można to zrobić dopiero wieczorem, gdy komanda wróca do lagru. Co jednak może się zdarzyć do tego czasu? Bochow głowił się. Może jego wszystkie troski są zbędne? Może Hófel wytrzyma i da się raczej zabić niż... Ale żył jeszcze, a jak długo żył, trwało niebezpieczeństwo. Bochow wpatrywał się w blat stołu.

Czy pragnął śmierci Hófla?

Wzdrygnął się w głębi serca na tę myśl...

Było jeszcze wiele innych myśli, zataczały kręgi. Bochow myślał o dobrze ukrytej broni. Hófel znał parę skrytek. O karabinach w skrzynkach nie wiedział.

Ale czyż sam Hófel nie ukrył wśród tysięcy worków z ubraniami w Effektenkammer kilku pistoletów? Przynieśli je radzieccy i polscy towarzysze, jeszcze przed zburzeniem fabryki broni przez Amerykanów.

Nie wtajemniczony nie mógł ich odnaleźć, na workach były lipne numery, ale wtajemniczonemu wystarczyło tylko sięgnąć. Schowki były pewne i tylko zdrada mogła...

Bochow przymknął oczy, ukrył się przed samym sobą. Nie chciał o niczym myśleć, absolutnie o niczym. Ale ukryta w głębi okrutna myśl nadal zataczała kręgi.

Tylko zdrada mogła...

To było już niemal nie do zniesienia! Jeżeli przypadkowo jeden z tych worków wpadnie w ręce jakiegoś nieświadomego rzeczy więźnia?

Bochow jęknął. Straszny ciężar nielegalnej roboty obezwładniał. Ciężył w przegubach i uciskał żołądek.

Co robić teraz? Czy przede wszystkim zabezpieczyć organizację przed możliwością zdrady? Czy najpierw ukryć gdzie indziej; pistolety? i jak to zrobić? Jak?

Bochow nie mógł się ujawnić, nie mógł pójść do któregoś z kumpli w Effektenkammer i powiedzieć: "Słuchaj, mam ci coś do powiedzenia, ale gęba na kłódkę, rozumiesz?"

Wpychał pięści w oczodoły. Niepokój, jak szczur, podgryzał myśli. Nagle poczuł nienawiść do Hófla za to, że sprowadził na nich tysiące niebezpieczeństw, za to, że wskutek jego lekkomyślności musiał rezygnować z jednej tajemnicy za drugą. Prędko zdławił w sobie narastającą nienawiść, wiedząc, jakim niebezpieczeństwem grozi uleganie uczuciom. Ale równie prędko zareagował rozum: Bochow zdał sobie w pełni sprawę, że tylko Kramerowi można zawierzyć tajemnicę skrytki z bronią. Znowu Kramer był jedynym człowiekiem, który mógł przejąć pieczę nad pistoletami. Trzeba mu dać polecenie, aby znalazł jednego towarzysza, który by przejął opiekę nad schowkiem. Psiakrew! Tak jedna tajemnica po drugiej prześlizgiwała się przez oka sieci.

Bochow odsunął ręce od oczu i zmusił się do trzeźwego myślenia. Co tu pomoże głowienie się? Nie było innego wyjścia.

Również Kramer w swoim pokoju zaciskał pięści, przeklinając miękkie serce Hófla i dziecko, które wtargnęło do obozu i wszystkiemu było winne. Również jego myśli trawił niepokój i on odczuwał własną bezsilność w obliczu niebezpieczeństwa, groźnego jak żywioł. Ale nie miał prawa tak siedzieć i martwić się, coś trzeba było zrobić.

Nagle Kramer zaczął się krzątać. Wyjął baterijkę z lampki kieszonkowej, której jako legeraltesterowi wolno mu było używać, i zamienił ją na zużytą, wypaloną, a następnie opuścił pokój. Poszedł do Schuppa. Jak to dobrze, że wpadł na pomysł zabrania lampki kieszonkowej. Scharfiihrer był w baraku; tym bardziej potrzebny był więc pretekst do

odwiedzin. Poprosił Schuppa o wymianę bateryjki. Kilka słów szeptem, krótkie spojrzenie - to wystarczyło, by się porozumieć. Wkrótce potem Schipp był u Kramera.

- Spróbuj wydostać, czego chcą od Hófla. Muszę to wiedzieć.

Schipp podrapał się w głowę. - Jak to zrobić?

Kramer uczynił niecierpliwy gest: - Wszystko jedno, już nie takie rzeczy robiłeś. Bo ja wiem, idź do bunkra reperować przewody.

Schipp westchnął: - Do tego muszą być zepsute. Nagle przybrał niewinny wyraz twarzy. Usta i oczy zaokrągliły się, wpadł na pomysł.

- Förste - powiedział tylko. Kramer z namysłem pokręcił głową:

- Myślałem już o tym. Ale kim właściwie jest Förste? Trzyma z nami czy jest fagasem Mandryla?

Schipp błysnął oczyma, spojrzął przez okno na wielki zegar na bramie i nagle zaczęło mu się śpieszyć. - Spróbuję!

- Heinrich, bądź ostrożny! - zawołał za nim Kramer, ale Schupp był już na dworze. Wiedział, że całkowicie izolowany kalifaktor bunkra ma o tej porze wolne pół godzinki, spędzał zazwyczaj tę przerwę spacerując po zewnętrznej stronie drutów. Niewiele wiedział Schupp o Förstem. Widywał go często spacerującego. Ze zwykłej ciekawości, po to by rozpoznać gatunek człowieka, nieraz poufnie mrużył do niego oko.

Förste nie reagował na przyjazny gest, ale nie było też w jego twarzy nic odpychającego. Tej jedynej dobrej oznace zawierzył teraz Schupp, idąc ze swą skrzynką z narzędziami ku bramie.

Nie musiał się odmeldowywać, wystarczała jego legitymacja. Znalazłszy się na zewnątrz budynku przy bramie, udawał, że coś robi. Sprawdzał kabel mikrofonu, biegnący wokół budynku od pokoju rapportführera do lagru. O tej porze przy bramie był spokój. Dyżurny blockfuhrer nudził się i wiercił koło okienka, parę razy podszedł do Schuppa, przypatrując się jego pracy.

- Coś się zepsuło? - zapytał.

- Jak dotychczas, nic - odpowiedział filozoficznie Schupp - nie może się zepsuć, kiedy rapportführer włączy mikrofon. Wtedy zawsze jest piekło! - Wskazał na kontakt. - To wojenny wyrób wciąż są z tym jakieś kłopoty. Widzi pan, te przewody tu środkiem często się przepalają.

Na twarzy blockführera malowało się znużenie.

- Zamknij gębę - powiedział dobrodusznie, wykazując brak zainteresowania dla wyjaśnień więźnia. Schupp był zadowolony, wyszukiwał sobie wciąż nowe zajęcia. Lada

chwila powinien pokazać się kalifaktor. I rzeczywiście po chwili zgrzytnęła żelazna krata bunkra, Forste wyszedł ze środka i zameldował blockfuhrerowi swój półgodzinny spacer. W Schiippie rosło napięcie. Zbadawszy szczegółowo kontakt, poszedł wzdłuż kabla. Zwrócił się z głupia frant do Forstego, starając się, żeby blockfuhrer usłyszał jego pytanie: - Czy wasze przewody są w porządku?

Tak niespodziewanie zagadnięty kalifaktor spojrział zdumiony na Schiippa i skinął głową. Niepostrzeżenie dla blockffihra Schipp zmrużył oko. Forste zauważył ten potajemny znak, ale nie dał niczego poznać po sobie. Schhupp rozpoczął drugą fazę manewru. Idąc wzdłuż kabla przeszedł dookoła bramy na zewnętrzną stronę budynku. Jeżeli Forstego zaciekał dany mu znak, powinien szukać z nim kontaktu. Tak to sobie Schiipp obliczył. Z zadowoleniem stwierdził, że kalifaktor usiłuje znaleźć się blisko niego. Popatrzył pytająco na Schiippa, który mruknął przez zęby:

- Szkoda, chętnie naprawiłbym wasze przewody... Czego chcą od Hófla? - wyrzucił szybko z siebie.

Forste przeszedł mimo niego i minął bramę, chcąc być zauważonym przez blockfuhrera. Nerwy Schuppa napięte były jak postronki. Decydujące słowo zostało wypowiedziane. Jak kalifaktor zareaguje? Nie można było po nim niczego poznać. Obojętnie kontynuował spacer. Gdy jednak ponownie mijał Schuppa, ten zauważył specyficzny wyraz jego twarzy. Rysy były poważne, twarz nieruchoma, ale powoli spuścił wzrok. To oznaczało zgodę! Schiipp wiedział już dosyć. Przewiesił skrzynkę z narzędziami przez ramię. Kabel od mikrofonu był w porządku.

Wróciwszy do Kramera, powiedział: - Myślę, że chwyci...

Grupy składały się z pięciu ludzi. Organizacja obejmowała bloki wszystkich narodowości. W każdym bloku istniała jedna lub więcej grup, najzupełniej nierozpoznawalnych. Znali się tylko między sobą. MKO zorganizował cały system informacji. Łącznicy odgrywający rolę instruktorów dbali, by wiadomości i polecenia docierały prędko do kierowników poszczególnych grup, którzy z kolei zawiadamiali swoich ludzi.

Bochow miał tylko jednego łącznika, przekazującego jego polecenia instruktorom. Nie wiedzieli, skąd one pochodzą. Dopiero po wieczornym apelu Bochow mógł porozumieć się ze swoim łącznikiem. To było męczące oczekiwanie. Teraz jednak polecenie jak iskra rozprzestrzeniło się po lagrze. Wkrótce każdy członek grupy oporu z oddzielną wiedzią o grożącym niebezpieczeństwie i o tym, że wszelkie spotkania i ćwiczenia z bronią są

zawieszono.; Na czas trwania niebezpieczeństwa cały aparat winien zamrzeć. Każdy wiedział, że na wypadek aresztowania powinien milczeć i tajemnicę zabrać ze sobą do komina.

Przygnębienie, którego źródłem był milczący bunkier tam na górze przy bramie, udzielało się wszystkim.

Kalifaktor bunkra nie spał tej nocy. Leżał na sienniku swojej celi oczekując. W tym czasie Mandryl zazwyczaj chlał w kasynie. Gdy wracał, wyprowadzał siedzących w bunkrze i w swoim pokoju urządzał przesłuchanie na własną rękę.

Rodzaj krzyków rozdzierających ciszę nocną bunkra pozwalał kalifaktorowi określić stopień przesłuchania. Czasem wzywano go i musiał taszczyć okrwawione ciało z powrotem do celi. Czasem też rankiem, zanim przychodzili leichentragerzy, znajdował pod połowym łóżkiem Mandryla - zabitego. Zaciągał wówczas zwłoki do umywalni.

W bunkrze panowała martwa cisza. Forste leżał z rękami skrzyżowanymi pod głową. Która już mogła być? Na dworze padał bezustannie deszcz.

Forste zdrzemnął się, gdy nagle go coś poderwało. Na korytarzu był ruch.

Zadudniły ciężkie kroki. Forste otrzeźwiał. Nadsluchiwał. Kroki, które minęły jego celę, były krokami Mandryla. W pobliżu otwarto jedną z cel. Wraz z Mandrylem przyszli Reineboth i Kluttig. Zdjęli mokre płaszcze. Reineboth usiadł na połowym łóżku. Kluttig wędrował niespokojnie po pokoju w rozpiętym mundurze. Na stole Mandryla stała od wewnątrz oświetlona czaszka. Obok leżał bicz z długich rzemieni, kunsztownie zeszyty w czworokąt i zaopatrzone grubymi mosiężnymi guzami. Nie dla ozdoby.

Wepchnięci przez Mandryla Kropiński i Hófel wtoczyli się do pokoju. Stali chwiejąc się i drżąc na całym ciele. Ich ubrania były jeszcze mokre. Kropiński skulił się i wcisnął głowę głęboko w ramiona. Marzył straszliwie. Również Hófel dygotał z zimna. Drżały mu usta. Chciał przezwyciężyć słabość i kurczowo zacisnął zęby, ale tym mocniej szczękały.

Reineboth przyjrzał się obu z miną znawcy. Bicie, jak widać, sprawiło już pożądane wrażenie. Uniósł się powoli i rozkraczył przed nimi:

- Słuchajcie, wy dwaj! - powiedział pogardliwie. - Dziś w południe pożartowaliśmy sobie z wami. Ale teraz zaczyna się na serio. - Znów wziął Kropińskiego na pierwszego. - Widzę, że bardzo dobrze pojąłeś nasz język niemiecki. Brawo, mój synu!

Reineboth wziął bicz ze stołu i przytknął jego koniec do nosa więźnia.

- Gdzie ukryliście żydowskiego bękarta? - Kropiński spojrzał na Reinebotha z bolesnym wyrazem twarzy, było w nim coś proszącego. Reineboth świsnął knutem w powietrzu.

- Liczę do trzech, odpowiadaj!

Kropiński zaciął usta, twarz skrzywiła mu się, jakby chciał się rozplakać.

- Raz, dwa, trzy... - Kropiński gwałtownie potrząsnął głową. Reineboth uderzył, ciął po twarzy na krzyż. Kropiński dziko krzyknął, ciosy spadały nań jeden po drugim. Oślepiiony zatoczył się w tył, zderzył z Kluttigiem, który odepchnął go kopnięciem. Kropiński chwiał się pod gradem ciosów, aż wreszcie jęcząc upadł. Reineboth morderczo walił go dalej, więzień wił się po podłodze. Wszystko to działo się za plecami Hófla. Stał z wysuniętą do przodu głową, słuchając krzyków z tyłu i patrząc nie widzącym wzrokiem w szarą twarz Mandryla. Mandryl wyglądał jak zamysłony i wpatrywał się w podnoszącą i opadającą przy połykaniu grdykę Hófla. Naraz objął łapskami szyję Hófla, przyciskając kciukami gardziel. Hóflowi zamglily się oczy. Zaczął się dusić i dławić. W chwili gdy tracił przytomność, uścisk zelżał. Mógł zaczerpnąć powietrza.

Hófel oddychał ciężko. Za sobą słyszał wściekłe krzyki Kluttiga i rżenie Kropińskiego. Reineboth dopiero wtedy dał spokój, gdy Polak zamilkł. Rzucił knut Mandrylowi. Ten złapał go zręcznie. Reineboth nie miał już nic w twarzy z wypiełgnowanej gładkości, był brzydko skrzywiony. Wpił się pazurami w pierś Hófla i podniecony biciem wycharczał:

- Teraz na ciebie kolej!

Kluttig rzucił się na Hófla z tyłu, wykręcając mu ramiona. Hófel pochylił się z bólu. Kluttig wpełznął Hóflowi kolano w krzyż, wyłamując mu jednocześnie ramiona do góry. Szalony ból zmusił Hófla do krzyku i padnięcia na kolana. Wtedy zaczął Mandryl. Obity mosiądzem szpic knuta spadał niemiłosiernie na potylicę więźnia. Hófel upadł na twarz, tracąc przytomność.

- Na razie dosyć - powstrzymał Reineboth Mandryla - za pół godziny ciąg dalszy.

Mandryl zaciągnął pobitych do celi, oblał ich lodowatą wodą i zamknął drzwi.

Otrzeźwiony zimnym prysznicem Kropiński poruszył się. Próbował wstać, ale kolana ugięły się pod nim. Krew uderzyła mu do głowy, powoli odzyskiwał świadomość. W ustach miał słony smak. Otworzył oczy. Ponura cisza w nieznannej ciemności. W plecach kłujący ból, każdy oddech jak cięcie nożem. Leżał tak przez dłuższą chwilę. Mimo bólu, jakby mu się coś śniło. Mglista świadomość pograżyła się w sny, jak w kojącą kąpiel, "...ma takie małe rączki i mały nosek, wszystko jest jeszcze takie małe..." - słyszał sam siebie i miał wrażenie, jakby się uśmiechał. Nagle wzdrygnął się, otrząsnął z majaków. Przeraził się. Pomacał wokół siebie, poczuł wilgoć i zimno, dłoń napotkała jakieś ciało. To otrzeźwiło go zupełnie. Choć było ciemno, zdał sobie sprawę, że jest w celi, a ciało, które namacał - to Hófel. Potrzebował

jeszcze chwili, zanim odzyskał władzę nad własnym rozbitym ciałem. Z trudem uniósł się na kolana.

Chciał coś powiedzieć i stwierdził, że ma strasznie obrzmiałe wargi. Wybełkotał do Hófla: - Andre...

Tamten nie ruszał się. Dopiero gdy Kropiński potrząsnął go za ramię, jęknął.

- Andre... - Kropiński czekał na odpowiedź. Czuł tętno krwi w przęgach na twarzy. Nagle Hófel zaczął płakać, cienko i sucho. Kropiński obmacał twarz i ciało Hófla, nie wiedząc, jak mu pomóc.

- Andre... - Hófel umilkł. Jeszcze przez chwilę leżał nieruchomo i cicho, a potem podniósł się. Wymagało to ogromnego wysiłku. Oparł się na rękach, ze zwieszoną głową, jakby strasznie zmęczony. Ciekła z niego woda. Dotknął obolałego ciemienia, włosy były zlepione. Bardzo ostrożnie dotykał miejsc, w które trafił knut, a i te dotknięcia były bolesne. To, co ściekało mu po policzkach, to nie była woda... Grzbietem dłoni otarł usta i jęknął:

- Marian...

- Andre...

- Co oni z tobą zrobili?

Łapiąc oddech Kropiński odpowiedział, usiłując go pocieszyć:

- Ja znowu być - już - całkiem zdrów...

Umilkli. Słysząc było tylko oddechy. Wsłuchiwali się w minioną grozę.

Nagle zapłonęła żarówka u sufitu. Rozdarto drzwi do celi i gwałtownie wszedł Kluttig. Za nim Reineboth i Mandryl, który miał w ręku linę.

- Wstać - niemiłosiernie ostry głos Kluttiga zerwał ochronną samotność jak kołdrę. Zmysły dwóch więźniów, obnażone i wydane na łup, drżały w oczekiwaniu kolejnych udręczeń. Stali z trudem. Kluttiga rozpierała żądza. Wrzasnął na Hófla:

- Kim są pozostali w waszej podziemnej organizacji? Zimny strach wstrząsnął Hóflem.

- Będziesz gadał?

Kluttig chwycił więźnia za pierś i cisnął nim o ścianę. Hofel przykucnął. Mandryl rzucił się na niego, wykręcił ręce i ścisnął łokcie na plecach, związał potem ręce sznurami i poderwał więźnia. Hofel czuł na twarzy oddech Kluttiga wrzeszczącego na niego: - Kim są pozostali? Mów, człowieku! Zabiję cię!

Hofel jęczał. Kluttig policzkował go i krzyczał wciąż: - Kim są pozostali? Podaj nazwiska! - Reineboth pozwalał przez chwilę Kluttigowi bić więźnia, ale potem odsunął

szalejącego lagerfijhrera i powiedział z natarczywym spokojem: - Mów, Hofel, albo będziesz wisiał, dopóki nie zaczniesz wzywać mamusi.

Teraz Hofel wiedział, czego od niego chcą. Wiedział również, co go czeka, jeśli będzie milczał. Zebrał wszystkie siły, wijąc się w duchu pod ciężarem męki. Reineboth obserwował odbijającą się na twarzy więźnia walkę. A gdy wydało mu się, że nadchodzi kryzys, dał znak Mandrylowi: Wieszać!

Hófla przeniknęło jak smagnięcie ogniem. Wydał przeciągły krzyk. Strach przed okropną torturą obnażył jego ciało tak, jakby było bez skóry. Krzycząc opierał się Mandrylowi, ciągnącemu go w stronę okna. Mandryl przerzucił sznur przez kratę. Miał już zamiar naciągnąć, gdy Reineboth przeszkodził. Przekrzykując dzikie krzyki Hófla wrzasnął:

- Podaj dwa nazwiska! Jedno! Słyszysz? Jedno nazwisko! Jazda! Mów!

Jeszcze chwilę Reineboth czekał. Teraz strach powinien przerwać tamę woli i zatopić ją.

- Jazda, prędko! Mów! - Ale Hofel nie słyszał. Krzyczał. Odrzucił głowę do tyłu, targając nią konwulsyjnie na wszystkie strony. Wtedy Mandryl szybkim ruchem naciągnął sznur.

Ramiona Hófla zadarły się do tyłu, zatrzeszczały przeguby. Wisiał! Jego krzyk przybrał świszczący ton. Mięśnie karku naprężyły się tak, iż zdawało się, że za chwilę pękną. Szyja wygięta do przodu sterczała twardo jak kij. Mandryl przywiązał sznur do kraty, a następnie rzucił się na bojaźliwie skulonego w kącie Kropińskiego.

- Ja nic nie wiedzieć - załkał. SS-man związał go, zaciągnął do okna i zawiesił obok Hófla. Obaj wyli jak zwierzęta. Reineboth znał przebieg tego procesu.

Krzyki trwały rzadko dłużej niż dwie minuty, potem siły zużywały się i starczały tylko na dziecinne kwilenie. Kluttig oparłszy pięści na biodra stał przed wiszącymi. Drżały mu powieki. Jak długo krzyczeli, nie miało sensu ich wypytywać. I tak nic nie słyszeli. Trzeba było odczekać. Mandryl zapalił papierosa.

Cała trójka zachowywała się jak przy eksperymencie naukowym. Pierwsza opadła na pierś głowa Hófla. Już tylko charczał. Teraz nadszedł czas.

- Słuchaj, Hófel! Odwiążemy cię teraz. Jeżeli nie zeznasz, co wiesz, będziesz tak długo wisiał, aż zamienisz się w pajacyka.

Reineboth podszedł do Kropińskiego. - To dotyczy też ciebie, Polaku.

Dla wzmożenia groźby Reineboth chwycił obydwu za spodnie i pociągnął w dół, jak za rączkę od dzwonka. Każde pociągnięcie powodujące zwiększenie wagi ciała wywoływało ostre krzyk skazanych. Ich twarze zmieniły barwę. Diabelskiej zabawie towarzyszyły

przyjazne słowa Reinebotha: - Rozwiążemy was teraz, abyście przekonali się, że jesteśmy ludzcy. Radzę wam okazać za to wdzięczność.

Na jego znak Mandryl rozluźnił sznury i obaj więźniowie opadli na podłogę.

Reineboth zamienił spojrzenie z Kluttigiem, ten skinął potwierdzająco. Mandryl ułożył ciała w na wpół siedzącej pozycji przy ścianie. Reineboth podparł czubkiem buta zwisającą głowę Hófla.

- Co wiesz o Kramerze? - Hófel nie otwierał oczu. Reineboth czekał chwilę, a potem cofnął nogę. Głowa Hófla opadła.

- Dobrze - powiedział SS-man - zacznijmy od drugiego końca. Co opowiesz nam o sobie samym?

Chwilę ciszy, która potem nastąpiła, przerwał wrzask Kluttiga. Kluttig ryczał wściekle, nacierając na więźniów jak futbolista podczas ataku.

- Będziecie gadać, łotry?

Reineboth, mądrzejszy i bardziej opanowany od Kluttiga, powstrzymał go, dając znak, żeby pozwolił jemu działać. Pochylił się nad leżącymi na podłodze.

- Słuchajcie. Teraz damy wam spokój, ale niedługo wrócimy.

Złapcie tymczasem trochę powietrza i zastanówcie się dokładnie.

Albo opowiecie nam to, co chcemy wiedzieć, i pozostaniecie przy życiu, albo powiesimy was, tym razem za szyję, i wasz dzieciak nie będzie już miał dobrych wujaszków.

Zbierając się do wyjścia z celi Reineboth powiedział ironicznie: - Chodźcie, moi panowie, pacjentom potrzebny jest spokój do namysłu.

Niemilosiernie zachrzęścił klucz, zgasło światło.

Kojąca była noc.

Bezszelestnie, jak dobre, łagodne ręce, przemijały nad nimi godziny. Fórste nie potrzebował już nadśluchiwać, wiedział: na dziś skończone.

Zasnął. A w celi nie opodal zaczęły się szepty tak ciche, że niemal nie drgnęło powietrze.

- Jakie nazwiska oni chcą wiedzieć od nas?

Hófel nie odpowiedział na pytanie Kropińskiego. Oparci o siebie, stali przy ścianie, by nie zamarznąć w mokrej odzieży na lodowatym cemencie podłogi.

- Ty mnie nie chcesz powiedzieć tego? - rozpoczął znów po chwili Kropiński. Ale Hófel wciąż milczał. Głowa mu nadal zwisała, a ciemność chroniła jego twarz przed wzrokiem Kropińskiego. Pytania przeorały Hófla jak pług, obnażając starą winę, jak lemiesz wewnątrz gleby. Z bólem zmaltretowanego ciała łączył się bezpośrednio ból serca. Hófel

kruszył się jak zmurszały kamień. Teraz na dodatek wciągnął w to Kropińskiego. To przez niego ten niewinny człowiek musiał przecierpieć wszystkie męki i szedł wraz z nim naprzeciw pewnej śmierci. Z tej celi innej drogi nie było.

Nieświadomy niczego Kropiński, przekonany, że wtrącili ich tutaj ze względu na dziecko, zapytywał go, dlaczego chcą z nich wyciągnąć nazwiska nie mające żadnego związku z malcem. Chłód cementowej ściany przenikał Hófla poprzez przemoczoną marynarke. Wywichnięte ramiona zwisały bez życia. Kropiński przestał pytać, zajęty własną biedą. Również w niego zimno wżerało się coraz głębiej. Ciemność w celi była jakby czarnym, wymarłym strzępem nocy, wydartym z ciała natury. Nie mieli już nic prócz własnych serc, które tak dziwnie biły, jak zegar.

Myśli Hófla nie umiały się oderwać od kompleksu winy. W rumowisku własnego "ja", potykając się, szukały drogi. Jego nerwy były jak rozżarzone druty. Wszystko w nim krzyczało, jakby wciąż jeszcze wisiał. By uciec przed strachem, szeptał gwałtownie i szybko: - Przyjdą znów!... Ty!... Przyjdą znów! Powieszą znów! Powieszą nas jeszcze raz!... Ja tego jeszcze raz nie wytrzymam! Ja... - Hófel ręką zatkał sobie usta. Słowa piętrzyły się. Hófel nadsluchiwał. Kropiński nic nie powiedział. Rozpacz stawała się męką. Człowiek stojący obok niego przeżywał ten sam strach. Człowiek ten nie rzucił mu pomocnego słowa, którego mógłby się uchwycić.

- Jestem tchórzem - szepnął zupełnie wykończony, łamały się w nim resztki oporu. Nie mógł dostrzec, że Kropiński energicznie potrząsa głową, ale poządlawie chłonał słowa sąsiada.

- Ty tylko bać się - szeptał Kropiński - ja też się bać. My tylko mali, biedni ludzie, jak małe dziecko.

Jego skromność nie znajdowała innych słów. Nagle Hofel rozgorączkował się. Zakrzyknął bezdźwięcznie:

- Kiedy tu już wcale nie chodzi o dziecko! Chodzi o coś innego! - jęknął. - Jeżeli wrócą... Nie mogę jeszcze raz wisieć, nie mogę! O mój Boże!... Marian, przecież ty wcale nie wiesz, nie wiesz wcale...

Pragnąc mu przyjść z pomocą, Kropiński szepnął:

- Więc o co? Musisz mi powiedzieć!

Coś skłaniało Hófla, aby o wszystkim opowiedzieć, by ulżyć sobie, zmniejszyć ciężar winy. Jednakże czuł opór przed ujawnieniem tego, co było głęboko ukryte. Ale przecież ten, co stoi obok niego - to towarzysz śmierci. Mógł się z nim podzielić ciężarem. Ta myśl przeważała i Hófel zaczął opowiadać, odsłaniając rąbek po rąbku swoją tajemnicę.

- Chcą wiedzieć, kim są towarzysze z organizacji... bo mamy organizację... lager o tym nie wie... nikt o tym nie wie. Opowiedział o swej działalności jako instruktora wojskowego.

- Wiesz - ciągnął dalej - wieczorami zbieramy się pod jednym barakiem na rewirze, pod ziemią, rozumiesz? Pokazuję Im, jak się ładuje pistolet i jak się celuje...

Mówił, jak radzieccy towarzysze przeszmyglowali broń do obozu, a gdy Kropiński zapytał, czy i Polacy są w grupie, Hófel potwierdził opowiadając o odważnym czynie Józka Lewandowskiego: To było jeszcze przed bombardowaniem Gustloffwerke. Wtedy Gustloffwerke jeszcze istniały, a w dużych halach produkowano karabiny. Zależało nam na tym, żeby zdobyć karabin dla obozu, wandowski właśnie tego dokonał.. Czekaliśmy na dzień, kiedy służbę na bramie będzie miał ten krzywy blockfiihrer z dziewiętnastki. Ten gość nie znosi widoku krwi. Tego dnia Lewandowski pracując przy maszynie udał, że zrobiło mu się niedobrze, upadł, i wtedy... - Hófel przełknął ślinę - wtedy naumyślnie wsadził rękę w tryby. Rozerwało mu całe przedramię. Strasznie krwawił. Położyliśmy go na nosze, a pod Lewandowskim leżał karabin. Gdy doszliśmy do bramy, krew wciąż kapała, ale Lewandowski leżał zupełnie cicho i nie ruszał się. Krzywy blockfiihrer zmiękł w kolanach, a my przenieśliśmy prędko Lewandowskiego przez bramę. Potem przycieliśmy kolbę i lufę karabinu. Przerobiliśmy go na broń ćwiczebną. Na tym karabinku pokazywałem towarzyszom, jak się ładuje, jak obchodzić się z zamkiem i jak go rozebrać.

Hófel przerwał. Powiedział dosyć o tym, co strach z niego wydobył...

Było mu lepiej, że miał teraz obok siebie kogoś, kto też wiedział i z którym czuł się związany. Kropiński słuchał powstrzymując oddech. Chciał coś powiedzieć, ale był zbyt przejęty. Dobrze - powtarzał tylko po polsku - dobrze, dobrze! Opowiadanie pokrzepiło nieco Hófla. Wiedział, że w gruncie rzeczy nie jest tchórzem i że chce za wszelką cenę przetrzymać.

Ten okropny strach - to były nerwy. Wystarczyło, by pomyślał o tym, że wrócą i znów go powieszą, by natychmiast przenikały go dreszcze.

Dygotały mięśnie i ogarniał go strach. Drżał przed straszliwą chwilą, kiedy to słabnie siła i wola, i dlatego szukał teraz oparcia u Kropińskiego. Gdy po chwili powiedział do niego: - Widzisz, dlatego chcą znać nazwiska - brzmiało to niemal jak błagalna prośba o pomoc.

- Ale ty im nie zdradzisz?

- Zdradzisz, zdradzisz... ja nie chcę zdradzić! Ale powieszą mnie i tego już nie wytrzymam. - Kropiński zrozumiał, chciał pomóc, ale nic poza solidarnością nie miał do zaoferowania.

- Ja też będę wisiał, a ja teraz wszystko wiedzieć jak ty. My jesteśmy biedni ludzie i zupełnie sami i nikt nas nie chroni. Ale my nie powiemy ani słowa. Nieprawda, Andre? My nie powiemy ani słowa. Jak oni będą pytać o nazwiska, my będziemy krzyczeć, wciąż krzyczeć. To jest lepiej niż nazwiska...

Proste słowa Kropińskiego wzbudziły w Hóflu głębokie uczucie wdzięczności.

- Tak, masz rację. Będziemy właśnie krzyczeć, głośno krzyczeć, a wtedy nie możemy zdradzić.

Tak pomagali sobie nawzajem, czerpiąc ze słabości siłę. Wzmacniali przęsła mostu, aby się nie załamał pod naporem ponownej nawałnicy.

W niepewności mijały Kramerowi godziny przedpołudnia. Już raz był u niego Bochow, ale Kramer nie potrafił mu nic zameldować. Nie wiedział, czy Schiippowi uda się dostać do bunkra. Jako lageraltestera wzywano go często na bramę. Nigdy nie była to dlań przyjemna droga. Dzisiaj Reineboth wzywał go już dwukrotnie. A teraz znów zatrzeszczało w głośniku i niedbały żargon Reinebotha rozległ się w pokoju Kramera: "Lageraltester natychmiast na bramę, ale gazem!"

Kramer włożył płaszcz, wcisnął czapkę na głowę. Psiakrew, czego ten drab znowu chce?

Biegł do bramy przez plac apelowy jak po cienkim lodzie. Jak długo lód jeszcze wytrzyma? Czy Hófel złożył już zeznania? O własną skórę Kramer nie bał się nigdy, niech się z nim stanie, co chce. Wiedział, że nigdy, nawet w najniebezpieczniejszej sytuacji, nie da się załamać. Tętno jego nie biło ani o jedno uderzenie [szybciej]. Umiejętność zamykania wszystkiego w sobie pozwalała mu zachować chłodny umysł. Żadna namiętność nie potrafiła tego przemóc. Panował zawsze nad sobą i przeciwnikiem.

Tak też stanął teraz przed Reinebothem, siedzącym na brzegu jstołu i kiwającym nogą. SS-man poczęstował Kramera papierosem

- Jestem niepalący.

- Prawda, nasz lageraltester przecież nie pali. Dziwny lagerraltester... - Nic w twarzy Kramera nie mogło wskazać Reinebothowi, że więzień zrozumiał żart. Zapalając papierosa zdecydował uderzyć wprost.

- Pan chyba wie o Hoflu?

- Tak jest, rapportführer, dwóch ludzi z Effektenkammer umieszczonych w areszcie z powodu ukrytego dziecka.

- Jest pan dobrze poinformowany.

- Lageraltester powinien być dobrze poinformowany.

- Wie pan zatem chyba też, co dziś w nocy stało się w bunkrze?

- Nie.

- Nie?

- Nie.

- Hófel nie żyje!

Reineboth zmrużył oczy, jakby celując z rewolweru, ale nic nie dojrzał. Ani we wzroku Kramera, ani w jego rysach! Tego, co działo się w mózgu Kramera, Reineboth nie mógł wiedzieć. Tam powstała myśl, która zamieniła się w przekonanie: kłamiesz! Na skutek zdecydowanej postawy Kramera Reineboth stracił pewność siebie. Odwrócił się i powiedział na pozór obojętnie:

Przy apelu wieczornym skreślić tych dwóch jako abgang. Hófla i tego Polaka, jak mu tam...

- Kropińskiego.

Reineboth poczuł się jeszcze bardziej niepewny, rozzłościł się i fuknął:

- Tak, tego Kropińskiego.

Nie miał nic więcej w zanadrzu i popełnił błąd.

- W samą porę ochłodziła tym dwom dupa, co? - powiedział zaciskając wargi. Umiał nawet grubiańskie słowo podać elegancko. - Cieszy się pan z tego, co? - jego spojrzenie prześliznęło się po twarzy Kramera. - Ale jeszcze przed swoim końcem wypowiedzieli się.

Kramer podniósł brwi.

- Panowie znaleźli więc dziecko?

Lis był pokonany. Reineboth zrobił drugi błąd:

- Dziecko? Jestem dziecku bardzo wdzięczny. Naprowadziło nas na ślad.

Teraz kłamstwo było oczywiste.

„Spowiadać” mógł się tylko Hófel. Kropiński nie wiedział o niczym. Więc Hófel żył i nic nie zeznał!

Mówili jeszcze o tej sprawie. Reineboth przestraszył się, że posunął się za daleko. By wykorzystać do końca swój ostatni atut, podszedł blisko do Kramera i znów mierzył go oczyma.

- A zatem niech ich pan skreśli.

- Tak jest. - Kramer wytrzymał wzrok, nawet powieki mu nie drgnęły. Stali naprzeciw siebie, niesłuchanie opanowani. Wzrok Reinebotha stał się zimny i niebezpieczny. Młodzian uświadomił sobie, że najchętniej wrzasnąłby na Kramera. Ale nic nie okazał po sobie, najmniejszej zmiany w jego zachowaniu. Dał mu tylko krótki znak:

- Odejść!

Gdy Kramer odszedł, Reineboth cisnął papierosa, wsadził ręce w kieszenie i niezręcznie opadł na krzesło. Patrzył przed siebie. Tą drogą nic nie wskóra.

„A jeżeli naprawdę zamordowali Hófla? Tego jeszcze nie było, by żywego człowieka skreślić z listy jako zmarłego”. Ciężkie myśli opanowały Kramera w drodze powrotnej.

„Czy Reineboth powiedział prawdę? Gdzie kończyła się prawda, a gdzie zaczynało kłamstwo? Przecież nie chodziło o dziecko!”

Jak niesamowite i pełne niebezpieczeństwa były godziny, odkąd Hófel znalazł się w bunkrze! Każda godzina, która miała nastąpić, mogła eksplodować jak nabój. Z miejsca wyroiliby się wszyscy blockfuhrerzy, rzucili na poszczególne komanda w całym obozie i na wszystkie bloki, wszędzie tam, gdzie można znaleźć towarzyszy z organizacji. Nie trwałoby nawet godziny i wszyscy towarzysze byłiby w pułapce. Wtedy ostatnią ich przystanią - bunkier!

Jeżeli Kramer śpiesząc do Reinebotha miał uczucie, że idzie po cienkim lodzie, to gdy wracał, zdawało mu się, że idzie po wąskiej kładce nad przepaścią. Skręcił właśnie koło szrajbsztuby, gdy nagle z głównego głośnika nad bramą rozległ się głos na cały obóz: „Elektryk lagrowy na bramę!” Kramer zatrzymał się. Rozkaz powtórzono: „Elektryk lagrowy na bramę, tempo!” Kramer zawrócił i pobiegł w stronę baraku elektryków. Schiipp ze skrzynką z narzędziami na ramieniu śpieszył mu już naprzeciw.

- Uważaj, Walter, chwyciło - porozumieli się krótko.

- Hófel podobno zabity... - Schuppowi ze strachu zaokrągliły się oczy.

- Chłopie. Walter!

A Kramer: - Biegnij, Heinrich, może dowiesz się czegoś dokładniejszego.

Schiipp pobiegł, Kramer patrzył za nim.

Forste dotrzymał słowa. W niewytłumaczony sposób w bunkrze zabrakło prądu. Bezpieczniki były spalone. Schiipp sprawdził przy pomocy Fórstego elektryczną maszynkę w pokoju Mandryla. Mandryl stał nieufnie obok. Niechętnie wpuszczał więźniów do swojego królestwa. Między Schuppem i Fórstem było milczące porozumienie. Schiipp unikał wszelkiej poufności. W skąpych słowach, rzeczowo wyjaśnił kalifaktorowi, co ma robić. Miał przytrzymać maszynkę, podczas gdy Schiipp rozluźniał śruby. Dokładnie przeszukał wnętrze maszynki i nic tam nie znalazł.

- Maszynka jest w porządku - powiedział w przypiływie gadatliwości - zazwyczaj takie coś powoduje krótkie spięcie. Mandryl ofuknął go szorstko: - Nie gadaj tyle, rób swoje!

- Tak jest, Herr Hauptscharfuhrer - odpowiedział Schhip posłusznie. Badając wyłączniki zwrócił się do Forstego:

- Przewód się chyba wykończył...

Instynktem więźnia kalifaktor wyczuł intencję tamtego. Z miejsca nawiązał się między nimi kontakt, mogli się porozumiewać mimo obecności Mandryla.

- Hauptscharfuhrer już sam badał ten aparat i nic nie znalazł - powiedział Forste. Schupp zamazał szyfr przy pomocy nieuchwytnej uwagi:

- Musimy więc sprawdzić przewody, gdzie tkwi spięcie.

Szukają organizacji. A zatem Hofel żyje. I nic nie zeznał. Tak wytłumaczył sobie Schiipp usłyszane słowa. To była wartościowa wiadomość. Co jednak zrobić, by Forste mógł na bieżąco informować go o losach obu więźniów? Nie mógł przecież całymi dniami naprawiać przewodów.

- Po co chcesz sprawdzać przewody? - zapytał Mandryl ochryple. Schiipp uspokoił go:
- To nie potrwa długo, Herr Hauptscharfuhrer, drut mógł pęknąć w jakimś miejscu. - Kazał Förstemu przynieść drabinę i zaczął sprawdzać górne przewody.

Forste przytrzymał drabinę. Posuwali się metr za metrem od izby przyjęć wzdłuż ponurego korytarza bunkra. Mandryl stał przed drzwiami swego pokoju i obserwował ich. Schupp w milczeniu kontynuował pracę. Z tym ponurym zwierzakiem trzeba było obchodzić się ostrożnie. Bez względu na to uparczywie szukał możliwości porozmawiania bez przeszkód z Forstem. Właśnie milczenie było niezręczne. Ale rozmawiać można było tylko wówczas, jeśli Mandryl nie poszedłby za nimi. Przesuwali się korytarzem coraz dalej, odległość między nimi a Mandrylem wzrastała. Czy pójdzie za nimi?

By go uspokoić, zaczął gorączkowo pracować zmyślą o tym, by dotarło to do Mandryla, rzucił kalifaktorowi: Postaw drabinę bardziej pionowo... teraz jest dobrze.. przytrzymaj

Jednocześnie między te słowa ledwie dosłyszalnym szeptem wtrącił:

- Będę uważał, kiedy masz wolne...

Nie czekając na odpowiedź wszedł na drabinę, majstrując coś przy drucie.

Obaj uważnie śledzili Mandryla. Forste z zainteresowaniem przyglądał się robocie elektryka, a gdy ten zszedł z drabiny i we dwójkę przenosili ją dalej, Schupp powiedział głośno:

- Teraz sprawdzimy jeszcze ostatni kawałek... - Forste zaś odszepnął: - Jeżeli Hofel będzie śpiewał, pochylę się i zawiążę sznurowadło... - Schiipp zrozumiał. To wystarczyło do zapewnienia sobie dalszych informacji. Włazł na górę i po chwili zawołał:

- W porządku!

Porozumieli się wzrokiem. Nie trzeba było nic więcej mówić. Razem przenieśli znów drabinę do przodu.

- No, co jest? - burknął ze złością Mandryl. Schiipp z ubolewaniem wzruszył ramionami.

- W górnych przewodach nic nie znalazłem. Muszę wyjść i sprawdzić połączenie na zewnątrz. - Przewody biegły od szczytu skrzydła budynku, w którym mieścił się bunkier, ku ziemi. Tuż nad ziemią, obok połączenia, wystawał przerwany drut. Schupp uśmiechnął się. Forste - to dowcipny gość!

Prędko usunął małe uszkodzenie i wrócił do bunkra. Wkręcił nowe bezpieczniki i światło zapłonęło! Skąpy w słowach Mandryl wydawał się zadowolony.

- Co to było?

- Nic nadzwyczajnego, Herr Hauptscharfuhrer, krótkie spięcie przy kablu ziemnym.

- Dlaczego tego od razu nie sprawdziłeś? Schiipp niewinnie rozłożył ramiona.

Gdyby to można tak od razu wiedzieć...

Na to Mandryl nie umiał fachowcowi odpowiedzieć, pańskim skinieniem głowy pozwolił mu więc odejść.

Schiipp przerzucił przez ramię skrzynkę z narzędziami. Forste nie zwracał uwagi na opuszczającego bunkier elektryka.

Schiipp składał sprawozdanie. Wydawało się, że Kramer powinien uważnie przysłuchiwać się. Swoim zwyczajem siedział przy stole, szeroko rozstawiwszy łokcie i oparłszy brodę na pięściach. Ale od dawna już nie słuchał. Schiipp żywo opowiadał, jak udało mu się odwrócić uwagę Mandryla. Hofel wytrzymał! Teraz dopiero Kramer uświadomił sobie, jak bardzo wzburzyło go aresztowanie Hofla. Kochał go po swojemu, surowo. Przeklął go, a teraz znów go kochał.

Pytanie elektryka ocuciło go.

- Czy Hofel jest w kierownictwie? - Ale przestraszony własnym pytaniem, dodał prędko: - Nie potrzebujesz mi na to odpowiadać.

Kramer podniósł wzrok i popatrzył bez słowa na Schiippa. Schiipp zrozumiał odpowiedź, nie pytał o nic więcej. Siedzieli naprzeciw siebie, każdy pogrążony we własnych myślach. Otepienie mijało.

Kramera ogarniało serdeczne, braterskie uczucie do Hofla.

- Teraz będą węszyć z powodu tej głupiej historii z dzieckiem...

Zamyślił się.

- Trzeba coś zaryzykować - powiedział Schiipp - żeby wydostać ich z bunkra. - Kramer uśmiechnął się z niedowierzaniem. - Jak to chcesz zrobić?

- Przez Zweilinga - szybka odpowiedź Schiippa świadczyła, że pomysł ten nie zrodził się w tej chwili. Kramer pokręcił głową. Ten pies przecież ich tam właśnie posłał...

- Wiem - skinął Schiipp - Pippig mi o tym opowiedział. Właśnie dlatego powinniśmy spróbować. Z SK przecież też się udało... {SK niem. komando - kompania karna}.

Kramera to nie przekonało. To było co innego.

Kiedy przed laty grupa więźniów politycznych zakapowana przez kryminalnych poszła do SK, udało się w wyniku akcji towarzyszy w lagrze wydostać ich stamtąd. Zastrzeżenia Kramera nie zbiły jednak Schuppa z tropu. Przesunął się na brzeżek krzesła.

- Zweiling chce się zabezpieczyć na dwa fronty i nie chce z nikim zadzierać. Powinniśmy to wykorzystać. Pippig musi go przekabacić. Czy mam z nim pogadać?

Kramer oburzył się. Nie dlatego, żeby miał skrupuły ze względu na SS-mana, żeby nie chciał go wykorzystać, aby pomóc zagrożonym towarzyszom. Nie zawahał się uczynić tego przy SK. I Wówczas jednak walka o władzę między kryminalistami a politycznymi spowodowała na nich niebezpieczeństwo. Tym razem chodziło o SS-mana, który groził zniszczeniem Hóflowi i Kropińskiemu.

I ten właśnie kapuś miałby... Co za błazeński pomysł! Ale nie dawał mu spokoju. Między komendantem a Kluttigiem była wieczna wrogość. Kluttig trzymał w obozie z kryminalnymi, a Komendant stawiał na politycznych gdyby napuścić na Komendanta... Kramer dowierzał cwaniactwu Pippiga. Okrągłe oczyrywały się w Kramera. Kramer coś burczał i kantem dłoni zmiatał ze stołu. Nie chciał powiedzieć ani tak, ani nie.

- Ale weźcie się ostrożnie do rzeczy - wykrztusił w końcu.

Po rozmowie z Schiippem Pippig uświadomił sobie, że istnieje możliwość udzielenia pomocy przyjaciółom poprzez Zweilinga. Szukał okazji do rozmowy. Wkrótce zaistniała.

- No, co, jeszcze nie wiecie nic o tym kapusiu? - zapytał SS-man Pippiga, gdy ten przyniósł mu listę do podpisu.

- Nie, hauptscharfuhrer, i chyba go nie nakryjemy.

- Dlaczego nie? - i Zweiling wysunął język na dolną wargę.

Pippig był zinniej gliny ulepiony aniżeli uczuciowy Hófel i dlatego ruszył odważnie wprost do celu. Tak jak tancerz na linie stawia stopę ostrożnie, a jednak pewnie, tak i Pippig nadał swym słowom maksimum dwuznaczności.

- Ten gałgan zbyt dobrze się zadekował. - I chytrze dodał: - Ale teraz wiemy, dlaczego on to zrobił.

- Ciekaw jestem.

- Chodzi o to, że ten facet uważa się za bardzo mądrego i chciał sobie jeszcze zostawić otwarty rachunek u lagerfihrera.

- Dlaczego? - zapytał Zweiling podchwytliwie. Pippig zwlekał z odpowiedzią.

Błyskawicznie zastanowił się i błyskawicznie zdecydował. Szedł po linie. Musiał przejść na drugą stronę.

- Nad tym nie ma się co wiele zastanawiać, hauptscharfuhrer, wystarczy popatrzeć na mapę frontu.

Mimo woli Zweiling odwrócił się ku ścianie, na której wisiała mapa.

Z napięciem obserwował Pippig jego poruszenia, a gdy Zweiling zwrócił znów na niego wzrok, na ustach Pippiga ukazał się wielomówiący uśmiezek. Zweiling stracił pewność siebie. "Czy to o nim była mowa?" - pomyślał. Również on chodził po linie. Zdecydował się brnąć w tę zabawę w ciuciubabkę.

- Ma pan na myśli, że kapuś chce się zabezpieczyć, gdyby... na wypadek, gdyby się odwróciło?

- Jasne - odpowiedział Pippig sucho. Rozmowa utknęła. Teraz Pippig powinien był uderzyć w zamierzonym kierunku.

- Gdyby się odwróciło - powtórzył słowa Zweilinga, podkreślając je odpowiednim gestem - ale w którą stronę? Tego nikt nie wie...

Zweiling oparł się na krześle odpowiadając bezmyślnie i jakby mimochodem:

- No, tak źle nie będzie!

Napięcie w Pippigu wzrastało, został zrozumiany. Odważył się na jeszcze jeden krok.

- To zależy od pana, hauptscharfuhrer. - Zweiling wysunął język na wargę i nie odpowiadał. Wobec tego Pippig musiał kontynuować:

- Chętnie powiedzielibyśmy: "hauptscharfuhrer Zweiling to fajny gość, wyciągnął Hofla i Kropińskiego z bunkra..."

Gorąca fala uderzyła Zweilingowi do głowy. To była otwarta propozycja. Błyskawicznie przebiegały w nim reakcje. Wciąż jeszcze chroniła go przepaść odwieźniów. Ale pewnego dnia mogła zostać zasypana, a wtedy chwycą go za gardło: Ty masz na sumieniu Hofla i Kropińskiego! Również dla SS-manów powstała sytuacja: albo-albo! Dla więźniów wolność lub śmierć, dla SS-manów walka do upadłego albo ucieczka w nieznaną, Zweiling nie miał ochoty walczyć do upadłego. Propozycja była kusząca.

- Jak mam to zrobić? - zapytał niepewnie. Zwycięstwo! Teraz już Pippig zszedł z liny i miał znów twardy grunt pod nogami.

- Nie sprawi przecież panu specjalnych trudności pogadać z komendantem. Przecież pan wie, co on myśli o politycznych.

Zweiling zerwał się gwałtownie i podszedł prędko do okna. Gotowało się w nim. Wyrzucić Pippiga czy przyrzec mu? Nie-jasno i mętnie uczynił jedno i drugie. Odwrócił się do więźnia i powiedział grubiańsko:

- Odwal się!

A gdy Pippig odwrócił się, napadł na niego: - I trzymaj pysk, zrozumiano?

Czy Pippig zrozumiał? Zapewnił go uczciwie:

- Ależ, Herr Hauptscharfuhrer, o takich rzeczach się przecież nie mówi...

Zweiling był bezgranicznie wściekły. Usiadł za biurkiem. Spojrzenie prześliznęło się po mapie.

Jeszcze przed paroma dniami dorysowywał strzałki do Moguncji, teraz już podeszli pod Frankfurt...

U góry, na północy frontu zachodniego, strzałki wskazywały na Duisburg. Jeszcze trochę i będzie musiał skierować strzałki na Kassel? Wtedy pójda z Westfalii i Hesji na Turynię...

Bezradna wściekłość, że zdemaskował się przed Pippigiem, przemieniała się w dokuczliwy strach...”Ty masz Hófla i Kropińskiego na sumieniu. Jak te draby pewnie już się czują...”

W porze obiadowej Bochow przyszedł do Kramera.

- Coś nowego?

- Nic.

Bochow zacisnął wargi. Na jego twarzy malował się niepokój.

- Stało się co? - zapytał Kramer. Bochow nie odpowiedział. Przesunął czapkę na tył głowy, zrobił ruch, jakby chciał nagle usiąść, ale nie usiadł. Decyzja o zabezpieczeniu schowka z bronią przez człowieka z zewnątrz, za pośrednictwem Kramera, przychodziła mu bardzo ciężko. Po raz pierwszy tajemnica wychodziła poza krąg wtajemniczonych. Kramer widział, że Bochow toczy ze sobą walkę.

- No, mówże!

Bochow westchnął: - Ach, Walter, człowieku, takie życie... takie życie... czasami ma się ochotę przekląć tego faceta tam na górze. - Miał na myśli Hófla.

- Daj spokój! - mitygował go pocieszając Kramer. - To przecież nasz kumpel! Narozrabiał - to fakt, ale zaraz przeklinać? Człowieku, panujże nad nerwami!

Szorstka serdeczność Kramera dobrze podziałała na Bochowa.

- Tak, tak, masz rację! Ale jest jeszcze jedna sprawa do załatwienia, pilna!

Dla Kramera nie było niespodzianką, że jeden ze schowków broni mieści, się w Effektenkammer. Jeden był tylko człowiek, któremu można było powierzyć tę sprawę: Pippig!

- Ja to już załatwię, nie troszcz się o to - uspokajał Kramer. Bochow podał mu numery worków i miejsce, w którym wisiały, a potem jęknął: - Najgorsze ze wszystkiego jest to, że człowiek stoi z boku i nic nie może zrobić w tej sprawie...

Kramer wydał wargę.

- Dlaczegoż nie można by nic zrobić? Trzeba by na przykład spróbować wydostać ich z bunkra. Bochow zaśmiał się, jakby usłyszał dowcip.

- Coś tam już zrobiłem... Śmiech Bochowa zamarł.

- Zwariowałeś?

- Neeee - odparł Kramer sucho - i mam nadzieję, że zgodzisz się ze mną.

Opowiedział o tym, co omówił z Schiippem.

- Na pewno się już spiknął z Pippigiem, a Pippig, możesz na nim polegać, to cwaniak. Już znajdzie słabe miejsce Zweilinga. No, i co, mieliśmy tego zaniechać?

- Co się jeszcze stanie? - syknął Bochow przez zęby i zakrył twarz rękami. Kramer pokiwał głową, przyglądając się szalonemu zdenerwowaniu kolegi. Zawsze myślał, że Bochow to kawał drewna, nic nie wyprowadzi go z równowagi. A teraz popatrzcie na ten kawał drewna... Bochow nie reagował, był rad, że może się ukryć we własnych dłoniach. Dopiero po chwili opuścił ręce i kiwnął głową. Zmęczony uśmiech wypełził mu na twarz.

- Masz rację, Walter, nie wolno teraz tracić głowy. Chciał już iść, ale zatrzymał się jeszcze.

- A ta sprawa z Zweilingiem... dobrze... próbuj, co tylko można... - powiedział i opuścił pokój.

Kramer popatrzył za nim z głębokim współczuciem. Jaki sterany wygląd miał Bochow, gdy tak stał ze zwisającymi ramionami.

O tej samej porze Mandryl obserwował więźnia naprawiającego w kasynie stół. Z tępym zainteresowaniem śledził ruchy więźnia, przyglądał się, jak tamten przysrubowuje zworę ściskającą drzewo. Była to codzienna robota.

Gdy tego wieczora znów pił wódkę w kasynie, przypomniała mu się ta zwora. Nagle obudziło się w nim zainteresowanie. Podszedł do odstawionego na bok stołu i przyjrzał się przyrządowi.

Próbował go odkręcić, ale tkwił zbyt mocno. Dopiero z dużym wysiłkiem udało mu się zdjąć zworę. W kasynie było o tej porze mało gości. Kilku blockfihrerów siedzących przy stole przyglądało się dziwnym poczynaniom Mandryla. Również usługujący więźniowie obserwowali go ukradkiem. Mandryl trzymał zworę w dłoni. Coś działo się w jego nieruchomej twarzy. Gdy wrócił - do stołu, blockfihrerzy nie odezwali się do tego niesamowitego! człowieka. Mandryl zauważył ukryte spojrzenia, koło ust pojawiła się ledwo dostrzegalna zmarszczka. Było już późno, gdy opuszczał kasyno. Nigdy nie można było po nim poznać, że jest pijany.

Im więcej alkoholu miał w sobie, tym bardziej prosto się trzymał. Choć w mózgu miał zamęt, zdawał sobie sprawę z tego, co robił. Uodporniało go coś od wewnątrz.

- Przesłuchanie aż do złożenia zeznań.

Zwora naprowadziła go na pewną myśl.

W nocy udał się do celi nr 5. Hófel i Kropiński leżeli przyciśnięci do siebie na zimnej podłodze. Wstali, kiedy zapaliło się światło, i Mandryl wkroczył do środka. Zmarznięci, przerażeni, stali przed nim. Błada twarz Mandryla pozbawiona była wyrazu, gdy zapytał Hófla:

- No, zastanowiłeś się już?

Hófel przełknął ślinę. Milczał. Strach miotał się w nim jak spłoszony ptak. W ponurym świetle żarówki, zbyt słabej, by rzucać ostre cienie, cela tańczyła mu przed oczyma. Mandryl przeczekał chwilę milczenia, jak gdyby coś jeszcze mogło się zdarzyć, potem stojącego obok Hófla Kropińskiego pchnął w kąt celi. Hófla zapytał:

- Będziesz gadał?

Gorąco uderzyło Hóflowi do głowy. Znów przełknął ślinę. Oddychał cicho.

Kropiński stał wciśnięty w kąt, jak gdyby chciał wtłoczyć się w ścianę. Mandrylowi nie śpieszyło się.

- No, co? Będziesz teraz gadał?

Klatka piersiowa Hófla była jakby pustym sklepieniem, w którym odbijało się jak echo wstrząsające wycie. Chciał uciec w kąt, do Kropińskiego, ale nogi były jak przykute.

- A więc nie!

Mandryl podszedł do Hófla i nasadził mu - tak jak to robił stolarz - zworę na skronie.

- Będziesz gadał?

Przerażony Hófel szeroko otworzył oczy. Mandryl nacisnął ruchomą część zwory i przykręcił.

Kropiński wydał cichy, świszczący okrzyk.

W skroniach Hófla tętniła krew, zduszony w gardzieli krzyk rozrywał mu usta.

Mandryl wsadził ręce do kieszeni i zachęcająco pchnął Hófla kolanem w brzuch.

- Jedno nazwisko już znam, twoje. Kto jest drugi? Będziesz gadał?

W głowie Hofla płonęły piekielne ognie. Rozwarł dłonie, przerażenie utkwilo w gardle.

Mandryl oblizal czubkiem języka wargi, spokojnie wyjął rękę z kieszeni i przykręcił śrubę. Hófel jęczał. Przerażliwie, bez możliwości ucieczki tkwił między dwiema skałami, które go zgniatały.

Kropiński opadł na kolana. Przybity ogromem bezradności, przypelznął skowycząc do Mandryla. Ten odtrącił go jak łachman do kąta.

- Tu leż, ty gównu, i nie ruszaj się!

Tę chwilę Hófel wykorzystał, by zerwać mordercze narzędzie. Upadło ze stukiem na podłogę. Krew tętniła i szumiała w głowie. Zrobiło mu się ciemno w oczach, ścisnął rękami skronie i zatoczył się. Opanowany nagłą wściekłością rzucił się Mandryl na zataczającego się i potężnymi ciosami pięści obalił go na podłogę. Nagła napaść rozbudziła zmysły Hófla.

Zaczął toczyć się po podłodze, w jedną i drugą stronę, by ująć przed ciosami, zaczęła się jakby bijatyka. Osłabiony i zmalretowany Hófel uległ bardzo prędko sile Mandryla. Ten ukląkł na nim, przycisnął ręce Hófla kolanami i zacisnął ponownie zworę na skroniach więźnia.

Ze straszliwym wrzaskiem rzucał się Hófel na wszystkie strony, ale zwora na skroniach trzymała się mocno. Mandryl zatkał jeszcze łapą krzyczące usta i przykręcił śrubę.

Hófel zacharczał, oczy wyszły mu na wierzch.

- Kto jest ten drugi?

Kropiński przycisnął pięści do ust, przejęty niemym przerażeniem na widok tego, co działo się z jego kolegą.

- Kto jest ten drugi?

W piekielnym bólu Hófel walił rękami i nogami w kamienną podłogę.

Nazwiska! Nazwiska!...

Tkwiły mu w charczącej krtani i czekały tylko na to, by je wypuszczono.

- Kto jest ten drugi? Będziesz mówił...? Gdy Mandryl odjął rękę, zduszony krzyk jak promień wydarł się z ust Hófla: - Chraaa...

- Kto jest ten drugi?

- Chraaa...

To były one, nazwiska. Każde poszczególne wykrzykiwał z siebie. - Chraaa... chraaa...
- Nagle i Kropiński zaczął krzyczeć, ścisnął głowę rękami i krzyczał...

Powietrze zdawało się również krzyczeć, ściany nie potrafiły stłumić krzyku, w celi miotano się szaleństwo.

Mandryl podniósł się i rozkraczył nad rzucającym się ciałem Hófla. Nie wolno, żeby umarł. Rozluźnił więc zwoję.

Nieprzypadkowy krzyk Hófla ucichł w suchym rżeniu, wyzwolone ciało rozprostowało się.

Kropiński skulił się bojaźliwie, a gdy Mandryl opuścił celę i zgasił światło, podpełznął do Hófla, obmacał go drżącymi rękami i zaczął skowytać w cichej rozpacz.

Hófel czuł, jak życie broni się przed śmiercią. Jak popędzana batem krew gnała przez ciało, mózg zdawał się rozplwać z bólu, a nawet myśli paliły jak gorączkowe płomienie. Oddech rozwiewał się.

- ...Nazwiska... Marian...

Kropiński pogłaskał dygocącą pierś Hofla.

- Ty krzyczałeś, bracie, wciąż tylko krzyk...

Hófel dyszał, zbyt słaby, by odpowiedzieć. Jego udręczona świadomość chwiała się na skraju omdlenia, ale nie zapadła w dobroczynną otchłń.

- O mój Boże - kwilił Hófel - o mój Boże...! To było już prawie nie do zniesienia.

Nazajutrz Fórste spotkał elektryka na ulicy podczas spaceru cugangów. Popatrzyli na siebie. Czy tamten zawiąże sznurowadło?

Fórste na pozór nie zwracał uwagi na elektryka. Ręce splecione na plecach unosił do góry - wyglądało, jak gdyby wykonywał ćwiczenia gimnastyczne. Gdy Schiipp, wymijając go, podszedł do okienka, Fórste przyłożył rękę do serca. Schiipp zameldował powrót do lagru. Zrozumiał. Poddano ich męczarniom, ale ręka na sercu mówiła, że byli dzielni.

Minęły dopiero dwa dni, ale tak brzemienne, że równały się latom. Cały aparat został unieruchomiony. Wiadomość o aresztowaniach spowodowała odrętwienie w grupach. Towarzysze unikali wszelkich rozmów. Spotkawszy się w obozie, rozchodzili się, pozdrawiając jedynie ukradkowym spojrzeniem. Nie mieli prawa się znać. Nieszczęście wisiało w powietrzu. To, że pierwszego dnia nic się nie wydarzyło, w żadnym wypadku nie uspokajało. Wszyscy mieli uczucie, że niebezpieczeństwo przyczaiło się tylko, by zjawić się nagle, w chwili, kiedy będą sądzili, że można odetchnąć z ulgą. Tak każdy to odczuwał.

Również MKO zerwał wszelkie kontakty. Jedyńm, z którym Bochow spotkał się w ciągu tych dwóch dni, był Bogorski. Informacje uzyskane przez Kramera o zachowaniu się

Hófla pozwalały zaryzykować spotkanie z towarzyszami z MKO. Bogorski zgodził się na to, toteż wieczorem towarzysze zeszli się w piwnicy baraku na rewirze. Byli bardzo milczący i w milczeniu przyjęli też sprawozdanie Bochowa. Dowiedzieli się o związku przyczynowym pomiędzy wydarzeniami. Dziecko stanowiło dogodną okazję dla Kluttiga i Reinebotha, aby spróbować wpaść na ślad organizacji. Dowiedzieli się, że Hófel i Kropiński przechodzili niesłychane męczarnie, i zdawali sobie sprawę, że to dla tych dwóch decydująca próba. Jednego tylko nie wiedzieli: co się stanie jutro albo pojutrze...

Przyszłość naładowana była prochem.

Zazwyczaj narady przebiegały bardzo żywo; dziś siedzieli wokół lekko syczącej świeczki, ledwo zamieniając słowa. Spokój po aresztowaniach był złudny, nie wierzyli mu. To, co Bochow przeżył tak boleśnie, przeżywali teraz wszyscy zgromadzeni wokół niego, milczący mężczyźni.

Jakże troskliwie przygotowywano powstanie! Ileż w ciągu tego czasu zgromadzono broni i amunicji, w jakiej tajemnicy i w jakim zagrożeniu. Nieraz całe śmiałe przedsięwzięcie wisiało na włosku. Wszystko było przemyślane. Na rewirze ukryto nawet w pewnych miejscach tysiące opatrunków. Zgromadzono leki, zorganizowano instrumenty do operacji. Łomy, izolowane nożyce do cięcia drutów - wszystko było.

Były i plany operacyjne na godzinę wyzwolenia. Grupy bojowe poszczególnych narodowości przygotowane były na tę godzinę, ich zadania dawno ustalone. Obóz był już podzielony na sektory przyszłej walki. Działania bojowe miały się rozpocząć od wypadów uderzających klinem w różnych kierunkach. Polskie grupy miały się przebić na północ od obozu. Dla radzieckich grup przewidziany był szturm na koszary SS. Grupy Francuzów, Czechów, Holendrów i Niemców powinny były objąć we władanie obszar komendantury. Generalne uderzenie miało być skierowane na zachód, by nawiązać kontakt ze zbliżającymi się Amerykanami i zabezpieczyć powstanie.

W grupach istniały oddziały do specjalnych zadań. Szeroko rozgałęziona organizacja, niewidoczna, nieuchwytna, wszechobecna i w każdej chwili gotowa do uderzenia, była kunsztownym dziełem konspiracji. Gdy wybije godzina, burza może zerwać tamy. Ale godzina jeszcze nie nadeszła, a Amerykanie byli daleko... A teraz tam na górze leżał samotny człowiek w opuszczonej celi...

Wystarczyło jedno jego słowo, nieostrożne albo spowodowane strachem przed śmiercią, a obóz obnażył się do dna i wydał swoje tajemnice. Zanim 50 000 nieświadomych więźniów pojęłoby, o co chodzi, już dzika burza zniszczenia rozszalałaby nad obozem...

Towarzysze patrzyli przed siebie, wpatrywali się w migocący płomień świeczki. Powściągliwie i spokojnie składał sprawozdanie Bochow. Opowiedział, że Kropiński i Hófel, jak dotąd, trzymają się dzielnie. Słuchali, jak gdyby myśli wszystkich skupiały się w każdym z nich.

Dlatego też słowa były zbędne. Ale milczenie złościło twarze. Bochow zaczął się złościć: - Tak nie można, towarzysze! Siedzieć w kupie i opuszczać głowy? Psiakrew! Trzeba się zastanowić, co będziemy mogli zrobić, jeśli...

- Jeśli! Tak, jeśli! - zgrzytnął Kodiczek śmiejąc się kąśliwie - czy możemy broń zakopać? Przecież już jest zakopana... - w jego oczach trzepotało zdenerwowanie.

- Bzdura! - fuknął Bochow - broń pozostanie tam, gdzie jest.

Wziął do ręki kawał wapna i odrzucił go. Jego oczy błędziły niepewnie po kamienistej ziemi. Widać było po nim, że stara się odzyskać utracone przed chwilą opanowanie. Klócić się teraz nie wolno. Machnął ręką Kodiczkowi, który zapadł w ponure milczenie.

- Już ostatnim razem mówiłem wam, że szukają nas - powiedział Bochow głucho - śmieliśmy się z tego. Hófel przecież jeszcze nie był w bunkrze. A teraz sprawa jest już poważna. Jeżeli nie da rady, jeżeli nie wytrzyma...

Popatrzył natarczywie na każdego z osobna. Zagryzali wargi. Nieubłaganie wypowiedział to, o czym myśleli: "Gdy dowiedzą się o nas, każdego z nas czeka śmierć".

Świeczka syczała.

- Możemy jeszcze niejednego z nas zabezpieczyć. - Towarzysze nastawili uszu, a Bochow zaproponował: - Można posłać na transport do innego lagru, a tam zniknie w tłumie... Długo nie było odpowiedzi. Wreszcie zabrał głos van Dalen:

- Chyba nie mówisz tego na serio, Herbert?

- Serio - upierał się Bochow - Hófel zna nasze nazwiska i wystarczy, że poda choć jedno...

Van Dalen wzruszył z rezygnacją ramionami.

- Wtedy ten jeden będzie musiał umrzeć.

- A jeżeli poda wszystkie?

- Wtedy umrzemy wszyscy - odpowiedział van Dalen po prostu. Pribula okazywał niepokój. Bochow potrząsnął głową.

- Kto chce iść na transport? - pytał z uporem. Pribula rąbnął pięścią w kolano.

- Chcesz z nas zrobić tchórzów? - to ciche pytanie zabrzmiało jak krzyk. Dopiero po chwili spuszczać oczy Bochow odpowiedział z uderzającym spokojem: - Jest moim obowiązkiem, towarzysze, zadać wam to pytanie. Ja jestem winien, że do tego doszło.

Wypowiedź zabrzmiała obco, spojrzeli na niego zdumieni. Zaciśnął wargi.

- Pozostawiłem Hófla samego sobie - kontynuował jeszcze ciszej. - Powiniennem być natychmiast zająć się nim i dzieckiem. Nie zrobiłem tego... - To było wyznanie. Jedynie Bogorski zrozumiał jego sens, ale milczał. Riomand zakaszłał. - Non, cama-rade Herbert - powiedział dobrotliwie - błąd tak, ale nie mówić o winie.

Bochow spojrział na Francuza.

- Z błędu wyrasta wina - powiedział ponuro. Kodiczek syknął nieopanowanie: - Do diabła z Hóflem, do diabła z dzieckiem!

Pribula podskoczył.

- Hófel i Kropiński są w bunkrze - krzyknął bezdźwięcznie - a ty mówić: do diabła! Chronili razem Niemiec i Polak małe polskie dziecko, a ty mówić: do diabła! Ty sam: do diabła!

Zbielałe wargi drżały mu. Nagły gniew tryskał z oczu. Van Dalen przytrzymał Pribulę za ramię. Młody Polak odepchnął rękę Holendra, nagła wrogość wyjrzała mu z oczu.

Wtedy stało się coś dziwnego. Bogorski zaczął się śmiać. Cicho. Drżały mu plecy. Ten śmiech był w tak jaskrawej sprzeczności z ponurym napięciem i podnieceniem, że wszyscy spojrzeli na Rosjanina przestraszeni. Ten rozłożył dłonie i zawołał z gorzkim uśmiechem: - Jacyż z nas weseli ludzie!

Chciał powiedzieć "komiczni", ale powiedział "weseli", ponieważ nie znalazł odpowiedniego niemieckiego słowa.

Nagle zmieniło się jego zachowanie. Twarz ściągnęła się, a w oczach coś drgnęło. Podniósł ręce i gwałtownie opuścił pięści.

- Ale my nie jesteśmy weseli ludzie, my jesteśmy komuniści!

Zaklął grubiańsko po rosyjsku i zaczął grzmieć w swym ojczystym języku na towarzyszy. To zaskoczyło jego samego - nikt go nie rozumiał - przerwał więc w środku zdania, ale zaraz grzmiał dalej w łamanej niemczyźnie:

- Błędy, wina, przeklinanie dziecka i towarzyszy! Czy w ten sposób zachowują się w obliczu niebezpiecznej sytuacji komuniści? Czy sytuacja ma panować nad nimi? Czy też komunista powinien zapanować nad sytuacją? - Zamilkł. Jego gniew już opadł. Spokojniej już ciągnął dalej: - No, dobrze, charaszo! Gdzieś w obozie ukryte jest dziecko i wprowadza zamieszanie.

Gdzie ono jest właściwie? Chciał się dowiedzieć Pribula. Bogorski uspokajająco podniósł rękę. Dziecko znajduje się na 61 bloku Małego Lagru. Nie ma obawy, jest mu tam dobrze. Spojrział wokoło. Czy w gruncie rzeczy nie jest to właściwie już dziecko wszystkich,

jeżeli dwóch towarzyszy z jego powodu wpadło do bunkra? Czyż nie jest zadaniem MKO roztoczyć opiekę nad dzieckiem? - Naraz uśmiechnął się. O wiele ważniejsze byłoby teraz dostarczyć dziecku coś uczciwego do jedzenia. Spojrzał przy tym zmrużonymi oczyma na Riomanda. Francuski kucharz zrozumiał natychmiast, roześmiał się i kiwnął głową. Bogorski odwzajemnił uśmiech.

- Charaszo! To chłopak czy dziewczynka? Bochow, do którego zwrócone było pytanie, odpowiedział szorstko:

- Nie wiem.

Bogorski wziął się pod boki. Zawołał z komicznym zdumieniem:

- Mamy dziecko i nie wiemy nawet, czy to chłopiec, czy dziewczynka...

Wszyscy roześmieli się. Podniosły się pochylone głowy. Bogorskiemu zrobiło się lżej na sercu. Towarzysze wyraźnie ożywili się i zaczęli dyskusję. Czy można pomóc Hoflowi i Kropińskiemu?

Rodziły się awanturnicze plany - od uwolnienia ich przy pomocy siły aż do powstania. Ale trzeba było z nich zrezygnować. Rozmowa przekonała wszystkich, że uwolnienie tych dwóch ze szponów Mandryła było niemożliwe. Bochow prędko zrozumiał, że zachowanie Bogorskiego miało pomóc w przewyciężeniu rozpacz. Sam przecież padł jej ofiarą. Złość mu przeszła, tym bardziej że musiał wykazać niedorzeczność awanturniczych planów towarzyszy. Istniała tylko jedna możliwość uratowania tych dwóch - i to na domiar bez wielkich widoków powodzenia. Wyjaśnił to towarzyszom. Potem opowiedział o podjętej wraz z Kramerem decyzji wykorzystania do tego celu Zweilinga. To był akt rozpacz. Ale jakąż pozostawała poza tym inna droga? Towarzysze z MKO zgodzili się na tę próbę. Ale troska wracała uporczywie. Przebijała przez wszystko. Co zrobić, jeśli Hófel nie wytrzyma? Bogorski przeciął tę bezowocną pytaninę. - Nic nie można zrobić, zupełnie nic - powtórzył to szorstko parokrotnie. - A może ktoś ma ochotę pójść na transport? - Jeżeli na poprzednie pytanie Bochowa towarzysze odpowiedzieli przygnębionym milczeniem, to teraz sprzeciwili się głośno. Nikt nie chciał opuścić lagru, wszyscy chcieli pozostać. Charaszo! Bogorski skinął głową. Sam nie wierzył, by Bochow traktował serio swoją propozycję. Wiedział, że powstała ona w wyniku bezsensownego poczucia winy u tego człowieka. Ale depresja była przewyciężona. Jeżeli dzisiejsze spotkanie nie przyniesie innego rezultatu poza tym, to i tak jest to sukces. Przede wszystkim trzeba było zabić strach. To był najniebezpieczniejszy wróg.

- I ja boję się, towarzysze - powiedział Bogorski - ale musimy mieć zaufanie. Dotychczas Hófel stawiał opór na przekór wszelkim torturom. Kto nam dał prawo zwątpić o nim? Czy przez to nie wątpimy sami o sobie? Niebezpieczeństwo nie tkwi w Hóflu i jego

polskim przyjacielu, ono tkwi w faszystach. Armia Czerwona spycha faszystów coraz bardziej w głąb Niemiec, poczynając od Kostrzyna i Gdańska, a kończąc na Wrocławiu. Drugi front przebił się już aż do Frankfurtu.

Bogorski zrobił ruch, jakby odgarniał coś szeroko rozłożonymi ramionami i ścisnął pięści.

- Tak to wygląda, towarzysze - powiedział z tajoną siłą. - Im bliżej końca, faszyci, którzy to widzą, stają się coraz bardziej dzicy. Hitler, Schwahl i Kluttig. Chcą nas zniszczyć, wiemy przecież o tym. Dlatego też z ukrycia przeciwstawiamy im naszą siłę. Jak długo będziemy silni jak Hófel i Kropiński... tak, tak! - zawołał Bogorski podniecony własnym entuzjazmem - oni pozostaną silni! Jak długo i my wytrzymamy, faszyci nie znajdą ukrytej siły, choć będą niuchali. Niech szukają! Nic nie znajdą. Ani jednej kuli i ani jednego człowieka! - Jakaż siła tkwiła w jego pięściach leżących na kolanach jak dwa kamienie. - Faszyci - mówił dalej już opanowany - ostrzygli nam głowy, zabrali nam twarze i nazwiska. Dali nam numerek, zdjęli z nas ubrania i nałożyli nam pasiaki...

Targnął pasiastą marynarkę. - Jesteśmy pilnymi roboczymi pszczołami, budujemy dla nich domy i ogrody. Bzzz, bzzz, bzzz! Każda pszczoła ma swój pasiak. Ja wyglądam jak ty, a ty wyglądasz jak ja. - Otwierał i zamykał pięści. - Charaszo - zaszeptał chytrze. - Ale pszczoły mają też żądło. Bzzz, bzzz, bzzz! Niech tylko Kluttig sięgnie do ula... jeden wygląda tak samo jak drugi...

- Jak to dobrze, że zabrali nam twarze i dali pasiaki! Wy rozumieć mnie, towarzysze? - Bogorski delikatnie pogłaskał swą marynarkę, odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Bochowa zawstydzona ta odwaga. Jego surowej naturze nie dana była taka umiejętność naginania najtwardszej rzeczywistości. Słowa Bogorskiego rzucały czar. Towarzyszom odmieniły się twarze, rozbłysły w świetelku migocącej świecy. Nie powzięto tym razem żadnej decyzji, była zbędna. Każdy zdecydował sam. Tylko gdy już mieli się rozejść, Pribula zażądał, by jeden z towarzyszy był indywidualnie odpowiedzialny za dziecko. - To niepotrzebne - odpowiedział Bochow skąpo jak zazwyczaj - ja to już robię... A jak będziesz miał dla tego malca coś do żarcia, dostarcz to Kramerowi, on już przekaże - zwrócił się do Riomanda. Francuz skinął.

Opuścili piwnicę pojedynczo, w odstępach i mieszała się na ciemnej drodze z innymi więźniami, śpieszącymi we wszystkie strony, dopóki lageraltester nie odgwiżdże nocy.

Hortense była gotowa do wyjazdu. Wszystko było jasne prócz jednego: możliwości transportu. Zweiling nie miał samochodu, za to Kluttig miał. Już dawno Hortense myślała o tym, by zjednać sobie tego dziarskiego hauptsturmführera. Ten by na pewno zabrał jej

bagaż. To był w ogóle facet zupełnie inny niż jej oklapły mąż. Czasem na wieczorkach koleżeńskich Kluttig prosił ją do tańca. Hortense kobiecym instynktem wyczuwała cichą przyjemność hauptsturmführera, kiedy przyciskał do siebie jej bujne ciało. Chętnie tuliła się do niego w czasie tańca. Poza tym jednak nic nie było między nimi. Kluttig nie miał żony. Rozwiódł się przed laty.

W odróżnieniu od innych nie miał też żadnych babskich historii. To podnosiło jeszcze jego wartość w oczach Hortense. W gruncie rzeczy była flegmatyczna, leniwa, bez namiętności. Rozczarowania małżeńskie spotęgowały jeszcze te cechy.

Tego wieczora, zanim Zweiling wrócił do domu, Hortense stała w sypialni przed lustrem i przyglądała się sobie znudzona. Walczyła z własną decyzją odwiedzenia Kluttiga. To nie było takie proste. Ostatecznie między nim a jej mężem istniała poważna różnica rangi. Różnica rangi? Hortense pogardliwie skrzywiła usta. Niedługo potrwa, a Zweiling stanie się znów tym, czym był przedtem, to jest niczym. A Kluttig? Wzruszyła obojętnie ramionami. Wiedziała, że Kluttig był przedtem właścicielem zakładu dekatyzy. W każdym razie był mężczyzną! Troska o bagaż była silniejsza od wszystkich skrupułów. Zdecydowała się pójść do Kluttiga. Obejrzała się krytycznie w zwierciadle.

Bluzka nie podobała się jej. Zmieniła ją na obcisły sweter, który szczególnie podniecająco uwydatniał jej kształty. Mizdrząc się przed lustrem burczała: - Na co trzeba się zdobyć, by ocalić trochę łachów. - Szkoda tylko, że nie może zabrać ze sobą tych ładnych mebelków.

Kluttig był w domu. Miał oddzielny domek na terenie komendantury. Ze zdumieniem wpuścił Hortense. Usiadła na podsuniętym jej krześle, zapomniawszy zdjąć płaszcz.

- Chodzi tylko o moje rzeczy. Gotthold nie ma samochodu. - Kluttig popatrzył na nią bez zrozumienia.

Hortense ulegle splotła dłonie na kolanach i spojrzała błagalnie. - Czy nie chciałby pan wziąć moich rzeczy do pańskiego wozu? Chodzi tylko o kilka walizek i skrzynek.

- Dokądże? - wystrzelił Kluttig.

Hortense bezradnie wzruszyła ramionami. Teraz Kluttig pojął. Zarechotał, wsadził ręce w kieszenie i zaczął paradować tam i z powrotem przed Hortense.

- Chodzi pani o to, że wtedy...

Hortense gorliwie skinęła głową.

Stanął przed nią na rozkraczonych nogach.

- Akcja wojskowa - powiedział ostro - akcja wojskowa nie jest przecież przeprowadzką.

Hortense westchnęła. Zupełnie nie знаła się na akcjach wojskowych.

- Pan jest jedyny, który może mi pomóc. Co mam zrobić? Gotthold nie ma przecież samochodu...

Rozpięła i zrzuciła płaszcz. Oczy Kluttiga przylepiły się do jej piersi. Ukradkiem przełknął ślinę. Hortense widziała, jak pracowały mięśnie jego twarzy. Uśmiechała się w rozterce między nadzieją a poczuciem zwycięstwa. Refleksy erotyczne, malujące się na twarzy Kluttiga, nie były wcale tak aktywne, jak by sobie tego życzyła. Widok Hortense wzbudził w Kluttigu pewne oburzenie, że ta warta grzechu kobieta dostała się temu bałwanowi Zweilingowi. Z powodzeniem mogłaby być żoną hauptsturmführera. Przysunął sobie prędko krzesło i usiadł naprzeciw Hortense.

- Czy pani jest właściwie szczęśliwa? - zapytał bez wstępu. Zafascynowana jego wzrokiem, przeraziła się.

- Nie, Herr Hauptsturmführer! Nie, zupełnie nie! Absolutnie nie!

Kluttig położył rękę na jej kolanie.

- Dobrze, zabiorę pani bagaż.

- Och, Herr Hauptsturmführer... - odurzona radością Hortense ścisnęła jego dłoń, która ześliznęła się między jej kolana. Przez krótką chwilę Kluttig miał ochotę ulec przyjemności, ale cofnął dłoń, wyprostował się i popatrzył badawczo na Hortense. Poczula, jak to ostre spojrzenie przenika ją, i przeżyła krótki wstrząs, od czego już dawno się odzwyczaiła.

- Przecież pani dobrze wie - powiedział Kluttig bez wstępu - co pani mąż zrobił z tym żydowskim dzieckiem. - Hortense przeraziła się. Otworzyła usta. Ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Kluttig syknął groźnie: - I kartkę też on pisał. - Ta nagła zmiana sytuacji tak obezwładniła Hortense, że Kluttig odgadł po jej zachowaniu zdradę Zweilinga. Wielkość tego odkrycia oszołomiła jego samego. Odrętwienie Hortense zamieniło się w okrutny strach.

- Ale ja nie mam z tym nic wspólnego...

- Oczywiście - zdecydował Kluttig, biorąc kobietę w obronę. Naraz poczuł się z nią związany. Powiedział ostro: - Za zdradę śmierć!

Hortense porwała się z płaczem.

- Na litość boską, Herr Hauptsturmführer, na litość boską!

Miała twarz rozdartą strachem. Kluttig również wstał. Stali naprzeciw siebie. Kluttigowi zdawało się, że czuje ciepło ciała Hortense. Chwycił ją za ramiona. Podczas gdy strach spalił w kobiecie wszystkie porywy seksualne, Kluttig padł teraz ich ofiarą. Przyglądał się jej beczelnie.

- Taka kobieta - powiedział nagle podniecony - taka kobieta...

Ale Hortense tego nie słyszała. Wszystko w niej drżało.

- Czy pan go zabije? - Kluttig puścił Hortense i uśmiechnął się krzywo. Strach kobiety sprawiał mu satysfakcję. Nie odpowiadał. Słowa Reinebotha o Zweilingu: "A ten tępak będzie jeszcze zadowolony, że nam pomógł rozwikłać sprawę", naprowadziły go na myśl odpowiadającą odważnym kombinacjom Reinebotha.

- Zabić go - powiedział wreszcie - to byłoby zbyt proste. Powinien swoje świństwo naprawić!

Strach Hortense zamienił się w nadzieję.

- Jak? - odważyła się zapytać. Kluttig odpowiedział prędko: - Jeżeli już zadał się z komunistami, to zna to bractwo. Nie byle jakich oczywiście, tych my też znamy. Chodzi o tych właściwych, tych z kierownictwa nielegalnej organizacji.

Hortense nie miała pojęcia o wydarzeniach w obozie. Obóz był dla niej tylko miejscem pracy jej męża. Dlatego przeraziła się na nowo: - Na litość boską, Herr Hauptsturmführer! - Oczy jej latały. Kluttig podszedł do niej blisko. Był o głowę wyższy od niej, dlatego też musiała spojrzeć na niego do góry. Popatrzył w niespokojne oczy i fala pożądania opanowała go na nowo, ściskając krtań.

- Niech pani pogada z mężem - powiedział ochryple, starając się opanować drżenie głosu. Hortense skinęła, przerażona i posłuszna. Zapięła płaszcz i zwróciła się do wyjścia. Kluttig przytrzymał ją szorstko za ramiona. W przekonaniu, że chce jej jeszcze powiedzieć coś ważnego, Hortense spojrzała na niego pytająco, ale w rysach wyczytała jedynie nagą żądzę.

- Puść go kantem! - stęknął Kluttig. - Wasze rzeczy zabiorę - przyrzekał jej. Hortense pragnęła tylko wyjść stąd jak najszybciej. Zmysłowość mężczyzny, na którą jeszcze przed chwilą stawiała, zaczęła ją nagle mierzić.

Gdy wyszła, Kluttig opadł na krzesło. Oddychając ciężko, otarł twarz. Podniecenie drżało mu jeszcze w gardle.

W tej samej godzinie, gdy Hortense była u Kluttiga, Zweiling

Znajdował się w pokoju służbowym Reinebotha. Reineboth wydawał się być w świetnym humorze.

- No, mój drogi - przyjął Zweilinga - miałeś pecha z tym twoim kapo.

Uśmiechał się przy tym zarozumiale. Zweiling przyjął to za dobry znak i spróbował ostrożnie wtrącić swoje "dobre słówko" w obronie Hófla. Reineboth z ubolewaniem pokręcił głową.

- To głupia historia. Niestety nie chodzi tylko o Hófla, ale i o ciebie. Zweiling nastawił uszu.

- Co ja mam z tym wspólnego? - Przełknął ślinę. Reineboth obserwował go z cichym zadowoleniem.

- Ja też o to pytam - odpowiedział obłudnie, wyciągając z książki raportów kartkę Zweilinga.

- Nie mogę w to uwierzyć... - Zweiling przeraził się, natychmiast poznał kartkę. Reineboth westchnął współczująco, dręczenie Zweilinga sprawiało mu przyjemność.

- Poglaskaliśmy Hófla i tego Polaka, jak mu tam, no i wtedy... - Reineboth zmrużył oko, nadając niedomówieniu określoną treść:

- Krótko mówiąc, ci dwaj zwalają na ciebie całą winę. Zweiling ledwo panował nad sobą, ale aby się nie zdradzić, zastąpił odruch strachu niedbałym machnięciem dłoni.

- To przecież tylko zemsta!

Reineboth odchylił się w krześle i oparł wyciągnięte ręce o kant stołu.

- Ja też tak sobie mówię.

Zrobił małą przerwę, znacząco bawiąc się karteluszkami. Zweiling podjął małą próbę usprawiedliwienia się.

- Nie sądzisz chyba, że ja...

- Ja nic nie sądzę - uciął Reineboth - sprawa nie jest zupełnie czysta. Kilka drobnostek. Na przykład ta kartka.

Reineboth niedbale rzucił paperek Zweilingowi. Hauptscharführer usiłował udawać zdumienie, ale Reineboth przejrzał grę. Był coraz pewniejszy swojej sprawy.

Tego nie pisał nikt z twojej komanda. Zweilingowi robiło się coraz bardziej duszno.

- Skąd wiesz o tym? - odważył się zapytać. Reineboth przybrał uśmiezek wtajemniczonego, wziął kartkę, złożył ją i wetknął do kieszeni, dręcząc Zweilinga powolnością swych ruchów. Zweilingowi zaś brakło zręczności na odparowanie ciosu. Dlatego milczenie zamieniło się w przesłuchanie i przyznanie jednocześnie. Reineboth wiedział już dość. Delektując się sukcesem, rozparł się w krześle, wetknął palec w dziurkę od guzika i postukał palcami.

- Taak, mój drogi...

Zweiling zbladł. Jak tonący próbował się jeszcze utrzymać na powierzchni.

- Kto potrafi udowodnić, że ja... Reineboth szybko pochylił się.

- A jak udowodnisz, że nie ty?

Skrzyżowały się ich spojrzenia. Zaraz potem Reineboth przyjaźnie skrzywił twarz.

- Jestem przekonany, że ty z całą tą historią nie masz nic wspólnego.

Było to wprowadzenie w błąd i Zweiling powinien to tak zrozumieć.

- Tymczasem tylko Kluttig i ja wiemy coś bliższego. - Uśmiechnął się i pogroził palcem. - Tymczasem! Ale można by też powiedzieć: "hauptscharführer Zweiling wdał się w tę historię z żydowskim bękartem po to, by wpaść na ślad nielegalnej organizacji..." można by nawet powiedzieć, że hauptscharführer działał w myśl tajnego polecenia... - Reineboth potarł palcem podbródek. - To wszystko można by powiedzieć...

W tym momencie Zweiling odzyskał mowę.

- Ale... ja ich przecież wcale nie znam... Reineboth wskazał na niego palcem.

- Widzisz, co do tego, nie mam jeszcze pewności. Jestem uczciwy, mój drogi, i mówię ci o tym.

Zweiling chciał go przekonać, ale Reineboth napadł na niego.

Nie pleć teraz bzdur, Zweiling! Tu chodzi o twoją głowę! Jest za pięć dwunasta! Nie udawaj przede mną! Zweiling był zupełnie bezradny.

- Jakże ja mam...

Reineboth podniósł się. Zapodziała się gdzieś cała jego gładkość. Zimno i groźnie fuknął na Zweilinga.

- Jak z tego wybrniesz: twoja sprawa! Kombinowałeś z komuną. Jak daleko w to wlałeś: twoja sprawa! Jak wyciągniesz łeb z pętli: twoja sprawa! Wszystko jest twoja sprawa. Kapujesz? My chcemy wiedzieć, kto za tym tkwi. Kogo znasz?

Oczy Zweilinga błądziły.

- Znam Hófla i Kropińskiego.

- Kogo jeszcze?

- Znam Pippiga.

- Pippig, dobrze. Kogo jeszcze?

Zweiling podniósł bezradnie ramiona i wymienił na chybił trafił.

- Znam Kramera.

- Kramera też znasz, oczywiście - ironizował Reineboth. - Niestety, tych znamy sami, potrzebujemy innych.

- Jakich innych?

Reineboth rąbnął pięścią w stół, ale natychmiast opanował się. Wyprostował się, obciągnął mundur i powiedział układnie:

- Termin jest krótki. Postaraj się, mój drogi...

Zupełnie rozstrojony wrócił Zweiling do domu.;

- Człowieku, wiesz, że cię chcą wykończyć? - powitała go; Hortense.

Zweiling opadł na krzesło wyczerpany i rozpiął mundur pod szyją.

- Mam im wskazać tajną organizację.

- Więc zrób to - nalegała Hortense.

- Przecież nie znam żadnego z nich!

Hortense skrzyżowała ramiona na piersi.

- Wszystko zaczęło się od tego przekłętego żydowskiego bękarta. Powinieneś go być zabić. Zweiling wiał się zrozpaczony.

- Kogo mam wskazać? Hortense syknęła.

- Tego ja przecież nie wiem. Ty znasz tych łajdaków w lagrze, a nie ja.

- A jeżeli wskażę nie tych, co trzeba? Zaśmiała się ironicznie.

- Cóż to nas obchodzi? Ratuj swoją głowę! Zweiling przejechał ręką po szyi.

Tej nocy nie spał, myślał godzinami. Obok w łóżku spała jego żona. I ona często rzucała się we śnie.

Z dnia na dzień pojawił się w komandzie Effektenkammer nowy więzień. Rzekomo jako zastępstwo za dwóch aresztowanych. Okoliczności, w których nowy przybył do komanda, wydawały się nie tylko Pippigowi, ale i pozostałym podejrzane. Nie zdarzało się, by do któregoś z ważniejszych komand w lagrze: na rewir, do Effektenkammer, do Arbeitsstatistik albo do szrajbsztuby, przybywał nowy bez uprzedniego sprawdzenia przez odpowiedzialnych więźniów z Arbeitsstatistik i szrajbsztuby, że jest to pewny człowiek. W systemie samorządu więźniarskiego istniał zwyczaj, że ci więźniowie właśnie przekazywali kandydatury arbedsdienstfuhrerowi. SS-mańskie kierownictwo nie troszczyło się o przyczyny takiego czy innego skierowania. Im chodziło tylko o to, żeby w lagrze "wszystko klapowało", bo sami ani potrafili, ani chcieli kierować tym skomplikowanym aparatem zarządzania. To wygodnictwo przywódców SS zostało wykorzystane przez odpowiedzialnych ludzi spośród więźniów po to, by w ciągu lat stworzyć w obozie pewny zespół więźniów funkcyjnych. Dlatego też nieoczekiwane pojawienie się nowego w Effektenkammer nastroiło więźniów tego komanda podejrzliwie. Zweiling oświadczył, że nowego przysłał mu arbedsdienstfuhrer, a poza tym - zmrużył poufnie oko do stojącego przed nim w pokoju służbowym Pippiga - ma przecucie, że może uda mu się wydostać Hófla i Kropińskiego.

Pippig wyczuł kłamstwo i nie dał się zwieść.

- Co ten nowy ma robić? - zapytał.

- Cóż on może robić? - Zweiling odpowiedział takim tonem, jak gdyby i jemu ten przybysz był niemiły. Nowy miał winkiel politycznego, ale nikt w komandzie nie znał go. Skąd się wziął?

Pippigowi nie dawało to spokoju. Pod jakimś pretekstem wyrwał się z komanda i pośpieszył wzburzony do Kramera.

- Mamy nowego. Coś z nim nie jest w porządku!

Kramer kazał Próllovi przynieść z kartoteki kartę Wuracha, tak nazywał się ten nowy. Karta nic nie mówiła. Wurach, Maksymilian, były żołnierz Wehrmachtu, od dwóch lat więziony. Przyczyn aresztowania kartoteka nie podawała. "Na pewno okradał kolegów" - domyślał się Kramer.

Przed kilkoma miesiącami Wurach jako pojedynczy więzień przybył transportem z Sachsenhausen do Buchenwaldu.

To wynikało z karty. Pojedynczy na transport?

Przed paroma miesiącami w Sachsenhausen zakapowano i rozstrzelano grupę więźniów politycznych... Opowiadali o tym więźniowie, którzy przybyli z Sachsenhausen do Buchenwaldu. Pröll, Kramer i Pippig popatrzyli na siebie.

Maksymilian Wurach. Więzień z jednoosobowego transportu, przydzielony osobiście przez arbeitsdienstfuhrera - to kapuś.

- Walter, chłopie!

Kramer bez słowa oddał kartę Próllovi, który zabrał ją z powrotem do szrajbsztuby.

Pippig nie mógł się uspokoić.

- Czy ten facet ma wywachać, gdzie ukryliśmy dzieciaka? Swoim zwyczajem Kramer siedział przy stole z szeroko rozstawionymi łokciami. Wpatrywał się w podnieconą twarz Pippiga, a myśli jego wybiegały daleko poza niepokoje kolegi.

Nic groźniejszego w komandzie jak kapuś, z jego podsłuchiwaniami i zasadzkami.

Pierwsza myśl Kramera dotyczyła pistoletów. Narastające w nim niemiłe uczucie - wietrzył niebezpieczeństwo - skojarzyło broń z kapusiem. Nurtowało go to. Jakie zadanie miał kapuś? Naraz worki wydały się Kramerowi nie dość pewne. Trzeba stamtąd zabrać pistolety. Czy należy o tym przedtem pomówić z Bochowem? Kramer odrzucił wszelkie zastrzeżenia, dojrzała decyzja samodzielnego działania. Kramer wstał. Zauważył, że Pippig wciąż jeszcze do niego mówi. Przerwał mu ruchem dłoni.

- Posłuchaj mnie teraz!

Pippig zamilkł.

Kramer podszedł do drzwi, zatrzymał się na chwilę, jakby nadśluchiwał, potem zbliżył się do Pippiga i uderzył go palcem w pierś.

- Słuchaj dokładnie, co ci powiem, trzymaj gębę na kłódkę. Zrozumiałeś?

Pippig skinął na znak zgody.

Porządkując myśli Kramer wysunął dolną wargę, potem powiedział tylko:

- Trzy worki z odzieżą, zrozumiano! - Podał Pippigowi numery worków. - Wiszą na samej górze w siódmym rzędzie na wprost pierwszego okna.

Słowa Kramera nie były jasne dla Pippiga, czekał w napięciu na ciąg dalszy. Kramer na chwilę zacisnął wargi, popatrzył natarczywie na Pippiga, a potem powiedział wprost:

- Trzy pistolety! Po jednym w każdym worku. Pippiga zatkało, ale nie okazał zdumienia.

- Tak, dobrze - powiedział tylko.

- Muszą stamtąd zniknąć, rozumiesz?

Pippig przełknął ślinę w milczeniu, tylko grdyka mu się ruszała "To przecież... chłopie... chłopie..." Nagle przyszło mu na myśl wahanie Hófla w sprawie dziecka i zawstydził się; posądził go wtedy o tchórzostwo. Teraz wszystko było jasne. Kramer naciskał na niego:

- Musisz znaleźć lepszą skrytkę. Rozejrzyj się u was na komandzie. Zawiadom mnie natychmiast, jak coś znajdziesz.

Pippig był zbyt oszołomiony, by coś jeszcze powiedzieć. Skinął tylko głową i mocno uściskał rękę Kramera. Było to przyrzeczenie.

Potem wrócił na Effektenkammer.

Oddychał pełną piersią. Patrzył teraz na obóz i na ludzi innymi oczami. Ustawione w kształcie łuku rzędy niskich baraków nie wyglądały już, jakby tuliły się bojaźliwie do ziemi. Ponad te drewniaki wznosił się wysoki kamienny budynek Effektenkammer. Tam była ukryta broń. Dopiero teraz w pełni uświadomił sobie Pippig ten niesłychany fakt. Aż poczuł ucisk w sercu. Wstrząsnęło nim istnienie niewidocznej, wszechobecnej siły i napełniło nie znaną dotychczas radością.

Broń!

Mijał jakiegoś blockfijhrera. Musiał przed nim zdjąć czapkę. Zrobił to z przyzwyczajenia. Nie wolno było przy tym patrzeć na SS-mana. Również umundurowany nie zaszczylił więźnia spojrzeniem. To gównem dla niego nie istniało.

Z zawziętą radością Pippig zerwał czapkę z głowy. Było to nieme wyzwanie. "Moja głowa, no nie?" Jeszcze nigdy ten mały zecer z Drezna, o nieco krzywych nogach, nie

odczuwał takiego zadośćuczynienia jak w tej chwili.”Moja głowa - możesz na tym polegać - moja głowa”.

Blockführer minął go. Pippig klapnął czapkę z powrotem na głowę.”No, jasne, moja głowa...” Serce skakało. Nagle jednak przeniknął go strach, aż zrobiło mu się gorąco. Zobaczył w myśli nowego szperającego w workach z odzieżą.

Ruszył galopem. Bez tchu wpadł do biura. Więźniowie obstąpili go niecierpliwie.

- Gdzie byłeś? Od pół godziny ten nowy siedzi u Zweilinga. Co oni ze sobą mają?

Rosę burknął: - Wkrótce wsadzą nas wszystkich razem do bunkra. Najlepiej nie mieszajcie się do tego!

Pippig prychnął na niego: - Za tamtą historię ja jestem odpowiedzialny, sam, rozumiesz. Zostaw łaskawie innych w spokoju.

Rosę zaatakował: - A więc z twojego powodu pójdziemy wszyscy do komina.

Pippig rozzłościł się. - Jeżeli chodzi o mnie, możesz iść już dziś, a nie jutro.

Więźniowie załagodzili rozpoczynając się kłótnię.

Pippig wyszedł rozzłoszczony z biura. Rzucił okiem na pokój Zweilinga. Nowy stał na baczność przed biurkiem.

Magazyn był pusty.

Od niechcenia Pippig szedł wzdłuż długich szeregów worków z odzieżą. Tu gdzieś w środku musiało to być. Pippig przeszukał rzędy. Worki wisiały w dwóch rzędach, do górnych można było się dostać tylko przy pomocy drabiny. W siódmym rzędzie, na wprost okna - tak to opisał Kramer. Tam na górze? Pippig rozpoznał numery wyraźnie namalowane na workach. Wdrapał się na górę po drabinie, pomacał worki - nic. Wydało mu się, że wskazany worek zawiera to samo, co pozostałe: ubranie, płaszcz, bieliznę, buty... Pomacał wszystkie trzy. Nic.

Ale zwrócił uwagę, że każdy z tych worków zawiera buty z cholewami. Gdy ważył je w ręku, jeden z butów za każdym razem wydawał mu się cięższy. Pippig odstawił drabinę na miejsce i odetchnął głęboko. Odczuł, jak suche jest pomieszczenie, i wciągnął zapach naftaliny.

Wskutek nalegań Zweilinga arbeitsdienstführer przydzielił mu Wuracha. Zweiling łamał sobie głowę, szukając wyjścia z sytuacji. W jaką się wpakował kabałę? Teraz doszło do tego, że podejrzewają go zarówno SS-mani, jak i więźniowie. Ale przede wszystkim musiał oczyścić się przed Reinebothem - wszystko jedno, za jaką cenę. Nawet gdyby trzeba było poświęcić setkę więźniów, to było mu obojętne. Ale czy mógł podać byle jakie nazwiska, na chybił trafił? Reineboth posądzi go o wprowadzenie w błąd i tym bardziej będzie go uważał

za zdrajcę. Mimo woli Hortense podsunęła mu myśl, która mogła się okazać użyteczna. Skarciła go ze złością: "Teraz siedzisz na dwóch stołkach! To dopiero mężczyzna! I to chce być SS-manem? Postaraj się teraz wyleźć z tego bajzlu. Przecież masz w lagrze dosyć tałatajstwa. Mogą ci pomóc znaleźć właściwe nazwiska". Wtedy Zweiling przypomniał sobie Wuracha. "Na górze" mówiono o nim, gdy dostarczono go do lagru.

Wuracha posłano na transport do Buchenwaldu, by uszedł zemsty więźniów z Sachsenhausen za to, że kapował. Arbeitsdienstführer kaprysił:

- Dlaczego akurat ten?

- Wiesz przecież, co się u mnie stało - odpowiedział Zweiling. Reszta to była tylko formalność. Tak więc Wurach stanął przed Zweilingiem. SS-man obserwował więźnia.

Krępa postać ze zbyt wielką głową; na szerokiej twarzy o wiele za mały nos wyglądał jak guzik - typ zabijaki!

- Były żołnierz?

- Tak jest, hauptscharführer!

- A co pan zbroił? - Zweiling wysunął język na dolną wargę. Wurachowi sprawiło wyraźną przykrość wspomnienie "tamtej" historii, usiłował dać wymijającą odpowiedź.

- Zdarzyło mi się zrobić głupstwo.

- Kradzież u kolegów, co?

Wurach popatrzył na Zweilinga jak pies, który nie dowierza swojemu panu. SS-man podsunął mu paczkę papierosów, a gdy więzień wzdragał się, zachęcił go do wzięcia.

- No, niech już pan bierze... Wurach prędko schował paczkę.

- W Sachsenhausen odwaliliście dobrą robotę - kontynuował Zweiling rozmowę. Wurach, który po owej dobrej robocie liczył na zwolnienie, nie ukrywał teraz swego rozczarowania. Wzruszył ramionami.

- I co mam z tego? - powiedział z bezradną złością.

- Postaram się wam o zwolnienie.

Wurach okazał zainteresowanie. Zweiling sypał aluzjami: - Nasz komendant to porządny chłop. Potrafi się odwdziżyć... Zaciekawiony Wurach zapytał: - Pan sądzi, że ja...

- Nie darmo wziąłem was na moje komando - podsycił Zweiling nadzieję. - Oczywiście muszę przedtem mieć coś w ręku, sam pan to rozumie.

Wurach skinął, zaczynał rozumieć.

- Przecież wie pan, co się tutaj stało? - Zweiling wyciągnął szyję, by wyjrzeć przez okienko. A gdy przekonał się, że nikt ich nie obserwuje, kontynuował: - Bo i u nas coś brzydko pachnie. Mamy tutaj, tak jak u was w Sachsenhausen, podziemie, rozumiecie?

Musimy do nich dotrzeć. To jest tajne polecenie. Osobiście od komendanta, rozumiecie? Przecież macie doświadczenie?

Zweiling wyszczerzył zęby. Wurach zastanawiał się. Haupt-scharführer nadal go badał.

- Jeżeli uda nam się znaleźć sprężynę, to będę mógł zameldować komendantowi:”To więzień Wurach mi...” - no więc, ale muszę przedtem mieć coś w ręku.

Wurach mlasnął wargami.

- Oczywiście znam wielu. Byłem przedtem w komandzie dezynfekcji i z nimi docierałem wszędzie...

- No, właśnie - przerwał mu żywo Zweiling. Wurach przechylił głowę.

- Ale czy to ci, o których chodzi?

- Właśnie tego trzeba się dowiedzieć. W moim komandzie na pewno jest kilku z tej ferajny. Wurach z zakłopotaniem pokiwał głową.

- To nie można tak prędko, muszę się zastanowić.

- Niech się pan zastanowi. Zastanów się, człowieku! - Zweiling wstał.

- Przedstawię was teraz Pippigowi. On na pewno też do nich należy. A my obaj nie mamy ze sobą nic wspólnego. - Tę śpiewkę Wurach znał. Na jego ustach pojawił się skryty uśmieszek. Zweiling wezwał Pippiga. Wskazał palcem na Wuracha.

Wymacałem trochę faceta. Zabierz go do kancelarii i sam mu się jeszcze dokładniej przyjrzyj. Jeżeli będzie kantował, wyleci. Złodziejasków nam tutaj nie potrzeba.

Nikt z więźniów prócz Rosego nie podniósł głowy, gdy Pippig zjawił się z nowym w kancelarii. Wurach odczuwał odpychający chłód. Tu trzeba będzie być ostrożnym.”Gdzie podziąć pistolety?” Pippig łamał sobie głowę.

Przez całe popołudnie, udając, że jest bardzo zajęty, szukał odpowiedniego schowka. Oglądał cały magazyn, od podłogi do sufitu.”Gdzie to schować, gdzie je podziąć?” Żadne miejsce nie wydawało mu się odpowiednie. Do pioruna!

Przez okno widział Zweilinga siedzącego leniwie za biurkiem.

„Buurko - myślał Pippig z pogardą. - Tak jak gdyby on kiedykolwiek pisał coś przy tym biurku, prócz nabazgrołonego podpisu pod meldunkiem o stanie komanda. A buurko ma jak generalny dyrektor”.

Nagle zmienił się wyraz oczu małego zecera. Twarz wyrażała napięcie. Wpadł na pomysł, znalazł właściwy schowek.

Zweiling, jak zazwyczaj, opuścił komando po apelu wieczornym, a więźniowie pracowali dalej, niemal aż do gwizdka na noc.

Pippig przejął funkcję aresztowanego Hófla: zamykanie komando na klucz i oddawanie klucza wartownikowi przy bramie. Ta korzystna okoliczność była ważna ze względu na plan Pippiga.

Jeżeli nie przeszkodzi mu Zweiling, tak jak wówczas, gdy zabierali stąd dzieciaka, wszystko powinno klapować.

Tym razem poszło dobrze. Zweiling wyszedł. Na pół godziny przed gwizdkiem na noc komando opuściło magazyn. Pippig zamknął drzwi. Dwa razy szczęknął zamek. Ale był to tylko zręczny manewr. W rzeczywistości drzwi pozostały otwarte. Pippig oddał klucz przy bramie.

Było ciemno. Porozumienie się z blokowym - to był dla Pippiga drobiazg.

- Uważaj, Maks, dziś w nocy nie będę spał na bloku, pozostaję w magazynie.

Co prawda blokowy burknął dobrodusznie:

Co znowu kombinujesz, stary cwaniaku? Ale Pippig czmychnął.

Effektenkammer mieściła się z boku, w kompleksie budynków, w których była kuchnia, pralnia, dezynfekcja i łaźnia. Pippig musiał zręcznie lawirować po uliczkach, by nie zobaczył go jakiś spóźniony SS-man, teraz dopiero opuszczający obóz. Potem pod ochroną ciemnych budynków poczuł się już bezpieczny. Cicho odemknął drzwi, wśliznął się do środka...

W ciemnym magazynie przeczekał chwilę, chowając się na wszelki wypadek w kącie za stosem rzeczy, który chronił niegdyś dzieciaka. Nie padało dzisiaj, nie było wiatru, a na czystym niebie jaśniał księżyc w pełni. Wkrótce Pippig usłyszał przenikliwy gwizd lageraltestera. Powtarzał się z różnych miejsc, bliżej, dalej... Potem obóz okryła ciemna zasłona milczenia...

Pippig czekał. Godzinę, dwie... Nie miał zegarka. Mierzył czas na wyczucie. Gdy zdawało mu się, że jest już północ i cisza w budynku zapewnia bezpieczeństwo, Pippig opuścił kryjówkę. Z kancelarii przyniósł młotek, cęgi i dłuto. Narzędzi było tam sporo. Następnie prześliznął się do pokoju Zweilinga. Już przedtem przemyślał sobie kolejność działania, a teraz realizował je dokładnie. Najpierw uniósł ciężkie biurko i ostrożnie odsunął je na bok. Potem odwinął zniszczony dywan, dokładnie sprawdzając położenie każdego przedmiotu. Zweiling nie powinien zauważyć, że ktoś ruszał coś przy jego biurku.

Następnie Pippig przystąpił do najbardziej trudnej i mozolnej części pracy. Musiał z odkrytej części podłogi wyważyć metrową deskę. W bladym nocnym świetle obmacywał palcami i wypatrywał z wytężeniem miejsca, w których tkwiły gwoździe. Głęboko były wbite! Tego nie wziął pod uwagę.

„Byle teraz nie poddać się zdenerwowaniu! Moja w tym głowa...” - myślał.

Obmacał deski na szerokość i długość odpowiadające rozmiarom biurka. Główka jednego z gwoździ nieco wystawała. Za mało jednak, by można ją było uchwycić obcęgami. Spróbował dłutem. Nie chwyciło, ślizgając się nad powierzchnią główki.

„Spokój, Rudi, spokój! Tylko nie uszkodzić drzewa! Myśleć o wszystkim!”

Obmacywał żelazem główkę gwoździa. Skupiony, badał, czy nie trafi na opór. Gdzieś musi wreszcie chwycić. Nie ma przecież na świecie gwoździa, którego główka nie skrzywiłaby się nieco w drzewie. Byle tylko móc wsunąć żelazo pod główkę, choćby na ułamek milimetra. Była to precyzyjna praca narzędzia, mięśni i nerwów. Żelazo jak gdyby nieco chwyciło. Przy pomocy leciutkich szarpnięć. Pippig usiłował podważyć gwóźdź. Męczył się bardzo długo, aż wreszcie poszło. Niezwykle ostrożnie udało mu się na tyle odgiąć brzeg główki gwoździa, że mógł ją chwycić obcęgami. Ale i tym razem narzędziem musiał się posługiwać delikatnie, unikać użycia siły, aby nie pozostawić na desce śladów. Krążył obcęgami wokół główki, a gdy wreszcie uchwycił ją pewnie, podłożył czapkę pod narzędzie i miękkimi ruchami, milimetr po milimetrze, wyciągnął gwóźdź.

Nareszcie!

Trzeba było wydostać jeszcze pięć gwoździ. Ale to była już zabawa w porównaniu z pierwszym. Dłuto posłużyło mu za dźwignię pod rozluźnioną deską. Ostrożnie, stale używając czapki jako podkładki, wydostał wreszcie deskę i unióśł ją. Pippig pracował niegdyś w obozowym komandzie budowlanym i dlatego wiedział, że pod deskami podłogi jest tylko szlaka. Teraz wszystko postępowało szybko naprzód. Zgarnął szlakę pod podłogę, prześliznął się do sali z ubraniami, ustawił drabinę i ściągnął worki. Dotychczas był spokojny. Gdy jednak przeszukując worki, wsadził rękę do cholew butów, ogarnął go nerwowy pośpiech. Spokój, do diabła, spokój! Nie potrafił jednak opanować nerwowego drżenia, które go ogarnęło, gdy namacał na dnie buta coś obcego i tajemniczego, owiniętego w szmaty. Pippig sięgnął i gdy uczuł w dłoni broń, coś nim wstrząsnęło. Wyciągnął pistolet. Dłoń ważyła ciężar. Tylko na chwilę Pippig uległ odrętwieniu. Szybko wyciągnął pozostałe pistolety, związał worki, powiesił je na miejsce, odstawił drabinę i podążył ze swoim skarbem z powrotem do pokoju Zweilinga.

Nie tracił czasu na rozwinięcie szmat dla obejrzenia broni. Szybko ukrył pistolety w przygotowanym miejscu, jak gdyby każda chwila, w której nie pozostawały w ukryciu, była świętokradztwem. W chwili gdy zamierzał właśnie wsunąć deskę na miejsce, przejął go okrutny strach.

Coś zatrzeszczało.

Pippig wyraźnie usłyszał, jak drzwi otwierają się cicho i zamykają ponownie.

Przez chwilę panowała cisza.

Potem dał się słyszeć odgłos ostrożnych kroków. Pippig wciąż jeszcze klęczał z deską w rękę nad otworem. Wszystkie jego zmysły zamarły w napięciu, skupione wokół grożącego mu niebezpieczeństwa. Zimna kropla potu spłynęła mu po piersi, przejmując dreszczem. Kroki zbliżały się z nieubłaganą konsekwencją, ucichły przed półotwartymi drzwiami pokoju. Oddech Pippiga był coraz krótszy i ustał zupełnie, gdy drzwi otworzyły się i dwie postacie wkroczyły w ciemność pokoju. Byli to Muller i Brendel z lager-schutzu. Przypadkowo, przy obchodzie, nacisnęli klamkę drzwi Effektenkammer.

- Co tu robisz? - zapytał Brendel ponuro. Pippig otworzył usta, ale oszołomienie zdławiło odpowiedź. Brendel i Muller podeszli bliżej. Pochylili się nad otworem. W ciemności widać było tylko zarys przedmiotów. Brendel sięgnął po nie.

Wtedy Pippig obudził się z odrętwienia. Pchnął Brendla mocno w pierś.

- Precz z łapami!

Ale i Muller sięgnął po przedmiot i oto teraz obaj zdumieni trzymali w dłoni po pistolecie.

- Skąd masz te maszynki? Pippig skoczył.

- To was nie obchodzi!

Mocny Brendel trzymał już Pippiga.

- Skąd? Powiedz! - Chwila była krytyczna. Miiller rozdzielił ich.

Z nami możesz rozmawiać, Rudi! Jeżeli nie jesteś łajdakiem, który chce nas wykiwać, powiedz, co ty tu...

- Łajdakiem? Masz chyba bzika - oburzył się Pippig - przecież sami domyślacie się, o co chodzi. Jesteśmy w kłopotcie. To maszynki Hofla. Jeżeli już je zobaczyliście, nie gadajcie na próżno, ale pomóżcie mi je zamelinować.

Więźniowie z lagerschutzu popatrzyli na siebie. Hofel był ich instruktorem i zrozumieli natychmiast związki przyczynowe. Ich początkowe niedowierzenie było raczej wynikiem chwilowego zaskoczenia aniżeli nieufnością do Pippiga, którego znali od wielu lat jako dobrego i niezawodnego kumpla. Wykształcony w ciągu długich lat więzienia instynkt pozwalał im również w nieprzewidzianych sytuacjach odróżniać prawdę od fałszu i postępować właściwie. Bez wahania więc pomogli Pippigowi ukryć pistolety. Brendel dziwił się tylko miejscu skrytki.

- Chłopie - szeptał - skąd wpadłeś na pomysł ukrycia tego akurat pod biurkiem Zweilinga?

Pippig odpowiedział cicho: - Bo dupa scharffhiera jest wciąż jeszcze najpewniejszą przykrywką na schowku. Jeżeli mieliby u nas filcować, to tutaj nie będą szukali.

Ta niezbita logika zdumiała Brendla.

- Rudi, ty jesteś geniusz...

- Nie gadaj! - odpowiedział Pippig przyjemnie połączony.

Pustą przestrzeń między pistoletami wypełnili szlaką. Zanim nakryli skrytkę, Pippig odliczył deski od szczytowej ściany pokoju, stwierdzając, że pistolety leżą pod jedenastą. Starając się unikać hałasu, przybili deskę.

Pippig nakładał czapkę na gwoździe, tłumiąc tym samym odgłos uderzeń młotka. Zanim położyli dywan, usunęli wszelkie ślady roboty. Potem razem ustawili biurko na miejscu. Pippig zapamiętał sobie wzór dywanu. Błady blask księżyca pozwolił im się przekonać, że wszystko jest tak, jak przedtem. Teraz zaniepokoiła Pippiga myśl o zachowaniu tajemnicy, toteż zwrócił się do współtowarzyszy:

- Koledzy, będziecie trzymali gębę, prawda?

Gdyby mogli mu wyjaśnić, czym lagerschutz był w rzeczywistości? Ale tak mogli go tylko poklepać uspokajająco po ramieniu:

- Nic się nie bój, mały, wiemy, co robić. Cicho, tak jak przyszli, tak też zniknęli.

Pippig sprzątnął narzędzia i ukrył się w kącie, oczekując poranka. Spać nie mógł. Przykucnął na paru przygotowanych z góry starych płaszczach, objawszy ramionami podciągnięte kolana.

Te trzy pistolety na pewno nie były jedyną bronią w obozie. Wprawdzie poczucie dyscypliny hamowało jego ciekawość, ale chętnie dowiedziałby się teraz nieco więcej o tych tajemnicach. O tym, że istniało coś takiego, jak podziemne kierownictwo - wiedział, ale co było poza tym? Pippig wcisnął brodę w kolana. "Do diabła, Rudi! Latami już tkwisz w tym piekle, biedny bity psiak wśród biednych bitych psów. Wyobrażasz sobie, że to tak czy inaczej się kiedyś jednak skończy. A co wyobrażałeś sobie przez to "tak czy inaczej", ty frajerze?" Nieuchronny los zbliżał ich do końca. Czyż nie był rzeczywiście bitym psiakiem? Siedział teraz skulony w kącie i stwierdzał ku swemu zdumieniu, że inni, których uważał za takie same biedne psy, już dawno złamali różgi na kolanie i to "tak czy inaczej" dawno zamienili na "albo - albo"?

Ta świadomość miała gorzki smak. Czemu nie należy do tych, do których należał Hófel? Czy nie dowierzano mu dlatego, że był mały i miał krzywe nogi? Kogo z nich znał? Nikogo!

Czy Kramer był jednym z nich? Na pewno!

„Jutro - postanowił Pippig - porozmawiam z nim. Nie chcę już więcej być biednym psiakiem”.

Poranek był jeszcze ciemny jak noc, gdy Pippig po gwizdku opuścił Effektenkammer. Na uliczkach między blokami panowało już życie. Ze wszystkich bloków spieszyli w stronę kuchni blokowi, by przytaskać duże kotły z poranną kawą.

Na bloku nie zauważono nieobecności Pippiga. W pomieszczeniu sypialnym więźniowie ślali łóżka. Gdy Pippig wszedł, sąsiad zapytał go, gdzie był w nocy.

U dziewczynki - odpowiedział sucho Pippig tonem wykluczającym dalsze pytania.

Tymczasem informacja o wydarzeniach nocy niepostrzeżenie dotarła do Bochowa. Zaraz po porannym gwizdku łącznik Dochowa otrzymał meldunek za pośrednictwem kapo lagerschutzu. W porannych ciemnościach odbyła się przed blokiem krótka rozmowa, prowadzona szeptem. Początkowo Bochow miał pretensje do Kramera za jego samodzielność. Ponieważ jednak tymczasem dowiedział się, że w komandzie Effektenkammer znajduje się niepewny element, uznał zmianę schowka za uzasadnioną. Musiał też przyznać, że Pippig postąpił wyjątkowo chytrze. Łącznik przekazał dosłownie argumentację Pippiga: „Dupa scharführera jest wciąż jeszcze najpewniejszą przykrywką na schowku...” - Bochow uśmiechnął się mimo woli.

Forste wiedział już, o co chodziło z tymi dwoma w celi nr 5. Sporo dowiedział się z nocnych przesłuchań i rozmów między Reinebothem, Kluttigiem i Mandrylem. Wskutek izolacji niewiele natomiast docierało do niego z wydarzeń obozowych.

W każdym razie istniało coś takiego, jak tajna obozowa organizacja, a cela nr 5 stanowić miała kanał, którym przeniknie się do jej ukrytych dróg. To stało się dla Fórstego jasne.

Jego ojciec był wysokim urzędnikiem państwowym w Wiedniu, również on sam, Hans Albert Forste, wstąpił po ukończeniu studiów do służby państwowej. Po okupacji Austrii został wraz z ojcem aresztowany, latami całymi ciągnano go od więzienia do więzienia, aż wylądował w Buchenwaldzie. Dostał się do bunkra. Tutaj pozostał i Mandryl zrobił go kalifaktorem. W odróżnieniu od swojego poprzednika Forste nigdy nie uczestniczył w katowaniu więźniów. Nigdy też nie zaistniał żaden kontakt między nim a Mandrylem.

Forste wypełniał swoje zadania w milczeniu i posłuszenie. Żył w bunkrze jak cień. Nigdy Mandryl nie musiał go wołać, zawsze pojawiał się we właściwej chwili. Mandryl nie musiał się o nic troszczyć, zawsze wszystko było w najlepszym porządku. Tak więc z czasem przyzwyczał się do swojego cienia.

Od chwili gdy Hofel i Kropiński dostali się do bunkra i Forste nawiązał kontakt z elektrykiem, zaprzagnął pomóc obu nieszczęśliwcom. Ale co mógł zrobić?

Wiedział, że Hofel i Kropiński nie powinni - jeszcze nie! Od czasu tortury z zaworą Hofel leżał na gołym cemencie celi w gorączce. Nie tylko Kropiński, ale również i Forste obawiał się, że trawiony gorączką chory może wydać tajemnice, których dotychczas tak dzielnie strzegł. Pod pozorem pilnej roboty Forste bez przerwy prześlizgiwał się wokół celi nr 5. Reineboth, Kluttig i Mandryl byli w środku. Zagnali Kropińskiego w kąt i pochylili się ciekawie nad rozgorączkowanym Hóflem.

Chory bredził.

Skronie Hofla stały się czarnosine i niepomierne obrzmiały. Dolna szczęka drżała mu jak na mrozie, a zęby szczękały.

Mandryl stał obojętnie z boku, paląc papierosa. Kluttig pochylił się nad majaczącym, nadsluchując. Z drgających ust wydobywały się oderwane słowa, oderwane zdania. Czasami szept, mętny i gorący, czasami krzyk, jak cięcie noża.

- Ty... masz... rację... Walter... ty... masz... rację...

Hofel jęczał. Otworzył oczy, wpatrując się w próżnię i nie poznając otoczenia, kurczowo zwarł ramiona, pięści zacisnął na piersi. Nagle krzyknął:

- Partia jest tutaj... tutaj!...

Ciało wyprężyło się, twarz pociemniała, zakrzuszył się własnym oddechem, aż naraz przeraźliwy krzyk rozdarł skurcz:

- Chrrraaa... podam... podaję... przecież... nazwiska... chraaaa... ha-ha-haaa...

Krzyk zamarł w drgającej krtani. Kluttiga ogarnęło dzikie podniecenie.

- Chce podać nazwiska!

Jak gdyby mógł je wytrząsnąć z majaczącego, kopnął go z całych sił buciorem. Hófel konwulsyjnie ciskał głową na boki, ręce trzepocąc opadły, płacz wstrząsnął całym ciałem...

- Tu... tu... - kwilił - ty... masz... rację, Walter... ona... jest... tutaj... tutaj... i to dziecko... dziecko... musi je... strzec... strzec...

Tak jak wówczas, w nieopisanym bólu tortury, tak i teraz Hófel walił rękami i nogami o kamienną posadzkę. Ciało dygotało, a gwałtowny płacz przeszedł w niemowlęce kwilenie, pęcherzyki śliny pojawiły się na spieczonych wargach.

Reineboth przebierał palcami po guzikach. Kluttig wyprostował się i popatrzył pytająco na Reinebotha. Reineboth doszukiwał się sensu w gorączkowych majaczeniach.

- Partia otrzymała od Waltera polecenie, by chronić dziecko. - Reineboth zmrużył oko.

- Kapujesz, hauptsturmführer? Jeśli schwycimy dziecko, schwycimy i partię.

Szybko podszedł do kąta, podniósł Kropińskiego kopnięciem, chwycił go za pierś i zaczął niemiłosiernie walić jego głową o ścianę.

- Gdzie jest dziecko? Ty, przekłete polskie ścierwo! Gdzie jest dziecko? Jeśli nie powiesz, psie, zdechniesz jeszcze przed tamtym. Gdzie jest dziecko?

W nerwowej konsternacji skoczył z powrotem do Kluttiga. - Musimy mieć dziecko! - Popatrzył z dziką żądzą na gorączkującego Hófla.

- On nie ma prawa zdechnąć, potrzebujemy go jeszcze. Teraz to jest bezcelowe. Chodź! - wezwał Kluttiga i opuścił celę. Mandryl wyszedł za nimi na korytarz. Gdy wrócił do celi, Hófel leżał na starym sienniku, owinięty w dwa zniszczone koce. Przed chorym klęczał Forste.

Mandryla aż zatkało. Podjąwszy szybką i odważną decyzję Forste postawił wszystko na jedną kartę.

Czy Mandryl zdepcze go teraz i ściągnie śmiertelnie chorego z siennika, czy też...

- Cóż to ma znaczyć? - usłyszał za sobą skrzeczący głos Mandryla. Zdawało się, że szaleńczy skok w nieznaną uda się.

Chodziło teraz tylko o umocnienie zdobyczy. Forste podniósł się obojętnie i opuszczając celę, powiedział mimochodem:

- On nie ma prawa zdechnąć, potrzebujemy go jeszcze. I zaraz potem - przygotował to sobie już z góry - wrócił z mokrą ścierką, którą położył na gorącym czole Hófla. Forste odważył się na ten krok, chociaż nigdy jeszcze w bunkrze nie pielęgnowano aresztanta, a na pewno nie takiego, który był już przeznaczony na śmierć. Mandryl przyglądał się kalifaktorowi, zdumiony, że przy pomocy tak prymitywnych środków można utrzymać umierającego "w stanie użytkowym". Warknął krótko, co mogło oznaczać niechęć i aprobatę jednocześnie.

- Ale tylko to, co niezbędne.

- Przecież nie jesteśmy w sanatorium - odparł Forste.

Dawać tu dziecko! Kluttig chciał polecić, by przeszukano cały lager celem znalezienia dziecka. Reineboth roześmiał się.

- Człowieku! Jak ty sobie to wyobrażasz? 50 000 ludzi! Obóz to całe miasto! Czy w mieście możesz być we wszystkich miejscach naraz? Będą sobie przerzucać dziecko z rąk do rąk, a my będziemy latać jak stado baranów. Czy chcesz się jeszcze na koniec ośmieszyć? - Reineboth runął na krzesło i wetknął palec w dziurkę od guzika. - Przekłete gówno! - syknął wściekle przez zęby.

Niepokój poderwał go. Trzepnął czapką o stół.

- Co z nami będzie? Kluttig uciekł się do kpin.

- Sądziłem, że chcesz urwać się do Hiszpanii?

- Ach, Hiszpania... - zniechęcony machnął ręką. Kluttig ssał papierosa. - Nerwy nie wytrzymują?

- Nerwy nie wytrzymują - Reineboth zaśmiał się jadowicie. Nagle odwrócił się od Kluttiga i podszedł do mapy.

Przedwczoraj podano w komunikacie Wehrmachtu, że po sześciodniowych wysiłkach udało się Anglikom powiększyć przyczółek aż do Bocholt, Borken i Dorsten oraz wtargnąć do Hamborn.

Dzisiejszy poranek przyniósł nowe informacje. Twierdza Kostrzyn po ciężkich zmaganiach uległa nieprzyjacielskiej przewadze...

Bolszewicy!

Z dnia na dzień padały na zachodzie nowe miejscowości. Na północy walki toczyły się już zapewne w pobliżu Paderborn. Na południu uderzenie szło z doliny Lahnu w kierunku Treusy, Hers-feld i Fuldy.

Amerykanie!

Treysa - to była droga na Kassel. Fulda - stamtąd szło się prosto na Eisenach. Oczy Reinebotha niespokojnie przesuwają się po mapie.

- Przekłete gównno!

Gdy zwrócił się znów do Kluttiga, twarz miał jakby nieco zamazaną..

- Tak, tak, mój drogi... A nasz dyplomata przygotowuje się już do przyjęcia:”Proszę wejść, moi panowie! Proszę bardzo: Żydzi, bolszewicy, wszystko do dyspozycji panów!” - Wysunął dolną szczękę i skurczył brzydko górną wargę. - Przekłete gównno!

Nagle zmienił temat.

- Ci w bunkrze to nie ci, o których chodzi. Kluttig zapomniał podnieść papierosa do ust.

- Nie ci? Słuchaj no...

Reineboth wpadł na niego ze złością:

- Te psy nie powiedzą! Musimy jeszcze raz wycisnąć całe komando! Na pewno znajdzie się wśród nich taki, co sra w portki. To będzie właściwy!

- Chcesz znów pójść do Effektenkammer? - zapytał zdumiony Kluttig. Reineboth uczynił niespokojny gest.

- Sami nie mamy rady, nie ma czasu! Gestapo! - Słowo to wyskoczyło jak sprężynowy nóż i trafiło Kluttiga dotkliwie.

- O, to już za dużo! Wystarczy, że nakręciliśmy tę historię na własny rachunek, a teraz jeszcze gestapo? Jeżeli komendant się o tym dowie...

Reineboth porywczo zbliżył się do Kluttiga:

- I coś takiego miało samo kiedyś zostać komendantem... Jutro i tak wszyscy będziemy latali w cywilnych ubraniach, jeśli w ogóle zdążymy. Ale jak długo noszę ten mundur... - Zamilkł wyzywająco. Kluttig jeszcze raz odczuł, że nie dorósł do tego młodzieńca. Byłego właściciela zakładu dekatyzy pod mundurem hauptsturmführera obleciał strach.

- A więc dobrze - zdecydował. - Gestapo!

Mimo że więźniowie komanda Effektenkammer zdawali sobie "sprawę, że kierownictwo obozu nie traci ich z oczu i w każdej chwili przygotowani byli na nowe nieszczęścia, to jednak ponowne zjawienie się Kluttiga i Reinebotha było dla nich ciosem. Musieli natychmiast ustawić się. Nawet Zweiling był tak zmieszany ukazaniem się tej dwójki, że ze strachem czekał, co będzie. Może chodzi również o niego? W ostatnim rzędzie stał Wurach. Obserwował wydarzenia z ukrytym spokojem. Gdyby doszło do czego, miał znakomite alibi. Rosę stał w pierwszym rzędzie. Zbladł jak ściana i starał się opanować drżenie kolan. Pippig zajął miejsce Hófla. Teraz wystąpił o krok naprzód i zameldował:

- Kommando Effektenkammer angetreten!

- Nowy kapo, co? - zapytał Reineboth bezmyślnie i przeszedł myszkując wzdłuż szeregu. Kluttig szedł za nim.

Pippig głowił się nad przyczyną groźnych odwiedzin. Czyżby Hofel... Tę myśl Pippig odepchnął jak najdalej od siebie. Wurach, Zweiling? Wzrok Pippiga prześliznął się po twarzy Zweilinga, jakby chcąc z niej wyczytać związek SS-mana z tym, co się działo.

Zweiling stał równie sztywno jak więźniowie.

Reineboth szedł wzdłuż szeregów, notując w myśli więźniów, których chciał wyłuskać. W śmiertelnej ciszy słychać było tylko skrzyp jego butów. Krok... krok... krok... W milczeniu Reineboth delektował się swą potęgą. Na ustach miał lubieżny uśmiezek."Te facety srają w portki, jak nas widzą. Gdyby wiedzieli, że nam samym woda już kipi w dupie..." - myślał Reineboth, kpiąc cynicznie z siebie samego. A więzień Pippig myślał:"Wyobrażacie sobie pewnie, że się was boimy, dlatego że stoimy przed wami tak wyprostowani? Nic podobnego. Wam samym już woda kipi w dupie. Niedługo już będziecie przebierał paluszkami w dziurce od guzika, ty pętaku..."

Krok... krok... krok...

Przed Rosem Reineboth zatrzymał się. W oczach więźnia strach aż migotał. To ten właściwy?

Reineboth wyciągnął Rosego za guzik z szeregu.

- Przecież pan jest starszym, rozsądnym człowiekiem. Jak mógł się pan wdać w takie głupie historie?

- Herr Rapportfijhrer... ja... nie... nic nie wiem... na pewno nie...

Reineboth miał zabawne uczucie, jakby dygocący miotał się w powietrzu. To był ten właściwy!

- Czy pan "nie" i czy pan "nic", to się jeszcze okaże. - Reineboth odstawił Rosego na bok. Wybranego ogarnął paniczny strach.

- Herr Rapportfijhrer, ja naprawdę nie..."Jeszcze słówko, a skoczę mu do gardła" - wszystko dygotało w Pippigu. Nieoczekiwanie Reineboth odwrócił się do Rosego:

- Świnio, zamknij mordę!

To było jak eksplozja pocisku. Na następnego Reineboth skinął tylko palcem, nakazując mu bez słowa ustawić się obok Rosego. Był to Pippig. Pippig wystąpił z szeregu, stanął obok Rosego i korzystając z chwili nieuwagi SS-manów uderzył go w krzyż, z trudem opanowując gniew.

Nieoczekiwanie zjawił się na bloku 61 Kramer.

Zitkowski chciał narzucić koc na siedzące na podłodze za łózkami dziecko. Nie chciał, by lageraltester je zobaczył, ale Kramer skinął ręką.

Daj spokój, wiem o tym! - Goniec od Riomanda przyniósł butelkę mleka i parę keksów. Kramer wyciągnął je z kieszeni, chcąc dać dziecku.

Ale zawstydził się jakoś i podał je Zitkowskiemu.

- Masz! - Polak z wdzięcznością chwycił drocenne produkty. Na jego twarzy malowała się wielka radość. Ukrył skarby w łóżku, Kramer podszedł do dziecka. Popatrzyło na dużego, poważnego nęczyznę aksamitnymi oczyma ładnego, młodego zwierzęcia, które wie więcej o tajemnicach tysiącleci aniżeli człowiek.

Kramer dojrzał w tej dziecięcej twarzyczce świadomą już myśl i to nim wstrząsnęło.

Rozejrzał się po pomieszczeniu, w którego przedniej części urządzona była izba przyjęć. Prosty stół, kilka krzeseł, a na półce butelki, puszki z maściami, kilka noży i nożyczek lekarskich - minimum tego, co konieczne było do opatrywania ran.

- Gdzie ukrywasz dziecko w razie niebezpieczeństwa? Zitkowski uśmiechając się uspokajająco pokiwał głową. - Nie grozi. Oni tutaj nie przychodzić. Nie lekarz ani SS.)dziecko prędko, prędko pod łóżko. Zitkowski śmiał się. Ale Kramer podrażniony wybuchnął:

- Nie ma niebezpieczeństwa? Człowieku, masz pojęcie! Właśnie przed chwilą wywelekli pół komanda Effektenkammer! Szukają dziecka! Wystarczy, żeby tylko jeden na skutek bicia wydał kryjówkę, a przyjdą tutaj i przeszukają wszystkie kąty! Co wtedy?

No?

Zitkowski, bardzo przestraszony, zdenerwował się. Wziął dziecko na rękę i przycisnął je do siebie, jakby chciał je ochronić. Rozglądał się jak zaszczuty.

- Dokąd? - powiedział bezradnie.

- Dokąd? - krzyknął Kramer. - Zabezpieczyć! Dawno powinniście się byli o to zatroszczyć. Przecież, do diabła, dzieciak nie jest zabawką!

Zitkowski tylko półuchem słuchał wypowiedzi Kramera. Jego oczy szukały schowka. Z góry wykluczył możliwość ukrycia dziecka wśród chorych. Pozostawało tylko pomieszczenie, w którym przebywali. Ale gdzie tu znaleźć bezpieczny kąt?

Prędko przebiegał oczami wszystkie kąty, popatrzył nawet na oszalowanie dachu baraku.

- No więc, co jest? - nalegał ze złością Kramer. Zitkowski wzruszył ramionami. Nagle wpadł na pomysł. Posadził dziecko na łóżku i pobiegł do przedniej części pomieszczenia. W kącie stało duże okrągłe wiadro z cynkowej blachy.

Zitkowski przyglądał się naczyniu, a potem powiedział do Kramera:

- Tu, do środka... Podniósł pokrywę.

- Zwariowałeś? - wydobył z siebie przerażony Kramer, spoglądając na do połowy wypełniony okrwawionymi bandażami” kubel.

Ale Zitkowski przewyciężył już bezradność. Uśmiechnął się znów, zwracając Kramerowi uwagę, aby popatrzył, co będzie. ‘Potem zawołał dwóch swoich pomocników z sali chorych.

Kramer przysłuchiwał się szybkiej polszczyźnie Zitkowskiego, który mocno gestykułując dawał wskazówki swoim rodakom. Rozbiegli się. Jeden z nich bez obrzydzenia powyrzucił smrodliwe? bandaż z kubła, a drugi przybiegł po chwili ze szczotką i szmatami. Prędko miskę!

Nalali do niej środków dezynfekcyjnych, a potem wyszorowali kubel. Zitkowski tymczasem poobtlukiwał młotkiem brzegi blaszanej pokrywy. Zmniejszona w ten sposób pokrywa dawała się wepchnąć do połowy wiadra i tam utkwiała.

Zitkowski powyrzucił tymczasem bandaż, zajęły tyle miejsca, że kubel wydawał się przepełniony.

Skrytka na wypadek niebezpieczeństwa!

Znając SS, byli przekonani, że może ona węszyć we wszystkich kątach, ale szerokim, bojaźliwym łukiem obejdzie kubłą z jego wstrętą zawartością. Uznał to też Kramer i Zitkowskiemu pozostało tylko zapewnić lageraltestera, że na przyszłość zawsze jeden z jego ludzi będzie stał na warcie, by przy zbliżaniu się SS w ciągu sekundy...

- Wiesz - mówił Zitkowski rozentuzjasmowany szczęśliwym pomysłem - bandaże precz, siup dziecko do kubła, bandaże na wierzch, dobrze! - wpatrywał się przy tym z napięciem w twarz Kramera, oczekując zgody.

Kramer zrezygnowany opuścił oczy. Chyba nie było lepszej możliwości. Reszta była sprawą szczęścia. Jeżeli nie ominą kubła i zażądamy jego opróżnienia - Kramer popatrzył na otaczających go Polaków - dziecko umrze i tych trzech dzielnych ludzi wraz z nim.

Na twarzach ich zresztą malowało się skupienie, które gwarantowało, że gotowi byli w razie potrzeby pójść na śmierć. Trzy pary oczu patrzyły na niego. Trzech biednych Polaków, wyrwanych z ziemi ojczystej, stało przed nim. Ledwo znał ich nazwiska, nic o nich nie wiedział. Szaro-niebieskie pasiaki więzienne okrywały ich postacie. Wprawdzie szczecina porastała zmarszczki na ich twarzach jak mech bruzdy ziemi, wprawdzie nędza uwypukliła ich kości policzkowe, ale niezniszczalnie błyszcząły w zmęczonych twarzach tych ludzi - oczy. Śmierć i nędza nie potrafiły przytłumić ich blasku. Były jak pochodnie rzucające jeszcze światło z głębin poniżenia. Tylko strzał z pistoletu zwierzęcia w mundurze SS mógł zgasić ten blask. Ale i wtedy jeszcze gaśnienie będzie podobne do cichego zmierzchu gwiazd, a ciemność śmierci będzie łagodnym welonem, zakrywającym wieczyste piękno.

Kramer wprawdzie tak nie myślał, ale w głębi serca tak czuł.

Zitkowski skinął mu przyjaźnie. Również to proste pozdrowienie płynące z ludzkiego serca było jakby mostem, którego nikt nie potrafił zburzyć.

Kramer podszedł do kojek. Jakby z zawstyżeniem pogłaskał główkę dziecka. Nie powiedział nic. Myślał: "Biedny, mały chrabąszczu..." Przypomniał sobie pudełko z dziurkami w pokrywie, kiedy to jeszcze był chłopcem.

Jakież ciężar legł mu teraz na sercu! Zrobił dla tego dziecka wszystko, co możliwe. Ale ile pozostawało jeszcze do zrobienia!

Bo czyż dzieciak, niczego nieświadom, nie trzymał w swoich rączkach nici, na których wszystko zawisło?

Zamyślony patrzył Kramer na malca. Hófel i Kropiński poszli już z jego powodu do bunkra, z Effektenkammer wywleczono dziesięciu więźniów. Tysiąc zdecydowanych bojowników, nieznanych i nie rozpoznanych, znalazło się w niebezpieczeństwie. A teraz znów trzech wynędzniałych Polaków zdecydowało się bronić dziecka gołymi rękami.

Zadziwiająca sploty i węzły. Jakimiż błędnymi drogami przedzierało się człowieczeństwo przez piekło dzikich bestii! W każdej chwili trzeba było być przygotowanym na runięcie w jedną z przepaści. Zewsząd czyhało niebezpieczeństwo... Nie, nie było tak! Było zupełnie inaczej! Coraz większa ilość ludzi wokół dziecka nie była lawiną, która groziła pogrzebaniem wszystkiego, lecz była siecią związaną dla coraz lepszej ochrony.

Nić wiła się od wytrwałości Hofla i Kropińskiego poprzez wierność Pippiga aż do prostej gotowości tych zwyczajnych ludzi i im więcej dłoni ciągnęło nić, tym mocniejsza i bardziej nierozzerwalna stawała się sieć.

Tak było i nie inaczej! Kramer odetchnął, jak gdyby zaczerpnął świeżego powietrza. Podał rękę Zitkowskiemu.

- No, stary - mruknął z szorstką serdecznością - jakoś to będzie. Zitkowski nie miał wątpliwości.

W Małym Lagrze był tłok i krzyk. Cugangi wracające z kąpieli bezładną kupą przepychały się przez przejście w płocie z kolczastego drutu.

Wielu nie zdążyło się ubrać, przychodzili tutaj w samych spodniach z resztą łachów pod pachą. Większość trzymała w ręku niezgrabne drewniaki, utykając boso po żwirze. Prowadził ich lagerschutz. Przyjmowali nerwowi, udręczeni blokowi, nie wiedząc, jak pomieścić tę masę w i tak już przepełnionych barakach. W ten sposób ludzie wymęczeni wielotygodniowym marszem, zagubieni nowym otoczeniu, stawali się bez winy przyczyną ogólnej nerwowości. Popychano ich na wszystkie strony, tworzą wciąg nowe grupy.

Każdy z blokowych chciał mieć jak najmniej cugangów na karku dlatego też tak trudno było wprowadzić porządek. Kramer, idąc od Zitkowskiego, musiał przyjąć stanowczą postawę, głuchy na wszelkie protesty. Twardą ręką rozdzielał ludzi, nie zwracając uwagi na zagęszczenie poszczególnych bloków. Byleby zniknęli stąd! Niech już blokowi sami poradzą sobie z natłokiem.

Napływający do obozu musieli być "rozpryskani" jak woda z prysznicu, by nie powstał korek. Burcząc pod nosem, w złych humorach wracali blokowi na bloki ciągnąc za sobą przydzielone cugangi. Tu zaczynał się ścisk na nowo, nowe zdenerwowanie i krzyk tłoczących się ludzi. W barakach panował gwar i podniecenie jak w ulu podczas wyroju.

Starzy więźniowie, nauczeni doświadczeniem, wskakiwali na trzypiętrowe kojki, broniąc zdecydowanie i twardo legowisk przed niepożądanymi przybyszami. Wśród iście babilońskiej mieszaniny językowej, głusi i niemi na krzyk i szarpaninę, układali sztubowi cugangów. Mimo to tylko niewielu z nich dostało szczęścia uzyskania leżącego miejsca.

Większość pozostała ściśnięta i stłamszona w ciasnocie jak w bydlęcych wagonach. Po podłodze skakały wystraszone pchły.

Kluttig osobiście przekazał aresztowanych gestapo w Weimarze. Reineboth niecierpliwie oczekiwał powrotu lagerfihrera. Wezwał go natychmiast do swego pokoju i podał mu przyniesioną przez Zweilinga listę. Kluttig gorączkowo połykał nazwiska. Odetchnął z ulgą!

- No, nareszcie coś uchwytne! Ale czy te nazwiska się zgadzają? Reineboth potraktował pytanie jako krytykę.

- Każdy z nich może należeć do organizacji podziemnej. No więc! Co proszę? Teraz nie ma czasu bawić się w szczegóły!

Chodził nerwowo po pokoju.

- Słuchałeś ostatnich komunikatów? Idą już na Kassel. Z Kassel do Eisenach można kamieniem dorzucić. Rozumiesz, co to znaczy? - Reineboth roześmiał się hardo.

- Bądź więc zadowolony z tego, co mogę ci ofiarować.

W tych słowach Reinebotha Kluttig wyczuł naganę. No, jeżeli ten też już zaczyna się denerwować...

Kluttig jeszcze raz przejrzał listę. Na pierwszym miejscu figurowało na niej nazwisko Kramera. Po nim następowały nazwiska innych, wieloletnich, dobrze znanych w lagrze więźniów. Kluttig zacisnął usta. Zastanawiał się: jeżeli przynajmniej połowa z tych nazwisk jest trafna, cios będzie skuteczny, wystarczy, by dotrzeć do trzonu organizacji. Za parę dni wydarzenia na froncie rozstrzygną o losach obozu. Naprawdę nie ma czasu na rozpytywanie i badanie. Trzeba uderzyć.

Troskliwie schował Kluttig cenną listę. Zaciśnięte wargi ułożyły się w obrzydliwą krechę.

- W ten sposób damy naszemu dyplomacie niezłego kopniaka w dupę. Jeżeli to nie chwyci, zaciągnę go jeszcze w ostatniej chwili przed sąd honorowy. - Chichocząc upadł na krzesło. - Czy nie sądzisz, że właściwie zasupłaliśmy niezgorszą sieć? Faceci z gestapo w Weimarze wyduszą już z nich dziecko. Znajdą je, możesz być pewien. To będzie atak z flanki. - Klepnął się po kieszeni, w której schował listę.

- A to będzie uderzenie frontalne. Ale - błysnął okiem do Reinebotha - co zrobimy z tymi?

Reineboth przerwał niespokojny spacer i skoczył podrażniony na Kluttiga.

- Rozwalić, człowieku! A cóż innego? Może masz ochotę oddzielić przedtem kozły od jagniąt? Do kamieniołomów z nimi i rozwalić cały ten pluton.

Kluttig niezręcznym ruchem wyzwolił grdykę spod kołnierza munduru. Reineboth zauważył:

- Co, znowu boisz się dyplomaty, co? Tak, tak, mój drogi! Kto mówi "a", ten musi też powiedzieć "b". Mogę ci tylko pomóc zawiązaniu sieci, ale ciągnąć je musisz sam. To już twoja sprawa. Ostatecznie ty jesteś lagerführerem, a nie ja, Kluttig, pomimo że się głęboko zamyślił, popatrzył na młodzieńca oczyma bez wyrazu. Wreszcie skinął głową. - Dobrze! masz rację! To moja sprawa! - Wstał. - A Hofel? Co myślisz? Czy potrzebujemy go jeszcze? Właściwie tamci wystarczą.

- Zostaw go na razie, jak również i tego Polaka - radził Reineboth - nie uciekną nam. Niech Mandryl się jeszcze trochę z nimi pobawi, może jednak coś z nich wycisnie. Wykończyć można ich jeszcze w ostatniej chwili. Zresztą zostali już przecież skreśleni...

Odważna interwencja Forstego złagodziła gorączkę stortuowanego. Mimo iż Mandryl stale trzymał celę pod kluczem, Forste potrafił na swój spokojny i zdecydowany sposób uzyskać do niej dostęp. Pod pretekstem, że po to, by umierającego utrzymać przy życiu, konieczna jest nie tylko mokra szmatka, ale i żywność, potrafił wciąż na nowo łagodzić pomrukującego Mandryla i przynosił Hóflowi ciepłe jedzenie. Jak cień kalifaktor wślizgiwał się do celi, chłodził płonące czoło gorączkującego i podawał mu rozgrzewający napój, chociaż Mandryl stał pod drzwiami. Kropiński przykucnął w kącie, przypatrując się ze wzruszeniem temu, co się działo z jego bratem. Mandryl celowo oszczędzał Hofla wychodząc z założenia, że trzeba mu pozwolić przyjść na tyle do siebie, by był znów do "użycia". Gdy zauważył jednak, że „spojrzenie więźnia się rozjaśniło, zabronił wszelkiej dalszej pomocy. Cella dla Forstego była znów zamknięta. Osiągnął jednak tyle, że wydarł umierającego śmierci. Zadziwiające, że Mandryl pozostawił w celi siennik.

Gdy Mandryl opuścił celę i zamknął drzwi, Kropiński nie ruszył się ze swego kąta. Z obawy przed SS-manem nie ważył się podejść do towarzysza. Hofel oddychał cicho, usta miał otwarte. Wreszcie wyszeptał:

Marian...

- Tak?

- Jak długo... - palce Hófla nerwowo drapały siennik. - Jak długo już jesteśmy tutaj?

W kącie wciąż jeszcze było cicho. Dopiero po chwili odpowiedział:

- Pięć dni, bracie...

Odpowiedź długo wisiała w ciszy i milczeniu samotnej celi. Wzrok Hófla skierowany był ku sufitowi, jak nieruchomy płomyk cicho palącej się świeczki.

- Pięć dni...

Hófel zaczął mrugać oczami. Płomyk jego wzroku poruszył się jak pod tchnieniem powietrza.

- Słuchaj, Marian... Tak?

- Czy ja... słyszysz, Marian?

- Tak.

- Czy ja... coś powiedziałem...? - wykrztusił Hófel.

- Nie, bracie...

- Zupełnie nic?

- Nie... ty tylko wciąż krzyczałeś.

- Czy to prawda?

- Tak.

Hófel zamknął oczy.

- A ty? Co ty?

- Ja też...

- Krzyczałeś?

- Tak.

Cisza. Nic więcej nie zostało powiedziane.

Więzień goniec wbiegł do obozu na plac apelowy. Szukał Kramera. Nie od razu go znalazł; pytał wszystkich, gdzie on się podział.

Pobiegł do Małego Lagru, potykając się na gliniastej drodze, aż wreszcie znalazł Kramera.

- Walter!

Kramer nie spodziewał się niczego dobrego. Pociągnął gońca na stronę. - Co jest? - Młody człowiek zadyszał się.

- Depesza! Tylko co ją wydostałem. - W oczach więźnia błyszczał lęk. - Ewakuacja!

Kramer przestraszył się. - Naprawdę? - Nagły strach na chwilę sparaliżował w Kramerze wszystko. Spoglądał na przestraszoną twarz młodego człowieka. Nadchodziło wielkie niebezpieczeństwo. Zbliżał się koniec.

- Co teraz? - spytał więzień.

Kramer skrzywił się nerwowo. - Odczekać - rzekł, bo nie miał żadnej innej odpowiedzi. I odkrył nagle, że nie wie, co zrobić z tym "końcem".

Należało robić wszystko inne, tylko nie "odczekiwać". Kramer dczuł bezsensowne pragnienie przytknięcia gwizdka do ust, biegnięcia na bloki i postawienia całego obozu na nogi. - ewakuacja! Ewakuacja!

By opanować zmieszanie, zapytał:

- Czy wiesz coś więcej? Młody człowiek potrząsnął głową.

- Tylko to chciałem ci powiedzieć. Tam na górze o tym teraz właśnie rozprawiają.

Kramer sapął. Wsunął ręce w kieszenie płaszcza. Tak więc to, co musiało kiedyś nadejść, stało się faktem. Ale przerażająca bezpośredniość faktu zaskoczyła go całkowicie. Chłodne opanowanie Kramera przysło. Jeszcze przed niespełną tygodniem powiedział do Schiippa:

- Za czternaście dni będziemy wolni albo martwi...

Jakież to był wtedy jeszcze pusty frazes! Teraz stał się rzeczywistością!

Kramera przeniknął dreszcz. Co stanie się z Hófflem? z Kropińskim? z tymi dziesięcioma z Effektenkammer? z Pippigiem? z dzieckiem? Jak to się skończy?

Aresztowanych zamknięto w więzieniu urządzonym przez gestapo weimarskie w stajni.

Rochus Gay z SD zabrał Kluttiga ze sobą do pokoju na pierwszym piętrze we frontowym budynku. Pokój umeblowany byle jak - parę krzeseł, stół, maszyna do pisania i brzydka szafka - sprawiał wrażenie rozpaczliwej pustki. Na parapecie okiennym nędznie wegetowała zapomniana roślina.

Na szarzałej od starości tapecie jaśniejsze miejsca ukazywały ślady dawnego wzoru w kwiatki.

Kluttig usiadł na krześle koło maszyny do pisania. Gay stał pośrodku pokoju z cygarem w ustach i głową wciśniętą w szerokie ramiona. Znoszone ubranie niedbale wisiało na jego mocnym ciele. Wsunął dłonie w kieszenie pogniecionych spodni. Podniszczony od codziennego wiązania krawat zawiązany był krzywo pod niezgrabnie skrojoną marynarką. Ochryple burknął Gay do lager-führera:

- Chciałbym wiedzieć, co wy właściwie robicie tam na waszej górze. Teraz chcecie, żebyśmy wam znaleźli małe dziecko! Nie jesteśmy przecież złoźkiem!

Wyszczrzył zęby, w których trzymał żółte cygaro.

- Chciałbym mieć wasze kłopoty...

Kluttig usiłował wyjaśnić Gayowi istotę sprawy. Niebezpieczna sytuacja na frontach nie pozwalała im zwlekać z wykryciem podziemnej organizacji komunistycznej...

Gay niecierpliwie wzruszył ramionami. Nie mógł uczynić gestu dłońmi, bo zagrzebane w kieszeniach krępowały mu ruchy.

- Przysrywacie się z tym za pięć dwunasta!

Kluttig bronił się. - Szukamy ich już od dawna...

- Wy, patałachy! - parsknął Gay pogardliwie. - Przez te wszystkie lata grzaliście sobie tam na górze dupy i prowadziliście wesołe życie. Paradowaliście jak bogowie...

Kluttig chciał coś wtrącić, ale Gay zaatakował go ostro:

- Nie gadaj! Jesteś dokładnie taki sam jak inni. - Obracał językiem cygaro w ustach. - To była przyjemna zabawa, co? Miitzen ab! Mutzen auf! I stać na baczność przed wami, tym potężniejsi czuliście się. Wy, dupy wołowe! Nie zauważyliście w waszej tępcie, jak chętnie tańczą oni przed wami na dwóch łapach. I dlatego mogli lepiej jeszcze ukryć się w swych krecich norach. No, proszę, i co teraz? Kluttig siedział jak skazaniec.

- Gdybyście przez ten cały czas byli tylko głupcami, nic bym nie mówił - kontynuował SD-man - ale żarliście, chlaliście, kurwiliście się... byliście chorzy na manię wielkości! A teraz kiedy przychodzi wam już pakować walizki, zauważyliście nagle, że komuna... - przerwał i zaczął się przyglądać zgasłemu ogarkowi cygara.

Kluttig, który odczuł te zarzuty jako gorzką niesprawiedliwość, usiłował się tłumaczyć.

- Daję ci słowo honoru, że zrobiłem wszystko... Gay zapalił niedopałek. Dym gryzł go w oczy, więc je przymrużył. Znudzony nie zwracał uwagi na zapewnienia Kluttiga.

- Opowiedz teraz, o co chodzi z tym tałatajstwem, coś je tutaj przytaskał.

Kluttig zadowolony, że ten z SD przeszedł do sprawy, opowiadał obszernie. Gay przez cały czas spacerował po pokoju z pochyloną głową, na pozór nie zainteresowany. W rzeczywistości słuchał uważnie i coś tam już kombinował.

Związek między dzieckiem a komuną musiał rzeczywiście istnieć; Kluttig nie mylił się chyba również w ocenie Pippiga i Rosego. Tak jak to Kluttig przedstawiał, pierwszy zapewne był odważniakiem, a drugi tchórzem. W Gayu obudziła się gorączka myśliwego. Podczas gdy Kluttig mówił, on myślał już o taktyce.

Rosę i Pippig!

Od tych dwóch trzeba rozpocząć kruszenie.

Kluttig zaklinał gestapowca: - Zostało nam już niewiele czasu, front zbliża się coraz bardziej - podniecony wstał z krzesła i zastąpił Gayowi drogę. Przeszkodził mu w rozmyślaniu. Gay widział zniecierpliwienie na twarzy lagerführera. Ale brak czasu nie stanowił dla Gaya przeszkody. Na odwrót, widział w tym dużą szansę odnalezienia ukrytych w lagrze śladów. Aż nazbyt często doświadczał, że człowiek postawiony między życiem a śmiercią wybiera w ostatniej chwili życie, słabnie i składa zeznania, których dotychczas upornie odmawiał. Tych dziesięciu facetów, których Kluttig mu przyprowadził, na pewno

przesiedziało już sporo lat w lagrze. Oni również wiedzieli, że zbliża się koniec. Gay zamknął oczy, by móc jeszcze precyzyjniej przemyśleć sprawę.

Któż zaryzykuje życie tuż przed końcem, jeżeli ujrzy szansę uniknięcia ostatniego wielkiego niebezpieczeństwa! Gestapowiec obracał cygaro w ustach. Niechętnym ruchem przerwał dalsze wyjaśnienia Kluttiga.

- Dobrze już, wiem, o co chodzi.

Nieco później, po odejściu Kluttiga, Gay udał się do więzienia, położonego naprzeciw. Poleciał mimo przepełnienia opróżnić jedną z cel. Strażnikowi wręczył listę z nazwiskami buchenwaldczyków, nakazując spisać ich personalia i rozmieścić ich na nowo w poszczególnych celach.

Mieli być "przemieszani". Rosego i Pippiga kazał umieścić razem w opróżnionej celi.

- Ale tak niepodpadająco, zrozumiano? To musi wyglądać na przypadek! Te draby nie powinny się zorientować, że naumyślnie posadziliśmy ich razem.

W ten sposób Rosę i Pippig trafili do celi 16, nie przypuszczając, że stanowi to punkt pierwszy planu taktycznego przyszłych przesłuchań.

Rosę był zupełnie złamany. Trąc nerwowo dłonie siedział oklapły na jedynym w celi stołku. Ścisnął ręce kolanami, gapiąc się bezmyślnie przed siebie. Twarz miał kredowo białą, a zdenerwowanie jak ołów ciążyło w żołądku i mdliło.

Pippig ogarnął spojrzeniem pustą celę, po czym zachęcająco poklepał Rosego po ramieniu.

- Weźże się, chłopie, w garść!: Rosę oddychał ciężko. Puknął przez drżące wargi. - Ty, psie!

Pippig spojrzał na niego zdumiony. Zmordowany Rosę zaczął się kiwać na stołku.

- Ty, psie... Jeżeli ja teraz, tuż przed końcem, zdechnę, to będzie twoja wina!

Pippig widział mękę tego człowieka. - Ależ, August...

Ni stąd, ni zowąd Rosę skoczył Pippigowi do gardła. Pippig oswobodził się z dławiącego uchwytu. Ale Rosę nie uspokoił się. Znów runął na przeciwnika. Borykali się ze sobą.

Pippig obezwładnił szaleńca. Stołek upadł z łoskotem. Przekreślono klucz w zamku i do celi wszedł strażnik.

- Co tu się dzieje? Co wy wyprawiacie? Rozdzielił ich.

- Chcecie się pozabijać? Dostyc, że tutaj jesteście. Pogódźcie się i bądźcie zadowoleni, że macie celę dla siebie. W innych siedzi po piętnastu ludzi.

Stary dozorca z miejsca zorientował się, kto stracił panowanie nad sobą. Usadził Rosego na stołku. - No, niech się pan uspokoi!

Potem zwrócił się do Pippiga, zapinającego rozdartą w bijatyce marynarkę. - W ten sposób pogarszacie tylko sytuację.

Pippig wyczuł w tych słowach ludzkie współczucie i podziękował starem u skinieniem. Strażnik pozostawił ich samych. Zamknął celę.

Rosę pozostał na stołku tak, jak go strażnik posadził. Pojękiwał bezradnie, ogarnięty panicznym strachem.

- Nie mam z tym nic wspólnego. Nic mnie to nie obchodzi. Robiłem, co należało do mnie, i nic więcej. Ja chcę do domu. Nie chcę zginąć na sam koniec.

Pippigowi zrobiło się go żal. - Słusznie, August, nie miałeś z dzieckiem nic wspólnego.

Rosę poderwał się. Ręce mu dygotały.

- Nie wiem nic o dziecku! Nie wiem nic, zupełnie nic!

- No to dobrze - odpowiedział Pippig sucho, rozzłoszczony nagle dygotaniem i strachem Rosego. Oparł się o ścianę patrząc na skurczoną postać i nisko pochyloną głowę. Łysina na krótko ostrzyżonej głowie Rosego wyglądała jak tonsura.

Pippig zdawał sobie sprawę, że nie znajdzie w Rosem towarzysza w oczekujących ich przejściach. Uświadamiał sobie z rosnącym zdumieniem, jak mało dotychczas o nim wiedział. Podobno Rosę zbierał składki partyjne, za to poszedł do lagru. Nic więcej Pippig nie wiedział. Rosę załatwiał codzienną pisaninę na komandzie Z zaciętą gorliwością źle opłacanego urzędniczyny. Z równym powodzeniem mógł zamiast więziarskiego pasiaka nosić wyszarżale kamgarnowe ubranie. Wieczny strach Rosego, by nie podpaść, był nieraz przedmiotem dobrodusznyc kpin. Nikt go nie brał na serio. Co prawda, uważano go w komandzie za swojego, bo nie dał nigdy powodu do nieufności, prowadził jednakże jakiś swój własny, odrębny żywot.

Pippig wpatrywał się w brzydki zgarbione plecy tego człowieka i naraz uświadomił sobie: wraz z nim przykucnęła tu zdrada!

Zaraz jednak strząsnął z siebie napływającą wraz z tą myślą nieufność. W gruncie rzeczy Rosę to przecież niezły chłop. Tylko że się boi. No, jasne, po prostu ma stracha.

Pippig odepchnął się od ściany i podszedł do Rosego: - August, przecież ty jesteś niezły chłop!

Rosę nie odpowiadał. Siedział przygnębiony. Przez chwilę Pippig zawahał się, ale potem zdecydowanie usiadł na podłodze koło stołka.

- Słuchaj, August! W sprawie dziecka nic się nie bój. Przecież nic o tym nie wiesz.

Rosę szczechnął: - Przecież wiem!

- Nie! - nalegał Pippig - ty nic nie wiesz! Zupełnie nic! A jeżeli nic nie wiesz, nie możesz też nic powiedzieć! - Rosę odczuwał, że tamten chce wpłynąć na niego, i milczał uparcie. Pippig dotknął jego kolana: - Słyszałeś? Ja też nic nie wiem i żaden z naszych nic nie wie. A jeśli my wszyscy nic nie wiemy... No, August... - Rosę nie odpowiadał. Pippig gorąco nalegał na milczącego.

- Człowieku, August! Czyżbyś ty chciał, ty jeden...? Ty przecież jesteś nasz kumpel! Pomyśl teraz o dziecku! Pomyśl o nas wszystkich! Może to Zweiling nas tu ściągnął. A może ten kapuś IWurach. Słuchaj, August! Przecież ty nie jesteś kapuś! - Rosę jęczał w męce. Jego zamknięta twarz skrzywiła się boleśnie. Grdyka zadrżała.

- Nie chcę zdychać pod sam koniec, nie chcę zdychać... Pippig zerwał się na równe nogi i zaczął kląć: - Do stu piorunów! - i mocno potrząsnął Rosem.

- August, chłopie! Zastanówże się! Czy myślisz, że odważą się narozrabiać jeszcze za pięć dwunasta? Takie frajery to oni nie są. Będą się strzegli! To przecież nasza wielka szansa! Musimy trzymać się razem.

Rosę przedrzeźniał go: - Trzymać się! Porozbijają nam kości na miazgę.

Pippig dał mu spokój. Wsadził ręce do kieszeni i zaczął pewnym krokiem przemierzać celę.

- Na to, że parę razy dostaniemy w mordę, musimy być przygotowani...

Otwarto celę. Klucznik trzymał rękę na drzwiach: - Pippig na przesłuchanie!

Pippig odwrócił się przestraszony. Popatrzył na wykonującego nieciekawy zawód starego urzędnika. Czekał przy drzwiach.

Pippig wzruszył obojętnie ramionami i poszedł. W drzwiach odwrócił się raz jeszcze do Rosego i zaśmiał się: - No, August, pippst du oder pipp ich? Ich pippe!

Rosę patrzył osłupiały na drzwi, które zamknęły się za Pippigiem.

Bochow był w tym czasie z Bogorskim. Po skończonej kąpeli jscharfihrer odszedł z ostatnimi cugangami. Więźniowie z komanda robili porządek w prysznicach.

- Leonid, zaczyna się!

Bochow usiadł ciężko na stołku.

Dokładnie nie wiem nic. Ale dowiedziałem się o tym dopiero co od Kramera. Chcą nas ewakuować.

Informacja bynajmniej nie wywarła na Bogorskim tak wielkiego wrażenia. A może tylko udawał wobec Bochowa? Bochow wstał, popatrzył na ziemię, a potem na Bogorskiego.

- Taak, a co teraz? - w pytaniu nie było bezradności. Była w nim troska o los 50 000 ludzi. Pytanie zawierało w sobie wszystkie dyskutowane od miesięcy plany na wypadek... na wypadek, który - tak to wyglądało - teraz właśnie miał miejsce. Czy zgodzić się na ewakuację i posłać 50 000 ludzi na nieuchronną śmierć? Czy też należało...

Bogorski otworzył szufladę, wyjął mapę Niemiec, rozłożył ją i skinął na Bochowa.

Jego palec przesuwiał się wzdłuż Odry i zawisł nad Kostrzyniem. - Tutaj jest Armia Czerwona. - Przycisnął palec w innym miejscu. - Berlin! To już niedaleko - wyjaśnił i porównał oba fronty: wschodni i zachodni. Na zachodzie linia frontu ciągnęła się od Paderborn do Wildungen, dalej Treysa, Hersfeld i Fulda. Uderzenie niewątpliwie szło na Turyngię przez Kassel, Eisenach, Erfurt. Przytknął palec do innego miejsca. - Weimar... - i uzupełnił: - Buchenwald! - Z zachodu droga do Berlina jest o wiele dłuższa niż ze wschodu. W czyim ręku będzie Berlin, ten zwycięży hitlerowskie Niemcy.

- Czy jednak Amerykanie i Anglicy pozostawią Związkowi Radzieckiemu zwycięstwo? Niet.

Bogorski przesunął na mapie fronty zachodni i wschodni ku środkowi - na Berlin.

- Dlatego Amerykanie pośpieszą. Mają jeszcze długą drogę do Berlina i mało czasu.

Bochow kiwnął głową ze zrozumieniem. W swej skomplikowanej niemczyźnie Bogorski chciał wyrazić, że Amerykanie uczynią wszystko, by wkroczyć do Berlina jednocześnie z Armią Czerwoną. Należało się zatem liczyć z ich szybkim wtargnięciem do Turyngii. Wtedy nastąpi wyścig. Kto będzie szybszy? Amerykanie czy też faszyci ze swoją ewakuacją?

- A my tkwimy w środeczku! - uśmiechnął się Bochow boleśnie i westchnął. - Wszystko to przychodzi naraz! Dziś wieczór musimy jeszcze omówić to na MKO. Nie możemy tego roztrzygać we dwóch.

Ponownie usiadł na stołku i zaczął wyjaśniać Bogorskiemu tok swych myśli: - Zjawia się takie małe coś w lagrze... tak, tak, wiem, Leonid, wiem, nie to mam na myśli. Ale pomyśl: najpierw Schhufel i Kropiński idą do bunkra. Dlatego! Musimy unieruchomić cały aparat. Dlatego! Teraz zabierają dziesięciu ludzi z Effeckenkammer. Dlatego! Można się wściec!

Bogorski słuchał bez słowa. Niech Bochow wypowie wszystko, co mu leży na sercu. A Bochow ciągnął dalej:

- Od dziecka, Leonid, od dziecka zależy wszystko! Jak długo nie znajdą dziecka, tak długo nie załamie się ani Höfel, ani Kropiński, ani ta dziesiątka. Ale jak znajdą je...

- Człowieku, wiesz przecież, jak to potem poleci! To jest ihira prawda. To dziecko dało Hóflowi siłę. Wystarczy tylko, by mu je przynieśli.”Widzisz, tu mamy je, a teraz gadaj!”
- powiadam ci, wtedy on się załamał. A co wtedy? Co wtedy?

Ścisnął dłońmi skronie. - Zbyt wielu już wie o dziecku. W tym tkwi niebezpieczeństwo! Ale tego nie da się już naprawić - dodał znużony. - Wpadliśmy i musimy teraz działać tak, jak potrafimy. - Bochow zapiął płaszcz. Był już znów zupełnie rzeczowy. - A zatem jak mówiliśmy. Zwołuję MKO jeszcze dziś wieczór.

Wychodził już, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę i zauważył rezygnację: - I to stało się już niebezpieczne. Ale trudno. - Podali sobie w milczeniu ręce.

Długo jeszcze, pozostawszy sam, zastanawiał się Bogorski nad wyjściem z sytuacji. Zbyt wielu wiedziało już o dziecku. W tym tkwiło niebezpieczeństwo! Łańcuch tych, którzy mieli do czynienia z dzieckiem, sięgał już do Zitkowskiego.”Trzeba łańcuch przerwać. Trzeba strzec towarzyszy przed nimi samymi. Zerwać łańcuch - myślał Bogorski - ale jak?”

Ponad godzinę nie było już Pippiga, ale Rosę wciąż jeszcze nie ruszał się ze stołka. Kiedy nadejdzie jego kolej? Opanował go dziki strach. Widział się już sam na sam z gestapowcem.

„Panie komisarzu, ja właściwie jestem zupełnie niewinny. Wykonywałem swoją pracę i nic poza tym”. Ta gra mu się spodobała. Kazał więc wymagowanemu komisarzowi zapytać: „Jak długo już jest pan w łagrze?”

„Osiem lat, panie komisarzu.”

„Osiem lat! Jak pan to wytrzymał?”

Rosę rozkoszował się tym pytaniem.

„To były kiepskie czasy. Wie pan, panie komisarzu, kiedy dostarczono mnie przed ośmiu laty do obozu, obóz nie wyglądał tak jak dzisiaj. Kiedy w więzieniu śledczym po raz pierwszy usłyszałem nazwę Buchenwald, wydała mi się komiczna. Buchenwald... to brzmiało wtedy jak - nie wiem - ale myślałem sobie wówczas: dostaniesz się do czystego, ładnego obozu, tam sympatyczni ludzie, starsi, przeszkolą cię, a po paru miesiącach pójdiesz do domu...”

Szept zamarł. Rosę patrzył przed siebie. Ze wspomnień wynurzyło się przybycie przed ośmiu laty na dworzec weimarski. Po wyładowaniu transportu z wagonu Rosego wraz z innymi więźniami przejęła eskorta SS. Przed oczami stawały szczegóły. Znów widział ludzi na peronie, przyglądających się widowisku z pewnej odległości. Wrogo i w milczeniu. Tak samo wrogo i milcząco zachowywali się SS-mani. Mieli na sobie obce, szarozielone

mundury. Hełmy, karabiny i trupią główkę na czarnym tle. Wszystko młodzi faceci, żaden chyba nie miał ponad osiemnaście lat. Mimo to robili niesamowite i groźne wrażenie.

Więźniowie weszli na zakrytą plandeką ciężarówkę. Na ustawionych z przodu i z tyłu ławkach zajęli miejsce SS-mani, trzymając karabiny między kolanami. Dowódca wspiął się na podniesioną klapę samochodu i powiedział z groźbą w głosie: "Wszelkie rozmowy zabronione. Kto będzie gadał, dostanie po mordzie. Przy próbie ucieczki strzelamy bez ostrzeżenia. Odjazd!"

Buchenwald - dosłownie: las bukowy.

Wjechali na jakąś górę, a gdy wóz zatrzymał się, milcząca eskorta zamieniła się w dziką rozwrzeszczaną sforę. Kłapa wozu opadła z trzaskiem, SS-mani zerwali się, krzykiem i kolbami spędzili więźniów z samochodu do zielonego baraku, przed którym zatrzymała się ciężarówka.

Znów ujrzał Rosę przed sobą w półmroku długi korytarz z wieloma drzwiami. SS-mani biegli tam i z powrotem, buciory ich trzaskały po podłodze. Więźniowie stali w długim szeregu twarzą do Ściany, z rękami na karku. Za ich plecami co chwila ktoś krzyczał lub wymyślał, po wojskowemu, brutalnie. Coraz to zatrzymywał się któryś z SS-manów: "Co to za stado? Stój prosto, ty świni!" I zaraz potem kopniak w siedzenie albo twardy cios pięścią w tył głowy, tak że czoło uderzało o ścianę.

Obrazy zamazywały się. Rosę siedział na stołku z pustką w głowie. Powoli jednak zaczęły znów napływać żywe i świeże, jakby przeżyte dziś.

Gdy więźniowie dotarli wreszcie z oddziału politycznego do obozu, był już wieczór. Rosę widzi siebie maszerującego w tłumie innych więźniów rozmokłą gliniastą drogą w nieznane. Za nimi brnął jakiś scharfuhrer. Ukazały się umieszczone na palach wieżyczki wartownicze. Wyglądały jak prymitywnie sklecone stanowiska myśliwskie. Płot z nie ociosanych pni, wokół niego drut kolczasty przeciągnięty jak pięciolinia.

Z domku wyszedł żołnierz w stalowym hełmie. Płaszcz sięgał mu aż do stóp. Jakieś zwisające drzwiczki, zbite tak samo prymitywnie jak płot, jęczały niewesoło na zardzewiałych zawiasach. Rozciągała się przed nimi duża równina; w straszliwych ciemnościach żadnej ludzkiej istoty. Widać tylko było pojedyncze, sterczące wysoko w górę drzewa, których gałęzie wyciągały się jak ramiona wzniesione w mokry od deszczu mrok. Widać też było nieregularnie rozmieszczone słupy oświetleniowe. Deszcz siąpił, co widać było w czerwonym blasku lamp rzucających krąg świetlny na ziemię. Światło brudnawo odbijało się w błocie. Wokół leżały bure pnie, stało kilka bud skleconych z desek... martwy był ten widmowy krajobraz.

„Biegiem, ptaszki!”

Podciągnąwszy nogawki, wiosłując łokciami, skakali przez sięgające kostek błoto. Potykali się o ukryte kamienie, ześlizgiwali do dziur, tracili równowagę i balansując wyciągali ręce.

„Biegiem, psiakrew!”

„Tak to wtedy wyglądało, panie komisarzu. A wie pan, jak mieszkaliśmy w pierwszym okresie? O myciu w ogóle nie było mowy, odrobina wody wystarczała akurat dla kuchni. Nasze łachy nigdy nie wysychały. Tak jak zdejmowaliśmy je wieczorem mokre, tak rano wdziewaliśmy mokre... Wprost z ciepłego łóżka, panie komisarzu... mieliśmy wszyscy sraczkę. Za barakami były śmierdzące latryny, doły, a nad nimi poprzeczna belka. Papieru nie było do podtarcia tyłka. To było nam zupełnie obojętne.

Czy mieliśmy wówczas dosyć jedzenia?

Ma pan pojęcie, panie komisarzu! Muszę to panu dokładnie opowiedzieć, bo w przeciwnym razie nie pojmie pan tego...”

Zamiast jednakże ”opowiadać”, Rosę popadł ponownie w drętwotę i zatonął w obrazach przeszłości. O czwartej rano rozlegał się przeraźliwy gwizdek blokowego. W pomieszczeniu sypialnym krzyczeli sztubowi:”Aufstehen!”

Na dworze panowała jeszcze noc! Błoto migotało w mdłym blasku lamp, jak morze, i jak leniwy zaczyn spływało z góry ścieżkami między baraki. Siąpił kapuśniak, łachy były zimne jak lód i sztywne, mokre buty twarde jak kamień.

Minęła noc i minął sen. Na dworze wstawał nowy dzień. Przełknąć odrobinę wodnistej kawy przed wyjściem na zimno i deszcz. Płyn ten często był jedynym całodziennym pożywieniem.

„Tak, tak, panie komisarzu - jęczał Rosę przejęty potęgą wspomnień - kromkę chleba na następny dzień dostawaliśmy już poprzedniego wieczora i zazwyczaj zżeraliśmy ją wraz z zupą.

Na dworze gwizdał blokowy. Ustawić się do apelu! Wyłączyć z budy, dalejże do błota i brudu.

W prawo zwrot! Naprzód marsz!

Pluch, pluch! Lewa, lewa...

Gdy docieraliśmy na górę, byliśmy już znów przemoczeni do nitki. Reflektory świeciły nam w twarze i wgryzały się w oczy... potem wyłaniała się sfera blokowych, by wszystkich policzyć. Błoto rozpryskiwało się pod ich buciorami, ale oni mieli na nogach

mocne buty z cholewami. Apel nie kończył się! Na górze znów się coś nie zgadzało. Znów brakowało jednego! Przekłęte gówno!

Sztubowi do lasu! Szukać ptaszka! - wrzeszczał głośnik. Pobiegli sztubowi z wszystkich bloków, na przedzie lageraltester.

Nie, nie, to nie był Kramer. To było wówczas jeszcze nie do pomyślenia. Ówczesny lageraltester był zielony, kryminalny. Już dawno zdechł ten pies. A my staliśmy i czekaliśmy, aż znajdą brakującego. Staliśmy i gapiliśmy się głupio przed siebie. Staliśmy spaliśmy stojąc. Trwało to tak godzinę czy dwie. Gdzie ten facet mógł się podziać? Może przewrócił się w latrynie i utonął w gównie? No, to będziemy mieli się z pyszna! To może długo trwać, zanim wyłowią go stamtąd długimi żerdziami...

A może ukradł chleb, przeraził się i powiesił w lesie? Dziwi się pan, że z powodu takiego kawałeczka chleba? Ma pan pojęcie!

Znajdź go tu teraz po ciemku, wśród tyłu drzew...

Dwie godziny - trzy godziny...

Deszcz rozmiękczał nas, coraz głębiej wciskaliśmy głowy w ramiona i coraz bardziej upodobnialiśmy się do marabutów. Staliśmy, gapiliśmy się i spaliśmy. Głód straszliwie szarpał nam kiszki. Niejeden nie wytrzymał stójki. Zaczynał się kiwać, padał na kolana. Podciągali go sąsiedzi, a potem wisiał między nimi jak worek. Niejeden załamywał się zupełnie; kładło się go więc pod bokiem ze zrolowaną marynarką pod głową, aby głowa przynajmniej nie leżała w błocie." Reflektory już dawno zgaszone.

Czasami schodził z góry blockfiihrer."Uwaga!" - szeptano z bloku do bloku. Zbieraliśmy się w sobie. Stać równo, Yorderlann i Seitenrlchtung... Gdy facet odchodził, mięśnie znów się rozluźniały.

Wreszcie gdzieś z tyłu rozległ się gwizd. Ożywały bloki. Znaleźli go! Poruszały się zeszywniałe członki. Wyciągano ostrożnie stopy z błota. Mlaskało i pluskało.

Jednemu but utkwiał w błocie. Chwiejąc się na jednej nodze, grzebał ręką w błocku, wyciągając wessany but. Dłonią wyrzucał błoto z buta. Błocko chlapało o ziemię jak krowia kupa.

Sfóra esesmańska wylatywała z lasu w dzikim galopie. Lageraltester na przedzie. Dzięki Bogu, znaleźli go! Szlifowali nirn kamienie, ciągnąc za nogi. Głowa jak piłka objęła się o wszystkie przeszkody. Czy w ogóle jeszcze żył? Na górze położyli go u stóp rapportfiihrera jak aportowanego zająca. Teraz apel już się zgadzał.

„Komanda pracy formuj!”

No, nareszcie! Chociaż ta stójka miała i swoją dobrą stronę. Znow minęło parę godzin dnia. A potem wychodziliśmy z lagru. - Ein Lied! w wioszczynie skrytej w leśnej głuszy samotna chatenka stała. W słonecznym blasku w sercu puszczy kucnęła staruszka zgrzybiała...

Albo:

O ty piękny kraju mój, zna cię cały świat. Każdy uzna urok twój, Spiesz do cię rad..."

Rose chichotał. Chciałby tak sobie godzinami opowiadać, jak to wówczas było.

„Pracowałem w Schachtkommando Pumpenhaus Weimar. Ajajaj... Co się tam działo!”

Rosę mlaska.

„Wzdłuż zbocza góry ciągnął się rów. Cztery metry głęboki, cztery metry szeroki. Rowem szedł wodociąg, gliniane rury grubości człowieka.

Ten rów mieliśmy zasypać, to była nasza robota. Brzmi to niewinnie! Ma pan pojęcie! Wyrzucona ziemia zamarzała na kamień. Trzeba ją było rozbijać kilofem. Ajaj, jak trzon wrzynał się w łapy. Najpierw pokazują się pęcherze, potem surowe mięso łubudu! Uderzać, sypać, uderzać, sypać! Mięśnie ramion? Nie, mój - kochany, noże w plecach! Opatrywać rany? Nie, mój kochany, w Buchenwaldzie są albo zdrowi, albo umarli! A na martwego możesz tu bardzo prędko awansować. Co myślisz? Gdy icharfihrer napadnie na ciebie, już drżysz o życie! W odległości pięciu metrów stoi postenketta. Młodzi ludzie, którzy nudzą się i marzną. Ale tobie pot i deszcz ściekają po gębie, że ledwo co widzisz. Ale są jeszcze gorsze rzeczy! Ta przekłeta sraczką! Masz ochotę ściągnąć portki i na miejscu... Ale to jest zabronione. Musisz odmeldować się u postena i iść do lasu. Cha, cha, cha! Do lasu... To znaczy - poprzez postenketkę. A kto usiłuje tamtędy przejść, zostanie zastrzelony podczas ucieczki. Sraj więc... Ale żołądek ci pęka. W ostatniej chwili, kiedy już, już, robisz w portki, jest ci wszystko jedno. Srać jest większą koniecznością niż umierać. Rzucasz kilof, przez wał narzuconej ziemi wleciesz się do postena, noże tną ci plecy, drżąc zdejmujesz czapkę przed tym chłopakiem.”Więzień prosi o pozwolenie pójścia na stronę...”

Jeżeli kucniesz zbyt blisko niego, przyskoczy, trzaśnie cię kolbą W plecy:”Ty świnió, chcesz, żebym wachał to paskudztwo! A jeżeli pójdziesz o metr za daleko, zerwie karabin z pleców i przyłoży do policzka...”,,

Znużony odchyła Rosę głowę do tyłu. Na moment to dobrze robi. Ale tylko na moment. Bo krew, która odpłynęła, znow uderza do głowy.

Rosę zrywa się i zaczyna gestykulować: „Muszę przecież panu to wszystko opowiedzieć, panie komisarzu! Musi pan wiedzieć, co już przeżyłem! Kto wie, co pan teraz wyrabia z Pippigiem! Nie mam z dzieckiem nic wspólnego, zupełnie nic, proszę bardzo...”

Rosemu przerwano. Zaskoczył go brzęk klucza obracanego w zamku, klucznik przecisnął się do środka, taszcząc coś ze sobą. Tym "czymś" był - Pippig.

Trzymaj go pan - burknął strażnik na Rosego stojącego w celi tak, jakby chciał się ukryć w jej najdalszym kącie. Ale Rosę posłuchał. Ujął Pippiga pod ramiona, podczas gdy strażnik spuszczał kojkę. Położyli go. Strażnik wyszedł z pustym dzbankiem i wrócił z pełnym. Rzucił też jakąś szmatkę Rosemu. - Niech się pan sam zatroszczy o to, co trzeba. - Pozostawił ich samych.

Pippig leżał z - zamkniętymi oczyma. Jedno oko opuchnięte. Z lewego ucha ściekała na szyję brunatna, zastygająca krew. Nos i obrzmiałe usta pokryte były również zakrzepłą krwią. Marynarka i koszula rozpięte, koszula w strzępach.

Ręka Rosego trzymająca szmatkę drgnęła. Pochylił się nad Pippigiem z ciekawością, którą budzi groza. Zniekształcona twarz Pippiga skrzywiła się w grymasie mającym oznaczać uśmiech. Rosę przyglądał się temu z przerażeniem. Ale zaraz potem Pippig zaczął mówić. Cicho, lecz straszliwie wyrazistym głosem: - Obetrzyj mi gębę... - Rosemu drżały ręce, gdy ocierał Pippigowi twarz wilgotną szmatką.

Pippig z trudem poruszył rękami, próbując ostrożnie odlepić koszulę od ciała. Teraz dopiero spostrzegł Rosę na jego piersi duże, okrągłe miejsca spalonego mięsa. Dziury od wypalenia! Pippig przez przymknięte powieki czuł znieruchomiałe spojrzenie Rosego na swojej piersi.

- Cygarem - powiedział tylko dla wyjaśnienia, a po kilku sekundach: - Połóż na to szmatę, zmocz mocno! - Odczuwszy chłód, Pippig zajęczał. Oddychał mocno i powiedział głośno: - Coś do picia, prędszej! - Rosę rozejrzał się po celi, wyjął z zawieszanej na ścianie szafki aluminiowy kubek i napełnił go. Podparł Pippiga ręką, tamten pożądlawie wypił wodę do dna. Dopiero teraz poczuł, że "ma to już za sobą". Z westchnieniem ulgi oparł znów głowę, na twarzy widać było odprężenie. Nie poranione oko mógł tylko uchylić. Obmacywał teraz palcem usta, jakby to było najważniejsze. Brak było kilku zębów, pozostałe chwiały się. Pippig lekceważąco machnął ręką: wielkie rzeczy... potem zdjął szmatę z piersi i podał Rosemu: - Zamocz jeszcze raz! Wydawało się, że nabiera sił. Po chwili powiedział zupełnie wyraźnie: - Nie bój się, z tobą tego nie zrobią. Wiem już, o co chodzi. - Nienawykły do dziur po zębach język utrudniał mó-mówienie. - Nieprzypadkowo jesteśmy w jednej celi. Im się wydaje, że są chytry. My też jesteśmy. Słuchaj mnie, August! - Uniósł się z trudem, odsunął rękę Rosego, który chciał mu pomóc, i zasapał się. - Słuchaj, August, to jest ważne! Ten byk sprzął mnie nie dlatego, że nic nie powiedziałem. On już wie, że ze mnie nic nie wydobędzie. Sprzął mnie tak dlatego, by... Słuchaj więc, to (jest ważne. - Mówienie męczyło Pippiga,

oddychał z trudem. - Nie denerwuj się! - prosił Rosę. Pippig zmusił się do uśmiechu. - Przecież ja się wcale nie denerwuję... - Zamilkł. Poczłł dobrotliwe działanie zimna na rany. - To przynosi ulgę! - westchnął. Musiał się znów położyć. Przez chwilę leżał w milczeniu, Rosę zapytał z wahaniem: - Dlaczego... dlaczego on nie... zrobi tego... ze mną? Czy ci to powiedział? - Pippig nie odpowiadał. Godne pożałowania pytanie. Wreszcie odezwał się: - Ty, frajerze... - Rosę zawstydził się, siedział z opuszczonymi oczyma. Pippig ciągnął: - Ten byk wie, że ty, że ty jesteś miękki. Dlatego wsadził nas do jednej celi. Chodzi o to, żebyś ze strachu srał w portki, jak mnie zobaczysz. Tak to sobie wykombinował. A potem - możesz na mnie polegać, potem będzie dla ciebie słodziutki. I jeżeli nie chcesz oberwać, musisz się pilnować...

- A co mam robić? - twarz Rosego skrzywiła się szpetnie.

- Masz trzymać gębę, nic więcej! Rosę westchnął.

- O niczym nie wiesz i przy tym masz pozostać, nawet jak ci da parę razy w mordę.

Do pioruna, przecież to wytrzymasz!

Bóle stały się nie do zniesienia. Pippig jęczał, rzucając głową. Był tak przeraźliwie samotny w swoim cierpieniu.

- Człowieku, daj że mi coś do picia - jęknął. Gdy Rosę drżąc cały przytrzymał mu kubek przy wargach, uniósł się na łokciach, ale zaraz opadł bez sił na kojkę.

Rosę widział wysiłek, z jakim opanowywał ból. Nagle zawstydził się. Zaczął mówić cicho, raczej do siebie samego: - No, dobrze, Rudi, dobrze, a więc nie wiem o niczym... Pippig ożył.

- Widzisz, widzisz - ucieszył się - i tego się trzymaj! Tylko się nie wygadaj, August, słyszysz? Jeżeli ten byk się skapuje, że coś wiesz, zrobi z ciebie marmoladę, rozumiesz? Ale jeżeli pozostaniesz twardy, rozumiesz?... Wyjaśniłem mu już, że ty o tej całej historii nic nie wiesz.

- Wziąłeś wszystko na siebie?

- Ty masz chyzia! - powiedział Pippig nagle, jak gdyby był zupełnie zdrow - powiedziałem mu, że jeżeli my wszyscy nic nie wiemy, to ty dopiero nic nie wiesz, bo ty jesteś frajer... - Pippig był u kresu sił. Wyciągnął się, mięśnie miał jakby rozmiękczone bólem. Rosę zakłopotany patrzył przed siebie. Za takiego go więc mieli... Pippig nie zaklinał go, nie prosił, by był odważny i dzielny...”bo ty jesteś frajer...”

Rosę nie przyznawał się sam przed sobą, jak bardzo się wstydził.

Po Pippigu Gay ściągnął do siebie kilku innych buchenwaldczyków. Nie po to, by ich przesłuchiwać. Chciał ich tylko wymacać. Sposób badania uzależniał każdorazowo od

człowieka, z którym miał do czynienia. Wkrótce też zorientował się, że to wszystko są ludzie twardzi. Nikt o niczym nie wiedział.

„No dobrze - pomyślał Gay - niech tymczasem tak zostanie, jeszcze będziecie śpiewać jak słowiki”.

Teraz jego uwaga skoncentrowała się na Rosem, dla którego tak przyrządził Pippiga. Gdy poleciał sprowadzić Rosego, było już późne popołudnie.

- No, mój kochany, niech pan siada. Pańskie nazwisko Rose, nieprawdaż?

- Tak jest.

Gay zapalił cygaro, zapalkę z namaszczeniem odłożył do popielniczki. Zauważył przy tym, westchnąwszy ze współczuciem: - Ale wpadł pan w głupią historię. Jak długo właściwie siedzi już pan w obozie?

- Osiem lat - odpowiedział Rose, osłupiały, że przesłuchanie zaczęło się dokładnie tak, jak to uprzednio sobie wyimaginował. Gay z politowaniem pokiwał głową. - Osiem lat, jejjej... osiem lat. Ja bym tego nie wytrzymał.

Jakże niesamowita była ta zgodność! Rose nic nie odpowiedział, starał się tylko bojaźliwie nie drażnić gestapowca, by nie zaczął go bić.

Ale Gay - zdawało się - w ogóle o tym nie myślał. Zaciągnął się cygarem i Rose patrzył na żarzący się czubek. Tym podziurawił piersi Pippiga... Gay oparł się wygodnie na krześle, dobrodusznie skrzyżował ręce na piersi i popatrzył przyjaźnie na Rosego.

- Wy, buchenwaldczycy, jesteście komiczną rasą. Z powodu małego dziecka pozwalacie, by was zbito na kwaśne jabłko. Ale jeżeli chcecie trzymać gęby na kłódki, powinniście być konsekwentni. Natomiast jeżeli pozwalacie się przedtem zrobić na szaro, a potem mimo to gadacie, nie powinniście się dziwić, że nie traktuje się was jako rozsądnych ludzi. Gay pochylił się poufale do Rosego.

- Ten Pippig - to dzielny chłop, na pewno! z całym uznaniem! Ale czy nie mógł od razu powiedzieć: „Panie komisarzu, znaleźliśmy takie maleństwo”. Wówczas wszystko byłoby w porządku. Nie! Trzeba go było przedtem sprać, a potem jednak powiedział. Czy to jest rozsądny człowiek?

Gay znów oparł się na krześle i zauważył jakby mimochodem: - Dzięki Bogu, inni wasi kumple byli rozsądniej si i przyznali się od razu. No i co Pippig ma z tego?

Rose siedział przybity na krześle. Gay czuł destrukcyjne działanie swej taktyki. Wstał i kontynuował swój monolog, spacerując po pokoju.

- To, co wy robicie tam na górze, w lagrze, to mnie wcale nie interesuje. Mam inne zmartwienia. Wasz Kluttig to biurokrata.

Przybiega do mnie i załamuje ręce.”Pomocy! Do lagru dostało się dziecko, nie jest jeszcze zarejestrowane i teraz stan lagru mi się nie zgadza”.

Gay zarechotał. - Jak gdyby o to chodziło. Za parę dni przyjdą tu Amerykanie i będziemy musieli zwiewać. My, a nie wy! I teraz wyobraź pan sobie tego dumna Pippiga! Za pięć dwunasta ten idiota ryzykuje życie z powodu takiej bagatelki. Mogłem go zabić. Co wy sobie w ogóle myślicie?

Z Rosem działo się coś strasznego. To, co ten gestapowiec mówił, wykraczało daleko poza ”słodziutkość”. Musiał dużo wiedzieć. Czy Pippig rzeczywiście się przyznał i tylko zaparł się przed nim? A inni?... Zanim Rosę zdążył zebrać myśli, byk stał już przed nim i zachęcająco klepnął go po plecach.

- Coście sobie przy tym myśleli? - Rosę pozostał tak, jak siedział, ze spuszczoną głową.

- Ja nie mam z tą sprawą nic wspólnego - powiedział sucho.

- Wiem o tym. Pippig mi to powiedział - pośpieszył Gay z zapewnieniem. - Ale gdzie, na miłość boską, podzieliście to maleństwo? - Rosę milczał. Gay stał przy oknie i bębnił palcami po szybie. Przez chwilę zastanawiał się i zdecydował. Podszedł do Rosego. Przyjaźnie, ale niewątpliwie mocno chwycił go za marynarkę i szarpnął do góry. Bezsilność Rosego przekonała go, że była to słuszna droga. Wyjął cygaro z ust, strzepnął popiół i jakby przypadkowo przytrzymał żarzący się koniuszek pod nosem Rosego. Żar gryzł naskórek.

Gay powiedział po ojcowsku: - No, niech pan będzie rozsądny, Rosę!

Rosę popatrzył gestapowcowi w oczy. Błyszczała w nich straszliwa groźba. Rosę przełknął ślinę. Poczuł, że uchwyt na jego piersi rozluźnia się. Gay poklepał go po ramieniu.

- Nie mam ochoty urządzić pana tak jak Pippiga, chwytam się tego niechętnie. Ale jeżeli mnie pan do tego zmusi... Rosę, człowieku, przecież ja nie robię nic innego, jak tylko to, co jest moim obowiązkiem!

„Jeżeli on zauważy, że ja coś wiem...” - myślał Rosę i nie odwracał wzroku od Gaya.

- A więc gdzieżeście ukryli to biedne maleństwo? - Oczy Rosego latały. Zmobilizował całą swoją odwagę.

- Nie wiem tego - wyjąkał, wyczuwając siłę pięści gestapowca. Ale Gay westchnął tylko i z żalem wzruszył ramionami.

- No, dobra! Szkoda mi pana. Idź pan teraz do celi i rozmów się z Pippigiem. Muszę pana tej nocy jeszcze raz wezwać do siebie...

Było już ciemno, gdy strażnik wprowadził Rosego do celi. Pippig gorączkował i był nieprzytomny. Strażnik położył mu moką szmatę na czole i przy wyjściu mruknął do Rosego: - Teraz niech pan z kolei nie robi głupstw, starczy tego jednego.

Rosę przykucnął na stołku. Nędza całego świata wyznaczyła sobie jak gdyby spotkanie w tej celi. Rosę czuł potrzebę mówienia.

- Rudi...

Pippig nie ruszał się. Oddychał krótko, gorąco, ze świstem.

- Rudi...

Potrząsnął go za ramię.

Gorączkujący jęknął. Rosę dał mu spokój. Siedział na stołku skulony. Teraz był pozostawiony samemu sobie!

Drażniący dym, cygara wypełniał mu jeszcze nozdrza, a straszliwy chwyt gestapowca czuł jeszcze na piersi. Chłód celi przenikał ciało.

Odrutowana żarówka pod sufitem celi dawała słaby, czerwony blask.

Wkrótce nadejdzie noc...

Komendant wezwał do siebie cały sztab, dlatego też wieczorny apel minął bardzo szybko. Kluttiga nie było, zamiast niego odebrał apel wiecznie pijany Weisangk. Reineboth wyprostował się przed pierwszym lagerfiihrerem i złożył meldunek.

Po temAbriicken To poszło dziś prędko. Coś wisiało w powietrzu. Dziesiątki tysięcy wiedziały o tym! Wieść o ewakuacji jak gaz rozeszła się wszędy.

Odmarsz z apelu nie wskazywał na pozór na nic nadzwyczajnego. Blok po bloku zawracały i maszerowały w dół placu apelowego. Jak zazwyczaj, w wąskich przejściach między barakami zapanował tłok i powstały korki. Tutaj już nie było porządku marszowego, każdy starał się możliwie prędko dostać do środka.

Tylko niektóre szczegóły świadczyły, że jednak coś działo się inaczej niż zwykle. Rapportfiihrer, lagerfiihrer i blockfiihrerzy nie czekali jak zwykle na opustoszenie placu apelowego, ale pośpiesznie zniknęli za bramą. Posteny, zazwyczaj spacerujące obojętnie po galeryjce głównej wieży, stały teraz przy karabinach maszynowych, z głowami wtulonymi w nastawione kołnierze, chroniąc się przed ostrym wiatrem marcowym. Wiatr gwizdał i świszczwał wokół wieżyczki, wartownicy patrzyli na wracające na bloki komanda.

Również "odkomenderowani", pracujący zazwyczaj do późnego wieczora, wrócili bezpośrednio po apelu z różnych budynków SS do obozu. Coś wisiało w powietrzu!

Na blokach był ruch, jak zawsze. Więźniowie tłoczyli się wokół kotłów z zupą. Sztubowi spokojnie jak zazwyczaj rozdzielali postną zupę, miski brzęczały. Tak jak zawsze

więźniowie tłoczyli się na ławkach przy długich stołach, chłop przy chłopie, tak że nie można było niemal poruszać ręką z łyżką. Jak zazwyczaj, żuli do zupy coraz bardziej zmniejszoną rację chleba, przeznaczoną na następny dzień. Ale mimo to było inaczej niż zawsze.

Na wszystkich blokach mówiono o jednym: o ewakuacji. Niejeden, któremu lata więzienia zaciemniły spojrzenie w przyszłość, zobaczył teraz kres czasu - jego czasu. Ale co przyjdzie? Śmierć czy wolność? Widoczność była słaba, wydarzenia nie przebiegały konsekwentnie, płątały się, komplikowały. Śmierć czy życie? Kto to wiedział?

O tym dyskutowano na wszystkich blokach. W ostatniej jeszcze limicie mogli rozwalić cały obóz. Mieli przecież wszystko! Bomby, gazy trujące, samoloty! Jedna rozmowa komendanta z pobliskim lotniskiem... i po upływie pół godziny nie będzie już obozu Buchenwald, tylko dymiące pustkowie. Wtedy koniec pieśni, kumple! A przez dziesięć lat czekałeś na coś zupełnie innego! Nikt nie chciał umierać tuż przed końcem! Psiakrew! Przed jakim końcem? Gdyby to można wiedzieć! I niejeden nagle odkrywał, że zrogowaciała przez te lata skóra na piersi jest zbyt słabym pancerzem, by przytłumić to, co wewnątrz kołata. Zdawało mu się tylko, że przyzwyczyił się do śmierci, przez tyle lat stojącej mu nad karkiem. Łudził się tylko sądząc, że lekceważy śmierć.

Niesamowite widmo chichotało teraz z satysfakcją. "Ten się śmieje najlepiej, kto się śmieje ostatni"!

To, co wewnątrz kołatało"...nie bądź, kolego, tak zadufany... dotychczas odganiałeś śmierć prztyczkiem. Ale nie zapominaj w swoim zarozumiałstwie, że to była zupełnie inna śmierć. Taka, którą czubkami palców... to była twoja śmierć należąca do lagru, jak i ty sam!

Ale tej śmierci, mój drogi, która chichocze tam na dworze, prztyczkiem nie odgonisz. To jest najbardziej przebiegła i zbrodnicza ze wszystkich śmierci! Ta śmierć - to cynik, podsuwający ci pod nos bukiet kwiatów w chwili, gdy wydajesz ostatni dech. I co za kwiaty: domy, ulice, ludzie, wieś, las, miasto, samochody, kolarze, kobieta, pokój z prawdziwymi meblami i firankami w oknach, małe dzieci...

Cały piękny świat podsuwa ci pod nos: powąchaj tylko... Nic nie mów, kolego! Teraz nikt nie chce umrzeć, nawet ten, który przedtem umarłby przymrużywszy oko.

To jest tak: śmierć w lagrze była ci towarzyszem! Śmierć za drutami jest twoim wrogiem!"

Wśliznęła się razem z pogłoską do lagru, przysiadła wszędzie tam, gdzie ludzie gromadzili się w barakach. Przycupnęła również na małym zebraniu w piwnicy baraku na rewirze. Wraz z jego uczestnikami prześliznęła się przez dziurę w podłodze, potykała się o kamienie, aż dojrzała do miejsca, gdzie paliła się świeczka.

I każdy z nich, Bogorski czy Bochow, Riomand czy Pribula, Kodiczek czy van Dalen, każdy z nich wiedział o jej milczącej obecności.

Bochow naświetlał sytuację. Zabranie dziesiątki z Effektenkamer, groźba ewakuacji, zbliżanie się frontu w Turynii, możliwość szybkiego rozwoju wydarzeń. Riomand uzupełnił sprawozdanie, i Wiedział o przebiegu konferencji u komendanta. Nie ulegało! wątpliwości, o co tam na górze chodzi. Porywcy Pribula chciał gwałtem przeciwstawić się ewakuacji. Zażądał wprowadzenia gotowości alarmowej w grupach oporu i wydania im broni.

- Czyś ty zwariował - krzyknął na niego po polsku Bogorski.

W koszarach było 3000 SS-manów; liczbę tę podał Kohn, który niemal co dzień kursował "na dworze" z patrolem oddziału sanitarnego. Kassel, gdzie przebiegał front, był blisko, ale jeszcze o wiele za daleko. Każdy dzień mógł przynieść coś nowego, czas pracował dla nich. I dlatego właśnie, że tak było, dlatego, że niepewność i ratunek ciągle się jeszcze ważyły, nie można było przedwcześnie rozstrzygać. Pozostali więc przy dawnej taktyce oczekiwania: na wypadek rozpoczęcia ewakuacji - opóźnić i utrudniać ją, by uratować jak najwięcej ludzi. Ale zdawali sobie również sprawę, że wielka godzina dojrzewa i że krąg się zamyka. A co wtedy miało się stać... Bochow mówił o tym z głęboką powagą: To, co się wtedy stanie, rozstrzygnie o życiu i śmierci. A my musimy żyć! Nie umiem używać wielkich słów, ale dzisiaj chciałbym to raz powiedzieć: ten, kto zza drutów obozów koncentracyjnych, wyjdzie żywy, stanie się strażą przednią sprawiedliwszego świata! Nie wiemy, co przyszłość przyniesie. Wszystko jedno, jak świat; będzie potem wyglądał. Ale będzie sprawiedliwszy. Jeśli nie, musielibyśmy zwątpić w rozsądek ludzkości. Nie jesteśmy męczennikami, nie jesteśmy mierzwą ani ofiarami. Jesteśmy nosicielami najwyższego obowiązku! - Zamilkł nagle, jakby zawstydził się patosu, i zamknął się w sobie. Bogorski patrzył na niego z uznaniem. Ale Bochow, już chłodno i powściągliwie, tak jak to było w jego zwyczaju, kontynuował: - Mamy jeszcze jedną rzecz do omówienia, towarzysze! Sprawę dziecka. Tak dalej nie może być! Dziecko powoli zaczyna być niebezpieczne. Kluttig tropi je jak diabeł. Chce w ten sposób dotrzeć do nas. Oczywiście on maca na oślepa, bo my nie mamy przecież nic wspólnego z dzieckiem. Ale Hofel ma...

Bochow popatrzył na Bogorskiego, jakby w oczekiwaniu sprzeciwu. Ale Bogorski milczał. Wtedy Bochow ciągnął dalej: - Wyłom mogą zrobić przez Hófla i tylko przez Hófla. Ja wiem, towarzysze, że on wytrzyma, wiem to na pewno, i to powinno nas napawać spokojem. Zaufanie jest rzeczą ważną, ale ostrożność jeszcze ważniejsza. Niech tylko znajdą

dziecko... skąd możemy wiedzieć, co stanie się wówczas z siłami Hófla? I nie tylko Hófel stanowiłby wówczas niebezpieczeństwo, ale wszyscy, którzy coś o dziecku wiedzą.

Dlatego trzeba dziecko zabrać Zitkowskiemu. Nie powinien wiedzieć, gdzie się podziało. Wówczas łańcuch się urwie. Gdzie jednak podziąć dziecko? Zastanawiałem się nad tym. Ukryjemy je tu, w piwnicy.

Propozycja była straszliwa i wszyscy zaczęli się buntować. Tylko jeden Bogorski milczał. Bochow upierał się jednakże przy swoim.

- Spokój, towarzysze!

W paru słowach wyjaśnił, jak sobie to wyobraża. Trzeba urządzić dziecku kącik w piwnicy, miękkie gniazdko.

Parę razy dziennie zaufany towarzysz powinien - przy użyciu wszelkich środków ostrożności - docierać do dziecka i przynosić mu jedzenie. Dziecko jest przyzwyczajone do pozostawania w ukryciu.

Van Dalen sceptycznie potrząsnął głową. - Przerzywasz łańcuch w jednym miejscu, aby go połączyć w innym. - Bochowowi aż nabrzmiały żyły na skroniach.

- A co mamy zrobić? - zdenerwował się - mamy je zabić? Daj lepszą propozycję, jeżeli masz? - Van Dalen wzruszył ramionami, również inni nie znajdowali rady.

Milczeli. Może rzeczywiście tak byłoby najlepiej. Zresztą chyba i Bochow odczuwa, że jego wniosek nie jest najlepszy.

Poza Pippigiem i Kropińskim, których już tu nie ma, z kręgu ludzi wtajemniczonych w sprawę dziecka Zitkowski zna tylko Kramera. Tak więc Kramer powinien od niego odebrać dziecko.

Na to jednak nikt nie chciał się zgodzić. - Akurat Kramer - protestowali wszyscy.

- Spokój, towarzysze! - uciszył ich szorstko Bochow. - Ja wiem, do czego zmierzam. Jest chyba jasne, że na wypadek... na wypadek zdrady Zitkowskiego nie da już rady załatać łańcucha, jeżeli chodzi o Kramera. Nie, nie przypuszczam...

- Tak będzie dobrze - powiedział nagle Bogorski - przygotujemy miękkie łóżeczko dla dziecka, a Kramer je tu przyniesie. Charaszo! Nie traćmy więcej czasu, towarzysze, mamy go mało. Kiedy Kramer sprowadzi dziecko?

Bogorski przeciął ogólny spór, wypowiadając się zdecydowanie po myśli Bochowa. Ten ostatni był z tego bardzo zadowolony. Odpowiedział: - Dziś już jest za późno. Przygotuję wszystko na jutro.

Schwahl wezwał do siebie Kluttiga. Obawiał się, że na konferencji ze sztabem, która miała się zaraz odbyć, może dojść do nieporozumień z lagerfuhrerem. Na stole leżała depesza Himmlera nakazująca ewakuację obozu.

Sposób ewakuacji pozostawiono do uznania kierownictwa obozu. Taki rozkaz świadczył o panice. Ratuj się, kto może! Pozostawiono więc Schwahlowi wolną rękę. Jedynym człowiekiem, który mógł mu przeszkodzić w możliwie zręcznym manewrowaniu, był fanatyk Kluttig. Dlatego też Schwahl musiał przedtem dojść z nim do ładu.

Mimo że Schwahl niechętnie pozostawał sam na sam z Kluttigiem, zdecydował się na tę rozmowę. Ufał swej dyplomatycznej zręczności. Kluttig sztywno wkroczył do pokoju Schwahla.

Schwahl przyjął go z jowialnym wyrzutem. - Ależ, mój drogi, co pan tam wyprawia za historii za moimi plecami?

Kluttig nadstawił uszu. Ten ton mu odpowiadał. Wyprężył się bojowo: - Ponoszę pełną odpowiedzialność za to, co robię.

- Odpowiedzialność! W ten sposób robi mi pan w obozie ogromny bałagan. Niepokój nam teraz niepotrzebny. - Kluttig wsparł pięści o biodra... niebezpieczny gest! Gwoli ostrożności Schwahl cofnął się za biurko. - Po co robi pan taki harmider z powodu jakiegoś żydowskiego bachora? - Oczy Kluttiga zionęły jadem, a kości policzkowe drgały. Podszedł o krok bliżej do biurka. - Słuchaj pan, standartenführer! Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi i na koniec też nimi nie zostaniemy. Ten bajzel tutaj zaraz się skończy. Jesteśmy sami i bez świadków i radzę panu: niech mi pan nie psuje mojej roboty! - Schwahl skrzywił się. Przez chwilę miał ochotę przyjąć wyzwanie, ale namyślił się.

- Dobrze - odpowiedział, opuszczając osłaniające go biurko, i zaczął referować, spacerując po pokoju.

- Jesteśmy sami, bez świadków. Dlatego porozmawiajmy otwarcie. Uważa mnie pan za tchórza, który chce wyrzeć dobre wrażenie na Amerykanach. Jest pan w błędzie, mój drogi! Ja tylko nie jestem fanatykiem, takim jak pan, ale politykiem realistą... Tak jest, politykiem realistą - odwrócił się do Kluttiga, który chciał mu się sprzeciwić.

Schwahl wziął depeszę do ręki i zademonstrował ją, jak referent w czasie wykładu.

- Ewakuacja! Rozkaz reichsführera SS! Czy chce się pan sprzeciwić temu rozkazowi? - zapytał przebiegle.

Odpowiedź, którą pragnął dać na to Kluttig, stanowiłaby jawny bunt, toteż milczał ze złością.

Schwahl wykorzystał swoją przewagę.

- Sposób ewakuacji pozostawia się do uznania kierownictwa obozu. A więc proszę! Władza zwierzchnia leży w moim ręku. A może nie?... - I teraz Kluttig milczał. Schwahl atakował. - Mówimy w cztery oczy hauptsturmführer. Kto może nam jeszcze pomóc? Führer? Albo reichsführer SS? - Schwahl podniósł głos. - Jesteśmy w pułapce. Czasy wielkich czynów minęły. Minęły! - powtórzył z naciskiem. - Teraz chodzi o głowę.

Kluttig chciał unieść się gniewem, ale Schwahl przeszkodził mu.

- Jeżeli odstępimy stąd pozostawiając kupę trupów, będziemy co prawda mieć zaszczyt być wiernymi aż do śmierci, ale... co w zamian za to będziemy mieli?

- Tchórze! - syknął Kluttig. Schwahl uśmiechnął się wyrozumiale.

- Ja mam ochotę utrzymać głowę na karku. Gdybyśmy wygrali wojnę, urządziłbym w lagrze już dla samej przyjemności strzelaninę do celu. Niestety - mówiąc w cztery oczy - Niestety przegraliśmy wojnę, a to zmienia nieco sytuację.

Kluttig dał upust tajonej wściekłości: - Ja tego nie będę robił! Słyszysz pan, standartenführer? Ja tego nie będę robił! To nędzne wyczołgiwanie się stąd, to... to...

Jego głos miał przenikliwy dźwięk trąby. Ale tym razem nie podziałało to na Schwahla. Wyprostował się, wysunął brzuch i skrzyżował ręce na piersi.

- Aha, ma pan ochotę zatrzaskać drzwi z hukiem. Mój drogi, przez mikrofon można o tym oznajmić z dużą brawurą. Ale my nie siedzimy teraz w ministerstwie propagandy, lecz na Ettersbergu i mamy front pod nosem. W odpowiedzi na nasz huk usłyszymy inny huk.

Kluttig wrzasnął: - Niech więc będzie huk!

Na Schwahlu i to nie wywarło wrażenia.

- Kogo chcemy zastraszyć? Amerykanów? Niech się pan nie ośmiesza!

Kluttig sztywno przeszedł obok Schwahla i opadł na ciężki skórzany fotel przy stole konferencyjnym. Wyglądał jak obraz bezradnej wściekłości. Schwahl obserwował przeciwnika.

- Czego pan właściwie chce? - powiedział po chwili Obawiam się, że pan tego sam nie wie. Chce pan rozwalić cały obóz. Poza tym chce pan wpaść na ślad nielegalnej organizacji komunistycznej, a teraz goni pan za żydowskim bękartem i zamyka ludzi. Stracił pan nerwy, to wszystko.

Kluttig poderwał się. Wrzasnął na Schwahla: - Wiem dokładnie, czego chcę! - Drżącymi palcami wyjął listę z kieszeni i podał ją Schwahlowi: - O! Schwahl obejrzał kartkę.

- Co to jest?

- Przywódcy, mózg organizacji! - odpowiedział Kluttig ostro.

Schwahl uniósł brwi.

- To bardzo interesujące... - Mogło to być wyrazem zaskoczenia, mogło też być ironią. Uważnie czytał nazwiska.

- To nawet bardzo wiele głów. Jak pan to wy dostał?

- W pogoni za żydowskim bękartem - odpowiedział Kluttig cynicznie. Schwahl nie stracił równowagi.

- I co mamy zrobić z tymi wieloma głowami?

- Uciąć, standartenführer.

- Tak, tak... - burknął tylko Schwahl. Założył ręce na plecy i zaczął z namysłem spacerować po pokoju. Kluttig czekał, teraz nastąpi rozstrzygnięcie! Przerwa trwała długo. Schwahl zastanawiał się głęboko. Wreszcie zdawało się, że uporządkował sobie wszystko. Zatrzymał się przed Kluttigiem. Popatrzyli na siebie.

- Niech pan słucha, hauptsturmführer! Nie zgadzam się z tym, co pan tu przedsięwziął. Nie, niech mi pan nie przerywa, niechże pan posłucha. Stało się. Pańska akcja była zbyt energiczna, by można było się wycofać, nie okazując lagrowi słabości...

- Słabości? - rozkrzyczał się Kluttig.

- Tak - odpowiedział tylko Schwahl, zdając sobie sprawę, że z nich dwóch on jest mądrzejszy. Pozostawił Kluttiga samemu sobie i zaczął swój ulubiony spacer wokół biurka, jak zawsze, gdy miał coś ważnego do powiedzenia.

- Pomówmy o czymś innym. Leży przed nami rozkaz reichs-führera SS. Rozkaz ten będzie wykonany. Obóz zostanie ewakuowany. Mówimy w cztery oczy, Kluttig, i chcę mówić z panem zupełnie otwarcie. Nie wiemy, co się stanie. Może pewnego dnia będę musiał reichsführerowi SS złożyć sprawozdanie. Dlatego też wykonuję jego rozkaz. A może pewnego dnia będę musiał odpowiadać przed Amerykanami! Może my wszyscy będziemy to musieli uczynić!

Zatrzymał się za biurkiem.

- Ja się nie boję - przerwał Kluttig wyswajając dolną szczękę.

- Wiem o tym - odpowiedział Schwahl, a wyraz jego twarzy znów mógł oznaczać albo uznanie, albo ironię. Wyszedł zza biurka, stanął przed Kluttigiem i wziął się pod boki.

- Stoję panu na drodze. Gdyby to od pana zależało, już od dawna - nie byłbym komendantem. Ale to nie jest takie proste, mnie...

Uczynił ruch oznaczający ukręcenie głowy, postąpił dramatycznie parę kroków naprzód, a potem nagle odwrócił się i rzucił wprost Kluttigowi: - Nie jest też takie proste, pana... - powtórzył uprzedni gest.

Schwahl mówił z otwartością, na którą Kluttig nie znajdował broni.

Schwahl wykorzystywał to. - Dlatego też, myślę, mądrość i odwaga nie powinny przeciw sobie, ale wspólnie... rozumie pan...?

- Czy to ma znaczyć, że pozwala mi pan łaskawie... - Schwahl prędko wykorzystał wyłom, który uczynił. Zdecydowanym krokiem podszedł do Kluttiga i postukał go palcem w pierś. - Mało tego, daję panu rozkaz wykrycia i zlikwidowania organizacji podziemnej!

Kluttig zaniemówił. Gapił się na komendanta, a jego grube szkła połyskiwały niedowierzająco. Schwahl zauważył to, zdawał się odgadywać myśli Kluttiga.

- Nie, nie, mój drogi - powiedział - nic się za tym nie kryje. Niech się też panu nie wydaje, że kapituluję przed panem. Mój rozkaz jest jedynie wynikiem oceny aktualnej sytuacji. Nie chcę robić panu trudności i oczekuję od pana tego samego. W ten sposób każdy z nas osiągnie swój cel. Jasne?

Schwahl przeczytał jeszcze raz listę. Czytał długo i uważnie, wreszcie zapytał: - Czy jest pan całkowicie przekonany, że ci właśnie stanowią czołówkę organizacji?

- Jestem o tym całkowicie przekonany - odpowiedział Kluttig, starając się zagłuszyć własną niepewność. Schwahl podszedł do biurka, przekreślił jedno z nazwisk i oddał listę Kluttigowi.

- Rozstrzelać! Bez zwracania uwagi, po cichu! Kluttig przypuszczał, że Schwahl podpisał listę. Wziął kartkę do ręki i zauważył, że komendant przekreślił nazwisko Kramera.

- Herr Standartenfuhrer - podskoczył Kluttig.

- Ten mi jest jeszcze potrzebny - zdecydował Schwahl, nie dopuszczając sprzeciwu. Wzruszył ramionami. - Tak, mój kochany, tak to już bywa! Przez te wszystkie lata urządzaliśmy się wygodnie, pozostawiając więźniom administrację obozu. A teraz jesteśmy na nich skazani. Nie potrafię przeprowadzić ewakuacji bez dobrze wprowadzonego w tę robotę lageraltestera.

- Ależ standartenfuhrer! Kramer jest przecież najważniejszy z nich wszystkich...

Schwahl uśmiechnął się wyniośle: - Coś w rodzaju generała, nieprawdaż? No więc, tym lepiej dla nas. Jak dać mata generałowi? Trzeba mu zabrać jego oficerów. Niech pan rozwali tamtych, a Kramer będzie jadł z rączki. Zaczyna pan kapować? - Schwahlowi pochlebiała własna mądrość, poklepał protekcyjnie Kluttiga po plecach.

- Jeżeli to panu ma sprawić przyjemność, proszę bardzo, może pan jeszcze na sam koniec strzelić mu w łeb. Ale teraz jest mi potrzebny.

Kluttig musiał się tym zadowolić.

Gdy sztab zebrał się na konferencję, Kluttig usiadł w kąciu pokoju z przykrym uczuciem, że chytry Schwahl wystawił go do wiatru. Rzucił mu jakiś kasek, a on się go

chwycił. Nieufnie obserwował komendanta. Jakże ten zadufek się nadymał! Schwahl referując sprawę spacerował po pokoju, z depeszą Himmlera w ręku. - Rozkaz jest jasny i zostanie oczywiście wykonany. - Kluttig kłującym wzrokiem obserwował działanie słów Schwahla.

Obok Schwahlowego biurka siedział pijaczyna Weisangk, tępo gapiąc się przed siebie. Odczuwał widocznie brak wódki, którą zazwyczaj komendant częstował na posiedzeniach sztabu.

Dowódca jednostki SS, sturmbannfuhrer Kamloth, stał pośrodku pokoju, z nogą wysuniętą naprzód i rękami skrzyżowanymi na piersiach. Wokół stołu konferencyjnego siedzieli: arbeitsdienst-führer, szef administracji i adiutant komendanta. Liczni block-führerzy stosownie do swych niskich stopni stanęli z tyłu, za oficerami. Ze względu na swą niską rangę również Reineboth uważał za słuszne stanąć wśród nich.

Wzrok Kluttiga prześlizgiwał się od jednego do drugiego. Ze wszystkich twarzy wyczytywał uległość i zgodność z komendantem.

Cóż to wszystko za tchórze! Rozkaz Himmlera - to dla nich pożądana okazja, by móc stąd zwać bezpiecznie! Wszyscy razem! Nawet Reineboth wyglądał jak owieczka.

Nikt nie zwracał uwagi na Kluttiga. Słuchali z nabożeństwem komendanta.

- Moment ewakuacji zależy od nas, powinniśmy się kierować sytuacją na frontach. - Jak wódz naczelny, Schwahl podszedł do mapy i przesunął dłonią po południowych Niemczech. - Tylko w tym kierunku będziemy się mogli przebić.

Weisangk chrząknął. Schwahl po aktorsku rozłożył ręce. - Innej drogi dla nas już niema...

Kluttiga ponosiło. Miał ochotę wyskoczyć, zacząć rozrabiać. Ale powstrzymywała go powszechna zgoda na to, co mówił komendant. Schwahl zatrzymał się pośrodku pokoju i powiedział, jakby kpiąc z Kluttiga: - Oczywiście w obozie jest nielegalna organizacja. Nie jesteśmy tak ograniczeni, by nie uwzględniać tej okoliczności. Ale to jest właśnie tylko okoliczność. - Zwrócił się do Kamloth: - Czy sądzi pan, że organizacja ta może poważnie zagrozić pańskiemu wojskom? - Sturmbannfuhrer odpowiedział na to pytanie lekceważącym uśmiechem, a Schwahl pośpieszył z potwierdzeniem: - Całkowicie podzielam pański pogląd. Kilka salw do obozu i wszelki opór zostanie natychmiast złamany.

Nie zawaham się sięgnąć do tego środka, jeżeli okaże się konieczny. - Zrobił pauzę pełną wyrazu, potem założył ręce na plecy i z podniesioną głową zaczął krążyć wokół biurka, kontynuując: - Ale nie o to w tej chwili chodzi. Moi panowie, jestem odpowiedzialny za

bezpieczeństwo was wszystkich. I to nie tylko teraz, ale i na przyszłość. - Powiedział to ze specjalną intonacją, pewien aprobaty wszystkich, ponieważ znał swoich ludzi.

- Tak jest, i na przyszłość - powtórzył - panowie mnie rozumieją.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy maskowali się przed sobą nawzajem milcząc. Teraz Schwahl osiągnął swój cel. Nie ukrywając tryumfu powiedział: - Energii hauptsturmführera zawdzięczamy, że udało mu się - chciałbym podkreślić - w ostatniej chwili Wykryć czołówkę nielegalnej organizacji w obozie. Oddał nam w ten sposób nieocenioną przysługę. Wydałem rozkaz rozstrzelania tej spółki spiskowców i jestem przekonany, że rozkaz mój wykonany zostanie mądrze i precyzyjnie.

- A co potem? - zapytał milczący dotychczas Kamloth. Schwahl uniósł brwi, okazując niepomierne zdumienie. - Wykonanie rozkazu reichsführera SS - odpowiedział. Kamloth poruszył się leniwie. - Himmlera? Bzdura! Ten siedzi daleko, bezpiecznie, i dobrze mu rozkazywać. A ja mam się męczyć z tym tałatajstwem? Rozwalić to wszystko aż do ostatniej dupy. Ja głosuję za tym.

Schwahl odwrócił się niespokojnie. - A Amerykanie?

Kamloth znudzony wsadził ręce do kieszeni.

- Nie gadaj pan takich bzdur, Schwahl! Zanim oni przyjdą, rozpieprzę tu wszystko i będę już dawno za siedmioma górami - zaśmiał się brutalnie. Schwahl pobladł, zadrżały mu gąbczaste policzki.

Nagle krzyknął histerycznie: - W imieniu reichsführera SS ma mnie pan słuchać! Kto tu jest komendantem?

- A kto jest dowódcą wojsk? Pan czy ja? - odpalił Kamloth.

Kluttig podskoczył. W paru susach stanął obok sturmbannführera, jakby szukając u niego oparcia. W podnieceniu nie znajdował słów, wpatrywał się tylko dziko w Schwahla. Również inni zerwali się z miejsc. Wietrzyli sensację. Ale w niebezpiecznym momencie Schwahl opanował sytuację: - Spisek? Sprzysiężenie?

Kamlothowi nic podobnego nie przeszło przez myśl. Odpowiedział niewinnie: - Nie gadajże pan! Spisek? Bzdura! Po prostu nie mam ochoty taskać się z tym tałatajstwem. Dlatego chcę strzelać. - Usiadł na skórzanym fotelu przy stole konferencyjnym i zapalił papierosa. W oparciu o potężnego sojusznika i Kluttig poczuł się mocny.

- Strzelać! To i moje hasło! - huknął wyzywająco stając obok Kamlotha.

Ten incydent przerwało powszechne milczenie, zaczął się chaos. Dziko i bez opanowania zaczęli mówić i gestykulować wszyscy naraz. Nie zwracając uwagi na swego

najwyższego zwierzchnika, Schwahla, najbrutalniejsi z blockführerów stanęli po stronie Kamloth.

Adiutant komendanta Wittig wrzasnął na nich, ale oni odpowiedzieli tym samym. Zsunęli czapki na karki, pięści zacisnęły się do uderzenia. Tak dokładnie zazwyczaj przestrzegana różnica stopni wojskowych przestała istnieć. Wittig stanął przed Schwahlem, jakby chciał go bronić, i krzyknął w tumult:

- Panie komendancie, niech pan rozkaże natychmiast milczeć!

Hałas ucichł z miejsca.

Kilku blockführerów, którzy znaleźli się w pobliżu komendanta, przerażonych własną odwagą, stanęło nawet na baczność. Jedynym, który w tym wszystkim nie brał udziału, był Reineboth. Mimo że zmieniająca się sytuacja bardzo go podniecała, zdawał sobie sprawę, że decyzja nastąpi w wyniku zwycięstwa jednej z tych dwóch przeciwstawiających się sobie sił. Dotychczas udawało mu się czekać, znakomicie panując nad sobą. Teraz wyglądało na to, że komendant znów odzyskuje przewagę.

Wykorzystując zapadłą ciszę, Weisangk rąbnął pięścią w stół i wrzasnął ze złością:

- Przekłęta banda, do pioruna! To, co mówi Schwahl, zostanie wykonane! On jest waszym komendantem, a nie kto inny!

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Reineboth zmrużył oczy rozmyślając, co też teraz nastąpi. Kamloth zdusił niedopałek papierosa i wstał. Nie był bynajmniej zadowolony z wybuchu, którego był sprawcą. Podkopywało to przecież autorytet hierarchii, do której jako oficer wysokiego stopnia również należał. Różnica poglądów między nim a komendantem nie wynikała wcale z przyczyn politycznych. Chodziło mu po prostu o własną skórę. Na przeszkodzie w uratowaniu jej stała masa więziarska. Cóż obchodzili go Amerykanie? Ostatecznie własna skóra jest najcenniejsza. Nie rozumiał komendanta. Nie zależało mu wcale na poderwaniu jego władzy zwierzchniej. Ale po jakie licho obciążać się podczas ucieczki balastem tej hałastry, kiedy można to zrobić o wiele prościej. Cóż prostszego, jak rozwalić to wszystko, co siedzi za drutem kolczastym, a samemu do auta i...

- Widzi pan, co ludzie myślą - powiedział do Schwahla - dlaczego waha się pan strzelać?

Schwahl, przyciśnięty do muru, cofnął się za biurko.

- Kto powiedział, że ja nie chcę strzelać? Jeżeli to będzie konieczne, cały obóz w ciągu pół godziny wyleci w powietrze!

- To niech wyleci - krzyknął Kluttig - po nas potop! Jeżeli my stąd pójdziemy, niech żadna bolszewicka świnia nie pozostanie przy życiu!

Blockführerzy zaczęli od nowa hałasować.

- Rozwalić to tałajstwo! - krzyczeli. Podnoszący się ponownie rwetes, różnorodność poglądów raz jeszcze groziły pokrzyżowaniem dobrze pomyślanej koncepcji Schwahla.

Wkroczył twardo między kłócących się.

- Milczeć! - Ostry ton rozkazu nie chybił celu. Schwahl stwierdził z satysfakcją, że są mu jeszcze posłuszni. Natychmiastowa cisza przywróciła mu pewność siebie. Zorientował się błyskawicznie, że jedynie nieugięta stanowczość potrafi wzmocnić jego zachwiany autorytet. Szykując się jakby do ataku, wparł pięści w boki, groźnie rozglądając się po sali. To było wspaniałe móc tak mówić wśród powszechnego odrętwienia. Schwahl powtórzył raz jeszcze to, co powiedział przed chwilą. - Kto powiada, że ja nie chcę strzelać? - Ten strzał trafił w tarczę. Ale czarnego punktu pośrodku mimo to chyba nie trafił. Natychmiast bowiem zareagował Kamloth.

- Standartenführer! - Niesłuchanie ostro zadźwięczał ten okrzyk. Schwahl odwrócił się do sturmbannführera. Przez krótką chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Czy daje pan na to oficerskie słowo?

- Daję na to słowo honoru! - odpowiedział Schwahl tym samym tonem, jakim zapytał Kamloth. Była to jak gdyby wymiana strzałów. Po zachowaniu pozostałych Schwahl poznał, że tym razem trafił w punkt.

„Uwaga, bacność - myślał Reineboth - dyplomata przyparty został do muru, ale tym razem zwyciężył”.

- Proszę, niech panowie wrócą na swoje miejsca.

Schwahl czekał, aż zostanie przywrócony uprzedni porządek.

Nawet Kamloth usiadł.

Schwahl delektował się pełną oczekiwania ciszą. Kryzys został przezwyciężony. Teraz znów był w pełni komendantem, stał obok Weisangka. Weisangk rozparł się w fotelu, rozcapierzył ręce i dla poparcia swego stndartenführera starał się przybrać groźny wyraz twarzy.

Schwahl wrócił za biurko.

- Komunikuję panom tekst depezy reichsführera SS.

Czytał:”W związku z zagrożeniem Turynii przez III Armię amerykańską generała Pattona rozkazuję: podległy mi obóz koncentracyjny Buchenwald należy ewakuować. Moment ewakuacji oraz przeprowadzenie akcji do uznania kierownictwa obozu. Jedyna władza zwierzchnia - komendant obozu. Wierność fihrerowi. Heil Hitler. Reichsführer SS Himmler”.

Milczenie.

Jakże znakomicie to się stało. Schwahl wysunął podbródek, miał uczucie, jakby przed chwilą przemawiał głosem Himmlera. Kamloth patrzył na kołyszący się czubek buta. Weisangk oparł pięści na udach i pochylił się do przodu. Błyskał zażawionymi oczyma psa. No tak, to chwyciło. Podziałało na słuchaczy w sposób oczywisty. Schwahl to wykorzystał.

- Obóz będzie ewakuowany etapami. Dziennie 15 000. Najpierw Żydzi. Kierunek: Hof, Norymberga, Monachium. Sturmbannfijhrer Kamloth rozdzieli eskorty!

- A co zrobią moi SS-mani dotarłszy z tą hołotą do Monachium? - zapytał Kamloth. Schwahl uśmiechnął się kącikiem ust. - Ile z tej hołoty dotrze do Monachium, to już pańska sprawa, sturmbannfuhrer. Moją sprawą jest niepozostawianie trupów w obozie.

- Aha, rozumiem - ironizował Kamloth - chce pan odegrać wobec Amerykanów rolę lojalnego człowieka, a brudną robotę zwalić na mnie.

- Właśnie, że pan mnie nie rozumie, sturmbannfuhrer - pouczył Schwahl - śmierć więźniów w drodze do Monachium nie obarcza pana odpowiedzialnością. Ode mnie w każdym razie nie otrzyma pan rozkazu zabijania więźniów. Oczywiście trzeba pamiętać, że strzał w razie ucieczki nie jest zabójstwem, lecz powinien być potraktowany jako humanitarny postęp.

Kamloth skrzyżował ramiona na piersi. - Chytrze, bardzo chytrze!

Schwahl odpowiedział uprzejmie: - Pan przecież tak chętnie strzela, sturmbannfuhrer...

- Może pan na mnie polegać - kpił Kamloth.

Ten pojedynek na słowa wystarczył im za porozumienie.

- Zastrzegam sobie dalsze rozkazy co do terminu rozpoczęcia akcji. Począwszy od dzisiaj komendantura i oddziały SS winny być w każdej chwili w pogotowiu bojowym. Zakaz udzielania przepustek i urlopów z ważnością od zaraz!

Schwahl ujął się pod boki, wyprostował i wypiął brzuch. Już nieurzędowo zwrócił się do zebranych: - Moi panowie, radzę uporządkować sprawy osobiste i przygotować się wraz z rodzinami do wyruszenia.

Klucznik przyniósł Rosemu na noc siennik i koc. Na jedynej pryczy w celi leżał Pippig, którego stan pogarszał się z godziny na godzinę. Tak długo, jak długo mógł rozmawiać jeszcze z Pippigiem, Rosę trzymał się i nie tracił nadziei. Ale teraz Pippig już nie odpowiadał. Rosę żałośnie przykucnął na sienniku w kącie. Bał się oczekującego go nocnego przesłuchania. Strach przykucnął obok, jak drugie skulone ja.

W komandzie nie udało się ukryć, że dziecko przeniesiono na blok 61. Rosę dowiedział się o tym z rozmów między więźniami. Fakt ten męczył go tak bardzo, że teraz jeszcze zatkałby chętnie uszy. Ale na to było za późno. Siedział teraz tutaj obciążony sprawą, która go nic a nic nie obchodziła.

Noc była jasna. Na pobielonym suficie celi cienie krat rozcapierzyły się jak rozstawione palce u dłoni. Rosę nie chciał się kłaść spać. W każdej chwili mogli po niego przyjść.

Nadsłuchiwał. Na dworze była cisza jak w trupiarni, a w ciemnej celi zimno jak w grobie.

- Rudi... Milczenie.

- Rudi... - Rosę łowił własny dźwięk głosu. Nagle wstał i na palcach podszedł do Pippiga. Pippig leżał ze skulonymi nogami. Głowa zwiślała z posłania.

„Jeżeli on umrze?” - myślał Rosę.

- Rudi...

Dłużej już nie wytrzymał. Musiał krzyczeć. Ale na to był zbyt bojaźliwy. Musiał pięściami grzmocić we drzwi. Ale na to był zbyt tchórzliwy. Toteż pięścią zatkał sobie tylko usta i skulił się jeszcze bardziej.

W momencie gdy odwrócił się, by popęznąć na siennik, zdrętwiał. Bezlitośnie zachrząścił w ciszy obracany klucz w zamku. Drzwi celi rozwarły się, zabłysnął twardy promień latarki i trafił niemiłosiernie Rosego w twarz. Młody człowiek z nocnej służby SA wszedł do środka.

- Jazda stąd!, Władczą pięścią wypchnął skulonego Rosego z celi.

W tym samym czasie koło drewnianej budy chlewu, gdzie hodowano świnie dla SS, na północnym zboczu obozu, przykucnęła ciemna postać. Po dawnym górskim lesie pozostały tu nieliczne drzewa na wolnej przestrzeni. Przed chlewem wznosiły się budynki obozowego rewiru, a naprzeciw oddzielony drogą wiodącą na rewir - Mały Lager.

Postać przez długi czas pozostawała nieruchoma, ukryta za drewnianą budą. Wydawało się, że nadsłuchuje. Nie opodal chlewu ciągnął się naładowany elektrycznością obozowy drut kolczasty. Na zagiętych u góry betonowych słupach oparkanienia żarzyły się czerwone żarówki. Na wieżyczkach stały posterunki. Czujność znieruchomiałej postaci widać właśnie ich dotyczyła. Człowiek bez przerwy obserwował wieżyczki. Wyglądało, jakby był obdarzony wzrokiem nocnego ptaka. Czarno sterczały z wieżyczek karabiny maszynowe. Postać nie ruszała się. Również wartownicy stali cicho, otuleni w płaszcze, ze wzrokiem skierowanym na obóz. Czasem, gdy przestępowali z nogi na nogę, trzeszczały pod ich

stopami podłogi wieżyczek. Nagle postać pochyliła się i szybko i bezszelestnie jak cień skoczyła pod drzewo. Tutaj zatrzymała się przykucnąwszy i rozejrzała na wszystkie strony, obliczając następny skok do sąsiedniego drzewa. Gdy chwila wydawała się odpowiednia, wystarczyło kilka susów, by dotrzeć tam bez szmeru. Człowiek nie miał butów na nogach, był w samych skarpetkach. To był więzień. Poruszał się z cyrkową zręcznością. Teraz przyłgnął do drzewa, znów oczekując odpowiedniej chwili. Czekalo go najniebezpieczniejsze: przebiegnięcie szerokiej drogi rewirowej. Długo wahał się obserwując wieżyczki i otoczenie.

Potem pochylił się, szybko jak łasica przebiegł drogę i rzucił się na ziemię między drzewa i pnie. Przez chwilę leżał wyczekująco, nieruchomo, jakby przyrósł do ziemi, a potem zaczął się czołgać od drzewa do drzewa w kierunku Małego Lagru. Dotarłszy tam, uniół ostrożnie najniższy drut i prześliznął się do środka. Był już dostatecznie daleko od wartowniczych wieżyczek, by móc śmieiej prześlizgiwać się między leżącymi tu rupieciami i odpadkami w kierunku bloku 61. Przylepiwszy się do baraku, nacisnął delikatnie klamkę, milimetr po milimetrze. Drzwi otworzył tylko na szerokość szpary, przez którą mógłby się wśliznąć do środka. Na dworze było bezwietrznie. Dlatego też nie zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę stał nieruchomo, by przyzwyczaić oczy do ciemności.

Potem zorientował się. Przepierzenie było tam. Więzień przesunął się w tę stronę. Wewnętrzne drzwi były tylko przymknięte. Szybko wskoczył do środka. Na kojce spał Zitkowski, a jego trzech pomocnicy leżeli na siennikach na podłodze. Zitkowski chrapał, przytulone do jego pleców spało dziecko. Przybysz ostrożnie omijając śpiących na podłodze flegerów podszedł do Zitkowskiego. Delikatnie wsunął ręce pod dziecko i uniół je. Uczynił to tak ostrożnie, że dziecko nawet nie przebudziło się. Jak kot wyśliznął się ze swą zdobyczą z baraku. Drzwi zostawił przymknięte.

Na dworze zastanowił się przez chwilę. Powinien dziecko obudzić, bo mogłoby się przestraszyć i krzyknąć. Delikatnie poruszył śpiące stworzenie. Dzieciak obudził się z okrzykiem strachu. Więzień szybko zatkał mu dłonią buzię, potem zaczął mówić doń uspokajająco po polsku, pokołysał maleństwo i przycisnął delikatnie do piersi. Dziecko wyczuło, że znajduje się w niebezpieczeństwie, i zachowywało się cicho. Polskie, aczkolwiek z rosyjska wypowiedziane dźwięki uspokoiły je. Dziecko, tak jak mu więzień kazał, objęło go rączkami za szyję, trzymając się mocno. Więzień przygarnął dzieciaka, pochylił się i skoczył w ciemność.

Jeszcze bardziej skulony, niż poszedł, po niespełna godzinie Rosę wrócił do celi. Odprowadzając nędzną postać, wartownik z SA uśmiechał się ironicznie.

Nie troszcząc się o Pippiga, Rosę wśliznął się na siennik, wlaź pod koc z poczuciem człowieka, który wie, że jest nic niewart.

Gdy koło łóżka zaterkotał telefon, Kluttig natychmiast zerwał się ze snu. Przy aparacie był Gay. Jeszcze zaspany, Kluttig słyszał trzeszczący głos tamtego. - Halo, wy frajery! Wyciągnijcie sobie waszego żydowskiego bękarta z bloku 61 w Małym lagrze. Kluttig natychmiast oprzytomniał.

- Chłopie, Gay, jakżeś ty to wy dostał?

- Przy pomocy odrobiny inteligencji - zatrzeszczało na drugim końcu drutu i zaraz potem trzask odkładanej słuchawki. Gay przerwał rozmowę.

Kluttig siedział na brzegu łóżka gapiąc się przed siebie. Sięgnął ręką po bieliznę i podrapał się nerwowo koło łopatki. Trzeba było natychmiast działać. Pospiesznie narzucił mundur i pognął do obozu. Za pośrednictwem wartownika na bramie uprzedził posterunki na wieżyczkach, że wchodzi do lagru, wziął ze sobą jakiegoś blockfuhrera, poinstruował go pobieżnie i ruszył w stronę bloku 61. Wskoczył za przepierzenie, oślepił więźniów latarką i wrzasnął: - Aufstehen! - Zmieszani poderwali się Polacy ze snu i stanęli obok legowisk. Zitkowski instynktownie zarzucił koc na swoją kojkę.

Kluttig zauważył ten ruch i błyskawicznie zerwał koc. Zdrętwiali ze strachu patrzyli Zitkowski i jego pomocnicy na pustą kojkę. Kluttig nie zdawał sobie sprawy z reakcji zachodzących w Polakach. Gorączkowo przeszukiwał pomieszczenie, wściekłymi kopniakami odrzucił na bok sienniki flegarów. W obawie przed infekcją nie ważył się tknąć niczego rękami, dlatego też tylko oczy i buty myszkowały wszędzie. Nie znalazł niczego. Pognął Polaków przed sobą do izby chorych. Promień jego latarki węszył po wszystkich kątach. Wrzasnął: - Wszystko wstać!

Na piętrowych pryczach poruszały się z hałasem "łżejsze wypadki", na siennikach leżeli zobojętniali "ciężcy".

Kluttig zaświecił Zitkowskiemu latarką w twarz.

- Rozumiesz po niemiecku, ty psie? Zitkowski skinął głową: - Trochę.

Wszystko ma wstać! Jazda, prędzej! Powiedz im to - zamachał rękami. Zitkowski po polsku przekazał rozkaz. Chorzy wygramolili się z prycz i stanęli obok. Również więźniowie innych narodowości zrozumieli rozkaz i wyleźli z legowisk. Kluttig zaświecił do "szuflad".

- A co z tymi? - charknął brutalnie blockfuhrer wskazując na sienniki. Zitkowski wrzucił ramionami.

- Umierają albo już umarli.

Kluttig wrzasnął na Zitkowskiego: - Gównu! Zwlec ich z barłogów! - kopnął przy tym buciorem leżącego najbliżej. Polacy wzięli się do znoszenia ciężko chorych z posłań. Chorzy jęczeli. Trzeba było ich w kącie pokoju położyć jednego na drugim. Kluttig bezmyślnie tupał po siennikach, grzebał w nich buciorem, ale szukał nadaremnie.

Z krzykiem zagnał Zitkowskiego i flegerów z powrotem za przepierzenie i wrzasnął: - Gdzie macie dziecko? Jazda, dawać je tutaj, wy psy! - Flegery pochowali się po kątach, chroniąc się przed jego wściekłymi kopniakami. Zitkowski, zdumiony wciąż niezrozumiałym zniknięciem dziecka, jękał: - Żadne dziecko, gdzie dziecko? - Bez strachu przed Kluttigiem i block-führerem zerwał koc i siennik ze swego posłania. - Gdzie dziecko? - wołał rozglądając się zrozpaczony po pomieszczeniu.

Kluttig zrezygnował. Warcząc z wściekłości kopnął jeszcze Zitkowskiego i w asyście blockfuhrera pośpiesznie opuścił barak dla zakaźnie chorych.

Pozostali w baraku Polacy próbowali - o ile to było możliwe - w ciemnościach dojść z tym wszystkim do ładu. Szybko przywrócili porządek w izbie chorych, posłali "łżejszych" z powrotem na kojki, a ciężko chorych umieścili znów na siennikach. Gdy jednak potem wrócili do swego pomieszczenia, stanęli jak ogłupiali. Gdzie podziało się dziecko? Co za cud się stał? Jeszcze wieczorem Zitkowski wziął dziecko do siebie, a teraz zniknęło!

Nie mogło opuścić baraku. Nic, tylko cud boski. Czterech mężczyzn stało bezradnie naprzeciw siebie i nie znajdowało wyjaśnienia. Zitkowski powoli opuścił się na kolana, złożył ręce, pochylił głowę i zamknął oczy. - Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... Trzej flegery poszli za jego przykładem.

Z takim samym pośpiechem, z jakim wtargnął do obozu, Kluttig wrócił do siebie i natychmiast zatelefonował do Gaya. Ale Gay był już w swoim prywatnym mieszkaniu. Nie położył się jeszcze co prawda do łóżka, ponieważ i on rozpoczął przygotowania do ucieczki. Sortował właśnie papiery, palił całe stosy akt i załączników. W tym momencie osiągnął go telefonicznie Kluttig, który kazał się połączyć z prywatnym mieszkaniem gestapowca. - Co mówisz? - krzyczał Gay do słuchawki - nie można znaleźć? - Wściekłość uderzyła mu do głowy.

- Przeklęta hołota! - cisnął słuchawkę.

Pippig poruszył się. Wyprostował zgięte nogi. Krótka chwila przebudzenia była dobra, ale tylko do momentu, gdy wracająca świadomość pozwoliła mu zorientować się, gdzie jest i co się z nim stało. Jednocześnie wrócił ból, palący jak ogień na całym ciele. Ból groził ponownym zapadnięciem w niepamięć. Pippig zmobilizował wszystkie siły, walcząc o utrzymanie jasności umysłu; zdawał sobie bowiem sprawę, że zbliża się kres.

Skontrolował funkcję myślenia. Były w nim jeszcze myśli, rozpoznawał je zupełnie wyraźnie. Ale nie wiązały się ze sobą. Podniebienie miał suche, jakby oblepione papierem. Ale to należało do jego stanu i Pippig nie odczuwał potrzeby otrzeźwienia. Długo leżał bez ruchu, wsłuchując się ciekawie w swój ból. Gdy leżał na podłodze, ten byk kopał go czubkiem buciora w krzyż i biodra. Musiało być coś nie w porządku z nerkami. Tu chyba było zarzewie ognia. Czy umiera się z powodu odbitych nerek? Pippig dziwił się temu, ale myśl ta odpłynęła, a wynurzyły się inne. „Jak to dobrze, że ja te pistolety... jeszcze w porę... dzień później i...”

Jęknął. Przypomniał sobie o Rosem. Czy nie wzięli go na przesłuchanie? Przypomniał sobie, że w celi chybotał promień światła, słyszał jakieś głosy. Potem była cisza, wielka cisza. Pippig przeraził się. Ile czasu minęło? Mrok celi tkwił przed nim nieruchomo jak coś obumarłego. Gdzie jest Rose? Co działo się przez ten czas? Pippig czuł, że jego świadomość znów mętnieje, jak gdyby patrzył przez zmoczoną deszczem szybę, przez którą już nic nie widać. Poczul gorący, natarczywy strach.

„August!” - to wołanie było okropnym krzykiem, ale tylko we wnętrzu Pippiga, jak w sklepieniu. W rzeczywistości wydobyło się tylko tchnienie ze spieczonych warg.

Rosę, na granicy snu i jawy, poderwał się na sienniku i przerażony zaczął nadsluchiwać, niepewien, czy słyszał, czy też śniło mu się to wołanie. Wtedy usłyszał ponownie swoje imię tak słabo i tak spierzchłe, jak gdyby pokruszone na poszczególne litery. Jednym susem znalazł się przy Pippigu. Tamten poczuł coś żywego przy sobie i męczył się, by zmasać sprzed oczu mgłę. Nie udało mu się. Pippig nie wydobył już z siebie żadnego dźwięku. Czy to krew tak tętniła, co to tłukło się tak dziko w piersi? Oddech trzepotał.

Nagle na korytarzu rozległ się szybki tupot. Zbliżał się prędko. Zgrzytnął klucz w zamku, zapaliło się mętne światło pod sufitem i - ominąwszy SA-mana, który otworzył drzwi - wpadł do celi Gay i rzucił się z pięściami na Rosego, który stracił równowagę i upadł do tyłu.

- Ty, świński psie, ty przeklęty! Oszukałeś mnie! - potrząsał Rosem jak gałęzią. Za drzwiami innych cel obudziło się życie. Pozostałych ośmiu więźniów z Effektenkammer, wyrwanych ze snu, przywarło do drzwi cel.

Gayem targała wściekłość. Szarpał Rosego, włóczył po celi, krzyczał, bił, kopał. Rose nurkował pod spadającą nań lawiną, rękami osłaniając głowę i jęcząc żałośnie:

- Ja wszystko panu powiedziałem, panie komisarzu. Proszę, proszę! Więcej nic nie wiem.

- A kto wie? - wrzasnął Gay i zagnał Rosego pięściami do kąta.

- Nie bić, panie komisarzu! Pippig wie, on wie wszystko. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

Oślepiiony wściekłością Gay ściągnął Pippiga z pryczy. Ciało pozostało nieruchome na podłodze. Przejęty tchórzliwym strachem Rosę zaczął błagać o pomoc.

Skoczył do niego SA-man i uspokoił ciosami gumowej pałki: - Zamkniesz mordę?

Gay wrzeszcząc zaczął kopać nieruchome ciało. Na ślepo, gdzie Hbucior trafił.

- Mów, człowieku, bo cię roztratuję! - jak wariat masakrował ciało butami.

Ale śmierć była dobroczynna. Dawno już położyła ochraniająca dłoń na tym niegdyś tak radosnym sercu...

Więźniowie w innych celach przywarli do drzwi. Usłyszeli, jak tamtą celę zamknięto, i gdy zaczęły się zbliżać mocne kroki, odskoczyli od drzwi. Potem stali oddychając ciężko i szukając się nawzajem wzrokiem w ciemnościach, aż skończyła się straszna chwila w nocnej ciszy. Nie mówili do siebie ani słowa, ale ich myśli kotłowały się.

Już wczesnym rankiem blokowi, którzy przynieśli Kramerowi meldunki na poranny apel, dopytywali się:

- Co to stało się w nocy w Małym Lagrze?

- Podobno Kluttig był na 61...

- Czy to prawda, że szukał dziecka?

Bochow, który przyniósł meldunek zamiast Runkiego, by móc pogadać z Kramerem, wziął udział w ogólnej rozmowie, chcąc za pośrednictwem Kramera zdobyć informacje.

- Wiesz co, idź na Mały Lager i dowiedz się, co tam zaszło.

Kramer wyczuł ukryte polecenie, burknął coś, by je zamaskować, udając niezainteresowanego. Ale niepokój i niepewność nękały go tak samo jak Bochowa, ponieważ dzisiejszej nocy znowu ktoś szarpnął za sieć, która rozciągnęła się nad Hóflem, Kropińskim, nad Pippigiem i nad pozostałymi aresztowanymi, nad czterema Polakami z bloku 61 i wreszcie nad MKO i całym aparatem. I wszyscy oni chroniący się pod tą siecią musieli zdobyć pewność, że nie została uszkodzona.

Jak co dzień tak i dzisiaj odbywał się odmarsz na apel. Jak zawsze, ogromny kwadrat stał równiutko i jak zawsze rozpadł się na rozkaz Reinebotha: "Arbeitskommandos antreten!" Z hałasem i w zamieszaniu formowały się grupki komand, maszerując potem za bramę, eskortowane przez uzbrojonych w karabiny wartowników. Inne komanda szły wzdłuż placu apelowego do obozowych warsztatów i budynków administracyjnych.

Ale od dnia wczorajszego jak gdyby sphywał ze szczytu góry nowy prąd powietrza. Wdychały go tysiące i tysiące płuc. Gdzieś w oddali coś się działo. Dochodził skądś tam

szczęk zbliżających się czołgów, od których drżała ziemia. Tysiące ludzi na górze zdawały się odczuwać wibracje, tak jak dalekie trzęsienia ziemi. Od chwili gdy plotka o ewakuacji przebiegła obóz, wszystko to, co odczytywali dotychczas ze zniszczonych map, co słyszeli jako komunikaty frontowe z głośników na blokach, za jednym zamachem zamieniło się w bezpośrednio ich dotyczącą rzeczywistość.

Kluttig, Reineboth, arbeitsdienstführer oraz sfera blockführerów, wszyscy stali za kutą w żelazie bramą obozu. Rozstawili nogi, dłonie oparli na biodrach albo też założyli ręce na piersiach. W milczeniu obserwowali defilujący przed nimi strumień ludzki. W badawczych spojrzeniach, które prześlizgiwały się nad ogolonymi głowami więźniów, płonęły ukryte myśli.

Komando za komandem przechodziło koło nich, z czapkami w dłoni, z rękami przyciśniętymi do ciała i wzrokiem skierowanym w przód.

Pod ochroną tłumy i jego pasiastej anonimowości maszerowało wielu członków grup oporu. Ich palce trzymające obecnie trzon łopaty niejednego wieczoru obejmowały w piwnicy kolbę karabinu. Tak jak uczył ich tego instruktor, ten, którego celę w bunkrze akurat mijali. Szli z podniesionym czołem, kryjącym ich własne myśli. Tkwiły jeszcze głęboko, głęboko, ale stawały się już zaczynem przyszłości tak bliskiej, że można ją było dotknąć niemal, wyciągnąwszy rękę. Ale tymczasem ręce przylegały jeszcze mocno do ciała. Maszerujący mężczyźni znali myśli kryjące się za spojrzeniem tych, którzy przyglądali się im w przemarszu. Tamte myśli i ich myśli były tak odległe od siebie, jak ciała niebieskie. Ale kiedy się zderzą...

O Buchenwald, nie szloch nam ani jęki, Nie trzeba też pociechy słodkich słów. I powiem życiu wbrew wszystkiemu: dzięki! Bo dla nas przyjdzie kiedyś wolność znów!

Jak zawsze, tak i dzisiaj pieśń obozowa unosiła się nad wygolonymi głowami, jak potajemna flaga nad kolumną marszową komand idących do pracy.

Zanim jeszcze ostatnie komando minęło bramę, Reineboth i Kluttig wycofali się do biura rapportführera. Nie wpuszczali nikogo. Z westchnieniem Kluttig opadł na krzesło. Denerwował się nocnym niepowodzeniem.

- Ta hołota musiała się skapować, kiedy szedłem do lagru - mruknął. - Ale czy mogę się uczynić niewidzialnym? - Reineboth położył księgę raportów na stół.

- A może też oszukali twojego Gaya i to z 61 blokiem wcale nie jest prawdą?

Kluttig gwałtownie się pochylił i wrzasnął: - A któż mnie napuścił na gestapo?

Reineboth bronił się: - A czy ci nie mówiłem, że będą przerzucali dziecko jak piłkę, a ty będziesz latał w kółko jak pies za własnym ogonem?

Zapalił papierosa.

- Rozwał wszystkich z listy, jak ci to kazał Schwahl. Przynajmniej będzie coś uchwytne.

Właśnie przez to ta dupa mnie ujawiła - burknął ze złością Kluttig - a ja pomagam mu jeszcze pozbyć się tego świństwa bez zwracania uwagi.

- To wcale nie jest takie głupie z jego strony - zauważył Reineboth, podchodząc do mapy. Przyjrzał się jej, wyciągnął jedną ze szpilek o kolorowych główkach, tkwiącą na mapie w punkcie oznaczonym nazwą Treysa, i wetknął ją w inny punkt, oznaczający miejscowość Hersfeld. Zgodnie z przyzwyczajeniem wsadził palec w dziurkę od guzika i zaczął z namysłem wystukiwać palcami marsza.

Potem odwrócił się do Kluttiga i spojrzał na niego. Tamten zauważył manipulację ze szpilkami na mapie. Reineboth rozparł się niedbale za stołem, rozstawił nogi i oparł łokcie o stół.

- Na ogół jestem zdania, że to, co robi nasz dyplomata, nie jest znowu tak bez racji...

Nagłym ruchem Kluttig poderwał głowę, aż zabolął go kark. Wstał, podszedł do Reinebotha i stanął przed nim w całej okazałości.

- Czy chcesz przez to powiedzieć... Wpatrywali się w siebie.

- Aha - zakpił Kluttig - dyplomata nr 2.

Reineboth uśmiechnął się złośliwie. Kluttig napadł na niego: - A kto niedawno bił się w piersi: Jak długo noszę ten mundur...

Reineboth odparł: - Taak, jak długo jeszcze...

Kluttig zjadliwie wysunął podbródek. Refleksy jego grubych szkieł zaostrzyły się.

Walnął pięścią w stół: - Jak długo będę żył, pozostanę tym, kim jestem!

Reineboth zgniół papierosa w popielniczkę i podniósł się elegancki i zwinny.

- Ja również, tylko... - uniósł brwi - tylko w zmienionych warunkach.

Postukał palcem w mapę. - Hersfeld - Erfurt - Weimar... - uśmiechnął się cynicznie do Kluttiga.

Mamy dziś 2 kwietnia. Ile dni nam jeszcze pozostało. Aż tyle? Jak sztukmistrz ukazał Kluttigowi swoje dziesięć palców.

- Czy też tyle? - zacisnął prawą dłoń w pięść. - Albo tyle? - zginał jeden palec za drugim lewej ręki. - Angielskiego się ucz i na kolana - powiedział jak już niegdyś.

- Ty, chytry psie! - syknął Kluttig.

Reineboth roześmiał się, nie czuł się bynajmniej urażony. Sądząc, że pozostawiony jest sam sobie, Kluttig fuknął: - Pozostało nas tylko dwóch, Kamloth i ja.

- Kamloth? - Reineboth sceptycznie przekrzywił głowę. - Na nim nie polegaj! Jedyne, czego chce, to tylko jak najwygodniej zwiąć.

Kluttig dał wyraz swojej bezsile. - A ja pozostanę!

- Jak to? - zapytał Reineboth, świadomie interpretując fałszywie odpowiedź tamtego. - Chcesz tu zostać?

Kluttig syczał: - Tygodniami całymi łączę za tą bandą, a teraz, kiedy wpadłem na trop, mam wiać jak tchórz? - wyrwał z kieszeni listę i podszedł do mikrofonu.

Reineboth zdumiał się. - Co chcesz zrobić?

Kluttig machał listą w powietrzu. - Sprowadzę ich natychmiast, pošę do kamieniołomów i rozwałę!

- W obecności wszystkich? W kamieniołomach pracuje 300 więźniów, chłopie!

- Wszystko mi jedno! - wrzasnął Kluttig.

Reineboth zabrał mu listę. - Wykonać rozkaz mądrze i precyzyjnie, Herr Lagerführer!

Kluttig fuknął: - A może mam ich potajemnie, cichuteńko, spokojniutko...

- Wcale nie - odpowiedział Reineboth z mądrą wyższością - to wszystko będzie się działo najzupełniej oficjalnie. Lista powędruje do szrajbsztuby, zupełnie oficjalnie. Zrozumiano, Herr Lagerführer? Wszyscy wymienieni więźniowie mają się stawić jutro rano przy okienku nr 2.

Reineboth zmrużył oko. - Zwolnienie, you understand, mister? Hasło: do domu! Samochód, eskorta, lasek, salwa - koniec! Reineboth wetknął listę do księgi raportów.

- Mądrze i precyzyjnie, tak jak to powiedział nasz dyplomata.

I tym razem, jak zawsze, Kluttig musiał uznać wyższość chytrego młodzieńca. Uczynił to, ale nie powstrzymał się od jadowitej uwagi: - Ty dobrze pasujesz do tego dyplomaty.

- Na odwrót - sprzeciwił się Reineboth z właściwą mu gładkością - tylko od wczoraj wieczora zmądrzałem o niejedno.

Zadzwoił telefon. Wzywano Kluttiga. Reineboth podał mu słuchawkę.

Przy aparacie był Gay. Stojący obok Kluttiga Reineboth słyszał całą rozmowę, ponieważ głos ze słuchawki rozbrzmiewał w pokoju.

Gay oświadczał, że nie chce mieć nic więcej wspólnego z tą historią z dzieckiem. Jeden z tej hałastry umarł nocą im na rękach. Pozostałego śmiecia nie chce więcej trzymać u siebie.

Kluttig coś bąknął.

Reineboth odebrał mu słuchawkę i zameldował się.

- Oczywiście, kolego Gay, zabierzemy te śmieci, poślę samochód. Oczywiście tego zmarłego też zabierzemy, pójdzie u nas z dymem - odłożył słuchawkę.

- Tak więc mamy ich wszystkich znów w kupie. Pozostaje jeszcze Hófel i ten... jak on tam się zwie. A co... zapomniałeś o tej dwójce?

- Po co oni są nam jeszcze potrzebni? - burknął Kluttig. Reineboth otworzył drzwi i krzyknął w korytarz:

- Hauptscharfuhrer Mandrak do rapportfuhrera. - Wartownik przy bramie przekazał rozkaz. Gdy Mandryl wszedł, Reineboth poczęstował go papierosem.

- Myśli pan, że z Hófla i tego Polaka uda się jeszcze coś wycisnąć?

Mandryl wziął papierosa i wetknął go za ucho. Jego twarz wyrażała zupełną obojętność.

Odpowiedział znużony: - Mogę ich tylko ukatrupić.

- Zgoda, są nam już niepotrzebni. Zrób pan, co pan uważa, życzę wiele przyjemności. Na bezkrwistych wargach Mandryla zarysował się ironiczny grynas.

Zitkowski był wciąż jeszcze zdetonowany. Kramerowi, który do niego przyszedł, przysięgał, że dziecko leżało obok. Czuł je wyraźnie za plecami. Odrzucił koc, by zademonstrować Kramerowi. Opowiadał: - Kluttig kazać koc odciągnąć i naraz dziecka nie ma. - Z podniecenia drżały mu usta, a oczy błęgały: Gdzie dziecko?

Kramer bąknął coś zakłopotany. - Ba, gdybym to wiedział! |Może ukryło się gdzieś? Przeszukaliście wszędzie?

- Wszędzie.

Namyślając się Kramer wysunął dolną wargę.

- Czy był tu ktoś u was? A może ktoś z bloku, kto nie ma tu nic do roboty, szwendał się po waszym pomieszczeniu?

Zitkowski zaprzeczył.

Więcej pytań Kramer nie miał. Sam nie znajdował wyjaśnienia dla tajemniczego zniknięcia dziecka. Coś tam przypuszczał, że MKO... Ale przypuszczenie to pozbawione było podstaw. Przecież Bochow wiedziałby coś o tym. A właśnie on żądał tak natarczywie informacji o dziecku.

Gdy Kramer odszukał Bochowa na bloku i zakomunikował mu o bezowocnych poszukiwaniach, ten był nie mniej bezradny. Dziecko zniknęło i trzeba było się z tym faktem pogodzić. Ale czyja ręka tu działała?

Nie tyle zagadkowe zniknięcie dziecka, ile fakt, że stało się to bez wiedzy MKO, zaniepokoił Bochowa. Mógł to być tylko towarzysz z ich kręgu. Ale kto? Czyżby ten

wiecznie niesforny Pribula? Czy też dobroduszny van Dalen? Albo rozumny Bogorski? Gdyby nawet któryś z towarzyszy znalazł jakiś lepszy schowek dla dziecka, mimo to obowiązkiem jego byłoby zakomunikować o tym MKO. Samowolne działanie równało się złamaniu dyscypliny. Bochow nie podzielał satysfakcji Kramera z powodu wpadunku Kluttiga.

- A skąd wiedział, że dziecko jest na 61? - zapytał.

- Było tam - odpowiedział Kramer, a oczy śmiały mu się. - Burczysz na złamanie dyscypliny? Lepiej ciesz się, że jakiś nieznany człowiek usłyszał, co w trawie piszczy. Co byłoby, gdyby Kluttig znalazł maleństwo?

Jego gest świadczył, że nie chce nawet o tym myśleć. Pełen złośliwej radości wzruszył ramionami. - Teraz już nikt nie wie, gdzie jest maleństwo. Czy to dobrze? - pytał ponuro milczącego Bochowa i sam odpowiadał potakując: - Tak, to dobrze!

Bochow popatrzył za oddalającym się Kramerem, na którego twarzy malowała się radość z powodu wsypy Kluttiga.

Ale przecież nie o dziecko chodziło. Psiakrew! Chodziło o to, że łańcuch został przerwany! Bochow zacisnęła wargi. Kto go przerwał, jeśli nie Bogorski? Wciąż na nowo narastało w nim to podejrzenie, choć nie miał żadnego dowodu. Z równym powodzeniem mógł to zrobić każdy z pozostałych. "A gdyby, gdyby on, Bochow, to zrobił?" - przyłapawszy się na tej myśli, obserwował siebie jakby w lustrze. Komu miałby prawo o tym powiedzieć? Nikomu! Łańcuch można zatopić tylko we własnej piersi i zakotwiczyć go na głębokim dnie milczenia.

Złamanie dyscypliny?

Tak, to niewątpliwe.

Ale złość ustępowała. Bochow zrozumiał teraz, że czyn milczącego nieznajomego był słuszny i głęboko ludzki. Uświadomił sobie, również, że milczący nieznajomy osłonił ich wszystkich. Wiedziały, że tamten musiał złamać dyscyplinę. Dlatego, że zawsze decyduje, ważniejszy obowiązek.

Bochow głęboko odetchnął. Wsadził ręce w kieszenie. Rozmyślając długo jeszcze stał pod drzwiami. Potem powoli wrócił na blok.

Z troską obserwował Förste Mandryla udającego się do Reinebotha. Czy dotyczy to tych dwóch, których wziął w opiekę? Podeszedł do ich celi i popatrzył przez judasza.

Hófel i Kropiński stali nieruchomo, twarzą do drzwi. Choć Hófel przyszedł na tyle do siebie, że mógł się znów utrzymać na nogach, jednakże widać było po nim, jak go to męczy. Każda chwila stójki wymagała mobilizacji niesłychanej ilości energii fizycznej i duchowej.

Fórste zauważył, że ciało Hófla lekko się chwieje. Mandryl zaostrzył jeszcze torturę, rozsypując wokół nóg więźniów kolorowy proszek. Biada, jeśli spostrzegł, że przesunęli stopy. Bił ich potem niemiłosiernie i - co jeszcze straszliwsze - pozbawiał na dzień jedzenia.

Fórste zamknął judasza, będąc przeświadczony, że tamci pewni, że nie są obserwowani, oprą się ostrożnie o siebie. Nie mógł im nawet słowem dodać odwagi, ponieważ w celach naprzeciw siedzieli SS-mani z jednostki, aresztowani za jakieś przewinienia. Przed nimi Fórste musiał się mieć na baczności.

O czym mówiono w pokoju Reinebotha?

Gdy Mandryl wrócił, Fórste nieufnie śledził każdy jego ruch. Mandryl poszedł do swego pokoju i pozostał tam przez dłuższą chwilę. Fórste celowo zwlekał ze sprzątnięciem korytarza do powrotu Mandryla, by móc go lepiej obserwować. Teraz zamiatał w pobliżu celi Hófla. Mandryl wyszedł ze swego pokoju, w ręku trzymał dwie liny, na których zrobił pętle.

W Fórstem zamarło serce. Niby obojętnie, ale z napiętą uwagą robił swoje.

Mandryl wszedł do celi. Fórste zamiatał i nadśluchiwał. Mandryl obszedł obydwu aresztantów kontrolując, czy nie ma śladów na proszku. Nie odkrył nic.

Chodził wokół więźniów bijąc się po cholewach linami. Wreszcie zatrzymał się. Na twarzy Kropińskiego odmalowało się przerażenie, oczy rozszerzyły się. Przelykał wciąż ślinę ze zdenerwowania. Mandryl studiował twarz Polaka z zimną ciekawością człowieka niezainteresowanego. Hófel zbladł. W miejscach, gdzie na skroni zacisnęły się niegdyś cęgi, gorąco i boleśnie tętniła krew.

Zdawało mu się, że upadnie, gdyż on również zauważył pętle. Przeniknęła go straszliwa myśl: teraz umrę. Pod wpływem lodowatego powiewu, który wtargnął do celi wraz z wejściem tego niesamowitego człowieka, Hófel zadygotał. Przez dłuższą chwilę Mandryl obserwował Hófla bez słowa. Myślał: "Czy Będzie się bronił, kiedy mu zarzucę pętlę na szyję?" Zaraz potem zaczął mówić. To, co mówił, było więcej niż osobliwe.

- Hitler - powiedział - jest dupa! Spieprzył nam tę wojnę. Za parę dni będą tutaj Amerykanie. - Towarzyszył temu jakiś bezdźwięczny śmiech. Ale na twarzy nie było ani śladu uśmiechu.

- Z tego, co sobie kombinujecie z Amerykanami, nici! Ja tu jeszcze wykończę wszystko w bunkrze. Was dwóch zostawiam na sam koniec! - Wydało mu się, że powiedział już za dużo. Bez słowa założył obydwom pętle na szyje i zaciągnął je mocno, tak jakby wiązał krawat.

- Tak będziecie je mieli na sobie aż do końca. Pięć minut przedtem, zanim stąd zwięję, przyjdę i... kchch - charknął przez zęby, czemu towarzyszył odpowiedni gest. Znów zamilkł, obserwując udekorowanych linami. Ale chciał jeszcze coś powiedzieć.

- Jeżeli wcześniej powieszcie się sami, kopnę was jeszcze w dupę za pozbawienie mnie ostatniej przyjemności. - Więcej nic nie wydobył z siebie.

Z tą samą niesamowitą powolnością, z jaką wszedł do celi, opuścił ją teraz. Na korytarzu wyjął papierosa zza ucha i zapalił. Bezmyślnie popatrzył na kalifaktora i wreszcie poszedł do swego pokoju.

Fórste zebrał na szuflę zmiecione śmieci i wrzucił do stojącej w kącie skrzyni.

Mimo że już od dłuższego czasu byli sami, straszliwe przeżycie wciąż jeszcze wyciskało piętno na obu więźniach. Hóflowi wydawało się, że krew zaczyna mu teraz powoli na nowo krążyć w żyłach. Odczuwał z ulgą oddalanie się i zanikanie straszliwej myśli, która tamowała wszystkie odruchy życia. Uświadomił sobie, że znów oddycha, i wciągnął głęboko smród celi, tak jak gdyby to było świeże powietrze.

Bracie... - szepnął Kropiński stojący za nim.

To proste słowo znalazło drogę do serca Hófla. Nie mógł odpowiedzieć, ale wyciągnął rękę do tyłu. Polak ujął ją łagodnie. Przenikała ich radosna świadomość życia. Ich milczenie było czymś więcej aniżeli słowa.

Już w porze obiadowej Reineboth wezwał przez megafon do siebie kapo ze szrajbsztuby. Przekazał mu listę.

- Te ptaszki mają się stawić jutro rano przy okienku nr 2. Z umyтыми nogami, zrozumiano? Niech nie mówią o nas, że wysyłamy brudasów do domu.

Zwolnienia!

Od lat już nie zwolniono żadnego politycznego. Wróciwszy do szrajbsztuby, kapo przestudiował listę. Zawierała 46 nazwisk blokowych, kapów i innych funkcjonariuszy lagrowych, znanych wszystkim w obozie jako długoletni, godni zaufania więźniowie. Wyczytał również własne nazwisko, jak i drugiego lageraltestera Prólla.

Coś tu się nie zgadzało.

Poszedł z listą do Kramera, zastał tam też Prólla. Po przeczytaniu listy Kramer gorzko się zaśmiał.

- Zwolnienia? Od razu cała kupa? I to tuż przed ewakuacją? To jakiś bandycki chwyt!
- krzyknął. - To jakiś przeklęty podstęp!

- Muszę wypisać przepustki do okienka nr 2. Co mam robić? - zapytał kapo.

Proll zaczął się domyślać. "Chcą nas rozwalić". Spojrzał znacząco na Kramera. Ale ten nie chciał potwierdzić przypuszczenia, choć i w nim zakiełkowała ta myśl.

- Odczekać - powiedział obojętnie - nie rób nic, póki nie dostaniesz ode mnie wskazówek. - Zwrócił się do kapo: - Podyktuj mi nazwiska, przepiszę je sobie.

Ręka jego nie zdrząła przy pisaniu mimo niesłychanego podniecenia. Nagle stało się dla niego zupełnie jasne - nie potrzebował żadnego dodatkowego dowodu - że tych 46 ma być rozstrzelanych. Ale dlaczego jego nie było na liście, mimo że był uważany przez tych tam na górze za przywódcę? Czy tych 46 należało do MKO? Bochow o tym wie, trzeba z nim pogadać. Poszedł na blok Bochowa.

Dobrze się złożyło, że sztabowi byli akurat w drodze do kuchni z pustymi kotłami. Przed Runkim nie musiał się ukrywać. - Chciałbym sobie obejrzeć, jak u was posłane są łóżka - powiedział Kramer - chodź, Herbert, ze mną do sypialni. - Pretekst. Miało to wyjaśnić obecność Kramera na wypadek, gdyby nieoczekiwanie zjawił się blockfuhrer. W sypialni Kramer porozumiał się w paru słowach z Bochowem i podał mu przepisaną listę. Bochow czytał ją bez słowa.

- Czy ktoś od was jest tu na liście? - zapytał Kramer. Bochow potrząsnął głową. - Ani jeden.

- Dobrze - odpowiedział Kramer uspokojony. Szli powoli w głąb sypialni, Kramer oglądał łóżka.

- Co teraz? Chcą ich rozwalić, to jasne.

Kramer wyglądał jakiś koc. Bochow oddychał z trudem. Do łańcucha niebezpieczeństw dochodziło teraz nowe ogniwo. Kto zakapował tych 46? Skąd to mogło się wziąć? Kluttig - Reineboth - Zweiling? A może ten kapuś z Effektenkammer...

- Co teraz? Mówże! - naciskał Kramer. Zatrzymali się.

- Tak, co teraz? - westchnął Bochow. Kartka papieru, którą trzymał w dłoni, wymagała decyzji, jakiej nie podejmowano jeszcze nigdy przez długie lata niewoli. A tu trzeba było ją powziąć w ciągu kilku godzin. Jutro rano będzie za późno. Musiał z miejsca pomówić z towarzyszami z MKO. Ale jak ich zawiadomić? MKO powinien się zebrać natychmiast. I to nie w piwnicy, do której dostęp był tylko po ciemku.

Bochow tarł czoło, męczył się. - Muszę porozmawiać z towarzyszami, teraz, już - powiedział - musimy wykorzystać alarm lotniczy, inaczej nie da rady.

Od tygodni już, stale w porze obiadowej, nie wcześniej i nie później, przelatywały tędy na Turyngię, Saksonię i Brandenburgię amerykańskie eskadry bombowe. Przeloty następowały tak punktualnie, że można było według nich nastawiać zegarki. Przy słonecznej

pogodzie roje samolotów błyskały wysoko na niebie jak ptaki i tylko dźwięczny przyśpiew zwiastował niebezpieczeństwo. Dlatego też codziennie ogłaszano alarm. Komanda przyzwyczyła się już do szybkiego powrotu do obozu; jeszcze podczas wycia syreny pędziły przez plac apelowy. Po paru minutach obóz był jak wymieciony. Tylko na wieżyczkach stali strażnicy, wpatrując się w niebo. Często mijały całe godziny, zanim syrena zawyła ponownie, odwołując alarm.

Wtedy obóz odżywał.

Bochow bił się z pewną myślą. Spojrzał na Kramera. - Musisz mi przy tym pomóc. Nie wolno mi właściwie wymieniać żadnego nazwiska towarzyszy, ale... cóż mi pozostaje innego?

Kramer rozumiał, jak ciężko przychodzi Bochowowi decyzja. Dlatego powiedział:

- Nic się nie bój, nie zapamiętam tych nazwisk. Rozumiem cię i towarzysze też to rozumieją. Chodzi o śmierć i życie. Bochow skinął Kramerowi z wdzięcznością.

- Słuchaj więc! Idę natychmiast na rewir i pogadam z kapo. On wie, o co chodzi. Musi nam przygotować miejsce, gdzie nam nikt nie przeszkodzi. Dam ci potem znać, a ty musisz za mnie... widzisz, tak to już jest... a więc, ty musisz za mnie pójść do łaźni - nie wolno, żeby mnie tam widzieli.

- Mów już, kogo mam zawiadomić?

- Bogorskiego. - Bochow cicho wymówił to nazwisko. - Jak będzie alarm, niech idzie nie na swój blok, ale na rewir.

- Dobrze - skinął Kramer.

- Jak mamy się umówić, żebym ci mógł podać miejsce? - zastanawiał się Bochow i powiedział:

- Za dziesięć minut spotkamy się na drodze do rewiru w pobliżu mojego bloku.

Kramer zgodził się.

Z Riomanda, który w czasie alarmu nie wracał do obozu, trzeba było zrezygnować. Van Dalena było łatwo powiadomić, Kodiczka i Pribulę można było złapać po drodze.

Gdy Bochow wracał z rewiru na swój blok, Kramer szedł mu już naprzeciw. Zatrzymali się na moment, jakby dla przywitania się.

- OP 2 - powiedział Bochow szybko. Kramer skinął głową i rozeszli się każdy w swoją stronę. OP 2 - to była druga sala operacyjna. Ponieważ znajdowała się w górnej kondygnacji, w rozbudowanej przed paru laty części rewiru, nikt tam w czasie alarmu nie przychodził.

Punktualnie, niemal co do minuty, zawyła syrena. Zaczął się normalny bałagan na placu apelowym i na uliczkach między blokami.

Bochow stał na posterunku szukając wzrokiem Kodiczka i Pri-buli. Złapał ich idących wspólnie na blok.

- Chodźcie ze mną - szepnął do nich.

- Co jest?

- Chodźcie ze mną - powtórzył z naciskiem i pobiegł.

Na moment zdumieni się, ale zaraz potem pośpieszyli za Bochowem, który pobiegł w tłumie więźniów drogą na rewir.

Nigdy jeszcze towarzysze z MKO nie byli tak podnieceni jak dzisiaj.

Głógów padł. Po obu stronach Teddenburga w Teutoburger Wald trwały zaciekle walki. Aliantom udało się wbić klin w kierunku Herford. Podobno w okolicach Warburga i nad Werrą przedarli się aż na północ od Eisenach... Jeżeli te wiadomości przyniesione przez Kodiczka i Pribulę potwierdzą się, nie ulega wątpliwości, że rozstrzelanie tych 46 pomyślane jest jako przygotowanie do ewakuacji. Mogła nastąpić w każdej chwili.

Nagle syrena zawyła ponownie na znak alarmu. Zgromadzeni w kącie sali operacyjnej towarzysze zaczęli nadśluchiwać. Brzęczenie samolotów unosiło się nad milczącym obozem. Tym razem musiał to być potężny nalot. Nikt nie odezwał się ani słowem.

Bogorski przyglądał się ich zamkniętym, nieruchomym twarzom. Bochow patrzył przed siebie, oparłszy głowę na dłoniach. Van Dalen wsparł głowę o ścianę, na jego twarzy odbijały się myśli jak kręgi światła.

Oczy Pribuli były twarde i nieruchome, usta zaciśnięte. Kodiczek spostrzegł wędrujące spojrzenie Bogorskiego i spuścił oczy. Co kryło się za powszechnym milczeniem? Bogorski popatrzył na Bochowa. Ale ten też milczał.

Huk eskadr lotniczych zamarł w dali. Gdzieś w jakichś miastach syczało i gwizdało rozrywane spadającymi bombami powietrze.

Brunatnożółte kłęby żaru wznosiły się po wybuchach leniwie ku niebu, strząsając z siebie rozbite strzepy wraz z gradem kamieni.

Gdzieś tam wśród krzyczących i błędzących ludzi, gdzieś tam, z dala od obozu - szalała furia. Ale tutaj, w kącie sali operacyjnej, przykucnęła grupka mężczyzn. Między nich i te 50 000 z obozu los rzucił garść ludzi, 46, aby wypróbować tę przykucniętą w kącie piątkę, jak niegdyś szatan Chrystusa na Górze... Bo jeśli jutro rano tych 46 umrze, to...

Bogorski nie czekał już, by się ktoś odezwał. Przerwał milczenie i powiedział to, co myśleli wszyscy. Jeżeli jutro rano rozstrzelają tych 46, wtedy pomyślą, że rozstrzelali rzekomy MKO!

- Wtedy - ciągnął - faszyci będą myśleli, że rozdeptali głowę organizacji i mają już wolną rękę do ewakuacji. Ale my, towarzysze, pozostaniemy i aparat nie pozostanie bez kierownictwa. Możemy uratować ludzi, wiele ludzi, gdy tych 46 umrze za nas, za nas i za 50 000!

Czy nie będzie to dobrze?

Van Dalen uniósł brwi, Kodiczek znów opuścił oczy, Pribula zaczął kłąć, inie umiał siedzieć cicho. Ponieważ nie mógł się poderwać, by nie zobaczono go przez okno, kręcił się niespokojnie na miejscu.

- Nie - powiedział Bochow wprost i spojrzał Bogorskiemu w twarz. To "nie" było jak klucz do wszystkich serc. Pribula chciał powiedzieć bardzo dużo, ale zdobył się tylko na powtórzenie niemieckiego nein po polsku. - Nie, nie! Nie! - syczał gorąco. Teraz również Bogorski oparł się o ścianę, zamknął oczy, znużony i jakby wyzwolony.

Bochow zaczął mówić o czym innym.

- Od tego dziecka, towarzysze, zaczęły się nasze nieszczęścia. Teraz dziecko zniknęło bez śladu. Kto je zabrał? Mógł to zrobić tylko ktoś z nas. To jest polskie dziecko. Czy to ty, Józek? - zapytał Pribuli. Młody Polak zamachał przerażony rękami. - Ja? Ja sam pytać, gdzie jest dziecko.

- Czy to ty, Leonid?

Bogorski otworzył oczy i powiedział przekonująco: - Ja nie zabrałem dziecka.

Również van Dalen i Kodiczek zapewnili o tym samym. Wszyscy mówili prawdę. Bochow miał na to wyczulone ucho. Pozostawało zatem podejrzenie w stosunku do nieobecnego Riomanda. Wszyscy, Bochowa nie wyłączając, byli zdania, że to jednak nie Francuz. Bochow, zrezygnowany, rozłożył ręce. - No, dobrze, może to Kramer je usunął. Niech dziecko tkwi gdziekolwiek, wszystko jedno, kto to zrobił. Nie ma go, zniknęło, koniec. Ale muszę wam coś powiedzieć. - Bochow położył rękę na piersi. - Wiele się we mnie zmieniło. Moje serce, towarzysze... - zmusił się do przyznania.

- Gdy dostarczono mnie tutaj, zostawiłem swoje serce wraz z rzeczami w Effektenkammer. Wydawało mi się ono zbędnym i niebezpiecznym przedmiotem, tutaj nie do użycia. Serce tylko osłabia i czyni miękkim, myślałem, i nie mogłem Hóflowi wybaczyć, że... - Bochow przerwał i jakby się zastanawiał. - Jestem przedstawicielem niemieckich

towarzyszy w MKO, poza tym jestem wojskowo odpowiedzialny za międzynarodowe grupy oporu.

Wyróżniliście mnie powierzając mi tę funkcję, jestem dobrym towarzyszem, nieprawdaż? Czy jestem złym towarzyszem?

Wzbraniał się, gdy towarzysze nie chcieli przyjąć jego wyznania.

- Chcę wam to powiedzieć, musicie wysłuchać! Musicie wiecie, że byłem zarozumiały. Wydawało mi się, że jestem najrozumniejszy. A to było tylko zarozumiałstwo i twardość, bezduszna twardość! Od czasu gdy dziecko znalazło się w obozie i coraz więcej ludzi zaczęło układać swoje serca jak wał ochronny wokół tego małego życia... Hófel, Kropiński, Walter Kramer, Pippig i jego koledzy, polscy flegery na bloku 61, wy sami, ów nieznajomy... od czasu jak to się dzieje, towarzysze, i żaden Kluttig ani Reineboth nie potrafi przerwać tego wału, wiem, jak wielcy jesteśmy w swoim ponizeniu, wiem, że Hófel i Kropiński mocniejsi są od śmierci.

Wyznanie Bochowa było skończone. Wszyscy milczeli wstrząśnięci. Bogorski opuścił głowę na piersi, wyglądał, jakby spał. Pribula przysunął się na kolanach do Bochowa. Objął go i załkał na jego ramieniu. Bochow przycisnął młodego Polaka do piersi.

Na dworze panowała cmentarna cisza. Alarm ciążył nad obozem.

Bochow oswobodził się z uścisku Pribuli. Był znów rzeczowy i chłodny. - Musimy zdecydować - powiedział. - Zanim coś postanowimy, powinniśmy to dokładnie przemyśleć. Czy istnieje możliwość uratowania tych 46 kolegów! Nieprawdaż, Leonid, ty też myślisz o tym samym?

Bogorski podniósł głowę, jakby się budził. - Właśnie o tym myślałem - (powiedział wprost. - Ale musiałem zejść głęboko do naszych serc, gdzie zasypane są odwaga i człowieczeństwo. Nie może umrzeć 46 kolegów. Żyć! Albo umrzeć razem z nami! Tak ja myślę.

Van Dalen przyznał: - Również i ja myślałem, że jeżeli oni umrą, to... - nie skończył zdania, skinął Bogorskiemu i zdecydowanie kontynuował: - Tych 46 kolegów zostanie wziętych pod ochronę MKO! Ukryjemy ich! W rewirze możemy ukryć wielu z nich. Pozostałych ukryjemy w obozie. Jest dość takich kątów.

- A potem? Co będzie potem? - zapytał Kodiczek. Nie ze strachu, ale z troską. Ale Pribula źle go zrozumiał.

- Tchórzysz? - krzyknął. Bochow objął młodego Polaka.

- Młody przyjacielu, czy musimy od razu tchórzyć, jeżeli będziemy ostrożni? Tak, towarzysze, tych 46 bierzemy pod ochronę MKO i nie wydamy ich!

- Dziesięciu ukryję na rewirze - obiecał van Dalen - damy im zastrzyk wywołujący gorączkę, wśród chorych nie podpadną.

- A dlaczego nie ukryć wszystkich 46 razem w piwnicy, tam, gdzie się zbieramy; miejsca jest dosyć - zapytał Kodiczek.

- Niet - sprzeciwił się Bogorski. - Gdy piasek jest na kupie - tak wyraził swoją myśl - można go podjąć jednym zagarnięciem łopaty. Trzeba rozproszyc piasek, aby zniknął. Uważam, że najwyżej dwóch spośród kandydatów na śmierć można ukryć na rewirze w sposób zaproponowany przez van Dalena, a pozostałych rozdzielić na bloki.

- A jeżeli mimo to znajdą któregoś? - pytającym był znów Kodiczek. - Czy należy go wówczas pozostawić swemu losowi? - Pytanie legło między nimi jak kamienny blok.

- Nie wydamy nikogo - powiedział Bogorski po prostu. - Dotychczas omijaliśmy zawsze niebezpieczeństwa. To było dobrze, bardzo dobrze. Potrafilismy mądrością i zręcznością, przy pomocy szczęścia i przypadku, unikać niebezpieczeństw. To była nasza droga przez wiele lat. Chroniliśmy nasze człowieczeństwo z chytrą zwierzęcą, musieliśmy nieraz głęboko ukrywać w sobie człowieka. Tak przecież było, towarzysze, nieprawda? Teraz wkroczyliśmy na ostatni odcinek naszej drogi, wolność albo życie! Teraz już nie można się cofać. Gdy wyjdziemy z tego pokoju, przestaniemy być więźniami! Od tej chwili stajemy się znów ludźmi! I tak aż do końca ostatniego odcinka naszej drogi.

Więzień miał prawo omijać niebezpieczeństwo. Człowiekowi pozostaje tylko jedna droga, która prowadzi prosto, w sam środek niebezpieczeństwa! Taka jest nasza wola i taka jest nasza duma. Wiem, co mówię, towarzysze! Jeżeli nawet jednego jedyne go znajdą, trzeba go będzie bronić; jeżeli trzeba będzie, nawet z bronią w ręku! Niechaj to będzie nasza decyzja! Ale wtedy zacznie się powstanie. Wolność albo śmierć! Od czasów Spartakusa niejedną raz historia dała dowody dumy i wielkości człowieka. Czy decydujemy się na powstanie?

Bochow wyciągnął rękę.

W głębokim milczeniu odnalazły się ręce, odnalazły się spojrzenia mężczyzn, a na ich twarzach odbił się pierwszy blask życia, które odtąd stawało się inne.

Postanowiono wydać dowódcom grup oporu rozkaz o wprowadzeniu stanu alarmowego nr 2. Na blokach wprowadza się stałe posterunki wartownicze, skrytki z bronią zostają obsadzone przez przewidzianych do tego celu więźniów z lagerschutzu. Dla tych 46 należy do wieczora znaleźć i przygotować odpowiednie kryjówki. Od tej chwili cały podziemny aparat zostaje zmobilizowany. Ukryty jeszcze przed obozem, ale w każdej chwili

gotów do skoku. Powzięto jednak decyzję podjęcia walki tylko wówczas, gdy zostanie ona narzucona obozowi. Ewakuację należy opóźniać, by ratować ludzi. Ile się tylko da.

Każdy dzień i każda godzina zwłoki oznaczały wygraną, front zbliżał się coraz bardziej.

- Mam jeszcze jedną propozycję - powiedział Bochow - niech wszystkie nasze polecenia przechodzą przez Waltera Kramera. W jego rękę zbiegają się wszystkie nici. Należy przypuszczać, że ewakuacja, jeśli w ogóle nie zniweczy, to zmieni dotychczasowy system obozowy. W ten sposób ja, który jako jedyny z MKO mam bezpośredni kontakt z Kramerem, uzyskam większą swobodę ruchów.

Towarzysze zgodzili się z tą propozycją.

Kramer niespokojnie czekał na koniec alarmu. Syrena zawyła dopiero po dwóch godzinach. Natychmiast pośpieszył na rewirową drogę, by spotkać się z Bochowem.

- Co jest? - zapytał, gdy go złapał. Szli razem do góry, rozmawiając przyciszonymi głosami.

- Do dziś wieczór wszyscy oni muszą zniknąć. Ani jeden z nich nie może się stawić przy okienku nr 2. Kramer nie oczekiwał innej decyzji.

- Gdzie ich ukryć? - zapytał tylko.

- Gdzie tylko znajdzie się pewna kryjówka - odpowiedział Bochow - w piwnicy na węgiel, w łaźni, w piwnicy na kartofle, w kuchni, w skrzyni albo za przepierzeniem z desek. A na nich węgiel, kartofle! Ukryjemy ich w fundamentach bloków. Niech włożą do kanałów. Niech ukryją się w końskich barakach w Małym Lagrze, trzeba im będzie dać lewe numery. Niech włożą na siebie takie same łachy, jak pozostali.

Bochow zrobił szeroki ruch ręką. - Wszędzie, rozumiesz. Po wieczornym apelu, jak będzie ciemno, wszystko musi być załatwione. Kto z tych 46 potrafi się sam ukryć, niech to robi.

Kramer słuchał bez słowa. To nie była łatwa sprawa.

- A jeśli znajdą któregoś? - zapytał.

Bochow zatrzymał się. - Słuchaj, Walter... - Mówił teraz jeszcze ciszej. Kramer z głęboką powagą przyjął brzemiennej w skutki decyzję. I to go nie zaskoczyło, było tylko potwierdzeniem konsekwentnego rozwoju wydarzeń.

Gdy Bochow oświadczył mu, że od teraz staje się bezpośrednim łącznikiem między MKO a obozem, skinął tylko głową. Poszli dalej.

- Czy to ty ukryłeś dziecko? - zapytał Bochow bezpośrednio potem. - Powiedz mi, jeśli to twoja robota.

To pytanie zaskoczyło Kramera. Przypuszczał, że zniknięcie dziecka jest dziełem MKO.

Dlatego odpowiedział tylko: - Nie - i dodał: - Porozmawiałbym przedtem z tobą, otwarcie i uczciwie.

Bochow musiał mu wierzyć.

Jakże to? - zdumiał się Kramer, który dopiero teraz pojął sens pytania. - To ty nie wiesz... to wy rzeczywiście nie wiecie, gdzie podziało się dziecko?

Bochow pokręcił głową. Uśmiechał się zmęczony.

Przed wieczorem, w niespełna godzinę przed apelem, wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Na cały obóz zabrzmiał z głośników niechlujny głos Reinebotha: "Lageraltester, słuchać! Wraz ze wszystkimi blokowymi zameldować się na bramie! Biegiem!"

Kilku blokowych było w tym czasie w pokoju Kramera. Wezwał ich po to, by omówić z nimi ukrycie zagrożonych. Na bloku Bochowa on sam i Runki, który też był na liście, podważali właśnie deski podłogi, by w dole na fundamentach urządzić kryjówkę dla Runkiego.

Gdy usłyszeli głos Reinebotha, zaczęli nadśluchiwać. Wszędzie więźniowie zaczęli nadśluchiwać, na blokach, w warsztatach...

Polecenie zostało powtórzone.

Pośpiesznie przybywając z bloków, wezwani gromadzili się przy szrajbsztubie przed biurem Kramera, otoczeni przez przebywających w tym czasie w obozie więźniów. Co się stało? Dlaczego wzywano blokowych na bramę? Ewakuacja? Dziś jeszcze czy jutro...

Kramer wyszedł z pozostałymi blokowymi. Ustawili się w szereg.

- Koledzy - zawołał Kramer - jak zawsze, spokój, porządek, dyscyplina, rozumiecie?

Kluttig stojący przy oknie w pokoju Reinebotha widział ich przechodzących przez plac apelowy.

- Małpi teatr! - burknął.

- Dyplomacja, szyk! - wykpiwał Reineboth lagerführera.

Kluttig gwałtownie odwrócił się od okna. - Zaszana dupa! - tak określił komendanta, na którego rozkaz wezwano blokowych.

Mądra dupa! - poprawił go Reineboth z ironicznym grymasem.

- Nie mam ochoty słuchać jego pieprzenia - syknął Kluttig.

- On wcale nie chce, żebyś był przy tym, przeszkadzasz mu tylko - Reineboth roześmiał się brzydsko. - Każdy dostanie swoje. Jutro rano ciebie czeka twoja przyjemność. - Znacząco zakrzywił wskazujący palec.

Kluttig wściekle trzasnął drzwiami.

Blokowi czekali przy bramie. Nikt się nie pokazał, nawet Reineboth nie przychodził. Kramer obserwował drogę za kutą żelazną bramą. Zobaczył Kluttiga idącego długimi krokami i znikającego za biurem komendanta. Koło okienka wałęsał się dyżurny blockfiihrer.

Drogą nadjechało okryte plandeką ciężarowe auto i zatrzymało się przy bramie. Najpierw z wozu wysiadło kilku SS-manów, a za nimi więźniowie. Oczy Kramera rozszerzyły się. Z napięciem blokowi patrzyli przez bramę.

To byli przecież...

Kramerowi zaczęło mocno bić serce. To byli aresztowani więźniowie z Effektenkammer. Przyjmował ich blockfiihrer. Ukazał się Reineboth chcąc zawładnąć przybyłymi. Ale w tej chwili wyszedł ze swego budynku Schwahl w otoczeniu Weisangka i Wittiga, zmierzając w kierunku bramy. Reinebothowi nie starczyło już czasu na zajęcie się więźniami, kazał im ustawić się koło bramy, a sam wyszedł komendantowi naprzeciw.

Schwahl zatrzymał się przed więźniami.

- Co to jest?

Reineboth zameldował: - Na rozkaz hauptsturmfiihrera Kluttiga dziewięciu więźniów i jeden nieżywy z gestapo w Weimarze z powrotem do obozu.

- Aha! - Schwahl udawał zainteresowanie. Przyglądał się więźniom, którzy położyli obok siebie jakiś owinięty w koc ciężar.

Kramerowi zamierało serce. Wśród przybyłych nie widział Pippiga... a tam obok leżał trup...

Schwahl przemówił do więźniów, mówił tak wyraźnie, że również blokowi mogli usłyszeć jego słowa. - Możecie podziękować Stwórcy, że wpadliście w moje ręce.;- Zwrócił się do Reinebo-tha. - Tych ludzi zwolnić do obozu!

Reineboth trzasnął obcasami. Blockfiihrer otworzył bramę. Więźniowie przebiegli obok Kramera i blokowych, wbiegli na plac apelowy. Pod bramą pozostał tylko trup.

Te wydarzenia zmieszały Kramera. Ale komendant już wychodził przez bramę i Kramer musiał spełnić swój uciążliwy obowiązek. - Blockalteste, stillgestanden! Miitzen ab! - zakomenderował. Schwahl skinął: - Spocznij!

Reineboth trzymał się z tyłu, przebierając palcami, z jednym zatkniętym w dziurkę od guzika.

Schwahl przeszedł kilka kroków tam i z powrotem, potem zatrzymał się. Ujął się pod boki, wypiął brzuch i wyprostował plecy.

- Zwolniłem tych ludzi do obozu. Widzieliście? - Spojrzał przy tym na Kramera. - Tak jest - odpowiedział więzień.

- A więc nic im się już nie stanie. Zrozumieliście? - Znow Kramer musiał odpowiedzieć.

Schwahl upozował się na tle Weisangka i Wittiga. - A w ogóle wam się już nic nie stanie. Daję wam moje oficerskie słowo honoru, że obóz nie będzie ewakuowany. Pozostanę tu do końca. Jeżeli przy wkroczeniu aliantów będę jeszcze przy życiu, przekażę im obóz w pełnym porządku. - Zrobił przerwę i powędrował wzrokiem po grupie więźniów.

- Czy wszyscy mnie zrozumieli? - Wymruczane "Jawohl" blokowych padło tępo jak wór na ziemię. Schwahl przemawiał spacerując.

- Zagraniczne radiostacje oświadczają, że sytuacja w obozie
{Blokowi, baczność, czapki zdjęć}.

Buchenwald poprawiła się od czasu, kiedy ja jestem komendantem. Jest dla mnie wystarczającą satysfakcją, że opinia jest o tym poinformowana. Nie wiemy, co najbliższe dni przyniosą. Upoważniam was do zakomunikowania waszym ludziom na blokach tego, co wam powiedziałem, i wezwania ich, by w oparciu o moje słowo honoru zachowali porządek i dyscyplinę, cokolwiek nastąpi. Otrzymałem od reichsführera SS rozkaz rozsyłania po okolicy komand więźniarskich celem sprzątnięcia gruzów. Więźniowie ci otrzymają pełne cywilne wyżywienie, podczas nalotów znajdują się w schronach, a po wykonaniu zadania wrócą do obozu. - Zatrzymał się przed grupą, przyjrzał się niektórym z blokowych. Wyglądało, że powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. - Lageraltester, każ pan odmaszerować!

Na twarzy Kramera nie drgnął żaden mięsień, gdy odwróciwszy się do swej grupy wydał rozkaz:

- Miitzen auf! Kolumna w tył zwrot! Naprzód marsz!

Sam szedł ostatni. Żelazna obręcz zacisnęła się wokół jego piersi. Tam pozostał Pippig...

Schwahl patrzył za odchodzącymi. Przed odejściem zapytał Reinebotha: - Co pan na to?

Reineboth zasalutował. - Podziwiam pańską dyplomację i mądrość, panie komendancie.

Schwahl wysunął podbródek. Weisangk, idąc za komendantem, szturchnął Reinebotha w brzuch: - To jest facet, co?

Reineboth wyszczerzył zęby.

Hófel i Kropiński dokładnie słyszeli, co mówiono na dworze. Już od wielu dni Mandryl kazał im stać w celi. Od wczesnego ranka. Dopiero po wieczornym apelu wolno im było się położyć. Tulili się wtedy mocno do siebie na zimnej jak lód podłodze. Ale nocny ziąb płoszył sen. Osłabieni wiecznym głodem, dręczeni bólem rozbitych ciał drzemali przez nie kończące się noce; o piątej rano Mandryl otwierał celę.

Wtedy na korytarzu i w umywalni bunkra zaczynało się piekło. Wszyscy więźniowie bunkra musieli w ciągu trzech minut rozebrać się, umyć, znów ubrać, wymieść celę i opróżnić kubek z odchodami. Ciała wiły się jak w tańcu świętego Wita, aresztanci pędzili we wszystkie strony jak ujeżdżani przez złego ducha, wszystko to bezszelestnie, jak widma. Tylko buty klekotały, Mandryl walił w to kłębowisko ciał czworokątnym rzemieniem, wróciwszy w dzikim pośpiechu do celi więźniowie naciągali przez głowy koszule, wtykali je do spodni i narzucali marynarki. Co za szczęście dla Hófla i Kropińskiego, że byli wyłączeni z tego diabelskiego tańca. Wolno im było nie myć się i nie wylewać kubła z nieczystościami. Kubek, właściwie zgniecione wiaderko od marmolady, stał w kącie celi. Nie wypróżniany od wielu dni Iprzelewał się i zatruwał powietrze.

I znów obaj więźniowie stali przez cały dzień. Dwukrotnie już dzisiaj Mandryl wygonił wszystkich mieszkańców bunkra z celi, zmuszając ich na korytarzu do skakania żabką i przysiadów aż do wyczerpania. Hóflowi i Kropińskiemu zbyt dokuczwała własna bieda, by mogło nimi wstrząsnąć jeszcze to, co działo się na korytarzu. Tępo docierały do nich stamtąd hałasy, klaśnięcia uderzeń Mandryla i jęki wyczerpanych. Zmysły tej dwójki przekroczyły granicę przyswajania wrażeń. Jak długo Mandryl szalał na korytarzu, mogli być pewni, że nie obserwuje ich przez judasza. Ostrożnie opierali się wtedy o siebie plecami. Gdy jednak zapadała cisza, musieli się prostować. Tak i teraz. Stali długo. Godziny mijały za godzinami. Siły zużywały się. Ból znużenia tkwił jak nóż w plecach. Hofel wciąż na nowo zbierał siły, ale załamywał się coraz bardziej.

Jęczał już tylko w duchu; brakło mu nawet sił do myślenia. Kropiński, sam goniąc resztkami sił, próbował go pocieszyć.

- Teraz będzie apel i spać. Dużo spać i mocno spać! - Hofel nie reagował już na pociechę. Słabł coraz bardziej.

- Skończę ze sobą - jęczał - powieszę się... To już nie ma sensu... - Kropiński przestraszył się. Błagał go: - Nie, bracie, nie, tylko jeszcze trochę! Zaraz jest apel! - Hofel jęczał. Głowa opadła mu, w żyłach tętniła krew, a ciało kiwało się. Naraz Kropiński szepnął:

- Ty słuchać! Na dworze! Kto mówi? - Hófel zbudziwszy się z odrętwienia podniósł głowę. Słyszał rozkazy. To był głos Kramera... Po raz pierwszy od chwili, gdy znalazł się w bunkrze, usłyszał ten głos. Oderwany od wspólnoty, przyjaciół w lagrze, pozostawiony sam sobie w straszliwej bezradności, wchłaniał teraz Hófel tak bliski dźwięk głosu. Żegnał się z głęboką miłością samotnie z każdym słowem, wypowiedianym tam na dworze przez Kramera.

Ale potem ocknął się i rozjaśniła się jego twarz. Usłyszał głos komendanta. Oczy Hófla rozszerzyły się.

- Marian?

- Tak?

- Nie będą ewakuować. Przekazą obóz...

- Naprawdę?

- Słuchajże...!

Hófel był pełen napięcia. - Jeżeli to jest prawda - szeptał podniecony - jeżeli to jest prawda... - Na twarz Kropińskiego padł jakiś blask.

- Matko Boska! - odetchnął, a słowa jego były jak cieniutka nitka - wtedy może... my... nie umrzeć?

Długo jeszcze dyskutowali podnieceni blokowi przed szrajbsztubą. Dziwne przemówienie komendanta wywołało ogólne poruszenie. Sprzeczano się, czy rzeczywiście można wierzyć jego zapewnieniom. I mimo że nikt niemal nie uwierzył w przyrzeczenie komendanta, czepiali się niewyraźnej nadziei, że w miarę bezpiecznie można oczekiwać zbliżającego się końca. A może rzeczywiście obóz zostanie przekazany Amerykanom w nienaruszonym stanie? Ale inni blokowi wyśmiewali te złudzenia. Przemówienie komendanta - to był tylko piasek w oczy!

Stojący wśród gromady podnieconych ludzi Kramer mógłby przy pomocy paru słów wyjaśnić sytuację.

Podobnie jak owa grupa wątpiących przejrzał demagogię komendanta. Ale nie wszyscy blokowi mieli jednolite poglądy. Byli wśród nich i tacy, których charakter zmuszał go do zachowania ostrożności. Dlatego też nie mógł otwarcie użyć słów, jakich wymagała obecna sytuacja.

Pozostał więc obojętny, jak zazwyczaj w takich wypadkach. - Odczekać, koledzy! - Nadeszło dwóch blockfiihrerów. - Co się tu dzieje?

Kilku ciekawych więźniów, którzy wmieszali się w grupę blokowych, zniknęło natychmiast. Kramer i blokowi zdjęli czapki. - Byliśmy na bramie. Rozmawiał z nami

komendant - wyjaśnił Kramer. - Obóz ma zostać przekazany - zawołało kilku blokowych. Blockfuhrerzy nie wdawali się w dyskusję z więźniami. - Rozejść się! jazda! - zagrzmieli - na bloki! - Wykonując rozkaz grupa rozplynęła się.

Zweiling siedział bez humoru przy biurku. Nie wyszła ta sprawa z żydowskim bękartem. Chytry Reineboth sprzątnął mu wszystkie figury z szachownicy. Hófel i Kropiński siedzieli w bunkrze. Nie było Pippiga, którego trzymał w zanadru jako następcę Hófla. Na twarzach pozostałych więźniów komanda od dnia, w którym zabrano tę dziesiątkę do Weimaru, było wypisane, co o nim myślą. Najwstrętniejsza z wszystkiego była jednak dla Zweilinga nachalna poufałość Wuracha, który od pierwszego dnia próbował się w komandzie podlizywać. Ale te draby miały zbyt wyczulony instynkt na te sprawy, z miejsca zważały obcego. Omijali go szerokim łukiem i nie dopuszczali do siebie.

Od chwili kiedy Wurach dał Zweilingowi listę czterdziestu sześciu, stawał się coraz bardziej natarczywy. Przed godziną wszedł do niego do pokoju.

No i jak, hauptscharfuhrer, czy mówił pan z komendantem?

Zweiling syknął na niego: - Niech pan nie przychodzi do mnie tak często, to zwraca uwagę. Gdy przyjdzie czas, już się coś dla pana zrobi.

- Ale czasu już niewiele, hauptscharfuhrer. Ja nie mogę pozostać w obozie. Kiedy sprawa z listą wyjdzie na jaw, zabiją mnie.

Uczepił się Zweilinga, jak rzep psiego ogona.

- Musi mi pan pomóc, hauptscharfuhrer. Ja panu też pomogłem. Z tym zwolnieniem to lipa! Ja już w to nie wierzę. A tu lada dzień może się zacząć piekło. Czy pozwolił mi pan wykończyć?

By się go pozbyć, Zweiling dawał mu najbardziej nonsensowne przyrzeczenia. Obiecał, że wyciągnie go w porę z lagru i umieści przy jednostce SS. Wurach przyjmował te obietnice z niedowierzaniem, ale mimo to czepiał się ich. Teraz Zweiling już przez dłuższą chwilę siedział za biurkiem i zastanawiał się. Usta miał otwarte, język zwisał mu na dolną wargę. Furtkę, którą chciał sobie zostawić, zatrzaśnięto. Już nie wylezie z munduru, który ma na sobie. Mitgegangen, mitgefangen, mitge...

Było mu niewesoło na duszy.

Za drzwiami rozległ się hałas. Jakaś bieżanina i okrzyki. Zweiling poderwał się. Wychodząc z pokoju stanął zdumiony w drzwiach. W magazynie stali przed długą ladą witani radośnie przez kolegów więźniowie, których zabrano z komanda. Obejmowano ich i ściskano. Największe zdumienie okazywał Wurach. Ścisnął ręce i wołał zbyt głośno: - To wspaniale, koledzy, że znów wróciliście!

Zweiling zbliżył się z mdłym wyrazem twarzy.

- Skądęście się wzięli?

Więźniowie milczeli zmieszani. Wurach wziął na siebie rolę mówcy: - Gestapo ich puściło, hauptscharfuhrer. - Zweiling

Razem szedł, razem wpadł, razem go powiesili. Nie umiał się znaleźć wobec nieprzyjemnego milczenia pozostałych. Zdobył się jedynie w tej nieoczekiwanej sytuacji na niepewną uwagę: - A więc wróciliście... Każcie się ogolić. Jesteście brudni. - Więźniowie nie odpowiadali. Nie mieli ochoty dzielić swej radości z tym tam. Byłoby to też nader osobliwe.

Zweiling wrócił do swego pokoju. Jeszcze spory czas przysłuchiwał się podnieconym głosom. Nie rozumiał, jak doszło do nieoczekiwanego zwolnienia. Nagle wpadło mu coś na myśl. Poszedł do kancelarii, gdzie znajdowali się więźniowie. Gdy wszedł, stanęli na baczność i umilkli. Zweiling zatrzymał się przed Rosem, który wpatrywał się weń z tym samym dzikim strachem, w jakim żył dotychczas. Wzrok Zweilinga przebiegł po twarzach stojących w milczeniu więźniów.

- A gdzie... jest Pippig?

Wszyscy spuścili wzrok i milczeli. Tylko oczy Wuracha wędrowały ukradkiem od jednego do drugiego. Zweiling zwrócił się do Rosego.

- No, gdzie on jest? - Na twarzy Rosego pojawił się brzydki, płaczliwy grymas. Parę razy przełknął ślinę i otworzył usta, by odpowiedzieć. Ale w tej chwili zatrzeszczało w głośniku. Głos Reinebotha: „Dwóch leichentragerów z noszami na bramę!” Twarz Rosego zmieniła się. Wyjąkał: - Herr Hauptscharfuhrer... ja... ten Pippig... ten...

„Dwóch leichentragerów z noszami na bramę!” - powtórzono rozkaz. Więźniowie podnieśli wzrok na Zweilinga. Nikt nic nie powiedział. Rosę znowu przełknął ślinę. Wyglądało na to, że Zweiling zaczyna pojmować. Wysunął język.

- Jakże to? - zapytał idiotycznie. A po chwili, gdy nikt nie odpowiadał: - No, coś takiego...

Wzruszył ramionami i wrócił do swego pokoju.

Powoli i jakby z trudem poruszali się więźniowie. Rosę jęklawie usprawiedliwiał się: - Ja... ja... ja nic nie mogłem...

Nie zwracając uwagi na jego bezradne usprawiedliwianie, więźniowie w milczeniu pozostawili go własnej nędzy.

Kramer i Proll stali przy oknie biura i wpatrywali się w brame. Zachodzące, czerwone słońce rzucało długie cienie na rozległy budynek na bramie.

Do bramy przybiegło z krematorium dwóch leichentragerów w bezbarwnych drelichach. Nosze kołysały się między nimi. Pełniący służbę blockfihrer otworzył bramę, prześliznęli się przez nią.

Kramer i Próll czekali w milczeniu. Wkrótce leichentragerzy wrócili do obozu. Z noszy zwisał szary koc.

Twarz Kramera pozostała nieporuszona, gdy leichentragerzy zawrócili w stronę krematorium, zdjął czapkę i zmiął ją w dłoniach. Oczy żegnały.

Powoli szli leichentragerzy, niosąc swój ciężar przez pusty plac apelowy; ich wydłużone cienie skakały przed nimi niczym widma, jakby wskazując ostatni krótki odcinek drogi, jaki na tej ziemi jeszcze pozostał zmarłemu do przebycia...

Gdy wczesny zmierzch otulił obóz, spełniło się to, co postanowiono w południe w sali operacyjnej rewiru. Szybko i bez zahamowań zaczął działać aparat. Łącznicy powiadomili kierowników grup oporu poszczególnych bloków. Działo się to niepostrzeżenie, tylko parę słów, które mógłby usłyszeć każdy. Ale słowa te zawierały polecenia MKO.

Stan alarmowy nr 2! Nikt z uczestników grup oporu nie miał prawa opuszczać bloku, wszystkich obowiązywała gotowość. Wiedzieli, o co chodzi.

Blokowych z baraków w Małym Lagrze uprzedzono. Ciasnotę przepelnionych bloków powiększyli nowi mieszkańcy. Przyszli z rewiru. Kohn i jego sanitariusze poobwiązywali im dla niepoznaki twarze i głowy. W swych brudnych łachach niczym nie różnili się od pozostałych. Inni spośród czterdziestu sześciu kandydatów na śmierć znaleźli kryjówki na własną rękę. Próll już po południu był w Małym Lagrze. Teraz żegnał się z Kramerem. - Idź, chłopie - powiedział Kramer - to na pewno już długo nie potrwa, wyciągniemy was...

Na Prólla czekali blokszrajber, Niemiec, i dwóch sztabowych, Polaków. Na polu, z dala od baraków, Próll wynalazł właz kanałowy, przykryty kupą szutru. W pobliżu leżał podarty, pobrudzony ekskrementami siennik, wyrzucony kiedyś z jakiegoś baraku i zapomniany. Próll z miejsca uznał schowek za odpowiedni. Blokszrajber co prawda nie chciał o tym słyszeć, ale Próll uparł się tutaj ukryć. Teraz w ciemności czekali na niego jego pomocnicy. Unieśli już pokrywę, toteż gdy Próll zjawił się, zniknięcie było kwestią chwili. Dziura była półtorametrowym pionowym otworem nad przewodem, którym przepływały nieczystości z obozu. Aby można było otwór zamknąć pokrywą, Próll musiał się pochylić i zgiąć nogi. Polacy szybko narzucili szuter na pokrywę, położyli na to siennik i prędko wrócili do baraku. Próll został sam, zdany na własne siły. Miał poczucie absolutnego bezpieczeństwa, starał się tylko przybrać jak najwygodniejszą pozycję. W kieszeni płaszcza miał kromkę chleba.

Między jego nogami przepływały gęste nieczystości. Gdyby nie smród, bulgot mógłby nawet przypominać szmer wesolej rzeczulki. W przyptywie wisielczego humoru Próll zdobył się na przyjazny stosunek do swej niezbyt sympatycznej kryjówki. - Do srania w każdym razie wygodne miejsce - powiedział sobie, lokując się na dłuższy pobyt.

Niektórym zagrożonym pomógł ukryć się Kramer. Na jego polecenie Bogorski kazał więźniom z komanda łaźni przygotować kryjówkę za zwałami węgla w piwnicy. Kupę węgla wydrążono tak, że można było w niej ukryć naprędce zbitą z desek klatkę. Mądrze i zręcznie przy pomocy glinianej rury zapewnili więźniowie ukrywającym się dopływ powietrza. Gdy zagrożeni wleźli do klatki, przysypano ją węglem. Jeszcze łatwiej poszło z kartoflami. Tu wystarczyło wepchnąć skrzynię pod górę kartofli. Powietrze dopływało wskutek urządzeń klimatyzacyjnych piwnicy. Gdy Kramer szedł potem, odgwizdując noc, przez obóz, akcja była wszędzie zakończona. Wszyscy kandydaci śmierci zniknęli. Nerwowo i fizycznie wyczerpany, Kramer wszedł na blok 3, blok odkomenderowanych, gdzie nocował. Więźniowie nie położyli się jeszcze spać; otoczyli Kramera, który ciężko usiadł na ławce za stołem.

- Klapowało? - zapytał Wunderlich. Kramer nie odpowiadał. Rozplątywał sznurowadła. W jego milczeniu było coś burkliwego. Ale zbyt dobrze znali go więźniowie, by fałszywie interpretować jego zachowanie. Była to tylko reakcja po poprzednim napięciu. Dopiero po chwili Kramer odpowiedział: - Jeżeli przetrwamy dzień jutrzejszy... - reszta zdania kończyła się ciężkim westchnieniem. Kramer wsunął buty pod ławkę. Stał przed nim Wunderlich. - Nie wiem, Walter, czy to prawda, ale ci tam na górze opowiadają, że jutro zacznie się ewakuacja. - Kramer popatrzył pytająco na Wunderlicha, ale ten tylko wzruszył ramionami. Otaczający Kramera więźniowie milczeli. Milczeniem wyrażali swe uczucia. Skąd zresztą znaleźć słowa dla wypowiedzenia spraw nie do pojęcia. Nie sama ewakuacja, ale niemal niewyobrażalny fakt, że wydarzenia, które miały nastąpić, kryły w sobie koniec - odbierał im mowę. Ileż tysięcy dni i nocy musiało utonąć w bezkresie ich lagrowego istnienia, by ta jedna jedyna noc mogła nagle położyć tamę na drodze do nicości? Ponieważ wyobraźnia okazała się niewystarczająca, słowa stały się zbyt ubogie. Nawet Kramer nie znalazł dostatecznie wielkiego słowa, by wyrazić to niewyobrażalne. - Kiedyś musiało do tego dojść... - powiedział tylko, wstając i zdejmując marynarkę. Ponieważ nic więcej nie dało się powiedzieć, dodał: - Chodźmy spać, to najlepsze, co możemy zrobić...

Bochow wiercił się bezsennie długo w nocy na swym legowisku. No, i - stało się! Pod nim, w piwnicy, znajdował się Runki, a w wielu schowkach obozu pozostali. Stało się, nie było odwrotu. To jego usta wypowiedziały decyzję o powstaniu, tak brzemienną w skutki i

również nieodwracalną... Bochow zamknął oczy i wzywał sen. Ale sen go zawodził. Bochow badał sam siebie."Czy boję się? Czy drzę? O co chodzi? Czyż nie odnalazły się wszystkie ręce towarzyszy? Czyż jego wola nie stała się wolą wszystkich! To Znaczy 50000, a nie paru towarzyszy z MKO! Czyż tych kilka rąk mogło wystarczyć, by rozłożyć brzemień odpowiedzialności na wszystkich? A może tysiąc palców wskaże na niego: To ty dźwigasz brzemień! Tylko ty sam! Z twoich ust padło słowo! Ty jesteś winien!..." - spiętrzyły się myśli Bochowa, ale opanował się. Wypowiedział tylko to, co wszyscy uważali za absolutną konieczność! A mimo to sen uciekał. Noc nie chciała się cofać. Przykucnęła na jego piersi jak czarna milcząca zjawia...

Było to 4 kwietnia 1945. Środa budziła się w półmroku. Otworzyły się drzwi bloku 3. Wyszedł Kramer. Powietrze było wilgotne i ostre. Mżyło. Wczesna godzina poranna z trudem wyzwalała się z nocnej czerni. Nieruchomo sterczały wieżyczki wartownicze. Czerwone lampy na drutach żarzyły się jak podpatrujące oczy. Szeroko rozciągał się ogromny plac apelowy. Na samym szczycie góry bielila się ściana budynku przy bramie. Ocalałe z lasu drzewa sterczały wokół obozu, czarne i nieporuszone w mroku między nocą a porankiem. Było zimno. Kramer postawił kołnierz płaszcza i wyciągnął gwizdek z kieszeni. Przenikliwy gwizd na pobudkę spłoszył ciszę. Kramer brnął przez obóz. Więźniowie z kuchni, którzy musieli wstawać jeszcze wcześniej, przyjęli gwizdek Kramera jako sygnał do przygotowania kotłów z kawą.

Na blokach już się ożywiło. Ślano łóżka. W umywalniach wokół kranów stłoczyli się półnaczy więźniowie. Sztubowi przekrzykiwali hałas. - Dyżurni, po kawę, wychodzić! - Na uliczkach między blokami zaczął się ruch. Klekotały drewniaki. Zewsząd nadciągały do kuchni oddziały więźniów po kawę. Formowali się w ustalonym porządku. Kapo kuchni i jego pomocnicy wywoływali poszczególne bloki. Brzęczały kotły. Hałas, życie, ruch, zgrane i zdyscyplinowane od lat - tak jak co dzień. Ale dziś w hałasie poranka wyczuwało się szczególne napięcie. Rozmawiano przyciszonymi głosami. W ciągu nocy zniknęło wielu blokowych. Funkcje ich, jakby to było zrozumiałe samo przez się, przejmował szrajber blokowy albo któryś ze sztabowych. Wszyscy wiedzieli, co się w nocy stało, ale jakby się zmówili, udawali, że nie zaszło nic nadzwyczajnego. Tylko od czasu do czasu, i to jakby mimochodem, padała uwaga: - Jestem ciekaw, jak to się dzisiaj skończy...

Wśród członków ruchu oporu - każda grupa liczyła łącznie z dowódcą tylko pięciu ludzi - panowało jeszcze głębsze milczenie. Stan alarmowy nr 2!

Najważniejszym zadaniem ludzi obozowego podziemia było - obok szkolenia wojskowego - stałe rozbudzanie świadomości i solidarności wśród więźniów. Nie zawsze

było to proste. Wśród masy ludzkiej znaleźli się i ludzie źli, tchórzliwi albo nawet podstępni, dbający jedynie o własną korzyść. Tacy nie chcieli "z niczym" mieć do czynienia, izolowali się od innych i byli przez nich izolowani. Ale tego ranka okazało się, że praca nie poszła na marne. Wyszła na jaw siła ludzkiej natury w sytuacji, kiedy trzeba się było trzymać kupy. Wszyscy czuli się związani ze sobą. Zwłaszcza na blokach, z których zniknęli jeden lub nawet kilku kandydatów śmierci - istniało wśród więźniów ciche porozumienie: wszyscy za jednego, jeden za wszystkich! Ukrywali zdenerwowanie, które ogarnęło wszystkich. Niemal fizycznie odczuwali przecież, że dzień dzisiejszy przyniesie rozstrzygnięcia, i to nie tylko z powodu tych 46. Zbliżający się koniec zespolił wszystkich w jedną całość. Jakże bardzo różnili się między sobą, jeśli chodzi o odwagę osobistą, nadzieję, ufność czy obawy. Ale rano dzisiejszy scementował ich w obliczu wspólnoty losów. A gdy na dworze świt rozjaśnił poranek i nadeszła chwila apelu, uformowali się w kolumny, które blok za blokiem ruszyły w stronę placu apelowego. Krok marszowy kolumn był dziś jednak inny niż zazwyczaj. Był ponury, ale mocniejszy i bardziej zdecydowany. I ponure, mocne i zdecydowane były twarze tysięcy.

Plac apelowy wypełniał się. Powstawał ogromny kwadrat: człowiek przy człowieku, milczący i wyczekujący. Tysiące oczu kierowały się ku bramie, gdzie Reinboth na statywie ustawiał mikrofon, gdzie ukazał się Weisangk, pierwszy lagerfiihrer, gdzie stali blockfiihrerzy - owe tępe, cyniczne draby.

Kramer zameldował Reinebothowi stan lagru. Blockfiihrerzy rozsypali się na poszczególne prostokąty bloków, by obliczyć ich stan. Co będzie teraz? 46 brakowało na apelu! Tego jeszcze w lagrze nie było! Czy wybuchnie burza? Więźniowie wstrzymywali oddech. Wsłuchiwali się we własne milczenie. Napięcie było tak ogromne jak w stalowej linie tuż przed pęknięciem. Dlaczego żaden z blockfiihrerów nie ryczał?

Kramer stał na swym zwykłym miejscu z boku, plecami do więźniów. Miał uczucie, że za nim jest ogromna pustka, jak gdyby sam jeden był na wielkim placu. Sprawdzał sam siebie, stan swych nerwów i mięśni. Jak działało serce? Normalnie. Czy ręce ciążyły jak z ołowiu? Czy odczuwał ucisk w okolicach żołądka? Nic podobnego. Równomiernie oddychały płuca. A więc - dobrze! Czekał. Dwadzieścia metrów przed nim czekał również na raport blockfiihrerów Reineboth, czekał przepity Weisangk. Dlaczego Kluttig nie odbierał dziś apelu? Kramer słyszał za sobą tu i tam głosy blokowych:

- Blok 16, bacność! Miitzen ab! Blok 16 ustawiony do apelu, stan 353 więźniów...

- Blok 38, bacność! Miitzen ab! Blok 38 ustawiony do apelu, stan 802 więźniów, jednego brak.

To był głos Bochowa! Na chwilę Kramer wstrzymał oddech. Co teraz działo się za jego plecami? Straszliwie chciało mu się obejrzeć, nadśłuchiwanie już nie wystarczało.

Bochow meldował o braku Runkiego zupełnie bez obaw. "Jego" blockfuhrer, któremu malował owe wierszyki, podniósł tylko na chwilę oczy znad notesu, w którym notował liczby, i zapytał bez zdziwienia: - Gdzie on jest? - Tego nie wiem. - Więcej nie mówiono na ten temat. Bochowa nagle przeniknęła myśl: oni dostali instrukcje!

Blockfuhrer przeszedł wzdłuż szeregów i spoglądając ponad ogolonymi głowami liczył dziesiątki. Ukradkiem śledziły go oczy więźniów. Dlaczego nic się nie działo? Czyżby w milczeniu, w którym blockfuhrerzy przyjmowali meldunki, tkwiło jakieś wielkie, nieznanne jeszcze niebezpieczeństwo? Wszyscy w milczeniu patrzyli na górę, gdzie blockfuhrerzy, jeden po drugim, oddawali meldunki Reinebothowi. Reineboth notował, jak gdyby nic się nie stało.

Kramer mógł dobrze obserwować rapportfuhrera. Teraz tamten sumował meldunki, porównał je z podanym stanem, podliczył jeszcze raz i wówczas delikatna, cyniczna zmarszczka koło ust zmieniła wyraz jego twarzy. Ukończył obliczenia. Zamiast, jak zazwyczaj, podejść do mikrofonu, podszedł do Weisangka. Kramer nie mógł słyszeć, o czym z nim rozmawiał, ale z ich min i gestów odczytał, że rozmowa dotyczyła tych 46. Weisangk mówił gestykulując, niedbale i nerwowo. Dawał Reinebothowi polecenia. Ten wzruszył ramionami i zrobił gest ręką, który mógł oznaczać: proszę bardzo, jak pan sobie życzy! Potem podszedł do mikrofonu i rzucił: "Gotowe! Bacność! Miitzen ab!"

Jak zazwyczaj, słyhać było kłaśnięcia czapek.

Radzieckich jeńców liczono oddzielnie. W czasie apelu pozostawali w swoim bloku, okolonym drutem kolczastym. To, co mówiono przez mikrofon, mogli usłyszeć przez głośnik na bloku. Duża część 800 jeńców wojennych należała do grup oporu. Ich przywódcą był Bogorski. Również wśród tych ludzi działało prawo konspiracji i tylko najpewniejsi i najlepsi zostali przyjęci do grup. Jeńcy siedzieli przy stołach, czekając na zakończenie apelu. Również van Dalen, Kohn i flegery, wśród nich ci z oddziału sanitarnego, słyszeli przebieg apelu przez głośnik w izbie przyjęć na rewirze. Spojrzeli po sobie znacząco, słyszeli komendę Reinebotha, taką samą jak co dzień. Co to znaczy?

W Małym Lagrze, który liczono również oddzielnie, trzeba było dokonać pewnych manipulacji, by ukryć zwiększenie ogólnej ilości więźniów. Ukryto śmierć kilku chorych - umierali przecież codziennie - a na ich miejsce policzono ukrywających się.: Zjawisko mimikry upodobniło ich do szarej masy więźniarskiej nędzy.

Niespokojne i niebezpieczne były minuty, które przeżywali wraz z całym obozem Kramer, Bochow, Bogorski, Pribula, Kodiczek, Riomand i van Dalen. Czekali na burzę... Czyż nie szalała zawsze, gdy tylko jeden więzień ze strachu przed zbliżającym się dniem ukrył się gdzieś w lagrze? A dziś brakowało czterdziestu sześciu i ci tam na górze nie mieliby nawet na to zwrócić uwagi?

Jak zazwyczaj, Reineboth przekazał swój raport lagerführerowi. Jak zawsze, podszedł potem do mikrofonu: "Miitzen auf! Wyrównać! Koniec!" i Reineboth odstąpił od mikrofonu, jego miejsce zajął Weisangk. Trzymał się statywu. W mikrofonie zadźwięczał jego bawarski akcent. "Słuchać tam wszyscy! Dziś wszystko pozostanie mi w lagrze! Dziś żadne komando nie wychodzi do roboty! Dziś wszystko pozostaje na blokach, żeby mi tam żaden nie pokazał się dziś na dworze!" Przeształ z nogi na nogę. Mówienie sprawiało mu trudność. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale pozostawił to zreńniejszemu Reinebothowi. Ten stanął z dwuznacznym uśmiechem ponownie przy mikrofonie: "Wyznaczeni więźniowie ustawiają się przy okienku nr 2. Pozostali odmaszerować". Wyłączył mikrofon. Wyznaczeni więźniowie - to było tych czterdziestu sześciu.

Gdy masa więziarska ruszyła w kierunku bloków, a blockführerzy znikali za bramą, Reineboth szepnął do Weisangka: - Ani jeden z tych facetów nie zjawi się. Ukryli się.

- To jest świństwo!

Dwie ciężarówki, pokryte plandekami, zatrzymały się przy szlabanie u końca drogi wiodącej do lagru. Koło wozów stał oddział SS uzbrojony w karabiny, pod dowództwem hauptsturmführera. Wartownik przy szlabanie chodził tam i z powrotem. W małym budynku, służącym za kasyno, siedział Kluttig i czekał.

W swoim pokoju Reineboth sięgnął po słuchawkę, ale odłożył ją z powrotem na widelki. "Łapy precz od tej sprawy - pomyślał sobie - niech to Kluttig sam załatwi z komendantem". Sytuacja była zbyt drażliwa Reineboth uważał za mądrzejsze nie wtrącać się do tego. Zniknięcie tych 46 równało się wypowiedzeniu wojny, co dla Reinebotha było niepojęte. Potrząsnął głową.

Sytuacja zaczynała się komplikować. Od czasu owej tak pouczającej dla Reinebotha konferencji u komendanta - młodzieniaszek stawał się ostrożniejszy. Dzisiejsze wydarzenie wskazywało na tajemne siły, w których istnienie na serio w swym zarozumiałstwie nie wierzył. Przyzwyczajony widzieć w więźniach jedynie bezwolne przedmioty, zaczął teraz się zastanawiać, że to bynajmniej nie było takie łatwe załatwić wszystko przy pomocy karabinu maszynowego. A poza tym... Reineboth zrobił kilka powolnych kroków i zatrzymał się przed mapą. Kolorowe główki od szpilek przesuwają się z dnia na dzień coraz bliżej lagru.

Młodzieniec zatroskał się, zacisnął wargi. Skończona pieśń, Adelo... Na biurku stał portret w srebrnej ramce. Z ironią w kącikach ust młodzieniaszek przyglądał się portretowi, bóstwu z zaczesanym na czoło kosmykiem. Nagle pstryknął portret w nos. - Adelo! - powiedział cynicznie.

Weisangk zameldował komendantowi o zniknięciu tych 46. Schwahl zdenerwował się. Wparł pięści w biodra i jęknął:- No i doczekaliśmy się! Ten człowiek doprowadza tylko do niepokojów w obozie.

Schwahl nie mógł sobie pozwolić na polecenie przeprowadzenia długotrwałej akcji poszukiwań. Na dworcu weimarskim czekał już pociąg towarowy na pierwszy transport.

Po wybuchu niezadowolenia Schwahl stał się dziwnie milczący. Pograżony w myślach krążył po pokoju.:Nagle zatrzymał się przed Weisangkkiem siedzącym na fotelu i obserwującym swego pana zatroskanym wzrokiem.

- Czy po nas nastąpi bolszewizm? - zapytał niespodzianie. Weisangk przełknął ślinę jak na egzaminie.

- Myślę. A co innego może przyjść?

Schwahl zrobił znowu parę kroków ”a potem zwrócił się z wyciągniętym palcem do bezradnego Weisangka. - Jedno jest pewne. Na konferencji (ministrów spraw zagranicznych aliantów w Moskwie w 1943 roku postanowiono skazać zbrodniarzy wojennych. - Znacząco postukał się w pierś.

- Taka historia... - wybuchnął zaskoczony Weisangk.

Tak proste, jak sądzi Kluttig, to to znowu nie jest, mój drogi!

Schwahl jęknął udręczony. - Strzelać to łatwo. Może będę miał szczęście i ujdę. Może zapuszczę sobie brodę, może zostanę drwalem gdzieś w Bawarii... No dobrze - potwierdził skwapliwie Weisangk.

- Ale jeśli mnie chwycą, jeśli mnie chwycą... pozostanę na zawsze komendantem obozu koncentracyjnego Buchenwald. A jeżeli znajdą tu całe pole trupów?,-Schwahl pomachał palcem. - Nie, nie, mój drogi!

Weisangk usiłował śledzić ponury tok myśli Schwahla, ale nie udawało mu się. - Ty jesteś rozsądny, więc co należy robić? - Schwahl nerwowo wymachiwał ręką w powietrzu.

- Precz z tymi,46! W ten sposób utniemy łeb oporowi w obozie, a wszystko pozostałe pomaszeruje. Co się tam wykończy w drodze, jest mii obojętne. Jako urzędnik najlepiej wiem, co to jest alibi. W każdym razie tutaj w obozie nie może być trupów.

- I ja tak myślę.

Zastanawiając się Schwahl ujął w dwa palce dolną wargę. - Musimy uprzedzić Kluttiga, by nie narobił nieszczęścia. Idź natychmiast na bramę, wezwij lageraltestera i lagerschutz, niech szukają tych 46.

- I myślisz, że lagerschutz zrobi nam tę uprzejmość i choć jednego z tych facetów...

Schwahl wrzasnął nieopanowanie: - To wszystko jedno! Masz mój rozkaz! Nie pozwolę Kluttigowi wywrócić lagru do góry nogami!

Weisangk poderwał się przestraszony: - No, no, nie denerwuj się tak...

Po powrocie komand na bloki Kramera otoczyli ze wszystkich stron blokowi. Twarze wyrażały niepokój, a duchowe przeżycia nadawały blask oczom. Co będzie teraz, co mamy robić? Nerwowość i podniecenie kipiały. - Koledzy - zawołał Bochow - nie wolno nam dopuścić do zamieszania. Musimy teraz zachować trzeźwy umysł. Chcą nas ewakuować. Kluttig chce rozwalić tych czterdziestu sześciu. Ale jest w błędzie, jeśli myśli, że podważy przez to ruch oporu. - Mocnym głosem Bochow przekrzyczał hałas. Sam był zdumiony, słysząc po tylu latach swój głos. Nie potajemny szept, ale mocny głos, jak gdyby nagle przywrócony. Płomień życia, przygaszony przez tyle lat, znów rozgorzał. Czuł takie uniesienie w sercu, że miał ochotę wyciągnąć ramiona: Koledzy, towarzysze, bracia!

Kramer odczuł potrzebę mówienia. Wpadł tamtemu w słowo: - Koledzy, przez tyle lat trzymaliśmy się razem. Teraz okaże się, czy nasza dyscyplina jest coś warta. Koledzy! Żadnych nie przemyślanych pociągnięć! Nie ścierpimy żadnej prowokacji w naszych szeregach, ale nie można też dać się sprowokować. Pamiętajcie o tym! To może kosztować życie tysięcy. Pokażcie tym na górze, że nie jesteśmy dzikim tłumem, ale wspólnotą zdyscyplinowanych ludzi! Koledzy! Słuchajcie, co wam teraz powiem. Wszelkie rozkazy, które jeszcze otrzymamy, będą od tej chwili wykonywane tak, jak my je przekazemy. - Kramer badawczo popatrzył w napięte twarze. Blokowi zrozumieli go. - My! - powtórzył Kramer wskazując palcem na własną pierś. - Wracajcie do kumpli na bloki, nie pozwólcie się niczym zastraszyć. Nadejdą teraz ciężkie dni. Musimy bronić życia wszystkich! Będziemy chronić nasze życie bronią, którą posiadamy, odwagą i żelazną dyscypliną!

Słowa Kramera dodały blokowym otuchy. Bochow poczuł w sercu falę ciepła dla Kramera. Gdy blokowi wyszli, pozostał. Mężczyźni popatrzyli sobie w oczy. Nieco zakłopotany, pokonując wzburzenie, Kramer powiedział: - Musiałem to chyba powiedzieć...

Bochow nie odpowiedział.

Nagle, ulegając impulsowi mocniejszemu niż skrępowanie, objęli się. Stali w milczeniu. Serdeczną rozmowę prowadziły ich serca. Rzadkie i dlatego tak drogocenne były takie chwile w twardym życiu obu mężczyzn, chwile, kiedy uczucie, zazwyczaj tak skąpe i

ukryte, zwyciężało wszystko. Szorstko, jak zawsze, gdy chciał ukryć wzruszenie, powiedział Kramer: - A więc zaczyna się, Herbert! - Również Bochow był rad, że może wrócić do zwykłej postawy.

- To pewne, że wkrótce zacznie się kołomyjka. Gdzie w przyszłości może się spotykać MKO? Co proponujesz?

Kramer zastanowił się. - Myślę, że na siedemnastce, na bloku kwarantanny. SS-mani chodzą tam tak samo niechętnie jak na 61. Siedemnastka jest w pobliżu szrajbsztuby, będzie nam łatwiej utrzymać stały kontakt. Blokowy siedemnastki - to dobry kumpel i potrafi was świetnie zamelinować.

- To dobrze - zdecydował Bochow - pogadaj z nim, a ja zapowiem towarzyszom. - Uścisnęli sobie dłonie.

- Kluttig wciąż jeszcze czekał. Apel musiał się już dawno skończyć. Wreszcie zniecierpliwiony wyszedł z wartowni. - Co jest? Kiedy te draby przyjdą?

Rottenfuhrer, do którego się zwrócił, wzruszył ramionami.

Więźniowie w blokach nadstawili uszu. W głośnikach coś zatrzeszczało, usłyszano próbne dmuchnięcie. Wszyscy nadsluchiwali. Rozległ się niedbały żargon Reinebotha:

- Lageraltester i kapo lagerschutzu natychmiast na bramę!

Zwykle w obozie wezwanie. Teraz jednak stało się sensacją. Każde zresztą najmniejsze wydarzenie stawało się sensacją. Wskutek zakazu opuszczania bloków więźniowie byli jak zamurowani. We wszystkim, co się działo, wietrzyli nieszczęście i groźbę. W oknach pierwszych rzędów bloków przy placu apelowym widać było przyklejone do szyb zaciekawione twarze więźniów. Wezwani pobiegli na bramę. Z drugiej strony wszedł do obozu Weisangk. W pozostałych blokach, z których nie widać było placu apelowego, rozmowy ucichły. Stłoczeni przy długich stołach więźniowie czekali na dalsze zapowiedzi z głośnika. Ale głośnik milczał. Co się tam gotowało?

- Gdzie są ci ludzie? - przyjął Weisangk wezwanych. -

Dlaczego tych czterdziestu sześciu nie stawiło się, tych czterdziestu sześciu?

Kramer odpowiedział rzeczowo: - Nie wiem, dlaczego nie zebrali się.

- Niech się zbiorą - burknął Weisangk - nic im się nie stanie. W Buchenwaldzie nikt więcej nie będzie wykończony. Czy oni są jeszcze w obozie?

- Moim zdaniem, muszą jeszcze być w obozie.

Weisangk przestąpił z nogi na nogę. - A więc szukać! - zwrócił się do kapo. Dalsza dyskusja na ten temat przekraczała możliwości Weisangka. Wiedział, że Kluttig, wezwany

telefonicznie przez Schwahla, jest teraz u niego w biurze i trzeba go postawić wobec faktów dokonanych. Weisangk zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Do obiadu ci ludzie będą tutaj, zrozumiano?

- Jawohl.

Wracający Kramer i kapo nie musieli porozumiewać się ze sobą.

- Oczywiście będziecie pilnie szukali aż do obiadu - szepnął Kramer.

- Jasne, Walter - odparł kapo. - Tylko czy my któregoś znajdziemy... Jak myślisz? -

Popatrzył na Kramera zmrużywszy oko.

Wyglądało na to, że znowu dojdzie do starcia. Kluttig pełen złości, że więźniowie odważyli się mu przeciwstawić, fuknął na Schwahla.

- To pan doprowadził do tego przez swoją dyplomację. Teraz te draby mają nas w nosie.

- Lagerschutz ich szuka - nadął się Schwahl.

- Lagerschutz? Czy pan oszalał? Tu trzeba kompanii SS! Trzeba wyrwać każdy siennik.

Zdenerwowany Schwahl podniósł ręce. - Tak dalej być nie może! Robi mi pan ogólny bałagan i zachowuje się jak słoń w składzie porcelany!

- Standartenführer! - wtrącił obrażony Kluttig. Również Schwahl chciał wrzasnąć. Ale ograniczył się tylko do wymachiwania wściekle pięściami, pojękując przy tym.

- Mów mi Schwahl albo nawet aresztancki wole, jak dawniej, kiedy żyliśmy ze sobą blisko.

Wyjął z biurka butelkę koniaku i dwa kieliszki i postawił je na stole konferencyjnym. Opróżnił jeden kieliszek, potem drugi i opadł zgnębiony na ciężki fotel.

- Gdybyś tylko zechciał być rozsądny - jęknął - musimy przecież stąd wiać. Tu idzie o nasze głowy.

W jego małych oczach migotało, ręce opanowało drżenie. - Siadaj - powiedział, a gdy Kluttig nie spełnił natychmiast jego żądania, wrzasnął: - Czy słyszałeś, ty plisowniku, masz siadać!

Ze złością uświadomił sobie Kluttig stan duchowy Schwahla. Chociaż i sam czuł niewyraźny ucisk pod mundurem, syknął przez zęby: - Herr Standartenführer ma stracha...

- Daj że wreszcie spokój z tym przeklętym standartenführerem. Nie mogę tego więcej słuchać! - przerwał nagle, popatrzył tępo przed siebie. Potem spojrzął na Kluttiga z tak zmienionym wyrazem twarzy, jak gdyby poprzednia twarz z niego opadła.

Zbliżająca się katastrofa pozostała nie bez wpływu i na Kluttiga. Rozluźnił kołnierzyk, odczuwając brak powietrza, usiadł bez słowa za stołem i wychylił przygotowany kieliszek. Obserwujący go Schwahl zauważył, że i jemu drży ręka. Schwahlem wstrząsnął bezdźwięczny chichot. - Tak więc teraz wyglądamy, tak wyglądamy...

Znękany Kluttig trzasnął dłonią w stół: - Przestań!

- Tak, przestańmy - odpowiedział Schwahl z cynizmem pomieszany z udręką. - Od dnia dzisiejszego nas nie ma! Już! A może pan sądzi inaczej, Herr Lagerführer? Jak długo pan sobie jeszcze życzy być?

Schwahl wstał, wsparł ręce na biodrach, wyprężył się, wypiął brzuch.

- W gruncie rzeczy ciągniemy tę samą linę, tylko każdy z innego końca. Trzeba z tym skończyć. Ty jesteś stary dzielny bojownik, wierny i oddany, chylę skroń, Robert!

Kluttig zagryzał w milczeniu wargi. Przerazająco oczywiste załamanie się Schwahla odśloniło również jego własne duchowe spustoszenie. Nie przyznawał tego nawet sam przed sobą, a tym bardziej przed Schwahlem. Wiedział jednak, że to wściekłość dyktowała mu żądę zniszczenia. Sam bowiem również ulegał panice. W gruncie rzeczy nie było nic innego do roboty, jak załadować auto i zwiać w porę przed Amerykanami. Nagle Kluttigowi przyszła na myśl piersista Hortense, miał ochotę ją sobie zabrać. Schwahl stuknął go w ramię. - Czy słyszysz, co mówię do ciebie? - Kluttig wziął się w karby. - Tak, oczywiście, słucham.

- W ciągu tygodnia obóz musi opustoszeć, więcej czasu nie mamy. Z każdym transportem pójdzie część SS. Dziś po południu rozpoczną ewakuację.

- A co będzie z tymi czterdziestoma sześcioma? Upór Kluttiga wywołał nowy wybuch Schwahla.

- Z powodu tych czterdziestu sześciu nie mogę robić bałaganu.

- To jest ich czołówka...

- Ach, co tam, czołówka czy ogon! Wszystkich ich stąd wypędzimy.

- A jeżeli stawią opór?

Zrozpaczony Schwahl złapał się za głowę. - Wtedy wygonimy ich psami.

Kluttig zaśmiał się złośliwie: - To będą trupy, a ty nie chcesz trupów.

Schwahl stracił panowanie nad sobą. - Jeżeli nawet każdy transport zamieni się w masowy pogrzeb - wrzasnął - nie pozostawię tutaj ani jednego trupa.

Kluttig upierał się tępo. - Jeżeli nie wydadzą nam tych czterdziestu sześciu, każę nocnym patrolom ich szukać.

- Dobrze, dobrze - zgodził się Schwahl, słaby i potulny nagle - każ szukać. Mogę nawet dosłać do obozu patrol z psami. Tylko nie rozbijaj mi ewakuacji.

Zupełnie wykończony opadł na fotel.

Więźniowie z lagerschutzu szli od bloku do bloku.

- Czy ukryliście kogoś z tych czterdziestu sześciu?

- Nie, nie ukryliśmy nikogo.

- W porządku. Idziemy na następny blok.

Tymczasem Schwahl rozpoczął przygotowania do ewakuacji. W jego biurze zebrał się sztab: adiutant Wittig, Kamloth, Kluttig, Weisangk i oficerowie wojsk SS. Schwahl wydawał rozkazy. Oficerowie wybiegli, aby je wykonać. Wkrótce na terenie wokół lagru wszczął się ruch: samochody ciężarowe i oddziały maszerujących SS-manów. Na rozkaz Schwahla wzmocniono zewnętrzną postenkettę, podwojono posterunki wartownicze na wieżyczkach, wmontowano obok lekkich karabinów maszynowych - ciężkie, rozdzielano granaty i pancerfausty.

Biuro Schwahla zamieniło się w kwaterę główną. Bez przerwy dzwoniły telefony. Składano meldunki o wykonaniu rozkazów, odbierano nowe. Był tu ciągły ruch, a Schwahl, który musiał o wszystkim rozstrzygać - każdy od niego coś chciał - tkwił pośrodku tego wiru. I w cały ten galimatias władował się samochód osobowy z oficerami Wehrmachtu. Przywieźli Schwahlowi rozkaz komendanta z Weimaru - natychmiastowego odtransportowania zdeponowanych w bunkrach amunicyjnych SS ogromnych zapasów wehrmachtowskiej amunicji. Amunicja była nieodzownie potrzebna na terenie Halle-Hof, gdzie cofające się przed Amerykanami oddziały usiłowały stworzyć nową linię obrony.

- Moi panowie, moi panowie - wołał zrozpaczony Schwahl - widzicie przecież sami, że jestem w ogniu przygotowań do ewakuacji obozu.

Ale rozkaz musiał wykonać. Przekazał go do wykonania Kamlothowi. Kamloth pognął z oficerami do garażu SS i tam pogończył Brauera i Meisgeiera: - Natychmiast przygotować dwadzieścia ciężarówek!

Wkrótce zawarczały kolumny samochodowe na trasie wiodącej do bunkrów amunicyjnych za koszarami SS. Złani potem i stękający SS-mani wyciągali z bunkrów ciężkie skrzynie z amunicją.

Rozlegały się rozkazy, krzyki. Zamieszanie, jak przy nagłej ucieczce...

Schwahlowi wciąż nie dawano spokoju. Wpłynął meldunek telefoniczny: przy szlabanie znajduje się przybyły przed chwilą duży transport więźniów, którzy wrócili do Buchenwaldu ze znajdującej się w górach Harzu filii obozu. Schwahl już kompletnie zagubiony wykrzyczał swoją złość w słuchawkę, następnie cisnął ją na widełki, zadzwonił do Reinebotha, rozkazał mu zatroszczyć się o cugangów, nakazał Kluttigowi, by ten polecił

Kramerowi zająć się dalszym ciągiem tej sprawy i rozmieszczeniem przybyszów, aż wreszcie osunął się z jękiem na fotel, rozkładając teatralnie ręce: - Moi panowie, moi panowie...

Weisangk wlał w umęczonego kieliszek wódki, stojącej jeszcze od rana na stole. - Chlejj, to uspokaja!

Wyprzedzając maszerujące oddziały i warczące ciężarówki, gnał Reineboth na motorze drogą cugangów w kierunku szlabanu. Omal nie opuściła go zwykła brawura, gdy zobaczył tysiące złachmanionych, wynędzniałych i kompletnie wyczerpanych więźniów, stojących i leżących w odległości jakichś stu metrów od szlabanu na górskiej drodze. Odstawił motocykl na bok i skonsternowany zsunął czapkę na tył głowy. Kilku SS-manów, jakiś untersturmfuhrer i scharfuhrerzy, wyszło mu naprzeciw, i Byli brudni, zakurzeni i nie ogoleni, wyraźnie podrażnieni.

- Co tu się dzieje? Dlaczego nas nie wpuszczacie?

- Skąd przychodzicie? - zapytał Reineboth nie mogąc się opanować.

Untersturmfuhrer, który przedtem zabrał głos, roześmiał się ze złością.

- Ten jeszcze pyta, skąd przychodzimy! Amerykanin siedzi nam na karku, a wy, zdaje się, żyjecie jeszcze w najgłębszym spokoju. A więc jazda, jazda, otwierać drogę do raj!

Reinebothowi nie pozostało nic innego, jak tylko przepuścić transport. Eskorta SS, dozorująca ten rozpaczliwy tłum, zmusiła ludzi do powstania. Reineboth popędził z powrotem do lagru. Nie wiedział już, czy ma głowę na swoim miejscu. Dziś jeszcze mieli rozpocząć ewakuację, a tu nowe tysiące przybywają do obozu. Przeklinając zeskoczył z motoru. W swej wściekłości krzyknął złośliwie do Kluttiga znajdującego się w pokoju rapportfuhrera: - Serdeczne życzenia z powodu pomyślnego wykonania manewrów oddalających od przeciwnika.

Kluttig nie miał zrozumienia dla cynizmu młodzieniaszka. Reineboth rzucił się z nerwowym śmiechem na krzesło: - Jazda, włączyć do tej pięknej izby! Jego wysokość, Herr Lager-altester, zadba o jak najlepsze zakwaterowanie. Potrafi nakazać zniknięcie bez śladu czterdziestu sześciu ludziom, czemu nie miałby teraz trzech tysięcy...

- Zamknij mordę - warknął Kluttig podrażniony kpinami. - Gdybym ciebie nie słuchał, dawno byliby już rozwaleni w kamieniołomach.

- Ba... ba... ba... - Reineboth małpował komendanta - rozkaz wykonać mądrze i precyzyjnie. Wybacz mi, Panie Boże, uczyniłem to. - Podskoczył do okna. - Hunowie nadciągają!

Transport gnano ulicą cugangów. Samochody musiały zjechać na bok i zatrzymać się. Z wartowni wybiegli blockfuhrerzy. Również Kluttig i Reineboth pośpieszyli naprzeciw.

Kazali wartownikom otworzyć oba skrzydła żelaznej bramy. Kluttig polecił block-fuhrerom odgrodzić część placu apelowego. Kopniakami i ciosami kolb poganiali SS-mani więźniów. Przy bramie powstał straszliwy tłok i przepychanie. Wąskie przejście ścisnęło napływającą masę ludzką. Przebrnąwszy przez nią, tłum rozsypał się i osiadał jak olbrzymi rój na placu apelowym. Gorący pomruk zdenerwowania zagłuszyły wrzaski i krzyki blockfihrerów, którzy ująwszy się za ręce kopniakami i uderzeniami kolan powstrzymali pierwszy napór i zmusili tłum do zatrzymania się. Wielu spośród gnanych nie miało sił stać, chwytając oddech zziębnięci opadali na ziemię. Bramę zamknięto. Eskorta SS pomaszerowała do koszar.

W pierwszych rzędach bloków więźniowie tkwili przy oknach.

- Lageraltester, wszyscy blokowi i lagerschutz na bramę! - zabrzmiał głos Reinebotha w głośniku. Co to znów miało znaczyć? Trwający w obojętności i niepewności obóz nadśluchiwał. Więźniowie z lagerschutzu radzi byli, że mogli przerwać rzekome poszukiwania. Wybiegli z bloków, w których akurat byli, zebrali się przed swym pomieszczeniem i pod wodzą kapo pośpieszyli w stronę placu apelowego. Po drodze przyłączyli się do nich blokowi.

Reineboth nie pozostawił Kramerowi czasu na ustawienie przybyłych i złożenie zwykłego meldunku. - Natychmiast umieścić to wszystko w lagrze i rozdzielić!

Kluttig kazał lagerschutzowi zastąpić blockfihrerów. Z kolei lagerschutz utworzył pierścień wokół tłumu. Kramer natychmiast zorientował się w sytuacji. Zdał sobie sprawę, że władczy ton tej dwójki wynika z bezradności. Trzeba teraz było znaleźć właściwą taktykę, by opanować sytuację. Zwolnieni blockfihrerzy zaczęli zaraz szaleć, jak wściekłe psy, wśród wymęczonych. Kramer zaczął szybko wydawać rozkazy. - Blokowi, w dwuszeregu zbiórka! - Blokowi natychmiast ustawili się w dwóch rzędach.

- Baczność!

Nie zwracając uwagi na Reinebotha i Kluttiga, Kramer zbliżył się do tłumu.

- Koledzy - zawołał - podzielimy was teraz po sto osób na poszczególne bloki. Koledzy z lagerschutzu przejmą utworzenie grup i zaprowadzą was na bloki. Dyscyplina i spokój! Wtedy pójdzie to szybko!

Kapo lagerschutzu przejął komendę nad swoimi ludźmi. Szybko podzielił ich na oddziały, po dziesięciu; z kolei wyłaniały się z tłumu nowe dziesiątki, formując się następnie w setki. Nie było to takie proste; zmęczonymi ludźmi nie można było komenderować jak pułkiem żołnierzy. Ale siłą kierowniczą był instynkt więźniarski. Zapobiegał on wtrącaniu się SS-manów do podziału. Musieli pozostawić to samym więźniom, ograniczając się jedynie do tego, by zmusić dobrze wycelowanym kopniakiem najbardziej wyczerpanych do powstania.

Tymczasem Kramer wywoływał poszczególnych blokowych. Wkrótce pierwsze grupy zaczęły opuszczać plac apelowy. W ciągu niespełna godziny wszystko było skończone. Blockführerzy oddalili się. Pozostali tylko Reineboth i Kluttig. Stali z boku przyglądając się wszystkiemu: jeden ironicznie przebierając palcami, drugi z nie ukrywaną nienawiścią. Teraz Kramer zdjął czapkę i zameldował: - Rozkaz wykonany. Więźniowie rozdzieleni na bloki. - Kluttig wysunął szczękę.

- Czuje się pan tutaj chyba już jak głównodowodzący?

Jak często bywało, tak i tym razem Kramer musiał opanować odruch nienawiści, by jeszcze bardziej nie podrażnić bestii. Nie mógł przemilczeć prowokacyjnego pytania, byłoby to jednoznaczne z potwierdzeniem.

- Nie, hauptsturmführer, wykonałem tylko pański rozkaz.

- Wykonałem rozkaz! - wrzasnął Kluttig. - Jeżeli dziś do obiadu nie będzie tutaj tych czterdziestu sześciu, wykończę pana własnoręcznie.

Nieoczekiwany skok myślowy w stronę tych czterdziestu sześciu ostrzegł Kramera. Po cichu żywił nadzieję, że poszukiwania rozejdą się po kościach, tak jak poszukiwania dziecka. Na pogrózkę musiał zareagować. Ale jak zareagować z miejsca najwłaściwiej? Reineboth niechętny wybawił go z opresji.

- Lagerschutz szuka dalej, rozumiano?

- Tak jest - odpowiedział Kramer i westchnął z ulgą.

- Odmaszerować!

Gdy ustawieni w setki ludzie wtoczyli się do dziennych pomieszczeń, na blokach zaczął się ruch. Wielu zmordowanych, tak jak stało, opadło na zwolnione przez miejscowych więźniów ławy albo kładło się z ulgą na podłodze, nie zwracając uwagi na otoczenie. Na udręczonych twarzach malowało się odprężenie. Byli szczęśliwi, że po wszystkich tarapatach mają nareszcie dach nad głową. Zastępujący Runkiego Bochow przyprowadził również swoją setkę na blok. Rozdzielił ich na cztery skrzydła bloku, broniąc przed ciekawskimi: - Pozwólcie im przyjść do siebie. Dajcie im pić. Kto może, niech da kawałek chleba. - Sam wyjął swoją pajdę z szafy i rozdzielił między przybyłych. Inni poszli za jego przykładem. Sztubowi przynieśli kawę. Przyciągnięto koce, utworzono dodatkowe legowiska. Wielu miejscowych więźniów zwolniło swoje kojki dla chorych. Nikt już nie zwracał uwagi na to, że używanie łóżek w czasie dnia było surowo wzbronione. - Cóż oni nam mają jeszcze do zabrania? Jazda, układać chorych! - zrywali brudne łachmany z ciał. Niejeden ze zmordowanych aż jęczał ze szczęścia, mogąc wyciągnąć się na sienniku. Spać, spać, nic tylko spać! Nawet głód ustępował wobec tej najpilniejszej potrzeby. Gdy w bloku uspokoiło się, a

mocniejsi spośród cugangów przyszli do siebie, Bochow mógł zacząć z nimi rozmowę. Otoczeni zaciekawionymi mieszkańcami bloku opowiadali, że już wiele tygodni temu ewakuowano ich z podziemnego obozu koło Nordhausen, gdzie ataki aliantów zagnały do wnętrza góry fabrykę broni V. W drodze połączono ich z podobnymi transportami więźniów z Halberstadt, Muhlhausen i Langensalza. Przerzucano ich z miejsca na miejsce, wciąż między frontami. Zawsze, gdy nadciągali Amerykanie, SS-mani zmuszali ich do transportu. Najgorzej było wtedy, gdy zbliżał się front. Długie szeregi więźniarskie stawały się celem dla nurkujących samolotów. Lotnicy, jak się wydawało, nie potrafili rozpoznać transportu więźniarskiego i ostrzeliwali kolumnę bez pardonu. Więźniowie ponosili ogromne straty. Poza tym SS-mani, a także Hitlerjugend, gdy przechodzili przez miasteczka i osiedla, rozwalali chorych i krańcowo wyczerpanych. Często transport musiał przebijać się polnymi drogami, ponieważ szosy zapchane były czołgami, działami i maszerującym wojskiem. Motocykle i samochody osobowe pędzące z oficerami wyprzedzały i miały te pełne warkotu i hałasu kolumny. A wśród tłumu wojsk - wozy cywilnych uciekinierów. Tak odbywał się odwrót pobitych na szosach Turynii. W rowach przy szosach leżały całe sterty pocisków artyleryjskich i amunicji, której nie zdążono już zabrać, tak gwałtowna była ucieczka.

W dużym podnieceniu słuchali więźniowie tych sprawozdań. Tak to więc tam wyglądało! Jakże bliski już musiał być front, skoro ewakuowano wewnętrzne komanda Turynii! Podobnie jak na tym bloku, tak i na pozostałych więźniowie dowiadywali się o przebiegu wydarzeń. Stłoczona obozowa masa wahała się między oczekiwaniem a nadzieją. Czyż nie można było lada dzień spodziewać się nadejścia amerykańskich straży przednich?

Była chyba dopiero jedenasta przed południem, gdy zawyła syrena: alarm lotniczy! Tak wcześnie nigdy się nie zdarzył! Ale tym razem nie było żadnego ruchu w obozie, żadne komando nie spieszyło do lagru. Tylko szesnastka z oddziału sanitarnego przebiegła przez plac apelowy. Nieruchomo leżał obóz we wczesnym słońcu 4 kwietnia. Nie widać też było srebrzyście lśniących ptaków na niebie. Alarm wywołały amerykańskie samoloty nurkujące na kolumny ciężarowych wozów, które zjeżdżały szosą Iz góry w stronę Weimaru. Na terenach SS alarm przerwał gorączkę przygotowań. Przed barakami z amunicją stało kilka na pół załadowanych samochodów ciężarowych. SS-mani zniknęli, ukryli się w schronach. Wartownicy potrójnej postenketty przykucnęli w rowach przeciwlotniczych. Z daleka, z doliny, a na górę przenikał stłumiony huk armat.

Alarm trwał tylko niespełna godzinę, a w pół godziny po jego odwołaniu Kramer był już poinformowany przez Konna o wszystkim, co widziała jego szesnastka za drutami.

Na zewnętrznej granicy obozowej natknęli się na potrójną postenkettę, a między posterunkami ustawione były karabiny maszynowe... Na wieżyczkach odkryli podwójne posterunki i cekaemy. Wszystkie obserwacje dowodziły, że tam na zewnątrz rozwinięto gorączkową działalność, przerwana jedynie wskutek alarmu. Trzeba było prędko poinformować Bochowa. Kramer pospieszył na jego blok. Bochow poszedł za lageraltesterem na wiodące na górne skrzydło zewnętrzne schody. Tu nikt im nie przeszkadzał. Kramer złożył krótkie sprawozdanie. Bochow słuchał. Jego wzrok ślizgał się przy tym po tej części obozu, którą tu z góry można było obserwować. Bloki stały milczące i ciche. Nigdzie ani śladu więźnia. Milczące i nieruchome były wieżyczki za płotem. Z okrytego sadzą komina krematorium wydobywał się leniwy dym. Znow palili. Odór palonego mięsa łączył się z ostrym zapachem zupy gotowanej w kuchni. Bochow zmrużył oczy. Ponad dachami bloków mógł zobaczyć jeszcze część placu apelowego z budynkiem przy bramie. Wydawało mu się, że rozpoznaje nad balustradą głównej wieży zamiast dwóch - zazwyczaj tam umieszczonych - cztery karabiny maszynowe. Niesamowicie cicho i martwo było tam na górze przy bramie, niesamowicie cichy i martwy był też obóz - jak w czasie dusznej ciszy przed burzą.

- Duszno - powiedział też Bochow tępo. Ale nie było czasu na folgowanie myślom. Każda godzina mogła rozerwać ciszę i sprowadzić piekło na ludzi. Sytuacja wymagała porozumienia z towarzyszami z MKO. Ale w jaki sposób mogli niepostrzeżenie dotrzeć na blok 17? Kramer pomógł. Dziwnym trafem właśnie odór z kuchni naprowadził go na odpowiednią myśl.

- Uważaj - powiedział - towarzysze z MKO zamiast sztubowych z 17 zbiorą się pod kuchnią i przyniosą jedzenie na bloki. W tłumie nie podpadną. Ja to już urządzę. Ale jak zawiadomisz i zbierzesz do tego czasu swoje owieczki? - Bochow zrozumiał pytanie Kramera. Przecież lageraltester był jedynym więźniem, który mimo zakazu Weisangka mógł się poruszać po lagrze, i tylko Kramer mógł zawiadomić towarzyszy. Przestrzegana dotychczas tak pieczołowicie konspiracja nie dawała się już utrzymać. Podał więc Kramerowi bloki i nazwiska poszczególnych towarzyszy, których trzeba było natychmiast powiadomić. Bochow położył Kramerowi dłoń na ramieniu.

- Odtąd będzie ci bardzo ciężko, Walter. W tobie koncentruje się wszystko.

Kramer nie odpowiedział. Jego ręce mocno zacisnęły się na zardzewiałej rurze poręczy. Dopiero po chwili Bochow podjął dalej. - Twoje życie będzie co chwila zagrożone. Nie musimy przed sobą udawać. Jeżeli nie złapią żadnego z tych czterdziestu sześciu, wtedy ty możesz... wtedy zajdzie obawa, że oni ciebie... oni w tobie widzą przywódcę.

- Wiem.

- Czy nie byłoby dla ciebie lepiej, abyś i ty w porę zniknął... czterdziestu sześciu czy czterdziestu siedmiu, to już nie gra roli.

Kramer spojrział na Bochowa. Na twarzach odbijały się myśli. Kramer przypomniał sobie pogroźkę Kluttiga, którą przemilczał przed Bochowem.

- Być może, że nie będziemy już mieli okazji ani czasu rozmawiać ze sobą, Herbert - powiedział ledwo otwierając usta - dlatego chcę ci teraz coś jeszcze powiedzieć. Zachowaj to dla siebie. Ja chcę żyć i nie chcę umierać tuż przed końcem. Pragnę, byś mnie dobrze zrozumiał. Niechaj koniec będzie, jaki chce. Może pragnę żyć tylko dlatego, że... mam na myśli, że koniec końców człowiek jest ciekaw, co będzie potem. - Ten dowcip nie udał się Kramerowi. Popatrzył w niebo. - W zeszłym tygodniu minął jedenasty rok mego uwięzienia. Jedenaście lat! Do pioruna! Chciałbym przynajmniej wiedzieć, czy się opłaciło! - Kramer zamilkł i zagryzł wargi. Bochow uszanował jego milczenie. Zły, że uległ wzruszeniu, Kramer zaczął wymyślać sam sobie. - Bzdura, wykończą? A jeśli nawet! Wtedy będzie się im zdawało, że odcięli głowę, a to koniec końców też jest dobre dla MKO, no nie? - Oczywiście nie należało od Bochowa oczekiwać odpowiedzi na to pytanie! Kramer uśmiechnął się więc zażenowany: - Stoimy tutaj, a ja gadam głupstwa...

Pomysł Kramera był dobry. Parę słów z blokowym z 17, jego krótka instrukcja dla blokowych: - Słuchajcie, przy przynoszeniu jedzenia przyprowadzicie paru kumpli, chcą przez chwilę być sami, nie gadajcie o tym.

Nie pytając o nic, dwóch sztabowych poszło do kuchni i sprowadziło niepostrzeżenie towarzyszy na blok. Natychmiast też członkowie MKO udali się do pustego teraz pomieszczenia sypialnego. Międzynarodowa mieszanina na bloku kwarantanny, istoty równie otepiałe i zbiedzone jak mieszkańcy Małego Lagru, nie zwróciła na nich żadnej uwagi. Narada musiała odbyć się szybko. Po wydaniu porcji towarzysze musieli odnieść puste kotły do kuchni, by korzystając z okazji zniknąć i wrócić na swoje bloki równie niepostrzeżenie, jak tu dotarli. Sprawozdanie Bochowa o obserwacjach grupy sanitarnej, o potrójnym kordonie za drutami, o cekaemach czyhających na wieżyczkach, o przygotowanych granatach i panczerfaustach... Niebezpieczeństwo jak sęp zataczało nad obozem coraz ciaśniejsze kręgi. Co robić, jeżeli rozpoczną ewakuację? Na to tak często stawiane pytanie znajdowali tylko jedną odpowiedź: gdy sęp spadnie, należy mu wyrwać z pazurów tyle ludzi, ile tylko będzie możliwe przy zastosowaniu biernego oporu.

A co z bronią, z grupami oporu? Czyż i one, podobnie jak i troskliwe przygotowania na ostatnią godzinę, straciły swój sens? Bo przecież wszyscy członkowie MKO bronili się

przed porywczym Pribulą, który nie chciał słyszeć o taktyce zwlekania i żądał powstania zbrojnego! Wydawało się nawet, że ma rację.

- Ja nie mogę zrozumieć - powiedział - my nie mamy robić powstania, kiedy tyle, tyle idzie na śmierć? A my mamy zacząć powstanie, jak znajdą jednego z tych 46? Ja nie mogę zrozumieć!

A mimo to tak jest - odpowiedział gorączkującemu się Bochow - miejmy nadzieję, że ten akt rozpaczony zostanie nam zaoszczędzony. Życie jest ostatnią rzeczą, jaką możemy rzucić na szalę. Jak długo jednak żyjemy, będziemy życia bronili. Jestem za powstaniem, ale wtedy, kiedy wybije godzina. Jeszcze nie wybiła. - Bogorski zgodził się z Bochowem. Dysproporcja siły militarnej pozwalała rozpocząć powstanie dopiero wtedy, gdy front przybliży się do tego stopnia, że będzie można wejść z nim w kontakt. Dotychczas jednak to nie nastąpiło. Chodzi teraz o to, by stłoczonym w barakach ludziom wskazać kierunek działania. Chodzi o to, by opanować ich niepewność i obawę.

Bochow zaproponował, by całemu obozowi przekazać za pośrednictwem towarzyszy z grup, blokowych i wszystkich pewnych kumpli - centralne hasło: opóźnić ewakuację. Każdy dzień i każda godzina opóźnienia stanowią dla nas wygraną!

- Być może - dodał - jutro będzie już zupełnie inna sytuacja i trzeba będzie powziąć nowe uchwały. Może już jutro front zbliży się do tego stopnia, że będziemy mogli zapobiec próbom ewakuacji poprzez aktywny opór. - Te słowa skierowane były pod adresem Pribuli.

Niebezpieczeństwo stało się tak wielkie i bliskie, że dotychczasowe troski i kłopoty związane ze zniknięciem dziecka zeszły w cień. Nikt już nie myślał ani o dziecku, ani o Hóflu lub Kropińskim. Zdawało się, że zapomniano nawet o dopiero co tak odważnie przeprowadzonej akcji ratowniczej czterdziestu sześciu kandydatów na śmierć. Wszystko to straciło swoją wartość w obliczu troski o los wszystkich.

W tym samym czasie, kiedy towarzysze z MKO obradowali, w pomieszczeniu służbowym Schwahla zebrali się ponownie zdenerwowani sztabowcy, których uprzednio rozproszył niespodziany atak amerykańskich lotników. Godzina alarmu wystarczyła, by dotychczasowe zewnętrzne opanowanie prysło. Nawet Schwahl, który tak lubił okazywać swoją wyższość, załamał się. Uległ ogólnemu podenerwowaniu i podnieceniu. Wszyscy mówili i gestykulowali, jeden przez drugiego. Z porządku obrad nie pozostało ani śladu. - Proszę bardzo, moi panowie - powiedział Schwahl potęgując jeszcze niepokój. - Amerykanin dobiera się nam już do skóry! Otrzymałem meldunek, z którego wynika, że amerykańskie czołgi dotarły już na teren Gotha.

Kluttig wrzasnął podniecony: - A my stoimy tu sobie i wygłaszamy mowy! W jakim celu właściwie polecił pan wydać cekaemy na wieżę? - krzyknął do Schwahla, miotając się dziko po pokoju. - Rozstrzelać tę bandę, a potem jazda stąd!

Nie sposób było rozeznać, czy wybuchły po tym okrzyku tumult oznacza aprobatę, czy sprzeciw. W tym wirze potracili wszyscy głowy. Nagłym skokiem Schwahl znalazł się za biurkiem i wyrwał z szuflady pistolet. - Moi panowie! - Wszyscy odwrócili się w jego stronę i zobaczyli broń. Kluttig wpatrywał się w komendanta ze zmienioną twarzą.

- Jestem gotów na waszych oczach strzelić sobie w łeb, wtedy będziecie mogli słuchać rozkazów Kluttiga! Ale jak długo ja żyję, moje rozkazy obowiązują!

Schwahl spostrzegł, że jego gest dał pożądaný efekt. Cisnął pistolet z powrotem do szuflady i zamknął ją.

- Bez paniki, moi panowie! Nasze wojska utrzymują jeszcze pozycje. Za parę dni opróżnimy obóz i będziemy mieli możność wycofania się. Mój rozkaz zostaje utrzymany w mocy. Jest to rozkaz reichsführera SS!

Zweiling nie pokazał się jeszcze w Effektenkammer. Nikt z więźniów nie myślał o pracy. Kręcili się po kancelarii i magazynie. Los każdego z nich związany był z losami komanda. Śmierć Pippiga uciszyła rozmowy.

Rosę siedział na swoim miejscu. Nikt z nim nie rozmawiał, on z kolei nie ważył się spojrzeć na żadnego z więźniów, buntował się przeciwko tej izolacji. Jednakże milcząca pogarda przytłaczała go do tego stopnia, że on jeden w całym komandzie siedział za stołem, pracując gorączkowo. Milczące jednakże skupienie więźniów skierowane było nie przeciw niemu, lecz przeciw kapusiowi Wurachowi. Wurach odczuwał powszechną wrogość i był w stałym napięciu. On jedyny bez przerwy gadał. Jeśli w ogóle nawiązywały się rozmowy, dotyczyły grożącej ewakuacji.

- Moim zdaniem lepiej, żeby to się zaczęło dzisiaj aniżeli jutro. Niech już raz skończy się to oczekiwanie.

Uwagę Wuracha zbyto milczeniem, aż wreszcie jeden z więźniów, który razem z nim był w szrajbsztubie, nie wytrzymał i zauważył: - I w tej sytuacji znajdują się tacy, którzy potrafią uchronić swoją dupę...

Natychmiast inny wtrącił: - Jeżeli przyjmujemy, że do tego czasu dupa im nie ostygnie...

Aluzja była jednoznaczna. Wurach poczuł się osaczony. Uśmiechem usiłował pokryć ukrytą groźbę. Więźniowie znów zamilkli. Ale nie dawało im to spokoju. Gdyby tak mogli

tego kapusia fchwyć i powiedzieć mu wprost: - Ty, psie, zakapowałeś nas! Ty masz Pippiga na sumieniu! - ale nie wazyli się na to; zbyt niebezpiecznie było chwycić go już za gardło.

Po południu przyszedł Zweiling. Stało się to w wyniku kłótni Iz Hortense. Zweiling w ogóle nie miał już ochoty pokazywać się więcej w lagrze. Nigdy nic nie można wiedzieć... - tak filozoficznie uzasadniał swoje zamierzenie. Ale Hortense wypędziła go. - Wszyscy twoi ludzie stoją teraz na posterunku, a ty chcesz się wymigiwać?

- Każdy jest sam sobie najbliższy...

- Najbliższy? - syknęła Hortense. - Najbliższym, którego wykończą jego własni ludzie, jesteś ty sam!

- Jak to? - zapytał Zweiling głupio.

- Posłuchajcie no pana hauptscharfihrera! Najpierw kombinuje z żydowskim bękartem, potem kombinuje z komuną... Bojowo ujęła się pod boki.

Gdybym była Kluttigiem, powiedziałałabym: O, tu mamy dowód! A teraz ten tchórzliwy pies się wymiguje.

Skoczyła na Zweilinga: - Właśnie teraz musisz trzymać fason. Bo przecież na dobrą sprawę będziesz musiał się wycofać wraz ze swoimi ludźmi! A może jeszcze wciąż ci się wydaje, że cię komuna ukryje? - Hortense roześmiała się brzydko. - Gdzież twój żydowski bękart? Ładnie cię urządzili.

Zweiling namyślając się wysunął język. Sytuacja o tyle się wyjaśniła, że kwestia opuszczenia obozu przed nadejściem pierwszych Amerykanów stała się nieodwołalna. A więc droga w nieznane. Hortense znowu ma rację. Zweiling będzie musiał maszerować ze wszystkimi.

W komandzie uderzyła Zweilinga zmieniona atmosfera. Nie troszcząc się o nikogo i nie interesując pracą usunął się natychmiast do swego pokoju i tam też pozostał. Zachowanie Zweilinga było sygnałem dla Wuracha. Nie mógł już od niego niczego oczekiwać, za to ze strony więźniów musiał się obawiać wszystkiego. Znalazł się między młotem a kowadłem... Ale nie dał po sobie poznać, że rozpaczliwie szuka wyjścia.

Mimo że dawno już oczekiwany, rozkaz, który późnym popołudniem rozbrzmiał nad opustoszałym placem apelowym i wtargnął do bloków, wywołał jednak paroksyzm strachu.

„Wszyscy Żydzi ustawić się natychmiast na placu apelowym!”

Głos Reinebotha na chwilę uciszył hałas i szum na blokach. Ale tylko na chwilę. Zaraz potem wybuchł z podwójną mocą. - Zaczyna się, zaczyna się! Żydów biorą na początek!

Kości zostały rzucone!

Ewakuacja rozpoczęła się!

Wprawdzie jako pierwszych brano Żydów, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że ich bloki znajdują się w następnej kolejności. Wielu przygotowało się już do podróży, zrolowało koce i spakowało swój skromny dobytek.

Niektórzy snuli awanturnicze plany, jak uniknąć ewakuacji. Myśleli o tym, żeby wygrzebać dziurę w ziemi na pustej przestrzeni w lagrze, mieli zamiar ukryć się pod barakami... wszystko to były fantasmagorie. Niemiłosierny rozkaz zafascynował więźniów. Wahali się między nadzieją a fatalizmem.

Wśród 6000 żydowskich więźniów rozkaz wywołał strach i rozpacz. Z początku rozległ się wśród nich krzyk przerażenia. Nie chcieli opuszczać bloków, w których znajdowali schronienie. Krzyczeli i płakali, nie wiedzieli, co robić. Rozkaz zaskoczył ich niby wściekły wilk. Wgryzł się w nich, nie mogli go z siebie strząsnąć. Nie bacząc na zakaz opuszczania bloków, wielu Żydów bezmyślnie, w największej rozpacz, wybiegło na obóz. Wpadali do innych bloków, do baraku tyfusowego w Małym Lagrze, na rewir. - Pomóżcie nam! Pomóżcie nam! Ukryjcie nas! - Jak was ukryć? Przecież zaraz przyjdzie i na nas kolej. Mimo to przyjmowano ich na blokach. Zrywano im żydowskie odznaki i przyszywano do odzieży inne. Kohn położył szukających u niego pomocy do łóżek jako chorych, również zmieniając im odznaki i numerację. Niektórzy szukający pomocy na własną rękę ukryli się w trupiarni na rewirze. Inni pobiegli do baraków Małego Lagru, mieszając się w więźniarski tłum. Ale to było najbardziej bezsensowne, ponieważ tu właśnie, w tym obozie, było już wielu żydowskich więźniów z wielu krajów. Ale któż potrafił, uciekając przed wilkiem, zastanowić się i trzeźwo myśleć...

Ci, którzy pozostali na żydowskich blokach, poddali się wreszcie morderczemu rozkazowi. Czekali zrozpaczeni na to, co miało nadejść. Blokowi, również żydowscy więźniowie, nie mieli odwagi nakazania marszu w kierunku bramy. Tam czyhała śmierć! Ale czyż nie można było spodziewać się jej również tutaj?

Bochow walczył ze sobą. Czy odważyć się wybiec na opustoszały obóz? Ale któż inny poza nim spośród towarzyszy z MKO mógł teraz wesprzeć Kramera? Tak więc ostatecznie pobiegł do szrajbsztuby.

- No i co? - przyjął go Kramer, tak jakby go oczekiwał, Ale w pytaniu nie było bynajmniej bezradności.

Zwlekać z wymarszem, jak długo się da! -.

- Ale jak długo się da?

- Wszystko jedno, Walter, jeżeli to będą nawet tylko godziny. Jeżeli nawet tylko godziny!

Głośnik zatrzeszczał. Rozległ się głos Reinebotha, ale już nie cyniczny: "Lageraltester do rapportfuhrera!"

Każda zapowiedź była jakby nową pogroźką. Kramer wymęczony wstał i potrząsnął pięścią w stronę głośnika.

Potem nałożył płaszcz i czapkę. Bochow przyglądał się jego gwałtownym ruchom.

- Walter! - zawołał.

- No co?

Wszystko, co mogliby sobie powiedzieć, mieściło się w tych dwóch krótkich odezwaniach. Odczuli to. Kramer machnął ręką: lepiej nie mówić o tym.

- Wracaj na blok, ja to już załatwię...

Reineboth przyjął Kramera niecierpliwie: - Gdzie podziewają się Żydzi? Może pan się łaskawie postara, żeby te draby wymaszerowały. A może pan myśli, że już nie muszą?

- Byłem na blokach, starałem się wykonać pański rozkaz - kłamał Kramer.

- Starałem się, starałem się! - krzyknął Reineboth. - Ta hałastrą pójdzie do roboty! Za godzinę mają stać wszyscy na placu, w przeciwnym razie niech się Bóg nad wami zlituje!

To była gorzka droga - na bloki żydowskie.

Kramer szedł, jakby miał ołów w butach. Z piersi jego jak gdyby wrywało się: "Pozostańcie na blokach, koledzy! Niech żaden nie idzie na plac! Mamy broń! Będziemy was bronili!" Ale ten krzyk zamarł. Kramer wszedł do pierwszego bloku.

Nieszczęśliwcy otoczyli go z przerażonymi twarzami i drganiem płaczu w gardłach, jak gdyby od niego oczekując ratunku.

- Pozostaniemy tutaj! Nie pójdziemy!

Kramer zmusił się do wykonania gorzkiego obowiązku. - Musicie iść, koledzy, my też będziemy musieli iść... - Kramer zwrócił się do młodego blokowego, znał go dobrze. - Każ ustawić się, Akim, nie da rady! Powoli, rozumiesz, powoli. Niech ten tam na górze jeszcze parę razy powrzeszczy. Może uda się przeciągnąć aż do zmierzchu. W nocy nie będą mogli ewakuować, a jutro już może być inaczej.

Kramer nie wtrącał się, gdy więźniowie, ociągając się i z wahaniem, zaczęli wypełniać polecenia blokowego. Poszedł na inne bloki. Tu było to samo. Ledwo zrozpaczonych ludzi zdążono ustawić, a już na nowo uciekali na bloki. Nie udawało się utworzyć kolumn marszowych. Przy oknach bloków sąsiadujących z blokami żydowskimi tłoczyli się więźniowie, przyglądając się samotnej, rozpaczliwej walce. Również z polskiego bloku

można było zaobserwować, co się dzieje. Pribula wraz z kilkoma przyjaciółmi z grupy oporu przywarł do okna i oparł pięści o szybę.

- Psiakrew! A my musimy się temu przyglądać. Psiakrew! - Koledzy rozumieli go. W milczeniu, zacięci, z ciemnym blaskiem w oczach patrzyli na dramat rozgrywający się na dworze. Ale zauważyli również, że Kramer bynajmniej nie stara się wprowadzić porządku w ten bałagan. Gdy tylko w jego obecności część więźniów żydowskich udało się zebrać przed blokiem, szedł na następny blok. Ustawieni oczywiście natychmiast rozpierzchali się.

Trwało to tak ponad godzinę.

„Gdzie podziewają się Żydzi? Lageraltester, natychmiast kazać wymaszerować!”

Okrutny głośnik spotęgował jeszcze bałagan wśród krzyczących ludzi. Przed jednym z bloków uformowało się coś na kształt kolumny marszowej, ale ledwie dotarła ona do sąsiedniego bloku, już więźniowie albo wbiegli do sąsiadów, albo płacząc, krzycząc, łkając, przeklinając lub modląc się, wrócili na własny blok. Padali sobie w ramiona, całowali się, żegnali. Blokowy ponownie wezwał do ustawienia się. Uciekali do pomieszczeń sypialnych, włączili pod kojki albo ukrywali się w klozetach - wszystko to było bez sensu, nie dawało schronienia. Wilk wpił się pazurami w ich ciało, tarosił ich i nie pozwalał się odtrącić. Znow straszliwy głośnik zaskrzeczał: „Lageraltester, natychmiast kazać ustawić się!”

Kramer przecisnął się przez więźniarski tłum, który przy wejściu na blok brzęczał niby pszczeli ul, i opadł na ławę obok stołu młodego blokowego. Akim widział jego udrękę.

- Chodź, pójdziemy - powiedział - i tak nic nie pomoże.

Kramer z wściekłością rąbnął pięścią w stół.

Napięcie rozładowało się. Kramer podskoczył i krzyknął do Akima, wybiegając z bloku: - Jak ten tam na górze będzie! wrzeszczał, za każdym razem każ tylko ustawiać się, za każdym razem...

Parokrotnie już Schwahl naciskał rapportfuhrera w sprawie wymarszu transportu żydowskiego. Podobna do uwięzionej sfory grupa blockfiihrerów czatowała u okien izby w budynku na bramie. I znow minęło pół godziny, a plac apelowy był wciąż jeszcze pusty.

Cóż dałby Bochow za to, by nie być skrępowany zakazem opuszczania bloków! Cekał pełen dławiącej niecierpliwości i dręczącej niepewności. Co robi Kramer? Co się dzieje na bramie? Nagle głośnik znow przerwał napięcie.

„Lagerschutz, natychmiast stawić się na bramie!”

Z tonu Reinebotha Bochow wyczuł ostateczność. - Teraz pójdzie na całego! - powiedział. Więźniowie wokół niego wpatrywali się zastraszeni w niesamowity głośnik, którego każdy kolejny komunikat stawał się bardziej wrogi i niebezpieczny.

- Teraz sprowadzają lagerschutz - powiedział ktoś w ciszy.

Natychmiast potem ktoś inny zaczął deklamować:

Wypalone legowisko, dzikich burz surowa bliskość. W puste zaś ramy okien niebo patrzy chmurnym okiem a tan ziemski strach...

Kilku roześmiało się. A śmiech sprawiał wrażenie szczekania... Zazwyczaj lagerschutz śpieszył biegiem ku bramie. Tym razem zwartym oddziałem maszerowali placem apelowym pod górę. W ten sposób trwało to o kilka minut dłużej, a walczono o każdą minutę zwłoki. Z gorączkową uwagą śledzili więźniowie u okien pierwszego rzędu bloków przebieg wydarzeń tam na górze, przy bramie. Setka więźniów z lagerschutzu ustawiła się. Widzieli Reinebotha wchodzącego do lagru. Widzieli przez okna, jak kapo lagerschutzu składa meldunek, jak Reineboth wydaje rozkazy, jak lagerschutz ponownie ustawia się i jak Reineboth znika za bramą. Minęło kilka minut. Nagle wartownik rozwarł bramę na całą szerokość i do obozu wtargnęła sfera blockfiihrerów. Z pałkami w rękach pobiegli placem apelowym w dół. Wśród więźniów u okien wszczął się ruch: - Idą po Żydów!

Jak nagle uderzenie wiatru, esesmanska sfera wpadła między żydowskich więźniów. Z krzykiem uciekli na bloki. Ale dziki taniec pałek wygnał ich z powrotem. W samym centrum tego piekielnego tumultu znajdował się Kramer! Wyrывał najbardziej zagrożonych spod ciosów szalejących zbirów, nie bacząc, że i na jego głowę spadają ciosy. Kilku blockfiihrerów odcięło wejścia do bloków, inni zaś gnali splątany, krzyczący tłum ludzi w stronę placu apelowego. Kto padał po drodze, tego tratowano albo podnoszono kopniakami. Gdy dzikie polowanie skończyło się, Kramer pozostał jeszcze na miejscu. Okropnie to wyglądało. Przed pustymi blokami walały się części ubrań, czapki, koce, kubki, blaszane miski. Stoły i ławki na blokach przewracane, szafki pootwierane, a w sypialnych pomieszczeniach sienniki zerwane z kojek i porozrzucane. Nad pulpitem blokowego wisiała w strzępach mapa frontu. Ciężko oddychając stał Kramer w opustoszałym bloku. Dopiero po dłuższej chwili mógł znów oddychać spokojnie. A gdy tak stał, wyglądał jak zwierzę, które otrzymało śmiertelny postrzał i czeka, aż padnie. Zsunął czapkę na tył głowy i otarł mokre czoło. Ręka opadła. Rozejrzał się raz jeszcze i opuścił blok. Tu już nic nie było do roboty...

Zadaniem lagerschutzu było utworzenie pierścienia wokół wielotysięcznego roju przygnanych. Blockfiihrerzy zniknęli. Koło budynku na bramie pustka. Tłum stał tak przez godzinę, dwie. Ściemniło się. Transport nie mógł już odejść.

Schwahl nieustannie telefonował na dworzec weimarski. Ale dla przygotowanych pociągów towarowych nie było wolnej drogi. Tory były zapchane. Minęła jeszcze godzina, a ludzie wciąż stali pod bramą. Nad ich głowami na galerijce wieży głównej patrołowały

warty, od czasu do czasu rzucając przez poręcz ciekawe spojrzenia na tłum. Członkowie lagerschutzu stali w milczeniu wokół stłoczonych; trzymali się za ręce. W strachu czekali żydowscy więźniowie. Tu, w pobliżu oczu SS, żaden z nich nie ważył się rozmawiać z ludźmi z lagerschutzu. Ale ich wzrok błagał: przecież jesteście tacy sami jak my, dlaczego nas trzymacie?"Widząc skierowane w siebie nieruchome oczy żydowskiego więźnia, jeden z lagerschutzowców pomyślał:"Gdyby on teraz próbował wiać, nie zatrzymywałbym go..." Czy istniała tajemna mowa myśli? Dwaj więźniowie wpatrywali się w siebie uporczywie. Żyd stał sztywno, jak gdyby wstrzymywał oddech. W napięciu koncentrował się przed decyzją. Nagle pochylił się. Ten z lagerschutzu poczuł, że jego sąsiad robi ruch ręką, ale żydowski więzień prześliznął się już przez łańcuch ramion i uciekł. Ta odważna ucieczka wywołała reakcję łańcuchową. Czterech, pięciu, dziesięciu prześlizgiwało się i uciekało placem apelowym w dół. Tłum zaczął się kołysać i naciskać. Łańcuch lagerschutzu zamknął się. Co prawda lagerschutz powstrzymywał uciekających, ale tylko po to, aby nie wszyscy uciekali naraz. A potem sami podnosili ramiona i ułatwiali wyśliźnięcie się nowej grupie. Przedziwne refleksje odbijały się wówczas w umysłach lagerschutzowców. Co mamy robić? Przecież nie wszyscy nam zwiędą. Staramy się ze wszelkich sił ich powstrzymać, ale to nie pomaga... Jeszcze dziwniejsze było to, że na bramie nic się nie działo. Ani wartownicy na wieżyczkach nie robili alarmu, choć mimo ciemności musieli zauważyć ucieczkę, ani Reineboth nie przylatywał, ani nikt inny. Nic się nie działo! Napięcie towarzyszące ucieczce nie pozostawiało czasu na próby wyjaśnienia, jak to było możliwe.

Może działo się tak dlatego, że w tym czasie właśnie Reineboth był u komendanta. Albo dlatego, że wartownicy na wieżyczkach myśleli sobie:"Niech oni sobie tam na dole biegają, co to nas obchodzi. I tak, i tak koniec". Członkowie lagerschutzu przepuszczali grupę po grupie, aż wreszcie pozostali sami. Kapo wzruszył ramionami: - A więc i my pójdziemy. Jazda, zbiórka!

Cicho, jakby nie chcieli być słyszani, więźniowie z lagerschutzu uformowali się w szeregi. Z początku nieco trwożnie, ale potem coraz pewniej pomaszrowali placem apelowym w dół. Za pierwszym rzędem bloków wyszedł im naprzeciw Kramer. Widział wszystko. Kapo znów wzruszył z rezygnacją ramionami.

- Zwiewajcie na swój blok! - powiedział Kramer, ponieważ w tej przedziwnej sytuacji nie miał nic innego do powiedzenia.

- Zwiewajcie! - powiedział też Kramer do więźniów po powrocie do szrajbsztuby, a sam poszedł na swój blok nr 3. Na pytanie Wunderlicha, czy nie ma zamiaru odgwizdywać nocy, odpowiedział wulgarnie: - Mogą mnie... W ogóle przestałem już odgwizdywać. -

Niepojęte, że po ucieczce Żydów nic się nie stało. Czyżby Reineboth po powrocie od komendanta powiedział sobie to samo, co posterunki na wieżyczkach? Czy w ogóle zameldował komendantowi o zniknięciu Żydów? Czy nie było Kluttiga? Ten by z pewnością szalał i robił raban na bramie!

Wieczór zastępowała noc. Na blokach wszyscy już wiedzieli, że lagerschutz pozwolił zwać Żydom, i czekali na rozwój wydarzeń. Z niedowierzaniem wsłuchiwali się w ciszę, oczekując w każdej chwili ryku głośnika. Ale ten niesamowity twór wisiał niemy nad drzwiami pomieszczenia dziennego. Oczekujący wykruszali się, niejeden poczłapał do sypialni i włożył na łożo.

Długo czuwali jeszcze w Małym Lagrze niemiecki blokszrajber i jego dwaj polscy pomocnicy. Rozpoczęła się druga noc Prólla w kryjówce.

Konieczność ciągłego pochylania się od dawna już zamieniła pobyt w kryjówce w męczarnię. Paliły skurczone mięśnie karku. Wciąż na nowo załamywały się kolana. Nie mógł ani odwrócić się, ani usiąść, ani przykucnąć. Tylko głową opierał się o ścianę lochu. Co to było - dzień czy noc? Czy minął jeden dzień, dwa, cztery? Proll jęczał - był zmęczony i słabł. Zamknął oczy, a mimo to nie mógł zasnąć. Jak długo trwał nieruchomo, ból w mięśniach tępiał, ale przy najmniejszym poruszeniu przenikał go jak płomień. Proll zaciskał zęby.

Nagle wzdrygnął się. Pokrywa nad jego głową poruszyła się. W podnieconym umyśle zrodziła się myśl: - Mają mnie! - Wówczas usłyszał bliski szept: - Fritz! Człowieku! Żyjesz jeszcze? - jakieś ręce sięgnęły po niego i wyciągnęły.

Proll drżał i dygotał. Mimo płaszcza owionął go nocny ziąb. - Prędko do baraku! - Polacy wzięli go pod ramiona, a Proll szlifował między nimi ulicę zeszywniałymi nogami. W małym pokoiku blokszrajbera przyszedł do siebie.

Blokszrajber przyniósł mu kubek ciepłej zupy. Drżącymi dłońmi podniósł Proll kubek do ust, a ciepły napój oddziałł kojąco na zastygłą krew. Przypomniało mu się, że ma chleb. Wyciągnął stwardniałą przylepkę i odgryzł. Wbiegł jeden z Polaków. - Idą! - Proll poderwał się i wyskoczył w noc. Jego pomocnicy - za nim! Pobiegli w stronę lochu. W chwili gdy Proll chciał się w nim ukryć, zza jednego baraku, jak cienie, wynurzyli się dwaj SS-mani. Przed nimi biegł wężąc pies. Od czasu do czasu SS-mani oświetlali drogę przyciemnioną latarką. Czterej więźniowie stali jak wryci, nie ważąc się oddychać. SS-mani szli wzdłuż baraków, w odległości niespełna piętnastu metrów od nich. Skrzypiały buty. Proll patrzył, jak się zbliżają, z rozszerzonymi ze strachu oczami. Teraz szli przez wolny teren między barakami, tam gdzie znajdował się loch. Przecież tak wyraźnie, jak więźniowie widzieli SS-manów, tak wyraźnie i oni musieli widzieć...

Dzieliło ich już tylko kilka metrów. Czy zatrzymają się? Czy przystaną...? Czy pies podniesie łeb? Czy zwietrzy ich? Serce zamarło. SS-mani przeszli przez pusty teren i poszli dalej wzdłuż baraków... oddalali się... głowy czterech więźniów zwróciły się w ich kierunku, oczy wpijały się w ciemność... To śmierć przeszła mimo nich, ale czarne sklepienie nieba wytrzymało, nie zawaliło się. Bezszelestnie zniknął Proll w lochu. Cicho zamknęła się nad nim pokrywa. Proll oparł głowę o mur, wzburzony aż do głębi duszy. Dopiero teraz poczuł, ile kosztowały go te minuty...

Nazajutrz rano Bochow był jednym z pierwszych w pomieszczeniu Kramera, które coraz bardziej stawało się punktem zbiorczym. Akcja ratownicza 46 kandydatów śmierci i wczorajsza ucieczka więźniów żydowskich - to były otwarte wyzwania. Teraz wszyscy, Kramer, Bochow, blokowi, którzy tu przyszli, czy też więźniowie na blokach - wszyscy oczekiwali represji. Dotychczas kierownictwo obozu dawało odczuć całą swą potęgę przy najmniejszym nawet wykroczeniu przeciw dyscyplinie.

Między blokami w obozie ożywiło się. Więźniowie stali wokoło, odgadując, co dzisiaj się wydarzy. Kramer czekał daremnie na codzienny rozkaz wymarszu całego łagru na apel. Gdy wybiła godzina apelu, Reineboth nakazał tylko wyjście odkomenderowanych do kuchni oficerskiej i kuchni załogi. Poza tym żadne komando nie wyszło do pracy. Brak apelu był czymś tak samo nadzwyczajnym, jak brak represji. Kramer niespokojnie popatrzył na zegar na bramie. Już dwie godziny opóźnienia.

- Dziś nie będzie apelu... w ogóle już nie będzie apelów... - powiedział.

- Słyszałem - zakrakał jeden z blokowych - że komendant zadzwonił na pobliskie lotnisko i zażądał bombowców. Kramer odwrócił się gwałtownie: - Słyszałem, słyszałem - kapo wsiadł na blokowego - gównie słyszałeś! Jeszcze tego brak, abyśmy rozpowszechniali takie klozetowe gadki!

- Nie pozwalajcie sobie zawracać głowy takimi niesprawdzalnymi plotkami - napominał Bochow - teraz trzeba odczekać, jak oni zareagują na zwianie Żydów.

Ten spokój mi się nie podoba - burknął Kramer.

W głośniku zatrzeszczało. Wszyscy spojrzeli z napięciem na skrzynkę. Brzęczenie prądu, potem próbne dmuchnięcie, wreszcie głos Reinebotha: "Lageraltester, słuchać! Cały obóz wymaszeruje na plac apelowy!" - Reineboth powtórzył polecenie. Potem znów coś trzasnęło i głośnik znów zamilkł. W pokoju zapanowała cisza. Wszyscy milczeli odczytując myśli z twarzy sąsiadów. W obozie rozkaz spowodował ogromne poruszenie wśród więźniów. Ci, którzy byli na dworze, pobiegli na bloki, a w blokach podniósł się gwar i szum.

- Nie pójdziemy, nie pozwolimy się ewakuować! - Po paru minutach obóz był jak wymarły,

ani jednego więźnia na dworze. - Nie pójdziemy! Nie pójdziemy! - blokowi wrócili od Kramera. - Nie pójdziemy! - wołali do nich więźniowie. - Musimy iść! - odpowiadali blokowi. Znow minęła godzina. W tym czasie Kluttig i Reineboth byli u Schwahla. Reineboth zameldował z elegancką, wstrzemięźliwą ironią: - Herr Kommandant, obóz nie wychodzi na plac apelowy. - A Schwahl, patrząc na niego bez zrozumienia, zapytał: - Jak to nie wychodzi? - Na to Reineboth miał w odpowiedzi jedynie lekkie wzruszenie ramion. Kluttig natomiast wrzasnął: - Te draby już dawno zmiarkowały, że pan nie pozwoli, by im spadł włos z głowy! - Nie chcąc przyznać, że zaistniał jawny bunt, Schwahl ratował się wieloznaczącym: - Ba! ba! ba! - A wobec tego, że w tej właśnie chwili zakomunikowano mu przez telefon, że przygotowane pociągi towarowe mają wolną drogę, nadał się przed Kluttigiem: - No więc, czego pan chce? Pociągi mogą odjechać. - Natychmiast potem wrzasnął na Reinebotha: - Niech pan natychmiast każe ponownie ustawić się. Jeżeli w ciągu pół godziny nic się nie ruszy, poślę do obozu kompanię SS i każę ich wygnać batami!

- Halt! - zatrzymał Reinebotha. - Niech pan przekaże rozkaz z całą surowością, ale bez pogroźek. Niech pan unika również wrażenia, jakobyśmy nie umieli sobie dać z tym rady.

W kącikach ust Reinebotha pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiezek. Jego drugi rozkaz spotęgował tumult wśród więźniów. W Małym Lagrze zaczęła się dzika krzątanina. Wśród tego tumultu blokowi i sztubowi krzyczeli: - Antreten! Antreten! - Jak by było prowadzone na rzeź, skupili się więźniowie przed blokami; jeden wypychał drugiego do przodu. Słysząc było klótnie i krzyki we wszystkich językach: nikt nie chciał być pierwszy. I nikt z blokowych, którzy biegali wokół tego tłumu, popychali, ciągnęli, krzyczeli, nie pomagał ustawić więźniów w kolumny marszowe. Było to dreptanie w miejscu. Rozpaczliwe dreptanie w miejscu. W ogólnym lagrze działo się podobnie. Więźniowie co prawda gromadzili się przed blokami, ale przez długi czas nie można było zaprowadzić porządku. W ten sposób znowu zarobiono godzinę. Kramer pobiegł na Mały Lager. Tu osiągnął go kolejny rozkaz Reinebotha: "Lageraltester, kazać wymaszerować! Kazać wymaszerować!" Wezwanie zawierało taką groźbę, że tym razem wystarczyło, iż Kramer stanął na czele, by tłum wreszcie ruszył. Blokowi kierowali teraz blok za blokiem na drogę, pochód zaczął powoli pełznąć do góry, na plac apelowy. Dołączyły się do niego bloki z ogólnego lagru. Na swoich miejscach pozostali tylko flegery z rewiru, barak tyfusowy 61 ze swymi chorymi i - izolowani radzieccy jeńcy wojenni.

Już dawno ranek ustąpił przedpołudniu, gdy obóz wreszcie stanął na placu apelowym. W potężnym kwadracie nie widać było bloków żydowskich, więźniowie Żydzi zagubili się w masie, zagubili w tłumie. I ledwo obóz zdążył się ustawić, w tłum ten wpadli blockfiihrerzy i

kommandofuhrerzy, bijąc i wyciągając z szeregów wszystkich, którzy wyglądem przypominali Żydów. Bloki nie cofały się, ale kołysały jak łany żyta. Między szeregami przykucali więźniowie żydowscy, kryjąc się za plecami tych, którzy stali przed nimi. Gdy SS-man znajdował któregoś z nich, bił niemiłosiernie. Bogate żniwa mieli blockfiihrerzy w prostokątach bloku Małego Lagru. Wkrótce wypędzono pałkami z szeregów tysiące Żydów i zagnano pod bramę. Tutaj stłoczyli się gorączkowo podnieceni. Z drugiej strony ogrodzenia czekały psy. Blockfiihrerzy otrzymali jakiś rozkaz. Nagle dali blokom spokój i pobiegli ku bramie. Ustało kołysanie szeregów, bloki stały wyczerpane, jak po upuście krwi. Przy bramie blockfiihrerzy w dalszym ciągu bili więźniów żydowskich, formując tłum w kolumnę marszową. Zbliżyła się kolumna uzbrojonych w karabiny SS-manów z psami. Jednocześnie z głównego głośnika przy bramie rozległ się na cały plac apelowy głos Reinebotha: Wszyscy pozostali na bloki! Rozkaz wykonano w gorączkowym pośpiechu.

Masa więźniarska jak wartki strumień popłynęła w dół do obozu, bez ładu i składu. W przejściach na bloki strumień piętrzył się, przeciskał w ciasnocie i rozdzielał. Byle prędzej, do chroniących bloków! Wykończeni psychicznie więźniowie, łapiąc oddech, opadali na ławy. A więc tak wyglądał koniec! Teraz już każdy wiedział, czego może oczekiwać. Wykorzystując bałagan przy powrocie na bloki, Bogorski złapał Bochowa. Prędko porozumieli się. Bogorski pośpieszył zawiadomić Kramera, a Bochow pobiegł na blok Pribuli. Młody Polak z kolei musiał sprowadzić Kodiczka. Zwołani naprędce, spotkali się na krótką rozmowę na bloku 17. Twarze ich płonęły. Kramerowi jeszcze drżały ręce, gdy zsuwał czapkę z czoła.

Pribula usiadł na kojce, oddech wydobywał się z sykiem zza zaciśniętych zębów. Uderzał jedną pięścią o drugą. Bogorski rozumiał udrękę tego młodego człowieka. - Niet - powiedział tylko, kręcąc głową. Pribula spojrział na niego. Bogorski zobaczył blask jego oczu. Powiedział po polsku: - Musimy czekając walczyć i walcząc czekać... - niecierpliwość Pribuli odbijała od pozornego spokoju Bogorskiego. - Cześć, wciąż czekać! - jęczał w udręce. Ale Bogorski i pozostali przeżywali jeszcze ostatnie wydarzenia. Niecierpliwe milczenie przerwały słowa Bochowa: - Towarzysze, udało nam się opóźnić pierwszy transport więcej niż o jeden dzień - musiał przerwać, był jeszcze zadyszany. Pribula ze złością bił pięścią w kolano. - Zawsze opóźniać, opóźniać! - stęknął znowu. Jak gdyby nie słysząc słów Polaka, Bochow zwrócił się do Kramera. To, co powiedział, było również odpowiedzią dla Pribuli: - Teraz wszystko zależy od ciebie, Walter. Opóźniać! Opóźniać! - A zwróciwszy się do Pribuli krzyknął ochryple i bezdźwięcznie: - Nie ma innej drogi! - Pribula podniósł się osowiały. - Uważaj - powiedział Bogorski do Polaka - jesteśmy słabi, bo nie możemy zapobiec ewakuacji. No, dobrze. Ale oni też są słabi. - Zwrócił się teraz do wszystkich: - Im bardziej

front się zbliża, tym my stajemy się mocniejsi, a faszyci słabsi. - Bogorski pociągnął Kramera za ramię. - Jak Kluttig ci powie: "Przygotuj transport", ty mu odpowiedz: "Jawohl, przygotuję transport". - Żywo tłumaczył Kramerowi, jak to sobie wyobraża, zwracając się jednocześnie do pozostałych. - Transporty - mówił - należy tak zestawiać, by wysłać najmniej pewne politycznie i moralnie elementy. Niech się obóz oczyści. Musisz być jak generał w czasie wojny - powiedział do Kramera - twoje polecenia to są rozkazy, nieodwołalne. Czy rozumiesz?

Kramer skinął. Nagle zawyła syrena. Jakby gnane strachem wycie zaniósł się dyszkantem i zalało obóz.

- Charaszo! - tryumfował Bogorski. - Co dzień powinien być alarm, raz i dwa razy. Wtedy nie będą mogli ewakuować!

- Idziemy! - poganiał Bochow. Gdy Kramer chciał wybiec wraz z innymi, Bogorski powstrzymał go.

- Kolego! - powiedział ciepło. Kramer wyciągnął rękę do Rosjanina, ale ten przyciągnął go do siebie i pocałował.

W celi nr 5 rozgrywała się cicha tragedia. Ci dwaj musieli wciąż jeszcze stać. Ale dziwnym trafem Mandryl od chwili, gdy założył im pętle na szyje, pozostawił ich w spokoju. Wychudli, wyglądali jak szkielety, a głowy ich były jak trupie czaszki, w których płonęły gorączką oczy. Urosły im brody, co uczyniło ich twarze jeszcze straszniejszymi. Od kilku dni Mandryl nie dawał im jedzenia ani picia i nie zawsze udawało się Fórstemu, gdy wieczorem otwierał opuszczone łóżko, wetknąć imi potajemnie skórkę chleba. Kąt, w którym stało wiadro od marmolady, tonął w ekskrementach. W celi był taki zaduch, że ledwo można było oddychać. Gdy Reineboth poprzedniego dnia dopominał się o Żydów, Hofel, wysunąwszy szyję, zaczął dziwnie szeptać. - Marian... tak?... słyszysz?... Żydzi... wypuszczają ich... idą do domu... my wszyscy pójdziemy do domu...

Dziś już od samego rana Hófla opanował osobliwy niepokój. Na korytarzu bunkra panowała martwa cisza. Nie otwierano żadnej celi, nie słychać było hałasu wszczywanego co dzień rankiem przez Mandryla. Minęła wczesna godzina budzenia. Od dawna już stali obaj z twarzami skierowanymi ku drzwiom. Nadeszła godzina apelu. Nic się nie poruszyło. Godzina apelu minęła. Hofla opanowywał coraz większy niepokój. - Coś tam nie jest w porządku - szeptał podniecony. Nagle zapomniał, że ma stać, potoczył się do okna i przyjrzał się uważnie jego obramowaniu. Kropiński przestraszył się. Prosił szeptem: - Wracaj, Andre! Jak Mandryl widzieć ciebie przy oknie, on nas zabić. - Hofel mocno potrząsnął głową. - Nie może tego zrobić, mamy przecież pętle na szyjach. - Mimo to wrócił, mechanicznie zajmując zwykle

miejsce. Przez chwilę stał nad słuchując, parę razy przełknął ślinę, kanciaste, sterczące jabłko Adama podnosiło się i opadało, pulsowała aorta na wychudłej szyi. Wyglądało, że Hofel myśli o czymś z napięciem. Naraz prześliznął się do drzwi, przyłożył do nich ucho i zaczął słuchać. - Bracie - błagał Kropiński - musisz tu przyjść... Z nagłym strachem Hofel spojrział na Kropińskiego. - Poszli! - wydobył z siebie - wszyscy poszli! - Buntując się wyprostował się przy drzwiach, uniósł w górę ramiona. Ale zanim zdołał załomotać w drzwi oszalałą pięścią, Kropiński przyskoczył do niego i odciągnął go. Hofel opadł mu w ramiona i zaskowyczał: - Zapomnieli o nas! Jesteśmy sami na świecie... Teraz udusimy się!

Kropiński tulił po bratersku Hófla usiłując go uspokoić. Ale Hofel nie reagował na zewnętrzne impulsy. Ciągnął sznur tak, że pętla zacisnęła się, i krzyczał: - Udusimy się... udusimy! - Przejęty strachem przytknął mu Kropiński dłoń do ust, tak że krzyk ucichł w gardle. Hofel zaczął bronić się z nagłą siłą, walczyli ze sobą. Hoflowi udało się oderwać rękę i krzyk wydobył się jak przeraźliwy dźwięk trąbki. W dzikim przerażeniu usiłował Kropiński obezwładnić wymachującego rękami, zatkać mu usta. Charcząc i gulgocząc, krzycząc wciąż na nowo wyrywał się Hofel z obejmujących go ramion. Ale było już za późno. Otworzyły się drzwi i do celi wszedł Mandryl, a za nim błądy i cichy jak cień Forste. Przerażony Kropiński puścił krzyczącego i patrzył na Mandryla. Ten nie powiedział ani słowa. Zmrużył oczy i przyglądał się krzyczącemu Hoflowi. Tylko przez kilka sekund. A potem zamachnął się. To był straszliwy cios. Ręce zataczającego się do tyłu Hofla wiosłowały w powietrzu, szukając oparcia. Potem uderzył o ścianę i padając przewrócił wiadro od marmolady. Ohydna zawartość wiadra rozlała się po nieprzytomnym. Obojętnym spojrzeniem Mandryl ocenił efekt ciosu i opuścił celę. Na chwilę zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami. Z pogroźką powiedział: - Jeżeli ten mi przedwcześnie zdechnie...

- Należałoby go oczyścić... - odważył się poradzić Forste. Mandryl popatrzył na niego zimno. - Zabawiać się w samarytanina, co? - Poszedł do swego pokoju, nie zwracając więcej uwagi na kalifaktora...

Alarm zapobiegł odejściu transportu żydowskich więźniów. Gdy syrena zawyła, Kluttig kazał eskorcie z psami zagonić tłum ewakuowanych do pustej hali fabrycznej, pozostałej po nalocie z sierpnia 1944 roku. Na dużej wysokości przelatywały nad obozem potężne eskadry.

Alarm zaskoczył parotysięczny transport więźniów na drodze z Weimaru do obozu; transport uciekał przed Amerykanami z podobozów w Harzu i Turyngii i wracał do Buchenwaldu. Szary pochód straszliwej nędzy posuwał się szosą wśród wycia syren Weimaru i okolicznych wsi. Na otwartej przestrzeni nie było się gdzie ukryć. Mimo że wysoko lecące

eskadry niczym bezpośrednio nie groziły, eskortującą SS opanował szal. Zakurzeni scharfihrerzy gnali jak wrzeszczący poganiacze bydlą wzdłuż kolumn marszowych tam i z powrotem i biciem zmuszali znużonych, okrytych pod łachmanami skorupą brudu ludzi do biegu. Eskorta trzymała karabiny w pogotowiu. Tłum podobny do przerażonego, skłębionego stada owiec wydany był na pastwę brutalni. Ale to wszystko nie przyspieszało bynajmniej marszu.

- Biegiem! Biegiem! Jazda, biegiem!

Stopy poruszały się bezsilnie w miejscu. Tylko podskakujące głowy udawały, że wymęczone nogi usiłują biec. Ponad falującym morzem głów rozbrzmiewał pomruk eskadr i świszcząły pałki. Bose, okrwawione stopy owinęli w postrzępione szmaty. Straszliwe drewniaki zgubili lub wyrzucili w czasie długiego marszu. Warkot bombowców i wrzask scharfuhrerów tworzyły przerażający duet.

- Biegiem, biegiem!

Scharfuhrerzy bili z nieopanowaną wściekłością. Słyszeć było strzały. Na szosie poniewierały się ciała tych, którzy opadli z sił, i tych, których zastrzelono. Eskorta odciągała ich na brzeg szosy i tam pozostawiała.

- Biegiem, biegiem!

Bicie, strzały, krzyki, płacz, krew, kurz, tupanie nóg, podskakiwanie głów... kto już nie mógł i chciał się osunąć na ziemię, tego podtrzymywali inni i ciągnęli dalej. Kto jednak upadł, tego tratowały tysiące nóg.

Od Weimaru do obozu było dziewięć kilometrów marszu, Chłopi spotykając maszerujących usuwali się ostrożnie na bok.,; Dwóch policjantów na rowerach zaczęło robić wymówki scharfuhrerom: - Rozwalacie tych ludzi i zostawiacie ich nam. Jak przyjdą Amerykanie, nas pociągną za to do odpowiedzialności.

- Zamknij pysk! To nasza sprawa. Zwiewać! Jeszcze osiem kilometrów do lagru. Szosa zaczyna się wznosić, dotarli do stóp góry.

- Biegiem, biegiem!

- Ja już nie mogę, ja już nie mogę...

- Wytrzymaj, chłopie, wytrzymaj, już niedaleko...

Po godzinie marszu zaczął się las. Góra wznosiła się coraz bardziej stromo. Jęki znużenia stawały się głośniejsze. Rozszalała SS nie przestawała bić.

Strzały!

Znów jeden albo dwa, albo trzy...

Już dawno bieg zamienił się w chwiejny krok. Pochód wydłużył się, stopy znajdowały więcej miejsca. Ludzie ci posuwali się z głowami pochylonymi do przodu, tępo i ponuro... Ktoś się potknął. Padając rozłożył ręce...

- Dogoń, ty ścierwo! Kto pozostawał, umierał...

- Panie Boże, nie daj mi pozostać!

Usiłował się podnieść resztkami sił, ale już przyskoczył SS-man, wyrwał go z długiego ludzkiego mrowiska. Jeszcze wtedy na czworakach chciał ruszyć naprzód. Ale jeden z scharfuhrerów wyjął pistolet i przydeptał butem nędzarza. - Ty, psie przeklęty! - padł strzał, jeszcze jeden!

Dalej, dalej, coraz wyżej do góry!

Weimar pozostał już daleko w tyle. Czuć było już bliskość obozu. Mijali białe tablice z czarnym napisem: "Achtung, Kommandanturbereich..." i trupa główką ze skrzyżowanymi piszczelami jako signum.

Pochód wyprzedzało kilku oficerów SS. Nagle zatrzymali się zdumieni. Stanął cały pochód.

Przed nimi stało czterech więźniów w stalowych hełmach, z maskami gazowymi i torbami sanitarnymi. - Coście za jedni?

Postawa na baczność. Meldunek: - Oddział sanitarny. Na rozkaz komendanta podczas alarmu lotniczego na zewnątrz zewnętrznej postenketty.

Oficerowie popatrzyli na siebie rozweseleni: - Czego tutaj nie ma... Hej, wy komiczne dranie, jak daleko jeszcze do obozu?

- Jeszcze dziesięć minut, untersturmführer. Ruch ręką i wąż zaczyna się znów czołgać obok rowów przeciwlotniczych i dołów strzeleckich, w których kucają wartownicy potrójnej postenketty.

Zawyła syrena. Wyła, dopóki starczyło jej oddechu, aż zamarła w pomruku: koniec alarmu. Przy szlabanie poruszenie. Postenowie zaczęli wychodzić z rowów. Nadeszli oficerowie SS.

- Ile przyprowadzamy tego rupiecia? Tego nie wiemy sami. Może jest ze 3500? Może tylko 3000? Skąd możemy wiedzieć, ilu zdechło po drodze? Jesteśmy więcej niż tydzień na nogach. Przychodzimy z Ohrdruf, z Muhlhausen, z Berlstedt i Abberode.

Jeden z wartowników zadzwonił po Reinebotha. Czwórka z oddziału sanitarnego zameldowała powrót do obozu i biegiem ruszyła drogą cugangów. Tam spotkali pozostałych ze swej grupy i oddział sanitarny pomaszerował ku bramie. Wyminął go pędem na motocyklu Reineboth śpieszący do szlabanu.

Po odwołaniu alarmu w obozie ożywiło się. Przed wszystkimi blokami potworzyły się grupy więźniów. Los wetknął kij w to mrowisko i spowodował ogólne poruszenie. Podniecone rozmowy, przypuszczenia, obawy.

- Gdzie oni nas podzieją... Nie wyjdziemy z lagru... Jeżeli będziemy stawiali opór, rozwałą cały - obóz... Podobno Schwahl wezwał bombowce z lotniska Nora... Człowieku, nie gadaj bzdur! Tych paru samolotów, które im pozostały, potrzebują na froncie... A jak rzucą bomby gazowe?... Idiocyzm. To się sami zatrują.

W tym czasie - wysłani przez poszczególnych członków MKO łącznicy chodzili po blokach instruując przodowników grup oporu. Ci z kolei wprowadzali pewien porządek w tok rozmów.

- Musimy starać się opóźnić ewakuację. Amerykanie mogą tu przyjść lada dzień. Podobno są już koło Eisenach i Meiningen.

Reineboth popędził z powrotem do obozu. Znow na bramę pognano tłum wynędzniałych ludzi. Znow Reineboth krzyczał do mikrofonu: - Wszyscy blokowi i lagerschutz na bramę! - Znow! to wezwanie wywołało podniecenie w obozie. Co się stało? Pędem ruszyli blokowi do szrajbsztuby. Dziura w ogrodzeniu przy budynku na bramie wylewała już do obozu kipiącą masę.

Przytoczył się Kluttig. Zaskrzeczał: - Pocałujcie mnie w dupę, mam tego dość! - A Reineboth krzyknął na niego: -

Chcesz mnie pozostawić cały ten kram. Ja jestem tylko rapport-fiihrerem, a w każdym razie jest to twój obowiązek służbowy...

- Mój obowiązek służbowy? W końcu jestem tylko drugim lagerfiihrerem. Niech Weisangk się o to troszczy! Ale ten pies chleje u Schwahla, aż mu kałdun pęka! - I w istocie Kluttig pozostawił młodzieniaszka, aby ten rozprawił się z napływającą falą, a sam pobiegł do kasyna oficerskiego.

Przed bramą zatrzymało się kilka wezwanych ciężarówek. Posterunki SS zeskoczyły z wozów. Reineboth nie zadał sobie nawet trudu otoczenia placu apelowego przez blockfiihrerów, po prostu wpuścił tłum przez bramę i wrzasnął na Kramera, który nadszedł z blokowymi: - Na bloki z tą ferajną, ale gazem!

- Bloki są przepelnione, rapportfiihrer. - Reineboth zapluł krzykiem: - Co to mnie obchodzi! Oczyścić plac apelowy - pogonił ustawiony lagerschutz. - Dwudziestu pięciu ludzi na samochody. Marsz, marsz! Zbierać trupy na szosie. Wszystko odbywało się w straszliwym tempie. Samochody odjechały. Kramer musiał szybko działać. Przy pomocy blokowych i pozostałych ludzi z lagerschutzu odprowadził Żydów w wielkich grupach z placu apelowego

do łaźni. Przybyli więźniowie z obozu, pomieszali się z nowo przybyłymi. - przychodzicie? Jak tam wygląda? Blokowi i lagerschutz bronili cugangów przed ciekawością miejscowych, odpychali ich. Oczywiście znów powstał tłok i bałagan, jak gdyby nastąpił kres wszelkiego porządku. Przed łaźnią znów korek. Kramerowi nie wolno było tracić nerwów. Trzeba było zrobić miejsce w przepelnionych do ostatka blokach. Sytuacja nie zezwalała na dyskusję. Kramer musiał rozkazywać. Któryś z blokowych krzyknął zrozpaczony: - Gdzież mam podziąć tych ludzi? W moim bloku pękają już ściany! - Kramer odkrzyknął: - Nie tylko twój blok, cały obóz jest przepelniony do ostatka. Masz, zabieraj swoją pięćdziesiątkę i już cię nie ma! - I Mały Lager musiał przyjąć, ile tylko zmieści. Kramer wypełnił również luki powstałe w blokach żydowskich po ewakuacji pierwszego transportu. Diabli wzięli przestrzegany zazwyczaj tak dokładnie na poszczególnych blokach podział narodowościowy. Wszystko jedno, kto kim jest, byle ich rozmieścić. Nikt nie wie, jak długo tu jeszcze będziemy. Obóz kipiał i nie uspokajał się. Nadeszło już południe, gdy wreszcie udało się opanować przyływ.

Tymczasem nadjechały samochody z zebranymi po drodze trupami. Dwudziestka piątka z lagerschutzu pomaszzerowała na swój blok. Samochody zniknęły za oparkaniem krematorium. Polacy leichentragerzy wdrapywali się na samochody i zrzucali zwłoki. Trupy padały z rozmachem. Czasem naprzód głową, czasem nogami. Uderzały głucho o ziemię. Rósł zwał trupów, wciąż spadały nowe zwłoki, niektóre pozostawały w pozycji siedzącej, przypominając wyglądem pijaków wyrzuconych z knajp. Niektóre wywracały koziółki, stawały na głowie z rozpostartymi ramionami. Niejeden trup toczył się z wozu wraz ze swym sąsiadem spleciony w ostatnim uścisku. Niektóre były komicznie poskręcane. To pobudzało do śmiechu; niektóre trupy też się śmiały. Spadały z szeroko rozwartymi oczami i skrzywionymi w uśmiechu jamami ust... Warstwiły się setkami.

Kramera wezwał Reineboth. Młodzieniaszek utracił pewność siebie. Wprawdzie coś z tego jeszcze w tonie pozostało, ale cyniczny sposób bycia znikł gdzieś bez śladu.

Gdy tylko Kramer wszedł, wpadł na niego. - Upchał pan tę bandę?

- Tak jest!

- No więc! Słuchać! Do jutra rana przygotowuje pan transport 10000. Ludzi zdolnych do marszu, zrozumiano?

- Tak jest!

Stanął tuż przed Kramerem i błysnął złowrogo oczyma. - Jeśli znowu będą takie historie jak z Żydami, powieszę pana własnoręcznie na bramie. Zrozumiano?

- Tak jest. Jutro rano, to jest o godzinie ósmej, stoi transport. Odmaszerować!

Siedzący na stole Reinebotha Kluttig zagroził Kramerowi drogę: - Gdzie jest tych 46?

Kramer miał na czubku języka odpowiedź: - Nie wiem - ale powiedział: - W obozie jest straszny bałagan. Lagerschutz szukał ich, ale nie znalazł.

Kluttig chwycił brutalnie Kramera za pierś. - Gagatku - syknął - ciebie chowam na sam koniec. Niech ci się nie zdaje, że mi ujdiesz! Ty, Hofel i ten Polak... Dla tej trójki mam jeszcze coś w zapasie. - Potrząsnął Kramerowi pistoletem przed nosem. Kramer przyjął pogroźkę w milczeniu, a jednocześnie przeniknęło go: "Hofel i Kropiński żyją jeszcze..."

- Nie ujdzie nam również twój ukryty żydowski bękart! tOczyścimy tu wszystko, do ostatniego człowieka! - wtrącił się |:Reineboth. - Teraz wie pan, o co chodzi - przeciął i odesłał Kramera. Gdy pozostali sami, odwrócił się do Kluttiga. - Ty idioto! Ja mu opowiadam, że Polak i Hofel dawno już zdechli, a ty...

- Jak ty do mnie mówisz, do twojego hauptsturmführera? Reineboth uśmiechnął się krzywo: - Od tego hauptsturmführera odzwyczaj się, mój synu! Musimy możliwie prędko zamienić się w uprzejmych i skromnych ludzi.

Bochow czekał już w szrajbsztubie na Kramera, by jak najszybciej dowiedzieć się o przebiegu wydarzeń. Gdy zobaczył go idącego przez plac apelowy, przeszedł do biura. Kramer z rozmachem rzucił czapkę na stół. Bochow zorientował się, że zaszło coś nadzwyczajnego. - Co się stało? - Kramer roześmiał się ponuro. - Jak zaczął mi wymachiwać pukawką pod nosem...

- Kto?

- Kluttig.

Usiadł za stołem i dalej śmiał się złośliwie. I jak potem Reineboth nie mógł się dość prędko mnie pozbyć, to ten bałwan hauptsturmführer wygadał się...

O co chodzi? - naciskał Bochow.

Kramer tryumfalnie podniósł ręce do góry. Miał ochotę krzyczeć. Śmiech go rozsadzał. Ale zbyt gwałtowne poczucie zwycięstwa ustąpiło nagłemu znużeniu. Krew odpłynęła z napiętych mięśni, Kramer opuścił ręce i wstał. - Zostaw, Herbert, daj spokój. Muszę przedtem poradzić sobie z tym tu - powiedział ciepło, klepiąc się szerokimi dłońmi po piersi. Obszedł stół i położył spokojnie Bochowowi ręce na ramiona. - Nasi dwaj w bunkrze... żyją jeszcze. Wiem o tym. Wiem jeszcze więcej. Możemy powyciągać naszych 46 kumpli z dziur, nikt ich już nie będzie szukał.

- Na pewno?

- Na pewno.

Kramer oddychał głęboko, zmarszczka u nasady nosa pogłębiła się. - Teraz zaczyna się kołowrotek. Do jutra rana muszę zestawić transport. 10 000 ludzi. Może uda mi się odwlec wymarsz do południowego alarmu. Wtedy znów zyskamy parę godzin.

- Rób, co możesz, Walter!

Ale nagle niespodziewanie Kramer zapytał: - Gdzie jest dziecko? Gdzie ono jest, Herbert?

- Nie wiem tego.

Kramer usiłował wyczytać z twarzy Bochowa, czy mówi prawdę.

- Szukaj go! - powiedział tylko ponuro.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - powtórzył Kramer podrażniony. Usiadł za stołem, popatrzył na swoje splecione dłonie, a potem powiedział cicho: - Zbyt wiele nas już to małeństwo kosztowało. Niech więc teraz będzie u nas, jak wszyscy inni, jak Hófel, Kropiński, tych 46, Pippig, ty, ja... Niech razem z nami pomaszeruje albo razem z nami zdechnie. Ale niech będzie tutaj! - Twardo uderzył pięścią w stół. - Niech będzie tutaj! Szukaj go!

Bochow milczał. Rozumiał przyjaciela, a żądanie znalazło odzew w jego sercu.

Kramer jednakże uparcie pytał Bochowa: - Jeden z was musiał je porwać. Ktoś z MKO. Kto? Kramer stawał się coraz bardziej niecierpliwy. - Szukaj! - nakazywał. - Jeżeli wyciągamy naszych kumpli z dziur, niech i to małeństwo... kto wie, gdzie ono jest?

Bochow westchnął i skinął głową. - Masz rację, Walter! Dlaczego ono nie ma razem z nami wymaszerować albo... masz rację, Walter. Spróbuję wydostać, gdzie ono jest.

Kramer podniósł się wolno, już znacznie łagodniejszy i udobruchany.

Jak ciężki cios spadł rozkaz transportu na bloki. Blokowi wrócili z rozkazem ze szrajbsztuby, dokąd wezwał ich Kramer. - Musimy się przygotować na jutro, koledzy... 10 000 ludzi! Oznacza to ewakuację całych bloków!

Obręcz zaciskała się coraz bardziej, ostatni etap drogi stawał się nieunikniony.

Wkrótce wywołane rozkazem oszołomienie ustąpiło dzikiemu, powszechnemu podnieceniu. - Nie pójdziemy! Jeśli już mamy umierać, wolimy umrzeć w lagrze!

Niejeden z blokowych musiał wypowiadać gorzkie, ściskające serce słowa: - Zastanówcie się, koledzy. Jeśli SS-mani przyjdą na bloki, nie będą z wami rozmawiali tak jak ja. Nie mogę was namawiać do pozostania, bo nie chcę ponosić odpowiedzialności za waszą śmierć.

Tymczasem wszędzie w obozie toczyły się tajemne rozmowy. Łącznicy aparatu przenosili instrukcje przodownikom grup oporu. - Część towarzyszy z każdej grupy pójdzie

na ochotnika z transportem! Pogadajcie z waszymi ludźmi. Zabiorą broń, noże, sztylety. Muszą spróbować po drodze załatwić się z wartownikami i wyzwolić transport.

Bochow i Bogorski sami wydali takie polecenie, nie było czasu na zwoływanie MKO. Przodownicy grup zabierali swoich zaufanych na krótki spacer między blokami albo na rozmówkę w kącie sypialni. - Chcesz pójść? - Milczenie, zaciśnięte usta, myśl jak cień umyka w dal, tam gdzie jest żona, dzieci, może matka lub dziewczyna... w końcu - kiwniecie lub zaprzeczenie głową. Niektórzy jednak dawali szybko zdecydowaną odpowiedź, może dlatego, że nie było dali, do której przed decyzją musiała zwrócić się myśl. - Oczywiście, pójdę! - Ochotnicy bez wahania zdecydowali się na niechybną śmierć.

Gdy po krótkiej rozmowie rozchodzili się, Bochow przytrzymał przyjaciela. - Leonid, powiedz mi prawdę. Czy to ty zabrałeś dziecko? Powiedz prawdę.

- Dlaczego pytasz? Powiedziałem ci prawdę i mówię ci jeszcze raz, że ja nie zabrałem dziecka.

- Ale to musiał być ktoś z naszych.

Bogorski potwierdził ten pogląd mocnym kiwnięciem głową.

- Czy wiesz, gdzie dziecko się znajduje?

Bogorski zaprzeczył w milczeniu.

Bochow westchnął. Nie wierzył Bogorskiemu. - Tylko ty, a nie kto inny schował dziecko. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć prawdy?

Bogorski odpowiedział niedowiarkowi jedynie ubolewającym wzruszeniem ramion. - Jeżeli ty mnie nie wierzysz - no, trudno. Nie mogę cię przekonać.

I na tym stanęło.

Tego wieczora nieoczekiwanie, po raz pierwszy od dawna, głośniki nadały komunikat frontowy.

To Schwahl wydał po południu taki rozkaz, omawiając z Kamlothem transport.

- Czy wciąż jeszcze decyduje się pan na ewakuację, standartenführer? Schwahl spacerował wokół biurka, z dłońmi kurczowo zaciśniętymi na plecach. Nie odpowiedział Kamlothowi.

Niechże pan, do pioruna, przyjrzy się frontowi! Przez tę pańską zabawę w posłuszeństwo pośle pan nas wszystkich do piekła. Tracimy tylko czas.

- My mamy jeszcze czas! - krzyknął histerycznie Schwahl. - Nasze wojska utrzymują pozycje!

Kamloth zaśmiał się sucho: - Jak długo?

Gąbczasta twarz Schwahla rozlazła się jak ciasto. - Nie utrudniajmy sobie dodatkowo życia. Jutro wyślemy 10 000 do Dachau, i basta!

I znów Kamloth zaśmiał się sucho. - Ci z Dachau powitają nas serdecznie! Może oni właśnie opróżniają swój własny obóz, może wybierają się do Buchenwaldu? Bawimy się w świetną ciuciubabkę. Niech pan powystrzela tu ten pomiot i pozbędzie się całego gówna naraz.

Schwahl miał już zamiar wrzasnąć, wyciągnął nawet ręce w stronę Kamloth, ale dał spokój i zaczął znów biegać wokół biurka. - Pan przecież jest rozsądnym człowiekiem, Kamloth! Czy może pan jeszcze polegać na swoim wojsku? To już nie to dawne, zdrowe ziarno, jest wśród nich sporo zbieraniny.

- Wystarczy jeden rozkaz - nadał się Kamloth.

Twarz Schwahla rozlazła się jeszcze bardziej. - Tak pan sądzi? Ja mam inny pogląd na sprawę. Kluttig za moim zezwoleniem dał pańskiemu oddziałowi z psami rozkaz odnalezienia tych 46. Nie znaleźli ani jednego.

- Bo nie mogli odnaleźć.

- Albo nie chcieli... Może znam lepiej pańskie wojsko niż pan? Wojna jest przegrana. A może pan sądzi inaczej, proszę? - Schwahl zatrzymał się przed Kamlothem. - To nasz łabędzi śpiew! A może pan uważa inaczej, proszę? Kto przegrywa, zaczyna być ostrożny, obojętnie: generał czy szeregowiec. Czy mam się wyrażać jeszcze jaśniej?

Kamloth uparcie przeciwstawiał się przykrej prawdzie.

- Jeżeli tylko znajdziemy się w drodze, moi chłopcy będą walili do nich jak do kaczek.

Schwahl natychmiast uchwycił się tego zapewnienia. To zupełnie co innego! Ale tutaj, w tej pułapce na myszy, mój drogi...

- Widzę, że pan myśli o wszystkim.

Z próżnością wielkiego wodza odpowiedział Schwahl: - Myślę o wielu rzeczach. Na przykład... - Podszedł do telefonu i wydał polecenie Reinebothowi, aby zapoznał obóz z dzisiejszym komunikatem Wehrmachtu. - Kto przegrywa - powtórzył następnie swoją sentencję - zaczyna być ostrożny. Dotyczy to także tych tam za drutami. Jeśli usłyszą, że powstrzymujemy Amerykanów, barometr opadnie i jutro rano jak baranki pomaszują przez bramę.

Na blokach wysłuchano komunikatu w napięciu. Ale działanie jego nie było takie, jak przewidywał Schwahl.

Atak amerykański zatrzymano na terenie Eisenach, Meiningen i Gotha. Więźniowie popatrzyli na siebie bojaźliwie. Co teraz? Wciąż jeszcze trwał w grupach oporu stan

alarmowy nr 2. Nie wolno im było opuszczać bloków i musieli być w pogotowiu. Od kierownictwa nie nadeszło żadne inne polecenie, z wyjątkiem tego, by udać się na transport. Czy zarzucono już kompletnie plan operacyjny przewidujący od miesięcy zadania dla poszczególnych grup? Sytuacja była bardzo niejasna i zagmatwana. A tego wieczora zagmatwała się jeszcze bardziej. Obóz obiegła plotka, że z obydwu stron Erfurtu wylądowały amerykańskie desanty powietrzne. Wiadomość tę przynieśli odkomenderowani, którzy dzisiaj wcześniej niż zazwyczaj wrócili do obozu. Plotkę tę przyjęto z aplauzem i kolportowano; była przecież jaskrawym przeciwieństwem druzgocącego komunikatu Wehrmachtu. Jeżeli byłaby to prawda, nie wyjdzie już żaden transport. Ale jak to możliwe, żeby pod Erfurtem był desant amerykański, kiedy front się ustabilizował? Czy to było możliwe? Oczywiście na wojnie jest wszystko możliwe. Ale jeżeli komunikat Wehrmachtu odpowiadał prawdzie, to na ewakuację jest jeszcze sporo czasu. Czyż nie to wskazuje na masowy transport? Gdzie była prawda? Kto wiedział dokładnie, co się dzieje? Kto mógł rzucić snop światła w tę gmatwaninę?

Nad obozem zapadł wieczór. W piwnicy na węgiel, w łaźni, w kartoflami przy kuchni więźniowie gorączkowo odkopywali ukrytych. Również szrajber blokowy Małego Lagru wyciągnął na polecenie Kramera Prolla z włazu. Uwolnieni przemknęli na bloki (blokowi uprzedzeni byli przez Kramera) i zniknęli w więźniarskiej masie. Jednakże niektórzy spośród ukrytych pozostali tam, gdzie byli, na przykład Runki w piwnicy. Kramer miał dużo roboty i lataniny, zanim to wszystko zdążył załatwić. Wracając na blok spotkał się z Bochowem, który wracał od Riomanda; szukał u niego potwierdzenia plotki o lądowaniu pod Erfurtem. Ale Francuz mógł tylko tyle powiedzieć, że SS-mani w kasynie mówili, że zagraniczne radio przyniosło podobną wiadomość. Nie było to nic pewnego i nie stwarzało możliwości wyrobienia sobie poglądu na aktualną sytuację wojenną.

- Nie da się nic zrobić - powiedział też Bochow do Kramera - musimy pozwolić wyjść transportowi.

- A co z dzieckiem?

Bochow nie miał odwagi rozczarować Kramera, dlatego skłamał: - Wkrótce dowiem się, gdzie jest. Wtedy je sprowadzę.

Kramer skinął. - Dobrze, Herbert, dobrze! Dziecko musi wrócić do nas. Jesteśmy to winni kolegom w bunkrze i... Pippigowi.

Bochow milczał.

Po niespokojnym śnie Kramer o świecie był na nogach. Na blokach przygotowywali się do wymarszu wyznaczeni na transport więźniowie. Ochotnicy z grup po cichu zęgnali się z przyjaciółmi, ukrywający na ciele ukutą przez nich samych broń. Czy uda się oswobodzić

transport i przebieć do Amerykanów? Ilu SS-manów będzie eskortowało transport? W jakim kierunku pójdą?

Kramer szedł od bloku do bloku. - Gdy Reineboth zawoła, ustawiajcie się. Róbcie trochę bałaganu, rozumiecie, może dziś będzie wcześniej alarm i uda nam się opóźnić wymarsz.

Ale wszystko stało się inaczej, niespodziewanie i nieprzewidzianie. Wszelkie plany opóźnienia wzięły w łeb. Na pół godziny przed ustalonym terminem przemaszerowało przez bramę kilka setek SS-manów. Utworzyli szpaler, karabiny w rękę, granaty za pasem. Żelazna brama rozwarła się i pozostała otwarta. Przez bezludny plac apelowy pobiegli blockfuhrerzy w stronę bloków, z pistoletami i pałkami w rękę. Wpadli na pierwsze lepsze bloki, bez wyboru, i zaczęli wyganiać mieszkańców, jak gdyby chcieli cały obóz pognać do bramy. W dzikim zamęcie pędziło wszystko: wrzeszczący blockfuhrerzy, krzyczący i uciekający więźniowie. Zamiast zorganizowanego wymarszu - panika, wycie i ucieczka! Wypędzano ludzi z bocznych uliczek i gnano ich główną drogą na plac apelowy i do góry przez otwartą bramę! Wypędziwszy jedną grupę, naganiacze wracali do obozu, by nowy tłum wymieść za bramę.

Pędzony tłum stracił opanowanie i rozum. Kipiały w nim strach i chęć ucieczki. Ludzie pragnęli za wszelką cenę uniknąć ciosów. Nawet za cenę znalezienia się za bramą, jakby tam właśnie było wybawienie. Zdawało się, że trąba powietrzna rozszalała się nad obozem. Szpaler SS-manów rozciągnął się po obu bokach potężnego pochodu wygnanych z obozu. A gdy uznano, że wystarczy, brama zatrzęsnęła się i pochód ruszył biegiem wśród ryków i ciosów kolb w rozgorączkowany tłum - drogą cugangów. Dopiero koło szlabanu SS-mani potrafili utworzyć przy pomocy kolb jaki taki porządek marszowy.

Nawałnica trwała mniej niż godzinę. Pozostali na blokach nie mieli ochoty ani myśleć, ani rozmawiać. Wzburzona krew zalewała serce i mózg. Opadali na stoły i ławki, na kojki w pomieszczeniach sypialnych, zakrywali oczy rękami i zmuszali płuca do normalnego oddechu.

W godzinę po tych straszliwych chwilach zawyła syrena. Dzisiaj wyła jak kobieta ciągnięta za włosy. Nowy alarm lotniczy!

Już od szeregu dni więźniowie Effektenkammer przestali pracować. Komando stało się dla nich znakomitym schroniskiem. Tutaj byli zabezpieczeni przed groźbą transportu. Ale gdy nad obozem rozpętała się burza, i ich ogarnęło podniecenie. Uspokoił się dopiero podczas alarmu i wtedy naraz zauważyli, że Wurach zniknął. Czy ten drań się gdzieś ukrył? Czy w ogóle był jeszcze w komandzie?

Szukali go, pytali więźniów z sąsiedniego komanda Be-kleidungskammer na pierwszym piętrze i sąsiadów z Gerate-kammer na parterze. - Nie widzieliście go?

Nikt nie potrafił dać informacji. Może kapuś był w czasie wyganiania w obozie i wraz z innymi został wygnany pałkami? Może sam przyłączył się do transportu, by ujść czekającego go rozrachunku? Więźniowie wrócili na górę. Czy zameldować Zweilingowi o zniknięciu Wuracha? Niektórzy odradzali. - Trzymajcie łapy z daleka, bo się poparzycie. Może Zweiling sam postarał się, by kapuś zniknął. - Postanowili milczeć.

W grupach oporu wrzało. Żądali broni. Niepokój i niecierpliwość zagrażały dyscyplinie. Nie wystarczało już porozumienie z grupami za pośrednictwem łączników. Pod naciskiem chwili towarzysze z MKO musieli coraz częściej występować z ukrycia. W końcu podjęli decyzję przeprowadzenia rozmowy z przywódcami grup.

Gdy zapadł mrok, ponad stu mężczyzn zebrało się w jednym magazynie narzędzi z bloków opróżnionych przez ewakuację. Również Kramer wziął udział w tej konferencji.

Ledwo Bochow zdążył rozpocząć zebranie, gdy zażądano od niego zbrojnego wystąpienia przeciw dalszym transportom. Najbardziej niecierpliwy był znów Pribula. Jego przyjaciele z polskich grup poparli go. Ale i inni przywódcy grup zażądali zerwania z biernością.

- Wolimy raczej zginąć w walce, aniżeli przyglądać się w dalszym ciągu, jak gnają naszych kolegów na śmierć. Dziś 10 000, a jutro może być 30000. - Niepokój narastał. - Pozwólcie nam chwycić za broń! Już jutro!

Trzymający się dotychczas z boku Kramer nie mógł już wytrzymać. Usiłował przekrzyknąć cały ten hałas. - Po pierwsze, nie krzyczcie tak! Nie jesteśmy na wiecu strajkowym, ale w lagrze! Chcecie ściągnąć SS-manów? - Natychmiast zapadła cisza. - Chcecie chwycić za broń, i to już jutro? No, coś takiego! - Ironia Kramera wywołała reakcję wielu, zaczęli krzyżeć na nowo.

- Dajcież mi mówić, do diabła! Ostatecznie na mnie jako na lageraltesterze spoczywa największy ciężar i dlatego mam coś do powiedzenia. Nie wiem dokładnie, ile my mamy tej broni. Wiecie to lepiej ode mnie. Ale jedno wiem na pewno. Nie jest jej tyle i nie jest tak dobra, abyśmy mogli rozpocząć walkę z 6000 SS-manów. Wiem też, że komendant nie chce tu pozostawić trupiarni, chyba że zmusimy go do tego naszą własną głupotą.

- Naszą własną głupotą?

- Co z ciebie za lageraltester?

- Posłuchajcie, on broni komendanta!

Bochow wtrącił: - Pozwólcie lageraltesterowi skończyć.

Kramer sapał.

- Nie wiem, czy jesteście wszyscy komunistami. Ja jestem komunistą. Słuchajcie mnie dobrze, abyście zrozumieli, co mam na myśli.

Zrobił krótką przerwę.

- Mam tu w obozie ukryte małe dziecko. Na pewno o tym wiecie. Z powodu tego dziecka mieliśmy wiele przejść. Z jego powodu dwóch naszych siedzi w bunkrze. Znamie ich. Z jego powodu nasz Pippig dał się zabić. Z powodu tego dziecka wielu kumpli ryzykowało głową. Wy sami, którzy tu jesteście, byliście z powodu tego dziecka w wielkim niebezpieczeństwie. Chwilami los całego obozu wisiał na cieniutkiej nitce. Jakież to było głupstwo z naszej strony ukryć to dziecko! Gdybyśmy znalazłszy to maleństwo oddali je, żyłby nasz Pippig; Hófel i Kropiński nie siedzieliby w bunkrze, oczekując śmierci. Nie byłoby też niebezpieczeństwa, które z tego powodu zawisło nad obozem. Co prawda, oni zabiliby dziecko, ale nie byłoby to takie straszne, prawda?

Słuchali z dziwną uwagą.

- Czy ty oddałbyś dziecko SS-manom? - zapytał Kramer stojącego w pobliżu Pribulę.

Młody Polak nie odpowiadał. Kramer widział błysk w jego oku.

- Widzisz, tak ciężka jest decyzja o życiu i śmierci! Czy myślisz, że mnie jest łatwo posyłać transporty?

Kramer zwrócił się do wszystkich: - Co mam robić? Mam pójść do Kluttiga i powiedzieć: "Odmawiam wykonania rozkazu, rozwalcie mnie..." To byłoby pięknie z mojej strony, no nie?... Zbudowaliście mi na pewno pomnik... Ale rezygnuję z tego zaszczytu i w zamian za to posyłam ludzi na śmierć po to, by... po to, by ratować ludzi, po to tylko, by Schwahl nie strzelał!

Kramer spojrzał na zwrócone ku niemu twarze. - Czy rozumiecie?... To nie tak łatwo zrozumieć. To w ogóle nie jest łatwe. Bo wszystko, co teraz musimy robić, nie jest tylko prostą decyzją. Nie jest prostą rzeczą wybierać między życiem a śmiercią. Gdyby tak było, powiedziałbym: "Tak jest, dawajcie broń, jutro zaczynamy strzelać!" Powiedzcie mi, czy my dlatego posłaliśmy Pippiga na śmierć, że ratowaliśmy dziecko? Powiedzcie, czy mieliśmy pozwolić zabić dziecko, by ratować Pippiga? No, mówcież! Kto potrafi dać mi prawidłową odpowiedź?

Kramer bardzo się zdenerwował. Miał jeszcze tyle do powiedzenia. Ale myśli plątały mu się coraz bardziej, wyrażał je rękami, nie znajdując właściwych słów, i wreszcie skapitulował.

Mężczyźni milczeli. Było to tak, jak gdyby Kramer każde ze swych ciężkich słów zdjął z szali i włożył w dłonie tych mężczyzn: macie, zważcie sami!

Mężczyznom wróciła równowaga. Konferencja kończyła się w większym porządku, niż się zaczęła. Towarzysze z MK.O wraz z przywódcami grup bojowych ustalali taktykę na najbliższe dni. Propozycja powstania zbrojnego została odrzucona jako przedwczesna. Konferencja stworzyła wśród jej uczestników przekonanie, że stabilizacja frontu jest tylko przejściowa i dni faszystów obozowych są policzone. Pozostała więc taktyka zwlekania i biernego oporu, mimo całej goryczy wysyłania tysięcy na śmierć.

Nadszedł Brendel z lagerschutzu. Coś cicho powiedział Bochowowi. Na twarzy Bochowa odmalowało się duże zainteresowanie. - Koledzy - zawołał - front się znów ruszył! Właśnie otrzymałem pewne wiadomości! Ciężkie walki toczą się na wschód od Miihlhausen! Langensalza i Eisenach padły!

- Cisza! Nie krzyczeć! Czyście powariowali? - skoczył Kramer uciszając mężczyzn, którzy zerwali się z ław.

Następnego ranka już bardzo wcześnie Kramer otrzymał nowe rozkazy. W ciągu kilku godzin miało odejść 10 000 ludzi, a za nimi następne 10 000. Tego samego dnia zarządono odmarsz zwartej grupy 800 radzieckich jeńców wojennych.

W koszarach rozlegały się już krzyki i komendy. Przydzielano eskortę dla tych wielkich transportów. Upadek - Eisenach zamieniał pośpiech przygotowań w ucieczkę. Tysiące więźniów już od kilku dni było przygotowanych do wymarszu. W obozie było rojno. W czasie gdy Kramer z blokowymi i częścią lagerschutzu zestawiał pierwszy transport, a długie szeregi SS-manów maszerowały z koszar w stronę obozu, Międzynarodowy Komitet Obozowy zebrał się na krótkie posiedzenie w bloku 17.

Wymarsz jeńców wojennych oznaczał stratę mocnej grupy oporu. Postanowiono, że jeńcy wojenni wykonają rozkaz wymarszu. Ponieważ z dużą pewnością można było przyjąć, że nacisk Amerykanów z godziny na godzinę będzie rósł, polecono jeńcom wojennym w drodze - tam, gdzie ich zdaniem będą się mogły znaleźć amerykańskie straże przednie - napaść na eskortę i przebić się do Amerykanów. Można było tę grupę wyposażać w białą broń i kilka pistoletów. Bochow otrzymał polecenie przekazania im broni. Była to decyzja na śmierć i życie. Towarzysze z MKO rozeszli się tak szybko, jak się zgromadzili.

Francuzi, Polacy, Rosjanie, Niemcy, Holendrzy, Czesi, Austriacy, Jugosłowianie, Rumuni, Bułgarzy, Węgrzy i wiele innych grup narodowych musiało oddać ludzi. W poszczególnych blokach był szum, hałas, krzyk; tłumy gromadziły się, rozmawiając i krzycząc we wszystkich językach.

Wśród tych z dzikim pośpiechem czynionych przygotowań zawyła syrena: alarm lotniczy! Z radością i wrzaskiem wróciło wszystko na bloki. SS-mani, którzy już zdążyli się ustawić, popędzili do koszar. Placem apelowym biegła szesnastka z oddziału sanitarnego. Reineboth krzyknął do nich poprzez zamknięte żelazne wrota: - Jazda z powrotem! - Na chwilę szesnastka zdumiała się, potem zrobili w tył zwrot i pobiegli z powrotem przez plac apelowy. Więźniowie u okien pierwszych rzędów bloków wołali do siebie: - Nie wypuszczają już oddziału sanitarnego!

Kohn pozwolił oddziałowi pobiec na rewir, sam zawrócił, pobiegł do szrajbsztuby, z rozmachem otworzył drzwi do pomieszczenia Kramera i krzyknął z dziką radością: - Ha, ha, ha, polowanie skończone! - Zatrzasnął drzwi i poleciał za swoimi ludźmi.

Po paru chwilach wewnątrz i na zewnątrz obozu wszystko było jak wymiecione. Z oddali słychać było tępe odgłosy wybuchów. Ściany bloków drżały, więźniowie siedzieli i stali stłoczeni, jak ludzie zaskoczeni przez burzę, szukający schronienia pod dachem.

Stali wciąż ze zwiniętym kocem przewieszonym przez ramię, z kubkiem i miską do jedzenia umocowaną sznurkiem, z paczką, z pudłem pod pachą i wsłuchiwali się w cuda, tam, na dworze. Czyżby Amerykanie znajdowali się bliżej, aniżeli śmieli oczekiwać i wierzyć? Skąd dochodził ten łoskot i te wybuchy? z Erfurtu? A może już z Weimaru?

W betonowych bunkrach przed obozem przykucnęli Schwahl, Kluttig, Weisangk, Reineboth, Kamloth i oficerowie wojsk SS. Okopy strzeleckie i przeciwlotnicze zapchane były SS-manami. Docierające tu wybuchy skłoniły ich do pochylenia karków, silniejsza od nich potęga przygniatała ich do ziemi.

Już godzinę trwały milczenie i strach, a potem jeszcze godzinę. Gdy wreszcie odezwała się syrena na koniec alarmu, wypełzli jak wystraszona zwierzyna spod ziemi. Zaświszczały gwizdki sygnałowe, rozkrzyczały się rozkazy. Kolumny SS uformowały się na nowo. Schwahl i jego towarzysze wrócili do kancelarii. Reineboth pospieszył do pomieszczenia rapportführera i po chwili już rozległ się jego głos w głośnikach: "Lageral tester, kazać natychmiast wymaszerować! Natychmiast kazać wymaszerować!"

W czasie alarmu tysiące przysięgły sobie nie opuszczać lagru. A teraz te same tysiące, ulegając rozkazowi, pozwalały się wyganiać za bramę. Nikt już nie przeliczał, pośpiech był zbyt wielki. Znajdujący się wraz z lagerschutzem między blokami Kramer pozwolił tym, którzy mieli na to ochotę, wiać. - Zwiewajcie, może będziecie mieli szczęście. - Nikt z blockführerów nie przyszedł, mieli mnóstwo roboty z wymiataniem tłumu z placu apelowego ku bramie. Gdy wypędzili ostatnich, brama zamknęła się.

Do transportu przyłączyło się ochotniczo kilku blokowych, poszli wraz ze swoimi blokami. Gdy burza minęła, Kramer zebrał pozostałych blokowych w jednym z opróżnionych bloków.

- Dziś ma jeszcze raz 10 000 pójść na transport - oznajmił, a na jego twarzy wyraźnie widać było ślady znużenia. Również na twarzach blokowych ostatnie przejścia zostawiły zmarszczki.

Czy musimy do tego dopuścić? Czy nie możemy się bronić? Kto wie, czy Amerykanie nie są już blisko?

- Kto to wie? - przytaknął Kramer znużony - słuchajcie: ja tego transportu nie przygotuję. Żebyście wiedzieli. W wyniku alarmu uzyskaliśmy kilka cennych godzin. Dziś będzie może jeszcze jeden alarm, wtedy nie będą mogli ewakuować: a może znów zrobią nagonkę. Jak długo jeszcze jesteśmy we władzy SS, moja przeklęta funkcja zmusza mnie do wykonywania ich rozkazów. Dlatego też komunikuję wam o drugim transporcie, ale ja go nie przygotuję, nawet gdyby ponownie miało dojść do nagonki. Czyście mnie zrozumieli?

Nie czekał odpowiedzi, wyczytał ją z twarzy blokowych. - Przetrzymać, wytrwać, powiedzcie to waszym kumplom.

„Wracających do siebie blokowych zatrzymywali podnieceni więźniowie. Dzikie plotki rozgorączkowały umysły. Podobno przy Buttstadt wylądowali amerykańscy spadochroniarze, podobno ich strażę przednie maszerują na Erfurt.

- Czy wiecie coś dokładniejszego? Czegoście się dowiedzieli? Czy to prawda, że dziś ma odejść jeszcze jeden transport? Pytania, nadzieje, obawy...

Twarda dyscyplina obozowa, pod której naciskiem pozostawali przez te wszystkie lata, zniknęła już w bałaganie ostatnich dni. Nikt się już nie troszczył o przepisy i zakazy. Faszyści utracili władzę. Dla masy więźniarskiej istniała jeszcze tylko groźba ewakuacji i niszczenia w ostatniej chwili. W towarzystwie Kramera Bochow wszedł na blok radzieckich jeńców wojennych. Bogorski wraz z kilkoma przywódcami grup oporu udał się z niemieckimi kolegami do blokowej ubikacji. Bochow przyniósł pięć spośród posiadanych pistoletów; prędko zniknęły pod żołnierską odzieżą. Bochow powziął bardzo prosty plan. Radzieckie grupy oporu mają pomaszerować na skrzydłach kolumny i osłaniać flanki. Chodziło o to, by jednym uderzeniem obezwładnić i rozbroić jak największą ilość SS-manów. Takie było zadanie na flankach. Pozostali czerwonoarmiści również przyłączyli się natychmiast do akcji. Jeżeli napad uda się, powinni się przebić na wzgórze Lasu Turyńskiego i starać się uzyskać kontakt z najbliższymi oddziałami amerykańskimi. Jeżeli zaś plan się nie uda... - No, dobrze -

powiedział Bogorski - wtedy spełniliśmy nasz obowiązek. - Odesłał przywódców grup, mieli rozdzielić broń. Teraz pozostał sam z niemieckimi kolegami. Trzeba się było żegnać.

Nie zamienili ani słowa. Bogorski wyciągnął dłoń do Kramera i powiedział, jak już kiedyś: - Kolego... - potem objęli się w milczeniu. Bochowowi zrobiło się gorąco, gdy Bogorski położył mu ręce na ramionach. Poprzez łzy zbratały się ich spojrzenia: raz jeszcze odczuli łączącą ich od dawna braterską miłość. Uśmiechali się do siebie.

Gdy znowu się opanowali, zaczęli rozmawiać pokrywając uśmiechem ból rozłąki.

- Muszę wam jeszcze coś dać. Dziecko.

- Jest u was? - zapytał Kramer zdumiony. Bogorski zaprzeczył.

- A jednak ty je porwałeś - zawołał Bochow - i nie powiedziałaś mi prawdy...

- Po raz ostatni: ja dziecka nie zabrałem. Wyszedł, ale zaraz wrócił prowadząc za sobą młodego czerwonooarmistę.

- To ten - Bogorski wskazał na młodego żołnierza.

Tamten, rozpromieniony, kiwnął głową. Pracując w swoim czasie na komandzie w świniańni SS, znajdującej się w obozie za rewirem, młody żołnierz "ukradł" na polecenie Bogorskiego dziecko z łóżka Zitkowskiego i ukrył je w chlewie, na wybiegu ogromnej maciory. Tam wciąż jeszcze się znajdowało. Nikt z więźniów komanda nie wiedział nawet o tym.

Wkrótce potem znalazł się tam Kramer. Umówili się z Bochowem, że dostarczy dziecko na jego blok - 38.

Również komando świniańni w wyniku ewakuacji przeredziło się mocno. Toteż w prymitywnie skleconej budzie, do której Kramer wszedł, znajdowało się niewielu więźniów. Bez ogródek powiedział, po co przychodzi. Zdumieni więźniowie dowiedzieli się, że ich komando ukrywa dziecko. Ale Kramer nie pozwolił im się długo dziwić. - Chodź ze mną - wezwał jednego z Polaków zatrudnionych w świniańni i poszedł z nim do chlewu.

Zatrzymali się przed wskazaną przez młodego żołnierza chlewnią. - Tu ono jest.

Polak wpełznął do przegrody obok chrząkającej, zdenerwowanej maciory. Istotnie, z tyłu, na kupie wysoko spiętrzanej słomy leżało dziecko. Kramer owinął je w przyniesiony koc.

Uprzedzeni przez Bochowa mieszkańcy bloku niecierpliwie czekali na dziecko. Teraz poszli za Kramerem do dziennego pomieszczenia. Bochow zabrał Kramerowi zawiniątko i położył je na stole. Ostrożnie odwinął koc.

Leżało przed nimi strasznie zaniedbane i brudne, drżące i skulone. Wpatrywali się w nie wstrząśnięci. Nie sprawiało wrażenia zagłodzonego; młody żołnierz dbał o pożywienie dla

dziecka. Ale cuchnęło, zabrudzone własnymi ekskrementami. Kramer wyprostował się pociągając nosem. - Postarajcie się z niego zrobić człowieka! - Kilku co od ważniejszych więźniów wzięło się do roboty. Zerwali z dziecka brudne łachmany, wymyli chłopca w misce. Był wśród nich i Polak. Czule pocieszał dzieciaka w ojczystym języku i wycierał ręcznikiem małe zmarznięte ciało. Potem zanieśli dziecko do sypialni i wsadzili je do ciepłego łóżka. Zmieszani, milczący więźniowie obstąpili legowisko. Bochow z namysłem kiwał głową. - Kosztowało nas wiele gorzkich chwil. Kluttig i Reineboth wciąż je tropili. Przechodziło jak paczka z rąk do rąk. A teraz jest u nas i zostanie tu do końca. Może nie wszyscy rozumieli, o czym Bochow mówił. Oprócz starych więźniów było i wielu nowych - Francuzów, Polaków, Czechów, Holendrów, Belgów, Żydów - barwna mieszanina. Bochow podniósł głowę i rozejrzał się z uśmiechem. A twarze więźniów odwzajemniły uśmiech. Drugi alarm znów unieruchomił obóz. Przez wiele godzin nic nie było słyhać. Ani dalekich eksplozji, ani warkotu motorów na niebie. Głośniki na blokach milczały. Plac apelowy, na którym jeszcze przed kilkoma godzinami panował dziki chaos, był teraz pusty i martwy. Nawet posterunki na wieżyczkach stały nieruchomo. Wszystko jakby w wymarłym świecie. Gdzież w tej ciszy podziewała się wojna?!

Tak trwało aż do późnego popołudnia. Gdy syrena wreszcie zaczęła buceć, wznosząc się na znak zakończenia alarmu do dyszkantu, obóz obudził się powoli z odrętwienia.

Czas alarmu spędził Kramer w szrajbsztubie, a teraz z niepokojem wyglądał przez okno. W górze przy bramie wciąż jeszcze trwała cisza, niesamowita cisza. A przecież 10 000 miało wymaszerować! Lada chwila oczekiwał rozkazu. I wtedy znów zacznie się nagonka, przecież nic nie zrobił dla przygotowania transportu. Ale nie działo się nic.

By przewyciężyć własny niepokój, Kramer zauważył: - Przydał się ten alarm. Wygraliśmy dzień. Dziś już nie mogą ewakuować.

Ale wtedy ruszyło się na górze. Więźniowie z szrajbsztuby skoczyli do okien. Nadchodząc od strony koszar, kolumna SS maszerowała wzdłuż ogrodzenia w kierunku bramy.

- Co to ma znaczyć?

W tej chwili rozległ się głos Reinebotha:

- Lageraltester, z jeńcami wojennymi na bramę!

Kramer spojrział na głośnik, kiwnął głową. Spodziewał się tego. Ciężko przeszedł do swego biura i włożył płaszcz.

Nakaz ożywił obóz. Ze wszystkich bloków nadbiegali więźniowie. Gdy Kramer dotarł do bloku jeńców wojennych, stał tam już tłum. Bochow, Kodiczek, Pribula, van Dalen

przepchnęli się do przodu. Stali cisi, milczący obok siebie, również wtedy, gdy tłum się poruszył, bo Kramer wyszedł z bloku z pierwszymi jeńcami. Uformowała się kolumna. Ostatni wyszedł Bogorski. Podobnie jak i inni koledzy, nie miał już na sobie więźniarskiego drelichu, ale zniszczony mundur połowy Armii Czerwonej.

Jeńcy ustawili się w szeregach po dziesięciu.

Kramer musiał dać znak wymarszu i poszedł na czele pochodu. Bogorski przepuścił oddział koło siebie. Ukradkiem sprawdzał umówiony szyk. Potem odwrócił się do tłumy. - Do widzenia, koledzy! - zawołał po niemiecku. Więźniowie machali rękami. Z obnażonymi głowami stali towarzysze z MKO. Bogorski pozdrowił ich ostatnim spojrzeniem.

W typowym wojskowym porządku, nieco kołyszącym krokiem maszerowało tych ośmiuset przez plac apelowy. Z uliczek na skrzyżowaniach patrzyli za nimi więźniowie. Otworzyły się skrzydła żelaznej bramy. Kolumna musiała się zatrzymać. Maszerowała w miejscu. Potem ruszyła znów naprzód. Ostatni jeńiec wyszedł za bramę. Brama zamknęła się.

Kramer włożył czapkę, którą trzymał dotychczas w ręku, i wrócił opustoszałym placem do obozu.

Nie zażądano już następnego transportu. Dzień kończył się dziwnie, bez dalszych wydarzeń.

Plan ewakuacji ulegał w następnych dniach coraz większym zakłóceniom. Zupelne oczyszczenie obozu, tak jak to przewidywał komendant, stało się już niemożliwe. Coraz częstsze alarmy odwlekały wielokroć o całe godziny wymarsz przygotowanych już transportów. W przerwach między alarmami wypędzano na chybił trafił, bez wyboru, więźniów z bloków, gnano ich na plac apelowy, a gdy uznano, że już dość, wyganiano ich przez bramę. Jednakże - mimo taktyki opóźniania i ratujących często przed ewakuacją alarmów - wygnano w tych dniach z obozu dziesiątki tysięcy więźniów. Z 50 000 pozostało w obozie tylko 21 000. Nie było żadnego porządku ani kontroli. Z każdym dniem wzrastał się bałagan i rosło rozprzężenie. Pozostali więźniowie walczyli z tym większą zaciekłością, broniąc się przed ewakuacją. Niesprawdzalne wiadomości utrzymywały stan trwałego podniecenia. Raz mówiono, że Amerykanie osiągnęli Kabla na południowy

Blisko, by ważyć się pod jego ochroną na powstanie. Jasne i Nikt nie odpowiedział. Kilku skinęło głowami, a wszyscy zbliżyli się jeszcze bardziej do Bochowa. Ten kontynuował ciszej: - Faszyści pozostawieni są sami sobie. Nie mogą się spodziewać pomocy ani wojska, ani lotnictwa. Wiemy, dlaczego Schwahl dotychczas jeszcze nie zlikwidował obozu. Ale to nie wyklucza bynajmniej, że może się to stać jeszcze w ostatniej chwili. Może już nawet jutro. Musimy być na to przygotowani. Wyciągali głowy, by lepiej słyszeć.

- Koledzy, w każdej chwili stan alarmowy nr 2 może być zastąpiony stanem alarmowym nr 3. Oznacza to, że grupy zajmują stanowiska wypadowe i otrzymują broń. Poza bronią białą i maczugami mamy 90 karabinów, 200 butelek z mieszanką wybuchową, 16 granatów, 15 pistoletów i rewolwerów i jeden lekki karabin maszynowy. To nie jest dużo.

Bochow rozejrzał się po milczących ludziach.

- Dwa czynniki pomogą nam w walce: bliskość frontu i fakt, że faszyci potracili głowy. Tak czy owak, będą uciekali w popłochu, nawet w tym wypadku, jeżeli przedtem zechcą strzelać. Jasne?

Bochow dłońmi ścisnął skronie.

- Nie wiemy, jak to się będzie odbywać. Może będą strzelali tylko z wieżyczek? Może będą chcieli wtargnąć do obozu i palić bloki przy pomocy miotaczy ognia...

- A może w ogóle nie zdążą nic zrobić, te dupska - warknął jeden z przywódców niemieckich grup.

Ta sarkastyczna uwaga przerwała tok myśli Bochowa. Opuścił ręce.

- Wszystko jedno, w jaki sposób będą usiłovali nas zniszczyć. Nasza walka musi być ofensywna. W obozie, za drutami, jesteśmy wydani na łup. Nasza szansa - to szybki wyłom.

- A jeżeli będzie jeszcze stała potrójna postenketta? - zapytał ktoś.

Bochow pokręcił głową. Zamiast niego odpowiedział Pribula.

- Przecież faszyci uciekają. To wszystko musi pójść prędko.

Będą chcieli rozwalić wszystko i wiać. Jak mogą wtedy zaciągnąć postenketę?

- Słusznie - potwierdził Bochow - będą jednocześnie strzelali i uciekali. Wtedy nie będzie już żadnej postenketty. Teraz stało się to jasne dla wszystkich.

- Musimy możliwie prędko wydostać się z lagru. Zrobienie wyłomu jest zadaniem polskich i jugosłowiańskich grup.

Przywódcy grup potwierdzili skinieniem. Znali swoje zadania.

Nagle od strony okna dało się słyszeć ostrzeżenie wartownika. Natychmiast zgaszono światło.

- Co się stało?

- Ciężarówka wjeżdża przez bramę.

- Jedzie w naszym kierunku?

- Zatrzymała się.

- Światło! - zawołał Bochow. Żarówka znów zapłonęła. - Do sypialni prędko! Kłaść się do łóżek!

Przez stoły i ławki mężczyźni runęli do pomieszczenia sypialnianego, zdzierali z siebie odzież i wdrapywali się na trzypiętrowe kojki, nakrywali się kocami.

- Jeszcze jedna. Skręcają w lewo.

Światło ponownie zgaszono. Ale Bochow pozostał na warcie.

Samochody podjechały do krematorium. Scharführer krematorium otworzył tylne wejście. Wozy wjechały do środka. Schwahl z towarzyszącymi mu osobami udał się do paleniska. - Trzy piece pod ogniem? - upewnił się.

- Wedle rozkazu - zameldował scharführer.

- A więc, jazda!

SS-mani rozładowali ciężarówkę. Ciągnęli do krematorium całe stosy akt i palili je w piecach.

- Palą - szepnął wartownik.

Bochow przycisnął oko do otworu w zaciemnieniu. Z czarnego komina krematorium ku ciemnemu niebu trysnął potężny snop iskier. W czerwonym blasku widać było mnóstwo unoszących się w powietrzu i opadających czarnych strzępów. SS-mani znosili papiery stosami. Schwahl ze swym otoczeniem przyglądał się temu czekały, zdawało się, tylko na naciśnięcie spustu. A wszystko to było takie nieruchome, zdrętwiałe, niesamowite...

Bochow był blady. Nie mógł już tego dłużej znieść. Gwałtownie odwrócił się od okna i zaczął biegać po pokoju. Przywódca jednej z niemieckich grup oporu też nie mógł już wytrzymać i rąbnął pięścią w parapet okna. - Do diabła! Przecież coś musi się zdarzyć...

Kramer mruczał.

Bochow stanął i zaczął nadłuchiwać. Wyraźnie słychać było strzały. Blisko, diabelnie blisko...

Nagle, około godziny dziesiątej rano, ciszę rozdarł głos Reinebotha.

- Lageraltester i wszyscy blokowi na bramę!

Zaroilo się w obozie, więźniowie wołali, krzyczeli. Przed szrajbsztubą zebrali się pozostali blokowi, twarze ich pobieliło wzruszenie. Kramer wyszedł ze swego biura.

- Chodźmy...

Przy bramie czekali chwilę. Przez boczne okna bloków przypatrywali im się więźniowie. Dyżurny blockführer otworzył bramę, Reineboth wszedł do środka. Tylko on, nikt poza tym. W kącikach ust SS-mana pełgał jakiś dziwny, kurczowy uśmiezek.

Kramer wyszedł mu naprzeciw, zameldował. Reineboth nie śpieszył się. Powoli nakładał rękawiczki ze świńskiej skóry, naciągał je na palce. Potem założył ręce za plecy, z zainteresowaniem posłuchał grzmotu dział, popatrzył na wyprężone szeregi blokowych i

wreszcie powiedział: - Moi panowie... - uśmiechnął się z cynizmem - musimy stąd iść. Do godziny dwunastej obóz musi się opróżnić.

Chwycił Kramera za guzik. - Do godziny dwunastej! Czy pan mnie zrozumiał, panie generale? Punktualnie co do minuty obóz stoi gotów do wymarszu. W przeciwnym razie... - pstryknął palcem w guzik, odwrócił się i wyszedł za bramę.

Kramer wracając z blokowymi do lagru układał najróżniejsze plany. Front był już tutaj! Nawet godziny zwłoki mogły przynieść ratunek. Ale pstryknięcie palca Reinebotha zwiastowało niebezpieczeństwo. O wiele większe niebezpieczeństwo niż wszystkie dotychczasowe. Należało wybierać między tym niebezpieczeństwem a nadzieją, która wraz z grzmiotem armat toczyła się nad obozem.

Przed szrajbsztubą otoczyli blokowych więźniowie. Nowina natychmiast obiegła obóz. O dwunastej ewakuacja całego lagru!

Wszyscy krzyczeli, jeden przez drugiego. - Nie pójdziemy! Nie pójdziemy! Nie pójdziemy!

Bochow został u Kramera.

- A teraz? Co teraz? Stan alarmowy nr 3?

Bochow zerwał czapkę z głowy i potarł ręką czoło. Decyzja była ciężka, ciężka...

Stan alarmowy nr 3? Jeszcze nie. Nie, jeszcze nie! Odczekać!

Słońce wzeszło wyżej. Błękitne było niebo, łagodne powietrze, a blask wiosny upiększał świat.

Obóz był bez ludzi, jakby wymarły. Cisza pełzała bezszelestnie wokół bloków na miękkich łapach dzikiego zwierza. W blokach siedzieli więźniowie, milcząc i czekając.

Wielu z nich przygotowało się do marszu. W ubikacjach stały gromadki. Papieros wędrował z ust do ust...

Na bloku 17 zebrali się przywódcy grup oporu. Towarzysze z MKO byli u Kramera. Członkowie grup oporu siedzieli na blokach, wśród innych więźniów, milczący i czekający, jak wszyscy.

W najtajniejszych miejscach obozu przykucnęli ludzie z lager-schutzu, gotowi w każdej chwili wydobyć broń z ukrycia...

Jeszcze tylko pół godziny brakowało do dwunastej.

Riomand rozdzielał papierosy. Kramer odmówił zaprzeczeniem głowy; nie palił.

- Muszą mieć jeszcze jakąś furtkę ucieczki - powiedział Bochow - w przeciwnym razie nie ewakuowaliby.

Nagle opanowały go wątpliwości. Czy było słuszne skoncentrowanie przywódców grup na siedemnastce? A co, jeśli w odpowiedzi na zwłokę zaczną wypędzać ludzi z obozu? Czy nie powstanie wówczas niebezpieczeństwo, że przywódcy wpadną w ręce SS? Bochow poradził się towarzyszy z MKO. Można było jeszcze odwołać koncentrację. Bochow zmienił dyspozycję. Posłał jednego z towarzyszy na blok 17. Zebrani tam wrócili na swoje bloki. Jeśli SS odpowie na sprzeciw przemocą i powstanie będzie nieuniknione, wówczas - głosiła nowa wskazówka - pierwszy strzał będzie sygnałem. Wtedy należy natychmiast rozdzielić broń, natychmiast też grupy powinny ruszyć do walki. Narada była skończona, MKO rozszedł się.

Również Bochow udał się na swój blok.

Godzina 12!

Napięcie wzrosło do niesamowitych rozmiarów.

12.05! Jeszcze nic. Na górze na bramie nadal cisza.

Kramer z rękami głęboko w kieszeniach krąży po swojej izbie. Na blokach głębokie milczenie.

12.10!

Naraz - oczekiwany, a mimo to zaskakujący i chłoszczący głos Reinebotha w głośniku:

- Lageraltester, wydać rozkaz wymarszu!

Kramer zatrzymał się, pochyliwszy kark, jak gdyby oczekiwał ciosu w potylicę. Wezwanie powtórzyło się ostrzej, groźniej: - Wymaszerować!

Na blokach wszczął się hałas.

- Spokój, koledzy, spokój! 12.15!

Słońce świeciło pełnym blaskiem. Przyjazne obłoczki płynęły po błękitnym niebie.

12.20! Z głośników wrzask:

- Gdzie podziewa się obóz? Natychmiast maszerować!

Kramer wciąż jeszcze nie ruszył się z miejsca. Teraz odwrócił się z trudem i usiadł przy stole. Szeroko rozstawiwszy łokcie, oparł czoło na dłoniach.

Hałas na blokach zamarł. Więźniowie stali u okien. Nie widzieli nic prócz pustki...

Nagle zrobił się ruch wśród więźniów przywartych do okien pierwszych rzędów bloków koło placu apelowego. Wspinali się na palce, przez plecy poprzednika patrzyli z rozwartymi szeroko oczami na bramę.

Również Kramer porwał się z miejsca i pośpieszył do okna. Na plac apelowy wjechały dwa samochody i zatrzymały się. Z pierwszego wyskoczyły dwie osoby. Kramer poznał Kluttiga i Kamlotha. Z drugiego samochodu wysiedli Schwahl i Wittig.

A teraz następne! Kilkuset SS-manów wmaszerowało przez bramę. Kamloth wydawał rozkazy. Ustawiono cekaemy. Zakładano taśmy. Za cekaemami ustawił się łańcuch SS z karabinami maszynowymi i pancerfaustami.

Kramer czuł kłujące bicie tętna w skroniach. Jeżeli otworzą ogień, trafią w przednie szeregi bloków. Więźniowie w panice cofnęli się od okien.

- Zaczyna się, zaczyna się!

Chcieli uciekać, kryć się pod stołami i ławkami!

Kilku odważniejszych, którzy pozostali u okien, zawołało: - Komendant jedź do obozu!

Kramer gorączkowo obserwował teren. Na głównej wieży i innych wieżyczkach wszczął się ruch. Wartownicy kierowali karabiny maszynowe na bloki.

Kramer wybiegł.

Samochody dojechały do pierwszych szeregów bloków. Tu zatrzymały się. Kramer podbiegł do nich. Jako pierwszy wyskoczył z wozu Kluttig i wbiegł do najbliższego bloku. Był to blok nr 38!

Schwahl gramolił się ze swego samochodu.

- Dlaczego więźniowie nie ustawiają się? - krzyknął do Kramera.

Kluttig gwałtownie otworzył drzwi i wbiegł do dziennego pomieszczenia bloku. Jego oczy kłuły zza grubych szkieł. Szybkim spojrzeniem ogarnął pomieszczenie. Na jego widok wszyscy więźniowie zerwali się. Runki prędko cofnął się, ukrył. Kluttig wysunął dolną szczękę, przyglądając się milczącym mężczyznom, jednemu po drugim. Nagle oczy rozszerzyły mu się. Rozsunął dwóch stojących w pobliżu więźniów i zrobił krok naprzód. Na stole blokowego odkrył dziecko! Przerażone przytuliło się do Bochowa, który otoczył ramieniem drżące stworzonko. Kluttig otworzył usta, grdyka podskoczyła mu do góry. Bochow stał nieruchomo. Milczenie więźniów zamieniło się w odrętwienie. Nagle Kluttig zaskrzeczał: - Ach, więc to tak? Dzikim chwytem wyrwał pistolet z kieszeni. Ale wtedy stało się coś nieoczekiwanego. W ciągu ułamka sekundy wokół Kluttiga zrobiła się pustka. Natomiast przed dzieckiem stanął mur więźniów. Nie padło żadne wezwanie, żaden okrzyk. Mężczyźni stali nieruchomo ze wzrokiem wbitym w Kluttiga.

Kluttig odwrócił się nagle, jak gdyby poczuł coś za sobą. Stali również za nim, gęsto, jeden przy drugim. Był odcięty od drzwi. Stał sam.

Wokół milczące twarze, zwisające ramiona, pięści. Oczy śledziły uważnie każde jego poruszenie... Kluttig poczuł się jak w pułapce. Czuł wokół siebie wyczekiwanie, gotowość do skoku. Wietrzył niebezpieczeństwo. Strzelać? Gwałtownie odbezpieczył pistolet.

Wtedy znów stało się coś nieoczekiwanego. Więźniowie stojący u drzwi - członkowie grup bojowych - rozstąpili się. Drzwi były wolne... Było to milczące wezwanie. Na twarde kości policzkowe Kluttiga wystąpiły czerwone plamy. Stracił mowę, wyschło mu podniebienie. - Ach... to... tak... to... jest... - fuknął. Jednym skokiem znalazł się przy drzwiach.

Kilku blokowych zobaczywszy Kramera koło komendanta podeszło bliżej.

- Dlaczego więźniowie nie ustawiają się? - krzyknął ponownie komendant.

Wystąpił Kramer. - Obawiają się nurkujących samolotów ostrzeliwujących pociągi i kolumny marszowe.

Schwahl wyprostował się i odparł: - Jesteście pod naszą ochroną. Daję wam jeszcze pół godziny. Jeżeli do tego czasu obóz nie ustawi się, każę go oczyścić z bronią w rękę.

W momencie gdy podbiegł do nich Kluttig, nieoczekiwanie zaczęła wyć syrena. Przestraszony Schwahl skoczył do samochodu. Wycie syreny wznosiło się i opadało.

- Hauptsturmfuhrer! - krzyczał ze swojego wozu Kamloth.

Jeszcze z pianą wściekłości na ustach Kluttig rzucił się na Kramera, trzasnął go pięścią w twarz, krzyząc: - Ty, psie przeklęty!

Kramer zatoczył się.

Kluttig wskoczył do samochodu, podniósł pistolet. Jeden z blokowych krzyknął. Kluttig nacisnął spust - raz, drugi, trzeci. Strzały chlasnęły jeden za drugim. Kramer oburącz chwycił powietrze, jak gdyby chcąc pobiec za odjeżdżającym autem, upadł na twarz i potoczył się. Wciąż jeszcze wyla syrena.

Podbiegli więźniowie z sąsiednich bloków. Przez tłum przecisnął się Bochow i pochylił nad Kramerem: - Prędko na rewir!

Wykorzystując odwróconą ławkę jako nosze, zanieśli Kramera do Kóhna.

W pierwszych szeregach bloków nie usłyszano strzałów. Więźniowie zobaczyli, że samochody ruszają. Przejeżdżając koło SS-manów, Kamloth rzucił im rozkazy.

Syrena zamilkła.

Gdy więźniowie zobaczyli przez okna, że SS-mani zbierają rozstawioną broń i szybko znikają za bramą, zaczęli wiwatować.

- Więcej, więcej!

Bochow i blokowi, którzy przynieśli Kramera, stali w trwożliwym milczeniu wokół stołu, na którym leżał ranny.

Kóhn działał spokojnie i pewnie. Przy pomocy sondy wyciągnął kule z dwóch znajdujących się tuż koło siebie ran na piersi. Oczyszczył rany i dwóch flegerów nałożyło opatrunek.

- Będzie żył?

Kóhn bez słowa podszedł do kranu i zaczął myć ręce. Odwrócił się do Bochowa, który zadał pytanie, i pokręcił głową. - Jego nie potrafi wykończyć żaden Kluttig...

Tym razem alarm trwał już dwie godziny. Więźniowie nabierali otuchy. Gdzieś niedaleko musiała - się rozpocząć mordercza walka. Łomot trwał bez przerwy. Strzały, detonacje jak gdyby zbliżały się coraz bardziej.

Położyli Kramera na łóżku w sztubie flegerów. Kóhn siedział obok niego, czekając, aż się zbudzi. Wreszcie ranny poruszył się i otworzył oczy.

- No i co się dzieje? - zapytał szorstko, widząc pochyloną nad sobą twarz aktora.

- Alarm - odpowiedział Kóhn przyjaźnie.

- Chcę wiedzieć, co ze mną.

- Nic specjalnego. Trochę strachu w południe. Masz, chłopie, napij się czegoś!

Podsunał ramię pod Kramera i przytknął mu kubek do ust.

- Ostrożnie, gorące - upomniał go.

Kramer wypił łyk, posmakował i spojrzał zdumiony na Kóhna. Ten po cwaniacku zmrużył oko i powiedział: - Chlejl!

Pożądliwie pił Kramer łyk po łyku, potem z jękiem rozkoszy opadł na posłanie. - Człowieku, skąd masz taki trunek?

- Nie należy mnie wypytywać - odpowiedział tajemniczo Kóhn.

Ożywcza prawdziwa kawa dawała wyraźny efekt.

- Opowiadaj, co mi jest? - indagował Kramer.

- Kluttig zrobił ci parę dziur w tapecie. Ale za trzy dni, jak cię znam, będziesz ryczał po staremu.

Wspomnienie Kluttiga otrzeźwiło Kramera do reszty. - Co się tam dzieje?

- Już ci powiedziałem: alarm. Nie słyszysz? - Zaczęli słuchać ni to dalekiego, ni to bliskiego dudnienia...

- Czy jeszcze coś się zdarzyło?

- Tak.

- Co?

- SS spakowała swoje rekwizyty i związała z lagru.

Kramer łypnął okiem przyglądając się uśmiechniętemu aktorowi i nagle zachmurzył się. - Co ty opowiadasz? Dopiero za trzy dni? Wykluczone! Chcę wstać, jazda! - Spróbował unieść się, ale opadł z jękiem. Kóhn wyszczerzył do niego zęby w uprzejmym uśmiechu. - No, no, powoli, mój synu, powoli, powoli...

Alarmu nie odwoływano. Mijały godziny, alarm trwał. Gdy nastąpił wieczór, syrena zawyła ponownie. Drugi alarm, choć pierwszy się jeszcze nie skończył. Zrobiło się ciemno, a wraz ze zmrokiem do obozu wśliznęła się groza, czyhając pod blokami. Nikt z więźniów nie myślał o śnie. Siedzieli w pomieszczeniach dziennych i sypialniach, nie ważąc się zapalić światła. Tylko tu i ówdzie żarzyła się zimnoniebieska zaciemniona żarówka. Czasem więźniowie podrywali się, a oczy ich szukały się nawzajem w ciemności. Na dworze dudniło. Warkot samolotów wisiał w powietrzu, rósł szybko, był namacalnie blisko nad obozem. Podnosili głowy ku belkom sufitów. Wsłuchiwali się. Warkot urósł do dudnienia, dudniło i pędziło nad blokami. Ciemność i dal pochłonęły huk z równą szybkością, z jaką dotarł.

I znów niesamowita cisza. Czy ci lotnicy wrócą? A może to byli Niemcy? Czy w ciemności szukali określonych celów? A może chcą zbombardować bloki? Każda chwila naładowana była dynamitem. Czy alarm jeszcze trwa, czy już odwołany?

Zapadła noc.

Przed zaciemnionym budynkiem komendantury stały samochody, wśród nich wóz Kluttiga. On sam wraz z Kamlothem, Weisangkiem i Wittigiem znajdował się w pokoju Schwahla. Za stołem konferencyjnym w kącie stał blady z podniecenia Reineboth. To, co tu się działo, było ostatnim stadium rozprzężenia. Przed chwilą przenikliwy dzwonek telefonu przeciął spór, w który uwikłali się wszyscy. Schwahl porwał słuchawkę, ręka mu drżała, gdy przykładł słuchawkę do ucha. Zameldował się, krzyczał: - Nie rozumiem, niech pan powtórzy. - Słuchał całym sobą. Kluttig wściekle przyskoczył do Reinebotha. Warknął na niego: - Ty, gówniarzu, ty, nędzny asekurancie! - Kamloth odciągnął Kluttiga za rękaw.

- No, proszę - zaskrzeczał Kluttig widząc, że Schwahl cisnął słuchawkę na widełki. - Co jeszcze macie mi do powiedzenia, wy, ofermy!

Wykorzystując swoją przewagę fizyczną, Kamloth chwycił go, odwrócił do siebie i wytrzeszczył groźnie oczy. - My nie jesteśmy ofermy, rozumiesz, ty! Schwahl ma rację. - Kluttig wyrwał się z rąk Kamlotha i poprawił mundur. Drżał całym ciałem. Wy-stękał: - Ma rację ten dyplomata, ten urzędas, ten aresztancki wół... - popatrzył po kolei na wszystkich; wszyscy byli przeciw niemu. Wrzasnął: - Hałastrą jesteście, tchórzliwa hałastrą!

- Sądysz może, że twoja tępota jest odwagą? - mając sprzymierzeńców za plecami, Schwahl wystąpił przeciw Kluttigowi. - Jestem zadowolony, że alarm nam przeszkodził...

Moi panowie, przed chwilą otrzymałem ostatnie wiadomości. W Lesie Turyńskim załoga licznych punktów obronnych walczy z przeważającymi siłami nieprzyjaciela. Nieprzyjacielskie samoloty nurkujące rozbiły na weimarskim dworcu lokomotywy pociągów transportowych. No, proszę, co teraz?

- Co teraz? - wrzasnął Kluttig. - Teraz ta obozowa banda siedzi nam na karku, jak wszy w sierści.

Schwahl infantylnie pokiwał głową. - Mimo to te wszy stanowią moje najlepsze alibi. - Rozkładając ręce zwrócił się do pozostałych. - Jesteśmy humanitarni, moi panowie. Czy nie tak?

- Jesteś tchórzliwy pies. Należałoby cię rozwalić!

Kluttig wyrwał pistolet z kieszeni. Kamloth skoczył między nich i podbił mu ramię. Kluttig dyszał, oczy latały mu za grubymi szklami. Gwałtownym ruchem wetknął pistolet do kieszeni i nim reszta opamiętała się, wybiegł z pomieszczenia.

- Tego nam tylko jeszcze brakowało - odetchnął Weisangk. Odzyskawszy postawę komendanta, Schwahl rozpoczął swój zwykły spacer. - Moi panowie, to jest ostatnia noc. Przygotujmy się na jutro.

Z przyciemnionymi reflektorami Kluttig pędził przez osiedle. Zatrzymał się przed domem Zweilinga. Wyszła Hortense w płaszczu narzuconym na koszulę.

- Pani bagaż - syknął Kluttig i przeszedł obok niej do mieszkania.

Przy stole, pakując walizę, stał Zweiling.

- Kończyć, jazda - rozkazał władczo zaskoczonemu Zweilingowi Kluttig. - Gdzie jest bagaż?

Hortense, która weszła za nim do pokoju, zorientowała się prędzej od męża. - Tu jest, narzucę tylko prędko coś na siebie. - Zniknęła w sypialni.

- Jazda, wynosimy!

Wciąż jeszcze zaskoczony Zweiling patrzył bez zrozumienia. Ale Kluttig ciągnął już skrzynię z naczyniami. - Jazda, jazda, bierz pan!

Wytaskali skrzynię do samochodu. Hortense wyniosła jeszcze walizę. Kluttig zagonił Zweilinga z powrotem do domu. - Za dziesięć minut wracam po pana. - Pchnął Hortense do samochodu.

Gwałtownie zahamował przed własnym domem, wpadł do środka, porwał dwie walizy i wpakował je do bagażnika. - Musimy jechać, siadaj! - nalegał.

- A Zweiling?

Kluttig wskoczył do wozu i zapalił motor.

- Sraj na niego! No, jak będzie?

Hortense wskoczyła do wozu i zatrzasnęła drzwi. Kluttig miał ochotę się roześmiać, ale tylko zacharczał. Przyciągnął kobietę do siebie i objął ją pożądliwie. Dyszał. No więc, czemu nie?

Hortense bez sprzeciwu pozwalała się obmacywać.

Kluttig przezwyciężył żądze, odepchnął kobietę na siedzenie, włączył bieg i dał gazu.

W kasynie przy jednym ze stołów pił Mandryl w towarzystwie Meisgeiera i Brauera. Pijana sfera pozostałych blockfiihrerów i kommandofiihrerów osuszała wszystko, co było jeszcze na półkach do picia i co dało się wyssać z kurków beczulek. Dziki był to obraz. Wyli i hałasowali. Meisgeier i Brauer, nie mniej pijani, wymyślali tchórzliwemu komendantowi i Kamlothowi, który tarzał się teraz przed nim. Ospowata twarz chudego Meisgeiera rozlała się. Piszcząc chrapliwym głosem: - Dupy oni są wszyscy! Gdyby to zależało ode mnie, żaden kutas nie zostałby przy życiu. Jutro musimy wiać, może jeszcze dziś w nocy.

Mocny Brauer trzasnął butelką w stół i ryknął: - Powiadam ci, że jutro dostaniesz jeszcze od tego aresztanckiego wołu rozkaz opróżnienia bunkra. Leć, ptaszku, leć...

Mandryl miał szkliste oczy, ale trzymał się prosto. - To, co siedzi u mnie w bunkrze, należy do mnie.

- Brawo! - krzyknął Meisgeier. - Mandryl, ty jesteś chłop! Czy ty jesteś chłop? Myśmy się ciebie wszyscy bali. Ty jesteś chłop!

Ręce Mandryla leżały jak dwie kłody na stole. - Tego, co jest w moim bunkrze, nie pozwolę nikomu tknąć. Ani Schwahlowi, ani nikomu innemu.

Meisgeier pchnął Mandryla pięścią i zrobił gest ukręcania głowy. - Taki chłop jesteś, co?

Brauer pochylił się poufale: - Jutro?

Mandryl spojrzał na niego kąciakiem oczu. - Teraz!

Mocnym chwytem przyciągnął do siebie Brauera. - Do czegoś takiego trzeba być trzeźwym. - Brauer skinął. - Jestem zupełnie trzeźwy. - Meisgeier wtoczył czapkę na głowę. Mandryl wstał.

Forste usłyszał ich kroki. Zeskoczył z pryczy, na której leżał ubrany, i nad słuchując przycisnął się do drzwi celi.

Meisgeier wyjął pistolet. Mandryl wsadził mu go z powrotem do kabury. - W bunkrze się nie strzela.

Zabrał obu do swego pokoju. Z jednej ze skrzyń wyjął ciężki śrubokręt i czterokanciasty łom i dał im te narzędzia. - Nie mogę patrzeć na krew - powiedział z dziwnym skurczem ust. Wyszli na korytarz i otworzyli jedną z cel.

Forste stał przywarty do drzwi swojej celi z podniesionymi ramionami, jak ukrzyżowany. Nadśluchował, oddychając ciężko.

Ujrawszy w mdłym świetle niebieskiej żarówki Mandryla i dwóch scharführerów, czwórka więźniów znajdujących się w celi porwała się na równe nogi.

Brauer i Meisgeier przewrócili dwóch więźniów i zanim pozostali zrozumieli, co się dzieje, leżeli już również na podłodze, powaleni wściekłymi ciosami. Dwójka SS-manów kończyła dzieło. Bili tak długo, dopóki nie zamarł ostatni charkot. Więźniowie z innych cel słyszeli tupot, jęki, charkot i rżenie. Nagle jeden obok celi nr 5 zaczął krzyżeć. Nienaturalnie, przeraźliwie i przejmująco. Dołączył się do niego drugi.

Hofel i Kropiński wpatrywali się w ciemność. Krzyk zawisł i nad ich celą.

Mandryl klnąc szarpnął drzwi celi i wyciągnął krzyczących na korytarz. Scharführerzy rzucili się na pozostałych, zwalając ich morderczymi ciosami na podłogę.

Z dziką siłą chwycił Mandryl krzyczących i ciągnął ich do okratowanych drzwi zamykających korytarz bunkra. Weisnął głowę krzyczącego w szparę między drzwi a ich żelazne obramowanie i gwałtownie zatrzaskał drzwi, tak że zacisnęły się na szyi skazańca. Ciało opadło ze zduszonym charkotem. Mandryl pociągnął zaduszonego do celi i rzucił go na zabitych. - Nie znoszę krzyku - powiedział zamykając drzwi.

Wargi Meisgeiera dygotały żądzą mordu. Brauer chciał odryglować drzwi celi nr 5, ale Mandryl przeszkodził mu. - Ci idą na mój rachunek. - Jednym susem skoczył już do innej celi. - Uwaga, tu jest sześć sztuk! - Słuchał u drzwi. Za drzwiami było cicho.

Meisgeier i Brauer ustawili się gotowi do bicia. Mandryl odczekał jeszcze chwilę, a potem raptownie otworzył drzwi. Z celi wystrzeliła postać, a pięć dalszych runęło za nią. Brauer ryczał. Mandryla przewrócono na ziemię, kilku ludzi skoczyło na niego. Scharführerzy z wrzaskiem rzucili się na nich. Siły rozpacz nie wystarczyły. Mocny jak niedźwiedź Mandryl strząsnął jednego z napastników, - ukląkł na nim, przydusił i zaczął walić głową zwyciężonego o cementową posadzkę.

Tylko kilka minut trwała straszliwa walka, wymęczeni ludzie zostali zabici.

Nieoczekiwany opór jeszcze bardziej rozwścieklił Brauera. Pijany mordem i alkoholem, zataczał się po korytarzu, wrzeszcząc: - Gdzie są pozostałe świny?

Hofel i Kropiński schronili się w rogu celi. Stali gotowi do skoku, rysy ich twarzy zmieniły się pod wpływem grozy.

Gotów do skoku stał też Fórste w swojej celi. "Jeżeli przyjdą po mnie - myślał - jeżeli przyjdą po mnie..." Ale myśl wzdrygnęła się przed zrodzoną ze strachu o życie decyzją skoczenia do gardła pierwszemu, który wejdzie. Jednakże cela pozostawała zamknięta.

Niesamowicie ciemny wykluwał się z nocy poranek. Leniwie zmieniał barwę - z czerni w brudną szarość. Fórste siedział w swojej celi na pryczy. Przez całą noc czekał na śmierć. Wiedział, że Mandryl jego, świadka, nie pozostawi przy życiu.

Szary poranek. Błede światło, szare i milczące, rzucało swe blaski na ściany. Nagi i bezradny był Fórste. Tak, jak żył w bunkrze, jako cień, tak i umrze. Tej straszliwej nocy utracił ostatnie resztki ludzkiego oporu. Mimo to pod popiołem tliła jeszcze tajemna iskra. Rozdmuchiwała ją nadzieja. Rozpaczliwie rozglądał się za możliwością ratunku. Niewiele czasu pozostawało. Im wyżej poranek wdrapywał się po ścianach celi, tym mniej było możliwości. Czy mógł się ukryć w celi? Czy musiał skoczyć Man-drylowi do gardła? A może w bunkrze znajdzie się kąt, w którym mógłby się ukryć? Bojaźliwe myśli goniły jedna drugą.

To samo działo się z Kropińskim i Hoflem. Noc śmierci przeleciała nad nimi. Wiedzieli, że są jeszcze jedynymi żywymi istotami w bunkrze, ponieważ mieli być ostatnimi trupami. Stali jeden obok drugiego blisko, szukając u siebie nawzajem ochrony. W blasku przenikającego przez okienko celi poranka zobaczyli swoje twarze. Każdy z nich czytał w twarzy drugiego własny wyraz, z chorobliwie wielkimi, rozwartymi oczyma i wrytym w nich śmiertelnym strachem.

- Może Mandryla już wcale nie ma? Może zwiął?

Hófel gwałtownie zaprzeczył. - On jeszcze jest. Ja to wiem, ja to czuję. Gdyby już wszyscy uciekli, wykończyłby nas wraz z innymi. On dziś jeszcze do nas przyjdzie. Dzisiaj przyjdzie...

Zaszczuty wzrok Hófla błędził po gołej celi i zatrzymał się na drzwiach. Wypełniały one prawie całą szerokość celi.

- Uważaj, Marian, tak to zrobimy.

Hófel wcisnął się w kąt koło drzwi. - Ja tu będę stał, a ty tam - wskazał na przeciwległy kąt. Kropiński wcisnął się do tego kąta.

- Kiedy wejdzie, złapiesz go natychmiast za gardło i przyciśniesz. Dasz radę?

Łagodny Kropiński zmienił się. Zmrużył oczy, wysunął dolną szczękę. Dłonie powoli zamykały się i otwierały.

- Ja się pochylę i poderwę mu nogi. Nie! - parsknął Hófel. - Inaczej! Gdy tylko wejdzie, z całej siły rąbnę go w żołądek. To zatka mu oddech, a wtedy ty chwycisz go za gardło.

Popatrzyli gorączkowo na siebie, ujrzeli w swych twarzach zdecydowanie i siłę. A potem mocno przywarli do ściany i czekali, czekali...

Zrobiło się jasno. Noc, jak żadna inna, brzemenna była w odgłosy wojny. Bo tej nocy padł Erfurt, a zatem - otworzyła się droga wprost do Weimaru, na który Amerykanie przygotowywali decydujące uderzenie.

Nieustające dudnienie potężniało z godziny na godzinę. Teren wokół obozu stał się polem bitewnym.

21 000 pozostałych w lagrze więźniów nie wiedziało, że tej nocy szalał okropny mord w bunkrze; nie wiedzieli też nic o tym, że groźny Kluttig uciekł pierwszy, a inni oficerowie gorączkowo przygotowywali samochody do ucieczki. Nie chcąc dostać się w ręce Amerykanów musieli uciekać już dziś. Albo nigdy.

Ale jeszcze byli. Zdwojone posterunki stały jeszcze na wieżyczkach. W narastającym brzasku poranka rysowały się coraz wyraźniej ich czarne postacie z nastawionymi dla ochrony przed przymrozkiem kołnierzami. Nieruchome - groziły.

Jeden rozkaz, jeden ruch przy karabinach maszynowych, pancernych i miotaczach ognia i - dziesięć minut skoncentrowanego ognia wystarczyłoby do zgaszenia wszelkiego życia za drutami.

Ostatnia, podjęta o świcie, decyzja MKO miała zapobiec w porę tej katastrofie. Poprzez rozkaz zbrojnego powstania! Od tej chwili rozkazywał jedynie odpowiedzialny za działania wojskowe Bochow.

Na jego rozkaz grupy na blokach trwały w pogotowiu bojowym, a skrytki z bronią zostały ponownie obsadzone przez lagerschutz. Kryjąc się, o ile było to możliwe, przed posterunkami na wieżyczkach, lagerschutzowcy obserwowali stale północny stok obozu. Mieli do dyspozycji nawet lornetki.

W oddali toczył się i straszył bez przerwy grzmot. Czasem eksplozje były tak bliskie, jak gdyby granaty pękały o kilkaset metrów za drutami. Niepokój wcześniej wygnał więźniów z bloków. Stali na lagrowych uliczkach, obserwowali nieufnie wieżyczki i bramę. Nagle wszystko poruszyło się. Rozjaśniającym się niebem pędził nad obozem łańcuch amerykańskich jabów. Więźniowie entuzjasmowali się. - Nadchodzą! Nadchodzą! - Ale samoloty zniknęły w dali. Również Bochow wybiegł z kilkoma towarzyszami na ulicę, obserwując oddalające się samoloty. Obok niego stał Pribula z zaciśniętymi wargami i rękami w kieszeniach.

- Dlaczego czekać do ostatniej minuty - powiedział ponuro.

Bochow nie odpowiadał. Targało nim napięcie. W coraz krótszych odstępach dawały się słyszeć wybuchy. Terkot karabinów maszynowych dobiegał z daleka i z bliska.

O godzinie 9 do lagru przyszedł Zweiling. Zauważyli go Muller i Brendel z lagerschutzu; ich zadaniem było wydobyć ukrytych przez Pippiga pistoletów. Czego ten facet jeszcze szuka w obozie?

O 9.30 obserwator z lagerschutzu łapiąc oddech przyniósł Bochowowi meldunek, że z północnego stoku można zaobserwować ruchy czołgów na oddalonym wzgórzu. Co to były za czołgi? Faszystowskie? Amerykańskie? Czy był to odwrót, czy też atak? Tego nie można było stwierdzić. A to oznaczało... czekać w dalszym ciągu.

Zweiling daremnie oczekiwał powrotu Kluttiga. Gdy nastał ranek, oszukany nie miał już wątpliwości, że żona prysnęła razem z hauptsturmführerem. W osiedlu panował piekielny galimatias. Scharführerzy, kobiety i dzieci przepychali się między naładowanymi samochodami, kłócąc się i krzycząc. Pozostawiony sam sobie Zweiling stał w pokoju. Teraz musiał myśleć o własnym bezpieczeństwie i o ucieczce. Bezradnie rozglądał się wokoło i wylewał swą gorycz w przekleństwach. - Chamska banda! - Poskramiając wściekłość, ze złością machnął ręką. Jego nie dostaną! Przyszła mu pewna myśl do głowy, poleciał do Effektenkammer. W biurze zaczął grzebać w dokumentach personalnych więźniów. Już pół godziny przewracał drżącymi palcami dokumenty wysypane na biurko.

Förste wciąż jeszcze siedział w celi na tym samym miejscu. Nie ważył się ruszyć. Nie widział dla siebie wyjścia ani ratunku. Z głębokim bólem w sercu musiał stwierdzić, że lata żywota lemura w bunkrze bynajmniej nie uczyniły go twardym, że był wszystkim innym, tylko nie bojownikiem. Pozostało mu tylko jedno zadośćuczynienie. Pozostał przyzwoitym człowiekiem. Ze skromną radością myślał o tym, co dobrego uczynił dla Hofla i Kropińskiego, którzy mieli teraz umrzeć. On sam umierając dołączy się do owej wielkiej bezimiennej armii, używającej ziemię, na której wykwitnie kiedyś piękniejszy świat. Może w tym tkwi sens, którego poszukiwał. Gdy wyłamią bramę lagru, jego już nie będzie...

W niespełną godzinę potem przeleciały nad lagrem bombowce, wynurzył się samolot, jakiego więźniowie jeszcze nie widzieli. Leciał powoli, na niskiej wysokości, przemierzając obszar nad obozem. Strażnicy na wieżyczkach oglądali się za nim niespokojnie, dzieląc się z podnieceniem uwagami. Więźniowie między blokami wpatrywali się w dziwne zjawisko. Amerykański samolot był obserwatorem artylerii wskazującym jej cele. Nie tylko wśród więźniów, ale i wśród SS-manów spowodował poruszenie. Motocykle SS pędziły wokół obozu, przekazując posterunkom na wieżyczkach ostatnie rozkazy Kamlotha.

Zweiling znalazł to, czego szukał. Ale chciał się ukryć nie tylko przy pomocy fałszywych papierów. Z kupy starej odzieży więźniów wydobył jakieś cywilne ubranie i przebrał się w nie.

Nagle skurczył się przerażony. Za nim stał jakiś człowiek. Wurach! Zweilingowi zjeżyły się włosy, jak na widok widma. - Czego pan tu szuka?

Wurach wylazłszy z ukrycia, widząc hauptscharfuhrera w więźniarskiej odzieży, fuknął:

- A więc tak ty to robisz, psie...

Zweiling odskoczył: - Zwiewaj stąd!

Wurach groźnie pochylił głowę. Wtedy Zweiling wyciągnął pistolet z kieszeni.

Miiller i Brendel usłyszeli strzały. - Co to było? - Popatrzyli na siebie. - Jazda do środka!

Wpadli do budynku, popędzili schodami do góry, pomieszczenie było zamknięte. Mocnymi kopniakami wyważyli drzwi.

- Ręce do góry!

Jeszcze z pistoletem w dłoni Zweiling podniósł ręce. Więźniowie z lagerschutzu skoczyli do niego. Zabity Wurach leżał na podłodze.

W swoim biurze Schwahl blady jak ściana, z trzęsącymi się policzkami wrzeszczał na Kamloth: - Czy pan zwariował?

Kamloth wydał rozkaz otwarcia ognia na bloki na kwadrans przed odejściem SS.

Niech pan natychmiast cofnie rozkaz. Ten rozkaz zawiedzie nas na szubienicę!

Kamloth kłął wściekle: - Pocałujcie mnie w dupę! I tak!" i tak wszystko przepadło. Bydlaku przeklęty! - wył Weisangk.

Kamloth uderzył go w brzuch, aż się zatoczył. - Radźcie sobie sami! - Przekrzywił czapkę na głowie. - Ja wieję.

Schwahl opadł znękany na fotel. Na dworze zawył motor samochodu Kamloth. W pobliżu dały się słyszeć trzy, cztery wybuchy. Schwahl znów podskoczył. Zmieszany spojrzał na Weisangka. - Co teraz? Co teraz?

Weisangk bezradnie pokiwał głową. Schwahl dopadł biurka, wyszarpnął szuflady, zaczął wypychać kieszenie różnymi papierami i dokumentami, narzucił płaszcz na plecy, wcisnął czapkę na głowę i jęknął: - Jazda, ruszamy!

Z okna swego pokoju Reineboth zobaczył pędzącego komendanta. - Schwahl wieje! - zawołał do Mandryla, który był wraz z nim w pokoju.

Drżąc stał Fórste w celi. Usłyszał twarde kroki Mandryla na korytarzu. Odsunięto rygiel u jego drzwi: - Wyłaź!

Z szarej twarzy Mandryla Fórste wyczytał zimne podniecenie. Niezdolny do oporu, posłusznie wymknął się z celi. Na korytarzu leżeli zabici w nocy. Pięścią zapędził Mandryl Fórstego do kancelarii i wskazał na skrzynie. - Zapakować wszystko! - Łomocące serce Fórstego skurczyło się ze strachu. Zaczął posłusznie opróżniać szuflady i szafy.

Muller i Brendel ustawili Zweilinga w kącie. Potem odsunęli biurko i odrzucili dywan. Brendel pilnował Zweilinga z odebranym mu pistoletem. Muller zaś podważał przyniesioną sztambajzą podłogę. Zweilingowi rozszerzyły się oczy, gdy ujrzał broń.

Dziwisz się, co? Hę, hę, hę - zaśmiał się Brendel pogardliwie i dumnie.

Dolna szczeka Zweilinga dygotała.

- Ja... ja... tego nie wiedziałem...

- Myśmy ci też o tym nic nie mówili - kpił Brendel, a Muller ważąc w dłoni pistolet Zweilinga, dodał: - Ale dupa SS-mana jest wciąż jeszcze najpewniejszą przykrywką na schowku... - Schował pistolety do kieszeni. - Wyciągnęliśmy broń za wcześnie. Jeszcze nie było rozkazu. Co teraz zrobimy?

Brendel wzruszył ramionami. - Poczekamy, aż przyjdzie rozkaz.

- A co zrobimy z tym tam?

Będzie czekał wraz z nami, jako pierwszy jeniec. Pod Zweilingiem załamały się kolana. Brendel chwycił go i ustawił pod ścianą. - Prosto stój, ty zasrańcze!

Z okien pierwszych rzędów bloków więźniowie obserwowali bramę. Ujrzeni gwałtowną krzątanicę. Scharfuhrerzy wynosili z budynku na bramie jakieś skrzynie i ładowali je na auta. Widzieli też, jak Reineboth, biegając tam i z powrotem, kieruje tą nerwową robotą. Z bunkra wyszedł Mandryl i dorzucił paczki na ciężarówkę.

- Pakują się - szeptali podnieceni więźniowie.

Rozpacзлиwa walka toczyła się w piersi Fórstego. To była ostatnia robota, którą musiał wykonać. Mandryl przygotowywał się do ucieczki. Zmysły Fórstego napięte były do ostateczności w poszukiwaniu szansy ratunku. Gdzież ona była? Pozostawiony na kilka chwil sam, Fórste szukał wyjścia, udając gorączkową krzątanicę. Czy mógł zabarykadować się w celi, ukryć gdzie w bunkrze lub uciec? Nagle zauważył klucz tkwiący od zewnątrz w drzwiach bunkra. Strach, jak zduszony krzyk, przeniknął więźnia. Czy to był ratunek?

Mandryl wraz z dwoma scharfuhrerami taszczyli jakąś skrzynię na samochód.

O rozpaczliwej decyzji Fórstego rozstrzygały sekundy. Jednym skokiem znalazł się u drzwi, wyciągnął klucz, skoczył do środka i zamknął się. Drżąc na całym ciele przywarł do ściany koło drzwi, krew tętniła w żyłach jak szalona. I w tym strasliwym momencie coś się wydarzyło! Tępo wzbił się dźwięk, jak gdyby wydobywający się z rury. Potężny i przenikliwy jak trąby jerychońskie. Była to syrena ostrzegawcza dla SS, zwiastująca zbliżanie się nieprzyjaciela. Straszliwy jej dźwięk przenikał wszystko. W blokach dźwięk ten zaparł więźniom dech w piersiach. Bo-chow i towarzysze wyskoczyli z bloku i oszołomieni tępym wyciem syreny stanęli pod gołym niebem. Na terenie SS syrena spowodowała fantastyczne zamieszanie. Zaroilo się wszystko. Syrena wymiotła z koszar kompanie SS, uciekały w byle jak sformowanych szeregach. Scharfiihrerzy biegali bez głowy w kółko. Naładowana ciężarówka zatoczyła przed bramą pośpieszny łuk i wdarła się w tłum i mętlik na drodze. Reineboth krzyczał. Mandryl skoczył z powrotem do bunkra. Ryczał, trząsał zamkniętymi drzwiami i walił w nie buciorami. Dobiegł do niego Reineboth. - Jazda, jazda stąd! - krzyknął i nie czekając na szalejącego Mandryla pobiegł do motocykla, zapuścił motor. Jeszcze raz obejrzał się i krzyknął: - Mandryl! - Potem skoczył na siodełko. W chwili gdy zawył motor, przybiegł Mandryl, skoczył i maszyna wyrwała naprzód.

W rogu bunkra Fórste opadł na kolana. Resztki sił spłynęły w niepowstrzymanym płaczu. Wyzwolony człowiek nie wiedział nawet o tym, że ten płacz był czymś najcenniejszym w jego życiu.

Gotowi do skoku tak, jak to w rozpaczy postanowili, stali za drzwiami celi, czekając w napięciu, Hófel i Kropiński. Słyszeli hałas i pośpiech, i straszliwy głos trąby. Słyszeli krzyki Reine-botha i ryki Mandryla, jego walenie butem w drzwi. A potem nagle ucichło wszystko, krzyk i wycie, i walenie. Kropiński stał w kącie koło drzwi, jego dłonie jak dwie otwarte klamry czyhały w niezrozumiałej ciszy. Przeznaczona na śmierć dwójka ludzi nie ważyła się oddychać, a tym mniej poddawać znikomej nadziei serca wkradającej się w ciszę, jak ostrożna macka.

Jeszcze w czasie gdy wyła syrena wśród dudnienia i trzasków walki, przywódcy grup popędzili na blok 17. Na obozowych uliczkach roило się od więźniów. W nich wszystkich, w Bochow, w ludziach z MKO, którzy również stawili się na bloku 17, narastała świadomość, że nadeszła upragniona chwila.

Godzina wybiła!

- Stan alarmowy nr 3! Wydobyć broń! Grupy na stanowiska wypadowe! Wyłomu dokonać natychmiast! - rozkazał Bochow.

Pribula potrząsał wzniesionymi nad głową pięściami. Nie wydobył z siebie dźwięku, choć całe ciało pożądliwie czekało na wyzwajający krzyk. Popędził z przywódcami grup!

Nagle na wszystkich blokach rozległy się głośnie słowa komendy.

- Wszystkie grupy na stanowiska!

Zanim zaskoczeni więźniowie zorientowali się, przed blokami uformowały się oddziały. Nie zwracając uwagi na zdumienie więźniów, grupy pobiegły na określone bloki, do rewiru i do miejsc, gdzie znajdowały się kanały instalacji ogrzewania i przewody wodociągowe. W tych wszystkich miejscach czekali już na nich przydzieleni ludzie z lagerschutzu. Zrywano podłogi. Rozbijano mury. Przy pomocy kilofów i łopat odgrzebywano ukryte schowki. I wszędzie ukazywała się broń. Broń!

Pribula i jego ludzie z polskich grup rozbili skrzynie na kwiaty u okien rewiru i zrywali przesycone tłuszczem szmaty z karabinów.

Do szrajbsztuby pośpieszyła grupa wyposażona w karabin maszynowy. Ustawiono go w pomieszczeniu Kramera, znajdującym się na wprost budynku na bramie.

Niestychane podniecenie kipiało w obozie.

Uzbrojenia dokonano w ciągu kilku minut i grupy zajęły stanowiska. Nie zwlekano ani chwili dłużej, niż to było konieczne, i już z północnego zbocza rozległy się pierwsze strzały. Kule zagwizdały wokół głów przerażonych postenów.

Burza wybuchła!

Północnym zboczem grupy popędziły na neutralną strefę. Oddziały niemieckie i jugosłowiańskie zabezpieczały flanki, trzymając pod ogniem okoliczne wieżyczki. Grupy Polaków pod dowództwem Pribuli przerzuciły już deski i drzwi poprzez zasieki. Jednocześnie w pięciu, sześciu miejscach przecięto druty. Pribula i jego ludzie z dzikim krzykiem zwycięstwa przedarli się przez nie. Z oddalonych wieżyczek ostrzeliwano ich z karabinów maszynowych, ale grupy niemieckie i jugosłowiańskie były na posterunku, trzymając w szachu postenów dziko i ślepo miotających granaty. Na wieżyczki rzucano butelki zapalające, które pękały z ostrym trzaskiem. Wybuchające płomienie zmusiły posterunki do zejścia. Pribula wraz ze swą grupą wtargnął na jedną z wieżyczek. Po krótkiej walce jeden posten został obezwładniony. Pribula odwrócił lufę karabinu maszynowego i zaczął wściekle i radośnie obsypywać seriami inne wieżyczki.

Jednocześnie z wyłomem dokonany na północnym zboczu rozpoczął się szturm na bramę.

Przy karabinie maszynowym był Riomand. Przez szybę wycelował dokładnie, a następnie puścił kilka skąpych serii na balustradę przy głównej wieży. Obsypało go rozbite

szkło. Jeden z postenów był trafiony. Wyrzucił ramiona w powietrze i przewrócił się. Pozostali wartownicy przykucnęli, zaskoczeni ogniem.

Trwało to jeszcze tylko kilka sekund. Zza pierwszych bloków wyskoczyli, popędzani własnym wielojęzycznym krzykiem bojowym, uzbrojeni Niemcy, Francuzi, Czesi, Holendrzy.

Teraz karabin maszynowy Riomanda wypluwał swój wściekły oddech na wieżyczki po obu stronach bramy. Pod jego ochroną specjalne oddziały lagerschutzu osiągnęły bramę. Wyłamali ją specjalnie przygotowanymi łomami.

Przerwać ogień! - krzyknął Bochow do Riomanda. I karabin maszynowy natychmiast pohamował swój gniew. Na górze, na bramie, ludzie z oddziałów specjalnych pędzili już po schodkach na główną wieżę. Setki więźniów z innych grup przelewały się przez wyłom w bramie i pędzili w prawo i lewo wzdłuż ogrodzenia. Na atakujących leciały granaty, terkotały karabiny maszynowe, ale więźniowie opadli wieżyczki jak roje szerszeni. Ich krzyk bojowy, łoskot i strzały wokół bramy mieszały się z hałasem toczącej się w pobliżu bitwy. Zza góry wzniosły się ku niebu brunatnożółte tumany dymu. Znowu wynurzył się samolot obserwator, zataczając powolne koła niemal nad samym obozem. Runęły ku ziemi samoloty nurkujące. Wyraźnie słychać było warkot ich karabinów maszynowych, ostrzeliwały uciekające faszystowskie czołgi.

Wartownicy, pozostawieni przez swoich przywódców na łaskę losu, oszołomieni nagłą napaścią, nie mogli powstrzymać ataku. Od lat gromadzona nienawiść więźniów eksplodowała. Dostawszy się w klin między widocznym już frontem a tysiącem szalejących więźniów, których siła bojowa rosła z każdym zdobytym karabinem, z każdym cekaemem, wartownicy niezdolni już byli do stawienia oporu.

Kto nie uciekł, został schwytany; tego, kto nie poddawał się, zabijano. Wieżyczka po wieżycze ulegały grupom bojowym.

Kramer nagle znikł. Kóhn, zajęty przynoszonymi rannymi, wrzasnął na flegera, który przybiegł do niego: - Idioci, nie uważaliście! Dwa postrzały w płuca! Chcecie, żeby się wykrwawił? Biegnijcie za nim! Szukajcie go! Przytaskajcie go tutaj!

Jak Kramer potrafił ruszyć się stąd bez niczyjej pomocy? Odziany tylko w spodnie i koszulę, z płaszczem narzuconym na ramiona, wykorzystał chwilę nieuwagi flegerów i zwiął. Nie dotarł daleko. Z jękiem, potykając się, dotarł na blok 38. Tam opadł na ławkę. Otoczyli go pozostali na bloku, nie należący do grup oporu więźniowie. - Skąd ty się tu wzięłeś?

Kramer oddychał ciężko, oczy błyszczały mu wysoką gorączką.

- Człowieku, Walter, musisz natychmiast wrócić na rewir.

Kramer ze złością odepchnął Runkiego, który chciał go wesprzeć. - Łapy precz! - Ale Runki nie dał się odepchnąć. - Jesteś ciężko ranny!

Inni chcieli przyjść z pomocą.

- Precz! - burknął Kramer. - Zostanę tutaj! Popatrzył na więźniów, nie dostrzegając, że bali się o jego życie. Zaczął nadśluchować odgłosów walki.

- Psiakrew! Że też na końcu musiało mnie to schwycić...

- Walter, wyzdrowiejesz, jeżeli się będziesz oszczędzać. Runki ostrożnie położył mu dłoń na ramieniu.

- Gdzie jest maleństwo, dziecko? Przyniosłem wam je przecież! Gdzie je podzieliście?

- Jest przecież tutaj, Walter.

Kilku pobiegło do sypialni. Przynieśli mu dziecko, postawili Kramerowi między kolanami.

Rysy Kramera złagodniały. Zaśmiał się ciepło i głęboko. Sam do siebie. Pogłaskał główkę chłopczyka. - Ty, mały chrabąszczu!...

Nagle Kramer zmiękł i zaczął prosić: - Zostawcie mnie tutaj, koledzy. Pozwólcie mi zostać razem z wami. Ja czuję się już zupełnie dobrze.

Przynieśli siennik i zbudowali mu oparcie między stołem a ławką. Kramer oparł się z wdzięcznością, uśmiechnął się do Runkiego, który dodawał mu otuchy. - No, Otto, stary chłopie...

Runki uśmiechał się, głaskał go.

Jak zawsze, kiedy mężczyźni mieli sobie dużo do powiedzenia, brakło słów. Ale w surowym, płynącym z serca odezwananiu Kramera, w niezręcznej pieszczocie Runkiego było to wszystko, czego nie można było wypowiedzieć, a co działo się teraz na dworze. Hałas i strzały wokół obozu tłumaczyły sens wydarzeń.

Kramer zamknął oczy.

Gdy zaterkotała pierwsza seria Riomanda, gdy wybuchł krzyk z tysiąca gardzieli i tłum popędził przez plac, Fórste, który wciąż jeszcze leżał przybity ciężarem znużenia, poderwał się. 'Przez okno bunkra ujrzał szturm. Krzyk, który wydobył mu się z krtani na ten niesłychany widok, zdawał się rozsadzać pierś. Zanim jeszcze wyłamano żelazną bramę, pobiegł - potykając się o trupy - do celi nr 5.

Hófel i Kropiński dziko walili w drzwi i krzyczeli. Fórste odsunął rygiel, ale cela była zamknięta. Wynurzyli się nagle Bo-chow, Riomand, Kodiczek, van Dalen. Stanęli na widok trupów. Bochow krzyknął w półmrok korytarza: - Hófel, Kropiński, gdzie jesteście?

- Tutaj, tutaj!

Fórste wybiegł im naprzeciw. - Drzwi zamknięte, nie mam klucza!

Bochow skoczył do celi. - To ja jestem, Bochow, Słyszycie mnie?

- Tak, tak, tak! O mój Boże! Herbert! Tak, tak, tak, słyszymy cię!

- Odejdźcie od drzwi. Przestrzelę zamek! Bochow wyciągnął pistolet.

- Uwaga, strzelam!

Rozległy się strzały. Bochow wystrzelał cały magazynek. Wspólnymi siłami zaczęli napierać na drzwi. Uszkodzony zamek klekotał. Hófel i Kropiński ze swojej strony napaarli na drzwi. Poddały się nagle i obydwaj wypadli. Więźniowie podtrzymali ich. Ciężko oddychając, leżał Hófel w ramionach Bochowa.

Setki więźniów wdrapały się na dachy bloków. Na drogach roilo się. Z miejsc, skąd widać było ogrodzenie, ujrzeni, jak szturmujący pędzą, jak zdobywają wieżyczki, jak wynurzają się na platformach.

Obsadzają wieże! - Setki pobiegły na puste pole na północnym zboczu. W dolinie w kierunku na Hottelstedt płonął młyn. Grzmoty detonacji powtarzały się w coraz krótszych odstępach czasu. Dym unosił się ku niebu. Uzbrojeni w pałki, kamienie i gałęzie, w to, co znaleźli na polu, pognali więźniowie do strefy neutralnej, przełazili przez zasieki i z krzykiem wydostawali się na zewnątrz przez dziury w drutach. Wydzierano walczącym jeńców, SS-manów, przeciągano ich przez dziury w płocie do obozu i wśród ogłuszającego krzyku tłumu gnano ich do otoczonego drutem kolczastym bloku nr 17. Tu stały już uzbrojone w zdobyczne karabiny warty złożone z więźniów. Miiller i Brendel dostarczyli dygocącego Zweilinga jako pierwszego jeńca na ten blok.

Pribula i jego grupa ruszyli do lasu, w kierunku drogi na Hottelstedt.

Tymczasem Bochow i towarzysze przyprowadzili uwolnionych do pomieszczenia Mandryła. Bunkier wypełnił się walczącymi. Kilku przeciągnęło trupy z korytarza do umywalni. Hófel i Kropiński siedzieli na polowym łóżku. Fórste przyniósł im kubek wody. Udręczeni pili pożądliwie ożywczy płyn.

Nadbiegł łącznik, meldując Bochowowi o zakończeniu obsadzania wieżyczek.

W przeogromnej radości Bochow przycisnął do siebie Hófla i Kropińskiego. - Wolność, wolność! - krzyczał im w twarz, śmiejąc się. W tej chwili nic innego nie potrafił wypowiedzieć.

Potem popędził wraz z towarzyszami z MKO na drugą stronę budynku na bramie, do pomieszczenia Reinebotha.

Na górze, na wieży głównej, jeden z walczących zerwał chorągiew ze swastyką i wciągnął na maszt wydobytą skądś białą płachtę.

Bochow prędko zorientował się w systemie aparatu nadawczego. Włączył mikrofon i przez cały obóz, do wszystkich bloków dotarł jego głos.

„Koledzy! Zwyciężyliśmy! Faszyci uciekli! Jesteśmy wolni! Słyszycie mnie? Jesteśmy wolni!”

Bochow załkał, przycisnął czoło do mikrofonu, ogrom szczęścia rozpląnął się w łzach, których nie mógł już dłużej powstrzymać.

Stłoczeni w blokach ludzie zerwali się. Płomień wołania zapalił pożar wielotysięcznego krzyku. Krzyk trwał, rozpląmieniał się wciąż na nowo:

- Wolność! Wolność!

Ludzie śmieli się, płakali, tańczyli! Wskakiwali na stoły, podnosili ramiona, wykrzykiwali sobie to słowo w twarze, krzyczeli, krzyczeli jak szaleni. Już nic ich nie mogło powstrzymać. Wszyscy wybiegli i pijana wolnością masa więziarska zalała plac apelowy.

Kierunek: brama!

Nie po to, by popędzić gdziekolwiek bezmyślnie. Tylko po to, by nareszcie wydobyć się poza tę przeklętą bramę, radując się i śmiejąc, wprost w przyjaźnie rozwarte ramiona wolności.

Niestychany entuzjazm wyparł z bloku wszystkich tych, którzy byli razem z Kramerem. Wolni! Tak wielkie było szczęście, że nagle zapomnieli o nim i wybiegli. Kramer śmiał się i klął jednocześnie: - Zapomnieli o nas, te draby przeklęte, zapomnieli nas zabrać ze sobą!

Tak dziko wykrzykiwał to do dziecka, że chłopak nagle rozpląkał się głośno ze strachu. - Wrzeszcz, wrzeszcz, tak, wrzeszcz! Chodź, wrzeszcz na dworze wraz z innymi! Przecież oni wszyscy wrzeszczą! Nie słyszysz?

Zapominając o swym osłabieniu chwycił dziecko jak paczuszkę pod zdrowe ramię i wy dostał się z nim na dwór.

Po drodze podtrzymali go rozentuzjasmowani więźniowie. Chcieli go wesprzeć i zabrać mu krzyczący ciężar.

- Łapy precz! - zawołał radośnie. Szczęśliwy, zadyszany turlał się drogą wiodącą na plac apelowy.

Na górze zobaczył ich wszystkich, wśród nich Bochowa, bezradnego wobec żywiołu, który sam rozpętał.

I Kramer zobaczył - a serce zamarło mu jakby w dzikiej radości.

- Andre - krzyknął - Andre, Andre! Marian! Hałas zagłuszył jego krzyk, ale już go zauważyli.

- Walter!. - rozjaśnił się Hófel i podreptał w jego kierunku. Sznur z pętlą wisiał mu jeszcze u szyi.

- Zabierz mi to maleństwo, jest mi za ciężko.

Już i inni otoczyli Kramera. Riomand i van Dalen podparli chwiejącego się. Hófel porwał dziecko. Zakrzyczało jeszcze bojaźliwiej, gdy dziko obrośnięty mężczyzna przycisnął je do piersi. Hófel zatoczył się, kolana ugięły się pod nim. Dziecko chwycił Kropiński. Śmiejąc się, krzycząc, zachłystując się słowami w przedziwnej mieszance polskiego i niemieckiego, pokazywał wszystkim ukochany kłębuszek.

Nagle Kropiński pobiegł, trzymając dziecko w wyciągniętych rękach, ku bramie, w sam gąszcz szalejącego tłumu.

- Marian! - zawołał na niego Hófel - dokąd lecisz?

Ale wir porwał już szczęśliwego człowieka.

Kropiński podniósł wysoko nad głowę krzyczący kłębuszek, by go nie porwał strumień. Dziecko kołysało się nad falującymi głowami jak maleńka łódź.

Wydostało się w tłumie przez ciasnotę bramy, a potem porwał je ze sobą na swych wyzwolonych falach strumień, którego nie można już było powstrzymać.

KONIEC